



G O S C I E

ORSON
SCOTT
CARD

Prószyński i S-ka

ORSON
SCOTT
CARD

G O Ś C I E

Przełożyła
Maciejka Mazan

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
VISITORS

Copyright © 2014 by Orson Scott Card
All rights reserved

Projekt okładki:
Dark Crayon

Ilustracja na okładce: Dark Crayon/Dawid Boldys
foto: cosma, sdecoret, Natalia80

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Renata Bubrowiecka

Korekta
Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-486-9

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Dla Kathleen Bellamy,
uczestniczki każdego projektu,
pasterki tak licznych owiec...
Dziękuję za swobodę i wsparcie*

Rozdział 1

KOPIE

MIEJSCE:

Z powierzchni planety Arkadia wygląda to jak płaskowyż otoczony stromą skalną ścianą z górą pośrodku. Ale z przestrzeni kosmicznej widać, że ten płaskowyż jest ogromnym kraterem, a góra jego krawędzią.

Głęboko pod górą kryje się statek kosmiczny. Rozbił się na planecie Arkadia 11 203 lata temu. Ale statek ten został wystrzelony z orbity okołozemskiej zaledwie przed dziewiętnastu laty. Leciał siedem lat, po czym wykonał skok, który miał tworzyć anomalię czasoprzestrzeni, i niemal chwilę potem pojawił się w pobliżu Arkadii.

Rzeczywiście, pilot statku Ram Odyn – jedyna żywa osoba na pokładzie – odczuł to jako chwilę. Lecz dla otaczającego go kosmosu statek przybył na miejsce 11 191 lat przed dokonaniem skoku przez zagięcie. W tym czasie podzielił się na dziewiętnaście statków – po jednym dla każdego komputera pokładowego, który obliczył skok. Wszystkie te statki zawierały duplikaty Rama Odyne wraz ze wszystkimi innymi pogrążonymi we śnie pasażerami, mającymi skolonizować świat.

Wszystkie dziewiętnaście statków z premedytacją rozbiło się o powierzchnię Arkadii. Siła ich uderzenia zwolniła tempo obrotów planety, wydłużając dzień. Po każdym uderzeniu pozostał krater. Statki, otoczone polami ochronnymi, przetrwały zderzenie, a ich pasażerom nic się nie stało. Powstało dziewiętnaście kolonii, oddzielonych od siebie psychoaktywnym polem nazwanym Murem.

Ten konkretny statek znajduje się w centrum oddzielonej Murem części planety zwanej murchią albo światem Vadesha.

OSOBY:

W centrum dowodzenia statku kosmicznego znajdują się czterej mężczyźni – albo trzech, albo dwaj, albo jeden, zależy od punktu widzenia.

Pierwszy to jedyny ocalały Ram Odyn. Ci, którzy twierdzą, że w pomieszczeniu znajduje się tylko jeden człowiek, właśnie jego mają na myśli. Przetrwał tyle stuleci, budząc się tylko na jeden dzień raz na pięćdziesiąt lat, a czasem na tydzień po stu latach

– na czas potrzebny do podjęcia decyzji, do których nie są uprawnione komputery pokładowe.

Drugi wygląda jak dorosły mężczyzna i tak się wypowiada, ale tak naprawdę to maszyna – zbędny. Nazywa się Vadeshex. Wszyscy mieszkańcy tej kolonii zginęli ponad dziesięć tysięcy lat temu od straszliwej broni. Przez ten czas Vadeshex trudził się nad stworzeniem odmiany miejscowego pasożyta – twarжомaski – który mógłby stać się pożytecznym symbiotycznym partnerem dla ludzi, gdyby kiedykolwiek znowu zawitali w świecie Vadesha.

Dwie inne obecne na pokładzie statku osoby urodziły się piętnaście lat temu jako jeden człowiek, Rigg Sessamekesh. Oczywiście to nie mężczyźni, lecz chłopcy. Obaj noszą zasłaniającą część twarzy maskę stworzoną przez Vadeshexa. Twarжомaska wrosła w ich mózg i ciało, zwiększając czułość ich zmysłów, dodając im szybkości ruchów i siły, więc można zaryzykować stwierdzenie, że to już nie ludzie, lecz jakaś nowa hybryda, w najlepszym razie zwana półczłowiekiem.

OKOLICZNOŚCI:

Pół godziny temu Ram Odyn usiłował zabić Rigga, ale ten, sprawniejszy i zwinniejszy, uniknął ataku. Następnie, korzystając z wrodzonego daru manipulowania czasem, cofnął się o pół godziny i prewencyjnie zabił Rama Odyna. Nie tylko w samoobronie; Rigg sądził, że czyny Rama Odyna doprowadzą do unicestwienia świata. Następnie Rigg skoczył w przyszłość o dwa lata i przekonał się, że eliminacja Rama Odyna nie zapobiegła całkowitej zagładzie ludzkości Arkadii. Ram Odyn nie był największym zagrożeniem dla mieszkańców planety, lecz jedynie źródłem informacji niezbędnych do uratowania Arkadii. Dlatego Rigg cofnął się w czasie i powstrzymał samego siebie przed zabiciem Rama Odyna, a Rama Odyna – przed zabiciem swojej wcześniejszej wersji. W rezultacie pojawiły się dwie kopie Rigga – ta, która zabiła, a potem przekonała się, że nie zdziałała nic dobrego, i wróciła, oraz ta, której uniemożliwiono popełnienie morderstwa, która nie widziała nieuniknionego nadejścia Niszczycieli i która obecnie nazwała się Noxonem i uważała się za osobę inną od Rigga. Dlatego można powiedzieć, że w pomieszczeniu znajdują się czterej mężczyźni: Ram Odyn, Rigg, Noxon i Vadeshex.

Ale Vadeshex nie jest żywym organizmem, zatem w pomieszczeniu znajdują się tylko trzej mężczyźni. Rigg i Noxon jednak to tak naprawdę ten sam człowiek, pół godziny temu rozszczepiony na dwie kopie. Zatem w pomieszczeniu znajdują się tylko dwie żyjące osoby z odrębnym genotypem i historią.

Riggowie zaś mają tylko piętnaście lat. Do tego wieku należy doliczyć dni, które przeżyli podwójnie, ale i tak to zaledwie chłopcy, nie mężczyźni. Ponadto są nierozzerwalnie i na stałe połączeni z obcymi organizmami w postaci masek, co w oczach jednych czyni ich tylko półludźmi, a dla innych pozbawia ich prawa do miana

człowieka.

Zatem z tych czterech osób tylko Ram Odyn zasługuje w pełni na miano człowieka – a przy tym jest najsłabszy z nich wszystkich.

Daleko w innym świecie Param, siostra Rigga, i jego przyjaciel Umbo także potrafią manipulować strumieniem czasu i także starają się uratować Arkadię przed Niszczycielami. Ale to ci czterej w świecie Vadesha potrafią wspólnie kontrolować statek kosmiczny. To ci czterej wiedzą, że jedna wersja Rama Odyna nadal żyje, i to ci czterej muszą podjąć decyzję, co zrobią, by ratować ludzkość zamieszkującą Arkadię. Jedyną bowiem niezmienną rzeczą jest to, że pomimo wielu prób zmiany historii poprzez manipulację czasem, czyli chronomancję, Goście przybyli z Ziemi ujrzeni, co ich gatunek uczynił w dziewiętnastu światach Arkadii, a potem wysłali Niszczycieli, by zetrzeć tych dziewiętnaście cywilizacji z powierzchni planety.

ROZMOWA:

– Naszym największym problemem jest niewiedza – powiedział Rigg Noxon. – Nie wiemy, co sprawiło, że Ziemianie postanowili zniszczyć nasz cały świat.

Tak naprawdę w tej chwili jego największy problem stanowiła świadomość, że zdołał zabić kogoś z zimną krwią. Właściwie zabójstwa dokonał ten drugi Rigg, ale Rigg Noxon wiedział, że są tą samą osobą. Gdyby Rigg nie wrócił i nie zapobiegł zabójstwu, Noxon zrobiłby to samo, co on. Ale teraz, ponieważ został przed tym uratowany, Noxon i Rigg stali się osobnymi istnieniami z niemal identyczną przeszłością. „Czy jestem mordercą, bo wiem, że mogłem popełnić morderstwo i zrobiłbym to, gdyby nie okoliczności? – pomyślał. – Czy też jestem niewinny, ponieważ ktoś inny mnie powstrzymał? Tą osobą byłem ja sam. Inna wersja mnie. Zabójca”.

– Dlatego twoi przyjaciele muszą pozwolić myszom z murchii Odyna wrócić na Ziemię z Gośćmi – oznajmił Ram Odyn.

– Właśnie podejmują decyzję, czy powstrzymać samych siebie przed ostrzeżeniem Gości przed pasażerami na gapę – wyjaśnił Rigg zabójca.

Ram Odyn pokręcił głową.

– Dlaczego decyzja ma należeć do nich? Wróć i dopilnuj, żeby ich nie ostrzegli.

– Mają powód, żeby nie wpuszczać myszy na pokład statku – powiedział Rigg zabójca. – Myszy nie wrócą z informacjami. Zostały zarażone chorobą, niewątpliwie stworzoną w celu zgładzenia ludzkości na Ziemi.

– Kiedy mówisz „niewątpliwie”, masz na myśli „istnieją podstawy, by w to wątpić” – zauważył Ram Odyn. – Ludzie mówią „niewątpliwie” tylko wtedy, kiedy wydają osądy oparte na niewystarczających przesłankach.

– Nie mają twarzymasek – odparł Rigg Noxon. – Nie słyszą myszy, nie rozmawiają z nimi. Nie mogą pytać.

– Ty je słyszysz. Możesz spytać.

– Nie należy wierzyć myszom – powiedział Rigg zabójca. – Już raz zabiły Param. Naszym celem jest uratowanie ludzkości Arkadii, a nie przeszkodzenie myszom w skolonizowaniu Ziemi.

– W tej grze jest zbyt wielu graczy – westchnął Ram Odyn.

– Parę miliardów z nich zamierzają usunąć myszy – mruknął Rigg zabójca.

– Nie wszyscy gracze są sobie równi – zauważył Ram Odyn. – Podejmij decyzję i trzymaj się jej.

– Za długo przebywałeś w towarzystwie zbędnych – odparł Rigg Noxon. – Myślisz, że ponieważ potrafisz manipulować ludzkim życiem, masz również prawo to zrobić.

– Myślisz – dodał Rigg zabójca – że potrafisz to robić, bo masz wprawę.

– Władza jest władzą – oznajmił Ram Odyn. – Jeśli ją masz, to jej używasz.

– Oczywista głupota tego stwierdzenia rodzi pytanie, w jaki sposób Arkadia przetrwała jedenaście tysięcy lat pod twoimi rządami.

– Dziecko poucza mężczyznę, który żył jedenaście tysięcy lat – prychnął Ram Odyn.

– W historii istnieją tysiące przykładów ludzi u władzy, którzy używali jej tak, że w końcu doprowadzili do jej unicestwienia – wraz z masą niewinnych ofiar.

Rigg Noxon uświadomił sobie, że zabicie Rama Odyna zmieniło jego kopię. Rigg Noxon nigdy by się tak do niego nie odnosił – gdyby nie liczył się z jego zdaniem. Rigg Noxon zwracałby się do Rama jak chłopak do dorosłego. Ale Rigg zabójca nadal musiał być zły na Rama Odyna, który przecież pierwszy usiłował go zabić. Wiedliśmy dokładnie to samo życie, aż nagle – kilka minut temu dla mnie, kilka tygodni czy miesięcy dla Rigga zabójcy – to się skończyło. Staliśmy się różnymi ludźmi.

– Zatem zostawiasz decyzję Umbowi i Param – podsumował Ram Odyn.

– Oraz Oliwience i Bochnowi – dodał Rigg Noxon. – Jesteśmy samorządną grupą, nie jakimś oddziałem wojskowym, któremu ktoś wydaje rozkazy.

– Poza tym – odezwał się Rigg zabójca – nie chcę składać przyszłości ludzkiego gatunku na obu planetach w łapki rozumnych myszy ze świata Odyna.

– No to jak wygląda twój plan? – spytał Ram Odyn. – Zamierzasz się zakraść na pokład statku Gości?

– Tak – powiedział Rigg zabójca.

– Nie – rzucił jednocześnie Rigg Noxon.

Spojrzeli na siebie z konsternacją.

– Zakradniemy się – zdecydował Rigg zabójca. – Teraz, gdy mamy maski, które pozwalają nam dostrzegać małe jednostki czasu, zdołamy go rozdzielić tak jak Param. Przez całą podróż na Ziemię będziemy niewidzialni.

– A potem? – spytał Rigg Noxon. – Przybycie Gości i powrót Niszczycieli dzieli tylko rok. Większość tego czasu przypada na podróż. Zatem decyzję podjęli natychmiast po powrocie na Ziemię. Co zrobimy? Wygłosimy przemowę?

Zorganizujemy zebranie?

– Wasz talent do manipulacji czasem nie doda wam mocy przekonywania – odezwał się Ram Odyn. – A ludzie posiadający władzę nie zmieniają zdania z powodu jakiejś przemowy.

– Natychmiast po wylądowaniu cofniemy się w czasie – oznajmił Rigg zabójca – i dowiemy się wszystkiego, co trzeba. Nawiążemy konieczne kontakty.

– Oczywiście – zgodził się Rigg Noxon. – Wtopimy się w społeczeństwo. Nikt nie zauważy, że pochodzimy z innej planety. Na pewno we wszystkich ludzkich społecznościach dzieci w naszym wieku są traktowane poważnie i mogą wywierać wpływ na losy świata. Zwłaszcza dzieci z pasożytami na twarzy.

– Moglibyście też znaleźć osobę, którą należy usunąć, i ją zlikwidować – wtrącił Ram Odyn.

Obaj Riggowie spojrzeli na niego z konsternacją.

– Wiemy, że jesteś zabójcą – powiedział Rigg Noxon. – My nie.

– Czyżby? Przybyliście tu, chwając się, że mnie zabiliście.

– W samoobronie – odparł Rigg zabójca. – Ale ty – gdy twój statek zrobił skok i uświadomiłeś sobie, że pojawiło się dziewiętnaście kopii jego, ciebie i wszystkich kolonistów – natychmiast podjąłeś decyzję, by zabić inne wersje samego siebie.

– Żeby uniknąć dokładnie takiego niezdecydowanego, niezbornego „dowodzenia”, jakie prezentujecie – warknął Ram Odyn. – I pamiętaj, proszę, że jestem tym Ramem Odynem, który nie rozkazał nikogo zgładzić.

– Nie, ty jesteś tym podstępny, który się ukrywał, dopóki bardziej skora do zabójstw wersja ciebie nie umarła ze starości. Wówczas osiadłeś w murchii Odyna, podważając większość decyzji poprzednika i postanawiając żyć wiecznie – odciął się Rigg zabójca. – Czyli nie zawsze się zgadzasz, że jedna osoba ma prawo podejmować decyzje w imieniu wszystkich. Nawet gdy ta osoba jest twoją wersją.

Ram Odyn przewrócił oczami, a potem kiwnął głową.

– To wyjątkowo irytujące, gdy się to słyszy z ust dziecka.

– Ale prawdziwe – odparował Rigg zabójca.

– Czy skoro kogoś zabiłeś – spytał Rigg Noxon – możesz dalej uważać się za dziecko?

– Zatem ty jesteś dzieckiem, bo powstrzymałem cię przed popełnieniem morderstwa? A ja jestem dorosły? – spytał Rigg zabójca.

– Tak – odparł Rigg Noxon. – W pewnym sensie. Może dlatego, że jestem dzieckiem, a może dlatego, że nasze drogi się rozeszły, mam nieco inny plan.

– Albo wracamy z Gośćmi, albo nie.

– Różnica nie jest niewielka.

– Nie zachowuj się jak on. Nie zakładaj, że coś musi być złym pomysłem, tylko dlatego, że nie tobie przyszło do głowy – powiedział Rigg Noxon.

- Co ci nie przyszło do głowy? – rzucił Ram Odyn niecierpliwie.
- Powinniśmy polecieć na Ziemię, ale nie z Gośćmi – wyjaśnił Rigg Noxon.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Potem Ram Odyn pokręcił głową.

– Ten statek nie może znowu wzbić się w powietrze. Pole inercji ochroniło go przed uszkodzeniami podczas kolizji z planetą, ale nie możemy go znowu podnieść z jej powierzchni. Ale nawet gdybyśmy mogli się pozbyć milionów ton skał, które się nad nami nawarstwiły, nie mamy dość energii, żeby wydostać się z pola grawitacyjnego Arkadii.

Rigg Noxon pokręcił głową.

- Zapominasz o naszych zdolnościach.

– Chodzi mu o to, że jedno z nas cofnie się do czasu przybycia statku – wyjaśnił Rigg zabójca. – Mamy przesuwac się małymi skokami wstecz, podążając za twoją ścieżką, aż do momentu, gdy statek spadł na powierzchnię Arkadii. A raczej kiedy się z niej wydobywa, unosi się i cofa aż do startu z Ziemi. Będziemy to robić do chwili, gdy wyruszyłeś w podróż.

– Ten statek został zbudowany w kosmosie – powiedział Ram Odyn. – Nie był na Ziemi.

– W takim razie cofniemy się do chwili jego stworzenia – odparł Rigg Noxon. – A potem zaczniemy podążać ścieżką któregoś z budowniczych, aż trafimy na Ziemię.

– Nawet jeśli wam się to uda, to po co to wszystko? Dlaczego nie wróćcie z Gośćmi, tak jak proponował drugi Rigg, a potem nie cofniecie się w czasie?

– Ze względu na pewne ważne różnice – wyjaśnił Rigg Noxon. – Po pierwsze, nie będziemy musieli się ukrywać przez całą podróż – w każdym razie nie poprzez cięcie czasu na pokładzie statku Gości.

Rigg zabójca skinął głową.

– I będziemy mieć klejnoty – dodał, unosząc woreczek z kamieniami dającymi im kontrolę nad komputerami pokładowymi i zawierającymi wszystkie informacje z tych urządzeń. Ram Odyn spojrzał na nie.

– Za każdym waszym skokiem wstecz – powiedział – maszyny pokładowe i zbędni będą wyczuwać go po raz pierwszy.

– I za każdym razem zyskają dzięki nim pełny dostęp do wszystkich informacji zebranych przez jedenaście tysięcy historii Arkadii.

– Więc podejmą kroki zaradcze i zapobiegną naszemu zaistnieniu? – spytał Ram Odyn.

– Nie mogą tego zrobić – odparł Rigg zabójca. – Prawo zachowania związków przyczynowo-skutkowych i tak dalej. Ale tak, mogliby zrezygnować z terraformowania Arkadii. Co z tym zrobimy? – zwrócił się do Rigga Noxona. – Zostawimy klejnoty? Jeśli tak, statek uzna nas za pasażerów na gapę i każe zbędnym nas zahibernować albo po prostu zabić.

Rigg Noxon pokręcił głową.

– Nie. Pamiętasz odkrycie Umba w murchii Odyna? Jego mieszkańcy – albo myszy, kto wie? – opracowali matematyczny wzór na to, co się dzieje podczas skoku. Ten skok nie tylko stworzył dziewiętnaście kopii statku, ludzi i wszystkich znajdujących się na nim przyrządów, lecz również jedną lub dziewiętnaście innych kopii, które cofały się w czasie.

– I co z tego? – rzucił Rigg zabójca. – Więc cofają się w czasie. Nawet jeśli po nim skaczymy, pod koniec każdego skoku nadal poruszamy się zgodnie z biegiem czasu, tak jak reszta Wszechświata. A wsteczny ruch statku lub statków będzie się odbywał dokładnie po trasie, którą statek tu przybył, więc pozostaniemy w jego wnętrzu. Nie zdołamy znaleźć statku – lub statków – poruszającego się wstecz.

– Nie z naszymi dotychczasowymi umiejętnościami – zgodził się Rigg Noxon. – Ale gdybyśmy się nauczyli poruszać w innym kierunku?

– A gdybyśmy zdołali przeskoczyć wprost na Ziemię bez korzystania ze statku kosmicznego? – odparł Rigg zabójca. – Bo tego też nie potrafimy. Nie ma powodu sądzić, że coś się zmieniło.

– Zdaje się, że klucz do tej zagadki ma Param – powiedział Rigg Noxon. – Tnie czas na bardzo małe kawałki, ale przesuwa się w nim naprzód.

– Bo umie tylko ciąć. Nie potrafi skakać do przodu ani wstecz tak jak my. Teraz, mając maski, także potrafimy ciąć czas tak jak ona. Widzimy te małe odcinki i potrafimy coś z nimi zrobić. Ale możemy także skakać wstecz. Możemy ciąć czas wstecz.

– Mimo to nadal poruszamy się do przodu – sprzeciwił się Rigg zabójca. – Między cięciami.

– I co z tego? – rzucił Noxon. – Jeśli będziemy ciąć czas na odpowiednio cienkie plasterki i skakać wstecz o dwie nanosekundy, zatrzymywać się na jedną nanosekundę, a potem skakać o kolejne dwie nanosekundy, to w efekcie będziemy się cofać w tempie jednej nanosekundy na nanosekundę, czyli tak, jak przesuwany się wstecz statek cofa się w czasie.

– Ale kiedy wracamy do teraźniejszości, czas niesie nas w przód – upierał się Rigg zabójca. – Bez względu na to, na jak cienkie plasterki tniemy czas.

– Może masz rację – przyznał Noxon – ale zapominasz o tym, co zrobiliśmy na samym początku. Zobaczyliśmy ścieżkę, Umbo ją zwolnił, a my się w niej zakotwiczyliśmy. W ten sposób skakaliśmy – przyczepiwszy się do kogoś. Jeśli zdołamy odnaleźć ścieżkę kogoś, kto cofa się w czasie, zakotwiczymy się w niej i zmienimy kierunek.

– A może nie... – odparł Rigg. – Może czas biegnący w przód i czas biegnący wstecz unicestwiają się przy zetknięciu jak materia i antymateria?

– Więc zrobię to sam – oznajmił Noxon. – To ja jestem nadprogramową kopią, nie?

Jeśli zostanę unicestwiony, wrócimy do właściwej liczby Riggów i tyle.

– A jeśli ci się uda – dodał Ram – będziesz mógł się ucześcić cofającej się wersji mnie i ściągnąć ją – mnie – do normalnego strumienia czasu.

– Co za radość – mruknął Rigg. – Jakby było mało jednego Rama Odyna.

– Przez jedenaście tysięcy lat strzegłem dziewiętnastu światów – warknął Ram. – A czego ty dokonałeś?

– Uraziłeś jego uczucia – zauważył Noxon.

– Jest przewrażliwiony – mruknął Rigg.

– Zdajecie sobie sprawę, że ten skok pokonał jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat? Nie wspominając już o skoku o kilka lat świetlnych w zakrzywionej przestrzeni. Myślicie, że zdołacie wytrzymać tak długi czas pomimo zmiany kierunku?

– Ciekawie będzie się o tym przekonać – oznajmił Rigg. – Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

– Dowiemy się, ale to ja spróbuję – skorygował Noxon.

– Cała zabawa z fizyką ma przypaść tobie? – spytał Rigg.

– To ja jestem nadliczbowy. Możecie sobie pozwolić na stratę mnie.

– My tak. Ty nie.

– Gdy mnie nie będzie, nie odczuję swojego braku – zauważył Noxon.

– Nie wiem, jak funkcjonują wasze mózgi – wtrącił Ram – ale to, co mówicie, kompletnie nie ma sensu i jednocześnie jest całkiem sensowne.

– Możemy wrócić obaj, ale na różnych statkach – zwrócił się Noxon do Rigga, ignorując Rama. – Ja przyczepię się do statku zmierzającego wstecz i podążę za nim na Ziemię, ty ukryjesz się na pierwotnym statku i skoczysz w przeszłość do początków podróży.

– Obaj dotrzecie do tego samego punktu – powiedział Ram. – Do momentu mojego wyruszenia.

– Nie całkiem – skorygował Rigg. – Kiedy tam dotrę – jeśli mi się uda – będę musiał jakoś poradzić sobie z faktem znalezienia się w tym samym strumieniu czasu. Jeśli nie będę go ciąć ani skakać, stanę się widoczny. Ale Noxon przybędzie całkowicie niewidzialny. I na niewidzialnym statku. Pojawię się tam zupełnie pozbawiony przyjaciół, bo nie mogę się pokazać przez całą podróż.

– Dlaczego?

– Bo się nie pokazałem. Odbyłeś ją sam. Widziałeś mnie? Gdybyś mnie zobaczył, całkiem możliwe, że to zmieniłoby całą sekwencję wydarzeń i uniemożliwiło powstanie dziewiętnastu kolonii na Arkadii. – Odwrócił się do Noxona. – Dostrzegasz niebezpieczeństwo? Jedno potknięcie i możesz wszystko unicestwić.

– Ale nie będę musiał się ukrywać przed Ramem podczas drogi wstecz, bo ten Ram już odbył podróż – odparł Noxon. – Nie jest związany z tym wszechświatem, więc niczego nie zmienię. I będę miał statek, który nie utknął pod milionami ton skał.

- I cofa się w czasie – dodał Ram.
- Jeśli zdołam wciągnąć siebie i tamtego cofającego się Rama Odyna w płynący naprzód strumień czasu, pociągnę statek za nami. Potrafię to robić z przedmiotami materialnymi.
- Jeśli ci się uda, nie będę musiał wracać z Gośćmi – stwierdził Rigg. – Bo z tego, co wiem, wcale nie przybędą.
- Więc podczas mojej podróży na Ziemię zostaniesz tutaj?
- Jeśli ci się uda, Arkadia nie zostanie zniszczona. Kiedy więc ty będziesz się bawić w Boga na Ziemi...
- ...ty zabawisz się w niego tutaj – dokończył Noxon.
- Odwiedzę wszystkie światy – podjął Rigg – i zdecyduję, czy zburzyć Mury.
- Może nie wszystkie? Niebezpieczne światy powinny być objęte kwarantanną.
- Nie można dopuścić do tego, żeby technologia świata Odyna, maski świata Vadesha i zbędni wpadli w ręce matki i generała Obywatela.
- Czyli odegrasz rolę Króla w Namiocie? – spytał Noxon. – Z taką ładną buzią szybko znajdziesz popleczników.
- Mianuję Param Królową w Namiocie. A może w ogóle zniosę monarchię i ustanowię ludową radę rewolucyjną? – oznajmił Rigg. – Jeszcze nie zdecydowałem.
- Jeszcze – mruknął Ram Odyn.
- Zdecyduję, kiedy będzie tego wymagać sytuacja – powiedział Rigg.
- Wygląda to tak, że decyzje same się podejmują, głównie dlatego że nie ma się większego wyboru – zauważył Noxon.
- I nie zamierzacie spytać o radę kogoś starszego i mądrzejszego? – spytał Ram Odyn.
- Spytamy – zgodził się Noxon. – Kiedy go spotkamy.

Rozdział 2

OBRADY W MURCHII LARA

– Na co czekamy? – spytała Param.

– Wcale nie czekamy – powiedział Oliwienko. – Śmiało. Rób to, do czego ci się tak spieszy.

– Tu nie ma nic do roboty – warknęła Param.

– Czyli na nic nie czekamy. Jesteśmy po prostu beczynni. Znajdź sobie cel i go zrealizuj. Nie musisz na nic czekać.

– A jaki mamy cel? Wiemy, że świat skończy się za kilka marnych lat. Po co cokolwiek zaczynać?

– Umbo na pewno zabierze cię w przeszłość tak daleko, jak zechcesz – oznajmił Oliwienko. – Możesz wyjść za mąż i urodzić dzieci. Wychować całą armię i podbić ten świat. Zabić generała Obywatela, zanim pozna twoją matkę. Tak wiele cudownych możliwości...

– Nie poślubię Umba ani nie urodzę jego dzieci – obruszyła się Param.

– Wcale ci tego nie proponowałem – odparł Oliwienko. – Powiedziałem tylko, że zabierze cię w przeszłość.

– Dziękuję, że znalazłeś sposób, żeby obrazić mnie w rozmowie, w której nawet nie brałem udziału – odezwał się Umbo zza ogniska, przy którym drzemał.

– Nie urodzę dzieci ani tobie, ani Oliwience – powiedziała Param. – Ani Bochnowi, jeśli ktokolwiek brał go pod uwagę. Świat się skończy bez względu na to, do której epoki się cofniemy. Co za różnica, czy minie dwadzieścia lat czy dwieście? Świadomość, że świat spłonie, psuje całą...

– Świat zawsze płonie – mruknął Bochen. – Albo ginie w powodzi. Albo jakieś owady zżerają uprawy i ludzkość umiera z głodu. Albo zaraza pustoszy świat, zabija dziewięć na dziesięć osób, a te, które przeżyją, muszą się żywić trupami. Niemowlęta umierają bez względu na wszystko. Ale dzieci ciągle się rodzą, a my staramy się żyć dalej.

– No nie wiem... – odezwał się Umbo. – Czy według ciebie to jest podnoszenie na duchu?

– Według mnie tylko dziecko sądzi, że to, co zbuduje, zdoła przetrwać – wyjaśnił

Bochen.

– Tak naprawdę wszyscy wiemy, że czekamy na Rigga – powiedział Oliwienko.

Ponieważ wszyscy to wiedzieli, nie było sensu komentować. Ale Umbo skomentował to i tak:

– Mógł nas cofnąć do dowolnego punktu w czasie. Na przykład na pół godziny przed swoim odejściem mógł wrócić do naszego obozu i wyjaśnić, na czym minął mu ostatni miesiąc albo pięć lat. Kiedy ktoś potrafi podróżować w czasie, niegrzecznie jest kazać innym czekać. – Nikt się nie odezwał. – To nie znaczy, że mam urazę do Rigga jak kiedyś – usprawiedliwiał się Umbo.

– Nikt tak nie twierdzi – zapewnił Oliwienko.

– Po prostu mam dość czekania. I to naprawdę niegrzeczne z jego strony.

– A może po prostu nie żyje? – podsunął Bochen. – W tym wypadku nasze czekanie nie ma sensu.

– Kto mógłby go zabić? – spytała Param. – Rigg już raz uniemożliwił Ramowi Odynowi zabicie go.

– I wrócił, żeby powstrzymać samego siebie przed zabiciem Rama Odyna – dodał Bochen. – Co znaczy, że Ram Odyn może jeszcze znaleźć sposób, żeby go zabić.

– Pomimo maski? – spytał Oliwienko.

– Nie będzie próbował mnie znowu zabić – oznajmił Rigg.

Jeśli jego nagłe pojawienie się kogoś zdziwiło, to nikt tego nie okazał. Ale Umbo musiał się roześmiać.

– Ile razy czekałeś z wejściem na właściwy moment?

– Przybyłem, usłyszałem, odpowiedziałem – odparł Rigg. – Nie muszę czekać na właściwy moment. Zawsze się kłócicie i zawsze można powiedzieć coś mądrzejszego niż wy.

– Dobrze, że wróciłeś – rzuciła Param. – Przypominasz mi, że Umbo nie jest jedynym irytującym chłopcem na świecie.

– Zatem Ram Odyn znowu żyje – powiedział Bochen.

Rigg skinął głową.

– To dobrze czy źle?

– Sami zdecydujcie – odparł Rigg. – Bo moja interwencja doprowadziła do czegoś więcej niż ocalenie Rama Odyna.

Uniósł rękę. W tej samej chwili z lasu wyłoniły się dwie osoby, które stanęły obok niego: starzec i... kolejna kopia Rigga z maską na twarzy i wszystkim.

– Co za niechlujstwo – mruknął Umbo.

– Powiedział ten, który ma już dwie kopie siebie – odparował Rigg.

– Moje są przynajmniej martwe – warknął Umbo.

– A moja żyje. Wybrała sobie imię Noxon, więc będziesz się musiał zwracać do nas oddzielnie. Ale w pewnym sensie to czystsza wersja mnie. Nigdy nikogo nie zabiła.

– Ale mogłem – dorzucił Noxon.
– Tylko tego nie zrobiłeś – odparł Rigg.
– Rigg kłóci się nawet ze swoim drugim ja – jęknął Bochen.
– Tak jak pewnie bez przerwy kłóci się z sobą w myślach – zauważył Oliwienko.
– Ale my nie musimy tego słuchać! – krzyknął Bochen zdesperowany.
– Więc to ty to wszystko zaplanowałaś – zwróciła się Param do Rama Odyna.
– Ja podejmuję decyzje, kiedy należy je podjąć – przyznał Ram Odyn. – Czasem dobre, czasem złe. Większość ważnych decyzji podjął ktoś inny, ale ja biorę na siebie odpowiedzialność za to, co poszło źle. Za to, co wyzwoliłem. Na przykład myszy. I, w pewnym sensie, waszą trójkę. Teraz czwórkę. Was, podróżników w czasie.
– Patrzcie, jaki zadowolony – wycedził Bochen. – Aż się trzęsie z przejęcia. Po przyglądaniu się wam z oddali przez lata w końcu może was osobiście poznać.
– Trzęsie się? – powtórzył Ram ironicznie.
– To subtelne wibracje, ale dzięki masce są tak wyraźne, jak taniec.
Umbo nie rozumiał, dlaczego obecność dwóch Riggów tak go złości. Czy to powrót starej zazdrości? Czy jest tak niemądry, żeby się obrazić, bo sam nie ma swojej kopii? Czy się boi, bo teraz istnieje dwóch podróżników w czasie potężniejszych od niego i Param?
– Cieszę się, że zdołałeś cofnąć zabójstwo – powiedział. – Co teraz?
Rigg wzruszył ramionami, ale Noxon odparł:
– Wiem, co mi chodzi po głowie, ale nie mogę podjąć decyzji za nikogo.
Umbo pomyślał: „Riggowie już się różnią”. A może po prostu Rigg, który zabił Rama Odyna, zamilkł, wstrząśnięty uwagą o cofnięciu jego zabójstwa, podczas gdy dla Noxona, który nie miał takich wspomnień, znaczyła ona o wiele mniej.
– No to... powiecie nam? – spytał Oliwienko.
– Wracamy na Ziemię – oznajmił Noxon. – Jeśli zdołam wykształcić zdolności, które są do tego potrzebne. Bo nie wracam z Gośćmi. Cofnę się o jedenaście tysięcy lat i załapię na dwudziesty statek, który cofa się w czasie.
– Jeżeli istnieje – zauważył Umbo. – To tylko matematyczna teoria.
– Jeśli Noxon nauczy się odwracać swój kierunek podróży w czasie – wtrącił Rigg – żeby móc się przyczepić do czegoś zmierzającego w przeciwną stronę.
– Param i ja możemy sobie pomóc w opanowaniu nowych umiejętności – powiedział Noxon.
– Nikomu nie mogę pomóc – odezwała się Param. – Mój talent jest gorszy od braku talentu.
– Nieprawda – zaprotestował Oliwienko.
– Matka zadbała o to, żeby wrogowie dowiedzieli się, jak powoli się poruszam – wyjaśniła Param – i jak bardzo jestem wtedy bezbronna. Myszy także o tym wiedzą. Kiedyś zawsze potrafiłam uciec od ludzi, którzy mnie dręczyli, ale teraz ten talent tylko

odbiera mi siły.

– Właśnie tak możemy sobie pomóc – odparł Noxon. – Muszę się nauczyć ciąć czas, regulować rytm i długość każdego odcinka. Tobie weszło to w krew. Nie jestem tak zdolny jak Umbo. On nauczył się skakać beze mnie szybciej niż ja bez niego.

– A czego możesz mnie nauczyć?

– Jak robić to, co umiesz, w drugim kierunku.

Param pokręciła głową.

– Skaczę w czasie, nie zmieniam kierunków.

– O to mi chodzi. A gdybyś, zniknąwszy, potrafiła ciąć czas wstecz? Kiedy Umbo i ja... i Rigg... kiedy skaczemy w czasie, omijamy wszystko między jednym a drugim punktem. Potrafię... potrafimy, ja i Rigg, dostrzec ścieżki, a dzięki maskom postrzegamy je jako ludzi w ruchu. Ciągących się wstecz w czasie. Ale zawsze poruszają się do przodu. Dlatego kiedy się do nich przyczepiam, przyczepiam się do kierunku, w którym zmierzają. Muszę się dowiedzieć, jak poruszać się wstecz. Jak przesuwać się do tyłu małymi odcinkami, a ty musisz się nauczyć tego samego. Mam nadzieję, że nawzajem sobie pomożemy.

Param znowu pokręciła głową.

– Ja tak nie potrafię.

– Wiemy. Na tym właśnie polega nauka. Teraz nie umiesz, kiedyś, być może, jeśli będziesz pracować, to się zmieni.

– A co ty będziesz robić, kiedy Noxon i Param zajmą się robieniem nowych niemożliwych rzeczy? – spytał Oliwienko Rigga.

– Zamierzam obejść wszystkie istniejące światy i zobaczyć, co się w nich znajduje. Widzieliśmy już murchę Rama, Vadesha, Odyna i Lara. Zostało piętnaście.

– A potem?

– Potem będę musiał ustalić, co się wydarzy, jeśli zburzymy Mur.

Bochen roześmiał się cicho.

– Już widzę, jak armia generała Obywatela i Sessamidów usiłuje walczyć z myszami ze świata Odyna.

– Ja zaś widzę – dodał Oliwienko – jak mieszkańcy świata Rama rozpierzchają się po świecie Vadesha i zarażają się maskami. Nie tymi eleganckimi, które masz ty i Riggowie. Tymi pierwotnymi, niszczącymi, drapieżnymi.

– Oto argument przeciwko zburzeniu Muru wokół murchii Vadesha – powiedziała Param.

– Choć oczywiście nam wydajecie się śliczni niczym polne kwiatuszki – dodał Umbo.

– Jestem o wiele ładniejszy od Rigga i Noxona – oznajmił Bochen – ale moja maska miała czas urosnąć, żeby dopasować się do mojej twarzy.

– Co nie musi gwarantować urody – mruknął Oliwienko z uśmiechem.

– Więc zostałeś mianowany sędzią światów? – spytał Umbo Rigg.

– Niczego nie zamierzam osądzać – odparł Rigg. – Dowiem się, ile mogę, a potem znowu porozmawiamy.

– A mówiąc „my”, masz na myśli siebie i Noxona? – poinformował się Umbo.

– Znowu się zaczyna – wymamrotała Param.

– Mam na myśli siebie, ciebie, Bochna, Oliwienkę i Param wraz z radami zbędnych i pokładowych komputerów – wyjaśnił Rigg. – Choć nie musisz przychodzić na zebranie.

– A jakie plany masz wobec mnie? – rzucił Umbo.

Bochen uniósł rękę.

– Nie odpowiadaj mu. Jeśli coś mu podsuniesz, obrazi się, że chcesz mu coś narzucić. Jeśli nie, strzeli focha, że nie uważasz go za przydatnego.

To zabolalo Umba, zwłaszcza gdy po chwili zrozumiał, że dokładnie tak zareagowałyby na wszelkie propozycje Rigga.

– To ja mam jakieś pożyteczne zajęcie dla Umba – dodał Bochen. – Pora, żebym wrócił do domu i pokazał Lejce, kim się stałem. Niech zdecyduje, co sądzi o mojej masce i czy nadal uważa mnie za człowieka, którego poślubiła.

– Co ja mam z tym wspólnego? – rzucił Umbo. Nie spodobała mu się uraza brzmiąca w jego własnym głosie.

– Jeśli pójdziesz ze mną, dasz jej słowo, że pod tą maską naprawdę kryję się ja – wyjaśnił Bochen. – Pokażesz jej, że mnie akceptujesz, i samą swoją obecnością zaświadczysz, że nie odszedłem i nie zostawiłem ciebie i Rigga. Bo gdybym wrócił bez was, na pewno by mi to zarzuciła.

– Nie chodzi tylko o twoją żonę – odezwała się Param. – Co pomyślą o tobie mieszkańcy twojego miasteczka?

– Będą mnie traktować tak, jak ocalałych z pożarów ludzi, którzy muszą żyć pokryci strasznymi bliznami. Przez jakiś czas będą na mój widok uciekać z krzykiem, ale potem, ponieważ jestem od nich większy i stłukę na kwaśne jabłko każdego, komu strzeli do łba wypędzi mnie z miasta, przyzwyczajają się do mnie.

– Czyli zamierzasz tam zostać... – powiedziała Param.

– Rigg i Umbo mnie już nie potrzebują... Jeśli właściwie kiedykolwiek mnie potrzebowali.

– Tak – odezwali się jednocześnie Rigg i Noxon.

– Ale nawet jeśli nie potrzebujemy cię przy tym konkretnym zadaniu – dodał Noxon – to nie znaczy, że w ogóle nie.

– Mimo że nikt nie wie, do czego konkretnie mógłbym się przydać... – mruknął Umbo.

– Już ci wyjaśniłem, do czego mi się przydasz. I nie tylko do tego – oznajmił Bochen.

– Chciałbym, żebyś mnie przeniósł w czasie o kilka dni po moim odejściu. Staruszka nie staje się młodsza. A jeśli nie doczekaliśmy się potomków z powodu jakiejś mojej usterki, to może maska mnie uleczyła. Jeśli istnieje szansa na posiadanie dzieci, to nie

chcę zmarnować ani chwili.

– Aleś ty praktyczny – zauważył Oliwienko.

– A jaki romantyczny... – mruknęła Param.

– Romantyzm jest dla kobiet, którym nie kończy się okres płodności – odparł Bochen z godnością. – Lejka udaje, że jej to nie obchodzi, ale bezdzietność ją zabija. Może nie jestem już ładny, ale ona tak... i może zamknąć oczy.

Umbo uświadomił sobie, że choć sam nigdy nie uważał Lejki za ładną, nie oznacza to, że dla Bochna nie może być ona atrakcyjna. I, co nietypowe dla niego, zrozumiał to przed rzuceniem uwagi, której Bochen mógłby mu nigdy nie wybaczyć.

– A ty, Param? – spytał Oliwienko.

– Co „ja”? Słyszałeś, jakie plany mają Rigg i Noxon.

– Może im się udać albo nie – odparł Oliwienko. – Kiedy Noxon uda się na Ziemię, ty zostaniesz tutaj. Co wtedy?

Param lekko wzruszyła ramionami.

– Jestem otwarta na propozycje.

– Moim zdaniem musisz zebrać armię, pokonać generała Obywatela i zdetronizować matkę.

– Po co? Żeby udowodnić, że nie potrafię jej zastąpić?

– Może znajdziesz lepszy sposób rządów. Czytałaś opowieści o Ziemi, o wszystkich wielkich epokach świata Odyna. Istnieją inne drogi niż okrucieństwa Sessamidów i szaleństwo Ludowej Rady Rewolucyjnej.

– Matka dopilnowała, żebym nie potrafiła zarządzać nawet domem, nie mówiąc już o królestwie. Nie mam żadnych umiejętności.

– I co z tego? Nie chciałabyś chyba uczyć się metod rządzenia od matki? Wymyśl inne.

Param uniosła rękę do twarzy.

– Chyba wszyscy widzieliśmy, jak dobrze radzę sobie z problemami.

– Moim zdaniem wszyscy dojrzeliliśmy. Nie jesteśmy już tacy jak kiedyś. A to jeszcze nie koniec. Będziesz potrzebowała generała swoich wojsk.

– I kto nim będzie? – spytał Bochen.

– Ty – zaproponował Umbo.

Bochen pokręcił głową.

– Nikt nie pójdzie do boju za kimś z takim pyskiem. I nawet gdybym wyglądał jak dawniej, w najlepszym razie nadaję się na sierżanta. Dowódcę dwudziestu czy stu żołnierzy, nie dziesięciu tysięcy. I zanim Umbo zażartuje z mojego braku ambicji, tu nie chodzi tylko o skalę. Dowodzenie wielkim wojskiem to kwestia planowania i logistyki. Ja wiem, jak poprowadzić do walki garstkę ludzi. I jak wywlekać ich z burdeli, kiedy akurat nie ma wojny. – Tu Bochen spojrzał na Umba, jakby ten z jakiegoś powodu wydał mu się najbardziej logicznym kandydatem do tej funkcji.

– Przynajmniej wiesz, na czym polega to zadanie – powiedział Umbo. – Ja nie potrafiłbym nawet podnieść oburęcznego miecza ani wygłosić zagrzewającego do walki przemówienia.

– Mógłbyś się tego nauczyć – odezwał się Oliwienko.

– Nie mam do tego talentu ani chęci. Nie chcę dowodzić ludźmi.

– I nie chcesz być posłuszny dowódcom – zauważył Bochen wesoło.

Umbo pokręcił głową i odwrócił wzrok. Właśnie dlatego nie mógł nawet sobie wyobrazić, że mógłby dowodzić ludźmi – ci, którzy go znali najlepiej, nie mieli dla niego żadnego szacunku.

– Powiem wam, co zamierzam – oznajmił Oliwienko. – Udam się gdzieś, gdzie jest biblioteka – do świata Odyna, a może na statek w murchii Vadesha czy Lara – i będę studiować historię wojskowości do ostatniego tygodnia przed końcem świata. Wtedy jedno z was, którzy manipulujecie czasem, przybędzie po mnie, a jeśli nie będę jeszcze gotów poprowadzić armii, cofniecie mnie w czasie, żebym przez kilka kolejnych lat pracował na innym statku.

– Dlaczego nie na tym samym? – spytał Noxon. – Wtedy mógłbyś prowadzić bardzo interesujące rozmowy z sobą samym.

– Skoro nic nie wiem, nie interesuje mnie rozmowa ze mną – odparł Oliwienko. – Bochen mógłby mi przedstawić sprawy z perspektywy prostego żołnierza. To by mi pomogło. Ale nawet gdybym miał powtarzać te dwa lata jeszcze dziesięć razy, w końcu nadejdzie chwila, kiedy stanę się dla ciebie przydatny, Param. Jeśli nie jako generał, to jako sędzia innych generałów. I doradca. Stanę się jak najlepszym uczonym i filozofem, a wtedy ofiaruję ci moje usługi.

Umbo zadrzał z przejęcia. Oliwienko mówił z prostotą, ale Umbo wyczuwał ogień kryjący się za jego propozycją i widział, że Param wyprostowała się, słuchając jego słów. Tak jakby uczyniły ją królową.

– Nigdy nie będę godna takich usług – powiedziała.

– Ale tylko ty możesz zastąpić swoją matkę i generała Obywatela – odparł Oliwienko. – Jeśli przynajmniej nie spróbujesz, ich tyrania będzie trwała. Lub też murchię Rama ogarnie chaos.

– To dobry plan – powiedział Rigg. – Nie wiem, co znajdę w innych murchiach. Możliwe, że cywilizacja świata Rama jest najbardziej niebezpieczna i agresywna. Jeśli zdołasz nad nią zapanować, Param, to świat bez Murów stanie się bezpieczny. A może istnieją jeszcze groźniejsze miejsca i będziemy potrzebować walecznych armii Sessamidów, żeby powstrzymać ambicje bardziej drapieżnych ludów.

– To dla mnie za wiele – szepnęła Param.

– Jeśli ja stanę się wojskowym dowódcą, czy ty nie staniesz się królową nie tylko z tytułu? – rzucił Oliwienko.

– Nie wiemy, czy staniesz się tym, kim zamierzasz – odparła Param.

– Wiem, że mogę znaczyć o wiele więcej niż kiedyś, gdy jako naukowiec służyłem twojemu ojcu w Wielkiej Bibliotece. O wiele więcej niż miejski strażnik, którym byłem, gdy wyruszyłem w tę podróż. Rigg i Bochen ze swoimi maskami, wszyscy wy, chronomanci, nie jesteście jedynymi, którzy mogą się uczyć, zmieniać i stawać kimś użytecznym – powiedział Oliwienko cicho, patrząc skupionym wzrokiem na Param. – Sam fakt, że wątpisz w siebie, pani, dowodzi tego, że wiele się nauczyłaś i bardzo się rozwinęłaś.

Param wybuchnęła płaczem i zasłoniła twarz. Ale nie znikła.

– Dziękuję, że z nami zostałaś – odezwał się Bochen cicho.

– Wszyscy musimy wykonać tak wielką pracę... – powiedział Noxon.

„Z wyjątkiem mnie – pomyślał Umbo. – Nikt nie uwzględnia mnie w swoich planach. No, oprócz Bochna, który przydzielił mi rolę świadka. Zachowujesz się niesprawiedliwie – skarcił się zaraz. – Oni nie mają odwagi znaleźć ci zajęcia, bo jesteś tak dziecinny i drażliwy, że na pewno się obrazisz”. A coś – coś dziecinnego i drażliwego – nadal mu podszeptywało: „Nie znajdują dla mnie zajęcia, bo teraz, kiedy Rigg ma maskę i kopie siebie, przestali mnie potrzebować”.

– Powinienem mieć twarząmaskę – wymamrotał.

Wszyscy zamilkli.

– Może dzięki niej widziałbym ścieżki jak Rigg – dodał.

– Mamy już dwa razy więcej tropicieli, niż nam potrzeba – odezwał się Noxon. – Dlatego odchodzę z tego miasta.

– Chyba z tej planety – wtrącił Oliwienko.

– Potrzebujemy jak najwięcej tropicieli – sprzeciwił się Umbo. – A nawet gdybym nie widział ścieżek, dzięki masce byłbym lepszy niż teraz.

– Zakładasz, że masz tak silną wolę, żeby zapanować nad maską? – spytał Bochen.

– Umbo – powiedziała Param cicho, opuszczając ręce. – Jak mogłabym cię poślubić, gdybyś miał twarząmaskę? Ludzie nigdy nie zgodzą się na króla, który tak by wyglądał.

Rozdział 3

POD NAMIOTEM

Noxon i Param rozpoczęli trening w najbardziej oczywisty sposób: Param usiłowała przekazać Noxonowi swoje umiejętności, ucząc go tak, jak kiedyś ją uczył Ogrodnik. W rezultacie przebywali z dala od innych po kilka godzin z rzędu. Umbo początkowo obserwował ich z daleka, usiłując nie myśleć o tym, co usłyszał od Param. Czy tak wyglądają królewskie oświadczenia? A jeśli, to dlaczego teraz dziewczyna w ogóle nie zwracała na niego uwagi? Wolałby nie myśleć tyle o niej i być jak Rigg – jak Noxon – który w razie potrzeby okazywał nieskończoną cierpliwość.

Rigg nauczył się tego dzięki codziennemu szkoleniu przez ojca – zbędnego, zwanego Ramexem – w leśnej głuszy murchii Rama. Umiał słuchać, skupić się na tym, co słyszy, analizować to i przetwarzać. „Ja też potrafię milczeć... czasami – pomyślał Umbo. – Nie mówię wszystkiego, co mi przychodzi do głowy. I na tym polega różnica – zrozumiał. – Rigg nauczył się skupiać na słowach Ramexa i poświęcił się zapamiętywaniu i analizie. Natomiast ja, milcząc, myślę o tym, czego postanowiłem nie mówić. Nie! Duszę w sobie żale, które wkrótce wybuchną. Czy taki właśnie jestem? Nic dziwnego, że wszyscy chcą mieć Rigga za przywódcę – on rozmyśla o ideałach, ja tylko o sobie. Jak ktokolwiek może mnie szanować? Nie mam nawet ideałów godnych szacunku”.

– Zastanawiam się, czy marzysz o księżniczce – odezwał się Oliwienko – czy przeklinasz Noxona za to, że spędza z nią tak dużo czasu.

Umbo natychmiast zapłonął wściekłością. Ale, usiłując naśladować Rigga, stłumił ten pierwszy impuls.

– Myślałem, że chciałbym mieć cierpliwość Rigga.

– Ta spokojna odpowiedź to krok w dobrym kierunku.

– Podpuszczałeś mnie?

– Tak. Bo to chyba jedyny sposób, żeby zwrócić twoją uwagę.

„Raniąc moje uczucia?” – pomyślał Umbo, ale głośno powiedział:

– I udało ci się.

– Ona cię szczerze lubi. Udało jej się przewyciężyć nieco swój snobizm i dostrzegła w tobie przyzwoitego mężczyznę, który stara się stać jeszcze lepszy.

– Uważasz mnie za chłopca – odparł Umbo – więc kiedy nazywasz mnie mężczyzną, brzmi to jak kpina. – Ale powiedział to łagodnie, bo tak wyglądała prawda.

– Mówię o tym, co Param o tobie myśli – wyjaśnił Oliwienko. – Bez względu na swoje uczucia wyjdzie za mąż zgodnie z interesami kraju.

– Dziękuję, że mi to mówisz – powiedział Umbo. Nie dodał: „Za żadną cenę nie pozwól mi się łudzić, że Param mogłaby się we mnie zakochać”.

– Jeśli chcesz ją poślubić, musisz nie tylko ją rozumieć, ale także myśleć tak samo jak ona. Potrzeby królestwa są ważniejsze od twoich.

Tym razem Umbo nie zdołał zdusić nutki urazy.

– W jaki sposób małżeństwo ze mną mogłoby służyć dobru królestwa?

– Nie, nie odpowiem, bo sam to już wiesz.

– A ja ci mówię, że nie wiem.

– A ja ci mówię, że masz wystarczająco dużo informacji, żeby samemu wyciągnąć wnioski.

– A ja ci mówię, że nie potrzebuję nauczyciela.

– Oj, chyba potrzebujesz. A ponieważ Bochen już sobie zaklepał rolę twojego ojca, tylko jako nauczyciel mogę ci się na coś przydać. A może uważasz, że ty jeden nie musisz się niczego nauczyć?

– Przeciwnie. Wiem tak mało, że nie ma sensu mnie uczyć.

– Nikt nie zdobędzie większej wiedzy, niż można w jedno życie, a ty już teraz i tak wiesz więcej, niż sobie uświadamiasz. Udowodnij, że się mylę. Odpowiedz na moje pytanie, a jeśli ci się nie uda, będę wiedział, że słusznie uważasz się za beznadziejnie tępego wsioka.

Umbo wiedział, że Oliwienko umyślnie wystawia go na próbę choćby tylko po to, żeby udowodnić mu błąd. Dlatego właściwą odpowiedzią były brak odpowiedzi i odejście. Właściwą odpowiedzią? A dlaczego coś takiego miałoby być właściwe? Umbo wyobraził sobie, jak to robi, i po jakichś dziesięciu krokach uświadamia sobie, że odrzuciwszy propozycję Oliwienki, skrzywdził tylko siebie. Duma nie pozwoliłaby mu wrócić i jednak poprosić o pomoc. Lecz tym razem Umbo nie odszedł w chwili, gdy uświadomił sobie, co powinien zrobić, żeby udowodnić, że nie da się nikomu manipulować ani kontrolować. Tym razem zaczekał na tyle, żeby zrozumieć, dlaczego powinien zostać. Doszedł do tego, jakie wyzwanie rzuca mu Oliwienko: zgadnąć, w jaki sposób małżeństwo Param z wiejskim chłopcem miałoby posłużyć interesom królestwa.

– Może, poślubiając mnie, udowodniłaby, że chce zadbać o zwykłych ludzi – powiedział.

– To byłby bardzo dobry przekaz, który zapewniłby jej lojalność społeczeństwa, ale lepiej by było, gdyby Sessamidzi myśleli, że kieruje się czym innym.

– Dlaczego?

– Nie, ty mi to powiedz.

– Doskonała metoda uczenia: zmuszanie mnie do odpowiedzi na własne pytania. W ten sposób nie musisz nic wiedzieć.

– Czekam, aż zaczniesz myśleć o politycznej sytuacji Param zamiast o własnej nauce.

Ponieważ Oliwienko popychał go do analizowania sytuacji bez zwracania uwagi na własne uczucia – i ponieważ w przeciwieństwie do Umba dokładnie tak postąpiłby Rigg – Umbo zdusił buntowniczą odpowiedź, która pchała mu się na usta, i przemyślał tę nową kwestię.

– Wielkie rodziny nie chcą, żeby lud ją kochał.

– Blisko – odparł Oliwienko. – Nie przeszkadzałyby im jego miłość do niej. Widziałyby problem gdzie indziej. Chodziłoby o to, co Param zamierzałyby z nią zrobić.

Teraz Umbo zrozumiał.

– Boją się, że Param chce poparcia ludu, by uniezależnić się od wielkich rodzin. – I zaraz przyszła mu do głowy następna myśl: – Wielkie rody chcą, żeby Param ich potrzebowała. Wtedy nie musiałyby się bać królewskiej władzy.

– Zacząłeś myśleć bardziej jak królewski doradca – pochwalił Oliwienko. – Wracając do pierwszego pytania...

Umbo musiał się przez chwilę zastanowić. A, tak. Dlaczego Param musi go poślubić dla dobra królestwa?

– Jestem biednym wieśniakiem z odległej prowincji. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Nie jesteś nikim innym? – spytał Oliwienko.

– Jeszcze ci mało tego nieszczęścia?

– Pytałem, dlaczego Param musi cię poślubić dla dobra królestwa. Nie: dlaczego ten pomysł powinien ją odstręczać.

Więc to o to chodzi?

– Dobrze – powiedział Umbo. – Kim jestem oprócz tego, że parweniuszem i...

„Nie – pomyślał. – Właśnie taki pogardliwy stosunek do siebie chciał ze mnie wyplenić Oliwienko. Kim jestem – pomijając to, że jestem biedny, nieuczony i irytujący?”

– Tylko ja – oprócz jej brata Rigga – potrafię manipulować czasem – wyznał nieśmiało.

– W końcu to do ciebie dotarło – rzucił Oliwienko z taką ironią, że Umbo zrozumiał, jak bardzo był to oczywisty wniosek. – Dlaczego miałyby cię poślubić z tego powodu?

– Bo jako jedyny chronomanta nie pochodzę z rodziny królewskiej. I przewyższam ją umiejętnościami. Choć Rigga już nie.

– O tak, jej brata Rigga z maską na twarzy tak brzydką i dziwną, że nie mogłaby go zaprezentować publicznie, bo ludzie by się go bali. To ty umiesz manipulować czasem

i nadajesz się do pokazania. A jeśli nie zauważyłeś – a najwyraźniej nie zauważyłeś – to jesteś dość przystojnym młodzieńcem, zwłaszcza teraz, kiedy urosłeś, a gdy się nie obrażasz, potrafisz być przeuroczy. Może nawet charyzmatyczny. Ludzie mogliby się identyfikować z przystojnym młodzieńcem, który swobodnie porusza się w czasie i przestrzeni.

Po raz pierwszy Umbo uświadomił sobie, że choć to małe podrózne towarzystwo może nie darzyć go wielkim szacunkiem, dla obcych byłby prawdziwie oszałamiający.

– A, wreszcie to do ciebie dotarło – rzucił Oliwienko z przekąsem. – Chwali ci się, że nigdy wcześniej o tym nie myślałeś. Ale niepokoi mnie, że teraz ta myśl tak ci się spodobała.

– Przecież nic nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Widziałem, jak niechęć i zniecierpliwienie na twojej twarzy zmieniają się w błogie zadowolenie. Nie muszę nosić maski, żeby dostrzec taką przemianę.

Umbo zastanowił się przez chwilę, czy Oliwienko zazdrości Bochnowi wzmoczonych przez maskę zdolności. Ale po drodze jakoś skupił się na analizowaniu sytuacji Param.

– Jeśli Param zostałaaby Królową w Namiocie – zaczął – i pojawiłby się ktoś obdarzony dużym talentem do manipulowania czasem... czyli ja... ten ktoś mógłby się stać powodem rozłamu w królestwie. Jej wrogowie mogliby skupić się wokół mnie, udzielić mi swojego poparcia. – A potem, przypomniawszy sobie, kim prawdopodobnie byliby ci wrogowie i co sądziliby o takim wieśniaku jak on, dodał: – A raczej próbowaliby nade mną zapanować i mnie wykorzystać.

– Albo to i to – zgodził się Oliwienko. – Ludzie mogliby się gromadzić wokół ciebie z różnych powodów, tak jak zawsze.

– Ale żaden z tych motywów nie uczyniłby z nich przyjaciół Sessamidów.

– Dodajmy do tego jeszcze świadomość Param, jak łatwo wzbudzasz w sobie do niej niechęć, zwłaszcza że w przeszłości źle cię traktowała, i powinno stać się jasne, że aby zapobiec przekształceniu się ciebie w zarzewie niezgody w królestwie, musi cię albo poślubić, albo...

– ...zabić – dokończył Umbo. – Chyba powinienem się cieszyć, że wybrała małżeństwo.

– To nie znaczy, że cię nie lubi. Powiedziałem, że jesteś przystojny i sympatyczny, a ona to widzi. Ponadto byłeś jej paziem, zakochanym w niej szczenięcą miłością...

– Szybko zgasiła te uczucia.

– Nieprawda. Nadal jest ci bliska. Ale teraz znasz ją na tyle dobrze, że przestała być dla ciebie piękną królową, do której wzdychałeś. Stała się kobietą, kobietą, która już nie traktuje cię źle...

– Chce zneutralizować zagrożenie, jakim jestem dla jej królestwa.

– Nie. To zły wniosek. Zmiana jej uczuć do ciebie nastąpiła wcześniej, kiedy nikt nie

przewidywał jej powrotu do świata Rama. Kiedy zakładała, że już zawsze będzie z nami podróżować.

– To w tobie się zakochała.

– To było młodsze zauroczenie. Rozpoznałem je i pomogłem jej przejść przez ten etap.

Umbo poczuł prawdziwość jego słów. A ponieważ Oliwienko kazał mu myśleć o sprawach politycznych królestwa, zauważył:

– Mogłeś to wykorzystać. Mogłeś ją od siebie uzależnić.

– Na jakiś czas. Na tyle, by mnie poślubiła, choć tak jak ty pochodzę z gminu. Wiem więcej o dworskich manierach i mowie, ale bez talentu do manipulowania czasem stałbym się dla niej ciężarem. A kiedy by to sobie uświadomiła, albo byłaby nieszczęśliwa, albo wyrzuciłaby mnie. Lub zginałbym. Niekoniecznie z jej ręki czy z jej rozkazu. Wielu dworzan rozumiałoby jej trudną sytuację i moją bezużyteczność, więc pomogłoby swojej królowej, dyskretnie uśmiercając jej męża. Lub przyłapując go na jakimś akcie niewierności.

– Przecież ty byś nigdy...

– Nieważne, czy byłbym winny. Brak wiarygodności nie szkodzi pomówieniu, jeśli uwierzy w nie odpowiednio wiele osób.

Umbo pomyślał o sytuacji swojej i Oliwienki.

– Ale jeśli próbowaliby pozbyć się ciebie, choć znasz dworskie maniery i mowę...

– Szybko się ich nauczysz. A nawet jeśli ktoś ujrzy w tobie problem lub przeszkodę, nie tak łatwo będzie się ciebie pozbyć.

– Bo mogę cofnąć się w czasie i ostrzec samego siebie.

– Albo cofnąć się w czasie i dźgnąć zabójcę w plecy.

– No tak, ale wtedy pojawiłaby się druga wersja mnie. Nasz dawny sposób ostrzegania bez podróżowania w czasie miał tę zaletę, że nie tworzył kopii.

Oliwienko skinął głową.

– Byłoby niedobrze dla królestwa, gdyby za każdym zamachem na ciebie przybywało Umbów.

– Może wtedy przestaliby próbować.

– Ale co zrobiłbyś z kopiami? Co zrobił Ram Odyn, kiedy się dowiedział, że powielił się w osiemnastu egzemplarzach?

Umbo zadrzał na myśl o swoich dwóch martwych kopiach, które Odynex zabił podczas jego pierwszej wizyty na zakopanym statku.

– Wiem, że to ma sens, ale nie wiem, czy...

– Wystarczy, że jedna z twoich kopii uzna, że to ona jest oryginalnym Umbem, a pozostałe są zbędne. Ale rozumiesz, do czego zmierzam. Jako twoja małżonka Param będzie miała cię na oku. Nie staniesz się dla niej zagrożeniem.

– Za to mój niezwykły urok osobisty będzie prowokować ludzi do zamachów na

mnie.

– Myślisz, że na nią nie będzie zamachów? Gdy gra idzie o władzę, zawsze chodzi o życie lub śmierć.

– Kolejny powód, żeby mnie poślubić: byłbym tak blisko, żeby ocalić ją przed zabójcami i zdrajcami.

– Tak.

– I tak blisko, żeby ją skrzywdzić, gdybym zechciał. Więc najwyraźniej mi ufa.

– Możesz ją skrzywdzić bez względu na to, gdzie jesteś. Tak, ona ci ufa. A przynajmniej ma nadzieję, że może ci ufać, co jest odpowiednikiem zaufania u ludzi obdarzonych władzą. Tak wiele czynników może pchnąć do zdrady... To samotne życie. Param chce je z tobą dzielić. Częściowo dla dobra królestwa. A może głównie. Ale chyba uważa, że to małżeństwo okaże się znośne. – Oliwienko powiedział to w taki sposób, jakby sądził, że dla Param to małżeństwo będzie bardziej niż znośne.

– Nadal jestem w niej zakochany tą szczenięcą miłością – przyznał Umbo. – Lepiej ją ukrywam i tyle.

– Nie ukrywasz jej aż tak dobrze. Zamaskowanie jej pod postacią niechęci zwiódło tylko dwie osoby: Param i ciebie.

Właśnie wtedy Umbo uświadomił sobie po raz pierwszy, że może jego niechęć nie jest wymierzona w Rigga. Pojawiła się, bo dopóki uważał się nad sobą, że to nie jemu przypadła rola przywódcy, nie musiał się uważać nad sobą, ponieważ Param nigdy go nie pokocha.

– Chciałbym cofnąć się w czasie i wyjaśnić sobie, dlaczego ciągle czuję taką złość – powiedział.

– Czybyś sobie uwierzył? A nawet jeśli, to czy przestałbyś ją czuć?

– Skoro nie zrobiłbym tego wtedy, to czy zdołam teraz?

– Tak, bo poprosiła, żebyś się z nią ożenił, idioto.

– To będzie bardzo skomplikowane życie – westchnął Umbo.

– Jak to? – spytał Oliwienko.

– Życie małżonka Królowej w Namiocie...

– Tak? Więc się z nią ożenisz?

– No, przecież... Sama chciała...

– Wczoraj. A czy od tamtej chwili zamieniłeś z nią choć słowo?

– No nie... Nie potrafiłem...

– Ona proponuje ci małżeństwo, a ty nie odpowiedziałeś jej nawet na drugi dzień.

– Ale przecież mnie nie poprosiła. Po prostu to oznajmiła. Jakby to był fakt.

– A co miała zrobić? Uklęknąć i błagać, żebyś się zgodził? Dać ci klucz do swojego domu? Rozpiąć symboliczny namiot nad waszymi głowami? To tradycja. Ale powiedz, co powinna zrobić sessamidzka księżniczka, prosząc takiego wieśniaka jak ty, żeby został jej mężem? Poprosiła, a ty jej nie odpowiedziałeś...

– Więc całe to twoje kazanie...
– Raczej pedagogiczny wywód...
– ...miało mnie sprowokować do odpowiedzi?
– Zdecydowanie nie. Gdybyś był zbyt głupi, żeby to zrozumieć, poszedłbym do niej i błagał, żeby wycofała propozycję.

– I co potem? Zabiłbyś mnie, żeby usunąć mnie z drogi?
– Nie zadawaj pytań, na które można odpowiedzieć tylko w jeden sposób, niekoniecznie prawdziwy. To obudzi w tobie nieufność do przyjaciół. I to właśnie było kazanie, jeśli chcesz wiedzieć.

– Żartowałem.

– Ale ponieważ pytanie już padło, choćbym nie wiadomo jak żarliwie zapewniał cię, że nigdy bym cię nie zabił, a ona nigdy by mnie o to nie poprosiła, już nigdy nie przestaniesz się nad tym zastanawiać. Zresztą zastanawiałbyś się, nawet gdybym nie odpowiedział. Po co robić sobie coś tak głupiego?

Umbo zrozumiał, do czego zmierza Oliwienko. Poczł to, bo to pytanie już zaczęło go dręczyć.

– Nie powiedziałaś, że byś mnie nie zabił.

– I nigdy nie powiem czegoś tak głupiego – odparł Oliwienko. – Bo gdybyś stanowił dla niej prawdziwe niebezpieczeństwo, zabiłbym cię przy pierwszej okazji. Zatem gdybym zaprzeczył, tobym skłamał. A ty byś to wyczuł. Ale powiadam ci, Umbo: zasłużyłaś na moje zaufanie... i jej. Kiedy była najbardziej nieznośna, nigdy nie cofnąłeś się w czasie, żeby zrobić jej krzywdę. W przeciwieństwie do Rigga nigdy nie zrobiłaś niczego, co należałoby cofnąć. Od samego początku waszej znajomości miałeś możliwości, żeby ją skrzywdzić, a ona nieustannie cię prowokowała. Ale nigdy nie podniosłaś na nią ręki i nigdy jej nie opuściłaś. Nawet kiedy sądziłaś, że jest we mnie zakochana, nie użyłaś swojej mocy, żeby nam przeszkodzić.

– Nie mogę sobie przypisywać za to zasług. Rigg cofnąłby się w czasie i mnie powstrzymał.

– Czy mógł to zrobić przed zyskaniem maski? Gdybyś chciał rozpocząć wojnę z Riggim, mógłbyś go bez trudu pokonać, bo jeszcze nie nauczył się cofać w czasie bez twojej pomocy. Byłeś najpotężniejszy z nich, nadal masz większą moc niż Param, ja czy Bochen. Czy kiedykolwiek użyłaś jej, by zrobić nam krzywdę? By zrobić krzywdę komukolwiek? Czy Rigg może powiedzieć to samo o sobie?

– Zrobił, co musiał.

– Ale ty nigdy nie czułaś takiej potrzeby. Bezustannie raniony i zły, nigdy nikogo nie skrzywdziłaś.

– Zrobiłem krzywdę myszom – odparł Umbo, myśląc o tym, jak wraz z Param ostrzegł Gości.

– Żeby uratować mieszkańców Ziemi przed wyginięciem. A w każdym razie tak

sądziłeś. Naprawdę nie uciekniesz przed etykietką osoby godnej zaufania.

Umbo odczuł te słowa jako pochwałę. Zaszczyt. Nie miał pojęcia, że tak bardzo łaknął jawnych oznak szacunku: omal się nie rozpląkał z ulgi i wdzięczności, które go zalały. Żeby się przed nimi obronić, uciekł się do starego sprzymierzeńca – naburmuszenia.

– Nie wiem, czy to dowód mojej uczciwości, czy słabości.

– Wszyscy wiemy, że jesteś dobrym człowiekiem. Wkurzającym, ale dobrym. To moja lekcja na dziś. Właściwie tylko tego musisz się nauczyć przed wyruszeniem z Bochnem.

– A to znaczy, że muszę zrobić tylko jedną rzecz.

– Więc idź ją zrobić.

– Ale powinienem zrobić ją wczoraj...

– Jeśli na tej planecie istnieje jakaś osoba, która nie musi mówić takich rzeczy, to jesteś nią ty, bo nadal możesz ją zrobić wczoraj. Ale na twoim miejscu bym tak nie postąpił.

– Dlaczego?

Oliwienko zakreślił palcem kółko: odwróć sytuację, odpowiedz na własne pytanie.

– Bo wiedziałyby, że przyszło mi to do głowy dopiero po jakimś czasie, a cofnąłem się w czasie tylko dlatego, żeby jej zaoszczędzić zmartwienia, ale to by było nieuczciwe. To ty mi uświadomiłeś, że muszę jej odpowiedzieć, więc powinienem się jej do tego przyznać, jeśli naprawdę mamy wziąć kiedyś ślub.

– Wkrótce nie będziesz mnie potrzebował do odpowiadania na własne pytania – pochwalił go Oliwienko. – Choć zawsze chętnie służę pomocą.

Umbo znalazł Param siedzącą na porośniętym trawą brzegu rzeki. Opierała się o młode drzewko. Rigg znajdował się jakiś metr dalej. Oboje byli markotni. Tylko że to nie Rigg, przypomniał sobie Umbo. To Noxon. Choć i Noxon miał tyle samo wspomnień o ich przyjaźni, co ten, którego nadal nazywali Riggiem.

– Zanim spytasz – odezwał się Noxon – wcale mi nie idzie. Powinienem pozwolić, żeby najpierw nauczyła ciebie. Ale byłbym wściekły, gdybyś od razu wszystko zrozumiał.

Umbo musiał powstrzymać cisnącą mu się na usta odpowiedź. Nawet kilka. Ale pamiętał, że nie przyszedł tu rozmawiać z przyjacielem. Musiał porozmawiać z kobietą, którą kochał, kobietą, która poprosiła, żeby się z nią ożenił, i nie otrzymała jego odpowiedzi, a teraz nawet na niego nie patrzyła. Dlatego zignorował Rigga. Ukłąkł na trawie przed Param, a ponieważ był Umbem, a nie bohaterem wzniosłej historii, trafił na korzeń, wrzasnął z bólu i musiał się podeprzeć, żeby się nie przewrócić. Param nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, a on poczuł nutkę zażenowania i uświadomił sobie, że jeszcze rok temu – tydzień – dzień – obraziłby się na nią za to i

nie zrobiłby tego, po co tu przyszedł.

Ale nie chciał już być tym Umbem. On także miał dwie wersje, tak jak Rigg, ale w jego przypadku tylko jedna z nich mogła być widzialna. Od tej pory postanowił sam decydować, którą z nich pokaże światu. Dlatego przyjął jej uśmiech, bo nie dostrzegł w nim kpiny. To naprawdę śmieszne, że akurat wtedy, kiedy starał się być poważny, walnął kolanem w korzeń i wszystko popsuł. Ale mógł wszystko popsuć tylko wtedy, gdyby tak postanowił. Zdjął przez głowę koszulę, strzepnął ją i unosił przed sobą.

– Param, kocham cię od pierwszego wejrzenia. Początkowo kochałem księżniczkę, myśl o księżniczce, ale to było dawno. Teraz kocham ciebie taką, jaką znam, i taką chcę cię poślubić, jeśli mnie zechcesz.

Podał jej koszulę. Param ujęła materiał i uniosła go nad głowę, czyniąc z niego namiot. Umbo pochylił się ku niej i częścią koszuli osłonił własną głowę, i tak stanęli we dwójkę, twarzą w twarz, pod małym namiotem. Pocałował ją lekko w policzek. Ona równie lekko musnęła wargami jego usta. Potem zdjęła koszulę z głowy i mu ją oddała.

– Kiedy będziesz się oświadczał następnym razem, mógłbyś przynieść ładny szal albo chociaż ręcznik zamiast brudnej koszuli.

– Jeśli nie podoba ci się mój zapach, ten interes z małżeństwem się nie uda.

– Więc to nie tylko oświadczyń, ale pierwszy test mojej miłości?

Powiedziała słowo „miłość”. Umbo miał ochotę zatańczyć z radości, ale tylko włożył koszulę.

– Przynajmniej nie musisz jej nosić – odparł, wstając. – Macie jeszcze pracę, a ja muszę odprowadzić Bochna do Lejki.

Odszedł już parę kroków, kiedy Param rzuciła za nim:

– Wracaj szybko do domu.

Zatrzymał się i obejrzał na nią przez ramię.

– O, wróć, zanim zauważysz, że mnie nie było.

– Wiem – powiedziała z uśmiechem.

Potem przepędziła go machnięciem ręki i przysunęła się nieco do Noxona. Umbo odszedł, słuchając, jak oboje usiłują się nawzajem nauczyć swoich niewyuczalnych zdolności. Tak to bywa w królewskich małżeństwach – sprawy prywatne nie mogą górować nad obowiązkami.

Rozdział 4

POWRÓT DO DOMU

Lejka wiedziała od początku, że Bochen jak wariat wyruszy z Umbem, żeby ratować Rigga z rąk ludowej bandy półgłówków, a nawet sama go do tego namawiała, ale i tak się wściekła, kiedy to zrobił – i nie siliła się na przesadną uprzejmość, gdy jej mąż wyszedł z domu wraz z tym dziwnym, podróżującym w czasie chłopcem. Dała temu wyraz, zamykając drzwi z dość dużym rozmachem. Niedoczekanie! Nie będzie stała w progu, spoglądając tęsknie za swoim mężczyzną.

Nie mogła zaprzeczyć, że Bochen jest dobrym człowiekiem – częściowo z tego powodu za niego wyszła. W chwilach słabości przyznawała nawet, że go kocha. Żałowała tylko, że nie potrafi jakoś rozumnie dzielić się tą swoją dobrocią. Na przykład mógłby być dobry dla niej, potem dla karczmy, a potem może ewentualnie dla siebie. Natomiast jak dla niej inni ludzie mogliby skisnąć, czekając, aż Bochen coś dla nich poświęci. Ci chłopcy, mili i beznadziejnie naiwni, zasługiwali na to, żeby ich oprąć, obszyć i dać jedzenie na drogę – ale na nic więcej. Tymczasem Bochen od razu ruszył z nimi do O, dał się aresztować i wrócił do domu z Umbem. Czy to mało? Ale Umbo na dodatek oczywiście musiał nauczyć się robić samodzielnie to, co potrafił robić tylko z Riggim – wysyłać wiadomości w przeszłość. A teraz, uzbrojeni w tę wątpliwą broń, Bochen i Umbo uznali, że zdołają się przeciwstawić ludowej radzie wypierdków.

Zamknawszy zatem drzwi z mocą – lecz nimi nie trzaskając, ponieważ po jej trzaśnięciu wymagały zwykle naprawy – Lejka przez pół godziny robiła wszystko zbyt energicznie, co przeraziło garstkę klientów jedzących lub pijących o tak wczesnej porze. Większość z nich przełknęła w pośpiechu to, co miała na talerzu lub w kubku, zapłaciła bez targów i czmychnęła przez wciąż jeszcze całe drzwi.

Gdy w karczmie zrobiło się pusto, Lejka uświadomiła sobie, że tak gwałtowne zachowanie nie było zbyt mądre. Po pierwsze, będzie musiała zapłacić za wszystko, co zbiła – w tym dwa jajka i gliniany garnek. Po drugie, nikt jej nie widział – ani klienci, ani zwłaszcza ludzie, na których się gniewała: Umbo (na niego za to, że jest tak uroczy i wymagający ciągłej uwagi), Rigg (na niego za to, że dał się aresztować) i przede wszystkim Bochen, który w obrzydliwy sposób zaczął się zachowywać wobec nich jak

ojciec.

Skoro chce być ojcem, może by tak zaczął od spłodzenia własnego dziecka?

Nie była to myśl, na którą pozwalała sobie częściej niż raz czy dwa razy w tygodniu. Przez jakiś czas pohałasowała, żeby ukarać się za tę podłość. W końcu to ona mogła być bezpłodna. Nigdy nie spytała go, czy za żołnierskich czasów spłodził jakieś dzieci – nie chciała znać odpowiedzi – a on nigdy nie wyskoczył ze stwierdzeniem: „Wiesz, moja ukochana Lejko, to jasne, że problem leży po twojej stronie, bo ja mam pociechy w czternastu miastach, a i tak mówię tylko o tych, o których mi wiadomo”. Nie, Bochen nigdy by jej nie obarczył taką informacją. A ona nie mogła spytać: „Czy jako żołnierz żyłeś cnotliwie, mój ty niedźwiedziu? A może przypadkiem zostawiłeś po sobie jakąś pamiątkę?”.

Zamknęła drzwi wejściowe do karczmy i wyszła na podwórko, żeby przez jakiś czas porąbać drewno. To zajęcie zawsze się sprawdzało przy rozładowywaniu gniewu.

Uniosła siekiere nad głowę i już miała ją opuścić, kiedy nagle zobaczyła kogoś przed sobą. Z trudem się powstrzymała.

– Ty idioto! Chcesz oberwać...

Wtedy dotarło do niej, że to Umbo.

– Już wróciłeś? I po co się tak zakradasz?

Umbo tylko pokręcił głową.

– Przyjrzyj mi się – powiedział cicho.

Więc się przyjrzała. Wyglądał inaczej, miał zupełnie inne ubranie... I był wyższy. Nie odrobinę. O wiele wyższy. Jak mężczyzna. Wysoki mężczyzna. A jego twarz... Czy na jego brodzie i policzkach pojawił się puch młodzieńczego zarostu?

– Jesteś tutaj czy to tylko wiadomość z przyszłości? – spytała podejrzliwie.

– Żyję, Bochen też, a Rigg został uratowany wraz ze swoją siostrą Param. Wszyscy uciekliśmy z Aressa Sessamo, opuściliśmy ten świat. Minęło kilka lat.

– Lat! No wiecie?! Przecież mieliście tylko...

– Zamknij na chwilę usta – rzucił Umbo. – Już piąty raz zaczynam z tobą rozmawiać, ale nie przestajesz gadać ani przez chwilę, żeby mnie wysłuchać.

– No pewnie, że nie słucham, skoro...

– To ostatnia próba. Jeśli teraz mnie nie wysłuchasz, nie przyprowadzę ci Bochna do domu.

– Jak śmiesz?! Po tym, jak...

– Nadal gadasz.

– Nie masz prawa mi rozkazy...

– Jeśli mnie nie wysłuchasz – krzyknął Umbo – nigdy nie zobaczysz swojego męża! Dotarło? Potrafisz opanować gniew na tyle, by pojąć, że gra idzie o twoją przyszłość z Bochnem?

Lejka zamilkła, ale wściekłość wrzała w niej jeszcze bardziej niż wcześniej.

– Widzę, że jesteś zła – powiedział Umbo – ale wierz mi, nie tak zwróciłem się do ciebie podczas pierwszej próby. Wydarzyła się... wydarzyłaby się za tydzień, a ja nie wystąpiłbym jako zjawa, lecz człowiek z krwi i kości.

– Potrafisz tak?

– Owszem, przez tych kilka lat nauczyłem się tego i owego. Zmieniłem się. Bochen też.

– Co mi chcesz powiedzieć? No gadaj! Stracił nogę?

– Zamknij. Się. Wreszcie.

Mało brakowało, a wybuchłaby wściekłością na te władcze słowa.

– Odbyłem tę rozmowę kilka razy i wszystko zawiodło. Dałem ci się wygadać, ale kiedy się wściekasz, moja pani, coraz bardziej się nakręcasz i tracisz rozsądek. Więc to jest moja ostatnia próba. Bochen się ze mną zgadza. Jeśli nie potrafisz mnie wysłuchać i przyjąć do wiadomości tego, co ci mam do powiedzenia, Bochen woli, żeby było tak, jakby zginął podczas tej wyprawy. Oto, o co toczy się gra: czy potrafisz milczeć, czy też wolisz już nigdy nie ujrzeć swojego męża?

– Bochen się na to zgodził? Co to za...

– Jeśli mnie wysłuchasz, wyjaśnię wszystkie wątpliwości. Podczas drugiego spotkania z tobą udało mi się powiedzieć, co się w nim zmieniło, ale ty zachowałeś się tak okropnie, że Bochen prawie dał za wygraną. To ja go namówiłem do kolejnej próby. A właściwie do trzech kolejnych prób. Rozumiesz mnie, awanturnico? Bochen poślubił kobietę z temperamentem, ale myślał, że kochasz go bardziej od swojej wściekłości. Czy się pomylił?

– Pozwól, że przez minutę porąbię drewno – rzuciła Lejka. – Możesz tu postać i poczekać? Muszę... muszę to z siebie wyrzucić.

Umbo skinął głową i cofnął się o krok. Nie zniknął. Lejka wzięła krótkie polano, uniosła siekierę i opuściła ją. Drzazgi bryznęły we wszystkich kierunkach. Teraz poszatkowała kolejny kawałek drewna, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden.

– Ile jeszcze polan zmienisz w trociny? – spytał Umbo.

– Teraz ty się zamknij! Minuta jeszcze nie minęła!

Minęło ich mniej więcej pięć, aż w końcu Lejka poczuła zmęczenie. Klapnęła na ziemię i schowała twarz w dłoniach.

– Teraz gadaj – rozkazała – póki nie patrzę na tę twoją przemądrzałą gębę.

– Jeśli mnie wysłuchasz, a potem zaczniesz rozmawiać ze mną spokojnie i rozsądnie, nie będę się mądrzyć. Wiem, że Bochen nie będzie szczęśliwy, jeśli nie wróci do ciebie, ale wiem też, że nie wróci, dopóki nie dasz mu szansy.

– Dać mu szansę, żeby... – tym razem jednak Lejka przerwała sama sobie. – Ty mi to powiedz. Słucham. Przysięgam, że cię wysłucham.

– Pierwszy świat, do którego zawędrowaliśmy, był niebezpiecznym miejscem. Nie rozumieliśmy, jak bardzo niebezpiecznym. Wszyscy zamieszkujący go ludzie zginęli.

Jedyną żyjącą w nim osobą był Vadeshex, a on nie jest człowiekiem.

– Osoba, ale nie człowiek? Przepraszam, przepraszam. Na pewno mi to wyjaśnisz.

– Vadeshex wyglądał jak ojciec Rigga. Wyglądał jak on, ponieważ obaj nie byli ludźmi. To maszyny wyglądające jak ludzie. Nazywają się zbędnymi, ale nigdy nie umierają. W każdym świecie znajduje się jeden. Taki zbędny wychował Rigga.

– Przecież jego ojciec umarł.

– Udawał, że umarł. To kłamcy, ci zbędni. Uważają, że mają chronić gatunek ludzki przed nim samym. Wiedzą wszystko, ale niczego nie rozumieją. Twój gniew na mnie to nic w porównaniu z tym, jak bardzo zły jestem na Vadeshexa, ponieważ podstępem skłonił Bochna do... Nie, zaraz. To nie będzie miało sensu, dopóki ci czegoś nie wyjaśnię.

– Na prawe kolano Silboma! – krzyknęła Lejka.

– Bochen żyje. Jest w lepszej kondycji niż kiedykolwiek. Ale w świecie Vadesha coś go spotkało i właśnie o tym staram się ci opowiedzieć. Niektóre jednak rzeczy nie będą miały sensu dopóty, dopóki najpierw nie wyjaśnię innych. Proszę, bardzo proszę, bądź cierpliwa. Nie chcę znowu zawieść Bochna tak jak cztery ostatnie razy.

– Myślałam, że to ja go zawiodłam!

– Ty nie chciałaś słuchać, ale to musiała być moja wina, widocznie źle się do tego zabrałem. Za pierwszym razem usiłowałem ci opowiedzieć wszystko stopniowo i przedstawić sytuację w lepszym świetle. Zorientowałaś się, że coś ukrywam, i miałaś prawo się rozgniewać. Myślałem, że mnie zabijesz, co nie wydawało mi się sprawiedliwe, ale w końcu zawiodłem. Zawiodłem też za każdym kolejnym razem. Ale proszę, pomóż mi. Będę popełniał błędy, więc musisz mi pomóc nadrabiać moją głupotę. Bądź cierpliwa. Proszę.

Lejka z zaskoczeniem usłyszała w jego głosie jakieś drzenie, jakby Umbo powstrzymywał płacz. Ale nie spojrzała na niego.

– Opowiedz mi to w takim porządku, jaki uważasz za właściwy.

– Staram się tylko niczego nie poplątać. No więc tak: w murcii Vadesha istnieje stworzenie, które żyje w strumieniach. Jest bardzo małe, ale jeśli wejdzie w kontakt z człowiekiem, wżera się mu pod skórę i rośnie, a potem szybko pełźnie do twarzy. Zasłania usta, nos, uszy i oczy, sięga przez nie do mózgu, w który wrasta. Ale nie zabija swojego nosiciela, tylko... przejmuje nad nim władzę.

– I to spotkało...

– Nie! Musisz mnie wysłuchać i pozwolić mi wyjaśnić, bo Bochnowi nic nie zagraża. Czuje się lepiej niż dobrze, po prostu jest brzydki. I o wiele mniej brzydki niż na początku. Widzisz, to przez to stworzenie wymarła ludność świata Vadesha. Połowa jego mieszkańców złapała tego pasożyta – nazywamy go twarzymaską lub po prostu maską – a połowa nie. I walczyli z sobą, aż się wymordowali. Ale kiedy się zjawiliśmy, Vadeshex ostrzegł nas, żeby nie zbliżać się do wody, więc nie zaraziliśmy

się dzikimi maskami.

– Musiałeś mi jednak o nich powiedzieć, więc...

– Vadeshex nie miał nic do roboty po wymarciu jego ludzkości. Zawiódł na całej linii jako opiekun swojej kolonii. Ale przyszło mu do głowy, że te pasożyty mają potencjał. Dlatego zaczął je hodować i zmieniać tak, żeby nie doprowadzały ludzi do szaleństwa. Bo kiedy maska przejmuje władzę nad większym zwierzęciem, udoskonala je. Zastępuje jego oczy lepszymi, zwiększa szybkość jego odruchów, wyostrza słuch. Vadeshex poświęcił więc tysiące lat na hodowlę gatunku masek, które udoskonalały ludzi, nie przejmując nad nimi całkowitej kontroli. Owszem, panują nad nimi, ale jeśli człowiek ma silną wolę, może się im przeciwstawić. Może pozostać sobą.

– Nawet nie potrafisz udawać, że się nie domyślam, dlaczego mi to mówisz. Bochen ma taką maskę.

– Wiedziałem, że się domyślisz. Kiedy się dowiedziałem, co się stało, miałem ochotę zabić Rigga za to, że na to pozwolił...

– Rigg na to pozwolił...?!

– Nie! Tak wtedy myślałem, bo nie byłem świadkiem wydarzeń. Ale Rigg nie mógł go powstrzymać.

– Mógł cofnąć się w czasie i go ostrzec! Tak jak ty teraz!

– Bochen mu nie pozwolił. Musisz zrozumieć, Rigg dopiero uczył się samodzielności. Potrzebowałby mnie, a nie chciał, żebym zobaczył Bochna w takim stanie. Bo teraz... teraz jest o wiele lepiej. Tobie może się tak nie wydawać, ale... początkowo był straszny. To stworzenie kompletnie pokryło mu twarz, więc wyglądało to tak, jakby nie mógł oddychać. A potem wykształciło nowe oczy i nowe usta, tylko nie w dawnym miejscu i... Przepraszam! Wszystko psuję! Nie potrafisz ci tego opowiedzieć.

– Wyglądał ohydnie – powiedziała Lejka. – Potwornie.

– Tak. A ja się wściekłem i chciałem to z niego zedrzyć, ale Vadeshex powiedział, że to by go zabiło. Maską stała się częścią jego ciała i jeśli umrze, Bochen umrze wraz z nią. I odwrotnie. Więc przez jakiś czas prowadziłem Bochna jak głuchoniemego ślepcę, tylko że nie był ślepy, nie wpadał na nic. I jego odruchy stały się niewiarygodnie szybkie. A ja ciągle miałem nadzieję, że w środku jest dawny on, Bochen. Że to stworzenie go nie zdominowało.

– I chcesz mnie zapewnić, że choć stał się jeszcze szpetniejszy, to nadal on.

– Tak! Ale wiem, że mi nie uwierzysz i będziesz na mnie krzyczeć, że nie znam go tak dobrze, żeby stwierdzić, że to naprawdę on. Posłuchaj mnie jednak: oczywiście ty znasz go lepiej niż ktokolwiek, ale jeśli każesz mu udowodnić, kim jest, to wszystko na nic. Albo wróci do swojej żony, albo nie. A jego żona – i to jego dokładne słowa – „moja żona nie będzie ode mnie wymagać, żebym do końca życia udowadniał, że to naprawdę ja”. Rozumiesz? Jestem jego świadkiem. Wysłuchasz jego i wysłuchasz mnie, a jeśli to ci nie wystarczy, Bochen nie zostanie. Rozumiesz?

– Czy zrozumienie to to samo, co zgoda?

– Znasz go! – rzucił Umbo żarliwie. – Zdecydował, że jeśli w niego zwątpisz, odejdzie. Mówi, że zrozumie, jeśli go odtrącisz, jeśli nie będziesz mogła żyć z nim takim, jakim się stał. Chce wrócić do ciebie i żyć tak jak dawniej. Ale teraz jest silniejszy, szybszy, inteligentniejszy i ładniejszy. Powiedział, że jest ładniejszy, ale to...

– Takie ma poczucie humoru.

– Właśnie.

– Idź po niego.

– Naprawdę?

– Nie do wiary, że musiałeś sobie zadać aż tyle kłopotu. Oczywiście, że chcę, żeby wrócił, w jakimkolwiek stanie. Przyjąłabym go nawet, gdybyś przywłókł go tu w worku, pozbawionego rąk i nóg. Myślisz, że na czym polega małżeństwo, chłopcze?

– Sądząc po moich rodzicach, nie na tym, co u was. Ale czy obiecujesz...

– Nie muszę ci nic obiecywać. Jesteś posłańcem. Chcę odzyskać męża i wierzę ci, że człowiek, którego mi przyprowadzisz, nim jest, a w każdym razie jest tak bliską jego wersją, jak to możliwe. A jeśli okaże się, że nie, wtedy dogadamy się bez pośrednika z młodzieńczym zarostem. Jasne? Twoje zadanie dobiegło końca. Tym razem ci się udało. Chcę, żeby wrócił. Przyprowadź mi go.

Umbo nie odpowiedział. Podniosła głowę i przekonała się, że nie zniknął.

– Na co czekasz?

– Myślisz, że zjawiłem się tu z własnej woli? Jestem posłuszny jego poleceniom.

– A teraz będziesz posłuszny moim. Czy Bochen chce wrócić do mnie? Mnie się nie dyktuje warunków i on o tym wie. Powiedz mu, żeby przywłókł tu swój gąbczasty pysk, żebym mogła sama zdecydować, czy uciec z krzykiem, czy ucałować go w nowe gąbczaste usta.

– Już nie są gąbczaste. Wyglądają dość normalnie, tylko są nienormalne, w dość obłąny sposób.

– Teraz mi nie pomagasz – mruknęła Lejka. – Zamknęłam się i słuchałam, tak? Teraz ty się zamknij i przyprowadź tu mojego męża.

– Powtórzę mu twoje słowa. Mam nadzieję, że to mu wystarczy.

– Wystarczy. Gdybym powiedziała coś innego, nie uwierzyłby mi.

Umbo uśmiechnął się blado.

– Chyba masz rację. Ale... Nie powinnaś go zobaczyć przy świadkach.

– W karczmie nikogo nie ma, jeśli o to się martwisz. Ale dlaczego nie możesz go sprowadzić tutaj?

– Bo żeby to zrobić, musiałbym go tu sprowadzić w przyszłości, a zrobienie tego w dyskretny sposób byłoby trudne.

– A tobie było łatwo?

– Zjawiłem się poprzez wodę, a tam, gdzie się znajduję, jest noc, a ty krzątasz się po kuchni, więc mnie nie słyszysz.

– Przemokłeś?

– Już pływałem w tej rzece. Ale kiedy wrócę z Bochnem, będziemy się poruszać drogą, a ja ukryję jego twarz, żeby nie wystraszył miejscowych.

– I kiedy też nastąpi to magiczne wydarzenie?

– Nie potrafię dokładnie powiedzieć. Ale prawdopodobnie dziś, za jakiś czas.

– Czy mam zatem zamknąć karczmę i czekać?

Umbo przełknął z trudem ślinę.

– Robię to w głowie i nie potrafię tak dokładnie określić czasu, więc...

– Żartuję, ty słodki głuptasie. Zamknęłabym tę karczmę na zawsze, jeśli tylko w ten sposób mogłabym odzyskać Bochna.

– Zatem już pójdę, bo nie chciałbym, żebyś ty z przyszłości wyszła z kuchni i...

Umbo zniknął.

Wyłonił się z rzeki ociekający wodą i uśmiechnięty.

– Więc tym razem się udało? – zgadł Bochen.

– Udałem ciebie i wrzasnąłem na nią, żeby się zamknęła i słuchała.

– To nigdy nie działa.

– Zadziałało, kiedy jej powiedziałem, że w przeciwnym razie nigdy cię nie ujrzy. W końcu mi uwierzyła i mówi, żebyś wracał do domu bez względu na to, jak wyglądasz.

– Uwierzyła ci? Że za maską jestem naprawdę ja?

Umbo powtórzył mu słowa Lejki. Bochen parsknął śmiechem.

– Ma rację. Ja nadal jestem Bochnem, a ona – Lejką, a to znaczy, że nikt jej nie będzie rozkazywać. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, ciebie.

– Rąbała drewno przez pół godziny, zanim uspokoiła się na tyle, żeby mnie wysłuchać.

– Na pewno tylko pięć minut.

– Czas się bardzo dłużył.

– Więc myślisz, że zdołasz mnie odstawić do domu w tym samym dniu, w którym odeszliśmy?

– Tak. Weź mnie za rękę.

– Tak jest.

– I zakryj twarz.

– Zakryję twarz, kiedy dotrzemy do drogi.

– Skoczmy na skraju drogi, żebyśmy przypadkiem nie pojawili się w miejscu, gdzie rośnie jakieś drzewko.

– Jeśli nie skoczmy aż do drogi, to po co mam cię trzymać za rękę?

– Bo jest ciemno, a ja nie widzę w ciemnościach tak jak ty.

– Chytre. Masz łeb. Teraz to ja się muszę zastanowić... czy to naprawdę ty.

Ktoś załomotał do drzwi.

– Odejdź, kimkolwiek jesteś – mruknęła Lejka. – Mój mąż z tym niedojrzałym przygłupem, swoim posłańcem, wraca do domu i nie potrzebuje tu towarzystwa.

Wstała z trudem – naprawdę namachała się tą siekierą, za mocno i za szybko. Teraz trochę zeszywniała, a była pewna, że jutro obudzi się z obolałymi mięśniami.

Przecłapała przez dom, ale łomot nie ustawał. Nie był tak silny, żeby zagrozić drzwiom, lecz na tyle nieprzejednany, jakby osoba za drzwiami nie zamierzała przestać, dopóki nie zostanie wpuszczona. A kiedy Lejka pomyślała o tym uporze, zrozumiała, kto stoi za progiem. „Mój kochany Bochen, ten głupi chłopak sprowadził cię tu, niemal zanim skończyliśmy rozmawiać. Nie miałam nawet czasu wrócić do domu i odryglować drzwi”.

Teraz odsunęła rygiel i otworzyła drzwi, i oto stał, z twarzą częściowo ukrytą w cieniu kaptura nasuniętego nisko na oczy. Ale od razu zauważyła, że jego twarz wygląda dziwnie. Za to reszta się zgadzała. Bochen wyprostował się na całą swoją wysokość. Znała te ręce, tę sylwetkę, a kiedy się odezwał, usłyszała jego głos, lecz młodszy i silny jak przed laty.

– Witaj, ukochana – powiedział Bochen. – Miło, że nie wpuszczasz nikogo do gospody.

– Dbam o przestrzeń dla mojego męża i jego przybocznego magika. Słyszałam, że obecnie ma łeb jak słoń, a chłopak stał się okropnie zarozumiały.

Sięgnęła do kaptura. Bochen błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek, ale tak lekko, że prawie nie czuła nacisku jego palców.

– Jeszcze nie – powiedział.

– Zniosę wszystko – zapewniła.

– Ale ja nie zniosę wyrazu twojej twarzy, jeśli nie poznasz mnie od razu.

– Zatem wejdź – poprosiła – lecz nie puszczaj mojej ręki. Lubię twój dotyk. Przypominasz mi mężczyznę, z którym kiedyś sypiałam.

– I to nieraz, jeśli to ten sam mężczyzna, o którym myślę.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego ten chłopak z mokrą głową zamierza wejść z nami. Już powiedział, co miał do powiedzenia, a teraz niech zaczeka na zewnątrz jak inne zmokłe szczury. Jeśli chce się przydać, powinien zadbać, żeby inni idioci nie pukali do tych drzwi.

Umbo cofnął się o krok.

– Boże broń, żebyście musieli zmienić plany tylko dlatego, że jestem głodny, spragniony i zmęczony.

– Ja, ja, ja – to wszystko, o czym ten młodzieniec myśli – rzucił Bochen. – A przecież jadł zaledwie wczoraj, czyli piętnaście minut temu. Po prostu kaprysi i tyle.

Drzwi się zamknęły. Umbo oparł się o nie i omiótł wzrokiem ulicę.

– Problem z podróżami w czasie – odezwał się na głos – polega na tym, że nic tu się nie zdążyło zmienić od naszego wyjazdu.

Ale to znaczyło także, że mógł skoczyć do piekarni naprzeciwko i znaleźć coś do jedzenia, choć było za późno na ciepły chleb.

Z pajdą w ręku usiadł przed gospodą. Kiedy zjawili się pierwsi goście, usiłował im wyjaśnić, że Bochen wrócił do domu po długiej nieobecności, ale spojrzeli na niego jak na wariata.

– Widziałam, jak wyruszenie tego ranka – powiedziała jakaś kobieta. – A jeśli to jest długa nieobecność, to ja jestem młoda i piękna.

– I jesteś, w rzeczy samej – zapewnił ją Umbo swoim najbardziej przekonującym tonem.

Oliwienko powiedziałałby to lepiej i pewnie nawet zyskał uśmiech kobiety. Jego niezdarna próba została skwitowana prychnięciem i uwagą:

– Skoro nie chcą moich towarów, to bez łaski, ale nie życzę sobie, żeby się ze mnie natrzęsał jakiś smarkacz, w dodatku nietutejszy.

– Mieszkałem tu przez wiele miesięcy! – zawołał Umbo, bo tak wyglądała sytuacja w dniu, w którym wyruszyli. – Jestem może niedzisiejszy, ale nie nietutejszy.

Jakby rzucał perły przed wieprze – kobieta i jej mąż (czy kto to tam był) pominęli jego wyborny żart milczeniem. Od tej pory nie powiedział słowa prawdy.

– Dziki kocur wdarł się do gospody i obsikał wszystkie stoły. Teraz muszą wszystko wyszorować, żeby przestały cuchnąć – wyjaśnił. Co dziwne, w to uwierzyli mu natychmiast, podczas gdy prawdę potraktowali z pogardą.

Późno w nocy drzwi się otworzyły. W progu stanął Bochen już z odkrytą twarzą.

– Dalej będzie zamknięte, ale nie możemy cię tu trzymać przez całą noc.

– Jak dzikiego kocura – mruknął Umbo. – Chyba zaraz wszystko wam obsikam.

– Idź do swojego pokoju i śpij dobrze. Zakładam, że już znalazłeś coś do jedzenia.

– Na jakiej podstawie?

– Na takiej, że jesteś sobą. Właż.

Umbo nie wiedział, ile godzin trwał jego dzień, ale zasnął, zanim padł na łóżko, co potwierdzał fakt, że obudził się tylko częściowo rozebrany. Na dworze było już jasno, więc znowu się ubrał i poszedł do wygodki.

W drodze minął się z Lejką. Skinęła mu głową z roztargnieniem, ale nie przejął się tym, ponieważ według niej dobre maniery polegały także na tym, że mężczyźni powinni udawać, iż kobiety nie mają potrzeb fizjologicznych. Dlatego musiał po prostu udawać, że jej nie zauważył. Dopiero przy śniadaniu – gospoda była nadal zamknięta – Bochen powiedział:

– Zadziałało na medal. Cokolwiek jej powiedziałaś.

– Był bezczelny, niegrzeczny i się rządził – oznajmiła Lejka.

– Rób tak dalej – poradził Bochen. – Masz do tego talent.

– Nie słyszałem żadnych wrzasków i trzasków, więc zakładam, że przeżywacie drugi miesiąc miodowy?

– Przeciwnie, podczas naszego miesiąca miodowego było sporo trzasków i wrzasków – powiedział Bochen.

– Twoich pięć wizyt nie poszło na marne – dodała Lejka. – Choć Bochen zachowywał się, jakby przez pięć lat żył w celibacie, podczas gdy ja nie miałam czasu nawet zauważyć jego nieobecności.

– Chce powiedzieć, że nie zdążyła ukryć kochanka w szafie.

– Ale dziś odejdziemy. Natychmiast. Zamknę gospodę. Muszę tylko poprosić znajomych o jej dogłębne oglądanie, żebyśmy po powrocie nie znaleźli w niej dzikich lokatorów.

– Dokąd się wybieracie? – spytał Umbo.

– Do świata Vadesha – wyjaśnił Bochen. – Maska dodała mi tyle wigoru, że Lejka też taką chce.

Umbo wytrzeszczył oczy.

– Serio?

Lejka pochyliła się do niego.

– Przyjrzyj się mojej ślicznej buzi. Naprawdę myślisz, że maska mi zaszkodzi?

– Ale dlaczego?

– Boi się, że nie dotrzyma mi kroku – oznajmił Bochen i oboje parsknęli śmiechem jak współnicy jakiejś wyjątkowo demonicznej zbrodni.

Umba olśniło tak nagle, że palnął bez zastanowienia:

– Nie chcecie się dowiedzieć, czy doczekaliście się dzieci, ponieważ tylko Bochen został udoskoniony.

– Nie chcemy myśleć, że tak długie czekanie na dziecko wynikało z czyjejś winy – odparł Bochen. – Dlatego Lejka chce maskę: żeby uleczyć wszystko, co w nas niedomaga.

– Po prostu chcę być tak samo silna jak on – dodała Lejka.

– Chce osiągnąć mistrzowską precyzję w rąbaniu drewna – powiedział Umbo. – Ale do tego maska nie wystarczy.

– Chcemy, żebyś przeprowadził nas przez Mur – podjął Bochen. – Ale nie musisz z nami zostawać.

– A gdzie miałbym się podziać? Nie mam powodu tu wracać bez was.

Ledwie te słowa padły z jego ust, uświadomił sobie, że istnieje coś bardzo ważnego, co musi zrobić. Ale to mogło poczekać do ich powrotu. Przeszłość to pod tym względem świetna sprawa – zostaje tam, gdzie była, i czeka, aż znowu stanie się potrzebna.

Rozdział 5

PŁONĄCY DOM

Rigg zamierzał odbyć podróż po murchiach samotnie. Nie chciał z nikim rozmawiać, nie chciał się martwić o cudze bezpieczeństwo. Szczerze mówiąc, chętnie wybrałby się z Umbem, ale nie tym dzisiejszym – wolałby Umba sprzed lat, sprzed tej rywalizacji. Choć może rywalizacja była zawsze, tylko on o niej nie wiedział.

Z całą pewnością nie chciał podróżować z żadnym zbędnym. Choć uważał, że można im zaufać, nie potrafił się pogodzić z tym, że wszyscy wyglądali jak jego ojciec. Wszyscy b y l i ojcem. Spędził dzieciństwo na podróżach ze zbędnym. Wszystkiego nauczył się od niego. Od tej maszyny. Był jej posłuszny, aż maszyna udała, że umiera, i pchnęła go na ścieżkę, która prowadziła... dokąds.

Istniała jednak osoba, z którą nie chciałby podróżować nawet bardziej niż ze zbędnymi: Ram Odyn. I to nie tylko dlatego, że Rigg doskonale pamiętał, jak Ram Odyn próbował go zabić, i jeszcze wyraźniej – jak on sam zabił jego. Również dlatego, że Ram Odyn już posiadał o wiele większą wiedzę o wszystkich światach, niż Rigg zdołałby zdobyć przez tych kilka tygodni czy nawet lat wędrówki. Rigg chciał sam zebrać informacje. Sam podjąć decyzję.

I pewnie dlatego, gdy przybył lądownik, który miał go zabrać do świata Yina, najdalej położonego ze wszystkich, przed trapem czekał Ram Odyn.

– Jakoś nie cieszy cię dziś mój widok – zauważył.

– Nigdy mnie nie cieszy – warknął Rigg. – Choć czuję się bezpieczniej, kiedy mam cię na oku.

– Jadę z tobą – oznajmił Ram Odyn.

– O, nie sądzę.

– Myślisz, że lądownik oderwie się od ziemi, jeśli na to nie pozwolę?

– Więc obejdę się bez niego – oznajmił Rigg już zmęczony tą kłótnią – albo cofnę się w czasie i polecę nim wczoraj. Lub w zeszłym miesiącu.

– Rigg. Bądź rozsądny. Masz ocenić wszystkie światy. Obserwowałem je z przerwami przez dziesięć tysięcy lat. Zbędni robili to nieustannie.

– Zatem przyda się świeże spojrzenie.

– Zgadzam się. Ale nie odrzucaj naszej wiedzy. Dzięki nam możesz więcej zyskać ze

swoich wizyt.

– Dzięki wam zobaczę tylko to, co popiera wasze wnioski.

– Zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo, nawet jeśli będę się go starać uniknąć. Ale ty też masz uprzedzenia. Jesteś dzieckiemurchii Rama. Kiedy przestaniesz oglądać wszystko przez okulary doświadczeń, które tam zdobyłeś?

– Nigdy. Ty jesteś dzieckiem Ziemi. Ile czasu minęło, zanim...

– Właśnie o tym mówię. Ja widzę wszystko z perspektywy innego świata, gdzie nie było Muru. Ale czy sądzisz, że znam Ziemię, ponieważ się na niej wychowałem?

– Lepiej ode mnie.

– Wychowałem się, gdzie się wychowałem. Znałem okolicę, szkoły, uniwersytet, ale nawet wtedy kontaktowałem się tylko z ludźmi, z którymi się przyjaźniłem, z profesorami, u których studiowałem. Odwiedziłem kilka innych krajów, uczyłem się w nich, opanowałem język obcy – co nie jest takie łatwe, kiedy nie ma Muru, który wszczepia ci w mózg wszystkie języki. Na ziemskie standardy byłem czytany i bywały w świecie. Ale nie mam pojęcia, co znaczy dorastanie w Chinach, Indiach, Afryce czy Brazylii. Nawet gdybym żył w tych krajach, znałbym tylko moją wioskę, moje szkoły, moich przyjaciół.

– Więc lepiej przestanę z tobą gadać i skupię się na podróżowaniu.

– Jechałeś wzdłuż rzeki Kosmolo. Najpierw bez pieniędzy, polując, dopóki teren na to pozwalał. Potem prowadził cię Bochen, ucząc cię o rzece i O. Następnie trafiłeś do niewoli, więc widziałeś tylko swoje niewidzialne ścieżki, po czym znalazłeś się w domu Flacommo i bibliotece. Spędziłeś nie wiadomo ile godzin w Aressa Sessamo, zanim uciekłeś, a potem wylądowałeś w tym powozie, zmierzającym do Muru. Jak dobrze znasz świat Rama?

– Wiem, ile wiem – odparł Rigg uparcie. – Wiem o rzeczach, które znają wszyscy, i o niektórych, znanych tylko mnie. Może poznałeś całą historię, może w i d z i a ł e ś całą historię, podczas gdy ja znam tylko jej ostatni kwadrans, ale nie wychowałeś się w świecie Rama, więc ty też go nie znasz.

– Nie znaszurchii Rama. Poznałeś Wodobród i lasy nad Stromogórem, a potem krótki odcinek wzdłuż rzeki. Co wiesz o ogromnych terenach po jej obu stronach? Tam żyją miliony ludzi. Wioska za wioską. Miejsca, w których nigdy nie słyszano języka Aressa Sessamo. Miejsca, do których nie zapuszczają się nawet poborcy podatkowi.

Rigg usiadł na brzegu trapu i oparł głowę na rękach.

– A o innych światach będę wiedział jeszcze mniej. Rozumiem. Ale muszę coś zrobić.

– No, to zrób to ze mną. Nie będę się odzywać, zgoda? Postaram się nie wpływać na twój ogląd sytuacji. Tak, chyba wiem, czego się dowiesz. Ale pozwolę ci na to.

– Najbardziej mi to ułatwisz, nie jadąc ze mną – warknął Rigg.

– Wiem, jakie to niebezpieczne... A ty nie.

– Już znajdowałem się w niebezpieczeństwie. Potrafię się ratować z kłopotów łatwiej niż ktokolwiek na świecie z wyjątkiem Umba. I Noxona.

– Niewiele się nauczysz, jeśli ciągle będziesz zajęty ratowaniem skóry. I pomyśl, w jaki sposób to robisz. Nagle znikasz. Myślisz, że nikt tego nie zauważy? Że wiadomość o tym nie zacznie się rozchodzić? Myślisz, że to nie zmieni ludzkich wyobrażeń o świecie?

– Robiłem tak często w murcii Rama i niczego nie zmieniłem.

– Właśnie, że zmieniłeś! Po prostu nie wiesz, jak by tam było bez twojego ciągłego znikania i pojawiania się na nowo. Ty i Umbo nie robiliście niczego innego, tylko wszystko zmienialiście!

Rigg musiał przyznać mu rację.

– A co osiągniesz, towarzyszac mi?

– Nie dopuszczę, żeby wyrzucono cię ze wszystkich wiosek we wszystkich światach. Zapominasz, że nosisz na twarzy tę podrygującą narośl?

– Ani na chwilę. Widziałem Noxona.

– To jak ominiesz etap, na którym wypędzają cię z wioski i kamienują jako potwora?

– Mówisz tak, jakbym w każdej wiosce mógł spotkać tylko przerażonych prostaczków.

– Spotkasz tylko ludzi reagujących na bardzo dziwnego przybysza.

– Przynajmniej będę mówić ich językiem jak jeden z nich.

– To ich przerazi jeszcze bardziej! W każdym świecie z wyjątkiem murcii Odyna i Lara ludzie uważają, że ich mowę znają tylko sąsiedzi. Aż tu zjawia się obcy ze zniekształconą twarzą i nie całkiem symetrycznie rozmieszczonymi oczami i włada ich językiem, jakby wychował się wśród nich! Najwyraźniej to czarnoksiężnik, magik, diabeł!

– Więc będziesz moim normalnie wyglądającym towarzyszem...

– Twoim dziadkiem.

– I to nawet nie jest kłamstwo... Pięćset pokoleń w tę czy w tę...

– Jeśli pojedziemy do miasta, powiemy, że zapadłeś na jakąś dziwną miejscową chorobę. Ale nie sądzę, żebyś chciał jeździć po miastach – w tych nielicznych murciach, w których je znajdziesz.

– No co ty? Ludzie zawsze gromadzą się w miastach.

– Robią, co mogą, ale ograniczają ich gospodarka i system komunikacji. W jednych murciach miasto liczy pięć tysięcy mieszkańców, w innych uważa się, że miasto zaczyna się od pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców. W świecie Odyna znajdowały się miasta dwudziestomilionowe, ale wymazaliśmy te ścieżki ze strumienia czasu. Obecnie licząca około ćwierć miliona mieszkańców Aressa Sessamo stanowi jedno z czterech największych skupisk ludzkich w całej Arkadii. W większości światów największe miasta liczą nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy obywateli.

– I sądzisz, że nie chcę tam się zjawić.

– Ponieważ widziałeś O i Aressa Sessamo. Kiedy gdzieś zbierają się wielkie masy ludzkie, ich życie wygląda tak samo. Kierują się tymi samymi zasadami, ponieważ jedynie kilka z nich sprawdza się w działaniu. Ale to w osadach, gdzie żyje dziesięć rodzin, w wioskach o pięćdziesięciu domach, w miasteczkach skupiających dwa tysiące rodzin robi się naprawdę ciekawie. Tam powstają osobliwe obyczaje, ponieważ ludzie kształtują je według własnego upodobania.

– Ty już starasz się wpłynąć na mój sposób patrzenia na inne światy – zauważył Rigg.

– Mówię ci, że w miastach działa jeden system radzenia sobie z anonimowością i tłumem. Natomiast każda wioska jest inna i tu właśnie wyskakują naprawdę interesujące rzeczy.

– W Wodobrodzie nie „wyskoczyło” nic interesującego.

– Wyskoczyliście ty i Umbo.

– Wiesz, że zostaliśmy tam umieszczeni – ja jako niemowlę, Umbo jako genetyczna odmiana.

– Ale nie Nox. Ona tam się urodziła. Sądzisz, że w każdej wiosce mieszka jakaś Nox?

Rigg pomyślał o kobiecie, którą uważał za swoją matkę. Prowadziła gospodę, w której czasem zatrzymywali się podróżni, przyrządzała posiłki, które miejscowi uwielbiali i których jej zazdrościli. Była dobra i opiekuńcza. I miała zdolność do wytwarzania wokół siebie pola, w którym ludzie się uspokajali. Nie sięgało daleko, ale było skuteczne. W towarzystwie Nox nikt nie mógł się bardzo gniewać ani bardzo bać.

– Jest burmistrzem Wodobrodu – odezwał się, po raz pierwszy to sobie uświadamiając. – Nikt tego nie powiedział głośno, ale wszyscy to wiedzą. Nie było tak tylko wtedy, gdy przyszli po mnie. Oni od zawsze zwracali się do Nox.

– Jest jak narkotyk – dodał Ram Odyn. – Gdy coś ich wyprowadzi z równowagi, idą do Nox, a ona sprawia, że wraca im dobre samopoczucie. Wtedy podejmują lepsze decyzje. Wszyscy to wiedzieli, nawet jeśli tego sobie nie uświadamiali.

– Nie znasz Nox.

– Ale Ramex ją znał. I powiedział mi o niej. Nie jest jedyna. Reprezentuje inny kierunek, jaki ewolucja przyjęła w świecie Rama. Potrzebowaliśmy ludzi manipulujących czasem, więc zwracaliśmy większą uwagę na ciebie. Ale kazałem Ramexowi sprowadzić cię do wioski, w której mieszkała Nox koicielka, bo ty i Umbo mieliście narobić sporo wariactw. A obecność Nox gwarantowała, że sytuacja nie wymknie się spod kontroli.

– A inne światy? W nich też pojawili się tacy ludzie jak Nox?

– Myślałem, że nie chcesz, żebym wpływał na twoje opinie.

Rigg przewrócił oczami.

– Zatem wystąpisz jako mój dziadek. To nie tłumaczy, dlaczego moja twarz tak wygląda.

– Ale to sprawi, że znajdziesz się pod opieką starca. Zamiast zjawić się jako samotny potwór, będziesz dziwnym wnukiem starego człowieka. To wprawdzie rozwiązuje jeden problem, lecz nie ten największy.

– Ten, że wszędzie będziemy obcy.

Rigg usłyszał, jak mówi „będziemy”, i zrozumiał, że już zdecydował się wyprawić z Ramem Odyem. Bo tak naprawdę samotna podróż byłaby niemożliwa. O tak, mógł samotnie zwiedzać światy i obserwować z daleka ich mieszkańców, ale czego by się o nich dowiedział, nie słysząc ich rozmów? Nie przyglądając się, jak żyją? A z tą maską na głowie nie mógł się do nich zbliżyć. Nie przemyślał tego dobrze. W przeciwieństwie do Rama Ody. Dlatego to pomysł Rama należało zrealizować, ponieważ był lepszy.

– Musimy znaleźć wytłumaczenie dla naszej podróży – oznajmił Ram Ody. – W przeciwnym razie wezmą nas za przestępców, zbiegów, dzikusów albo uchodźców... czy też co tam jeszcze zmusza ludzi do opuszczenia domu. Gdzie chcesz się udać najpierw?

– Do świata Yina.

– Czyli najdalszego. Resztę murchii zwiedzisz w drodze powrotnej. Ma to sens.

– Co powiemy w świecie Yina?

– Zależy od miejsca, w które trafimy. To wielki kraj. Na jednym bardzo dużym kontynencie znajduje się tylko dziewiętnaście światów. Każdy wielki jak... no, nie znasz Ziemi, więc porównanie...

– W świecie Ody poznalem mapy i globusy Ziemi. Ja i inni.

– Każda z naszych murchii zajmuje terytorium Europy od Polski na zachód, Indii, Chin z czasów dynastii Han. Kiedyś podzieliłem lądy Ziemi na dziewiętnaście mniej więcej równych części i na niektórych z nich rozgrywała się zadziwiająco bogata historia. Wielkie imperia tworzyły się i upadały.

– Ale nie we wszystkich.

– Na inne przypadły pustkowia – albo bardzo zimne, albo bardzo upalne. Ale na Arkadii nie mamy wielkich pustkowi, tylko małe.

– Więc wszystkie światy nadają się do zamieszkania.

– Kiedy szukałem miejsca do lądowania dla każdego statku, upewniłem się, że wszystkie otacza żyzna, dobrze nawodniona ziemia.

– Rozumiem. Każdy świat jest wielki i zróżnicowany.

– Bardziej, niż się spodziewasz. Ale jednocześnie mniej. Nie, sam się przekonaj.

Rigg pokręcił głową.

– Skoro już tyle powiedziałeś...

– Masz pojęcie, jak długo nie rozmawiałem z innym człowiekiem?

- Masz zbędnych. Wiem z doświadczenia, że bywają bardzo rozmowni.
- To chodzące i gadające banki danych, nie ludzie.
- Więc jaki pretekst podróży podamy w świecie Yina?
- Mają tam mnóstwo wędrownych uzdrowicieli i koicieli, wróżbitów, którzy przepowiadają przyszłość, a potem się wynoszą, zanim ktoś się zorientuje, czy ich przepowiednie się sprawdziły.
- Chyba nie będziesz mi kazał podróżować w czasie, by wrócić z trafną odpowiedzią, co?
- To by się nie udało, bo wiedząc, co ich czeka, zmieniliby swoje zachowanie, więc i tak wróżba by się nie sprawdziła. Ale zastanawiam się, czy nie stworzyć całkiem nowego fachu. Czegoś, co by zadziało, a czego oni do tej pory nie widzieli.

Choć świat Yina był równomiernie zaludniony, nie mieli żadnych kłopotów ze znalezieniem pustego miejsca do lądowania w pobliżu tego, co tu uchodziło za miasto. Rigg pomyślał o Aressa Sessamo zbudowanym na trzęsawiskach w delcie rzeki. Miasto otaczały niemal niezamieszkane podmokłe tereny, ale... cóż to były za ziemie! Niewiarygodnie żyzne dzięki mułowi nanoszonemu od tysiącleci przez powódzie! Do tego woda, którą można było przewozić towar. Ogromna naturalna fosa obronna. To wszystko jednak nie powstrzymało konnicy sessamidzkiej.

- To dobre ziemie – zauważył Rigg. – Dlaczego nikogo tu nie ma?
- Dobre czy niedobre... – wzruszył ramionami Ram Odyn. – Ludzie zatrzymują się tam, gdzie są inni ludzie, żeby mogli bez trudu zawierać związki. Dzięki temu jest wiele pustkowi, na które można się udać, kiedy nie znosi się swojego miejsca zamieszkania albo kiedy wydarzy się coś złego i trzeba uciekać. Jakies miejsce bywa osadą przez pięć tysięcy lat, a potem przez następne pięć tysięcy nikt się do niego nie zbliża – a przecież ono się nie zmieniło.
- Nad Stromogórem było mnóstwo osad – powiedział Rigg. – Dlatego ciągle budowano mosty nad wodospadami. A teraz nikt tam nie mieszka.
- Zamieszkają. Statku, czy miejsce, w którym postawiliśmy lądownik, było kiedykolwiek zamieszkane?
- Trzy wioski – odezwał się głos komputera. – I przez dwadzieścia procent czasu były to ziemie uprawne. Ale na ogół teren jest lekko zadrzewiony, z głębokimi wąwozami.
- Widzisz, ile już się dowiedziałeś o świecie Yina?
- Pierwszego ranka Ram Odyn włożył niepozorną szatę.
- Muszę wyruszyć sam i zdobyć ubranie dla ciebie.
- W tym?
- Spodnie nigdy nie weszły tu w modę. Ta szata tak naprawdę pochodzi z murchii Untunga, więc tutaj będę się prezentować egzotycznie. Ale generalnie robię wrażenie

bogacza i chciałbym je podtrzymać, kupując dla ciebie ubranie.

– A potem pójdę z tobą do miasta?

– Do miasta? Po co miałbyś iść do miasta? Nie, zdobędę ubranie na podróż przez wioski leżące osiemset kilometrów stąd.

– Miejska moda będzie się dobrze prezentować na takiej prowincji?

– Jesteśmy cudzoziemcami. Podróżnikami. Powinniśmy nosić egzotyczne stroje. Ale nie przesadnie egzotyczne. Zaufaj mi, mam już za sobą wiele takich podróży. Sporo wędrowałem w młodości, gdy ciągle uważałem...

– ...że różnice między krajami mają znaczenie – dokończył Rigg.

– ...ciągle uważałem – odparł Ram Odyn surowo – że nauczę się czegoś pożytecznego dzięki świadectwu własnych oczu. Różnice mają znaczenie. Różnice to najlepsza i najważniejsza cecha Arkadii.

– Idź już po te ubrania – mruknął Rigg.

Ponieważ zrezygnował z myśli o kompletnie pozbawionym uprzedzeń podejściu, pod nieobecność Rama Odyna zajął się czytaniem o murcii Yina. Setki małych królestw, księstw, hrabstw i wolnych miast, czasem łączących się w coś w rodzaju państwa, ale przeważnie nie. Kilka większych grup językowych, ale tak bardzo zmieniających się w czasie i z tyloma naleciałościami z niegdyś popularnych języków, że mapa lingwistyczna świata Yina stanowiła obraz chaosu. Z ciekawości Rigg znalazł mapę lingwistyczną świata Rama i przekonał się, że choć sytuacja wyglądała w nim podobnie, kilkaset lat panowania Sessamidów sprawiło, że setki języków wyginęły, zwłaszcza w okolicach rzeki, a zastąpiła je wspólna mowa. Wszystko to było fascynujące, ale jednocześnie przewidywalne. Szybkie zerknięcie do innych murcii upewniło go, iż istniały tam podobne mapy i historie lingwistyczne, podobne mapy polityczne z podobnymi małymi organizacjami politycznymi, które powstawały i upadały, czasem łącząc się z sobą, ale zawsze w końcu znikając w chaosie. Jakbym obserwował morze, pomyślał Rigg. Jakbym siedział na plaży w świecie Lara i patrzył na fale – nigdy dokładnie takie same, ale nigdy też zupełnie inne. Albo płomienie płasające w czerwieni i żółci, zawsze w ruchu, niezmiennie aż do wygaśnięcia ognia. Co Goście zobaczyli podczas swojej zbyt krótkiej wizyty w każdym z tych światów? Oczywiście mogli skopiować wszystkie dane z komputerów pokładowych, satelitów i zbędnych, więc mieli mnóstwo materiału, mnóstwo map do studiowania w drodze powrotnej na Ziemię – i mnóstwo do przedyskutowania. Ale przysłali Niszczycieli, którzy unicestwili całą ludzkość Arkadii. Z jakiegoś powodu według nich zasłużyliśmy na śmierć, pomyślał Rigg.

Ram Odyn wrócił – nie z długimi szatami, lecz tunikami, pasami i płaszczami.

– Jest ciepło, ale powinniśmy włożyć te płaszcze, bo będą nam potrzebne w chłodniejszych porach roku. Tak postępują biedni podróżnicy, gdy nie chcą co roku kupować nowych okryć.

- Szukam bielizny – odezwał się Rigg.
- Zamierzasz się rozbierać na oczach tubylców?
- Nie powinienem wyglądać autentycznie...? Tak na wszelki wypadek?
- W takim razie czym jest bielizna? Tylko kobiety ją noszą, a i to rzadko.

Rigg dotknął materiału.

- Aha. Nie wełna. Bawełna.
- Więc nie potrzebujesz warstwy ochronnej. Ubieraj się, wnuku.
- Ależ to wszystko okropnie czyste i nowe.
- Więc może ludzie uznają, że jesteśmy dobrzy w naszym fachu, skoro stać nas na nowe stroje.
- Chcę zobaczyć miasto. Wprawdzie powiedziałeś, iż wszystkie są podobne...
- Jak uważasz.

Resztę dnia spędzili w mieście. Rigg zapomniał jego nazwę natychmiast po jej usłyszeniu, bo nie miała znaczenia. Było o wiele mniejsze i obskurniejsze od O, najlepiej mu znanego z miast, więc Rigg niemal natychmiast stracił nim zainteresowanie, choć wiedział, że nie powinien tak się zachowywać. Ale miasto nie było aż tak małe. Miało trzy duże rynki targowe, rojne i gwarne, chociaż wystawiony na sprzedaż towar nie oszałamiał różnorodnością. Rigg znał zastosowanie wszystkich przedmiotów i mimo że potrawy pachniały inaczej niż te, które jadł podczas podróży po świecie Rama, przygotowano je z tych samych składników.

Ram Odyn roześmiał się, słysząc to spostrzeżenie.

– Błąd percepcji. Mieli dziesięć tysięcy lat na wyhodowanie wszelkich odmian owoców i warzyw, a także trzody. Jakiś tysiąc lat temu zaczęli hodować na mięso gryzonie. Obecnie mają szczury wielkości świń, jakieś trzydzieści gatunków, a ty przed chwilą zjadłeś gulasz, w którym znajdowały się dwa z nich.

– Bardzo delikatne mięsko – mruknął Rigg. – Gigantyczne szczury? Nic dziwnego, że Goście postanowili roztrzaskać Arkadię w pył.

– Tylko wypalić powierzchnię. Trudno roztrzaskać całą planetę.

Tej nocy przenieśli się w miejsce, w którym Ram Odyn postanowił rozpocząć karierę wędrownego sztukmistrza. Przenocowali w dostosowujących się do kształtu ciała łóżkach w lądowniku. Rigg uświadomił sobie, że wszyscy ludzie ze świata Rama Odyna sypiali na takich posłaniach i nie znali twardych legowisk, do których się przyzwyczaił. A może i nie? Może takie łóżka były tylko dla elity, ale elitę stanowili ci, którzy podróżowali w przestrzeni kosmicznej? Czy całe życie Rama Odyna tak wyglądało? Z łóżkiem, które dostosowuje się do kształtu ciała?

Ale Odyn przybył tutaj, by stworzyć świat – dziewiętnaście światów, jak się okazało – w którym ludzie sypiali na słomie, ziemi lub na stu innych rodzajach legowisk. Świat, w którym ludzie nieustannie coś odkrywali, lecz nadal trudzili się tymi samymi ludzkimi zajęciami. Zwierzęcymi zajęciami. Jedli, pili, wypróżniali się, płodzili

młode, spali, znajdowali lub robili jedzenie, znajdowali lub budowali schronienie i w końcu umierali. Zwierzęce życie, tyle że w ubraniach. Zwierzęce życie, tyle że z lepszym wyjaśnieniem, po co to czynimy.

Rigg wiedział, że te wszystkie zwierzęta, które schwytał, zabił i obdarł ze skóry w ciągu lat spędzonych z ojcem, są takie jak on. Że także czują głód, zimno, pożądanie, senność, że starają się zaspokoić te potrzeby, które w danej chwili są dla ich ciał najważniejsze. A on wykorzystywał to przeciwko nim – zakładał na nie pułapki, bo nie były na tyle inteligentne, żeby dostrzec niebezpieczeństwo. Właśnie tym jesteśmy – zwierzętami, które lepiej od innych potrafią przewidywać przyszłość, lepiej od innych rozumieją prawa przyczyny i skutku. Widzimy rzeczy takimi, jakie są, albo się ich domyślamy i wykorzystujemy te informacje, by w przyszłości podejmować lepsze decyzje. Nie dobre decyzje, po prostu lepsze niż zwierzęce.

Rigg przypomniał sobie, jak robił pułapki ze sznurka i patyków, i pomyślał: „Rozum i zręczność, oto co mamy”. Ale potem spoczął na materacu, poczuł na sobie lekki koc i pomyślał: „Mózg i palce uczyniły w tych światach cuda”.

Rano wstali, ubrali się w tuniki, włożyli sandały i spakowali inne rzeczy, które kupił Ram Odyn: garnek, chochlę, łyżkę, dwa koce, igły i nici, sznur i linkę, ser, trochę czerstwego chleba, kawałek suszonego mięsa – Rigg nie wnikał, z jakiego gryzonia. Zrzucili tobołki na ramiona. Nie były aż tak ciężkie, ale Rigg już czuł, że znienawidzi kociołek objadający mu się o plecy przy każdym kroku. Wiedział także, że z czasem do niego przywyknie. Albo przepakuje węzełek tak, żeby ten przeklęty garnek tak się w nim nie tłukł.

Do gościńca mieli z lądownika dwie godziny drogi. Ram Odyn nazywał to coś gościńcem, a nawet Traktem Królewskim, ale tak naprawdę była to zwykła ścieżka.

– No tak, lecz widać ją wyraźnie i biegnie od Muru na północnym zachodzie do Muru na południowym wschodzie. Jesteśmy sto kilometrów od Muru północno-zachodniego, więc to jedyny tutaj trakt. Nieco dalej staje się na tyle szeroka, że mogą się na niej minąć dwa powozy. W dwóch miastach jest brukowana i mieści cztery powozy.

Szli ścieżką tak długo, aż za którymś z kolei wzgórzem, takim samym jak kilka poprzednich, ujrzeli zbiorowisko domków i rozległe zadbane pola. Kilka piętrowych domów prezentowało się dość zamożnie, zdarzył się także taki z dwoma piętrami. Ze szczytu wzgórza widzieli, że za mgiełką na horyzoncie majaczy inna, większa wioska. Znajdowali się w szerokiej dolinie z krętą rzeką w dole. Rigg nie zauważył na niej żadnych łodzi.

– Tu nie mają zastosowania – wyjaśnił Ram Odyn. – Niedaleko znajduje się wodospad, a za jeziorem, kilkanaście kilometrów dalej, następny. Tutejsi nie łowią ryb.

– Ludzie potrzebują ryb.

– Uprawiają warzywa, które je zastępują. A właśnie, przejdźmy na ten język – dodał

Ram Odyn w mowie, którą poprzedniego dnia słyszeli na ulicach miasta.

– Tak tu mówią? – spytał Rigg również w tym języku.

– Nie, ale tak mówią gdzieś w murchii Yina, więc jeśli w chaszczach na skraju pól ktoś się ukrywa, to usłyszy mowę z tego świata.

I rzeczywiście, wkrótce z kryjówki wypadły dzieci, które popędziły ścieżką przed nimi.

– Chyba nie wyglądamy zbyt groźnie – zauważył Ram Odyn – skoro dzieci się przed nami nie kryją.

– Ale uciekły.

– Żeby powiadomić wieś o naszym przybyciu. Zakładam się, że stanowimy tu najciekawsze wydarzenie od wielu dni.

Rigg przypomniał sobie życie w Wodobrodzie. Tamtejsze dzieci zauważały przybycie obcych, ale nie biegły, żeby kogoś o tym powiadomić – a to dlatego, że obcy zjawiali się kilka razy w tygodniu i zawsze kierowali się do gospody Nox, by coś zjeść, wysłuchać wieści i może się przespać. Potem wspinali się po schodach za wodospadami do lasu w Stromogórze albo odchodzili drogą – dość przypominającą ten Trakt Królewski – biegnącą na wschód i zachód pod Klifem Stromogóru do innych, położonych w jego cieniu miast. Rigg sądził, że Wodobród to senna wioska w środku pustkowia, ale w porównaniu z tą osadą wydawał się centrum handlowych szlaków.

Wodobród był także z pięć razy większy: więcej domów, więcej rzemieślników. Rigg zastanowił się, czy mieszkańcy osady uważają, że żyją w wiosce, czy w mieście. Na jej środku znajdował się plac, na którym być może odbywał się cotygodniowy targ. A może nie. Może to po prostu było miejsce, w którym wieszano się obcych.

Ram Odyn ostentacyjnie kiwał głową ludziom wyglądającym przez okna.

– To poważny ludek – wyjaśnił. – W tym regionie uśmiech oznacza, że jesteś kłamcą.

Rigg zauważył, że miejscowi nie śledzą ich przez szczeliny w zasłonach. Patrzyli na nich otwarcie, doskonale widoczni w otwartych oknach. Odpowiadali poważnym skinieniem głowy na pozdrowienie Rama Odyna, niektórzy ledwie widocznym, inni energicznym, dobitnym, jakby stawiali kropkę na końcu niewypowiedzianego zdania. Pewnie wybiegali z domów tylnymi drzwiami, bo Ram Odyn i Rigg dotarli do placu równocześnie z jakąś dwudziestką ludzi nadchodzących z kierunku, z którego sami przybyli, podczas gdy z przeciwnej strony nadeszli tylko jeden mężczyzna i jedna kobieta.

– Życzymy wam pięknego poranka – odezwał się Ram Odyn, zerkając na słońce, czy nie minęło już południe. – Mamy nadzieję, że zarobimy tu na kawałek chleba i piwo, jeśli się wam spodoba. A jeśli znajdziecie dla nas dość pracy, to może i na nocleg.

– To wy tego chcecie – odezwał się mężczyzna, który stał naprzeciwko. – A dlaczego my mielibyśmy chcieć was?

Rigg podejrzewał, że to burmistrz albo sołtys. Zdawał się mieć tu posłuch. W każdym

razie nikt z miejscowych się nie zdziwił, że mężczyzna przemówił pierwszy.

– Co jest temu młodemu? – spytała kobieta.

– Dwa pytania zasługujące na uczciwą odpowiedź. Czy mogę najpierw odpowiedzieć na drugie, jako że wszyscy przyglądacie się mojemu wnukowi z takim zaciekawieniem?

– Ram Odyn zwrócił się do burmistrza, który skinął głową krótko i dobitnie. – Chłopiec był niemowlęciem ledwie trzydniowym, kiedy dom stanął w płomieniach. Był kryty strzechą, więc palił się niczym stóg siana. Ogień szalał też w jego wnętrzu. Mój syn krzyczał z bólu. Jego żona pochodziła z dziwnego ludu – syn przywiózł ją do wioski z daleka – i chyba знаła jakieś błogosławieństwo, bo gdy podeszła do okna, już płonąc, ogień nie tknął dziecka, które trzymała na rękach. Wyrzuciła je przez okno. Nikt nie stał na tyle blisko, żeby je złapać, tak potężny żar bił od domu, ale dziecko nie doznało najmniejszego uszczerbku. Mój syn krzyczał, lecz ona nawet nie pisnęła.

A więc Ram Odyn był gawędziarzem. Rigg widział, że ludzie słuchają go jak zakłęci. Wiedział też, że Ram Odyn doskonale włada miejscowym językiem, ale umyślnie lekko zniekształca głoski, żeby brzmiał trochę jak mowa, którą słyszeli wczoraj w mieście. W ten sposób jego głos wydawał się nieco obcy, choć doskonale rozumieli.

– Kiedy pogorzeliśko ostygło na tyle, że można się było do niego zbliżyć, podniosłem dziecko. Nie miało ani jednego oparzenia, nawet kocyk, w który je owinięto, nie został nadpalony. Matka chłopca miała potężną moc. Nie tak potężną, by sama mogła się uratować z ognia, lecz na tyle wielką, by ocalić mu życie.

– Skoro to nie oparzenia, to co mu się stało w twarz? – spytała ta sama kobieta.

– Matka uchroniła go przed płomieniami, lecz nie przed żarem, od którego jego twarz się rozpułyła. Usiłowałem ją ukształtować na nowo, ale – jak widzicie – nie radzę sobie z gliną. Robiłem, co mogłem, i chłopiec do tego przywykł, prawda, chłopcze?

Rigg skinął głową.

– Nie mówi? – spytał burmistrz.

– To już trzy pytania, a ledwie odpowiedziałem na pierwsze – odparł Ram Odyn. – Chłopiec potrafi mówić, ale jest nieśmiały i woli rozmawiać ze mną, gdy znajdzie się wśród obcych.

Tłum zafalował, rozległy się pomruki.

– O, nie zrozumcie mnie źle – rzucił Ram Odyn. – Wiem, że tutaj to my jesteśmy obcy. Ale i wy jesteście obcy dla nas, rozumiecie? Przyszliśmy tu jednak z własnego wyboru, więc nic do was nie mamy. Liczymy, że będziemy mogli się wam przysłużyć, a to prowadzi do pierwotnego pytania, pierwszego pytania, pytania nad pytaniami.

– Co potraficie robić tak dobrze, że powinniśmy was nakarmić? – spytał znowu burmistrz.

– Cóż, ja na niewiele się przydam. Jestem stary i choć nadal silny jak na mój wiek, to niewiele. Co innego chłopiec. Ma w sobie nieco matczynej krwi. Nigdy się nie uczył i nie zna żadnych zakłęb, więc nie musicie się go bać. Ale ma smykałkę do znajdowania

tego, co zgubione.

– Czyli czego? – spytał burmistrz.

– No, nie chodzi o to, że kiedy znajduje jakiś przedmiot, idzie szukać właściciela. Musicie mu powiedzieć, co zgubiliście, a on to znajdzie, jeśli można to znaleźć, albo powie wam, co się z tym stało, jeśli będzie mógł tego dotknąć. Nie zawsze się to udaje, tylko w połowie przypadków, ale oto, co proponuję: dacie nam jeść, jeśli spróbujemy, i nocleg, jeśli nam się uda.

– Chcecie dostać jedzenie za nic – rzucił burmistrz lekceważąco.

– Jeśli nie chcecie nam nawet pozwolić spróbować, nadal mamy kawałek sera, chleba i mięsa z wczoraj, więc zaraz stąd pójdziemy. W oddali widziałem inną wioskę.

– To Śmierdzielów – wyrwał się jakiś niedorostek i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Nie lubimy ich – wyjaśnił burmistrz. – Wszystko robią na opak.

– Zatem pewnie częściej gubią rzeczy, a to znaczy, że im bardziej się przydamy. – Ram Odyn klepnął Rigga w ramię. – To szczęśliwe miejsce. Nigdy nie zgubili tu niczego ważnego.

Ruszył przez plac, ale jego opowieść wywarła wrażenie na ludziach, którzy teraz wydawali się rozczarowani. W końcu jakiś wysoki mężczyzna wystąpił z tłumu.

– Ja coś zgubiłem – oznajmił.

Burmistrz zerknął na niego z rozdrażnieniem, ale nie starał się go uciszyć.

– Kilka lat temu poszedłem do miasta – podjął mężczyzna – kupiłem żonie pięć mosiężnych guzików. Na każdym widniał wyryty ptak. Żona przyszyła je do bluzki, ale teraz jeden się zgubił.

– Pewnie się pochyliłam i jakoś odprysnęłam – odezwała się żona, która chyba wstydziła się wystąpić z tłumu.

– Sporo za nie zapłaciłem – dodał mężczyzna. – Chciałbym odzyskać ten guzik.

– To chyba nic trudnego, prawda? – zwrócił się Ram Odyn do Rigga.

Rigg już dostrzegł ścieżkę kobiety. Widział, do których budynków wchodziła najczęściej i gdzie była ostatnio. Już zaczął podejrzewać, gdzie leży guzik i dlaczego kobieta nie chce, żeby go szukano, ale nie powiedziała, że nie życzy sobie go odzyskać.

– Gdzie była, kiedy ostatnio miała guzik? – spytał Rigg łagodnie.

Mówił tak cicho, że słyszeli go tylko Ram Odyn i najbliższy stojący miejscowi, a ponieważ go słyszeli, usiłował naśladować wymowę Rama Odyna – jakby pochodzili z tego samego miejsca.

– Jak mogę to pamiętać? – rzuciła kobieta. – Nawet nie wiedziałam, że go straciłam, dopóki Bak tego nie zauważył.

– Ale wiesz, kiedy włożyłaś tę bluzkę, więc znasz ten dzień – odezwała się jakaś starsza kobieta. Może jej matka?

Obie patrzyły na siebie tak, że wydawało się to całkiem prawdopodobne. I tak, ich ścieżki zbiegały się wiele lat temu w innym domu. Tam właśnie zaczynała się ścieżka

żony Baka.

– Czy mogę poznać twoje imię? – spytał Rigg.

– Po co ci imiona? Żadnych imion! – zawołał burmistrz. – Nie pozwolę tu rzucać żadnych zaklęć!

– Mogłoby mi to pomóc w znalezieniu guzika – mruknął Rigg – ale nieważne.

– Nazywa się Jobo – powiedział Bak. – Wszyscy to wiedzą.

Burmistrz łypnął na niego, ale Bak patrzył tylko na Rigga.

– Miała go przy śniadaniu pięć dni temu – oznajmił Bak – a przy kolacji już nie. Nie wiem, gdzie chodziła przez cały dzień, bo byliśmy na sianokosach. Drugi dzień.

– Nie czułam się dobrze – dodała Jobo. – Zostałam w domu, żeby odpocząć.

– Więc znajdzie guzik w naszym domu – powiedział do niej Bak łagodnie.

Rigg pomyślał, że mężczyzna kocha swoją żonę, lecz uparł się, że się dowie, co się stało z guzikiem. Pięć dni, a jego wciąż to dręczyło.

– Już szukałeś? – spytał Ram Odyn.

– Odwróciłem dom do góry nogami i potrząsnąłem – odparł Bak.

Kilka osób się roześmiało. Ten człowiek umiał dobierać słowa i ludzie go lubili.

– Ale guziki potrafią się zapodziać. Wiem, jak to jest. Człowiek szarpnie, guzik odleci, gdzieś wpadnie i tyle go widzieli.

Rigg zrozumiał, że burmistrz może być najbardziej władczym człowiekiem w wiosce, a może także najbogatszym, ale gdyby ludzie mogli wybierać, wybraliby na swego przywódcę Baka i burmistrz o tym wiedział. Jeśli Bak chciał, żeby przybysze poszukali guzika, burmistrz powinien mieć dość rozumu, żeby się nie wtrącać. I rzeczywiście burmistrz pokręcił głową.

– Nie znajdą go, bo takie magiczne sztuczki nie istnieją, ale jeśli chcesz ich nakarmić, to proszę.

Ponieważ Bak dokładnie to zamierzał zrobić, burmistrz stworzył tylko złudzenie, że mu to rozkazał. I wszyscy o tym wiedzieli. Burmistrz odszedł, a Bak wyciągnął rękę do Rigga i Rama Ody.

– Chodźcie do mojego domu. Usiądźcie przy moim stole do południowego posiłku. Tam ostatnio widziałem guzik u jej bluzki, jeśli to wam pomoże. I zobaczycie, jak moja żona gotuje, jeśli to wam pomoże.

– Ach, więc to ja muszę pracować? – prychnęła Jobo. – Mój guzik, moja strata, ale to ja muszę przygotować południk?

– Ja wiem, gdzie leży chleb – odparł Bak – i potrafię ugotować jajka.

– Nie chcę, żebyś mi się kręcił po kuchni – warknęła Jobo. – Poślubiłam największą niedojdę w wiosce i nie chcę, żebyś mi wszystko zapaćkał jajkami!

– Tylko je ugotuję – powiedział Bak łagodnie.

Rigg zauważył, że miejscowi nie przepadają za kobietą, za to za jej mężem – tak. Warcząc na niego, ośmieszyła siebie, nie jego, ponieważ najwyraźniej nikt nie sądził,

żeby Bak na to zasłużył. Ale nikt też się nie odezwał. To, jak małżonkowie się do siebie odnoszą, było wyłącznie ich sprawą.

Rigg i Ram Odyn skierowali się do sporego domu. Nie mieszkała tu biedna rodzina. Ten dom należał do niej od pokoleń. Rigg widział ścieżkę Jobo i Baka biegnące z niego i do niego. A także ścieżki dzieci, które chyba dorosły i odeszły, bo ich ścieżki nie wracały.

– Dzieci nadal z wami mieszkają? – spytał Ram Odyn. – Taki duży dom...

– Moi rodzice mieli siedmioro... które przeżyły – powiedział Bak – my – dwoje. Chłopiec wyruszył szukać szczęścia, biedak, dziewczynka wyszła za męża. Obawiam się, że nie lubili tu mieszkać.

Rigg zastanowił się, czy dzieci odeszły z powodu niesnasek małżeńskich, czy po prostu były spragnione wolności. A może w przypadku dziewczyny chodziło o miłość?

– Myślisz, że chłopak je znalazł? – spytał Ram Odyn. – Szczęście?

– Nawet jeśli, to nie wrócił, żeby o tym opowiedzieć – westchnął Bak.

Jego żona zatrzymała się z hałasem, żeby zaakcentować swoje zniecierpliwienie.

– Przecież nie ma go tylko dwa lata! – rzuciła.

– Rok, żeby zdobyć fortunę, rok, żeby ją przepuścić, a potem wrócić do domu – odparł Bak. – Spodziewam się go zobaczyć lada dzień.

– A ja wkrótce zobaczę naszą córkę. Jej mąż pisze dwa razy w roku.

– Wyjechała tak daleko? – spytał Rigg.

– Tak daleko, jak wypada uczciwej dziewczynie – powiedziała Jobo żałośnie. – Na trzecią wieś. – Wskazała na południe.

Najwyraźniej czwarta wioska kusila wyłącznie nieuczciwe dziewczyny. Ram Odyn miał rację. Ich świat był mały.

Podczas obiadu Ram Odyn zabawiał wszystkich opowieściami o życiu w drodze. Może niektóre z nich pochodziły z jego wcześniejszego życia, a może były znanymi powszechnie historyjkami z Ziemi. Rigg nigdy ich nie słyszał, ale i nie słuchał, bo zajmowało go śledzenie wszystkich ruchów Jobo. Dawniej widział tylko ścieżki, dopóki Umbo nie zwolnił czasu – albo nie przyspieszył jego percepcji, tego nigdy nie rozstrzygnęli. Ale widzenie ścieżek nie opisywało istoty rzeczy, ponieważ nie musiał patrzeć, a i tak z łatwością śledził ścieżki za swoimi plecami lub ukryte za ścianami. Teraz, w masce, potrafił przyspieszyć swoją percepcję precyzyjniej niż z pomocą Umba. Ścieżki nie wyglądały już jak ścieżki, jeśli patrzył wprost na nie, ale jak rozciągnięta zamglona sylwetka osoby w ruchu. A jeżeli przyspieszył jeszcze bardziej, zamglone sylwetki stawały się osobą, wykonującą określone czynności danego dnia o danej godzinie w danym miejscu. Dlatego Rigg dowiedział się, że gdy tylko drogi opustoszały, Jobo zakradła się od tyłu do domu burmistrza, a burmistrz czekał na nią w sypialni na górze – Jobo znała drogę – gdzie właśnie rozprysły się wszystkie jej guziki z niecierpliwie rozdartej koszuli. Potem została, żeby je przyszyć, ale znalazła tylko

cztery. Burmistrz przewrócił pokój do góry nogami, szukając piątego.

Rigg zamknął oczy i jeszcze bardziej zwolnił czas – lub przyspieszył siebie. Teraz osoby ledwie się poruszały, ale widział wyraźnie fruujące guziki, te, które znaleźli bez trudu, i ten piąty. Odbił się od podłogi pod komodą i chyba zaklinował się pod jakąś deszczułką lub w narożniku mebla, bo nie spadł już na podłogę. Nie wystarczyło spojrzeć pod komodę, a nawet odsunąć ją od ściany. Trzeba by nią potrząsnąć lub uderzyć, żeby guzik się obluźował.

No tak, najgorsze podejrzenia Baka się potwierdziły, a gdyby Rigg znalazł guzik w domu burmistrza... no, to byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby burmistrz go wpuścił. Ale burmistrz zabroni mi wstępu. To na nic. Poza tym Bak tylko bardziej utwierdzi się w przekonaniu, że jego żona i burmistrz coś knują.

Ram Odyn pewnie też doszedł do tego wniosku, bo zaczął opowiadać historię kobiety przyłapanej na zdradzie, którą zmuszono do noszenia na ubraniu czerwonej litery, pierwszej litery słowa „cudzołóstwo” w języku kraju, w którym się rozegrała ta historia. Kiedy kobieta umarła, na jej piersi znaleziono bliznę w kształcie tej litery, tak jakby stała się ona piętnem wypalonym w jej sercu.

– Należało ją spalić – powiedział Bak. – Kobieta, która popełnia taki grzech, będąc żoną i matką, pali własny dom.

– To straszna rzecz i nikt już tak nie robi – rzuciła Jobo z żarem.

– Zrobili zaledwie dziesięć lat temu.

– W Śmierdzielowie, nie tutaj.

– Bo mieszkała w Śmierdzielowie, nie tutaj.

– Czy ta wioska naprawdę nazywa się Śmierdzielów? – spytał Rigg, zastanawiając się jednocześnie: „Czy tak tu karzą cudzołóstwo? Paląc dom z kobietą w środku?”.

– No, oni tak jej nie nazywają – wyjaśniła Jobo – ale znaleźli też zacząć nazwę dla naszej wioski, możesz być pewien.

– Jak ją nazywacie?

– Nie wszystko ma nazwę – odparł Bak.

– Nazywamy ją domem – oznajmiła Jobo. – I nie chcę gadać o wstrętnych starych obyczajach.

– Dla mnie to zawsze miało sens – powiedział Bak. – Żona zdradza męża: niszczy jego dom i sama staje się martwa. Spalenie ich to tylko symbol widoczny dla innych.

– Ale domu z niewiernym mężczyzną w środku to już się nie pali.

Bak spojrzał na żonę ze szczerym zdziwieniem.

– A po co? Mężczyzna nie złoży cudzego jaja w gnieździe!

– Widzicie go, gęba pełna starych głupich porzekadeł! – rzuciła Jobo z zacierzowaniem. – Wszyscy uważają, że jest taki miły, ale on wszystko bierze na zimno, na lodowato. I nigdy nie ustaje, dopóki nie dopnie swego.

Bała się go. Bak znosił jej gadaninę, ale gdyby uznał się za naprawdę

pokrzywdzonego, szukałby sprawiedliwości. Właśnie tego się obawiała i to usiłowała dać do zrozumienia Riggowi. Na wypadek gdyby naprawdę umiał znajdować przedmioty. Rigg szybko pojął, że jeśli znajdzie guzik, spowoduje straszny ciąg wydarzeń. W każdym razie nie mógł znaleźć go tam, gdzie naprawdę leżał.

– Czy po obiedzie mogę się położyć, żeby rozpoczęło się odnajdywanie? – spytał.

– Musi przebywać w zupełnej samotności... tylko ze mną – dodał Ram Odyn.

„I bez ciebie, ty stary chytrusie”, pomyślał Rigg, ale nie ośmielił się sprzeciwić. Gdyby zaczęli się spierać, straciliby wiarygodność. Dlatego pół godziny później, gdy znaleźli się w pokoju z porządnym – według miejscowych standardów – łóżkiem, Rigg cicho wyjaśnił, gdzie znajduje się guzik.

– Nie chcę widzieć, jak ten dom płonie – powiedział Ram Odyn.

– Nie spłonie – odparł Rigg. – Zdobędę ten guzik i znajdę go gdzie indziej. Przepraszam na chwilę.

Zdjął sandały – na drewnianej podłodze strasznie stukały – i cofnął się w czasie w środek nocy. Oczywiście w łóżku leżała Jobo, ale nie Bak. On musiał sypiać gdzie indziej. Rigg wykradł się z domu przez otwarte okno, żeby nie skrzypieć drzwiami, i przeszedł za budynkami tą samą ścieżką, co Jobo w czasie sianokosów. Dotarł do domu burmistrza i zakotwiczył się w ścieżce Jobo z tamtego dnia. W ułamku sekundy zrobiło się jasno i zobaczył odchodzącą pośpiesznie żonę Baka. W rozchyleniu bluzki między jednym guzikiem na dole i trzema na górze przeświecało jej ciało. Kobieta ostrożnie zamknęła drzwi, ale Rigg wiedział, że burmistrz wkrótce przestanie szukać guzika. I rzeczywiście, drzwi znowu się otworzyły i burmistrz wyszedł z domu.

Teraz Rigg mógł wejść i znaleźć guzik. W środku nie było nikogo, więc nie musiał się bać, że ktoś go usłyszy, gdy otworzy drzwi i wejdzie po schodach. Obmacał komodę od spodu: wyczuł deszczułki i zrozumiał, że guzik musiał wylądować między nimi. Nie mógł jednak tak wykręcić ręki, żeby go dosięgnąć. Nie mógł też przechylić komody. A gdyby się przewróciła? To ciężki mebel.

Dlatego Rigg westchnął ciężko i cztery razy obejrzał scenę z dnia sianokosów, aby się upewnić, w którym miejscu odbił się guzik. W końcu ułożył rękę we właściwej pozycji i cofnął się o godzinę do właściwego momentu – złapał! – po czym natychmiast wrócił do czasu, w którym dom był pusty. Dzięki błyskawicznym ruchom, które zawdzięczał masce, pojawił się tylko na ułamek chwili, więc nawet gdyby burmistrz nie był zajęty czym innym, widziałby go tylko przez mgnienie oka. A Jobo stała tyłem do niego.

Trzymając guzik w dłoni, Rigg zastanowił się – nie po raz pierwszy zresztą – czy właśnie dlatego nikt nie mógł go potem znaleźć. Ale przecież on złapał guzik, dopiero kiedy okazało się, że zaginął.

Właśnie do tego prowadziło myślenie o zmianach, jakie następowały za ich sprawą – na skraj paradoksalnego szaleństwa. Dawno temu uznali, że nic nie stanowi obiegu

zamkniętego. Wydarzenia nie następują same z siebie. Więc guzik naprawdę gdzieś się zaklinował, dając początek temu problemowi, a teraz już nie było go tam, gdzie był, ale tylko dlatego że Rigg, znajdujący się na końcu łańcucha wydarzeń, wrócił w czasie, żeby go wydobyć.

Rigg wyszedł tylnymi drzwiami, zamknął je starannie, a potem cofnął się do nocy, w której pojawił się w domu burmistrza. Teraz, pod osłoną mroku, wyszedł na główną ulicę i podążył za licznymi ludzkimi ścieżkami za miasto na łąki. Wiedział, że to łąki, ponieważ tam właśnie zbiegały się wszystkie ścieżki w dniu sianokosów. Wybrał przydrożny kamień i wsunął pod niego guzik, choć w takim miejscu guzik nie mógł się znaleźć. Potem wrócił do domu Baka i Jobo i wszedł przez okno. Po drodze zauważył Baka śpiącego w sypialni syna. Drzwi były zamknięte – Rigg widział go tylko dzięki jego ścieżce – ale zmysły tropiciela podpowiedziały mu, że mężczyzna prawie nie zmrużył oka. Leżał, wpatrzony w sufit. Może nie w tej chwili, ale długo po położeniu się spać – tej nocy i innych, od kiedy guzik zniknął, a on opuścił łóżko Jobo.

A oto i Jobo, niewierna małżonka. Rigg wiedział dokładnie, jak zwyczajne – i niezwykle – były takie czyny. W mieście zdarzały się częściej, w małych wioskach, gdzie wszyscy się znają i trudno coś ukryć, rzadziej. Jobo i burmistrz musieli się naprawdę postarać, żeby w tajemnicy zdradzić swoich współmałżonków. A zdarzyło się to tylko dwa razy w odstępie dwóch miesięcy – Rigg widział to wszystko. Może na tym się zakończy.

Rigg skoczył w czasie do chwili, gdy opuścił Rama Odyna.

– Masz? – spytał towarzysz.

– Przeniosłem go tam, gdzie go znajdę – odpowiedział Rigg. – Trochę musiałem się nagimnastykować.

– Więc ujdzie im na sucho.

– Tym razem.

– Dobrze, że ograniczyłeś się do znalezienia guzika.

– A co jeszcze mógłbym zrobić?

– Mógłbyś ją wystraszyć, żeby uciekła i nigdy nie dotarła do jego domu. Mógłbyś wrócić do chwili, kiedy wpadli sobie w oko i postanowili zafundować sobie romansik.

– A powinienem?

– Gdybyś to zrobił, musielibyśmy się natłumaczyć do diabła i trochę, co robimy w tym pokoju, do którego nikt nas nie zaprosił z powodu zgubionego guzika.

– Gdybym miał talent Umba, mógłbym się nam pojawić na drodze i ostrzec przed wizytą w tej wiosce.

– Myślałem, że maska dała ci wszystkie jego zdolności.

– Nie, skąd. Umbo potrafi przyspieszyć swoją percepcję, więc czas zdaje się wtedy płynąć wolniej, i potrafi robić to samo z percepcją innych. Zrobił to ze mną – w ten sposób dowiedziałem się, że te ścieżki to tak naprawdę ludzie. Teraz to samo

umożliwia mi maska, ale ona nie potrafi przyspieszyć cudzej percepcji. A ten numer z pojawianiem się ludziom? To umie tylko Umbo. Ja zakotwiczam się w cudzej ścieżce i tak się pojawia. On jakoś wysłał wiadomość. To on ma prawdziwy talent... Gdyby tylko nauczył się nad nim panować... Ale od kogo miałby się uczyć? Nikt nie umie tego, co on.

– Ale kiedy wysłał ostrzeżenie, czy nie musi zrobić tego jeszcze raz, kiedy dotrze do tego punktu w przyszłości?

– Czy zbędny ci tego nie wyjaśnił? Dzięki ostrzeżeniu Umba nigdy nie dotrzemy do tego punktu w przyszłości. Ten punkt nie istnieje. Wszystko, co się wydarzyło po drodze – łańcuch przyczyn i skutków – przepadło. Nigdy nie nastąpi.

– Więc Umbo nie wysłał wiadomości – powiedział Ram Odyn, kręcąc głową.

– Pamiętam, że też tak myślałem. Ale doświadczenie pokazało, że skutek nie unicestwia swojej przyczyny. Dlatego stara przyszłość znika. Nigdy się nie wydarzy. A ja nie mogę się przenieść do utraconego czasu, bo nie zostawił on ścieżki w naszej przeszłości.

– Dlaczego więc nie zniknąłeś, kiedy ostrzegłeś samego siebie? A raczej Noxona...

– Bo go nie ostrzegłem. Nie jestem Umbem. Nie mogłem się po prostu pojawić. Ja p r z y b y ł e m i w tym momencie zmieniłem bieg wydarzeń. A Noxon nie mógł się stać tym mną, który zabił ciebie. Lecz to mnie nie unicestwiło. Spowodowałem zmianę w ścieżce Noxona, więc musiałem pozostać.

– Mam nadzieję, że nie tylko ja nic z tego nie zrozumie.

– To prawo zachowania związku przyczynowo-skutkowego. Wiadomość Umba może zmienić przeszłość w taki sposób, że zniszczy przyszłość, w której Umbo wysłał wiadomość. Tak jak wiadomości od przekładaczy z murcii Odyna – ponieważ wysyłają przedmiot, nie samych siebie. Ale ktoś taki jak ja, Noxon i również Umbo, kiedy przenosi się w czasie... Nie potrafię skoczyć w przeszłość, zmienić jej i unicestwić siebie, bo jestem sprawcą przyczyny, nadal tkwiącym w przeszłości, opierającym się zmianie, którą spowodowałem. To ma sens, naprawdę.

– Wcale nie – odparł Ram Odyn. – Ale jeśli wydaje ci się, że to rozumiesz, to mi wystarczy.

Przez jakiś czas leżeli na twardym wyrku – łożu małżeńskim, najwygodniejszym w całym domu. Leżeli tak długo, by wydawało się, że naprawdę odpoczywają. Potem wyszli z pokoju.

– Wiem, gdzie jest guzik – oznajmił Rigg. – Chodźmy po niego.

Jobo ledwie ukryła panikę, ale nie odważyła się pisnąć ani słowa. Lecz Rigg nie zamierzał być okrutny.

– Musiałaś zapomnieć, że jednak poszłaś na sianokosy. Nie wiem, czy poczułaś się lepiej i postanowiłaś pomóc, czy po prostu wyszłaś sprawdzić, czy już wracają.

– Nie opuściłam domu – rzuciła Jobo zbyt gwałtownie.

– Byłaś chora – odezwał się Ram Odyn. – Możesz nie pamiętać. Albo sądzisz, że to był sen. Ale jeśli Rigg twierdzi, że wie, gdzie jest guzik, to go tam znajdziemy.

Z twarzy kobiety znikło przerażenie, ale nie zastąpiła go ulga, lecz ta sama pogarda, z jaką Jobo warczała na Baka. Ma mnie za oszusta, pomyślał Rigg. I dobrze.

– Pójdźmy po niego – powiedział. – To ty musisz go znaleźć.

– Dlaczego ja? – prychnęła Jobo. – Wątpię, żebym tam w ogóle była, więc dlaczego mam tam szukać guzika?

– Już to sprawdziliśmy na własnej skórze – wtrącił Ram Odyn. – Jeśli to Rigg odnajdzie zagubiony przedmiot, ludzie zaczną szeptać, że od początku miał go przy sobie albo że na pewno go ukradł. Dlatego Rigg nie zbliża się już do waszych rzeczy. Sama znajdziesz swoją zgubę.

– Nie znajdě.

– Ale nie dlatego, że nie próbowałaś – odezwał się Bak łagodnie. – Spróbujesz, ponieważ odnalezienie tego guzika jest bardzo ważne. Dużo za niego zapłaciłem, a moja żona powinna nosić mosiężne guziki, a nie pospolite drewniane.

– Nigdy bym cię nie dręczyła o te głupie guziki.

– Pragnęłaś ich całym sercem. I byłaś z nich dumna. Zawsze staram się spełniać twoje pragnienia, jeśli to leży w zasięgu moich możliwości.

W tych słowach Rigg usłyszał echo jakiejś życiowej tragedii. Nie potrafił od razu stwierdzić, o co chodzi, nie bez wniknięcia w sprawę, lecz kobieta pragnęła czegoś, czego mąż nie mógł jej dać. Może więcej dzieci? Albo czegoś innego. Rigg mógł prześledzić ich ścieżki i zobaczyć całą historię, ale miał już dość ich tajemnic.

Gdy cała czwórka wyszła z domu, dołączyli do nich inni mieszkańcy wioski. Wszędzie tutaj panowała cisza – nikt nie krzyczał, choć między domami bawiły się dzieci. Ścieżki jednak świadczyły o tym, że idą za nimi prawie wszyscy. W domostwach zostało tylko parę osób – matki z niemowlętami czy starzy ludzie drzemący w środku dnia. Prace polowe skończyły się na ten rok, choć zima jeszcze nie nadeszła. Mieszkańcy przygotowywali się do niej – robili sery i kielbasy, wędzili mięso, naprawiali uprząże, pletli sznury, naprawiali rozchwiane krzesła, wymieniali zawiasy w drzwiach. Ale rzucili wszystko dla zagubionego guzika. A Rigg zastanawiał się, jak wiele osób idzie z ciekawości, czy to nie oszustwo, a ile doskonale wie albo się domyśla, gdzie zaginął guzik, i chce się przekonać, czy dziś spłonie czyjś dom.

Rigg odegrał wielką scenę, idąc z wyciągniętymi przed siebie rękami i zamkniętymi oczami, choć oczywiście widział własną ścieżkę z poprzedniej nocy i dokładnie wiedział, gdzie leży guzik. Wiedział także, że do kamienia nie prowadzi żadna inna ścieżka, więc nikt nie znalazł ani nie przeniósł guzika. Nagle otworzył oczy, odwrócił się gwałtownie i wskazał miejsce, w którym widział własną ścieżkę, pochyloną nad kamieniem.

– Tam – oznajmił. – Guzik odbił się i zarył w ziemię. Leży pod kamieniem mniej

więcej tej wielkości.

– Czyżby? – wycodziła Jobo.

– Ty zajrzysz czy ja mam to zrobić? – spytał Bak cicho. – Chłopiec mówi prawdę, a w każdym razie wierzy w swoje słowa. Nie masz nadziei, że się nie myli? Czy nie byłoby dobrze, gdyby guzik znalazł się przy drodze?

Kobieta zacisnęła zęby i pomaszerowała we wskazane miejsce. Zobaczyła kamień – leżał tam tylko jeden „mniej więcej tej wielkości”. Nie pochyliła się, lecz trąciła go stopą. Potem krzyknęła i pochyliła się, żeby podnieść guzik. I akurat wtedy – gdyż wszechświatowi najwyraźniej zależało, żeby wszystko się świetnie ułożyło – drewniany guzik, który przyszyła na miejsce zgubionego mosiężnego, odpadł od jej bluzki, ponieważ materiał napiął się za bardzo. Prysnął i już!

Jobo krzyknęła i uniosła guzik, pokazując go wszystkim. Natomiast Bak stanął za nią i starannie zebrał poły jej bluzki, zasłaniając jej ciało. Rigg nigdy nie widział tak szczęśliwego człowieka.

– Musiałam... myślałam, że to sen – wykrztusiła kobieta. – Jak powiedziałeś, wydawało mi się, że tylko mi się śniło, jak wychodzę sprawdzić, czy już wracasz, ale nie wracałeś, a mnie się zrobiło bardzo słabo i pochyliłam się, żeby krew napłynęła mi do głowy i żeby nie zemdleć... i wtedy musiałam go zgubić. Och, jak mogłam myśleć, że to sen, skoro ten guzik dowodzi, że to wszystko wydarzyło się naprawdę!

Wszyscy patrzyli na jej uniesienie, na radość jej męża. Ale Rigg zauważył, że Ram Odyn podszedł do burmistrza i szepnął coś cicho do niego, a ten gwałtownie skinął głową, a potem dołączył do tłumu. Ram Odyn wrócił do Rigga.

– Powiedziałeś mu... – zaczął Rigg.

– Powiedziałem: „Tym razem was uratowaliśmy, ale jeśli zrobicie to znowu, dam ci słowo, że spłoną dwa domy”.

– Co teraz?

– To już jego zmartwienie. Niech pilnuje żony i może bardziej zwraca na nią uwagę. A może boi się, że ten drugi dom należy do jakiejś innej kochanki z tej wioski. Nie mam pojęcia. Ale zabrzmiałem przekonująco, prawda?

– To czego się tu nauczyliśmy? Że ludzie palą niewierne kobiety w ich domach? Że najlepszy człowiek w mieście nie jest burmistrzem, ale wszyscy już o tym wiedzą i burmistrz nie może go tknąć?

– Wszystkiego tego, a dodatkowo dostaniemy kolację i nocleg. Choć tym razem spędzimy noc w sypialni syna i córki, bo Bak zapewne wróci do łóżka żony.

– Skąd wiesz?

– Widziałem, że ktoś spał w łóżku chłopaka, a nie dziewczyny. I że łóżko Jobo jest jedynym, które może pomieścić dwie osoby. Prosta matematyka.

– Ty też widzisz ścieżki.

– Na swój sposób.

Nagle wszyscy przypomnieli sobie o nich i wokół nich zrobiło się ciasno. Ale jakoś nikt nie miał nic do odnalezienia – z wyjątkiem dziecka, które zakopało gdzieś ulubioną lalkę. Rigg bez trudu wskazał drzewo, pod którym dziecko klęczało jakiś czas przed rokiem. Lalka rzeczywiście tam była, lekko nadgniła, mimo to dzieci miały kolejny powód do radości. Znalazca zagubionych zabawek! Teraz jego sława miała się rozejść po wsiach i opłotkach.

Rozdział 6

COFANIE

Umbo słuchał, jak Bochen i Lejka planują podróż po maskę. Miał złe przeczucia, ale nie było sensu się spierać. Bochen i Lejka podjęli decyzję i potrzebowali pomocy Umba, ponieważ zgodnie z ustalonymi przez Rigga zasadami przez Mur mogli przejść tylko we dwóch. We dwóch, ponieważ wyruszyli w drogę z Umbem i Bochnem, bez Lejki.

– Najlepsze w podróży do Muru – oznajmił Bochen – jest to, że nikt nas jeszcze nie szuka.

– Ciągłe do tego nie przywykłam – powiedziała Lejka. – Mówisz, że szuka cię połowa królestwa, ponieważ uciekłeś temu generałowi Obywatelowi, a potem pomogłeś córce królowej i Riggowi uciec przed Ludową Radą Rewolucyjną... ale to wszystko jeszcze się nie wydarzyło.

Dopiero wtedy Umbo uświadomił sobie, że ich podróż nie przebiegnie bez problemów.

– Jeszcze jedna rzecz się nie wydarzyła – oznajmił.

– Twój zarost? – prychnął Bochen.

– Rigg jeszcze nie objął dowodzenia statkami. Został nam do tego czasu niecały rok. Więc jeśli teraz zbliżymy się do Muru, pokładowe komputery nie będą wiedziały, że mają go wyłączyć.

– Co to jest komputer? – spytała Lejka.

– Powiedziałbym ci, gdybym to rozumiał – mruknął Bochen. – To coś gada bez ust i mówi – jeśli zechce – rzeczy, o których powinnaś wiedzieć. Ale nie wszystkie.

– Słyszałeś mnie? – spytał Umbo.

– Zastanawiam się nad tym. I sędzę, że powinniśmy podejść do Muru, a wtedy ty przeniesiesz nas w przyszłość, po odejściu królowej i generała Obywatela. Wtedy nas przeprowadzisz. W tamtych czasach Rigg wydał już polecenie, prawda?

– Przecież nie mogę tego zrobić. Nie mogę skoczyć w przyszłość.

– Robisz to bez przerwy – odparł Bochen. – Kiedy wszyscy wróciliśmy, żeby obejrzeć bitwę ludzi o nagich twarzach z ludźmi z maskami, zabrałeś nas w przyszłość.

– Nie. Zostałem w przyszłości i ściągnąłem was do mnie. Byłem kotwicą.

- Ale kiedy odwiedziłeś statek Gości... przemierzyłeś wiele lat do przodu.
- To także nie moje dzieło, tylko Param. Kiedy tnie czas, bardzo szybko przenosi nas w przyszłość tysiącami maleńkich skoków. Potem ja sprowadziłem nas z powrotem jednym wielkim skokiem. To potrafi każde z nas.
- Rigg skacze w przeszłość, tak? – spytał Bochen.
- Noxon usiłuje się tego nauczyć – powiedział Umbo. – A ponieważ Rigg i Noxon mają twarzomaski, może im się to uda, ale nie mnie. Zresztą sądzę, że oni także nie dadzą rady, ponieważ Rigg zawsze wyprawiał się w przeszłość, łącząc się z czyjąś ścieżką, a ścieżki biegnące w przyszłość nie istnieją.
- Więc nie możemy tam się dostać? – spytała Lejka.
- Chyba możemy – powiedział Bochen. – Umbo po prostu jeszcze nie zna swoich wszystkich możliwości. Myślę, że w sprawach podróżowania w czasie jest jak dziecko, które nauczyło się raczkować, ale jeszcze nie spróbowało stanąć na nogach i iść.
- Obyś miał rację – westchnął Umbo.
- Moim zdaniem powinienes spróbować – oznajmił Bochen. – Przenieś się w przeszłość, a potem wróć do dzisiaj, dopóki masz o nim jeszcze świeże wspomnienia. Nie mówię o cofnięciu się o rok czy nawet dzień. Cofnij się o minutę, potem zrób dwa kroki i postaraj się tu wrócić.
- Wtedy pojawi się dwóch mnie.
- Tylko przez minutę.
- Ale nawet jeśli nie potrafisz wrócić do teraźniejszości, będziesz musiał zaczekać tylko minutę – wtrąciła Lejka. – Dla mnie to ma sens.
- Przyszedł mi do głowy lepszy pomysł – odparł Umbo. – Mam do załatwienia pewną sprawę kilka tygodni temu. Zajmę się tym i albo przeżyję te dwa tygodnie i wrócę, albo skoczę w czasie. Ale bez względu na to, ile czasu tam spędzę, wrócę, ani się obejrzyście.
- Bochen spojrział na niego podejrzliwie.
- Co to za sprawa? Chyba nie wykopiesz znowu klejnotów?
- Tu nie chodzi o figle. Mam pewien biznes w Wodobrodzie.
- Ledwie wspomniiał o swoim rodzinnym miasteczku, zrozumiał, że popełnił błąd.
- Jeśli chodzi ci o załatwienie spraw z ojcem, nadal jest od ciebie większy – ostrzegł go Bochen. – No, może nie. Ale zostaw to w spokoju.
- On nie zamierza szukać odwetu – odezwała się Lejka.
- Umbo miał dość tej dyskusji.
- Do zobaczenia za kilka godzin.
- Chce uratować życie swojego brata – dokończyła Lejka w chwili, w której Umbo zniknął, żeby nie słyszeć, jak Bochen krzyczy, że to niebezpieczne.
- Sam o tym wiedział. Ale musiał spróbować.

Co za zrządzenie losu, że to Lejka przypomniała sobie o śmierci Kyokaya, choć prawie nie знаła Umba, podczas gdy Bochen, który podróżował z nim od lat, sądził, że Umbo chce się zemścić. Ale może nie chodziło o to, kto znał go lepiej. Może po prostu Bochen myślał o tym, co sam by zrobił – ukarał tego, kto popełnił coś złego – podczas gdy Lejka miała większy talent do zapamiętywania osobistych historii, jak ta, że Kyokay umarł na oczach brata.

Umbo bez trudu skoczył w czasie do momentu przed opuszczeniem Wodobrodu z Riggiem. Prawdziwy problem polegał na tym, że nadal znajdował się w Przystani Lejki, a musiał się dostać w górę rzeki. Poprzednim razem droga im się dłużyła, a przecież miał przy sobie Rigga, doświadczonego myśliwego, który dbał o wyżywienie. Jednak teraz miał przy sobie trochę pieniędzy. W porównaniu z poprzednim razem – nawet sporo.

Znajdował się na tylnym podwórku oberży Bochna i Lejki. Przez chwilę przyglądał się monetom, upewniając się, że żadna nie jest nowa – na tyle nowa, by do jej wybicia musiało upłynąć jeszcze kilka lat. Nie chciał zostać oskarżony o fałszerstwo. Potem usłyszał skrzypnięcie drzwi i uświadomił sobie, że Lejka go nie pozna. A jeśli zobaczy jego twarz i weźmie go za złodzieja, nie wpuści go do domu, gdy wraz z Riggiem zjawi się za parę lat.

Na szczęście płot znajdował się nieopodal, a Umbo przeskoczył go bez problemu. Nawet nie upuścił sakiewki ani o nic nią nie zaczepił. Lejka mogła zobaczyć najwyżej jego plecy. A ponieważ w tej chwili był co najmniej o piędź wyższy od siebie samego w chwili, gdy zobaczy go po raz pierwszy, Lejka nie zdoła go skojarzyć ze złodziejem, którego nakryła w warzywniku.

Jeśli to była Lejka. Równie dobrze mógł to być jakiś gość z oberży, chwiejnie zmierzający do wygodki, żeby sobie ulżyć. Ale głupio by było zatrzymywać się i sprawdzać, pokazując twarz.

Przeszedł między dwoma budynkami i dotarł do gościńca, a wówczas cofnął się o kolejny dzień w czasie, żeby minąć gospodę Bochna i Lejki bez obaw, że Lejka go zobaczy i nazwie złodziejem. W Przystani Lejki znajdowały się dwie łodzie, ale obie płynęły w dół rzeki. Nie szkodzi. Umbo miał mnóstwo czasu na dotarcie na miejsce. Mógł poczekać. A czekając, zastanowił się nad niebezpieczeństwami, przed którymi Bochen na pewno by go ostrzegł. Uratowanie Kyokaya nie będzie łatwe. Gdyby Umbo zrobił to, fizycznie uniemożliwiając bratu udanie się na szczyt wodospadu, wówczas Rigg nie musiałby rzucić wszystkich skór, by uratować chłopca przed upadkiem, a wtedy Umbo – ten młodszy – nie „zobaczyłby”, jak Rigg spycha Kyokaya z urwiska, i Rigg nie musiałby pośpiesznie opuścić miasta, a Umbo na pewno nie czułby żadnej potrzeby, by za nim iść i przeprosić go za to, że niemal doprowadził do jego zlinczowania i...

Coś w nim upierało się, że nic z tego nie może się zmienić, bo... no bo się nie

zmieniło. Ale przecież już wcześniej poczynili mnóstwo zmian i jeśli rozumieli zasady obowiązujące w tych sprawach, to ten, kto wprowadzał zmianę, nie przestawał istnieć, nawet jeśli jego przeszłość była unicestwiona. Ale ta zmiana dotyczyła tylko Umba, więc musiał myśleć tylko o sobie.

Dopiero następnego dnia – zaledwie na kilka godzin przed tym, jak Lejka lub ktoś inny dostrzegł Umba przeskakującego płot – pojawiła się łódź, która miała popłynąć w górę rzeki.

– Do Wodobrodu nie płynę – oznajmił kapitan.

– A dokąd? – spytał Umbo.

– Do Gawrowych Rozstajów.

– Nie znam.

– A ja tak – rzucił kapitan z nutką rozdrażnienia.

– Lewy czy prawy brzeg?

– Gawrowe Rozstaje – powtórzył kapitan. – Jeśli nie spodoba ci się brzeg, na którym cię wysadzę, przejdiesz na drugi.

– Tak jak się przechodzi brodem w Wodobrodzie?

Kapitan znał rzekę od źródła po ujście, więc zrozumiał ironię. W Wodobrodzie od setek lat nie było żadnego brodu, ale nikomu nie chciało się zmienić nazwy.

– Każdy cwany żart podwyższa cenę – warknął kapitan.

– Zatem postaram się to odkupić, pomagając ci w drodze – oznajmił Umbo.

Kapitan przyjrzał mu się od stóp do głów.

– Chuderlawe ręce.

– Na pewno sam nie zdołałbym poruszyć łodzi, ale wiem, jak się posługiwać drągiem, i umiem siedzieć na dziobie i wypatrywać przeszkód na wodzie, żeby w porę przed nimi ostrzec.

– Więc już odbyłeś taką podróż.

– Tylko raz. To za mało, żeby stać się takim znawcą jak pan, lecz trwała wiele dni, a ja wszystkie ciężko przepracowałem.

Kapitan wymienił cenę i obiecał, że trochę z niej spuści, jeśli Umbo będzie pracować zgodnie z obietnicą. I na tym stanęło. Tylko że z jakiegoś powodu Umbo nie podał własnego imienia.

– Ram Odyn – odpowiedział na pytanie kapitana.

Oto dowód na to, że Ram Odyn miał udział we wszystkim, co się dzieje w tym świecie.

Umbo ciężko pracował. Sprawiało mu to przyjemność i nie pozwalało rozmyślać o tym, jak bardzo niewykonalne jest jego zadanie. Musiał poczekać, aż Kyokay zrobi wszystko to, w czego wyniku stracił życie, włącznie z upadkiem z wysokości. Żadna sztuczka z manipulowaniem czasem nie pozwoliłaby go złapać w połowie drogi. Ale Umbo mógł spróbować innych sposobów.

Najważniejsze to znaleźć ścieżkę prowadzącą do wodospadu, nie przechodząc przez Wodobród, gdzie – choć urósł – niewątpliwie by go rozpoznano. Ale droga znajdowała się na prawym brzegu, jak Wodobród. Umbo nigdy nie słyszał, żeby lewym brzegiem wiódł jakiś szlak – na pewno nie taki, który biegłby równoległe do rzeki. Umbo nie widział żadnych ścieżek. Przelecieć także nie mógł. Miał nóż, w którego rękojeści znajdowały się kontrolujące statek klejnoty, ale statek ze świata Rama znajdował się daleko za Klifem Stromogóru, a Umbo nie sądził, żeby zdołał wezwać lądownik.

Zanim dotarli do Gawrowych Rozstajów, zdobył już szacunek kapitana i reszty załogi. Jadł to, co oni, pracował równie ciężko i nie popełniał błędów. Ominął nawet, całkiem sam, wielką kłodę, która niemal zupełnie ukryła się w porannej mgle i pokazała w ostatniej chwili, niemal za późno, żeby uniknąć zderzenia. Nikt by go nie winił za to, że ją przeoczył, tak gęsta była mgła. Tymczasem przyszło im dziękować za szybkie działanie i idealne manipulowanie drągiem, którym odepchnął przeszkodę. Dlatego gdy nadeszła pora zapłaty, kapitan nie tylko dotrzymał słowa, ale zwrócił Umbowi całą opłatę.

– Chciałem zatrzymać tylko tyle, za ile zjadłeś – wyjaśnił – ale kiedy uratowałeś moją łódź, zasłużyłeś sobie na wyżywienie. Nie zapłacę ci pensji jedynie dlatego, że właściciel pozwolił mi tylko na trzech marynarzy oprócz mnie, a ty byłbyś czwarty.

– Nie spodziewałem się ulgi – odparł Umbo. – Może i uratowałem łódź, ale miałem wachtę i oprócz was i ładunku uratowałem i siebie. Ale dziękuję panu za tak honorowe zachowanie i cofam wszystkie obelgi, jakie rzuciłem na Gawrowe Rozstaje.

– A lżyj je, ile chcesz – odparł kapitan z uśmiechem. – Nie staną się z tego powodu ani lepsze, ani gorsze. A co do dotarcia do Wodobrodu, nie mogę powiedzieć, że to już blisko, ale rano, jeśli akurat będziesz na środku rzeki, ujrzysz na południe zarysy Klifu Stromogóru. To nadal dwa dni podróży rzeką i jeszcze więcej piechotą, jak sądzę. Ale kiedy ujrzysz klif, nie będziesz już miał daleko.

– Ma pan rację – zgodził się Umbo. – A teraz proszę przyjąć z powrotem ten fen, nie jako zapłatę, ale na kilka kolejek piwa dla moich kompanów z załogi w czasie, który nie przeszkodzi im w wykonywaniu obowiązków.

– Dopilnuję tego i dziś wieczorem wypijemy twoje zdrowie. Rozumiem, że ciebie tu już nie będzie? W przeciwnym razie sam postawiłbyś im kolejkę.

– Przedemną długą podróż, więc wyruszę dziś, dopóki słońce jeszcze wysoko na niebie. A pan się przekona, dlaczego nie powinien pan mi płacić: nie było mnie przy załadunku i nie będę przy rozładunku.

– Teraz widzę, że obibok z ciebie. Zmykaj, zanim nazwę cię hojnym człowiekiem i czymś jeszcze gorszym.

Umbo wysiadł w małej przystani z lekkim sercem i równie lekko ruszył przed siebie, choć dziwnie było znowu iść po stałym gruncie. Tak długo przebywał w towarzystwie Rigga lub Bochna – bądź Param, która kpiła z niego przez całe życie aż do chwili, gdy

zapropowała mu małżeństwo – że tak naprawdę nie wiedział, iż potrafi rozmawiać z dobrymi ludźmi i zaprezentować się jako dobry człowiek. Był tak wysoki, że wszyscy brali go za dorosłego, ale „dobry”? Na to już zapracował sam. Tak długo był traktowany jak zero, że sam zaczął się uważać za zero.

No, nie. Rozsądek podpowiadał mu, że uważał się za zero sam z siebie, bez niczyjego wpływu. I wiedział dlaczego. Gdyby nie zakochał się beznadziejnie w królownie i nie katował się rozmyślaniami o tym, pod iloma względami jej nie dorównuje, mógłby nie być tak drażliwy i nie obrażać się za wszystko, w czym dopatrywał się pogardy wobec siebie. Teraz to rozumiał. Ale znał się też na tyle dobrze, żeby wiedzieć z całą pewnością, że kiedy wróci do Rigga i Param, nadal będzie drażliwy pomimo starań, żeby nie okazywać, jak łatwo się obraża.

Nie zrobił przerwy na szybki posiłek ani zakup prowiantu na drogę. Nie zamierzał zakładać sideł. Często widział, jak robi to Rigg, ale on tego nie potrafił. Rigg widział zwierzęce ścieżki. Umbo zaś zastawiałyby pułapki w przypadkowych miejscach, a zwierzęta pewnie wpadałyby w nie wyłącznie z litości.

Nie było tak trudno, jak się obawiał, choć trudniej, niżby chciał. W lasach trafiał na wydeptane ścieżki, a raz gospodarze pozwolili mu przejść przez spory kawał pól – pół dnia podróżowania po otwartym terenie, bez chaszczy i zarośli kaleczących ciało.

Dotarł do stóp Stromogóru niedaleko wodospadu. Był niemal całkiem pewien, że Kyokay jeszcze nie spadł. Kłopot polegał na tym, że mógł spać równie dobrze następnego dnia, jak w przyszłym tygodniu. Umbo bał się, że wystarczy chwila nieuwagi, a do wypadku dojdzie, gdy on będzie siusiał, drzemał lub jadł. Oczywiście gdyby go przegapił, zawsze mógłby się cofnąć, ale wtedy musiałby użerać się ze swoim leniwym drugim ja, włączającym mu w drogę albo siedzącym kamieniem w miejscu. Mógłby także we właściwym momencie pojawić się samemu sobie i ostrzec się, że ma zagaścić ruchy, bo już się zaczyna.

Wybrał sobie miejsce w zagajniku, skąd rozciągał się dobry widok na rzekę, a kiedy pojawiła się nad nią grupka chłopców, którzy pomimo zimnej wody i silnego wiatru postanowili popływać, dostrzegł między nimi Kyokaya.

Właściwie nie między nimi, lecz wokół nich – jego brat robił pięć ruchów na jeden każdego z kolegów. Dziwne, że nie zginął wcześniej. Wspinał się na wszystko, zeskakiwał ze wszystkiego, przepływał pod każdą przeszkodą w wodzie lub nad nią, nurkował najgłębiej i najdłużej wstrzymywał oddech. Skakał do rzeki tyłem, umyślnie robił deskę albo usiłował fiknąć kilka koziółków w powietrzu, rzucając się z najwyższego wzniesienia na brzegu. Przy czym wcale nie był wyjątkowo zwinny. Musiał uderzyć się w głowę kilka razy i zdarzyło mu się wzywać pomocy, kiedy ręka zaklinowała mu się pod dryfującą kłodą, którą sam wyszarpnął z zarośli przy brzegu. Nie wyciągał z tego żadnych wniosków. Nie starał się uważać.

„Po co go ratować? – pomyślał Umbo. – Przecież on i tak się zabije. Ale nie tego

dnia, kiedy to ja odpowiadałem za jego bezpieczeństwo. Zwłaszcza że nie wiadomo, czy nie przyczyniłem się do jego śmierci. A dokładniej mówiąc, czy nie przeszkodziłem Riggowi w jego uratowaniu”. Rigg ryzykował życie, żeby dotrzeć do niebezpiecznego kamienia na skraju urwiska, ale Umbo zwolnił czas, który zagarnął także Rigg – i dlatego ścieżka człowieka, który dawno temu spadł w tym miejscu, zmieniła się w tegoż człowieka, uniemożliwiając Riggowi dotarcie do Kyokaya w odpowiednim momencie. To wtedy Rigg po raz pierwszy zorientował się, że ścieżki to tak naprawdę ludzie lub zwierzęta i że kiedy Umbo spowalnia czas, przeszłość staje się namacalna. I Rigg mógł dotknąć tego człowieka, popchnąć go, ukraść mu nóż...

A Kyokay spadł, ponieważ Umbo przeszkodził Riggowi w jego uratowaniu, choć sądził, że uniemożliwia mu morderstwo. Za szybko go osądził, nie widząc dokładnie, co się dzieje. I nie tylko spowodował śmierć Kyokaya, ale omal nie doprowadził do tego, że tłum zabiłby Rigga w Wodobrodzie.

W tym momencie Umbo poznał swój plan, który objawił mu się nagle i niespodziewanie w całej okazałości. W trakcie podróży widywał jego przebłyski. Może Kyokay nie zginął podczas upadku? Może tylko utonął w burzliwych wodach? Załóżmy więc, że Umbo podpłynie do niego i wyciągnie go na brzeg... Albo załóżmy, że Umbo też się utopi i położy kres swojemu głupiemu, żalosnemu życiu.

Ale teraz uświadomił sobie, że może zrobić o wiele więcej, niż tylko wywlec na brzeg szczątki brata. Tak jak zwolnił czas dla Rigga, tak robi to dla spadającego Kyokaya. Zwolni czas tak, by Kyokay mógł się zastanowić, obrócić się w powietrzu, przygotować na zderzenie z wodą. To może wszystko zmienić.

Gdy Umbo nauczył się jak Rigg manipulować czasem – ale bez kotwiczenia się w ścieżkach – od razu zapomniał o tej znacznie mniej efektywnej zdolności, od której zaczął. Ale może właśnie to jej potrzebował? Tego Rigg nie potrafił, nawet z maską: nie umiał udzielać swojej mocy komuś, kogo nie dotykał. Gdyby Umbo mógł zwolnić samego Kyokaya tak, żeby osiadł na powierzchni wody niczym listek... Ale nie, chłopiec spadnie tak samo szybko jak za pierwszym razem i zderzy się z wodą z takim samym rozpędem. Jedyna różnica będzie polegać na tym, że dla niego czas spadania się wydłuży, a on zyska czas do namysłu.

Co prawda Kyokay nie dał się poznać jako wybitny myśliciel, ale nie znał strachu. I może dzięki temu nieustraszonemu charakterowi zdoła spaść niczym kot na cztery łapy. Może.

Tymczasem nie zawadzi, jeśli Umbo wykorzysta pozostały czas na ćwiczenie pływania w niebezpiecznej kipieli u stóp wodospadu. Oczywiście pływanie pod samym strumieniem wody nie wchodziło w grę – jej pęd zdarłby śmiałkowi skórę i pogruchotał kości. Ale Umbo mógł sprawdzić, jak blisko zdoła podpłynąć. I dowie się, jak zimna jest woda, gdzie znajduje się najbliższy brzeg i...

I tak zdjął ubranie, i skoczył do wody. Nie był Kyokayem, nie zanurkował. I dobrze,

bo w tej kipieli nie widział, gdzie pod jej powierzchnią znajdują się głazy. Kiedy dotarł w miejsce, gdzie mógł otworzyć oczy pod wodą, zrozumiał: całe dno było najeżone zatopionymi głazami, a Kyokay zginie jak amen w pacierzu.

„Właśnie, że nie – pomyślał. – Wydostanę go z tej wody żywego”. Bo ku swojemu zaskoczeniu Umbo przekonał się, że szybko przywykł do pływania. Woda była lodowata, ale nie siedział w niej długo i za każdym razem starannie się wycierał i rozgrzewał. Dowiedział się, że zwalniając swoją percepcję czasu, zyskuje go mnóstwo na orientację pod wodą i wycucie prądów. Jeśli Kyokay przeżyje upadek, Umbo miał spore szanse na wydostanie go z wody.

Ale nie mógł wejść do wody, dopóki Kyokay się w niej nie znajdzie. A to dlatego, że musiał zająć dobry punkt obserwacyjny, by zobaczyć, gdzie zanurkuje jego brat.

Trzy dni później Umbo akurat nie drzemał, nie jadł i nie siusiał, kiedy drogą nadbiegł Kyokay i wspinał się po schodkach na szczyt Stromogóru. I rzeczywiście za nim – zbyt daleko – pojawił się Umbo, młody, głupi, wściekły i bezradny. „Ależ byłem wsiakiem – pomyślał Umbo. – I nadal jestem”. Ale nie przybył tu, żeby krytykować dawnego siebie. Miał przywrócić swojemu bratu życie.

Patrzył na rozwój sytuacji. Był tak blisko wodospadu, że nie widział, co się wydarzyło na jego szczycie, dopóki Kyokay nie ześlizgnął się i nie przywarł kurczowo do krawędzi skały. Pojawił się Rigg, który w coś uderzał – ale nie w dłoń Kyokaya, jak sądził Umbo. Nie, Rigg bił człowieka widzialnego dla siebie, ale nie dla Umba, ponieważ młodszy Umbo pokazał mu jego ścieżkę.

Wtedy dłonie Kyokaya ześlizgnęły się ze skały i chłopak runął w dół. W tej chwili rozpoczęło się zadanie Umba. Skupił się i zwolnił czas spadającego brata. Był dalej od niego niż jego młodsze ja od Rigga tego dnia, który wydarzył się tak dawno temu – dziś – ale cała praktyka w manipulowaniu czasem wyostrzyła i wzmocniła także jego na wpół zapomniany talent. Wiedział, że zwalnia czas Kyokaya o wiele bardziej, niż potrafił jako chłopiec. I widział, że Kyokay dobrze to wykorzystuje.

Brat nie wylądował wśród skał najbliższych powierzchni. Zdążył się już ustawić do zanurkowania głową w dół i znalazł głębiny, w którą runął. Ale czy była wystarczająco głęboka? Umbo nie potrafił tego ocenić z brzegu, a poza tym sam już powinien znaleźć się w wodzie.

Skoczył z półki skalnej – wcześniej upewnił się, że to bezpieczne miejsce – i popłynął szybko i zwinnie do miejsca w dole strumienia, w pewnym oddaleniu od tego, w którym Kyokay zniknął pod powierzchnią. Zwolnił swoją percepcję upływu czasu – co znaczyło, że przyspieszył swoje reakcje i działania – jeszcze bardziej niż w przypadku brata. Szybko zrozumiał swój błąd: Kyokay nie popłynął w dół strumienia, lecz utknął w kipieli, która obracała go i ciskała nim, nie pozwalając mu się wyzwolić.

Umbo natychmiast zmienił kierunek, przeklinając się za głupotę, bo teraz musiał płynąć pod prąd. Kyokay jeszcze przez kilka sekund musiał walczyć z wodą.

Gdy zbliżył się do brata, zobaczył, dlaczego Kyokay nie mógł się uwolnić z kipieli. Był przytomny – usiłował wierzgać nogami – ale jego ramiona wyglądały, jakby pojawiły się na nich dodatkowe łokcie. Wyciągnięte ręce ocaliły go przed rozbiciem głowy o kamienie, ale nie udało mu się uniknąć złamania.

Umbo nie mógł sobie pozwolić na przejmowanie się cierpieniem brata. Pozostało mu jedno: chwycić go za jedną z tych złamanych rąk. I tak uczynił. W tak zimnej wodzie i z powodu paniki Kyokay pewnie nawet nie poczuł większego bólu. Problem polegał na tym, że nie mógł zacisnąć palców, by pomóc bratu. Ale kiedy Umbo unieruchomił jego wirujące ciało i odepchnął się od skały, żeby wyrwać małego z więżącego go wiru, wierzganie Kyokaya zaczęło przynosić efekty. Chłopak nie mógł się chwycić Umba, ale potrafił poruszać nogami w takim samym tempie, co on. Wkrótce wydostali się poza zasięg nieprzewidywalnych podwodnych prądów i znaleźli się w głównym nurcie rzeki. Umbo zostawił swoje ubrania – i koce – w miejscu, w którym planował wynurzyć się z wody, i rzeczywiście zdołał tam dotrzeć. Wyciągnął brata i sprawdził, czy oddycha. Wszystko wydarzyło się szybko, tak szybko, że Kyokay nie utonął. Rozkaszał się, ale nie miał wody w płucach. Po chwili zaczął jęczeć, bo dotarł do niego ból.

Prawe ramię miał złamane w trzech miejscach, lewe w czterech, ale wszystko to były pocziwe czyste pęknięcia – nic nie wystawało ze skóry. Da się je nastawić i wziąć w łupki, Umbo był tego całkiem pewien. W świecie Odyna mieli lekarzy, narzędzia i lekarstwa wystarczające, by nastawić mu rękę bez bólu. Ale to nie był świat Odyna.

Umbo najpierw wytarł siebie – musiał doprowadzić palce do stanu używalności. Nie mógł dygotać, zajmując się Kyokayem.

Kiedy zdołał się ubrać i zaczął otulać brata kocem, ten odzyskał mowę:

– Wskoczyłeś za mną? Jak to możliwe, że zdążyłeś?

Umbo nawet nie próbował odpowiedzieć. Okazało się, że był już tak duży i silny, zwłaszcza po kilku tygodniach pracy na łodzi, że może wziąć Kyokaya na ręce jak dziecko – którym jego brat jeszcze był – i zanieść go na prom. Nie był to prom z obsługą, tylko łódka z żelaznym pierścieniem, do którego była przywiązana lina rozpięta między łódką a brzegiem dawnego brodu. Po drugiej stronie znajdowała się druga łódź. Umbo położył Kyokaya na pokładzie i wziął wiosła. Lina napięła się, utrudniając pierścieniowi ruch do przodu; na szczęście w lecie został dobrze naoliwiony i kiedy się zatrzymywał, następne pociągnięcie wiosła go uwalniało i pierścień przesunął się w dalszy punkt na rzece, a potem poza rzekę, kiedy zbliżył się do brzegu. W końcu dno łodzi zaszurało o piasek i Umbo wyskoczył przez burzę, wziął Kyokaya na ręce i zaniósł do rodzinnego domu.

Matka się nim opiekuje, a w miasteczku byli ludzie, którzy znali się na składaniu kości i leczeniu złamań. Jeśli Kyokay trochę osłabnie, może nie zabije się za tydzień czy miesiąc. Może to wszystko się opłaca, jeśli dzięki tej chwili przerażenia w

wodospadzie jego brat się czegoś nauczy. Chyba że dojdzie do wniosku, iż ta zwolniona percepcja czasu to jakaś magia, która świadczy o tym, że czuwa nad nim dobry święty czy duch. Wtedy zacnie jeszcze bardziej szaleć.

Umbo wiedział, że rodzina nie powinna go zobaczyć. Położył więc Kyokaya na ziemi w pobliżu domu, tak blisko, żeby można go było ze środka usłyszeć, a potem cofnął się w czasie o kilka minut. Wystarczyło, żeby uciec w krzaki, z których mógł wszystko obserwować. Po chwili pojawił się on sam niosący na rękach Kyokaya. Położył go na ziemi brutalnie, gwałtownie. Nie, przecież uważał. Ale uważność nie oznacza delikatności, teraz to widział. Zobaczył, jak znika. „Tak, to niepokojące – pomyślał. – Dobrze, że nie pokazujemy tego ludziom za często”.

Kyokay zawołał tak, jak Umbo mu kazał, i po chwili pojawiła się mama, a za nią dzieci – za którymi, Umbo uświadomił to sobie dopiero teraz, niewyobrażalnie tęsknił. Jedno z nich zostało oczywiście posłane po pomoc.

Umbo już miał się jeszcze bardziej cofnąć w czasie, żeby odejść, kiedy zobaczył ojca, który biegł, ciągnąc za sobą małego Umba za ramię.

– Czy on ci wygląda na trupa?! – krzyknął ojciec.

– Widziałem, jak spada! – wykrztusił przerażony Umbo. – Jak mógł przeżyć?

– Przecież mnie uratowałeś – powiedział Kyokay.

– Ma połamane ręce – odezwała się matka. – Zajmiemy się Umbem później, teraz trzeba złożyć kości.

– Przy okazji nastawimy też ręce Umba. Mieliśmy zabić Rigga, bo powiedziałaś, że zabił Kyokaya. Wiesz o tym, ty kłamliwy diable?

Ojciec uderzył małego Umba tak mocno, że ten upadł twarzą na ziemię. Ale ojciec nie skończył. Pobiegł do domu i wrócił, lecz nie z pasem, jak spodziewał się Umbo, tylko z masywnym nożem, którym kroił skórę.

– Nie! – krzyknęła matka i podbiegła, żeby go zatrzymać, lecz ojciec odepchnął ją i stanął okrakiem nad małym Umbem.

Podniósł go za włosy. Starszy Umbo był pewien, że za chwilę ujrzy własną śmierć, że ojciec zaszlachtuje go jak prosiaka. Ale nie, ojciec zaczął go bić płazem noża po plecach i głowie, aż mały Umbo znieruchomiał nieprzytomny.

Z miasta nadbiegło kilku mężczyzn, w tym golibroda Sellet, który był drugim najlepszym nastawiaczem kości w okolicy. Zaczęli krzyczeć, żeby ojciec odłożył nóż, zostawił chłopca, żeby się cieszył, że Kyokay żyje, że nikt nie umarł. Ojciec przez chwilę nie wypuszczał noża, żeby się nie zbliżali do niego, ale w końcu uległ rozsądnemu argumentowi Selleta, że jeśli nie podejdzie, nie będzie mógł złożyć Kyokayowi kości.

– Potrzebuję łupek i rzemyków do ich związania – dodał Sellet. – Zachowaj się jak dobry ojciec i przynieś mi je.

– Nie będziesz mnie uczyć, jak być dobrym ojcem! – ryknął ojciec i wszystko

mogłoby się zacząć na nowo, gdyby nie to, że teraz wokół niego stało już sześciu silnych mężczyzn, z którymi nie było żartów. Dwaj poszli z nim do domu.

Sellet zbliżył się do Kyokaya, ale reszta obstała małego Umba w objęciach matki. Ojciec bił płazem, lecz ostrze muskało skórę i na plecach, ramionach oraz głowie chłopca pojawiło się mnóstwo skaleczeń.

– Żadne nie krwawi mocno – orzekł jeden z mężczyzn – ale chyba czaszka jest pęknięta. Patrz, już puchnie, mimo że wygląda na wgniecioną.

– Przykro mi, Enene – dodał drugi. – Kiepsko wygląda ta jego głowa.

– Umbo mnie uratował – powiedział Kyokay słabo i zaskowyczał z bólu, gdy Sellet nastawił mu kość.

Ojciec wrócił z rzemieniami i deszczułkami, które służyły mu do napinania skóry. Nadal był zły i zrobił ruch nogą, jakby miał ochotę kopnąć małego Umba.

– Co robisz? – odezwał się jakiś mężczyzna. Umbo nie pamiętał jego imienia, choć kiedyś je znał. – Jeden twój syn ma połamane kości, drugi go uratował, a ty rozbiłeś mu głowę. Może już nigdy nie będzie normalny.

– Nigdy nie był normalny! To nie mój syn! Powiem to głośno. Czy wygląda jak ja? Wszyscy pozostali tak, a ten nie! A teraz rzucił fałszywe oskarżenie, żebyśmy popełnili morderstwo! To nie mój syn!

Mężczyźni odebrali mu deszczułki i rzemienie i szorstko odprowadzili na bok. Matka nadal płakała nad małym Umbem.

Dopiero wtedy Umbo cofnął się w czasie na tyle, żeby przybyć na brzeg rzeki chwilę po tym, jak wyniósł Kyokaya na ląd. Obie łódki stały po tej stronie; bez trudu wskoczył na tę, którą przed chwilą opuścił, i powiosłował szybko na drugi brzeg. Choć nic go nie goniło. Nic z wyjątkiem serca i głowy. Miał czasu pod dostatkiem, bo nie zamierzał dopuścić do tego, co zaszło.

Umbo wyszedł z wody po raz ostatni tego drugiego dnia, kiedy o kilka kroków od siebie ujrzał na brzegu samego siebie.

– Nie ma mnie tu! Nie zamierzam wyjść na dwóch głupków, jeden wystarczy. Nie rób tego. To będzie katastrofa.

– Jaka katastrofa? Nic ci nie jest.

Zjawa miała minę, jakby chciała się rozplakać, ale jednocześnie była wściekła, upokorzona i... rozgorączkowana.

– Idiota ze mnie! I z ciebie też! – krzyknęła. – Uda się, uratujesz go, połamię kości, a ty zabierzesz go do domu i zostawisz, ale potem powie, że Umbo go uratował, więc ja – my – mały Umbo wyjdzie na kłamcę, jakby wiedział, że Kyokay żyje, lecz skłamał, żeby zabito Rigga. Ojciec go pobije... nas...

– Małego Umba – dokończył Umbo niecierpliwie. – No pobije, oczywiście.

– Rozbije mu czaszkę. Może go zabije. A może Umbo przeżyje i będzie... głupi. Albo

okaleczony. Ale na pewno nie będzie podróżować z Riggim. Wszystko zostanie cofnięte. Wszystko zniszczyliśmy... zniszczyłem. Nie możesz tego zrobić! Nie rób tego! Odczyń tę przyszłość, idioto! Niech umrze!

I zniknął.

Umbo wytarł się, bo co miał zrobić, i zastanowił się nad swoimi słowami z przyszłości. Tak, to była katastrofa. Jasne, że Kyokay go poznał. W tej sytuacji nie mógł zauważyć, o ile wyższy i silniejszy stał się jego brat. Ale Umbo nie winił się za to, że pospieszył z Kyokayem do domu. Zawsze tak robili, kiedy brat zrobił sobie krzywdę. Biegli z nim do domu, przekazywali go matce, potem ojciec wrzeszczał i bił kogoś za to, że nie pilnował Kyokaya, choć wszyscy wiedzieli, że Kyokaya nie da się upilnować, bo i tak robi to, co chce. Umbo z przyszłości nie miał racji. W emocjach po uratowaniu Kyokaya pobiegł do domu do matki i na tym poległ jego katastrofalny błąd. Dobrze zrobił, ratując brata, lecz źle, że zabrał go do domu.

Teraz, gdy Umbo już wiedział, że potrafi uratować Kyokaya, nie zamierzał skazywać go na śmierć, bo Umbo z przyszłości wpadł w histerię. Przed chwilą widział, jak ojciec bije jego młodszą wersję. Jeszcze teraz robiło mu się niedobrze z wściekłości. Nienawidził tego człowieka – bo to i tak nie był jego prawdziwy ojciec. Zwykły Tegay, szewc, podły głupiec bijący żonę i dzieci. „Ale ja tego nie widziałem. I nie zamierzam tylko uratować mojego brata z wody. Mogę spokojnie pomyśleć i uratować Kyokaya, nie zmieniając przyszłości”.

To znaczyło, że powinien skrócić pobyt w wodzie, żeby się dobrze przygotować. Będzie potrzebował więcej koców, znacznie solidniejszego noża niż ten zwykły albo ten z klejnotami, którego używał rzadko, bo bał się go uszkodzić. Ale to było proste: przepłynięcie nocą rzekę i ukradnie nóż do cięcia skóry z warsztatu ojca... Tegaya. Ostry. Tak, Tegay traktował swoje narzędzia z troską i miłością. Ten nóż przetnie wszystko, czego dotknie. Mógł także zardzewieć, bo spędził sporo czasu pod wodą, gdy Umbo płynął na drugi brzeg rzeki. Ale kradzione koce przewiózł łodzią, którą potem odstawił na drugi brzeg, pociągając za linę. Nie mógł zamoczyć grubego materiału.

Złożył wszystko w pobliżu promu, po czym znowu skupił się na pływaniu i obserwacji. Widział rozwój wypadków: Kyokay pobiegł do kamiennych schodów, Umbo za nim, ale był za daleko, a Kyokay się śmiał – wiedział, że robi coś głupiego i złego, lecz i tak go to cieszyło.

A teraz było teraz i przyniosło komplikacje. Umbo wiedział, że za pierwszym razem wszystko się mniej więcej udało – doszło do złamań, ale Kyokay nie utonął. Tym razem jednak musiał się skupić na wielu sprawach, dręczyła go przy tym jednak wątpliwość: czy robię to dokładnie tak jak poprzednio? A może wolniej? Może uczynię coś inaczej i tym razem mi się nie uda?

Kyokay spadł. Umbo zwolnił go tak bardzo, że ryzykował, iż nie starczy mu sił na zwolnienie siebie. Ale czy mógł nie dać z siebie wszystkiego? Po co oszczędzać siły na

później, jeśli nie uratuje bratu życia?

Kyokay odwrócił się w powietrzu tak, żeby wpaść do wody nogami. „Mądry chłopak – pomyślał Umbo. – Nie ryzykuje zderzenia głowy z tymi kamieniami”.

Umbo wskoczył do wody i popłynął w stronę wiru, w którym utknął Kyokay. Jego brat miał połamane nogi; unosiły się bezwładnie, dziwnie zniekształcone. Ciemna plama, rozlewająca się wokół jednej z nich, świadczyła o tym, że kość przebiła skórę. Nie czas martwić się infekcją.

Dotarł do brata, który zdołał chwycić go za rękę, a potem przywrzeć do jego ramion. Umbo dopłynął energicznie do brzegu i wyciągnął chłopca z wody. Natychmiast uświadomił sobie, że nie może dopuścić do tego, żeby ta kość wystawała przez skórę. Nożem z klejnotami rozciął spodnie Kyokaya, potem chwycił go mocno i pociągnął w dół jego nogę, na tyle by nastawić kość. Potem obwiązał ranę pasami materiału oddartego z nogawki, unieruchamiając nogę. Zrobił to nieumiejętnie. Jeśli ktoś tego szybko nie nastawi jak należy, kości zrosną się tak, jak je zostawił, i Kyokay nie odzyska sprawności. Ale będzie żył.

Uratowany dzielnie walczył z bólem, choć wkrótce stało się jasne dlaczego: zaczął drzeć, a potem dygotać z zimna. Odrętwienie sprawiło, że przetrwał nastawianie kości bez krzyku, ale teraz Umbo musiał go rozgrzać. On sam po tylu treningach przywykł do zimnej wody, a od wysiłku przy nastawianiu i bandażowaniu nogi było mu ciepło. Dlatego mógł się zająć wyłącznie bratem.

Kyokay drżał pewnie również z powodu szoku, ale na to nie było rady. Jeśli Umbo miał sprowadzić pomoc dla brata, musiał działać szybko. Wziął go na ręce i ruszył. Wiedział, że każdy krok sprawia bratu ból, ale musiał stąd odejść, zanim ktokolwiek z Wodobrodu zacznie szukać zwłok topielca.

Położył Kyokaya na żwirze koło promu i poszedł po koce i nóż do cięcia skóry. Umościł bratu poślanie na pokładzie łodzi. Ciężar chłopca sprawił, że jej kil zarył się głęboko w żwir, choć prąd rzeki kołysał dziobem. Lina łącząca łódź z żelaznym pierścieniem zwisała luźno, więc Umbo mógł ją przeciąć, nie ryzykując, że łódź odpłynie. Gdy już to zrobił – a wymagało to tylko dwóch ruchów ręką – zastanowił się, czy nie wyrzucić noża do rzeki, żeby Tegay nigdy nie skrzywdził nim żadnego dziecka. Ale nie, tym narzędziem ojciec zarabiał na utrzymanie rodziny, a w tym świecie przecież nie rozbił mu głowy. Jeśli się uda, Tegay nigdy więcej nie uderzy małego Umba. Dlatego Umbo położył nóż w widocznym miejscu na żwirze, gdzie znalazłby go każdy, kto chciałby skorzystać z promu. Narzędzie wkrótce wróci na swoje miejsce w warsztacie Tegaya.

Potem zepchnął łódź na wodę. Nurt porwał ją tak szybko, że Umbo przeżył chwilę strachu, zanim ją dogonił i wgramolił się do niej przez burtę. Nie wyglądało to zgrabnie, ale w końcu padł na pokład, znalazł deskę, którą oparł na burtach, i usiadł na niej nad Kyokayem, który nie dygotał już tak bardzo, więc może dolegało mu tylko

zimno, a nie wstrząs.

– Jak to możliwe, że tak szybko dotarłeś na dół wodospadu? – spytał.

– Spadałeś bardzo powoli – powiedział Umbo.

– Tak – zgodził się zdziwiony Kyokay. – Rzeczywiście. Ale i tak spadłem strasznie gwałtownie. – I zamknął oczy.

Przy takim bólu nie mógłby zasnąć, musiał więc stracić przytomność. Albo jednak był w szoku. Umbo mógł zrobić tylko jedno: wiosłować, jakby go gonili wszyscy diabli.

Prąd był rwący, ale Umbo chciał go jeszcze przegonić. Ta sama droga w górę rzeki zabrałaby mu kilka dni, w dół miała się skończyć po kilku godzinach. Musiał dotrzeć przed zmrokiem do Gawrowych Rozstajów, bo w ciemnościach mógłby je minąć, a wtedy Kyokay naprawdę znalazłby się w niebezpieczeństwie.

W końcu Umbo dostrzegł przystań i przycumował przy niej. Łódź, którą płynął w górę rzeki, znikła – oczywiście, właściciel nie mógł pozwolić, żeby stała beczynnie. Ale kiedy Umbo zaniósł brata do tawerny, w której kupił prowiant na podróż do Stromogóru, kogóż to ujrzał przy stole, jeśli nie kapitana, z którym rozstał się w tak serdecznych stosunkach?

Kapitan natychmiast zerwał się z miejsca i sprzątnął naczynia, żeby Umbo mógł położyć Kyokaya na stole. Wezwano człowieka, który umiał składać kości, i drugiego, specjalistę od zszywania ran. Umbo powiedział: „Widziałem, jak spada, i tylko to miejsce przyszło mi do głowy, żeby go przynieść”, ale kapitan nie drażył tematu.

– A Wodobród? – spytał jedynie.

– Musielibyśmy się dostać do niego w górę rzeki – odparł Umbo. – A pan... pańska łódź znikła.

– Brat ją zabrał. Ja czekam tu, aż żona przyprowadzi mi mojego pierworodnego. Jeśli się nie pospieszy, zabiorę łódź, którą przy płynąłeś, i dogonię brata.

Umbo nie miał ochoty okłamywać tego zacnego człowieka, ale wiedział, że musi to zrobić ze względu na przyszłość.

– Ten biedny chłopiec uważa mnie za swojego brata. Ciągłe zwraca się do mnie jego imieniem... Bobo czy jakoś tak.

– Podczas gdy ty nazywasz się Ram Odyn... – odparł kapitan tonem świadczącym o tym, że ani przez chwilę nie uwierzył Umbowi.

– Na wodzie poznaje się człowieka po jego czynach, nie sądzi pan?

Kapitan tylko się uśmiechnął i dalej rozcierał ręce i nogi chłopca.

Następnego ranka Umbo zostawił właścicielowi tawerny sporo pieniędzy z poleceniem, żeby wysłał kogoś w górę rzeki i przekazał mieszkańcom Wodobrodu wiadomość, że powinni odebrać swoje dziecko. Umbo wiedział, że uraziłby kapitana, gdyby zaproponował mu za pomoc zapłatę, i że ten będzie opiekować się Kyokayem jak własnym bratankiem, jeśli nie synem. Kiedy dotarł do swojej łódki, znalazł w niej zapasy żywności wystarczające na podróż w dół rzeki. Długą podróż. Ktoś też

odwiązał linę niegdyś łączącą łódź z pierścieniem, więc już nie można było poznać, że jest kradziona. „Ten człowiek nie wiedział, czy moje zamiary są dobre, czy złe – pomyślał Umbo – ale zaufał mi, że go nie skrzywdzę. A ja już mu odpłaciłem, nie wymazując łańcucha wydarzeń, który sprawił, że ja, Rigg, Param, Bochen i Oliwienko się spotkaliśmy. Teraz do nich należy ratowanie świata. Ja uratowałem mojego brata i to wszystko, co mogę. Może nawet zrobiłem więcej, niż powinienem, ale już się stało”.

Rozdział 7

ŚCIEŻKI I CIĘCIE

Noxon na razie nie wpadał w rozpacz. Zasadniczo. Razem z Param całkiem sporo osiągnęli. Najłatwiej było mu nauczyć się niezdarnych skoków w przyszłość, które robiła Param, krojąc czas, więc potrafił przemierzyć godziny i dni w kilka minut. Ale ani na krztę nie zbliżył się do robienia tego manewru wstecz. Nie chodziło tylko o zwykły skok w przeszłość – już to potrafił, kotwicząc się w czyjejś ścieżce. Nie potrafił natomiast sprawić, żeby czas popłynął w przeciwnym kierunku, nie umiał ciąć go na małe odcinki. Nie był nawet pewien, czy to możliwe.

Z kolei Param udoskonaliła nieco swoje umiejętności – zobaczyła, jak maska Noxona pomaga mu ciąć czas na większe odcinki. Jej dar był naprawdę wyjątkowy, ponieważ jako jedyna z nich potrafiła od zawsze robić skoki do przodu, nie wstecz. Niestety, te skoki obejmowały tylko ułamek sekundy, choć robiła je długimi seriami i potrafiła nie ustawać przez całe godziny. Ale pozostawała wówczas uwięziona w miejscu, w którym rozpoczęła ten proces – niewidzialna dla innych, choć gdyby wiedzieli, gdzie się znajdowała, mogliby ją odnaleźć. Podczas cięcia czasu jej fizyczne ruchy w przestrzeni były bardzo zwolnione, a gdyby ktoś przyniósł coś twardego, na przykład metalowy pręt, wycelował go w miejsce, w którym znajdowało się jej niewidzialne ciało, i tak trzymał, spłonęłaby powoli w jego żarze. Gdyby zakończyła cięcie czasu, mając w ciele metal, rozerwałby ją.

Ale nauczyła się od maski Noxona robienia dłuższych skoków między cięciami, co oznaczało, że nawet gdyby jej ciało przesywał metalowy pręt, spędziłaby z nim o wiele mniej czasu i z pewnością niedoszły morderca musiałby uznać, że nic się nie dzieje, ponieważ nie trafił. Gdyby więc nawet nie nauczyła się niczego więcej, i tak była wygrana – zyskała większe bezpieczeństwo. Oznaczało to także, że gdy jej zdolność do mknięcia przez czas stanie się potrzebna, Param wykona zadanie szybciej i bardziej skutecznie.

Ale to nie wystarczyło. Noxon w głębi ducha spodziewał się, że nie uda mu się odwrócić biegu czasu, ale nie sądził, że nie zdoła nauczyć Param, jak ciąć czas wstecz. Nie powinna odwracać biegu czasu – w tych krótkich momentach, które spędzała w teraźniejszości, jej ciało, ubranie i wszystko inne, co miałyby przy sobie, nadal

podążałoby ku przyszłości. Bez trudu naśladowała go, kiedy ciął czas, wspomagany przez maskę. Ale kiedy skoczył wstecz, trzymając ją za rękę, nie miała pojęcia, jak to zrobił. A gdy potem powtórzył to już bez niej, po prostu została.

– Nie szkodzi – pocieszyła go.

Powtarzała to raz po raz i Noxon wierzył, że mówiła szczerze. Ona także nie obiecywała sobie wiele.

Zacząli poświęcać więcej czasu na rozmowę – o życiu, które upłynęło im w tak różnych środowiskach, o wiedzy, którą posiadli. Nie mieli innych partnerów do dyskusji, bo choć żywili się dzięki uprzejmości mieszkańców murcii Lara, nigdy nie wiedzieli, kiedy – w jakim roku, miesiącu, dniu – ich ciała dadzą znać, że są głodne. Na szczęście zawsze mogli ciąć czas dopóty, dopóki nie ujrzeli kogoś przygotowującego posiłek – w tym świecie istniała tradycja częstowania nieoczekiwanych gości.

Pewnego dnia po takim posiłku, który zgodnie z obyczajami tego świata zmienił się w festiwal historii, legend, baśni i starych pieśni, Noxon zauważył zmęczenie Param.

– Mamy za sobą długi dzień – powiedział do gospodarzy.

Ci roześmiali się, a jeden spytał:

– Po czym to poznajecie?

Było to dobre pytanie, choć jednocześnie nie miało znaczenia. Jedli, gdy byli głodni, spali, kiedy się zmęczeni – to wyznaczało im rytm dni i nocy, ponieważ nie ograniczał ich żaden kalendarz ani zegar.

Noxon odszedł z siostrą. Wzięła go pod ramię i oparła się na nim.

– Będę spała, idąc – powiedziała. – A kiedy jutro się obudzę, cofnij mnie o osiem albo dziesięć godzin, żebym znowu mogła je przespać.

Zachichotał.

– Wygląda na to, że Larowie najwięcej czasu spędzają na lądzie. Nie umieją mówić pod wodą. Przychodzą tutaj, żeby sobie przypomnieć, jak to jest być człowiekiem.

– O, jak ja uwielbiam z nimi przebywać! – zawołała Param. Wzdrygnęła się. – Ich śpiew zagłusza hałas, jeśli to w ogóle możliwe.

– Hałas?

Pokręciła głową.

– Jestem tak zmęczona, że prawie mówię do siebie.

– Ale mnie to ciekawi. Tubylcy nie są tacy hałaśliwi. Nie mają bębnów ani rogów.

– Nie chodzi mi o ich dźwięki. Kocham odgłosy życia. I natury. I cywilizacji. Wiatr w gałęziach drzew, rechot żab, ćwierkanie świerszczy. Ale także gwar tłumu, szum miasta. Uwielbiam to! Chciałabym żyć w murcii Odyna, gdzie miliardy ludzi mieszkało tak blisko siebie w wielkich miastach. Ale teraz nie istnieją. Nigdy nie zaistniały. To mnie smuci.

Noxon omal nie zapomniał o wszystkim, próbując ją pocieszyć, ale teraz

zaintrygowała go wzmianka o hałasie.

– Więc w wielkim mieście nie ma hałasu?

– Oczywiście, że jest – odpowiedziała Param ze śmiechem. – Ale ja nazywam hałasem coś innego. Tak naprawdę to nie hałas, bo tylko ja go słyszę. Ale w domu Flacommo uwielbiałam przesiadywać w odległych częściach budynku, gdzie od lat nikt nie mieszkał. Panował tam większy spokój. Nie cisza, ale... no, wiesz.

Noxon chyba wiedział, choć starał się ukrywać emocje z obawy, że może się mylić.

– Więc musiałaś znaleźć się z dala od ludzi?

– O, ludzie mi nie przeszkadzają. Oni zagłuszają ten hałas! Ich rozmowy i tupoty, co za ulga! Ale w pokojach, gdzie ludzie od lat nieustannie się gromadzili, hałas jest prawie nie do zniesienia. Jakby magazynowały one w sobie wszystkie odgłosy i kiedy nic mnie nie rozpraszało, docierały do mnie te... melodie, rytmy czy jak to nazwać...

– Dlatego uciekałaś, krojąc czas.

Param pokręciła głową opartą o jego ramię i roześmiała się krótko.

– Nie. To było najgorsze. To nie jest prawdziwy dźwięk, tylko wspomnienia po dawnych odgłosach. Nie mogłam nawet śpiewać, żeby go zagłuszyć, chyba że w myślach, ale to i tak niewiele pomagało.

– Przecież kiedy tniesz czas, nie ma żadnych dźwięków – rzucił Noxon.

– Wiem o tym. Przypuszczam, że odebrałam co najmniej tak dobrą edukację, jak ty, wieśniaku.

– Nie byłbym taki pewien. Mnie uczył Ramex.

– Mnie też. Pod innym imieniem. Choć nie aż tak dokładnie, jak w twoim przypadku.

– Powiedziałaś mu o tym hałasie?

– Powiedziałam tylko tobie i to przez przypadek. Jak wspomniałam, to nie są prawdziwe odgłosy. Myślę, że to oznaka mojego szaleństwa.

– Tak jak ja wszędzie widzę ścieżki. Ścieżki, których nie widzi nikt oprócz mnie. Czyli bardzo konkretnie oszalałem.

– No właśnie. Ale okazuje się, że twoje ścieżki istnieją naprawdę. Tam, gdzie je widzisz, naprawdę przechodzili ludzie.

– Lecz nie potrafię przestać ich widzieć. Nawet gdy zamknę oczy albo odwrócę się do nich plecami, nadal istnieją. Ale tak naprawdę nie widzę ich oczami, to całkiem inny zmysł. Dlatego nigdy nie nakładają mi się na rzeczy, które istnieją w rzeczywistości.

– Wiem. To tak jak z moimi hałasami. Zawsze istnieją, w pewnych miejscach bardziej intensywne niż w innych, ale nie przeszkadzają mi słyszeć prawdziwych odgłosów, dźwięków, słów i muzyki. A zatkanie uszu nic nie pomaga. Tylko w miejscach, gdzie nagromadziło się go mniej, ten jazgot trochę cichnie i daje mi odetchnąć.

Noxon się zatrzymał.

- Dobrze, że zmęczyłaś się do tego stopnia, żeby mi o tym powiedzieć.
- Tak, kolejny problem biednej Param... – rzuciła z ironicznym uśmiechem, choć wiedział, że naprawdę uważa to za problem.
- Nie sądzę, żeby to było coś złego – powiedział. – Zawsze mówiłem, że nie widzę ścieżek oczami. Po prostu nazywam to widzeniem. Używam tego słowa, żeby opisać sposób, w jaki je wyczuwam, bo nie istnieje na to właściwe określenie.
- Param zrozumiała.
- Ale jak mogłabym usłyszeć ścieżkę?
- A jak ja mogę zobaczyć melodię? – odparł Noxon. – Z tego, co wiem, używamy różnych słów, różnych porównań, by opisać to samo zjawisko. Jakbyśmy próbowali opisać pomarańczę komuś, kto nigdy jej nie jadł. Możesz wyjaśnić, jak wygląda, możesz mówić o smaku, zapachu, o tym, jaka jest w dotyku, ale ciągle mówisz tylko o pomarańczy ze swoich wyobrażeń.
- Tylko że...
- Nie, nie, nie staraj się mi wyjaśnić, dlaczego nie mam racji. Zróbmy eksperyment. Porównajmy, jak to działa. Czy ten hałas to... no, paćka? Czy słyszysz osobne... głosy? Melodie?
- Mnóstwo osobnych. Odbijają się od wszystkich ścian.
- Naprawdę? Jak echo?
- Nie, ale dochodzą z różnych kierunków i biegną w różne...
- Jak ścieżki.
- Nie, nie widzę...
- Przestań mówić „nie” i opisz to. Idziesz przez pomieszczenie i niektóre z nich stają się głośniejsze?
- Tak. Niektóre robią się bardzo głośne, inne zawsze są ciche. Ale kiedy się zbliżam, wszystkie stają się głośniejsze, a potem jedne cichną, a inne narastają.
- Jakbyś przechodziła przez strumień, który szumi w charakterystyczny sposób, a potem weszła w następny.
- Wiem, że używasz słowa „strumień” zamiast „ścieżka”, więc nie zaprzeczę.
- Usiłuję stwierdzić, czy potrafisz je uchwycić.
- Jak można uchwycić dźwięk?
- A ścieżkę? Moje ścieżki nigdy nie wyglądały jak ludzie czy zwierzęta – ale to się zmieniło, kiedy czas zwolnił... gdy Umbo przyspieszył działanie mojego mózgu i wydawało mi się, że świat zwolnił. Teraz w ten sposób działa maska.
- Mnie ona nie pomoże. I nie chcę maski.
- Chcesz, chcesz. Płaczesz po nocach, bo nikt ci takiej nie dał.
- Na pewno dodała ci urody.
- Nie zauważyłaś, że moja maska jest ładniejsza niż Rigga?
- No, oczywiście mówisz tak, bo teraz, gdy Rigg wybrał się na ekspedycję, nie

można was porównać.

Przekomarzając się z Param, Noxon wybrał pobliską ścieżkę, nie sprawdzając nawet, do kogo należy. Miała co najmniej sto lat, ale i tak była o wiele świeższa niż kilka innych w pobliżu. Larowie nie czuli się dobrze w lesie, więc niewiele ich ścieżek się tu zapuszczało.

– Czy słyszysz tu jakiś hałas?

– Zawsze słyszę.

– Ale jakiś szczególny?

– Nic bardzo głośnego.

– Czy któryś wybija się spośród innych?

– Tak – powiedziała Param bez wahania. – Ale nie jest bardzo silny.

– Wiesz, skąd dobiega?

Param zastanawiała się przez chwilę.

– Hm... tak. Zawsze wiem. Dlatego potrafię je omijać, kiedy chcę spokoju. Stamtąd.

Mówiąc to, zamknęła oczy i wskazała miejsce, nie otwierając ich. Wskazała tę najświeższą ścieżkę.

– Sprawdźmy, czy ja też ją słyszę – powiedział Noxon. – Stańmy w środku tej melodii.

Zaprowadził Param w stronę ścieżki.

– Widzisz ścieżkę i myślisz, że to to samo, co mój hałas.

– Nie, jestem pewien, że to nie to samo, dlatego chcę, żebyś to potwierdziła. Powiedz, że nie stoimy w jego środku.

– Stoimy – odparła Param i raptem jakby się zachłysnęła.

Noxon myślał przez chwilę, że dziewczyna zemdleje, potem uświadomił sobie, że się śmieje, nie, płacze.

– To niemożliwe – wykrztusiła w końcu.

– Podejźmy do którejś z cichszych melodii – zaproponował Noxon.

– To nie jest muzyka.

– A moje ścieżki nie mają kolorów. Ale tak nazywam różnice między nimi. A ty nazwałaś je melodiami, prawda?

– Tak o nich myślę. I rzeczywiście stoimy teraz w innej.

– To bardzo stara ścieżka, mimo to ją słyszysz.

– Nie jest głośna, ale tak.

– Chyba można śmiało stwierdzić, że oboje jesteśmy tropicielami.

– Nie wierzę, że to mówię, ale żałuję, że Umbo nigdy nie zrobił ze mną tej sztuczki ze zwolnieniem czasu!

– Robił ją za każdym razem, kiedy cię w nim prznosił. Po prostu nie spodziewałaś się, że to zmieni twoje melodie, więc tego nie zauważałaś.

– Szkoda, że go tu nie ma! Mógłby to zrobić...

– Wróci, wcześniej czy później. Ale może i my możemy coś zrobić. Stańmy tutaj, obok tej ścieżki. Tej melodii. Spójrz na moją dłoń. Ułożyłem ją na melodii, prawda?

Param skupiła wzrok na jego wyciągniętej dłoni.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak precyzyjnie znam ich położenie. Człowiek nie spodziewa się, że wie, gdzie znajdują się dźwięki... Ale tak, zawsze wiedziałam, w którą stronę mam iść, żeby uciec od konkretnych hałasów... W każdym razie od tych najgłośniejszych.

– Maski pomoże mi zobaczyć konkretną osobę. Teraz zawsze widzę ludzi, no, tak trochę... Ale teraz zobaczę ją wyraźnie.

– Ją?

– Ścieżki zdradzają niektóre sprawy. Wzrost i sylwetkę. Powiedziałbym, że to staruszka. I chcę wybrać moment, kiedy minęła to miejsce. Nic nie mów, nic nie rób, żebyśmy jej nie spłoszyli, żeby się na nas nie obejrzała.

– Nikogo tu nie ma.

– Jeszcze nie skończyłem. Ale spójrz w stronę, z której dobiega melodia. Tam, między tymi drzewami.

– Patrę.

– Widzę ją bardzo wyraźnie, zrobiła krok. Teraz wprowadzam ją w rezonans z nami, bardzo precyzyjnie, więc zastygła w pół ruchu. Nie zrobisz nic głupiego, na przykład nie puścisz mojej ręki, prawda?

– Chyba że będę miała ochotę.

– Koniec gadania. Skoczmy w jej czas.

I Noxon zakotwiczył się w ścieżce kobiety, i skoczył w przeszłość.

Param nie mogła powstrzymać westchnienia zaskoczenia. Kobieta zatrzymała się i zaczęła się obracać. Tak naprawdę obejrzała się gwałtownie, żeby sprawdzić, kto znalazł się tak blisko za jej plecami, ale Noxon miał odruchy maski, więc zdążył skoczyć nieco dalej w czasie, zanim kobieta ich zauważyła. Pomyśli, że przestraszyła się jakiegoś odgłosu lasu, i będzie się z siebie śmiała, że coś się jej zwiduje.

Noxon odciągnął Param ze ścieżki kobiety.

– Nie mogłaś się aż tak zdziwić – powiedział. – Mówiłem ci, że zobaczysz starszą kobietę od tyłu. A ona pochodzi ze świata Lara, więc nie mogła cię zaskoczyć jej peleryna.

– Nie, nie, nie dlatego się zdziwiłam. Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

– To dlaczego?

– Bo zrozumiałam, że to ona była melodią. Melodia płynęła od niej. To ona była jej źródłem.

– Tworzyła ścieżkę.

– Jak mogłam przeżyć tyle lat, nie zauważając, że melodie płyną za ludźmi?

Param osunęła się na ziemię.

– Ale wiedziałam. Rozumiałam. Jako mała dziewczynka powiedziałam matce: „Nie lubię jego hałasu, on ma brzydki hałas”, a ona kazała mi siedzieć cicho i nigdy więcej tak nie mówić, więc przestałam. „On nie robi żadnego hałasu, nie bądź niegrzeczna” – tego mnie nauczyła. Więc przestałam zauważać. Albo przestałam przyznawać się przed sobą, że zauważam. Ale hałasy istniały i wiązałam je z ludźmi. Hałas Flaccommo niósł się w całym domu. Znałam też na pamięć melodię matki. Wiedziałam, gdzie była, ale nigdy nie uważałam, żeby to było coś nadzwyczajnego. To, że matka minęła to czy tamto miejsce w określonym czasie.

– Ale było. Nie jesteś głupia dlatego, że sobie tego nie uświadomiłaś. Myślisz, że ja wiedziałem, co widzę? Ojciec nauczył mnie to rozumieć. Nie wiedział, że potrafię skakać w czasie – to odkryłem razem z Umbem – ale pomógł mi zrozumieć, że widzę... nie, że odbieram istnienie różnych ludzi i zwierząt i wiem, że niektóre były tu wcześniej niż inne. Ścieżki nowsze uważam za jaśniejsze, ale dla ciebie byłyby...

– ...głośniejsze – dokończyła Param.

– Tropicielka jak nic – oznajmił Noxon.

– Dlaczego ja też nie mam jakiegoś Umba?! – zawołała z żartobliwą rozpaczą.

– Ale kiedy skoczyliśmy... czułaś, co robimy?

– Nie bardzo. Wiedziałam, kiedy skoczyliśmy, wiem, że skoczyliśmy. Ale nie wiem, co robisz, kiedy to robisz.

– Tak jak ja nie wiedziałem, co robisz, kiedy cięłaś czas. Zacznijmy więc wybierać ścieżki i skakać do nich, a sprawdzisz, czy potrafisz zrobić to, co ja. Bo nie ma powodu sądzić, że nie potrafisz tak jak ja zakotwiczyć się w jakimś konkretnym punkcie ścieżki. Konkretniej nucie melodii.

– Dostrzegam jeden problem – stwierdziła Param. – Będziemy ćwiczyć, ciągle się cofając do coraz starszych melodii. Ścieżek. Ale nie mamy Umba, który pełnił funkcję kotwicy i zawsze sprowadzał nas z powrotem.

– Musimy go mieć – zgodził się Noxon, powtarzając jej żart. Potem dodał poważnie:

– To nie jest śmieszne. Zawsze go potrzebowaliśmy. Jak mogliśmy sprawić, że poczuł się niepotrzebny?

– Bo mu to powiedziałam – szepnęła Param. – A on uwierzył w każde moje wstrętne słowo. Jak może chcieć mnie poślubić po tym, jak go traktowałam?

– Bo miłość wiele wybacza. Nie wszystko, ale wiele.

– Teraz go lubię. Przywykłam do niego i go lubię. I zrozumiałam, że go potrzebuję.

– Gdyby tu był, ułatwiłby nam to. Ale pamiętaj, kim jesteś i kim ja jestem. Co z tego, że cofniemy się w przeszłość nawet o kilka stuleci? Wrócimy, krojąc czas.

– Już cofnęliśmy się o sto lat.

– Skąd wiesz?

– Sam to powiedziałeś.

– Naprawdę? Nie pamiętam. Myślałem, że może to po prostu wiesz.

– Może i wiem. Pamiętam, jak długo ja i Umbo cieliśmy czas, kiedy był tu statek Gości.

– A czy razem nie tniemy czasu dziesięć razy szybciej?

– Raczej sto. Cofnijmy się jeszcze kilka razy i wróćmy do terażniejszości.

Noxon parsknął śmiechem.

– Param, jak rany, co dla ciebie znaczy „teraźniejszość”? Dla mnie terażniejszość jest teraz, gdziekolwiek jestem. Ale tobie nie chodzi o ten czas.

– Chodzi mi o czas i miejsce, które właśnie opuściliśmy. O to, do którego wracaliśmy.

– Skoczyliśmy do stu różnych dni w tym samym dwuletnim okresie.

– No więc chodzi mi o jeden z nich. Na parę lat przed przybyciem Gości.

– Ach, tak, to jest ta twoja terażniejszość... Wrócimy do niej po kilku próbach.

Wspólne skoki w przeszłość, a potem cięcie czasu, żeby dostać się w przyszłość, zajęły im parę dni. W końcu Param powiedziała, że chyba rozumie, co robi Noxon. Ponieważ Noxon potrzebował mniej więcej tyle samo czasu, żeby naprawdę zrozumieć, o co chodzi w cięciu czasu, podniosło go to na duchu. Potem pewnego dnia skoczyli, zanim zdążył się przygotować. Nie w tę chwilę, którą wybrał. Ale zakotwiczyli się w ścieżce tego samego mężczyzny. I to Param wykonała skok.

Param chwyciła go w objęcia i rozplakała się z ulgi i radości.

– No, teraz już na pewno stałaś się jedną z nas – powiedział Noxon, usiłując ją rozbawić.

– Nie jestem smutna, ja się cieszę – wyszłochała. – Właśnie dlatego płaczę. Stałam się jedną z was. Potrafię robić to, co ty i Umbo. – I po chwili dodała: – I Rigg.

– Nie szkodzi, że uważasz mnie za Rigga. Jestem nim. To ja postanowiłem zmienić imię, żeby ludzie nas nie mylili.

– Świetny pomysł – stwierdziła Param. – Ja was nigdy nie myłę.

I zaczęła się śmiać. Trochę histerycznie, ale zawsze.

Zatem Noxon nauczył się od Param, jak ciąć czas, a ona zaczęła rozumieć, o co chodzi z kotwiczeniem się w ścieżkach. Choć Noxon nie miał pojęcia, co właściwie robi Umbo, kiedy wykonuje skok. Umbo nie widział ścieżek ani nie słyszał melodii, po prostu jakoś rzucał się w przeszłość i tylko on wpływał na strumień czasu innych ludzi, nie dotykając ich. Wprawdzie Noxon nie wiedział, czy ktokolwiek zdoła się tego nauczyć, ale najważniejsze było to, że cała czwórka potrafiła już skakać w przeszłość.

Noxon ćwiczył także potajemnie drobiazg właściwy tylko mieszkańcom murchii Odyna: przesuwanie przedmiotów w czasie i przestrzeni. Po raz pierwszy spróbował to zrobić na statku w świecie Vadesha, tuż po zapanowaniu nad twarząmaską. Najpierw przesunął samego Vadeshexa – tylko odrobinę, zarówno w czasie, jak i przestrzeni, ale jeśli zbędny to zauważył, nie skomentował tego. Od tej pory Noxon robił to tylko, gdy nikt nie patrzył – poruszał kamykiem, gałązką lub listkiem, to ciut w

bok, to o ułamek sekundy w przyszłość. Aż nabrał wprawy i zaczął przesuwać te małe naturalne obiekty dalej w czasie i przestrzeni.

Kiedy więc wracał na brzeg, gdzie zwykle spali, szybko liczył przedmioty, które tam przesunął: ta gałązka wysłana dziś rano, ten kolorowy kamyk przysłany z zeszłego tygodnia... Potem wyrzucał je do dalekiej przeszłości innej murchii, gdzie ani on, ani nikt inny nie mógł tego zauważyć. Ale dobrze było nauczyć się przesuwania przedmiotów na wielkie odległości i okresy.

Nie sądził, żeby kiedykolwiek udało mu się osiągnąć precyzję właściwą myszom, bo jeśli wierzyć Odynerom, stworzonka te potrafiły przenosić geny z komórek jednego organizmu do drugiego na tysiące kilometrów. Podobno w taki sposób został poczęty Umbo, bez genetycznego udziału ojca. Noxon cieszył się, że potrafi przesuwać widoczne przedmioty na względnie małe odległości w czasie i przestrzeni prawie dokładnie. Jeśli kamyk lądował mniej niż metr od punktu, w którym miał się znaleźć, Noxon uważał to za strzał w dziesiątkę.

Mniej więcej tyle spodziewał się osiągnąć na tej planecie. Opanował umiejętności Param i pomógł jej nauczyć się tego, co sam potrafił, wyćwiczył też kształtowanie czasu podpatrzone u myszy. Tego, czego jeszcze powinien się nauczyć, nie umiał nikt, nie mógł więc znaleźć nauczyciela. Pozostało mu tylko cofnąć się do momentu, kiedy jeden statek stał się dziewiętnastoma. Musiał odnaleźć dwudziesty statek, ten poruszający się wstecz. Możliwe, że to jedyny obiekt w historii wszechświata, który przesuwał się w czasie pod prąd. Całkiem możliwe też, że natychmiast wybuchł i nie istniał dłużej niż przez mikrosekundę. Albo że Noxon go nie dostrzeże. Że nie znajdzie płynącej wstecz ścieżki.

Może skok poprzez zagięcie przestrzeni uniemożliwi mu zobaczenie ścieżki Rama Odyna. Żeby ją dostrzec, musiałby przeskoczyć lukę liczącą wiele lat świetlnych. Jediną nadzieję pokładał w słowach komputera pokładowego, który zapewnił go, że w tym ułamku chwili nie będzie żadnej luki. Będzie tam dziewiętnastu Ramów Odynów prowadzących do pierwotnego Rama Odyna sprzed skoku. A gdzieś – nie, dokładnie tam, gdzie ścieżka pierwotnego Rama Odyna sięgała do Ziemi, którą opuścił – będzie kolejny Ram Odyn, poruszający się wstecz, pod prąd czasu. Ten wsteczny Ram powinien zataczać kręgi wokół tego, który podąża naprzód. A Noxon albo go zobaczy i zakotwiczy się w jego ścieżce, albo nie.

Ale czas zakończyć te lekcje wzajemnej nieporadności jego i Param i dowiedzieć się, czy potrafi zrobić jedyną rzecz, która według niego dawała szansę na ocalenie tej planety bez unicestwienia Ziemi.

Jeszcze tylko kilka dni ćwiczeń z Param, żeby się upewnić, iż poradzi sobie bez niego, a potem może odejść. Nie ma powodu czekać. Nawet po to, żeby pożegnać się z Umbem, Riggiem, Bochnem czy Oliwienką. Wiedzą o jego zamiarze, a jeśli będzie zwlekać, zdradzi, jak bardzo się boi. A on nie zamierzał pozwolić, by strach go

zatrzymał.

Rozdział 8

NEGOCJACJE Z MYSZAMI

– Byłbym wdzięczny, gdybyś została tutaj – powiedział Noxon. – Nie w tym miejscu, tylko w tym czasie.

– Nie boję się myszy – odparła Param.

– To głupio. Już raz cię zabiły.

– Ale teraz potrafię się cofać w czasie.

– Tak, z szczęcioma ciężarnymi myszami ukrytymi w twoim ubraniu.

– Słyszałam ich melodie.

– Sprowadziliśmy je do murchii Lara, ale nie możemy ich ściągnąć w jego zbyt daleką przeszłość. Nie wolno ich wpuścić w żaden zakątek tego świata, w żadną jego epokę.

– To po co z nimi rozmawiać?

– Żeby sprawdzić, czy zdołam wynegocjować, żeby udały się ze mną na Ziemię.

– Żeby unicestwiły ludzi?

– Tego nie wiemy.

– Nie było cię tam. Im dłużej o tym myślę, tym większą mam pewność, że te myszy były chore. A nie ma sensu wysyłać chorych myszy statkiem kosmicznym – chyba że chce się doprowadzić do wybuchu zarazy. Takiej, na którą ludzkość Ziemi nie ma lekarstwa.

Noxon skinął głową.

– Nie widziałem tego, co ty. Muszę przyjąć twój punkt widzenia.

– Ty jeden. Bochen potraktował nas jak potwory. Zwłaszcza Umba, którego to strasznie zraniło.

– Bochen martwi się, że ta władza uderzy nam do głowy. I uderza. Ponieważ możemy to robić, zachowujemy się, jakbyśmy mieli do tego prawo. I dlatego muszę porozmawiać z myszami.

– Nie widzę związku. Myszy są zdradzieckie i nieprzewidywalne.

– Oraz małe i zwinne. Albo podzielimy się z nimi tym światem, albo wybuchnie wojna, a jeśli do niej dojdzie, to prawdopodobnie przegramy.

Param zastanawiała się nad tym przez chwilę. Podobało mu się, że nie ma zawsze

gotowej odpowiedzi.

– Mogłyby doprowadzić do wybuchu zarazy na tej planecie – stwierdziła.

– Tak, i to nie tylko w naszej murchii. Myszy nie potrafią podróżować w czasie, ale umieją wysyłać przedmioty, i to nie tylko w czasie, ale i przestrzeni. Mogą więc w każdej chwili zasiać swoją zarazę na całej planecie.

– Czyli tak naprawdę negocjujemy z obcym mocarstwem.

– Z obcym gatunkiem. Gatunkiem, który posiada sporą część ludzkiego genomu, lecz z całą pewnością nie może się krzyżować z ludźmi.

Param wydeła usta.

– Przed oczami stanęły mi dwa obrazy i nie wiem, który jest bardziej obrzydliwy.

– Zostaniesz tutaj i nie pójdziesz za mną w przyszłość?

– Czy muszę teraz podjąć decyzję? A jeśli się nie zgodzę, to ty też nie pójdziesz?

– I tak tylko straciłabyś czas. Nie słyszysz ich cieniutkich głosików, a mówią bardzo szybko.

– Pewnie drażni je powolna ludzka mowa.

– Zdążą przedyskutować dziesiątki spraw, zanim my skończymy mówić: „No więc...”.

– Idź – rzuciła gwałtownie. – Muszę trochę pobyć sama.

Noxon nie potrafił zgadnąć, czy jest zła, a jeśli była, to na kogo. Może na niego za to, że wykluczył ją z negocjacji? A może na siebie za to, że bała się myszy albo że czuła się gorsza od ludzi z twarząmaskami, albo z jakiegoś innego niestworzonego powodu? Czasem Noxon myślał, że gdyby dorastał z taką siostrą, wydawałby się jeszcze bardziej szalony niż teraz.

Powrót do czasu myszy w świecie Lara nie sprawił mu żadnego problemu. Kiedy je sprowadzili, rozmnożyły się tak szybko, że w całym świecie nie został ani jeden zamieszkały zakątek, gdzie nie można by znaleźć ich gniazd i kolonii. Te myszy zachowywały się jak ludzie – nie wybierały jednego miejsca do życia, lecz przystosowywały się do wszystkich. Mieszkały na drzewach, w trawie, w wydrążonych przez siebie korytarzach lub w norach, z których wypędziły inne zwierzęta. Gnieździły się przy rzekach i na pustyniach, w górach i na bagnach. W porównaniu z nimi zwykłe myszy wydawały się nieruchawe i bezwolne. Ponadto rozmnażały się, wykształcając określone cechy. Wystarczyło kilka pokoleń, a myszy nadrzewne stały się inne od skalnych, bagiennych i polnych. Ponieważ jednak należały do tego samego gatunku, mogły się krzyżować.

Noxon nie chciał negocjować z nimi w czasach, gdy rozmnożyły się do miliardów. Wolał moment, gdyż w murchii Lara żyło ich tylko kilka pokoleń. Zaczął się przesuwać w przyszłość, gwałtownie krojąc czas, aż ujrzał nieliczne wyraźne ścieżki *Mus sapiens*. Wówczas się zatrzymał. Obecne na polanie myszy natychmiast przerwały swoje zajęcia i podbiegły do niego. Kilka wbiegło mu na ramię.

– Rigg czy Noxon? – spytał głosik.

Dla zwyczajnych ludzkich uszu brzmiałby jak pisk. Noxon uświadomił sobie, że mysz zabijana przez kota może wyrzucać z siebie stek obelg.

– Noxon – powiedział.

– Ukrywałeś się przed nami. Gdzie dziewczyna? Dlaczego nie chcesz nas z sobą zabrać? Co przed nami ukrywasz? – pytania nakładały się na siebie, rzucane przez myszy, które obsiadły jego ciało, ale on potrafił rozróżnić ich głosiki, ponieważ maska je rozdzielała. Poza tym wiedział, że są zadawane w imieniu wszystkich myszy. I że powinien odpowiedzieć tylko na te, na które chce odpowiedzieć.

– Przyszedłem, żeby porozmawiać. Chcę zabrać was z sobą.

– W przeszłość? Do jakiej murchii? Do murchii Vadesha! Na Ziemię?

– Spróbuję się dostać na Ziemię w pewien szczególny sposób, ale może mi się nie udać. Chodzi o zakotwiczenie się we wstecznym nurcie czasu. Być może tego nie potrafię.

– Warto zaryzykować. Będziemy. Chcemy zobaczyć Ziemię. Tam, gdzie tobie się nie uda, nam może się powieść.

– To nie takie proste – powiedział Noxon. – Zabiorę was na statek, ale to nie znaczy, że zabiorę was na Ziemię.

– Dokąd polecimy, jeśli nie na Ziemię?

– Polecimy statkiem zmierzającym na Ziemię, ale nie mogę wylądować na planecie. Statek zostanie na orbicie. A kiedy zejść na powierzchnię Ziemi, mogę zabrać z sobą myszy... albo nie.

– Więc o co chodzi? Już widziałyśmy statki kosmiczne. Mamy wszystkie ich plany. Podróż tylko po to, żeby zostać na statku?

– Jeszcze nie wiem. Na tym polega problem. Zejść na powierzchnię planety i postaram się dowiedzieć, dlaczego wydano rozkaz zniszczenia Arkadii i jak mógłbym temu zapobiec. Dopóki nie dowiem się, co się dzieje, nikogo z sobą nie zabiorę. Ale mogę was potrzebować. A jeśli będę, chciałbym mieć was przy sobie.

Nie powiedział: „Mogę was potrzebować do unicestwienia ludzkiego gatunku, żeby zapobiec przysłaniu Niszczycieli na Arkadię”, ale i tak wiedział, że myszy rozumieją, na czym ma polegać ich zadanie. To jednak nie znaczyło, że zgodzą się na to bez dyskusji.

– Dlaczego sam podjąłeś decyzję? Masz się za Króla w Namiocie. Nie polecimy.

– To nie – odparł Noxon. – To było zaproszenie, nie rozkaz.

– Pozwól nam polecieć! Chcemy polecieć! Nie zostawiaj nas! – prosiły jak dzieci, uroczo jak dzieci, ale Noxon wiedział, jakie są niebezpieczne.

– Wiem, że nawet na pokładzie statku możecie narobić mi kłopotów – powiedział.

– Nie my. Dlaczego miałybyśmy powodować kłopoty? Chcemy pomóc. Pozwól nam pomóc.

- Możecie przesyłać przedmioty w czasie i przestrzeni. Możecie zabić mnie we śnie.
- Po co? Nie jesteście mordercami.
- Jesteście. Widziałem zwłoki Param.
- Przecież tego nie zrobiliśmy. W porę ją zabrałeś. Nie zamierzałyśmy tego zrobić.
- Zrobiliście, a potem my wróciliśmy i cofnęliśmy wasze dzieło.

Nie wspomniał o ich próbie zainfekowania całej ziemskiej populacji jakąś zarazą, ponieważ myszy jeszcze tego nie zrobiły. Byłoby gorzką ironią, gdyby to on podsunął im ten pomysł.

- Na pewno miałyście ku temu powód.
- Wiedzieliśmy, że to odczynisz! Chcieliśmy was tylko skłonić do działania! Byliście zbyt bezwolni! Leniwi! Nadszedł czas działania.

- Nie wątpię, że miałyście szczytne motywy.
- Ironia! Kłamstwo!
- Nie kłamstwo i nie ironia. Robiliście to, co uważałyście za korzystne dla *Mus sapiens*. A to po prostu okazało się niekorzystne dla Param.
- Królowej w Namiocie. Kochamy ją. Czcimy ją.
- Nie kochacie i nie czcicie żadnego człowieka.

Milczenie.

- Wśród ssaków dwunożnych uważam was za istoty podobne ludziom.
- Zatem nie jesteście *Mus sapiens*, tylko *Homo musculus* – odezwał się pojedynczy głos. Ta różnica była ważna dla myszy.
- Masz rację – powiedział Noxon, korzystając z rady ojca: „Skłoń przeciwnika, żeby zgodził się z tobą w mało ważnej sprawie, a potem wykorzystaj to”. – Macie takie samo prawo do tego miana jak do tego pierwszego. To wasza sprawa, czy jesteście myszami z wszczepionymi genami ludzkimi, czy ludźmi z talentami, które łączą się z byciem małym, lecz licznym.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Prawda.

Rada ojca znowu okazała się skuteczna. Noxon słyszał o wiele więcej mysich głosików. Cichutkich, lecz tak licznych, że brzmiały jak przeciągły organowy akord. I nie spierały się z nim, lecz przyznawały mu rację, popierały go.

- Sądzę, że staniecie się kluczem do rozwiązania tego problemu i uratowania Arkadii przed Niszczycielami – powiedział – ale musicie od razu przysiąc, że zostanieie na statku, dopóki nie postanowię sprowadzić was na Ziemię. I że powstrzymacie się od psot.

Na chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się jeden głosik:

- To, co dla ciebie jest psotą, dla nas może być kwestią przetrwania.
- Rozumiem. Proszę, żebyście obdarzyły mnie wielkim zaufaniem.
- Ale ty nie ufasz nam. Ty chcesz nami rządzić.
- Nie ufam? Powierzam wam swoje życie. Kiedy znajdziecie się na statku, nie będę

mógł was nieustannie obserwować. Wiecie, jak nawiązać porozumienie z komputerami pokładowymi. Mogłybyście zmienić nasz kurs, zepsuć systemy podtrzymujące życie. Umiecie zabić śpiącego człowieka.

– Nie możemy zrobić ci krzywdy. Tylko ty możesz nas zabrać w przeszłość. Wsteczny nurt czasu to pułapka, z której tylko ty możesz nas wyciągnąć.

– Tak. Wiecie, że mnie potrzebujecie, ale ja jeszcze nie wiem, czy potrzebuję was.

– Nieważne. Zabierz nas. Przysięgamy.

Nie mógł uzyskać bardziej oficjalnej obietnicy. Czym myszy mogły mu zagwarantować swoje posłuszeństwo? Musiał założyć, że ostatecznie będą próbowały go oszukać, nawet jeśli w tej chwili były zupełnie szczere. Ale jako człowiek nie mógł nie spróbować nadać tej przysiędze większej wagi.

– Nie wiem, jak funkcjonuje wasze społeczeństwo – powiedział. – Czy mówicie w imieniu wszystkich? Co do jednego?

– Zdecydowanie. Wszyscy się zgadzamy.

– Jeśli naprawdę wszyscy, to nie można was uznać za ludzi. Jednomyślna zgoda to coś dla nich nieosiągalnego.

– Wiele dyskusji. Mnóstwo konfliktów. Wielu sprzeciwia się temu planowi.

– Ale czy ta obietnica będzie wiążąca dla wszystkich z was, nawet dla tych, którzy się z nią nie zgadzają?

– Czy jakikolwiek człowiek może wypowiadać się w imieniu całej ludzkości? – spytał pojedynczy głosik.

– Dziękuję za szczerść. Zdaję sobie sprawę, że istnieje między wami rozłam, a między dniem dzisiejszym a dniem mojego wyruszenia urodzą się nowe pokolenia i kolejne na pokładzie statku. Dzieci mogą być niezadowolone, że krępują je obietnice rodziców.

– Jak powiedziałaś, jesteśmy ludźmi.

– Więc to zrozumiecie i wybaczycie, jeśli potraktuję myszy, które pojada z mną, jakby nie złożyły żadnej obietnicy. Będę je nieustannie sprawdzać. Założę, że chcecie mnie oszukać.

– Nigdy nie oszukujemy. Dajemy słowo. Jesteś głupi, jeśli myślisz, że kłamiemy.

– Myślę, że mówicie prawdę. Myślę, że mogę wam zaufać na tyle, żeby zabrać sześć myszy. Żadna nie będzie w ciąży.

– Za mało – padła natychmiastowa odpowiedź. – Co najmniej dwadzieścia.

Na tej podstawie Noxon doszedł do wniosku, że potrzeba co najmniej dwudziestu myszy, żeby... żeby co? Przesuwać przedmioty w czasoprzestrzeni? Czy po prostu stworzyć zapewniającą przetrwanie pulę genów? Pytanie ich nie miało sensu. Nie mógł zaufać myszom, że odpowiedzą zgodnie z prawdą. Zawsze miały mnóstwo planów. To jakby walczyć z dymem, który wije się i rozwiewa, ale nigdy nie daje nad sobą w pełni zapanować.

– Niech będzie trzydzieści – powiedział. – Na wypadek, gdybym niechcący kilka z was rozdeptał.

Mogły mieć poczucie humoru albo nie. Chwilowo nie obchodziło go, czy uznają tę uwagę za ironię, czy groźbę.

– Kiedy ruszamy? Jak długo potrwa podróż?

Oto znakomite pytania. Musi się pożegnać z Param i dać jej do zrozumienia, że teraz jest zdana na własne siły. A może najpierw powinien ją odstawić do Oliwienki? Albo poczekać, aż cała grupa się zbierze? Ale wystarczyło, że jedno z nich wiedziało o tym, że wyrusza, i mogło powiadomić pozostałych. Noxon był nadliczbowym Riggem, zbędnym. Nie miał powodu sądzić, że ktoś odczuje jego stratę. Kiedy odejdzie, na świecie zostanie właściwa liczba Riggów.

– Czekajcie tutaj – powiedział. – A mówiąc to, mam na myśli wszystkich, którzy siedzą na mnie i w moich ubraniach. W tym te pięć myszy, które przywarły do wewnętrznej strony moich nogawek i trzy na moich ramionach...

Myszy wiedziały, że maski nie da się oszukać. Zbiegły z niego lub zeskoczyły i po chwili stanęły wokół niego kręgiem.

– To nie najlepszy znak, że już teraz usiłujecie przemycić pasażera na gapę.

Odegrały bardzo przekonującą scenę konsternacji. Ostatnia ukryta myszka, wczepiona w napiętek jego buta, była naprawdę bardzo mała. Może rzeczywiście to głupie dziecko, jak twierdziły myszy, a może po prostu przedstawicielka karłowatej rasy? Myszom nie wolno ufać.

Łatwo było wrócić do Param – nie stracił z oczu jej ścieżki, choć skoczyła wstecz dwukrotnie, od kiedy się rozstali. Jej ścieżka była nienaruszona, tylko stawała się coraz słabsza. Już miała skoczyć po raz kolejny, kiedy Noxon znalazł się obok niej i dotknął jej ramienia. Odwróciła się gwałtownie i odetchnęła.

– Odchodzę – powiedział. – Na Ziemię... mam nadzieję.

– A ja? – spytała. – Zostawisz mnie tutaj?

– Tak.

Starał się nie zastanawiać nad tym, że pomyślała tylko o tym, iż przez jakiś czas zostanie sama, a nie o tym, że mogła go spotkać śmierć lub zatracenie.

– Ale znajdziesz drogę do domu.

– Będę tęsknić – rzuciła, chwytając go za ramię.

– Rigg wkrótce wróci.

– Zaczęliście jako jedna osoba, ale to ty okazałaś mi taką cierpliwość... To ty wpadłaś na myśl, że moje dźwięki i twoje ścieżki to to samo.

– Ja też będę za tobą tęsknić. I nie tylko dlatego, że nauczyłaś mnie ciąć czas.

Pocałowała go w policzek.

– Wiesz, że będziesz musiała przejść przez to samo z Riggem, kiedy wróci? Nie spocznie, dopóki nie nauczy się ciąć czasu tak szybko jak my. Umbo pewnie też.

– Żaden z was nie może mieć przewagi nad pozostałymi – mruknęła Param. – Tak trudno przekonać przyszłych samców alfa, żeby się z sobą dogadali...

Rozdział 9

NAPRAWIANIE

I tak oto Umbo płynął rzeką, już bez pośpiechu, używając wiosła tylko po to, żeby łódź nie zboczyła z kursu. I, szczerze mówiąc, starał się tym wiosłem zwalniać tempo. Bo co miał zrobić, dotarłszy do Przystani Lejki? W tej chwili mały Umbo szedł z Riggiem drogą wzdłuż rzeki. Dotrą do Przystani Lejki za kilka tygodni. Potem spędzą jeszcze dużo czasu na podróży do O, a jeszcze później nastąpi ich aresztowanie i powrót Umba z Bochnem do Przystani Lejki. No i czas, który Umbo poświęcił na naukę wysyłania wiadomości bez pomocy Rigga. W końcu Umbo i Bochen wyruszyli, żeby uwolnić Rigga. To był wielki przełom. Następnie Umbo znowu pojawił się przed Lejką i przyprowadził do niej Bochna w masce. Do tego momentu musiał wrócić, a miał do przebycia długą drogę. Czuł rozciągający się przed sobą pusty czas. Czas, który będzie musiał przeżyć, robiąc... no, coś robiąc. Nic, co by miało znaczenie.

Gdyby była z nim Param, mogłaby przenieść ich oboje w przyszłość, krojąc czas. Ale ona uczyła się od Noxona, jak poruszać się w czasie bez narażania się na ataki zabójców z żelaznymi prętami. To liczyło się bardziej niż fakt, że Umbo utknął w tym miejscu i musi tu przeżyć niemal pół roku. Nie, nie „niemal pół roku”. Orientował się przecież o wiele lepiej. Nie mógł wprawdzie ustalić dokładnej liczby dni, bo czas się tak nie dzielił – nie dzielił się wcale, chyba że na ogromną liczbę oddzielnych przyczyn i skutków, które określały kierunek, jeśli nie prędkość jego strumienia – ale znał rozmiary rozciągającej się przed nim jego połaci, choć nie potrafił ich nazwać. Znał „miejsce” tych wypadków w biegnącym w przód nurcie czasu.

Wystarczająco często odwiedzał ten moment – wyruszenie z Bochnem z Przystani Lejki, potem przekazanie przez niego wiadomości dla Lejki i powrót z Bochnem – to stanowiło mocną kotwicę w jego poczuciu przepływu czasu. Nie mógłby tego narysować na papierze – tyle a tyle dni, ta i ta konkretna data. Nie prowadził w pamięci kalendarza, a poza tym jego podróżowanie w czasie odbywało się bez notatek, ponieważ działało jak słuch i wzrok. Mimo to wiedział – tak jak się wie bez otwierania oczu, gdzie znajdują się ręce – w którym momencie przyszłości zaistnieje ten dzień.

Czy było to coś realnego? Czy może to wykorzystać w podróżach w czasie, tak jak

Rigg korzystał ze ścieżek?

Wrócił pamięcią do tygodni w gospodzie, kiedy łamał sobie głowę, jak wysłać wiadomość w przeszłość bez pomocy Rigga. Gdy w końcu zaczęło mu się to udawać, znalazł się tak naprawdę dopiero na początku tej drogi. Musiał się jeszcze zorientować, jak daleko w przeszłość powinien sięgnąć, aby dana wiadomość pojawiła się w dokładnie określonym miejscu i czasie. Stopniowo, metodą prób i błędów, zaczął osiągać sporą precyzję w rzucaniu swojego obrazu w przeszłość i utrzymywaniu go w niej.

Wtedy jeszcze sądził, że przenosi się w przeszłość, ale teraz rozumiał już, na czym polega różnica, i potrafił używać obu metod. Kiedy musiał wrócić do momentu na kilka tygodni przed swoim odejściem z Riggiem z Wodobrodu, robił to z dokładnością do paru dni. Nie musiał być bardziej precyzyjny. I choć martwił się, że zaśnie lub zajmie się czymś innym w chwili śmierci Kyokaya, tego dnia po prostu zrozumiał, że to wydarzy się dziś, i w odpowiedniej chwili uniósł głowę, by zobaczyć brata biegnącego w stronę schodów. Ale dlaczego? Huk wodospadu zagłuszał przecież wszystko. Skąd wiedział, że trzeba spojrzeć akurat w tamtym momencie?

Po prostu wiedział. Będąc w przyszłości, wiedział, jak cofnąć się w czasy przed wypadkiem, a dotarwszy ponownie do tego dnia, tylko od drugiej strony, wiedział, że właśnie następuje ten moment, zanim jego oczy to potwierdziły. Miał w głowie mapę czasu, tak jak ślepiec może się nauczyć na pamięć mapy swojego domu, i posługiwał się nią podczas wszystkich podróży w przeszłość. Nie była precyzyjna co do sekundy, ale po tylu próbach w razie potrzeby potrafił stać się dokładny co do godziny, co do trzydziestu albo dziesięciu minut. Nie liczył jednak tego w ten sposób – po prostu się skupiał i bardziej uważał.

Nie, nie chodziło tylko o skupienie. Przyspieszał swoją percepcję – albo zwalniał czas, jak zawsze myślał jako dziecko. Im większej precyzji potrzebował, tym uważniej wpatrywał się w świat i tym wolniej płynął dla niego czas. Mapa czasu stawała się tym wyraźniejsza, im szybciej działała jego percepcja.

Zamknął oczy na parę chwil, ufając, że wiosło utrzyma łódź na środku rzeki, i zwolnił czas, żeby przyjrzeć się mapie. Nie była obrazem. Naprawdę doświadczenie to można było porównać do tego, jak człowiek czuje swoje kończyny albo język w ustach, nie patrząc na nie. Nie widział przeszłości – nie był przecież Riggiem – ale ją pamiętał. Nie każdą sekundę, lecz najważniejsze chwile. Głównie te, kiedy wysyłał wiadomości lub przenosił się w czasie, lecz także kilka innych wydarzeń, jak śmierć Kyokaya, skok ze skały z Param, przyjęcie oświadczyn Param.

Nie widział przyszłości – nikt jej nie widzi. Jak mógł zatem postawić znaczniki w czasie, którego nie przeżył? Ale kilka następnych lat, choć teraz leżały przed nim, kiedyś było częścią jego przeszłości. Nie, często bywało częścią jego przeszłości.

Tych kilka lat, które przeżył więcej niż raz, stało się jego mapą. Gdyby leżały za nim

w strumieniu czasu, bez wahania przeniósłby się do nich. Czy mógł wykorzystać to samo wycucie czasu, żeby przenieść się do innych zapamiętanych chwil, choć w tym momencie znajdowały się w jego przeszłości?

Zawsze uważał przenoszenie się w przyszłość za skok z urwiska. Skok w czasy, których się nie zna, które nie wiadomo co przyniosą, był szaleństwem. A gdyby przeniósł się o dziesięć lat? Niszczyciele już by tu przybyli i znalazłby się w niemożliwych do zamieszkania zgłiszczach. A jeśli nieszczęśliwy traf zrzuciłby, że Umbo skoczyłby dokładnie w chwilę, gdy Niszczyciele zmieniali Arkadię w popiół, pewnie zginąłby, zanim zdążyłby zareagować i uciec.

Ale nie, teraz będzie inaczej. Bo on już przeżył ten czas. Stał na plaży murchii Lara i patrzył na zbliżający się ogień, zanim wszyscy wrócili do bezpieczniejszego czasu. Ten moment – koniec świata – stanowił jeden ze znaczników w przyszłości, które Umbo zapamiętał z całą wyrazistością najważniejszej chwili, jaką kiedykolwiek przeżył. A ponieważ jego mapa nie miała nic wspólnego z miejscami – pokazywała kiedy, nie gdzie – mógł skoczyć do dowolnego momentu z przeszłości bez względu na to, gdzie nastąpił. Znalazłby się w czasach, o które mu chodziło, nawet jeśli nie w tym miejscu, do którego zmierzał. Tak jak to się stało, kiedy cofnął się w czasy przed śmiercią Kyokaya.

Teraz Kyokay żył, ale dzień, w którym Umbo go ocalił, był tym samym znacznikiem co dzień, w którym nie udało mu się tego zrobić za pierwszym razem.

Może zdołam skoczyć w przyszłość, pomyślał. Bez cięcia czasu po ułamku sekundy, niewidzialny, lecz odsłonięty na ataki nieprzyjaciół. Może skoczę. Nie teraz, na środku rzeki. Nie chcę się pojawić akurat w chwili, gdy przez to miejsce będzie przepływać jakaś łódź. A jeśli z jakiegoś powodu moja łódź nie przeniesie się ze mną? Nawet jeśli zdołałbym się znaleźć w przyszłości, nie mam gwarancji, że cokolwiek z sobą zabiorę.

Umbo potrafił pływać, ale nie tęsknił do przemoczenia się do suchej nitki.

Kiedy wyciągał łódź na twarde brzeg, przyszło mu do głowy jeszcze jedno: jeśli nie zdoła zabrać łodzi, to co z ubraniem? Nożem z klejnotami? Nie, nie, to głupie lęki. Param bez przerwy skakała w przyszłość, po mikrosekundzie, ale w ubraniu i ze wszystkim, co miała przy sobie. On też wylądował po tamtej stronie ze wszystkim. Jeśli wylądował. Czy mu się uda?

Stał jakiś czas na brzegu, po czym doszedł do wniosku, że lepiej mu będzie na siedząco. I to na siedząco w łodzi, z nożem w jednej ręce i burtą w drugiej. Żeby dać do zrozumienia kosmicznej sile rządzącej podróżami w czasie, że to jego rzeczy i chce je z sobą zabrać.

Potem zwolnił czas – przyspieszył percepcję – i znalazł znacznik, którego szukał. Jeszcze bardziej wyostrzył świadomość i wybrał moment nieco poprzedzający chwilę, kiedy zostawił Bochna i Lejkę, żeby zająć się swoją sprawą.

I skoczył.

Otworzył oczy. Nic się nie wydarzyło.

A to rozczarowanie...

Westchnął i wstał, żeby wyjść z łodzi.

Ta zakołysała się i gwałtownie się przesunęła. Umbo omal nie upadł.

Twardy brzeg rzeki zmienił się w błoto. Nie był taki, kiedy Umbo do niego przybił. Świeciło słońce, ale najwyraźniej niedawno przestał padać deszcz.

Kiedy dotarli do Przystani Lejki, padało przez dwa dni.

No pewnie, że nic się nie zmieniło. Siedział na brzegu rzeki twarzą do nurtu. Co niby się miało zmienić? Ale jego zmysł czasu nie kłamał. Informował, że znacznik znajduje się o kilka dni od tego momentu. Ponieważ Umbo nie wiedział, jak daleko w górę rzeki znajduje się Przystań Lejki, musiał się pospieszyć, jeśli miał przybyć tam wtedy, kiedy postanowił.

Potem roześmiał się z samego siebie. Jeśli się spóźni, bez trudu skoczy do właściwego czasu.

Skoczyłem w przyszłość. Nie ciąłem czasu. Skoczyłem. Do momentu, który wybrałem. Nikt inny tego nie potrafi. Bez żadnych zewnętrznych ścieżek, tylko z mapą czasu, którą nieświadomie tworzyłem podczas tego skakania, zdołałem skoczyć w przyszłość, w której już żyłem.

Znowu skierował łódź na środek rzeki i sprawdził znaczniki. Najdalszym z nich w przyszłości był koniec świata. Jeśli chodzi o przeszłość, najdalej wyprawił się – najdalej wyprawił kogokolwiek – do czasu, gdy dziewiętnaście statków Rama Odyna uderzyło w powierzchnię Arkadii, niszcząc rdzenne formy życia niemal tak dokładnie jak Niszczyciele. Rigg wybrał tę chwilę, kotwicząc się w ścieżce ostatniego zwierzęcia, jakie przeszło przez teren, na którym miał się znaleźć Mur. Wybrał to zwierzę, sądząc, że to ostatnie chwile przed stworzeniem Muru, ale się mylił. Po rozbiciu się tych dziewiętnastu statków na planecie przestały istnieć duże zwierzęta, które mogłyby zostawić ścieżki prowadzące przez Mur. Dlatego Rigg mimowolnie ściągnął ich niemal dokładnie w chwilę poprzedniego zniszczenia życia na Arkadii.

Byliśmy Niszczycielami tamtych czasów. No, nie dokładnie my, nie Rigg, ja i inni, ale my, ludzie. Ram Odyn, zbędni. Arkadia miała tego pecha, że przetrwała przybycie statków z Ziemi.

Oznaczało to jednak, że jego mapa czasu rozciągała się od ostatniej chwili przed nadejściem ludzi po niemal ostatnią chwilę istnienia ludzkości. Niemal wszystkie podróże w czasie odbyli w ciągu ostatnich dwunastu lat, ale cofnęli się w czasie zaledwie do kilkuset lat po założeniu kolonii, kiedy w murchii Vadesha wszyscy byli świadkami bitwy ludzi z maskami i ludzi bez nich. To znaczy wszyscy z wyjątkiem Umba, ponieważ on musiał zostać jako ich kotwica, żeby mogli wrócić do czasu, który opuścili.

Teraz nie potrzebował już kotwicy. Teraz mógłby się wybrać z przyjaciółmi na taką

ekspedycję i sprowadzić wszystkich z powrotem. Bo cała historia Arkadii aż po jej kres stała się w jego umyśle przeszłością.

Dotarł do Przystani Lejki z kilkugodzinnym wyprzedzeniem. Nie chciał wejść do gospody, zanim wyruszył na ratunek Kyokayowi, żeby nie powołać do istnienia swojej kopii albo – jeszcze gorzej – tak zmienić swojego wcześniejszego ja, że nie odgadnie, w jaki sposób skutecznie ocalić brata. Szukał jakiegoś zacisznego miejsca, w którym mógłby zaczekać i w którym nie zauważyłby go wcześniejszy Umbo, czekając na łódź płynącą w górę rzeki. Potem do niego dotarło: nie musi czekać. Może skoczyć do właściwego czasu. To tylko kilka godzin, co nie znaczy, że to niemożliwe.

Umbo wybrał sobie cichy kąt, w którym mógł dyskretnie skoczyć. Nie po raz pierwszy pożałował, że nie ma takiego zmysłu do ścieżek jak Rigg, ponieważ on wiedziałby, czy wybrane miejsce jest puste, czy często odwiedzane. Ale przecież Rigg nie mógłby mu pomóc w tej sprawie, bo najważniejsze ścieżki nie zostały jeszcze nakreślone w tym miejscu. Rigg nie potrafił zajrzeć w przyszłość.

Umbo usiłował powstrzymać myśl: „Rigg nie potrafi tego, co ja”, ale walka z nią była ciągle innym sposobem jej doświadczania, tylko z większymi wyrzutami sumienia i frustracją. Skoczył w przód dokładnie w czas, którego potrzebował. Dla Bochna i Lejki odszedł tylko na godzinę.

Zbliżył się do drzwi gospody, otworzył je, wszedł do środka.

– No, to jestem! – oznajmił.

Bochen i Lejka spojrzeli na niego zza baru, gdzie Bochen układał szklanki i kufle na najwyższej półce.

– Długo to trwało – powiedział.

– Przepraszam.

– Uratowałeś go?

– W zasadzie tak. Wyciągnąłem go z wody, zanim utonął. Miał połamane ręce... nie, nogi.

– Nie kojarzysz różnicy? Przypomnij mi, żebym nie dawał ci się opatrywać.

– To moje zadanie – wtrąciła Lejka.

– Za pierwszym razem połamał ręce. Za drugim było trochę inaczej. Wylądował nogami naprzód, więc to je połamał.

– Czyli nie ingerowałeś w rozwój wypadków aż do momentu, gdy wszyscy uznali, że utonął.

– Za pierwszym razem byłem tak głupi, że zaniósłem go do domu, zanim Rigg i ja opuściliśmy miasto, no i zawałem sprawę. Dlatego musiałem się poprawić.

– Skoro to załatwiłeś, ruszajmy do Muru – powiedziała Lejka.

– Daj chłopcu odpocząć – poprosił Bochen.

– Nie było go tylko godzinę – rzuciła niecierpliwie, po czym się zreflektowała. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Nie zdążyłam do tego przywyknąć tak jak wy. Nie

było go przez wiele tygodni, tak? – Zwracała się do Bochna, ale to Umba mierzyła baczny spojrzeniem od stóp do głów. – Nie była to bardzo higieniczna wyprawa – dodała.

– Nie robiłem często prania.

– Jak zawsze.

– Ciągłe sobie obiecywałem, że po prostu cofnę się do czasu, kiedy ubranie było czyste.

Bochen łypnął na niego spode łba.

– No, sensu to wielkiego nie ma.

– To taki żart podróżników w czasie. Większości ludzi nie mógłbym go opowiedzieć.

– Szczęściarze – mruknął Bochen. – Rano wyruszymy do Muru.

– Istnieje jeden drobny problem. Nie możemy przez niego przejść.

– Rigg urządził to tak, że mogą przez niego przejść dowolne dwie osoby z naszej grupy. Tak wróciliśmy stąd do murchii Rama.

Umbo pokręcił głową.

– Rigg jeszcze tego nie zrobił. A Vadeshex jeszcze nas nie spotkał. Nie chcemy mu się pokazać z tobą, parującym w tej masce. Kto wie, na ile by zmienił swoje zachowanie, wiedząc, że mu się udało.

– Więc naprawdę musimy poczekać.

– Niekoniecznie. Mamy dwie drogi. Pierwsza: możemy cofnąć się w czasy sprzed stworzenia Muru. Druga: możemy skoczyć w przód, do czasu tuż po tym, jak przeszliśmy przez niego, zmierzając tutaj.

Bochen zerknął na niego i zaczął się cicho śmiać.

– Ty przebiegły ostropiórze! Nauczyłeś się skakać w przyszłość!

– Byłem na końcu świata – powiedział Umbo. – Cała przyszłość, jaką możemy wykorzystać, stała się dla mnie przeszłością, więc mogę w nią skoczyć.

– Będzie z niego pożytek! – zwrócił się Bochen do Lejki. – Nie wiem, czy przypadkiem własne dziecko nie będzie dla nas rozczarowaniem w porównaniu z tym chłopakiem.

– Ale nasze będzie większe, silniejsze i nawet w połowie nie tak zarozumiałe jak ten tutaj – odparła Lejka – więc i tak będę je wolała.

Rozdział 10

PAN MURÓW

- Zatem znowu będę znalazcą zagubionych rzeczy? – spytał Rigg.
- O nie, nie w murchii Gathuuri – odparł Ram Odyn ze śmiechem. – Nie, w tym świecie będziesz musiał wrócić do roli młodego bogacza, która tak ci się przysłużyła w O.
- Wylądowałem w więzieniu – przypomniał mu Rigg.
- Bo uwierzyli, że jesteś bogatym i wykształconym członkiem rodziny królewskiej, nie dlatego że zdemaskowali twoje kłamstwo.
- Ale w tym świecie nie mogę udawać wykształconego. Nic nie wiem o jego historii i zwyczajach.
- Świat Gathuuri jest równie wielki, jak wszystkie inne. Możesz pochodzić z jego jednej części i nic nie wiedzieć o innych. Znasz się na naukach przyrodniczych – lepiej od nich – i matematyce. Co do ekonomii... – Ram Odyn znowu się roześmiał – to oni czegoś cię nauczą, choć mam nadzieję, że cię nie przekabacą.
- Zatem jestem młodym bogaczem.
- Nie, zachowujesz się jak młody bogacz. Natomiast – używając nazw zrozumiałych w tym świecie – jesteś moim właścicielem. A ponadto jesteś własnością Pana Murów.
- Własnością! – powtórzył Rigg ze zgrozą. – W tym świecie istnieje niewolnictwo? W świecie Rama skończono z tym tysiąc lat temu. Na długo przed przybyciem Sessamidów z północnego zachodu.
- W ciągu ostatnich jedenastu tysięcy lat niewolnictwo zostało zakazane w świecie Rama piętnaście razy, choć oczywiście napawa mnie pewną dumą fakt, że ostatnim razem uczyniono to w całej murchii i że jeszcze do niego nie wrócono. Choć Ludowa Rada Rewolucyjna zaczęła o tym myśleć.
- Twierdzisz, że niewolnictwo będzie istnieć zawsze...
- Co się robi z jeńcami podczas wojny? Nie możesz wszystkich zabić. Brudzisz sobie ręce i jednocześnie dopingujesz przeciwników do walki na śmierć i życie. Możesz ich odesłać do domów po zakończonej wojnie, ale do tego czasu musisz ich karmić, a kiedy wrócą do siebie, będą gotową wyszkoloną armią.
- Rozumiem.

– Możesz złożyć ich w ofierze swoim bogom, co stanowi różnicę tylko wtedy, gdy oni wierzą w tych samych bogów. Albo możesz ich zmusić do pracy, by zasłużyli na swoje utrzymanie. Bądź też... niech się zastanowią... trzymać ich w obozach, gdzie nie będą pracować, lecz trzeba ich karmić dopóty, dopóki nie umrą ze starości. Co jest najokrutniejszym rozwiązaniem?

– Dowiodłeś swoich racji. Zatem mieszkańcy świata Gathuuri są niezwykle wojowniczy i stąd nieustanny napływ niewolników?

– Ależ skąd. Powiedziałbym raczej, że są niezwykle pokojowo nastawieni. Wojna to w tym świecie dość rzadki wypadek. A to dlatego, że niewolnicy, choć znani z innych rzeczy, bardzo rzadko doprowadzają do wybuchu wojny.

Rigg zastanawiał się przez chwilę.

– To znaczy, że wszyscy mieszkańcy tego świata są niewolnikami?

– Niewolnictwo zdominowało ten kraj – z tą różnicą, że niewolnicy tutaj mogą mieć własny majątek. To znaczy, że niewolnik może mieć własnych niewolników, którzy mają niewolników, którzy mają niewolników.

– Jak można być niewolnikiem, posiadając majątek?

– Twój właściciel może cię przenosić z miejsca na miejsce, może zerwać twoje małżeństwo, sprzedać twoje dzieci innemu właścicielowi, może decydować, jakie otrzymasz wykształcenie, jaką pracę będziesz wykonywać i jak długo.

– I ten system się utrzymuje?

– Nie twierdzę, że mi się podoba. To po prostu kolejny sposób organizacji ludzkiego życia. Trwa zaledwie tysiąc pięćset lat, a na przestrzeni całej murcii – od dziewięciu stuleci. Ale ludziom dziewięćset lat może się wydawać wiecznością. Tubylcy nie wiedzą, że społeczeństwo może wyglądać inaczej.

– Wszyscy są właścicielami wszystkich?

– Każdy jest czyjąś własnością. Istnieje wiele osób, które nikogo nie posiadają.

– Więc kto stoi na szczycie piramidy? Kto jest jego właścicielem?

– Ja – powiedział Ram Odyn. – A w zasadzie ty, ponieważ to ty dowodzisz obecnie wszystkimi statkami. Ale ponieważ nie wiesz nic o tym systemie, nie wydawałeś Panu Murów żadnych instrukcji. Zatem jest on posłuszny ostatniemu mojemu rozkazowi. A dla dobra naszej misji w świecie Gathuuri będziesz udawać jego niewolnika.

– Gathuuriex. Pan Murów jest zbędnym.

– Oczywiście. Jest nieśmiertelny. Podróżuje, gdzie chce, w swoim latającym domu, by się upewnić, że niewolnicy wykonują jego rozkazy. Rozkazałem mu rządzić miłosiernie. Tam, gdzie to możliwe, rozkazuje stronom sporu dojść do porozumienia na własną rękę w ramach pewnych reguł. Atakuje dzikich tylko wtedy, gdy szczególnie się rozszaleją, czemu zapobiega, ustawiając karmniki podczas srogich zim i okresów suszy.

– Dzicy? Więc nie wszyscy objęci są tym systemem?

– Żaden system nie sprawdza się w stosunku do wszystkich. Tak, niektórzy uciekają i żyją w dziczy. Ale większość wraca. Dzicz nie jest bezpieczna. Nikt nie wie, do kogo należy, nie istnieją tam żadne zasady.

– Mówisz, jakbyś uważał niewolnictwo za dobry system.

– Uważam go za katastrofę. Ale cała idea murchii polegała na tym, żeby sprawdzić, co zrobią ludzie, kim się staną, gdy przez jedenaście tysięcy lat nie będzie się im przeszkadzać. Gathuuriex w żaden sposób nie zachęcał do wprowadzenia niewolnictwa. Został Panem Murów – na moje polecenie – gdy wśród najmożliwszych rodzin zaczęło zbyt często dochodzić do mordów.

– Jakiś ty miły – rzucił Rigg. – Może to powinno doprowadzić do zniesienia całego systemu, nie uważasz?

– Uważam. Ale to było dwieście lat temu, więc wiedziałem, że kres się zbliża, a takie morderstwa doprowadziły do wojny już po siedmiu wiekach powszechnego niewolnictwa. Dlatego wysłałem Gathuuriexa, żeby stał się właścicielem największych właścicieli, zakończył spiski i walki, zaaranżował kilka najważniejszych rozwodów, rozproszył potomstwo o tyrańskich zapędach w celu nauczenia pokory całego niewolniczego łańcucha. Uznałem, że nie zawadzi mieć kilka wieków pokoju.

– Czemu nie jedenaście tysięcy lat pokoju?

– Nie stworzyłem systemu niewolniczego. Bardzo długo nie znosiłem tego świata bardziej niż jakiegokolwiek innego z wyjątkiem świata Vadesha. Uważałem go za porażkę.

– Postanowiłeś więc zainterweniować.

– Nie. Kilka tysięcy lat temu sam przestał być taki okropny. Ale dość gadania. Mogłem ci opowiedzieć o tym świecie i wysłuchać twoich ubolewań w murchii Lara. Mamy zadanie do wykonania.

– Jakie zadanie?

– Rola niewolnika samego Pana Murów pociąga za sobą pewne obowiązki. Ponieważ każdy podlega komuś, kto podlega komuś, kto podlega Panu Murów, nikt nie może zakazać swoim niewolnikom podróżowania, dokąd im się podoba. Ale w zamian tacy wędrowni słudzy Murów – nawiasem mówiąc, to twój oficjalny tytuł – stają się rozjemcami, sędziami i inkwizytorami.

– Nie mam pojęcia, jak to się robi!

– Nikt tego nie wie, ale wszyscy przy każdej okazji się tego podejmujemy. Rigg, to ty chciałeś zwiedzić wszystkie murchie. Mogę cię zapewnić, że jeśli nie zamierzasz podróżować jako sługa Murów, nie będziesz podróżować w ogóle, chyba że właściciel wyśle cię z jakąś misją. A ponieważ do nikogo nie należysz, masz tylko dwie drogi.

– Zostać Dzikim.

– Co by ci się nie spodobało i nie pozwoliłoby ci poznać życia większości mieszkańców świata Gathuuri. – A druga droga?

- Znaleźć kogoś, kto zechce cię na niewolnika.
- Kto by nie chciał takiego wspaniałego okazu jak ja?
- Zarozumiąłego, niezależnego, pyskatego młodzieńca? Każdy pomyśli, że twój właściciel kiepsko cię wyuczył i że nie warto sprowadzać kłopotów do swojego domu.
- Żartowałem.
- A ja nie.
- Nie mogę być twoim niewolnikiem?
- Nikt nie wyśle takiego starca jak ja w daleką misję. Bardziej przekonująca jest wersja o tobie jako słudze Murów i o mnie jako twoim starym pracowniku i doradcy. Gdybyś to ty był niewolnikiem, musiałbym cię traktować jak niewolnika, a to by ci się bardzo nie podobało. Nie, jeśli chcesz mieć swobodę działania, musisz być sługą Murów i wykonywać jego obowiązki. Pogódź się z tym i przyjmij to jak mężczyzna.
- A decyzje, które podejmę jako sędzia...
- ...będą ostateczne. Bezapelacyjne. Na szczęście masz przy sobie starego mądrego doradcę. Zaufaj mi. Poradzisz sobie równie dobrze, jak wszyscy inni słudzy.

Ram Odyn i Rigg trzęśli się w powozie. Pojazd miał dobre resory, ale droga była w kiepskim stanie, więc nieustannie podskakiwali na wybojach i choć rzucało nimi od ściany do ściany, nie osiągnęli wielkiej prędkości.

- Nie jestem zachwycony stanem dróg – wykrztusił Rigg.
- Możesz poruszyć ten temat w rozmowie z zarządcą traktów – odparł Ram Odyn. – Na pewno rozpocznie się wiele remontów, dopóki będziesz pozostawał w tej okolicy.
- I ustaną od razu po moim odejściu?
- Zarządca traktów należy do kogoś innego, nie do ciebie. Gdyby jego pan chciał naprawić ten odcinek drogi, już byłby naprawiony.
- I ten system naprawę sprawdza się na tyle, że obowiązuje w całej murchii?
- Mógłbym cię zaprowadzić tam, gdzie najlepiej widać jego plusy, ale wtedy bym cię oszukał, prawda? Żaden system nie działa jak należy, dopóki dobrzy ludzie nie wykonują uczciwie swojej pracy – a jeśli wykonują, to prawie każdy system się sprawdzi. Problem zawsze dotyczy władzy. Wiesz tylko tyle, ile powiedzą ci twoi podwładni, a twoje rozkazy będą wykonywane tylko wtedy, kiedy podwładny tego zechce.

Rigg nie mógł z tym dyskutować. Wystarczająco wiele widział, a poza tym była to jedna z zasad, których nauczył go ojciec. Ojciec. Pan Murów. Mechaniczny człowiek, odgrywający różne role w różnych miejscach. Ram Odyn przemilczał jedno: jeśli chcesz, żeby zadanie wykonał ktoś zaufany, ktoś, kto cię nie okłamie, kto będzie nieustannie posłuszny – zdobądź mechanicznego niewolnika. Oczywiście twój mechaniczny niewolnik będzie okłamywał wszystkich innych, by wypełnić twój rozkaz. „Ale ja okłamuję wszystkich mieszkańców świata Gathuuri, żeby osiągnąć swoje cele.

Tak trudno zachować czystość”.

Na razie Rigg doświadczał wyłącznie przywilejów sługi Murów i nie musiał wykonywać jego obowiązków. Ładownik z murchii Lara zaniósł ich do dość odległego miasta, gdzie czekały na nich powóz, listy uwierzytelniające i komplet ubrań podróżnych. Wyglądało na to, że słudzy Murów hołdują niewiarygodnie głupiej modzie: kapelusz, który miał włożyć Rigg, przypominał wielką bułę, a przez pierś kubraka biegly misternie zaplecione kolorowe tasiemki. Nie dawało się ich włożyć samemu, bez pomocy służącego. A ponieważ Ram Odyn też nigdy się tym nie zajmował, spędzili sporo czasu w ładowniku, wysłuchując instrukcji pokładowego komputera, aż w końcu udało im się opanować tę sztukę.

– Jestem za stary na takie wygibasy – wymamrotał Ram Odyn z urazą.

– Moim zdaniem ten strój to taki zawór bezpieczeństwa – powiedział Rigg. – Jeśli wielki urzędnik wygląda jak pajac, traci trochę władzy.

– Nie sądzę – rzucił Ram Odyn. – Jeszcze nie widziałeś, jak tu się ubierają inni.

Wkrótce przekonali się, że w tym świecie każdemu zawodowi i przedstawicielom wszystkich warstw społecznych przypisano inny strój. Znaczenie każdego z tych uniformów było skomplikowane, ale generalnie informowały o tym, na jakim poziomie niewolnictwa człowiek się znajduje i jak ważny jest jego właściciel. Pojedyncza opaska na szyi oznaczała najniższy poziom. Ale z czego ją zrobiono? Ze skóry? Cienkiej czerwonej wstążki? Złotego łańcuszka? Zwyczajnego sznurka? Jeśli jej końce opadały na ramiona i pierś, symbolizowały takie niuanse, jak lata wykształcenia, szkoła, wartość, jaką niewolnik miał dla swojego pana, i tak dalej, aż Riggowi zakręciło się w głowie. Wszystkie te reguły były tak skomplikowane, że Ram Odyn musiał włożyć do ucha słuchawkę, by dzięki połączeniu z komputerem pokładowym móc „doradzać” Riggowi.

– Wszystkim, którzy ośmielią się spytać – a prawie nikt się nie ośmieli – powiemy, że to urządzenie, które bardzo powoli wprowadza lekarstwo wprost do mojego mózgu – oznajmił. – Ludzie odczytają to jako dowód na to, jak bardzo mnie szanujesz – dziękuję ci za to wielkie wyróżnienie, o panie – i że Pan Murów ceni cię tak bardzo, że pozwolił ci obdarzyć swojego ukochanego sługę tak niezwykłą i kosztowną ozdobą.

– O której nie słyszał nikt w całej historii tego świata.

– Dlatego jest tak niezwykła. Ale bądź pewien, że za pół roku wszyscy cenni służący bardzo bogatych niewolników będą nosić misterne ozdoby w uszach. Pewnie od nich ogłuchną i dostaną bólu głowy, ale... czego się nie robi, by zaznaczyć swój status.

W tym świecie nie było gospód, ponieważ nie było też podróżnych mogących przenocować tam, gdzie chcą. Znajdowały się w nim tylko miejsca do zmieniania koni, na które mogli sobie pozwolić jedynie bezpośredni podwładni Pana Murów, oraz duże domy najmożniejszych niewolników. Rigg, jako służba Murów, mógł się zwrócić do takiej osoby, przekazać jej pozdrowienia od Pana Murów i przyjąć propozycję

zamieszkania pod jej dachem, jak długo zechce. Oczywiście otrzymałby pokój pana domu. Natomiast Ram Odyn zostawał w punkcie zmiany koni, w izdebce nad stajnią. Zapewnił Rigga, że to doskonałe warunki dla osobistego służącego i że nawet lubi zapach tych zwierząt.

I tak wędrowali przez tydzień z miasta do miasta, a ludzie przynosili swoje sprawy Riggowi. Na razie były to drobne zatargi z jasnym rozwiązaniem, choć zawsze ludzkie ego i zacierzowanie sprawiały, że właśnie to rozwiązanie nikomu się nie podobało. Zadanie Rigga w każdym przypadku polegało na narzuceniu tego oczywistego wyjścia, lecz w taki sposób, żeby nikt nie czuł się zlekceważony czy pominięty. Nie tyle chodziło tutaj o zgodność z prawem, ile odpowiedni dobór słów. Wyrok nie cieszył nikogo, ale łagodził spór, a Ram Odyn zapewniał Rigga, że ludzie postąpią tak, jak im kazał, ponieważ rozwiązanie było oczywiste i łatwe.

Ram Odyn prawie nigdy nie musiał szeptem powiadamiać Rigga o jakimś mało znanym kruczku prawnym. Podpowiadał mu tylko, jak należy się zwracać do tej czy innej osoby, bo w tym kraju niewolników tytuły miały ogromne znaczenie.

Rigg zastanawiał się, czy tych ludzi można w ogóle nazwać niewolnikami. Mieli oni wielką swobodę w podejmowaniu decyzji ekonomicznych – mogli kupować, co chcieli, i rozkazywać niewolnikom, żeby wytwarzali, co im się podoba. Niektórzy wypożyczali nawet za opłatą swoich niewolników albo pozwalali im na własną rękę szukać pracy.

Zrozumiał to lepiej następnego dnia, gdy zaczął prowadzić rozmowy. Były to w rzeczywistości rozprawy sądowe, lecz nazywano je rozmowami i na tym w głównej mierze polegały. Niewolnicy nie mieli praw, ale zawsze mogli poprosić o spotkanie z najbliższym sługą Murów, ten zaś wydawał decyzję w imieniu Pana Murów. A jeśli ktoś, rozsierdzony niekorzystnym dla siebie werdyktem, postanowiłby ukarać za to niewolnika, mógł się spodziewać surowych konsekwencji ze strony Pana Murów. Prawo bowiem zakazywało zemsty za samo poinformowanie o sprawie Pana Murów czy jego bezpośrednich podwładnych.

Rigg natychmiast zauważył, że ten system to idealna pożywka dla korupcji. Zdziwiłby się jednak, gdyby ktoś zaproponował mu łapówkę. Pan Murów był nieprzekupny, więc jego podwładni nie mieli na niego żadnego wpływu. Jeśli ktoś otrzymał pozycję sługi Murów, to dlatego, że zbędny Gathuuriex uznał go za inteligentnego, moralnego i całkowicie uczciwego. Rigg zastanawiał się, czy sam spełniłby wymagania Gathuuriexa, gdyby usiłował dostać się przed jego oblicze normalną drogą.

Ale nie chodziło jedynie o to, że nikt nie mógł przekupić zbędnego i jego służących. Każdy musiał zdawać swojemu panu szczegółowy raport z tego, co zrobił ze swoimi pieniędzmi. W każdym razie teoretycznie. Pierwsza tura rozmów odbyła się w części kraju, w której najwyraźniej obowiązywały inne standardy niż w rejonach z zadbanymi polami i sklepami, które początkowo mijali. Tutaj wszystko wyglądało na trochę

zaniedbane, ludzie poruszali się bez takiego pośpiechu. Rigg zastanawiał się, czy są leniwi i niezbyt dokładni.

Tak jak poprzednio, dostał pokój gospodarza. W wygodce była bieżąca woda, co w tym świecie stanowiło oczywistość, ale pokrętko z gorącą obracało się luźno, jakby stanowiło tylko dekorację. I tak było. Gospodarz wyjaśnił, że gorąca woda nie jest mu do niczego potrzebna w wygodce, jedynie w łazience, która znajdowała się na dole – jedna wanna, z której korzystali wszyscy domownicy.

– Robią te krany zgodnie z wymogami ludzi bogatszych od nas. Dlatego mogłem kupić tylko taki z pokrętkiem do gorącej i zimnej wody. Ale tego do gorącej nie mam do czego podłączyć, dlatego się obraca.

Wszystko to wydawało się całkowicie zrozumiałe, ale przywodziło na myśl... jeśli nie niechlujstwo, to bylejakość.

Podczas rozmów jednak ludzie zdradzali wielką skrupulatność. Większość petentów zjawiała się ze swoim panem bądź jego przedstawicielem. I musieli orientować się w kwestiach prawnych, nawet jeśli nie istniały tu żadne spisane kodeksy – niewolnicy nie mieli żadnych praw z wyjątkiem prawa do składania petycji. „Koniecznie to powiedz”, szeptał pan swojemu niewolnikowi. „Ona nie miała tego na myśli...” – wyjaśniał przedstawiciel, a petentka przytakiwała: „Tak, tak, o co innego mi chodziło...”. Gdy petent przedstawił już swoją sprawę, Rigg albo posyłał po winnego – prawo domniemania niewinności tu nie istniało – albo po prostu oznajmiał swoją decyzję. Czasem kusilo go, żeby wydać wyrok niekorzystny dla kogoś, czyja petycja wydawała się bezzasadna albo kto jawnie dążył do zemsty. Ale nie mógł tego zrobić, pamiętając obyczaje Kosmolandu – prawa sprzed czasów Sessamidów i Ludowej Rewolucji.

Za każdym razem uczył się od winnego czegoś ważnego. Czasem okazywało się, że petycja to tylko pretekst do postawienia oskarżonego przed sługą Murów. Pewien nadzorca zlekceważył zarzuty, że zawsze był niegrzeczny wobec powódki, choć ta starała się mu dobrze służyć.

– Jest niezdarna, głupia i nawet nie próbuje się zmienić – oznajmił. – Marnuję przez nią czas mojego pana, a ona nie tylko go obżera, nie dając w zamian nic wartościowego, ale jeszcze sprawia, że i ja jestem mniej produktywny.

Rigg natychmiast zauważył, że mężczyzna usiłuje ukryć coś wstydliwego. Bał się, że zostanie na czymś przyłapany. Początkowo Rigg sądził, że oskarżony źle traktuje również innych służących i tylko ta kobieta ośmieliła się zaprotestować, ale jeśli odnosiłby się do wszystkich jednakowo niegrzecznie, paradoksalnie przemawiałoby to na jego korzyść.

– Mam nadzieję, że poczekaś chwilę – powiedział. – Chciałbym się nad czymś zastanowić.

– Oczywiście – powiedział nadzorca. Bo co miał odrzec słudze Murów?

Rigg przyglądał mu się spokojnie, ale skupił się na czymś innym. Prześledził jego

ścieżkę biegnącą wstecz w czasie. Mężczyzna nadzorował małą faktorię, która znajdowała się zaledwie pół kilometra dalej. Rigg przyjrzał się schematowi jego ruchów minionego dnia, dwa dni wcześniej, trzy...

– Nie pracujesz bardzo ciężko – odezwał się po minucie, ponieważ maska przyspieszała jego działania.

– Tak ciężko, jak powinienem!

– Rzadko bywasz w hali faktorii.

– Co ona na mnie nagadała? – rzucił nadzorca z oburzeniem. – To nie jej interes! Nie ona jest moją właścicielką! Pan przekazał mi nad nią kontrolę.

Rigg poczuł dotknięcie Rama Odyna. Zamiast odpowiedzieć, odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Mój przyjacielu – odezwał się Ram Odyn. – Czy sądzisz, że ten sługa Murów przybył tutaj, nie wypytawszy Pana Murów o jego troski?

Mężczyzna natychmiast się uspokoił.

– Ta kobieta ma prawo tylko skarżyć się na to, jak ją traktuję – wymamrotał.

– Myślisz, że sługa Murów Rigg tego nie wie? – spytał Ram Odyn. – Wie to, co wie – że niewolnica skarżyła się tylko na twoją opryskliwość.

– Nie pracujesz ciężko – oznajmił Rigg. – Gdy zjawiasz się w faktorii rano, praca trwa już w niej od jakiegoś czasu. Jeśli ktokolwiek chce cię o coś spytać lub coś ci powiedzieć, zbywasz go. Masz zbyt wiele zajęć, żeby zajmować się ich problemami, tak?

– Powinni zająć się pracą i nie nękać mnie niekończącymi się bzdurami.

– Ale niewolnica, która wniosła petycję, okazała się uparta, prawda? Zapukała do twoich drzwi.

– Moje drzwi są zawsze otwarte.

– Ale twoja niegrzeczność działa jak zamek – nie dopuszcza do ciebie ludzi. Kobieta powiedziała, że sprzęt ciągle się psuje i trzeba go naprawić. Trzy kołowrotki stoją bezczynnie, bo ich koła się nie obracają.

– Powinni wezwać mechanika!

– Ale on im nie podlega, prawda? Gdyby po niego posłali, nie przybyłby, bo wezwanie nie pochodziłoby od ciebie.

Mężczyzna otworzył usta i raptem uciekł wzrokiem w bok. Zamierzał skłamać.

– Nie wiedziałem, że sprawa jest tak poważna. Masz rację, sam powinienem wezwać mechanika.

– Istnieje wiele rzeczy, które powinieneś zrobić sam – oznajmił Rigg. – Co robisz w swoim gabinecie, skoro nie zajmujesz się sprawami faktorii?

Zarządca wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale znowu stchórzył i nie skłamał.

– Śpię.

– Wiem. Dlaczego nie śpisz w domu?

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać.

– Snujesz się po swoich pokojach... Twoje dzieci śpią. Czemu ty nie możesz?

Oskarżony opanował się na tyle, żeby przemówić:

– To dobra kobieta... moja żona... Pan dobrze ją dla mnie wybrał.

– Nie wątpię. Ale coś nie pozwala ci zasnąć.

Zarządca potarł oczy i odchylił głowę, jakby szukał czegoś na suficie.

– Ona chrapie – powiedział w końcu.

Rigg nie okazał rozbawienia. Mężczyzna cierpiał tak szczerze, że bagatelizowanie jego sprawy nie byłoby zbyt mądre.

– Opowiedz mi o jej chrapaniu.

– To straszny hałas. Jakby wzywała gęsi do powrotu z ciepłych krajów. Jakby piłowała grube drzewo. A potem nagle cichnie. Przestaje oddychać. A ja czekam. Bo jeśli nie zacznie oddychać, muszę ją obudzić. Potem znowu chrapie straszliwie. Nie mogę spać, gdy oddycha, i nie mogę spać, gdy nie oddycha.

– Ale nikomu o tym nie powiedziałaś.

– Bo wiem, jak rozwiązałyby ten problem mój pan. Nie skarzę się, to sprawiedliwy pan, ale wybrałby oczywiście rozwiązanie.

– Osobne sypialnie, żebyś mógł się wysypiać?

– To by był bardzo zły przykład! Jeśli pan da mi osobną sypialnię z powodu chrapania, każda jego niewolnica zażąda tego samego ze względu na chrapanie jej męża. To zbyt kosztowne.

– I nie chcesz nikomu powiedzieć o swojej żonie, żeby jej nie ośmieszyć.

– Kocham ją. Pan by nas rozdzielił, gdyby się dowiedział.

– Rozdzieliłby was?

– Już urodziła troje dzieci, a mój pan uważa, że jego niewolnicom więcej się nie należy. Ale nie jego najlepszym niewolnikom. Dałby mnie innej kobiecie, która nie chrapie. Nie pozwoliłby, żebym stał się... nieproduktywny. Pragnie, żeby jego najlepsi mężczyźni mieli po sześćoro dzieci.

– Nie traktuje was równo – powiedział Rigg.

Ram Odyn dotknął jego ramienia.

– Nie krytykuję, jedynie zauważam – dodał chłopak.

– To rozsądne – odparł nadzorca. – Kobiety narażają życie przy każdym porodzie i każdy poród je osłabia. Mężczyzna nic nie ryzykuje. Dobrze mieć męża, który pomoże przy dzieciach, dobrze, gdy w małżeństwie ludzie o siebie dbają. Ale jeśli po urodzeniu trójki dzieci kobieta ma już dość, pan pozwala jej się wyprowadzić. Tak po prostu.

– Rozwód na wniosek żony.

– Kobiety, które kochają mężów, przeważnie rodzą szóstkę dzieci. Ale niektóre umierają, zgodnie z obawami pana. Pan jest mądry.

– Gdybyś więc poskarżył się mu na chrapanie żony, uznaliby, że chcesz rozwodu.

– Jego nie obchodzą moje pragnienia. Bo dlaczego?

Rigg stłumił gniew na ten głupi system.

– Dlaczego jej chrapanie nie budzi dzieci?

– Drzwi są grube – wyjaśnił nadzorca. – A dzieci... śpią jak dzieci. Słyszały to chrapanie przez cały czas pobytu w łonie matki.

– A ty nie chcesz spać w innym pokoju, bo boisz się, że żona przestanie oddychać.

– Nie chcę, żeby umarła – powiedział mężczyzna i znowu się rozplakał.

– Moja pierwsza decyzja: natychmiast pójdziesz do pokoju, w którym czeka ta prządka.

– Ale zobaczy mnie w takim stanie...

– I o to chodzi. Nie rozumiesz, że musi pomyśleć, iż skarciłem cię surowo, doprowadzając cię do łez? Nie sądzisz, że to ją całkowicie zadowoli? Nie pokazuj jej swoich łez. Staraj się je ukryć. Ona je i tak dostrzeże. Idź.

Mężczyzna natychmiast wstał i poszedł do pokoju, w którym czekała kobieta.

– Czyli zaczynasz od wmówienia wszystkim, że go ukarałeś – odezwał się Ram Odyn.

– Nie mam bladego pojęcia, co zrobić.

– Zrobiłeś coś nadzwyczajnego: dotarłeś do sedna sprawy. Ta kobieta poczuje skruchę, że doprowadziła nadzorcę do łez. To oczywiste, że poskarżyła się na jego opryskliwość tylko dlatego, że faktoria się rozpada, a ona ma prawo jedynie skarżyć się na to, jak jest traktowana.

– Tak. Okropny system, wiesz?

– Bo w murcii Rama pracownik nigdy nie poskarży się właścicielowi na nadzorcę?

Rigg przewrócił oczami.

– To nie to samo.

– Dokładnie to samo, tylko nazewnictwo inne. Obie strony są własnością jednego pana. W świecie Rama oboje pracowaliby dla niego. Ale oboje też baliby się stracić swoją pozycję.

– W świecie Rama właściciel faktorii nie może zmusić mężczyzny do rozwodu z żoną tylko dlatego, że ten poskarżył się na jej chrapanie.

– Ale mógłby zażądać wyjaśnienia, dlaczego pracownik sypia w godzinach pracy, za którą dostaje wynagrodzenie. I gdyby nawet od razu go nie zwolnił, wymagałby od niego, żeby się wyspał albo złożył wypowiedzenie. Więc kierownik faktorii znalazłby się w takim samym położeniu, co ten zarządca. Czy ma chronić żonę przed bezdechem? Czy jej pomoże, jeśli zostanie zwolniony i nie otrzyma dobrych referencji? Oboje tracą wszystko. Znajdą się na ulicy. Katastrofa. Najprawdopodobniej staną się nędzarami i...

– Już rozumiem. Ale nadal nie wiem, jak postąpić.

– Pozwól mi posiedzieć dziś z jego żoną. Niech zarządca śpi w mojej izbie. Statek posłucha jej oddechu, oceni jej stan zdrowia i powie mi, czy ten bezdech zagraża życiu.

Rigg spojrział pytająco na Rama Odyna.

– Bezdech. Okresowy brak oddechu... To częsta choroba, choć bardzo, bardzo nieliczni na nią umierają. Jeśli zapewnimy zarządcę, że jego żona nie umrze, będzie mógł spokojnie spać w pokoju dzieci.

– Ach...

– A jeśli naprawdę jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, powiemy właścicielowi, że zarządca jest rozdarty między chronieniem swojej własności – żony – i zarządzaniem faktorią.

– Wtedy właściciel zmusi ich do rozwodu.

– Nie, jeśli zakazesz mu tego. Pamiętaj, właściciel także jest niewolnikiem, a jego właściciel jest własnością kogoś, kto jest własnością Pana Murów.

– Szczerze nienawidzę tego świata.

– Nie, jeszcze go nie rozumiesz, to wszystko. Przekonasz się, że ludzie są tu ludźmi i znajdują sposób, żeby urządzić sobie życie w granicach zasad narzuconych im przez ich kulturę. Zasady, które właściciel zarządcy stosuje wobec małżonków, wynikają z jego religii. Statek powiedział mi to, kiedy słuchałeś zeznań. To bardzo praktyczna religia: mało rytuałów, wiele zasad, przeważnie sensownych. Ale, jak to zawsze bywa z zasadami, miewają trudne do przewidzenia konsekwencje. Jak przypadek kobiet, które rodzą po sześćoro dzieci, żeby nie musieć rozstawać się z mężami.

– Twierdzisz, że ta zasada nie musi obowiązywać w całym tym świecie?

– Większość wyznawców tej religii jej nie stosuje. Podejrzewam, że właściciel będzie wolał sprzedać faktorię, niż posłuchać twojego zakazu rozwiedzenia tych ludzi na siłę.

– No co ty? Sprzeda faktorię, bo żona zarządcy chrapie, a sługa Murów zakazał mu rozwodu małżonków?

– Pamiętaj, że w tej faktorii źle się dzieje: zepsuty sprzęt, złe kierownictwo...

– A nowy właściciel pozbędzie się zarządcy...

– Pewnie go sprzeda. I tak nie nadaje się do tej pracy. Jest fatalnym kierownikiem.

– Tylko dlatego, że się nie wysypia!

– Oj, Rigg, przestań. Wysłuchanie skargi tej kobiety i posłanie po mechanika zajęłoby mu dziesięć minut. On nie znosi tej roboty. Zapewne rozpaczliwie potrzebuje snu, ale także rozpaczliwie potrzebuje innej pracy.

– Skąd o tym wiesz?

– Z doświadczenia, mój chłopcze. Znałem mnóstwo takich kierowników. Nie znosili swojej pracy, nie znosili swojego życia. Gdybym to ja był właścicielem tego człowieka, spróbowałbym się dowiedzieć, co lubi robić, a potem postarałbym mu się znaleźć taką pracę. Ale wtedy okazałbym się pewnie zbyt łagodny.

– Ty? Łagodny? – Rigg pokręcił głową. – Nigdy.

Ram Odyn chciał uniknąć tej dyskusji.

– Zgadzasz się, że powinienem posiedzieć w nocy przy jego żonie i posłuchać jej oddechu?

– Nie potrzebujesz snu? Jeśli zaśniesz podczas jutrzejszych rozmów, będę musiał cię sprzedać.

– Zauważyłeś coś jeszcze? W sposobie, w jaki się do ciebie zwracają?

– Tak. Nikt nie odwraca spojrzenia od mojej twarzy. Najwyraźniej wyprzystojniałem.

– Jesteś sługą Murów. Władza każdemu dodaje urody.

– Bardziej podobało mi się bycie znalazcą zagubionych rzeczy.

Rigg rozpoczął następną rozmowę i nie przestawał, dopóki dzień się nie skończył. W porze kolacji był już bardzo zmęczony. Wraz z Ramem Odynem zjadł całkiem niezły posiłek – zważywszy, że niewolnicy nie mieli prawa wyboru tego, co jedli, więc sztuka kulinarna tego świata nie miała powodów się rozwijać.

Przy śniadaniu Ram Odyn wyglądał na doskonale wypoczętego.

– Nic jej nie grozi – oznajmił. – Po półgodzinie statek dostarczył mi pełną diagnozę, a ja poszedłem do pokoju, w którym ten biedak usiłował zasnąć z dwoma synami. Wyprowadziłem go na korytarz i przekazałem dobre wieści. Oczywiście musiałem je sformułować tak, jakbyś to ty podjął decyzję, opierając się na mojej wiedzy lekarskiej – między innymi dlatego mnie z sobą zabrałeś. Tak na wypadek, gdyby ktoś pytał.

– Więc teraz jesteś lekarzem.

– Byłem doktorem, w pewnym sensie, zakładając kolonię w świecie Odyna. Oczywiście z wyposażeniem tego statku każdy może leczyć.

– Uwierzył ci?

– Nie wyszedłem, dopóki naprawdę nie zasnął w pokoju chłopców.

– Więc teraz, jeśli jego żona umrze na zawał...

– ...nie będzie mógł narzekać. Jest niewolnikiem. A my nie zrobiliśmy niczego złego. Miałeś lepszy plan?

– Nie miałem żadnego planu.

– Więc o czym teraz myślisz? Że powinieneś wyłączyć Mur i sprowadzić tu szalejące legiony Sessamidów, żeby rozprawiły się z całym tym odrażającym systemem?

– Choć jest zły, znam historię i Sessamidów na tyle, żeby wątpić, czy to gwarantowałoby znaczącą poprawę. Jak zauważyłeś, system nie jest gorszy od ludzi, którzy nim zarządzają, czyli ciebie.

– Pośrednio.

– A istnieje poważne niebezpieczeństwo, że Sessamidom spodobałaby się idea powszechnego niewolnictwa i zechcieliby ją importować do murcii Rama.

Ram Odyn roześmiał się cicho.

– O tym nie pomyślałem. Ponieśliiby klęskę, ale i tak nie mogliby przestać myśleć o zawładnięciu wszystkimi w kraju.

– Tak naprawdę liczy się to, że nadano tu niewolnictwu ludzki wymiar. Zmodyfikowano je tak, że można z nim żyć.

Ram Odyn dał znak, żeby Rigg mówił dalej.

– Niewolnicy posiadają tu własny majątek, w tym swoich niewolników, a to znaczy, że nikt nie jest prawdziwym właścicielem – każdy zależy od osoby, która stoi nad nim. Z Panem Murów i sługami Murów jako sądem ostatecznej instancji to kontrolowany system niewolnictwa.

– Ale niewolnictwa... – zauważył Ram Odyn.

– Tak. Ludzie oddali sporą część wolności osobistej, ale nie ekonomicznej. Nadal mogą decydować, na co wydać swoje pieniądze.

– Dlatego w tym świecie istnieje jeszcze gospodarka. Bardzo dobrze.

– Wolność ekonomiczna oznacza, że nadal możliwy jest względny dobrobyt – nawet w wypadku niewolników znajdujących się na samym dole piramidy społecznej. Mogą mieć nadzieję. A samo niewolnictwo musi być pociągające dla kogoś, kto boi się ryzyka związanego z wolnością. Jeśli komuś się nie układa, zawsze może o to obwinić kogoś innego. Nie musi myśleć samodzielnie, podejmować decyzji i ponosić za nie konsekwencji.

– Bardzo dobrze – powtórzył Ram Odyn. – Niewolnictwo w murcii Gathuuri przypomina łagodny feudalizm. Prawdziwy feudalizm się nie sprawdził. Nie działał dobrze, kiedy istniała garstka posiadaczy i szalała korupcja, która wysała cały dobrobyt z systemu. Właściciele robili wtedy, co chcieli, szerząc nieszczęście i chaos.

– I to ostatecznie doprowadziłoby do rewolucji. Rewolucji, którą wyeliminowałeś, ustanawiając dobrego Pana Murów.

– To prawda. I może powinienem się wstydzić, bo niewolnictwo przetrwało tu stulecia. Mimo wszystko nie doszło tu do rewolucji. A potem, gdy zbliżył się koniec świata, postanowiłem nie czekać, aż miliony osób zginą podczas zamieszek – oznaczających nie tylko krwawą wojnę, ale także zubożenie prowadzące do głodu i nieszczęścia na wielką skalę – lecz po prostu uporządkować sytuację, żeby mogły żyć jak najszczęśliwiej w granicach tego dziwnego, opresyjnego systemu aż do przybycia Niszczycieli, którzy ich unicestwią.

– Nie wiem, czy to była dobra decyzja – oświadczył Rigg. – Równie dobrze mógłbyś postanowić, że skoro ci ludzie i tak umrą, powinni zginąć, walcząc o wolność, a nie czekając biernie jak bydło na rzeź.

– Przyznaję, że się starzeję – rzucił Ram Odyn. – Walka o ideały o wiele bardziej pociąga młodych niż starych.

– Bo jesteś zmęczony?

– Bo widziałem już, że reformy nie zmieniają rzeczywistości tak, jak by tego chcieli

ich pomysłodawcy. Nic się nie dzieje zgodnie z planem. Ja z całą pewnością trochę naprawiłem zły system.

– Ale jeśli Noxonowi się uda i Niszczyciele się nie zjawią...

– Chcesz, żebym wysłał Pana Murów na długie wakacje?

– Tak, już czas, żebyście to zrobili wraz ze zbędnym Gathuuriexem. Niech byli słudzy Murów walczą między sobą, aż doprowadzą do buntu i zrobią jakiś krok w stronę wolności.

– Bo Arkadia nie może przetrwać, gdy na jednej dziewiętnastej jej powierzchni panuje niewolnictwo. Podzielony dom nie przetrwa!

– Czy ty wygłaszasz przemówienie?

– Powtarzam. Więc uważasz, że Mury nie runą?

– Dostrzegam powody, dla których nie wszystkie powinny.

– Im dłużej będziemy podróżować, tym więcej takich powodów zauważysz.

– Chcę jeszcze przez kilka dni być sługą Murów.

– To lepsze niż bycie wędrownym znalazcą zagubionych rzeczy?

– To to samo. Wracam w przeszłość i dowiaduję się, co się wydarzyło. A potem coś z tym robię.

– Ach... Ale jak robisz!

– Jakieś skargi?

– Na razie wszystko dobrze.

– Podejrzewam, że podczas gdy ja oceniam murchie, ty oceniasz mnie.

– Murchie już znam. Ciebie dopiero poznaję.

Rozdział 11

WSTECZ

Noxon miał czasu pod dostatkiem, więc wybrał się do murchii Rama. Po kilku ostatnich miesiącach, które spędzał niemal wyłącznie z Param, samotność sprawiała mu ulgę. Nie miał nic przeciwko swojej siostrze – nauczył się ją kochać, a może nawet rozumieć na tyle dobrze, na ile można zrozumieć inną osobę. Ale potrzebował chwili samotności i teraz właśnie nadszedł ten moment.

No, może nie całkowitej samotności, bowiem myszy obsiadły go całego. Nie były jednak rozmowne, a jemu to odpowiadało. Dąsały się z powodu warunków, jakie im postawił. W murchii Rama nie wolno im było odejść i przystąpić do rozmnażania, by wypełnić ją swoim gatunkiem. Wiedziały, że dzięki masce Noxon nawet przez sen się orientuje, ile ich jest, i jeśli będzie to konieczne, zdoła je wyłapać. No, może nie tyle wyłapać, ile wykończyć. Właśnie pod takimi warunkami Noxon zgodził się je zabrać w tę podróż.

A co do czasu – miał go nie tylko pod dostatkiem, lecz nawet więcej. Wiedział, jak długo potrwa ten świat. Mógł też przedłużyć jego trwanie. Mógł nieustannie wracać do innego czasu i żyć dopóty, dopóki nie pokona go starość. Ludzie, którzy nie potrafią podróżować w czasie, są skazani na jedno życie. Gdy ktoś się zjawia i obraca powierzchnię ich planety w popiół, no cóż... nie mają wyjścia – tracą szansę na dalszą egzystencję. Ale co w tym nadzwyczajnego? Takie zasady od zawsze rządziły światem. Można zachorować, przewrócić się, paść ofiarą morderstwa, mogą nadejść powódź, susza, głód... Można umrzeć na tyle sposobów, nie dożywszy starości... Wszyscy umierają z jakiegoś powodu, prawda? Koniec Arkadii był tak tragiczny tylko dlatego, że śmierć miała przyjść do wszystkich jednocześnie.

Nie, nie tylko dlatego. Nawet nie głównie dlatego. Istniały dwie przyczyny, dla których koniec świata był tak straszny, tak odrażający i tak pilnie należało mu przeciwdziałać. Pierwsza: nie przetrwa żaden świadek. Wszystko zginie. Nie ocaleje nikt ani nic, co stanowiłoby kontynuację. Zwykle po śmierci zostaje przynajmniej wspomnienie o tym, co przeminęło. Ale nie w tym przypadku. Druga przyczyna – i właściwie gorsza: koniec świata był wynikiem celowego działania. Nie katastrofy naturalnej, nie wypadku ani nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. To było morderstwo

planety, dziewiętnastu murchii, dziewiętnastu ośrodków historii i kultury.

Ale podczas swojego spaceru Noxon nie snuł jedynie głębokich, filozoficznych rozmyślań o tym, dlaczego warto zaryzykować życie, by zapobiec końcowi świata. Powtarzał także dawne dyskusje z ojcem, zastanawiał się nad pytaniami, na które nie miał szansy odpowiedzieć. Myślał o tym, co mógłby zrobić Rigg, jeśli on zdoła wykonać swoją misję – jak zakończy ich wspólne życie. Czy ożeni się i spłodzi dzieci? A jeśli, to w jakiej murchii? Do tego czasu Rigg pozna je wszystkie.

„Nie jesteśmy już tą samą osobą, Rigg i ja – pomyślał Noxon. – On pozna ten świat, ja go opuszczę. On ma na Arkadii jakąś przyszłość, ja nigdy tu nie wrócę”. Nawet jeśli Noxon zdoła zmienić przyszłość Ziemi tak, że Niszczyciele nie przybędą, to jeszcze nie oznacza, że w nowej przyszłości znajdzie się miejsce dla statku kosmicznego, na którym Noxon wróci na Arkadię. Jeśli jakimś cudem uda mu się przybyć na Ziemię, dotrze tam chwilę przed tym, gdy Rama Odyn rozpocznie swoją podróż – pierwszy międzygwiazdny lot w historii ludzkości. Nie powie, że pochodzi z Arkadii, ponieważ na tym etapie nie będzie ona jeszcze skolonizowana, nie mówiąc już o nadaniu jej nazwy. Kto mu uwierzy, jeśli spróbuje wyjaśnić, że jakimś dziwnym zrzędzeniem losu statek Rama Odyna powielił się w dziewiętnastu zmierzających przed siebie kopiach plus jednej lecącej wstecz i że cofną się one w czasie o jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat? Z lektur poznanych w murchii Odyna wynikało, że większość ziemskich narodów potraktuje go życzliwie, przedstawiciele kilku natomiast zamkną go w domu wariatów. Ale z pewnością nikt mu nie uwierzy i resztę życia spędzi na rozmowach z lekarzami, którzy będą ofiarnie walczyć o wyzwolenie go od urojeń. Z całą pewnością nie namówi nikogo do odesłania go na Arkadię.

I nie potrafił ciąć czasu, żeby jako niewidzialny pasażer na gapę zabrać się z Ramem Odynem. Nie opłacało mu się ryzykować, że zostanie zauważony przez komputery pokładowe, ponieważ poinformowałyby one Rama Odyna o wszystkim, co się wydarzy. Ale czy na pewno? A może i jego okłamią? Albo zatają przed nim informację, o którą nie przyjdzie mu do głowy zapytać? Czy wszyscy zbędni od początku wiedzieli, co się wydarzy? Nie. Wtedy działaliby, umyślnie lub nie, by zmienić przyszłość. A czy ta teraźniejszość jest dokładnie tą przyszłością, o której wiedziały komputery pokładowe, ponieważ klejnoty, które miał przy sobie Rigg, dały im wiedzę o wszystkich możliwych działaniach komputerów i zmiennych?

Nie potrafił na to odpowiedzieć, co mu nie przeszkodziło myśleć o wszystkich scenariuszach, jakie mogłyby się wydarzyć.

Przyjemnie było zostać tak samemu ze swoimi myślami. Zwłaszcza że nie marnował czasu na jedną rzecz: co znajdzie, kiedy prześledzi ścieżkę Rama Odyna wstecz do momentu, gdy anomalia stworzyła wszystkie kopie statku i cisnęła je w te ponad jedenaście tysięcy lat.

Albo uda mu się wytropić ich ścieżki, albo nie. Albo odnajdzie strumień czasu tej

jednej wstecznej kopii statku, albo nie. A jeśli znajdzie ten niewiarygodny statek, to albo zdoła się w nim zakotwiczyć, albo nie. Martwienie się o to nie zmniejszy jego niewiedzy ani nie zdradzi mu, co się wydarzy i jak powinien się zachowywać. Istniała spora szansa – komputer pokładowy zasugerował to kilka razy – że usiłując wykonać któryś z tych ewentualnych skoków, Noxon wyląduje poza zrozumiałym wszechświatem i nigdy nie zdoła wrócić. Jeśli wydarzy się to w lodowatym kosmosie, jego ostatnie chwile będą miłosiernie krótkie. I nie upłyną mu na żalu, że nie ocalił Arkadii. Bo jeżeli poniesie klęskę i umrze, przestanie być za to odpowiedzialny. Jeżeli zaś poniesie klęskę i niestety przeżyje, będzie musiał żałować swoich błędów, które do tej klęski doprowadzą.

Z takiego myślenia nic nie wynikało. Ale kiedy wędrował z murchii Lara do murchii Rama, stopniowo tracił zainteresowanie wszystkimi tymi kwestiami. Gdy dotarł do Muru, był już naprawdę zmęczony. Doszło do tego, że od czasu do czasu zagadywał dwadzieścia myszy, przycupniętych w jego ubraniu i małym pakunku z narzędziami i prowiantem. One też chyba się już znudziły, bo nawet mu odpowiadały. Nie, żeby nawiązali prawdziwą rozmowę. Myszy mogły być istotami rozumnymi, wyposażonymi w wiele ludzkich genów, ale zdecydowanie nie mieli wspólnych tematów. Łączyła ich tylko ta misja.

Sforsowanie Muru bez towarzystwa przyjaciół nie stanowiło dla Noxona żadnego problemu. Komputery nawet nie próbowały rozróżnić dwóch Riggów, więc obaj stanowili wyjątek od reguły. Wiedział, że nieustannie monitorują one Mur, a kiedy wkroczył do świata Rama, zbędny Ramex został powiadomiony o jego obecności. Dlatego dotarłszy na środek Muru, Noxon powiedział głośno:

– Ojczy, poproszę o lądownik.

Ponieważ nie miał planu podróży, a jechał to, co mu się trafiło po drodze, wylaniając się po drugiej stronie, nie wiedział, w którym miejscu świata Rama się znajdzie – oprócz tego, że jest w pobliżu wschodniego Muru gdzieś daleko na północ, na wysokości Aressa Sessamo. Były to dzikie tereny, na których wioski i plemiona egzystowały w trudnych związkach z centralnym rządem. Te ludy, nigdy niepodbite, nigdy nieobjęte kulturą Kosmolandu, nie płaciły podatku, lecz daninę. I to niezbyt wysoką, ponieważ żyły w biedzie. A w każdym razie na to wyglądało, gdy zjawiali się emisariusze Sessamidów lub poborcy podatkowi Ludowej Rady Rewolucyjnej. Kto mógł znać prawdę? Niewielu z nich mówiło językiem Kosmolandu, nikt z Kosmolandu nie mówił ich językiem. Z wyjątkiem Noxona, który podczas przejścia przez Mur wchłonął wszystkie języki, jakimi posługiwała się ludzkość.

Interesująco byłoby poznać tych ludzi tak, jak Rigg poznawał mieszkańców innych światów. Ale nie na tym polegało zadanie Noxona. Powinien raczej unikać wszelkich kontaktów.

Nie mógł jednak tego robić oczywistymi metodami – krojąc czas albo skacząc w

przeszłość i przyszłość, gdy na podstawie ścieżek wnioskował, że to konieczne. Bo gdyby zniknął z tego nurtu czasu, w jaki sposób miałby go znaleźć lądownik?

Noxon dostrzegł ścieżkę człowieka, który go zauważył i uciekł w las, żeby powiadomić innych. Widział ścieżki ludzi gromadzących się, żeby go zatrzymać. Najwyraźniej obcy pojawiali się tu rzadko – w każdym razie obcy nadchodzący od strony Muru. Zastanowił się, kiedy lądownik do niego dotrze. Wiedział, że są szybkie, ale czy aż tak? I czy wyruszy natychmiast, czy też nie będzie się spieszył?

Noxon stanął na środku dużej polany. Wkrótce ludzie otoczyli go pierścieniem, niewidoczni, schowani za drzewami.

– Jestem gościem zza Muru – przemówił.

Nie odezwali się, ale wyobraził sobie ich konsternację na dźwięk własnego języka w ustach obcego. Zwłaszcza obcego o dziwnej, prawie nieludzkiej twarzy. Potem zobaczył lecące w jego stronę strzały i uświadomił sobie, że ludzie różnie reagują na konsternację. Jedną z opcji jest zabicie niepokojącego przybysza.

Potrafił już ciąć czas niemal tak szybko, jak Param, ale nie ośmielił się przenieść w daleką przyszłość. Musiał pozostać tutaj do przybycia lądownika. Co nastąpiło niemal natychmiast, choć Noxonowi mogło się wydawać, że minęło mniej czasu niż w istocie. Pierwsza fala strzał trafiła w ziemię, przeszywając powietrze, które wydawało się puste – choć Noxon odczuł je jak przenikający go żar. Ci ludzie nie pudłowali. Zorientował się, że lądownik przybył, ponieważ napastnicy, którzy ruszyli w stronę polany, nagle ukryli się w lesie.

Z nieba spadła drabinka. Noxon przestał ciąć czas, rzucił się do niej i zaczął się wspinać. Lądownik uniósł się w powietrze, wciągnął drabinę i zniknęli, zanim dogoniły ich strzały.

W lądowniku czekał ojciec.

– W ostatniej chwili – powiedział Noxon.

– Mało brakowało. Lądownik miał już odlecieć, kiedy uznał, że zniknąłeś.

– Mogę nazywać cię ojcem?

– Możesz nazywać mnie, jak chcesz – odparł ojciec. Albo Ramex. – Mam zwracać się do ciebie „Noxon”, nie „Rigg”?

– Poproszę. Kiedyś, gdy spędziliśmy razem tyle lat, byłem Riggiem, ale od wielu miesięcy nazywam się Noxon i chciałbym, żeby ta tożsamość stała się wyłącznie moja.

– Jak sobie życzysz – powiedział Ramex.

Ojciec nigdy by się do niego tak nie zwrócił. A zatem Noxon miał przed sobą posłusznego zbędnego, nie dominującego nauczyciela.

Dotarcie do statku w świecie Rama zajęło im bardzo niewiele czasu. Noxon wyglądał przez okna, a potem patrzył na ekran ukazujący teren znajdujący się dokładnie pod i trochę przed lądownikiem. Przelecieli nad Stromogórem. Ledwie im mignęła garstka budynków, stanowiących Wodobród. Nie widział schodów, ale zauważył

szczątki ostatnich mostów nad wodospadem. Inne dawno temu się rozpadły; zostały po nich tylko skały w rozlewisku wód, które z czasem, obijając się o siebie, miały się stać mniejszymi głazami i kamieniami.

– Nie chciałeś się ociągać, prawda? – odezwał się ojciec. – Zatrzymać się i pożegnać czule z Nox? Pochlebiłoby jej, że przybrałeś jej imię.

– Raczej by ją to rozdrażniło. A że mam to coś na twarzy, nie uwierzyłaby, że ja to ja.

– Uwierzyłaby, gdybym jej to powiedział.

– Przeraziłaby się, widząc, że powstałeś z martwych.

– Nie przeraziłaby się tak, jak sądzisz. Chyba ma własne zdanie o mojej ewidentnej nieśmiertelności. Nie wiem, czy uwierzyła w to, co jej powiedziałeś.

– Gdyby uważała, że kłamię...

– ...nie broniłaby cię, wiem. Ale istnieje różnica między wiarą w twoją prawdomówność i wiarą w historię, którą opowiedziałeś. Jeśli w to wierzyłeś, to nie kłamałeś, ale nie była to prawda.

– Nie chcę się z nią spotykać.

– Trudno będzie ukryć ładownik przed wścibskimi oczami – stwierdził ojciec. – Ale tęsknię za dawną wioską.

– Nieprawda. Tylko udajesz, że masz uczucia jak ludzie.

– Mam o wiele przyjemniejsze uczucia niż większość z nich.

– Na pewno.

Niegdyś Noxon przez całe lata przemierzał las na płaskowyżu krateru, który został po uderzeniu statku kosmicznego. Teraz ten las wydał mu się mały. Przelecieli nad nim w mgnieniu oka, a potem opuścili się szybem do samego statku.

Nie różnił się on od statków z innych światów, z wyjątkiem jednego drobiazgu, zauważalnego tylko dla Rigga i Noxona – ścieżki Rama Odyna. Nie tego Rama Odyna, który wraz z Riggem objeżdżał wszystkie światy – to był Ram z murchii Odyna. Nie, te ścieżki należały do Rama Odyna, który rozkazał zbędnym zabić wszystkie inne swoje wersje, a potem, gdy planeta zaczęła się nadawać do zamieszkania, osiedlił na niej kolonistów. Ten Ram Odyn ożenił się i spłodził dzieci, te zaś spłodziły własne dzieci i tak dalej, aż gen podróży w czasie dotarł do embriona, który stał się Noxonem.

Jego ścieżki znajdowały się w całym statku, ale były bardzo, bardzo stare. Widać było także kilka nowszych – Ram Odyn z murchii Odyna zjawiał się tu od czasu do czasu. Noxon dostrzegał różnice między tymi ścieżkami, chociaż były dość słabe. Zaczęły się różnicować w chwili powstania kopii. Teraz Noxon potrafił je rozpoznać po zaledwie chwili wahania i nie tylko dlatego że Ram ze świata Odyna miał wszystkie ścieżki świeże.

Noxon zabrał się do pracy. Znalazł najstarszą ścieżkę. Zaczynała się na siedzeniu pilota w małym centrum dowodzenia – takim samym jak to, w którym Rigg powstrzymał go przed zabiciem Rama Odyna, zanim Ram Odyn przybył go zabić. Ale

nie mogła się zacząć na siedzeniu pilota.

– Przecież nie urodził się na tym fotelu...

– Ale w nim przybył. Wiesz, że ścieżki są powiązane z powierzchnią planety, nie z pojazdem.

– Zatem poniosłem klęskę, jeszcze zanim zacząłem.

– Tego nie możesz być pewien – odparł ojciec. – Nie wiesz nic o tym, co się dzieje ze ścieżkami, kiedy statek nie znajduje się na powierzchni planety. Poza tym to, co widzisz, może nie oznaczać przybycia statku. Może to chwila, w której statek minął zagięcie. Wówczas Ram Odyn także siedział w tym fotelu.

– Gdybym mógł dostrzec twoją ścieżkę, zdołałbym się zorientować.

– Ale maska pozwala ci widzieć o wiele więcej niż zwykłe ścieżki. Przyjrzyj się uważnie. Nawet jeśli mnie nie widzisz, potrafisz się zorientować, czy rozmawiał ze mną.

Noxon spojrzał.

– Rozmawia z tobą we wszystkich ścieżkach. To była chyba jego główna rozrywka.

– Rzeczywiście – przyznał ojciec. – Jestem wyborynym towarzyszem. Tak mnie zaprogramowano.

– Tę dumę także?

– I trochę nieśmiałości. Nie zapominaj, że oprócz dumy mam też odrobinę skromności.

– Doskonale – powiedział Noxon.

Teraz, gdy wiedział, że ojciec jest maszyną, nie bał się go już tak bardzo. Zresztą ojciec nie starał się zdominować Noxona tak, jak podporządkował sobie chłopca o imieniu Rigg.

– Przypominam sobie, że kiedy rozkazał zabić innych Ramów Odynów, odwrócił się z fotelem w tę stronę. Bo ja stałem tutaj.

Noxon spojrzał na najstarsze chwile ścieżki i rzeczywiście dostrzegł taki ruch.

– Oczywiście często tu stawałem, a on zawsze odwracał się w moją stronę, kiedy miał na to ochotę. Ale wtedy sprawdzał, czy chcę go zabić. Nie wiedział, czy pierwszy wydał rozkaz.

– Chyba mu ulżyło – zauważył Noxon. – Trudno to stwierdzić z całą pewnością, bo Ram Odyn nie zdradza emocji, ale maska wyczuwa zmianę wyrazu jego twarzy.

– Możemy swobodnie stwierdzić, że wszystkie ścieżki w statku prowadzą wstecz do chwili podziału.

– Do chwili po nim.

– Do chwili chwilę po nim. To różnica, prawda?

– Kiedy się pojawię, komputery odczytają klejnoty, prawda?

– No, no – powiedział ojciec – ile zadziwiających możliwości kryje się w tym pytaniu!

– Czy komputery wykryją klejnoty, jeśli będę ciąć czas?

– Spróbuj, to zobaczymy.

Noxon przez chwilę ciął czas powoli, a potem bardzo przyspieszył. Ojciec stał w miejscu, więc Norton nie potrafił ocenić, jak bardzo się oddalił. Wreszcie skończył.

– No i? – spytał.

– Musiałeś to robić przez cały dzień?

– Nie poruszyłeś się. Trudno mi było ocenić prędkość i czas.

– Odpowiedź brzmi tak: przez kilka minut klejnoty były zauważalne, ale nie dawały się odczytać. Potem znikły na resztę dnia.

– Jeśli więc tnę czas w umiarkowanym tempie, widać mnie. Jeśli przyspieszam, znikam.

– A to rodzi pewne pytanie. Możesz ciąć czas tak, żeby przeskakiwać ułamki sekund i przesuwać się w przyszłość o wiele szybciej niż normalni ludzie. Ale czy potrafisz się poruszać w przeciwnym kierunku? Nie, nie wstecz. Wiem, że to także umiesz, choć nie tak płynnie. Pytam o to, czy potrafisz skoczyć w przeszłość w tempie jednej sekundy na sekundę, tak żeby zastygnąć w tej samej chwili?

– Pomijając miliony zderzeń atomów mojego ciała, które sprawią, że stanę w ogniu albo wybuchnę, owszem, mógłbym to zrobić.

– Ach – mruknął ojciec. – No tak. Cięcie czasu oznacza, że znajdujesz się niemal w tym samym miejscu, ale nigdy w tym samym czasie.

– Trafiłeś w sedno – powiedział Noxon. – Kiedy tnę czas, do przodu lub wstecz, wszystko na zewnątrz mnie porusza się o wiele szybciej. A to znaczy, że mam mniej czasu na wychwycenie, co się dzieje, choć właśnie wtedy powinienem najuważniej obserwować.

– Nie jestem całkiem pewien tych obliczeń – zaczął ojciec, co świadczyło o tym, że jest pewien co do setnego miejsca po przecinku – ale dokładna chwila skoku prawie nie istnieje. To nawet nie jest chwila. To nie jest upływ czasu.

– Mało zachęcające.

– Nie rozumiesz? Jeśli dotrzesz do tej chwili, będziesz mógł w niej zostać, jak długo chcesz. I będziesz mógł wszystko obserwować.

– Albo zostanę unicestwiony.

– No, to groziło ci od samego początku, prawda?

Ojciec powiedział to tonem, którym zawsze go karcił, i tak jak w dzieciństwie Noxon poczuł się beznadziejnym idiotą.

– A ty tak nie potrafisz – burknął. I ponieważ zareagował jak dziecko, poczucie, że jest głupi, okazało się uzasadnione.

– Ty potrafisz swoje – powiedział ojciec – a ja swoje.

– Nie mam pojęcia, co potrafię.

– Nikt tego nie wie. Ale przynajmniej wiemy to my, zbędni. Wy, ludzie, nie potraficie

nawet zatrzymać własnych wspomnień, tylko echo cienia snu.

Noxon nie starał się z nim dyskutować.

– Jesteś lepszy pod każdym względem – oznajmił spokojnie. – Mnie wystarczy mój drugorzędny, lecz aktywny biologicznie status.

– Każdy robaczek cieszy się, że jest robaczkiem.

– Jestem dumny z bycia robaczkiem. Nie zapominaj o tym.

– Nie zapominam.

Noxon parsknął śmiechem.

– Tak dobrze się bawię, że mam ochotę zabić i oskórować jakieś zwierzę. Ze względu na dawne czasy.

– Dawne czasy... – westchnął ojciec. – Chyba nie chcesz, żebym cofnął się z tobą na sam początek.

– Wtedy w świecie Rama pojawiłyby się dwie twoje wersje, czego nie dałoby się ukryć przed twoim pierwszym ja.

– Chcę tylko wiedzieć, co się wydarzy. Chyba rozumiesz moją ciekawość.

– Nie, nie rozumiem. To bardzo ludzka emocja.

– Zaprogramowano mi ją. Muszę wiedzieć.

– Ale się nie dowiesz.

– Myszy się dowiedzą.

– Jeśli postanowię je sprowadzić.

– A jeśli nie postanowisz?

– Nie możemy pozwolić, żeby rozmnożyły się w świecie Rama. One o tym wiedzą. Dlatego jeśli polecę i zostawię je, ty masz zadbać, żeby nie zeszły z tego statku.

– Mam je zabić?

– Już to zrobiłeś. Jesteś zbędnym.

– Ale zabierzesz je z sobą.

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Ale zabierzesz.

– Zabiłem i obdarłem ze skóry tysiąc zwierząt, a nawet więcej. Myślisz, że śmierć myszy robi na mnie wrażenie?

– Tak.

– Masz rację. Zabiorę je. Jeśli zginę, one także. Jeśli przeżyję, podzielę mój los.

– Nic nie mówią o twojej wielkodusznej decyzji.

– Nie biorą udziału w tej misji ze względu na swoją niezwykłą gadatliwość. I nie sądzę, żeby się cieszyły, iż nie zamierzam ich zabić tutaj, lecz zabrać na pewną śmierć w przestrzeni międzygwiazdnej i międzyczasowej.

– A może nie spodziewają się śmierci, nawet jeśli postanowisz ich nie zabierać. Zapominasz, że wiedzą sporo o tym, jak zostałem zaprogramowany.

– O tym akurat łatwo zapomnieć, ponieważ nikt z nas nic o tym nie wie – odparł

Noxon.

- Odynerzy sporo o tym wiedzą – oznajmił ojciec. – Ale nie tyle, ile myszy.
 - Czy myszy wiedzą wszystko?
 - Wszystko, co mogą wiedzieć myszy.
 - Co to znaczy?
 - Że dobrze pozostawiać je w niepewności.
 - Chyba będę się już zbierał – powiedział Noxon. – Miło było znowu cię zobaczyć.
 - Widzisz mnie przy każdym spotkaniu z którymkolwiek ze zbędnych. Mam ich wspomnienia, a oni – moje.
 - Ale wiem, że to ty wychowałeś mnie od małego.
 - Tak myślisz. Skąd wiesz, że od czasu do czasu nie zamienialiśmy się światami? Skąd wiesz, że z każdej wyprawy wracała ta sama wersja mnie?
 - Pięknie. Zniszcz moją pewność siebie, zanim stanie mi się potrzebna.
 - Na tym polega moje zadanie. Pozostawić go w niepewności. Nie dopuścić, żeby poczuł się zbyt pewnie.
 - Bardzo dobrze ci idzie. Już wiem, że to nie będzie miało dla ciebie żadnego znaczenia. A jeśli nawet, to mi o tym nie powiesz. Ale słuchaj: wybaczam ci, że w dzieciństwie nieustannie mnie okłamywałeś. Dziękuję, że nauczyłeś mnie tego, czego mnie nauczyłeś, i że pomagałeś mi się uczyć myśleć w taki sposób, w jaki myślę.
 - Bardzo proszę.
 - Jeszcze jedno.
 - Nie mów tego.
 - Dlaczego?
 - Bo wiesz, że jeśli ci odpowiem, to skłamię.
 - Nie obchodzi mnie to. Kocham cię.
- Ojciec westchnął. Tak go zaprogramowano.
- Ja też cię kocham.
- Noxon zakotwiczył się w najwcześniejszym momencie ścieżki Rama Odyna i skoczył o włos, ociupinkę, ułamek chwili tuż za niego.

Noxon nadal znajdował się na statku. Wciąż był w kabinie. Ram Odyn siedział w fotelu pilota. Zbędny stał dokładnie tam, gdzie Ram Odyn spojrzy na niego za chwilę, gdy tylko usłyszy od niego, co się wydarzyło. Ale jeszcze się nie wydarzyło. A raczej właśnie się wydarzało. W tej chwili, w tej niezmiennej chwili istniał tylko jeden statek, ale już pojawiało się dwadzieścia potencjalnych statków. Wykonywał skok z jednego punktu w przestrzeni do drugiego, oddalonego o wiele lat świetlnych, mimo to w tej chwili znajdującego się tuż obok. Statek przechodził z momentu zero roku zerowego do roku jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat wcześniejszego.

Słusznie ojciec zgadywał, że chwila przejścia istniała, ale nie miała czasu trwania, a

zatem nie mogła się skończyć. Była nieskończenie krótka, lecz także nieskończenie długa, nie tyle poza czasem, ile w jego głębi. Pełna nadchodzącego stworzenia i ruchu, ale ponieważ nie miała czasu trwania, ruch był niemożliwy.

Ale Noxon, ojciec ani Ram Odyn nie zgadli tego, że w tej chwili bez czasu trwania Noxon nie zdoła się poruszyć. Nie zdołały się też poruszyć myszy. Ani elektryczne sygnały komputerów. Serce Noxona nie mogło bić, on sam nie mógł zaczerpnąć oddechu, ale także go nie potrzebował, nie potrzebował bicia serca, bo żadna komórka jego ciała nie pragnęła tlenu. Wszystkie procesy kompletnie zamarły, ponieważ w tej chwili nie było ruchu, przyczyn ani skutków i żadnej możliwości zmiany.

Ale coś w Noxonie nadal funkcjonowało, ponieważ wciąż widział Rama Odyna i zbędnego. Czy to możliwe? Może ten obraz zwyczajnie zamarł na jego siatkówce, w tym miejscu jego mózgu, w którym powstaje wizja? I nie może się zmienić, ale także nie może zniknąć?

„Przecież myślę”, pomyślał Noxon. Lecz nie to pomyślał, bo ku swojemu zaskoczeniu nie potrafił sformułować słów ani nawet przejrzystych idei. Nie pamiętał języka. To, co skłoniło go do stworzenia świadomej myśli „przecież myślę”, tak naprawdę było nieskrystalizowanym poczuciem samego siebie. I świadomością, że to rozpoznanie siebie stoi w sprzeczności z przypuszczeniem, iż nic nie może się wydarzyć, ponieważ jego umysł, na jakimś poziomie głębszym od mózgu, nadal funkcjonował.

Ale nawet jeśli nie potrafił się odwrócić od obrazu Rama Odyna, zbędnego i fotela pilota oraz różnych stanowisk, do których pilot mógłby w razie potrzeby podjechać, gdyby mógł się poruszyć, dostrzegłby ścieżki. Nie, to nie on by je dostrzegł. Mogło je wyczuć to coś w nim, co je zawsze wyczuwało. Potrafił odnaleźć ścieżki bez odwracania głowy. Musiał tylko skupić na nich uwagę. Widział je przez ściany, widział je za górami, choć trochę gorzej. Był świadomy ich obecności. Ale maska nie pomagała mu ich widzieć tak, jak się przyzwyczaił. Maska zamarła, podobnie jak reszta jego ciała, i nie mogła robić dla niego tego, co powinna. Noxon był zdany na własne siły.

Nie zobaczył udoskonalonych przez maskę ścieżek, które tak naprawdę były ludźmi poruszającymi się w czasie i przestrzeni. Nie były to również ścieżki, jakie widział od wczesnego dzieciństwa – smugi czegoś, co uważał za kolor, linię, wiatr lub wspomnienie w powietrzu. To, co zobaczył, nie miało wymiarów, ponieważ nie miało czasu trwania. Nie było ścieżką, lecz plasterkiem ścieżki. Pojedynczą chwilą. Noxon skupił się na tej iskierce Rama Odyna. Podczas gdy wszystkie inne jego zmysły zamarły, każdy z ostatnim zastygłym przekazem, Noxon mógł odróżnić swoje niecielesne postrzeganie ścieżki Rama Odyna od całego tego hałasu cielesności i skupić na nim swoją całą uwagę.

W głowie nadal nie miał żadnych słów, ale zaczął sobie uświadamiać, że choć jego myśli stały się mniej zrozumiałe ze względu na zniknięcie mowy, to jednocześnie były

bardziej klarowne. Tak jakby mowa wraz z hałasem wywoływanym przez inne jego zmysły, z tym tumultem panującym w jego mózgu, stanowiła przeszkodę, mgłę, która nie pozwalała mu wyraźnie ujrzeć myśli. Nie musząc wyjaśniać sobie tego słowami, potrafił zrozumieć ten załazek ścieżki takim, jakim był w rzeczywistości.

Tak naprawdę w tym miejscu przecinało się dwadzieścia jeden ścieżek. Jedna prowadziła w przeszłość. Był to koniec łańcucha przyczyn i skutków, który sprowadził ten statek i Rama Odyna w chwilę skoku przez zagięcie. Dziewiętnaście pozostałych biegło w przyszłość. Noxon nie widział, dokąd prowadzą, bo w tej chwili nie prowadziły donikąd, ale miały w sobie potencjał przyczynowy: spowodują wiele skutków, podczas gdy ścieżka, która przywiodła Rama Odyna w to miejsce, wyczerpała już swoje możliwości. Była zużyta.

To wszystko nie miało dla Noxona żadnego znaczenia. Choć nie potrafił opisać swojej misji słowami, nie zapomniał jej celu. Wiedział, że powrót w przeszłość, do początków podróży Rama Odyna, jest jego ostatnią deską ratunku – miał to zrobić tylko wtedy, jeśli nie zdoła znaleźć dwudziestej pierwszej ścieżki.

Ta dwudziesta pierwsza ścieżka była równie bogata w przyczyny i skutki, jak pozostałe. Nie wyczerpała się jak ścieżka z przeszłości, ale jednocześnie jakoś stanowiła ich przeciwieństwo. Wszystkie wskazywały odrobinę różne cele. Ta kierowała się kompletnie gdzie indziej, a on nie widział ani nie rozumiał, gdzie to może być.

Zrozumiał za to bez słów: jeśli zakotwiczę się w tej dwudziestej pierwszej ścieżce, to odetnę się od reszty wszechświata. Ale po to się tu zjawiłem. To mój cel. To ryzyko, które muszę podjąć, żeby ocalić Arkadię przed Niszczycielami.

To, co czuł, nie było strachem – strach to emocja związana z ciałem. Czuł nicość. Ale wiedział, że zakotwiczenie się w tym zawiązku wstecznej ścieżki może oznaczać albo całkowitą porażkę, albo pełny sukces. Pamiętał, że istnieje w dwóch wersjach, i był ciekaw, czy ten drugi zrobiłby to samo na jego miejscu. To Rigg zauważył, że trzeba zabić Rama Odyna, i uczynił to. I to Rigg doszedł do wniosku, że nie trzeba go zabić, więc to odczynił. Ale tej decyzji już nie dało się cofnąć.

Noxon mógł zwlekać, ile chciał. Jego ciało nie ulegnie tu rozkładowi. Nie mógł tu umrzeć. Ale nie mógł i żyć. Nie mógł działać, nie mógł zmieniać świata.

Oczywiście, cofając się w czasie, także nie mógł zmieniać niczego poza granicami tego statku. To bardzo mały światek. A kto wie, czy gdy znajdzie się w tym strumieniu czasu, regularny strumień przyczyn i skutków nie stanie się tak niewidzialny, jak do tej pory był dla niego czas płynący wstecz.

Niepewny, ale zdeterminowany, Noxon zakotwiczyl się w tym zawiązku ścieżki, ścieżki rodzaju i koloru, których wcześniej nie widział. Zakotwiczyl się w niej i opuścił tę chwilę nicości. Gdy znowu poczuł ruch – i wydawało się to zupełnie normalne, znowu stał się sobą, nic się nie zmieniło, a ta bezkresna chwila poza

wszystkim stała się w jego wspomnieniach nieskończenie mała – zaczął ciąć czas, by stać się niewidzialny, niewykrywalny dla komputerów.

Nie wiedział, czy tnie czas wystarczająco szybko. Nie wiedział, jak szybko komputery pokładowe wyczują obecność klejnotów, które miał przy sobie, ani jak szybko przejmą ich zawartość – całą historię ludzkiego gatunku we wszystkich światach Arkadii. Oraz historię Rama Odyna na wszystkich dziewiętnastu statkach. Ale nawet gdyby przejęły wszystkie najdrobniejsze informacje, nie miałyby to znaczenia, jeśli Noxon znalazłby się na którejś z dziewiętnastu podążających w przód kopii statku. Bo ten statek wracał na Ziemię, ale niewykrywalny. W tej chwili nie mógł mieć żadnego wpływu na resztę wszechświata.

Noxon miał po powrocie statku na Ziemię w odpowiednim momencie zabrać go w normalny strumień czasu i dowiedzieć się, dlaczego Ziemia postanowili unicestwić Arkadię – oraz temu zapobiec, jeśli to możliwe. Na razie jednak jego jedynym zadaniem było pozostanie przy życiu podczas tej siedmioletniej podróży.

Jeśli zbędny wiedział, że na pokładzie znajdują się klejnoty, nie dał tego po sobie poznać. Noxon nie słyszał niczych głosów, ponieważ ciął czas tak szybko, że słowa nie docierały do niego w zrozumiałej postaci. Wyrażały tylko frustrację, że ten statek przegrał na loterii losu, że nigdy nie dotrze do kolonii, że nie dotrze do żadnego celu.

Ram Odyn był taki młody, wyglądał prawie jak dziecko w porównaniu ze starcem, którego znał Noxon. Rozmawiał ze zbędnym. Wstał i coś powiedział. Zbędny odpowiedział. Rozmawiali tu i tam. Robili niewytłumaczalne rzeczy, które nie miały dla Noxona żadnego znaczenia. W tej chwili liczyło się dla niego tylko miejsce, w którym mógł ukryć klejnoty, żeby przejąć kontrolę nad statkiem. Oczywiście możliwe, że statek nie pozwoliłby mu na to, ponieważ to Ram Odyn nim dowodził. Ale równie możliwe było to, że kiedy Noxon pozwoli statkowi załadować zawartość klejnotów, komputery dojdą do wniosku, iż Noxon jest dowódcą jedynej misji, która obecnie ma znaczenie, i że on jeden może ściągnąć statek w strumień czasu płynącego w przód.

Byłoby zabawnie, gdyby po tym gigantycznym ryzyku, na jakie się naraził, statek mu się sprzeciwił.

Przejście przez małe pomieszczenie do stanowiska klejnotów zajęło Noxonowi ponad jeden dzień czasu pokładowego. Potem czekał, ślizgając się w lewo i prawo, aż Ram wyjdzie. W końcu wyszedł. Noxon natychmiast przestał ciąć czas. Rękę miał już ustawioną nad czytnikiem i wytrząsnął wszystkie klejnoty z woreczka. Nie odbiły się od powierzchni, bo od razu znieruchomiały, uwięzione w niewidzialnym polu, które obracało je wokół siebie. Noxon przypomniał sobie dialog, w którym już raz brał udział, słowa, które miał wypowiedzieć. Ale komputer nie przemówił do niego. Przemówił do myszy.

Noxon słyszał piskliwe, szybko padające po sobie słowa, bo maska mu to umożliwiła. Oznaczało to, że statek wiedział, iż dzięki masce Noxon zrozumie jego

mowę – a zatem chodziło mu o to, żeby Ram Odyn go nie usłyszał. Albo też wysnuł własne wnioski z tego, co odczytał z klejnotów, i postanowił kontaktować się tylko z myszami. Nie. Słowa były skierowane do niego.

– Riggu Noxonie – powiedział komputer. – Rozumiemy, dlaczego tu jesteś, i uważamy cię za dowódcę tego statku, mającego pierwszeństwo przed tym Ramem Odynem, ponieważ starszy, lepiej poinformowany, a dzięki temu mający większą władzę Ram Odyn potwierdził w każdym z klejnotów, że jesteś jego prawdziwym następcą. Nie odzywaj się, ponieważ muszę za pomocą zbędnego wyjaśnić sytuację temu Ramowi Odynowi, zanim cię zobaczy.

– Nie – rzucił Noxon. – Sam mu to wyjaśnię.

– Wstrząs mógłby mu zaszkodzić.

– Mam za duże doświadczenie z pokładowymi komputerami i zbędnymi, żeby uwierzyć, że rzeczywiście oddasz mi dowodzenie statku i że naprawdę powiesz to, co chciałbym.

– Taka nieufność to bardzo niefortunna okoliczność.

– Myszy, które w tej chwili uciekają z tego pomieszczenia, mają pozostać na statku. W żadnym wypadku nie wolno im go opuszczać, dopóki osobiście tego nie zatwierdzą.

– Zrozumiałem.

– Słyszę czyjś głos i nie należy on do ciebie ani do mnie – odezwał się Ram Odyn z korytarza.

– I będziesz chronić życie moje i Rama Odyna zarówno przed nami samymi, jak i przed sobą, zbędnymi i wszelkimi innymi niebezpieczeństwami.

– Zrozumiałem.

Do pomieszczenia wszedł Ram Odyn. Noxon odwrócił się do niego. Ram Odyn zachował spokój. To znaczy oparł się o swój fotel, a potem się na niego osunął, ale nie krzyknął ani nie zadawał pytań typu „Kim jesteś?” ani „Jak się tu znalazłeś?”.

– Po pierwsze – powiedział Noxon – jestem w stu procentach człowiekiem. Moja twarz wygląda w ten sposób, bo żyję w symbiozie z pasożytem, który wyostrza moją percepcję i poprawia czas reakcji. Nazywam się Noxon.

Ram Odyn milczał.

– Po drugie, teraz to ja dowodzę tym statkiem.

Ram spojrział na zbędnego. Ten skinął głową.

– Po trzecie, na pokładzie tego statku znajdują się obecnie myszy. To istoty myślące, niegodne zaufania, ale mogą się nam za jakiś czas przydać, więc nie rób im krzywdy.

Ram powoli skinął głową.

– Po czwarte, wiesz, że jesteśmy odcięci od normalnego strumienia czasu. Zdołałem dołączyć do ciebie tylko dlatego, że wszedłem na tę ścieżkę w chwili podziału, w której powstały wszystkie kopie tego statku. Nie wiem, czy potrafię nas sprowadzić do normalnego strumienia czasu, ale jeśli mnie się to nie uda, to nikt tego nie dokona.

Jestem twoją jedyną nadzieją na powrót do świata związków przyczynowo-skutkowych.

Ram Odyn nie odrywał od niego spojrzenia.

– To wszystko – zakończył Noxon. – Możesz się odezwać.

Ram Odyn pokręcił głową.

– Nie mogę – wykrztusił.

– Jeśli to dla ciebie coś znaczy – powiedział Noxon – poznałem twoje bardzo stare ja. Jedną z kopii. Wiem, że jesteś podstępny, aroganckim, dwulicowym sukinsynem, który nie cofnie się przed morderstwem. Ale wiem także, że jesteś gotów poświęcić wszystko, by ocalić swoich. Choć nie jesteś kopią Rama Odyna, który założył dziewiętnaście kolonii na planecie Arkadia, mógłbyś się nią stać. Przecież tego chciałeś. Chciałeś założyć kolonię. Proszę cię, żebyś ocalił owoce własnej pracy, życie swoich dzieci. Ja jestem jednym z nich. Przybyłem, by ocalić twoje dzieło przed zagładą.

Ram Odyn skinął głową.

– Słucham.

Noxon opowiedział mu o Arkadii i o wszystkim, co osiągnął Ram Odyn oraz Noxon i jego przyjaciele. Nie usiłował się streszczać. Historia ciągnęła się kilka dni. Gdy Noxon się wahał lub czegoś nie pamiętał, pomagał mu zbędny, bo wszystkie te fakty znajdowały się obecnie w pamięci statku. Gdy skończył, Ram Odyn powiedział:

– Wchodzę w to.

– W co? – spytał Noxon.

– Wchodzę do gry. Jestem z tobą. Ocalmy ten świat. Twój świat. Świat moich dzieci.

– Arkadię.

– Tak. Ocalmy Arkadię.

Rozdział 12

WYBIERANIE TWARZOMASKI

Umbo mógł ominąć narzucone przez Rigga ograniczenie i zabrać Bochna i Lejkę przez Mur, skacząc wstecz do chwili jego stworzenia, a potem w przyszłość. Ale to by było efekciarstwo, a poza tym kto wie, jakie niebezpieczeństwa czekały na nich w Arkadii, zanim kolonizatorzy zniszczyli biosferę i zastąpili większość miejscowych roślin i zwierząt przywiezionymi z Ziemi? Rigg zawsze widział ścieżki stworzeń i unikał tych dużych i niebezpiecznych. Umbo tego nie potrafił.

A ponieważ Umbo i Bochen mogli razem przejść przez Mur – ale nie przed czasem, w którym Rigg wprowadził zasadę przechodzenia parami – Umbo wybrał czas tuż po tym, jak Rigg wrócił do świata Vadesha, dostał maskę i zabił, a potem odzabił Rama Odyna. Lecz Bochen, Lejka i Umbo wybrali się do Muru w czasach, zanim Rigg, Umbo i Bochen zostali aresztowani w O – w czasach, gdy nikt ich nie szukał. Choć prawdopodobnie taki środek ostrożności nie był konieczny. Szukano chłopca w wieku dawnego Umba i osiłka rozmiarów Bochna, ale z normalną ludzką twarzą. Lejka nikogo nie interesowała. Chociaż nawet jeśli nikt nie szukał takich osób, jakimi się stali, lepiej było podróżować w czasie, kiedy nikt nikogo nie szukał.

Część drogi przebyli wynajętym powozem, który przewiózł ich z miasta do miasta, ale resztę trasy mieli przejść pieszo, ponieważ do Muru nie prowadziły żadne drogi. Tam, na skraju Muru, Umbo pchnął wszystkich w przyszłość do chwili, gdy Rigg, Noxon i Ram Odyn odeszli, by dołączyć do nich w murchii Lara. Lądownika nie znajdują, ale na miejscu zastaną Vadeshexa.

Przechodzenie przez Mur za zgodą nie wyzwalało takich spazmów strachu i rozpacz, które zwykle zatrzymywały wszystkich. Nie znaczy to jednak, że lęki całkiem znikły. Bochen kilka razy wziął Lejkę za rękę i dodał jej otuchy, bo nawet te blade cienie uczuć budzonych przez Mur najwyraźniej wytrąciły ją z równowagi. Umbo pamiętał, jak przyglądał się Riggowi, Oliwience i Bochnowi, gdy przeszli te pół mili – choć wtedy żołnierze nadciągali, by zabić Umba i Param. Pamiętał także, jak sam przebył tę drogę, trzymając Param za rękę. Dopiero co ocalili sobie nawzajem życie i Umbo przeżywał pierwsze męki zakochania. W sumie to miejsce budziło w nim jednocześnie tęsknotę i przerażenie.

Umbo był prawie pewien, że Vadeshex wyjdzie im na spotkanie tak jak za pierwszym razem, ale nie spodziewał się zobaczyć samego siebie. A raczej wizji samego siebie. Bochen akurat przypominał Lejce, żeby szła wyłącznie po jego śladach, gdy ktoś zawołał:

– Stać!

Odwrócili się i zobaczyli Umba. Natychmiast zrozumieli, że to wiadomość z przyszłości, a nie kolejna kopia Umba, ponieważ tło za nim różniło się od tutejszego krajobrazu, a jego włosy rozwiewał wiatr, który tu nie wiał.

– To na nic – powiedział posłaniec. – Lejce nie uda się zapanować nad maską. Czekaliśmy rok, ale nie wróciła.

– Twierdzisz, że jestem słaba? – rzuciła Lejka wściekła. – Za słaba?

– Tu nie chodzi o siłę woli – odparł posłaniec – bo tej masz mnóstwo, ale to prawdopodobnie jeszcze pogorszyło sprawę.

– Więc o co chodzi? – spytał Umbo.

Posłaniec wyraźnie nie miał ochoty tego mówić, choć widział, że nie ma wyboru.

– Bochen uważa, że to kwestia samokontroli. Lejka ma jej za mało, ja też. W przeciwieństwie do Rigga i Bochna. Wracajcie. Tam nie ma nic dla was.

Po czym posłaniec – Umbo z przyszłości – zniknął. Rozwiał się bez śladu, zniknął nawet z przyszłości, ponieważ jego wiadomość sprawiła, że ta konkretna przyszłość przestała istnieć.

Lejka osunęła się na ziemię. Bochen usiadł obok niej i otoczył ją ramionami.

– Dlaczego musimy mu wierzyć? – spytała.

– Bo Umbo nie przekazuje fałszywych wiadomości. Po co miałyby to robić?

– A jeśli tym razem mi się uda, bo zostałam ostrzeżona?

– Ostrzeżenie w niczym nie pomoże – odparł Bochen. – Wiem, jak to jest, kiedy to stworzenie cię ogarnia, wdziera się w ciebie. Było mi trudno, choć przeszedłem żołnierski trening. A Rigga szkolił Ramex. Nauczył go takiej samokontroli, o jakiej nie mamy pojęcia. Ale tobie niczego nie brakuje. Ludzie zwyczajnie nie zostali stworzeni, żeby współistnieć z takimi stworzeniami.

– Ale tobie dodało to sił! Naprawiło wszystko. Nawet twoje bliźny znikły!

– Nie wiemy, czy to przez usterkę twojego ciała nie mieliśmy dzieci. Wróćmy i zobaczmy, co się stanie.

– Ja to wiem! – krzyknęła. – Bo już miałam dziecko.

Bochen znieruchomiał.

– Zanim wzięliśmy ślub. Byłam ledwie dojrzałą kobietą, za młodą. Dziecko ułożyło się pośladkami naprzód. Umierało, usiłując się urodzić. Wycięli je ze mnie. I tak mi poszarpali wewnątrz, że położna powiedziała, iż już nigdy nie będę mogła urodzić.

– Nie powiedziałaś mi – wymamrotał Bochen.

– Twierdziłeś, że nie chcesz dzieci, że nie dasz rady ich wychowywać, skoro w

każdej chwili możesz odejść na wojnę. Więc to nie miało znaczenia. Ale potem wystąpiłeś z wojska i wszystko się zmieniło.

– Mogłaś mi powiedzieć.

– Wstydziałam się! – krzyknęła Lejka i rozplakała się rozpaczliwie.

Umbo nie wiedział, czy nie powinien odejść. Takie chwile powinny pozostać między mężem i żoną. Ale odchodząc, zwróciłby na siebie uwagę. Oczywiście mógł po prostu skoczyć w przyszłość i zostawić małżonków samym sobie, lecz musiał przyznać, że po prostu tego nie chciał. Był zafascynowany, choć współczuł Lejce. Współczuł im obojgu.

Zauważył, że Bochen nie spytał, kim był ojciec ani czy Lejka była przedtem zamężna.

– I znowu się wstydzę – dodała Lejka ciszej. – Bo mam tak mało samokontroli, że nie potrafię opanować tego stworzenia, choć udało się to takiemu dziecku jak Rigg.

– Rigg nie jest już dzieckiem – odparł Bochen. – A nawet jako dziecko był... niezwykły.

Umbo uświadomił sobie, że powinien czuć urazę do Rigga za to, że potrafił opanować maskę, co dla niego byłoby niemożliwe. Ale nie, mógł mu zazdrościć wielu rzeczy, tylko nie maski. Nie teraz. Owszem, uczyniła z Bochna zadziwiająco skutecznego żołnierza, dała Riggowi i Noxonowi niezwykłą biegłość w manipulowaniu czasem, ale jednocześnie była odrażająca. Umbo przywykł do widoku Bochna, ale nie do Rigga i Noxona. I myśl, że to coś wpełźnie mu na twarz, wepchnie mu się do uszu, nosa i ust, będzie za niego oddychać, wypełni każdą szczelinę jego ciała, wyłupi mu oczy... Jak oni to wytrzymywali? Tak odrażającą inwazję?

Bochen był żołnierzem. Przyzwyczaił się, że ludzie od czasu do czasu wbijają ostre przedmioty w jego ciało. Znosił ból i przerażenie, nie tracąc panowania nad sobą. Umbo nie wpadał łatwo w panikę, ale nie potrafił się powstrzymać przed wyciągnięciem pochopnych – i fałszywych – wniosków i podejmowaniem na ich podstawie nieodwracalnych działań. To przez to zginął Kyokay. To przez to Umbo nieustannie zdradzał słowem i czynem swoją rozpaczliwą tęsknotę za Param, swoją dzieciinną zazdrość o Rigga. Wiedział, że się tym ośmiesza, mimo to nie umiał się powstrzymać.

Rigg potrafił planować i kalkulować. Umbo działał impulsywnie, pospiesznie. Nawet podróżowania w czasie i wysyłania samemu sobie wiadomości uczył się raczej na siłę, niż zastanawiając się i pojmując ten proces. O, starał się myśleć i może to nawet pomogło – w jakimś stopniu – ale przeważnie wykorzystywał swoją moc, żeby manipulować cudzym strumieniem czasu i używać go w nowy sposób. Dlatego całymi miesiącami uczył się używać jej samodzielnie, bez Rigga – działał na oślep, próbował wszystkiego, aż coś zadziałało. „Uczę się jak wiewiórka – pomyślał. – Bez analizy, bez finezji. Skaczę, aż wreszcie wyląduję tam, gdzie chcę. Nigdy nie będę miał maski i bardzo dobrze. Wolę być drugorzędnym sobą, niż przechodzić przez to, co Bochen i Rigg, a potem nosić to coś na twarzy do końca życia”.

Ale gdyby powiedział Lejce: „Tak będzie ci lepiej”, jej odpowiedź kosztowałaby go znaczną utratę słuchu, jeśli nie kończyny. Bo to była prawda: Lejka nie potrafiła zapanować nad sobą. Dlatego nie mogła powstrzymać ataków wściekłości, które nie pozwalały jej wysłuchać wiadomości do końca, dopóki nie zdołał przemówić do niej we właściwy sposób. Do czego, oczywiście, doszedł, rzucając się w przeszłość i po kolei próbując różnych metod, aż znalazł tę, która zadziałała.

Riggowi pewnie udało się za pierwszym razem. „Ale domyśliłem się, jak skakać w przyszłość – w ograniczonym zakresie – i zrobiłem to bez maski. Nie jestem Riggiem, to jednak nie znaczy, że jestem zerem”.

– Nie wiesz – odezwał się Bochen łagodnie – czy ta położna miała rację. Łatwo powiedzieć: „Nigdy nie będziesz miała dzieci”. Ale skąd mogła wiedzieć? Gdyby była dobrą położną, dziecko urodziłoby się żywe.

Na myśl o śmierci dziecka Lejka znowu się rozpłakała.

– Jak mogłam ci o tym powiedzieć... – wykrztusiła i zaraz potem dodała: – Jak mogłam tak długo ci o tym nie mówić...

– W końcu powiedziałaś – oznajmił Bochen. – Więc teraz mnie wysłuchaj. Możemy nadal mieć dziecko, choć to niebezpieczne, bo może wyglądać jak ja. Ale jeśli chcesz zaryzykować, że światu przybędzie szpetoty, to sprawdźmy, czy problem leżał po mojej stronie. Jeżeli zaś chodziło o twoją dawną ranę, no to nic na to nie poradzimy.

– Ale maska mogła ją uleczyć.

– Kiepski to lek, który by cię zabił. Jeśli przestaniesz być moją Lejką, to nie chcę, żebyś urodziła moje dzieci. Dopóki nią jesteś, dopóty dobrze mi z tobą bez względu na to, czy mamy dzieci, czy nie.

Lejka zarzuciła mu ręce na szyję i rozpłakała się jeszcze rozpaczliwiej, a Umbo w końcu zrobił to, co powinien zrobić na początku, i skoczył o kilka godzin w przyszłość.

Leżeli na ziemi, Lejka przytulona do Bochna, w jego objęciach. Spała. Oczywiście Bochen zauważył przybycie Umba, ale podniósł palec, żeby nakazać mu milczenie. Umbo skinął głową i cicho odszedł. Po długim marszu ujrzał przed sobą miasto. Wielkie puste miasto o smutnych pustych wieżach z polowej stali, która nigdy nie rdzewiała, nigdy się nie niszczyła. Czy te wieże przetrwają wielki ogień, gdy całe życie na Arkadii się skończy? Czy pozostaną jako jedyne świadectwo, że żyli tutaj ludzie? Nie, będą też inne ślady – Wieża O także była zrobiona z tego samego materiału. No i istniało jeszcze dziewiętnaście kraterów oznaczających miejsca, w których statki kosmiczne celowo rozbiły się o powierzchnię planety i zmieniły prędkość jej obrotów, wydłużając dzień i dodając nowe kosmiczne śmieci do Pierścienia na niebie, który sprawiał, że żadna noc na Arkadii nie była prawdziwie ciemna.

To wszystko, co po nas zostanie: kilka budynków i dziewiętnaście deformacji terenu.

– Przybyłeś po maskę? – Vadeshex wyłonił się z drzwi budynku, w którym po raz

pierwszy podał im wodę.

– Raczej się napić – powiedział Umbo. – I po wodę dla pozostałych, choć nie przyniosłem ich bukłaków.

– Przewidziałem to – odparł zbędny. – Jako stary przyjaciel rodziny, by się tak wyrazić, chciałem powitać Lejkę w świecie Vadesha poczęstunkiem. Ale nie przyszła z tobą.

– Spotkaliśmy posłańca. Z przyszłości.

– Zatem ten posłaniec był tobą.

– Nie mną, ale tak... wersją przyszłego mnie, która teraz nigdy nie zaistnieje. Ten posłaniec ostrzegł nas, że maska nie przyjmie się na Lejce. Nie masz jakiegoś łagodniejszego gatunku? Może nie tak skutecznego, lecz łatwiejszego do ujarznienia?

Vadeshex pokręcił głową.

– Ta, którą noszą twoi przyjaciele, to najłagodniejszy gatunek, jaki udało mi się wyhodować. Maski są agresywne. Nie nadają się dla każdego.

– Jak wybrałeś Bochna?

– Nie wybrałem.

– To był przypadek?

– Wybierał Ram Odyn. Obserwował i powiedział: „Bochen. I nikt inny, dopóki Rigg nie będzie gotowy”.

– Więc nas ocenił i wiedział, kto jest wystarczająco silny.

– Tu nie chodzi o siłę, lecz o panowanie nad sobą.

Umbo roześmiał się cicho.

– A ja myślałem, że moje przyszłe ja odgadło to, bo jest takie strasznie mądre i przenikliwe.

– Twoje przyszłe ja zachowało się mądrze, tłumacząc ci to w ten sposób. Nie sądzisz? Ta kobieta wybucha od byle czego, prawda?

– Nie znasz jej.

– Gdy wniosłeś klejnoty do świata Rama, Ramex wiedział, że Lejka jest ważna, i poszedł jako gość do jej gospody. Zobaczył jej wybuch. To był niezapomniany widok. Ale potem Lejka była zawstydzona i pełna skruchy. Jak ty.

– Wiemy, jak wygląda samokontrola, bo widzimy ją u innych – powiedział Umbo. – I chcielibyśmy sami ją posiadać.

– O, posiadasz ją – odparł Vadeshex – ale się nie uruchamia, dopóki nie zrobisz i nie powiesz wszystkiego tego, czego nie da się cofnąć. Choć oczywiście dałoby się, ale to odbiera ci spory kawał rzeczywistości i wyrzuca do niewidzialnego kosza na utraconą przyszłość.

– Widziałeś, jak ratuję Kyokaya.

– I jak powodujesz katastrofalne zmiany w przyszłości.

– Skąd możesz o tym wiedzieć?

– Miałeś przy sobie klejnoty. Wróciły z tobą, gdy naprawiłeś swój błąd. Za każdym razem, gdy zabierałeś z sobą w przyszłość klejnoty – na nożu czy w sakiewce – a potem znowu wracałeś, dostawaliśmy raport na ten temat... w każdym razie na temat twojego otoczenia. Ale kiedy wysyłałeś wiadomość, klejnoty nie wracały, więc te przyszłości były stracone.

– Gdy wysyłam wiadomość, nie ryzykuję, że stworzę kopię samego siebie. Na świecie może znaleźć się miejsce dla dwóch Riggów, ale ja nie potrafię znaleźć zastosowania nawet dla jednego Umbo.

– I znowu się zaczyna. Nie mogłeś sobie odmówić poużalania się nad sobą.

– Nie próbowałem sobie odmawiać.

– Ale gardzisz sobą za to, że to powiedziałaś, prawda?

Umbo wzruszył ramionami.

– Skoro przygotowałeś dla nich jedzenie, możesz je przynieść?

– Leży na stole – odparł Vadeshex – i choć na ludzkie standardy jestem bardzo zręczny, mógłbym coś rozlać, gdybym usiłował zanieść im cały stół.

– Czy lądownik jest dostępny?

– Wkrótce będzie. Tymczasem usiądź i porozmawiaj ze mną.

Gdyby Vadeshex był człowiekiem, a nie kłamliwą, podstępłą maszyną, Umbo by go posłuchał. Teraz jednak powiedział:

– Dziękuję, ale nie. Wrócę do nich pieszo. Przynieś jedzenie, kiedy lądownik wróci.

– Pozwól, że uzupełnię twoje zapasy wody.

Gdy Vadeshex przyniósł pękaty bukłak, podał Umbowi także nakrytą miskę.

– Do tego nie trzeba sztucców. To im wystarczy, dopóki nie zjawię się z głównym posiłkiem.

Lejka i Bochen siedzieli i rozmawiali, gdy Umbo dotarł na miejsce. W misce znajdowały się kruche okrągłe paszteciki, jeszcze gorące, każdy z kropelką czegoś pikantnego. Były pyszne.

– Ta maszyna zna się na kuchni – pochwalił Bochen.

– Jaka maszyna? – spytała Lejka.

– Wkrótce zjawi się tu z całym posiłkiem – powiedział Umbo.

– A, ten mechaniczny człowiek, którego Rigg uważał za swojego ojca?

– Ktoś w tym rodzaju – mruknął Umbo.

– Podobno są identyczne – zauważył Bochen. – Podobno mają wspólne wspomnienia.

– Nie wierzę w to – rzucił Umbo. – Znałem ojca Rigga. Mnie też uczył... tak trochę. Uważałem go za wielkiego człowieka. Nazywaliśmy go Złotym Człowiekiem, a Nox – Dobrym Nauczycielem. I słusznie. Ale Vadeshex? To kłamca i manipulator.

– Możliwe, że gdyby ich zamienić miejscami, zachowałyby się identycznie. Ale kiedy jedna maszyna potraktowała cię tak, a druga inaczej, trudno je uważać za tę samą istotę.

– Jak się czujesz? – spytał Umbo.

Lejka pokręciła głową.

– Jestem zrozpaczona – wyznała – ale żyję.

– To już coś.

– I kto to mówi – mruknęła.

– Ja – powiedział Umbo. – Mogę sobie tylko wyobrazić, przez co przeszedł Bochen w tej przyszłości, kiedy nie wyszłaś z transu spowodowanego przez maskę. Jeśli tak właśnie było.

– Raczej biegałam w kółko, krzycząc pod nią, aż wreszcie zrobiła mi dziurę, żeby głos miał się przez co wydobywać – odparła Lejka. – Prawdopodobnie szalałam i niszczyłam wszystko dokoła.

– Może – zgodził się Bochen. – Widzieliśmy tylko jedną transformację. Moją. Rigg przeszedł swoją w samotności. Jego maska jest nowsza, więc o wiele mniej przypomina ludzką twarz niż moja.

– Według mnie wygląda wystarczająco ludzko – oznajmiła Lejka.

Vadeshex zjawił się wkrótce potem i rozłożył piknik na trawie w miejscu, z którego widzieli Mur. Zasugerował, że żal Lejki może w pewnym stopniu wynikać z rozchwianych emocji, obudzonych przez Mur, i z faktu, że nadal znajdują się blisko niego, co musi na nich wpływać.

– Dziękuję za tę sugestię – powiedział Bochen.

– Dziękuję za posiłek – dodał Umbo. – Był bardzo smaczny.

– Nieczęsto mam okazję sprawdzić się w kuchni – odparł Vadeshex.

Nieśmiało? Czy chciał ukryć odrobinę dumy? Nie, tak go skonstruowano. Albo była to świadoma manipulacja, żeby nie zmienili swojego nastawienia do niego. Ale to mu się nie udało. W każdym razie nie udało mu się w pełni. Jedzenie było bardzo dobre. I przyszedli do niego po maskę. Ten stary rupieć czasem się przydawał.

Vadeshex zaproponował, że odwiezie ich lądownikiem do domu, a oni się zgodzili. Wyruszyli wieczorem; wylądowali milę od Przystani Lejki. Do domu dotarli przed północą.

– Nie do wiary, że istnieje maszyna, która lata w powietrzu – powiedziała Lejka. – Pamiętacie, jak długo musieliśmy jechać, ile minęło dni? A teraz wróciliśmy tej samej nocy.

– Ludzie na Ziemi robią tak bez przerwy – oznajmił Umbo.

– No, skoro jesteśmy tu od jedenastu tysięcy lat... a ty powiedziałaś, że ludzie na Ziemi opracowali taką technologię zaledwie dziesięć tysięcy lat po wynalezieniu rolnictwa...

– Mniej więcej dziesięć tysięcy – skorygował Bochen.

– Dlaczego bardziej się nie postaraliśmy?

– Byliśmy zablokowani – odparł Umbo. – To jedno z zadań zbędnych. I komputerów pokładowych. Dławią wszelkie wynalazki, które mogłyby doprowadzić do powstania

zaawansowanej technologii. Z wyjątkiem murchii Odyna, a to dlatego, że Ram Odyn wprowadził w niej wyjątek – do pewnego stopnia.

– Ta maszyna jest wielka niemal jak oberża, a lata – powtórzyła Lejka.

– A my przywykliśmy do tego i nie uważamy tego za coś wyjątkowego – zauważył Bochen. – Przypomniałaś mi, jaki to cud.

– Nie odchodź jeszcze – zwrócił się Umbo do Vadeshexa. – Będę potrzebować podwózki do świata Lara, gdzie czeka moja narzeczona.

– Zostań z nami – poprosiła Lejka. – Prawie nie rozmawialiśmy.

– Wróć – odparł. – Pytanie tylko kiedy.

– Daj nam kilka lat – powiedział Bochen. – To wystarczy. Wtedy sprawdź, jak sobie radzimy.

– Mogę od razu skoczyć w przyszłość i się przekonać.

– Wtedy będzie cię kusić, żeby nam to powiedzieć. Nie, zamieszkaj gdzie indziej i postaraj się stworzyć coś w rodzaju życia... jeśli to możliwe, z piękną królową niczego z królestwa Nigdzie.

– Innymi słowy, chcesz, żebyśmy coś osiągnęli, zanim wrócę, żeby cię nękać.

– Nie, nie chcemy, żebyś nam zazdrościł miłości.

– Dziękuję ci za wszystko – powiedziała Lejka. – Zwłaszcza za ostrzeżenie. Szkoda, że się nie udało, ale cieszę się, że nie oddałam życia na darmo.

– Dziękuję, że mi zaufałaś na tyle, żeby mi uwierzyć. – Umbo odwrócił się do Vadeshexa: – Zabierzesz mnie do Param?

– W dowolne miejsce i czas – odparł zbędny.

– Więc ty zajmij się miejscem, a ja popracuję nad czasem.

Rozdział 13

DOKĄD NIE JECHAĆ

- Czy kiedykolwiek sprzeciwiałem się twojej wizycie w jakiejś murchii? – spytał Ram Odyn.
- Na razie byliśmy w dwóch – powiedział Rigg.
- No cóż. Dość szybko dotarliśmy do tej, której radziłbym ci nie zwiedzać.
- Rozumiesz, że to tylko rozbudziło moją ciekawość?
- Wziąłem to pod uwagę, ale nie mam wyboru. Świat Jane jest równie interesujący, jak wszystkie inne, ale ma jedną statystyczną osobliwość.
- Czyli?
- Jego mieszkańcy żyją przeciętnie o połowę krócej niż ludzie z innych światów.
- A to dlaczego?
- Z powodu choroby. To wylęgarnia zarazy.
- Przez tropikalny klimat?
- Nie wiem. Może częściowo. Niektóre choroby roznoszą się przez ukąszenia owadów, inne za pośrednictwem ssaków. Część rozwinęła się u zwierząt, które w tym klimacie czują się doskonale. Żadna nie wiąże się z mikroorganizmami wywodzącymi się z Arkadii. Do tej pory nic mniejszego od twarżomaski czy peleryny nie przekroczyło bariery między biotami Ziemi i Arkadii.
- Więc nie chcesz, żebym odwiedził ten świat, bo mógłbym tam umrzeć?
- Jestem prawie pewien, że tam umrzesz.
- Jak pewien?
- Szanse przeżycia masz jak jeden do pięćdziesięciu. Ale to tylko moje domysły, bo byłbyś pierwszym przybyszem spoza Muru, od kiedy po raz ostatni odwiedziłem ten świat jakieś dziesięć tysięcy lat temu.
- Zachorowałeś?
- Omal nie umarłem. A naprawdę interesujące choroby jeszcze się nie zaczęły. To inkubator piekielnej śmierci, Rigg. Gdyby nie Mur, choroby ze świata Jane ogarnęłyby wszystkie kolonie i zabiłyby połowę każdej.
- Więc jak to możliwe, że ktoś tam jeszcze żyje? – spytał Rigg.
- Wykształcili odporność. Nie indywidualnie, ale kiedy pojawia się nowa zaraza,

pozostają tylko ci, którzy mają naturalne systemy obronne. W tej chwili mieszkańcy świata Jane reagują na tę śmiertelnośc chorobę, która prawie mnie zabiła, swędzącą wysypką i uporczywym kichaniem.

Rigg zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Jeśli wykształcili odporność, to dlaczego żyją tak krótko?

– Wykształcają odporność na każdą chorobę. Ale każda kolejna zaraza zabija coraz więcej osób. A niektóre mutują, więc ludzie, którzy przeżyli jedną jej odmianę, prawie nie mają szans przeciwko następnej.

– Nie chciałbym cię obrazić, ale zastanawiam się, co się tam kryje. Jakiego widoku nie chcesz mi pokazać.

– Kryje się śmierć, a nie chcę ci pokazać wnętrza twojej trumny.

– A zatem do murcii Jane mam nie wchodzić ze względu na zarazę... Co będzie uzasadnieniem następnym razem? Trzęsienie ziemi? Brzydka pogoda? Niegrzeczne dzieci?

– Tak to już jest – powiedział Ram Odyn. – Tak było na Ziemi. Z kilku miejsc rozwleczono zarazę na cały świat, ponieważ przebiegały przez nie trasy handlowe. Ale istniały też odizolowane miejsca. Choroby z obu Ameryk nie rozpełzały się na resztę kontynentów, ponieważ gęstość zaludnienia nigdy nie była tam duża i ponieważ nie było tam wielu człekokształtnych, na których mogłyby się rozwijać choroby szczególnie groźne dla ludzi. Gdy do Ameryk dotarli mieszkańcy Eurazji, choroby, które z sobą przywlekli, zabiły około dziewięćdziesięciu procent tubylców.

– Czytałem o tym.

– W Afryce było odwrotnie. Ona także była odizolowana. Oddzielały ją oceany i pustynie. Chorzy umierali, zanim zdążyli zarazić innych. Ale kiedy dotarli do niej Europejczycy, po zejściu na ląd na tydzień po prostu nie wracali. Gdy zeszli na jeden dzień, wracali na statek i zarazali całą załogę. Wszyscy umierali, a statek dryfował po wodach.

– I twierdzisz, że Mur chroni resztę świata przed murcją Jane. A jeśli tam pójde...

– ...będzie cudem, jeśli nie złapiesz czegoś nieuleczalnego i wysoce zaraźliwego. I na tym polega problem. Nie będziesz mógł się cofnąć w czasie i zmienić tego, bo już będziesz zainfekowany.

– Będę miał też maskę.

– Która pozwoli ci wyraźniej odczuwać objawy i śledzić postęp choroby aż do śmierci.

– Maskę nie pomoże mi wyzdrowieć?

– Dodaje siłą, ale nie filtruje zarazków, z którymi twój układ immunologiczny sobie nie poradzi, ponieważ wykrywa ziemskie czynniki chorobotwórcze dopiero wtedy, gdy twoje ciało je wyczuwa.

– Mimo to ludzie tu żyją.

– Jeśli przetrwają dzieciństwo, mają szansę na życie normalnej długości. W dzieciństwie choroby eliminują słabych. Zostają ci, którzy dobrze się przystosowują, których ciała walczą. Im dłużej szaleje zaraza, tym więcej dzieci ją przeżywa. Ale istnieją takie, które mają mniej niż tysiąc lat i nadal zabierają mnóstwo dzieci.

– Tubylcy mają duże rodziny?

– W niektórych społecznościach tak, w innych nie. Bywa, że rodzice nie nawiązują z dziećmi bliższych kontaktów, dopóki te nie podrosną. Inni łamią sobie serca, kochając dzieci od początku. W niektórych regionach i plemionach unika się dużego zagęszczenia, zdarza się, że ludy trzymają dzieci w izolacji, a inne z premedytacją narażają je na kontakt ze wszystkimi niebezpieczeństwami – pewnie nie mogąc znieść napięcia. Pewne plemiona rutynowo wypalają do fundamentów domy rodzin, w których pojawiają się charakterystyczne symptomy: otwarte wrzody na całym ciele, krwawienie z oczu, nozdrzy i uszu, krew w śluzie podczas kichania i kaszlu i tak dalej.

– Wypalają domy razem z mieszkańcami?

– Inaczej by nie poskutkowało.

– Więc po prostu mnie chronisz.

– Jeśli ktoś rzuci się na ciebie z nożem, możesz cofnąć się w czasie, żeby się ratować. Jeśli ktoś na ciebie kichnie, nie będziesz miał dokąd uciec.

– Ale nie ja oddycham, tylko maska.

– Maska nie jest ziemskim organizmem. Przekaze ci chorobę, nawet jej nie zauważając.

– Musisz mnie zrozumieć. Tak często mnie okłamywano.

– Nie ja.

– Dopiero się poznaliśmy, a liczba kłamstw, których mi naopowiadałeś, jest całkiem spora. Ponadto zbędni kłamią przeważnie na twoje polecenie. A raczej zostali skonstruowani tak, by chronić twoje tajemnice. Co chcesz ochronić przede mną w świecie Jane?

– Przyszłość ludzkiego gatunku na Arkadii, nie pozwalając, by to śmiertelne miejsce cię zabiło – oznajmił Ram Odyn.

– Przyszłość ludzkiego gatunku nie zależy już ode mnie – powiedział Rigg. – Miałeś na myśli moje drugie ja, Noxona.

– Nie wiemy, jak zakończy się jego misja. Rigg, proszę, zaufaj mi w tej jednej sprawie. W murcii Jane nie ma żadnych wielkich tajemnic oprócz śmierci. Może z powodu stałej izolacji istnieje tam mniej języków, kilka intrygujących nurtów filozoficznych, wyznań czczących śmierć, mnóstwo fatalizmu. Pewna religia niemal przez tysiąc lat obowiązywała w całym świecie Jane nie dlatego, że jej doktryny były tak przekonujące, ale ponieważ jej wyznawcy regularnie ryzykowali życie, żeby opiekować się chorymi i umierającymi oraz grzebać zmarłych.

– Dlatego była atrakcyjna?

– Jej wyznawcy wydawali się bardziej szczerzy i budzili w innych wdzięczność i podziw. Wszystkie dokumenty stoją przed tobą otworem. Zapoznaj się z nimi, nie wychodząc ze statku, a siły zachowaj na zwiedzanie mniej szkodliwych miejsc.

Ponieważ maska wykrywała niuanse, które Rigg normalnie by przegapił, zasługiwała na zaufanie podczas określania, czy ludzie mówią prawdę. Rigg nabrał niemal zupełnej pewności, że Ram Odyn wierzy w to, co mówi, niezależnie od tego, czy to prawda.

– Skoro ominiemy świat Jane, to dokąd się udamy?

– Gdziekolwiek. Naprawdę miałem obiekcje tylko wobec tej jednej murchii.

– Murchia Singha.

– Intrygująca. Jedyne, w której krater po upadku statku jest niemal na poziomie ziemi. Świat Singha jest górzysty, z masą dolin i wielkim zróżnicowaniem kulturowym.

– A poszczególne plemiona są bardzo małe? To zwykle oznacza, że kultura nie osiąga wysokiego poziomu.

– Jest tam rozległa, dobrze nawodniona równina na wybrzeżu, na której powstały i upadły dość dobrze rozwinięte cywilizacje. Ale większość ludów przeważnie żyła w odosobnionych dolinach. Spróbujemy?

– Rezerwuję sobie prawo powrotu do murchii Jane. Na koniec wyprawy.

– Kiedykolwiek ją odwiedzisz, to będzie koniec twojej wyprawy.

Rigg postanowił, że cofnie się do czasu, w którym kolonia świata Jane była młoda, podobnie jak choroby, które ją dręczyły. Bo kiedy ludzie żyją w nieustannym zagrożeniu nagłą, żalostną śmiercią z niewiadomego powodu, to musi ich zmienić. „A jeśli kiedykolwiek będziemy musieli się bronić przed ludźmi z Ziemi...”.

– Ramie Odyne – powiedział na głos. – Czy Odynerzy mieli dostęp do informacji o świecie Jane?

– Miałem parę tajemnic, ale nie tę. Tak, wiedzieli.

– A myszy potrafią przenosić różne rzeczy na odległość, w czasie i przestrzeni. Rzeczy tak małe, jak molekuly DNA.

– To duże molekuly.

– Ale molekuly.

– W ten sposób spłodzono Umba. Genetyczna manipulacja na odległość za sprawą myszy.

– Więc myszy, które weszły na pokład statku Gości, te, przed którymi ostrzegli Gości Umbo i Param, mogły przywlec choroby ze świata Jane.

– Nie wiesz, czy choroba jest groźna, dopóki nie przeprowadzisz badań – odparł Ram Odyn. – Świat Jane jest najlepszym laboratorium epidemiologicznym tego świata.

Rigg roześmiał się cicho.

– Nie wiedziałem, czy Umbo i Param mają rację, upierając się, że myszy zamierzają lecieć na Ziemię, żeby unicestwić gatunek ludzki. Bo skąd miałyby taką zarazę? I nie uwierzyłem tobie, choć nie mogę też powiedzieć, że całkiem odrzucam to, co

powiedziałaś. O murchii Jane.

– Ale jeśli dodasz te dwie wątpliwości, otrzymasz... pewność?

– Nie. Ale dużą zmianę poglądów.

– Nie będziesz się więc zbliżać do murchii Jane. Tym razem mówisz to szczerze, nie tylko po to, żeby mnie uspokoić?

– Myszy musiały skądś wziąć morderczą zarazę.

– O, możesz pójść dalej. Pewnie ją udoskonaliły i wypróbowały w kilku wioskach.

Rigg zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Rozumiesz, że myszy nie są ludźmi. Nie mają większych oporów przed testowaniem chorób na ludziach niż ludzie przed testowaniem ich na myszach.

– Są istotami myślącymi dzięki nam – zaproponował Rigg.

– I przez ile pokoleń będą nam za to wdzięczne i pokorne? Ale nie wiem, czy to zrobiły. Tylko domyślam się na podstawie tego, co o nich wiem. Przecież zabiły Param.

– Na wniosek Odynerów, prawda?

– Możliwe. Ale od dawna mieszkańcy tego świata podejmują decyzje na podstawie faktów, których dostarczają im...

– ...myszy – dokończył Rigg.

– Więc niezależnie od tego, czy decyzję podjęły same myszy, czy też dostarczyły odpowiednio spreparowanych informacji mieszkańcom świata Odyna, by doprowadzić ich do pożądanych wniosków...

– ...w tym świecie nie dzieje się nic bez zgody myszy – dopowiedział Rigg.

– Chyba można to tak podsumować.

– Zatem to, że mieszkańcy świata Odyna zaczęli modyfikować swoje ciała tak, żeby zmienić się w pokracznych osiłków, jahusów...

– Zaczęli to robić przed rozpoczęciem hodowli myszy.

– Ach... Wyglądało to jak świadome upokorzenie, jakby myszy się na nich odgrywały.

– Za co?

– Za uczynienie ich myszami. One, które mają ludzkie geny, mogłyby mieć ręce, stać na dwóch nogach... Powiedziałbym, że mają podstawy do urazy.

– Irracjonalne.

– Uraza jest irracjonalnym uczuciem.

– Nie zawsze. Na przykład uraza Umba do ciebie.

– Jakim cudem to ma być racjonalne?

– Spokojnie, spokojnie. Zostawmy na chwilę twoje uczucia. Umbo nie doznaje tych emocji tylko dlatego, żeby cię rozdrażnić albo skrzywdzić. Ma powody, żeby uważać się za najbardziej utalentowanego w dziedzinie manipulacji czasem, ale ze względu na twoje wykształcenie – ponieważ jesteś synem króla, jakkolwiek pusty byłby to tytuł –

wszyscy liczą się z tobą, a nie z nim.

– Ja się z nim liczę.

– Ale on uważa, że robisz to z łaski.

– Umbo to mój jedyny przyjaciel. Przykro mi, że ma do mnie urazę. Ale ta sytuacja z pewnością odnosi się do myszy. Ludzie je stworzyli. Po co? Żeby mieć mysich niewolników. Ale myszy uważają się za lud. Wielką cywilizację. Więc nie ma nic dziwnego w tym, że chowają urazę do ludzi w ogóle, a Odynerów w szczególności.

– A jednak wysłały swoich przedstawicieli z Noxonem, by ratować ludzki gatunek na Arkadii.

Rigg roześmiał się cicho.

– By ratować Arkadię. Jeśli przy okazji uratują także ludzi, jakoś zniosą ten niezamierzony skutek. Do czasu.

– Może nie doceniliśmy zagrożenia ze strony myszy – powiedział Ram Odyn. – Jeśli murchia Jane jest tak niebezpieczna, jeśli wszystkie inne światy są tak bezbronne, jak Ameryki w chwili przybycia Europejczyków, to myszy już mają sposób, by przenosić te choroby i rozsiewać je tam, gdzie zechcą. Mur w niczym im nie przeszkadza. Posłużą się naszym talentem do manipulacji czasem, żeby ratować Arkadię, a potem pozbędą się nas tak jak Niszczyciele – tylko z większą finezją. I odziedziczą planetę.

– Podstępny plan.

– Ale możliwy.

– Wykorzystują nas, wiedząc, że później nas zabiją.

– Naprawdę mają ludzkie geny.

– Żałuję, że wysłaliśmy je z Noxonem.

– Może to jedyny powód, dla którego pozwoliły mu polecieć. Może tylko dlatego pozwalają nam żyć. Bo jeśli cała ludzkość zniknie przed przybyciem Gości...

– ...Goście nie będą mieli powodu, żeby wrócić i zniszczyć życie na planecie.

– Chyba zaczynamy się wkręcać w bardzo poważną myszofobię.

– A może powinieneś cofnąć się w czasie i ostrzec Noxona, zanim odleci.

– To on już odleciał?

– Kilka dni temu. Chciałeś go pożegnać bukietem?

Rigg zignorował tę ironię.

– Będę miał dość czasu, żeby go powstrzymać, gdy zacznie się zaraza.

– Może zabiją cię przed jej wybuchem.

– Maski ochroni mnie przed myszami, nawet jeśli nie zdoła mnie ochronić przed chorobą.

– Może. A z tego, co wiemy, myszy są nam głęboko oddane.

– Tak. I nawet jeśli dopuszczą się ludobójstwa, będą tego strasznie żałować i przez tysiąc lat śpiewać o tym smutne mysie piosenki.

Ram Odyn spojrział poważnie na Rigga.

- Wolę, żeby Arkadia przetrwała z myszami jako dominującym gatunkiem i bez jednej ocalonej istoty ludzkiej, niż żeby zupełnie zniknęło z niej życie.
- Więc jeszcze mniej zasługujesz na zaufanie, niż mi się wydawało – powiedział Rigg.

Rozdział 14

OPORTUNIŚCI

– Nie będę eksperymentować ze strumieniem czasu na tym statku, dopóki nie zbliżymy się bardziej do Ziemi.

– Jesteśmy dla nich niewidzialni – powiedział Ram Odyn – ale to się zmieni, kiedy wejdziemy w normalny strumień czasu. A jeśli nas nie przyspieszysz ani nie zwolnisz, będziemy też zajmować tę samą przestrzeń, co oryginał statku.

– Wiem – mruknął Noxon.

– Prawdę mówiąc, jeśli spróbujesz nas ściągnąć w jakikolwiek punkt strumienia czasu, doprowadzimy do wielkiego wybuchu, bo będziemy, atom w atom, w tym samym miejscu co oryginalny statek.

– Uczysz mnie manipulowania czasem? – Noxon usiłował stłumić nutkę ironii, ale chyba mu się nie udało.

Ram Odyn przyjął ją bez sprzeciwu.

– Zatem wyjaśnij mi, dlaczego nie wybuchniemy.

– Nie manipuluję tutaj strumieniem czasu, bo niewiele mogę zrobić. Jedyna widoczna dla mnie ścieżka to twoja – od czasu skoku, kiedy ta wersja statku zaczęła istnieć. Nic z wcześniejszej podróży.

– A ty potrzebujesz ścieżek do podróżowania w czasie?

– Do podróżowania w przeszłość. Podejrzewam też, że będę ich potrzebować, żeby sprowadzić nas do normalnego strumienia czasu.

– Musisz więc wrócić tam, gdzie jest więcej osób, czyli więcej ścieżek.

– Tak. I muszę dotrzeć do miejsca, w którym przeszłość jest głębsza, sięga dalej.

– To nadal nie rozwiązuje problemu wybuchu statku – sprzeciwił się Ram Odyn.

– Jeśli znajdę ścieżkę prowadzącą we właściwym kierunku – odparł Noxon – sięgnie ona dalej w przeszłość. Zatem kiedy na nią skoczę, oryginalny statek będzie już gdzieś indziej, więc nie znajdziemy się w tym samym miejscu i czasie.

– Ach... No tak.

– Jeśli w ogóle mi się to uda – dodał Noxon – postaram się cofnąć nas do czasu, gdy nie było żadnych statków kosmicznych, żadnych satelitów. Niczego, z czym moglibyśmy się zderzyć. A nikt na Ziemi nie uzna tego statku za nic innego niż punkcik światła –

meteor, planetę czy nieznaną gwiazdę.

– Tak, to będzie dyskretny powrót na Ziemię. Ale co potem?

– Jeśli będziemy się przesuwać we właściwym kierunku, to zacznę ciąć czas, aż po kilku dniach wrócimy do bardziej przydatnego momentu.

– Ale wtedy statek pojawi się w czasach, kiedy ludzie go zauważą.

– Nie powiedziałem, że sprowadzę statek w przyszłość z nami na pokładzie. Możemy ukryć go w przeszłości i sprowadzić, kiedy będzie nam potrzebny.

Ram Odyn pokręcił głową.

– Nie przywykłem do traktowania przeszłości jako przechowalni.

– Ja miałem na to parę lat – powiedział Noxon. – Nie wyobrażasz sobie, jak dziwnie może się zrobić.

– Już cofanie się w czasie jest wystarczająco dziwne. Usiłowałem znaleźć sposób, żeby porozumieć się z samym sobą. Wiesz, tym, który...

– Rozumiem.

– Ale statek, na którym przebywam, nie jest tym statkiem, na którym jest on. Zajmujemy tę samą przestrzeń, ale nie mamy tego samego... kierunku.

– Sam nadal nie do końca rozumiem zasady – przyznał Noxon. – Na przykład ludzie, którzy podróżują rzeką, zostawiają ścieżki nie na łodzi, ale w powietrzu nad nią. Pokazują swój kurs w stosunku do powierzchni planety. Ale kiedy znajdowałem się w statku po jego uderzeniu o powierzchnię Arkadii, widziałem w jego wnętrzu twoje ścieżki. W tym tę prowadzącą do chwili, w której wyłoniłeś się z zagięcia. Ale przecież powinna się znajdować w przestrzeni kosmicznej, w której znajdował się statek, wykonując skok między gwiazdami.

– Najwyraźniej kosmos nie uważa statków kosmicznych za łodzie.

– Ale dlaczego? Bo są tak wielkie? Nie dorównują wielkością planecie. I to nie jest teoretyczne zagadnienie, bo kiedy rzucę nas w główny nurt czasu, powinienem zabrać statek z nami. Przyda się nam.

Ram Odyn skinął głową.

– Skoro musimy oddychać powietrzem...

– Potrafię zabierać z sobą pojazdy. Raz zrobiłem to z powozem. Cofnąłem się z nim w czasie. Ale nasze ścieżki nie znajdowały się w jego wnętrzu, lecz w powietrzu nad drogą. Tutaj jednak widzę nasze ścieżki wewnątrz statku. Nie zostawiamy ich za sobą w przestrzeni kosmicznej.

– Czyli statek kosmiczny działa jak planeta.

– Ścieżki przywierają do powierzchni planety, zamiast ulatywać w przestrzeń kosmiczną. Podobnie jak we wnętrzu statku kosmicznego, tak jakby był on pustą w środku planetą.

– W pewnym sensie jest – powiedział Ram Odyn. – Gdybym postanowił nie przechodzić przez zagięcie, wyprowadziłbym kolonistów z letargu i stworzylibyśmy

habitat w ładowni. Stałaby się światem dla całych pokoleń.

Noxon pokręcił głową.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ścieżki zachowywały się inaczej, ponieważ statek może się stać potencjalnym światem.

– Więc może zostają w nim, bo statek porusza się w przestrzeni kosmicznej. Jest niezależny od wszelkich planet.

– Nie wiem, dlaczego to tak działa.

– Może działa w ten sposób, bo tego potrzebujesz?

– Oby.

– Może nieświadomie sam tworzysz zasady.

– To dlaczego widzę te ścieżki? Umbo ma zdolność przyspieszania własnej i cudzej percepcji upływu czasu. Razem potrafiliśmy skakać w czasie. A potem Umbo nauczył się to robić beze mnie, a z czasem – ja bez niego. Potem uświadomiłem Param, że ona też widzi ścieżki, tylko na własny sposób, więc może skakać w przeszłość i przyszłość podobnie jak ja, więc...

– Domyślam się, że chcesz powiedzieć, iż to działa tak, jak tego potrzebujesz, ale musisz nabyć każdą z umiejętności oddzielnie i po długich próbach.

– Byłoby miło – westchnął Noxon. – Ale jakoś mi się nie wydaje, że wszechświat robi dla mnie specjalne ustępstwa.

– Tak to wygląda dla kogoś, kto nie potrafi tego, co ty.

Noxon uśmiechnął się do Rama Odyna.

– Podejrzewamy, że mamy te zdolności od ciebie.

– Litości.

– Jedyne dwa światy, w których pojawiły się zdolności chronomancyjne, to te, w których zaistniały twoje geny.

– Jedyne dwa, o których wiesz.

– Zbędni prowadzili obserwacje. Ty też, jako Ram Odyn ze świata Odyna. I nie tylko o to chodzi. Te wydarzenia – manipulacja czasem i zagięcie przestrzeni kosmicznej – nie były przewidziane i nadal nie mają sensu. Pokładowe komputery i stary Ram sądzili, że to wszystko dzieje się przez ciebie. Nieświadoma zdolność do relokacji w czasie uruchomiona przez nagłe wejście do tego zerowego momentu w czasoprzestrzeni, w który statek musiał wejść, by przekroczyć zagięcie. Pokładowe komputery umiały tylko wprowadzić statek ze wszystkim, co się na nim znajdowało, do momentu zerowego, a z niego – do konkretnego miejsca w przestrzeni. Ale twój umysł nie był na to wszystko przygotowany i w momencie zerowym wydałeś rozkaz, który przesunął dwadzieścia kopii statku nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie.

– I zmienił kierunek tego jednego statku. Po co miałbym to zrobić?

– Nie zrobiłeś tego świadomie. Prawdopodobnie twoje uśpione zdolności do manipulacji czasem wprawiły czas i przestrzeń w ruch, a potem komputery zrobiły to,

co planowały, ale ich obliczenia nie uwzględniły możliwości, że czas w czasoprzestrzeni także można wykorzystać. A więc sprowadziły dziewiętnaście statków mniej więcej w to samo miejsce, lecz oddalone od siebie na tyle, żeby żaden z nich nie wybuchł. I okazało się, że cofnęły się jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat w przeszłość.

– A ten statek pozostał w tej samej chwili, z której odszedłem, ale ruszył wstecz tam, skąd przybył.

– Twój umysł nie wybrał tych konkretnych parametrów. Bo jak mógłbyś obliczyć coś tak matematycznie ścisłego? Zrobiły to komputery pokładowe. Dziewiętnaście komputerów, dziewiętnaście osobnych skoków tego samego statku w mniej więcej te same przestrzeń i czas, lecz w oddaleniu kilku chwil.

– A który komputer zrobił to? – Ram Odyn wskazał gestem wewnątrz statku.

– Komputery na Arkadii obliczyły, że ten statek powinien istnieć. Zatem wiedziały. Albo zgadły.

– Na statku było dwadzieścia komputerów – odezwał się zbędny.

Noxon i Ram Odyn obejrżeli się na niego.

– Jest dziewiętnaście – powiedział Ram Odyn. – Każdy ma swoją rolę w codziennym zarządzaniu statkiem, ale razem wykonały obliczenia do skoku przez zerową czasoprzestrzeń.

– Zdaje się, że on myśli o sobie – odgadł Noxon.

– Przecież jesteś niewolniczo podległy głównemu komputerowi – zauważył Ram Odyn.

– Podobnie jak inne komputery – oznajmił zbędny, wcale niespieszony tym, że jego słowa zostały podane w wątpliwość. Ani tym, że Ram Odyn wspomniał o jego niewolniczej podległości.

– No, faktycznie ma w sobie potężny komputer – zwrócił się Ram Odyn do Noxona. – Ale nie brał udziału w obliczeniach skoku.

– To prawda – przyznał zbędny. – Zająłem się obliczeniami, w jaki sposób wrócić na Ziemię.

Ram Odyn parsknął śmiechem.

– Stuknąłeś trzy razy obcasami i powiedziałaś: „Nie ma jak w domu”?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedział Noxon.

– Ram Odyn zrobił aluzję do filmowej wersji książki Franka Bauma *Czarnoksiężnik z Krainy Oz*.

– Nigdy nie trafiłem na nią podczas nauki, ale pewnie nie mogłem wchłonąć całej ziemskiej kultury przez kilka lat czytania w wolnych chwilach.

– Nieważne – rzucił Ram Odyn. – Dla mnie liczy się to: siedem lat zajęło mi dotarcie z miejsca startu do miejsca skoku. Bałem się, że jeśli wejdę w letarg podczas podróży, statek nie obudzi mnie na czas, żebym mógł podjąć odpowiednie decyzje. Dlatego

nieustannie czuwałem. Teraz nie mam takich obaw, ponieważ statek nie może nic zrobić w naszej sprawie. Czy naprawdę musimy tu tkwić przez tyle niekończących się dni? Jesteś uroczym towarzyszem, ale bardzo szybko znudzimy się sobą.

– Wiem, że cofamy się w twoją przeszłość – powiedział Noxon – i to kierunek, w który normalnie skaczą. Ale właśnie on sprawia, że to będzie nasza przyszłość.

– Proponowałem, żebyśmy weszli w letarg. Jak koloniści. Statek obudzi nas, kiedy zbliżymy się do Ziemi.

Noxon natychmiast zdecydował, że nigdy się na to nie zgodzi. Musiałby bardzo zaufać statkowi i zbędnemu. A myszy miałyby swobodę ruchów. Ale nie chciał rozmawiać z Ramem Odynem o niebezpieczeństwach związanych z myszami, ponieważ ten mógłby postanowić, żeby usunąć cały problem, a Noxon nie wiedział, jak miałby mu przeszkodzić. Mimo to, zamiast po prostu odmówić, pozwolił, żeby Ram Odyn zademonstrował mu cały proces wchodzenia w letarg, a potem wychodzenia z niego.

– Czy występuje utrata funkcji? Po przebudzeniu? – spytał.

– Zakładam, że nie. Nie powiedziałaś, że stary Ram robił to nieustannie, żeby przeczekać stulecia i przeżyć jedenaście tysięcy lat?

– Nie mogę przysiąc, czy nie doznał szkód na umyśle – mruknął Noxon.

– Jest stary – powiedział Ram Odyn. – Prawdopodobnie letarg i wyjście z niego nie powodują usterek zagrażających umysłowi. Ale przez cały czas jesteś w polu. A ono ma przechować twoje wspomnienia i zaimplantować ci je, kiedy się obudzisz, żebyś odzyskał wszystko, co mogło zostać utracone. Osoby poddawane ziemskim eksperymentom donosiły, że poprawił im się dostęp do wspomnień.

– Czyli letarg jednak zmienia funkcjonowanie. – A w duchu Noxon dodał: „Może to takie samo pole jak to, które podczas przejścia przez Mur wprowadza do naszych umysłów wszystkie istniejące języki”. A to mu nasunęło myśl o innych rzeczach, które mogły zrobić w jego mózgu pola składające się na Mur.

W końcu Ram Odyn powiedział:

– Nie zrobisz tego, prawda?

– Daję ci wolną rękę – odparł Noxon. – Nie będę się wtrącać i dopilnuję, żebyś obudził się na czas.

– Zostaniesz z nim na siedem lat – rzucił Ram Odyn, wskazując zbędnego. – Oszalejesz z nudów.

– Przez całe dzieciństwo przemierzałem z nim lasy Stromogóru, nazywałem go ojcem, a on nieustannie mnie uczył i poddawał próbom. Było trudno i czasem chciałem, żeby przestał, ale nigdy się nie nudziłem.

– Szczerze cieszyły mnie te lata – oznajmił zbędny.

Ram spojrział na niego.

– To nie byłeś ty, lecz twoja kopia.

Zbędny zgodził się łagodnie, ale dodał:

– Przyniósł komplet dzienników pokładowych, dziewiętnastu. Potwierdzają, że powiedział ci wyłącznie prawdę w granicach swojej wiedzy i zdolności pojmowania. Mam pełne wspomnienia wszystkich dni, godzin i minut, które zbędny imieniem Ramex spędził w towarzystwie tego młodzieńca.

– Ale to nie byłeś ty.

– To byłem ja, ponieważ doskonale to pamiętam. My, zbędni, nie mamy takiej samej indywidualnej tożsamości jak biologiczni.

– Więc będziecie się czuć jak za dawnych czasów – rzucił Ram Odyn z pewną ironią.

Noxon zorientował się, że Ram Odyn jest zazdrosny. Przebywał ze zbędnym od siedmiu lat, aż tu pojawia się obcy i twierdzi, że lepiej zna jego towarzysza.

Ram Odyn zareagował, jakby usłyszał tę myśl:

– Nie jestem o ciebie zazdrosny! – Potem zabębnił palcami o konsolę przed sobą. – No dobrze, jestem człowiekiem. Nie mam wpływu na to, że ta głupia maszyna stała mi się bliska, i tak, przeżyłem irracjonalną chwilę rozdrażnienia, ale już mi przeszło.

Jego ton i mina wskazywały, że z całą pewnością nie przeszło.

– Możesz zostać z nami – powiedział Noxon.

– Siedem lat... to nie zwyczajna zabójcza nuda.

– Daję ci słowo, że bardzo ładnie się zestarzejesz – zapewnił go Noxon.

– Więc skoro nie wejdiesz w letarg i nie oddasz statku komputerom, może spróbujesz zrobić to, co twoja siostra? Skoczyć w przyszłość, tnąc czas?

– Zrobiłem to, gdy się tu dostałem i ukrywałem się przed statkiem. Ale teraz jestem tu otwarcie. Jeśli zabiorę cię z sobą, ryzykuję, że zabiorę też statek. Wtedy stracilibyśmy synchronizację z oryginalnym statkiem.

– Ale wiesz już, że ścieżki przenoszą się wraz ze statkiem, więc nie zabierzesz go z nami.

– Jeśli nie będę mógł tego zrobić, zostaniemy w tym wstecznym strumieniu czasu na zawsze.

– To inny rodzaj manipulacji czasem. W przyszłości – powiedział Ram Odyn. – Kiedy zbliżymy się do Ziemi, tak? Może wtedy ziemską grawitacja sprawi, że zdołasz zabrać statek z sobą.

Noxon ukrył twarz w dłoniach.

– Boję się nawet spróbować.

– Byłbyś wariatem, gdybyś się nie bał – oznajmił Ram Odyn.

– Byłby wariatem, gdyby spróbował – odezwał się zbędny – jeśli twoja teoria okaże się błędna.

– I tak nie ma innej drogi ucieczki – odparł Ram Odyn. – Jesteśmy odcięci od całego wszechświata, a ty martwisz się, że coś mogłoby się nie udać? – Odwrócił się do Noxona. – Spróbuj przez chwilę ciąć czas. Weź mnie za rękę – tak zabierzesz mnie z sobą, prawda? – i przenieś nas o sekundę w przyszłość.

– Nieważne, czy o sekundę czy o godzinę. Jeśli stracimy synchronizację z pierwotnym statkiem, zrobi się nieciekawie.

– Zrób to i już – rzucił Ram Odyn. – Cokolwiek uczynisz, to ci nie zaszkodzi, bo to ty jesteś przyczyną. Prawda?

– Mogą nas spotkać najstraszniejsze rzeczy – oznajmił Noxon. – Bycie sprawcą oznacza tylko, że nie możemy przypadkowo się unicestwić, zmieniając swoją przeszłość.

– Weź mnie za rękę – powiedział Ram Odyn. – Przenieś nas w czasie. Zobaczymy, czy to nas unicestwi.

Noxon ujął jego dłoń i po chwili wahania zaczął ciąć czas, przesuwał się w przyszłość o odcinek, który odczuwał jako sekundę. Ale ponieważ razem z Param ćwiczyli cięcie czasu w bardzo szybkim tempie, jego sekunda stała się godziną.

Nic nie wybuchło. Obaj byli cali i zdrowi, a zbędny stał dokładnie tam, gdzie go zostawili.

– No – odezwał się Noxon. – Teraz wiemy, że to możliwe.

– Nie róbcie tego więcej – powiedział zbędny.

– A co? Tęskniłeś? – prychnął Ram Odyn.

– Nie. Ledwie zniknęliście, myszy zaczęły atakować komputery pokładowe, usiłując przejąć nad nimi kontrolę. Są w tym bardzo dobre i bardzo szybkie. Nie zwracały uwagi na moje polecenia, więc ograniczyłem dopływ tlenu tak bardzo, że wszystkie straciły przytomność. Wówczas włożyłem je do pudełka, wznowiłem dopływ tlenu i wróciłem tutaj, żeby na was zaczekać.

Ram Odyn parsknął śmiechem. Najwyraźniej nie dostrzegął grozy sytuacji. Nie znał myszy.

Noxon podszedł do pudełka, usiadł obok niego i pochylił się, żeby usłyszeć cienie głosiki, na wypadek gdyby myszy poczuły chęć usprawiedliwienia się.

– No tak – odezwał się. – Pogwałciliście naszą umowę w chwili, gdy uznałyście, że ujdzie wam to na sucho. Wiecie, co to znaczy.

Rozległy się błagania wielu głosików jednocześnie, a potem rozległ się głos silniejszy od innych:

– Ty nie wyjawiasz nam swoich planów, my nie wyjawiamy ci swoich.

I drugi:

– Nie starałyśmy się was zaatakować, a mogłyśmy.

– Nie w dwudziestkę – odparł Noxon. – I wiecie, że tnę czas z większą precyzją niż Param, kiedy ją zabiłyście.

– A ja usunąłbym wszelki metal, który umieściłyby tam, gdzie się znajdowaliście – dodał zbędny. – Oczywiście wiedziały o tym.

– Zakładam, że mówisz do myszy – powiedział Ram Odyn.

– Ludzkie uszy nie słyszą ich rozmów – wyjaśnił Noxon.

– Ale twoja maska...

– Fakt, że Bochen słyszy myszy i potrafi je zlokalizować, był jedną z przyczyn, dla których ja też postanowiłem zdobyć maskę. Na tę podróż.

– Zabij je. Wiem, że to nie są zwyczajne myszy, ale to była zdrada.

– Nie jestem królem – odparł Noxon. – No, zasadniczo to jestem, w Aressa Sessamo, ale to niebezpieczny tytuł. Nie zamierzam ich zabijać. Mogą mi się przydać.

– Do czego? Nie możesz im zaufać.

– Mogę im powierzyć zadanie, które według nich będzie służyć ich interesom.

– Interesom Arkadii – odezwała się mysz.

– Interesom myszy z Arkadii – poprawił ją Noxon.

Nie było sprzeciwu.

– Ale teraz jestem pewien, że będę ciąc czas z tobą – zwrócił się Noxon do Rama Odyna. – Tylko zabierzemy myszy z sobą. Im mniej czasu będą miały na obmyślenie sposobów manipulacji statkiem, tym lepiej dla nas. – Potem spojrział na zbędnego. – Dziękuję za podjęcie szybkich działań.

– To było oczywiste – odpowiedział. – Pamiętaj, że mam pełny raport o wszystkim, co zrobiły myszy. W tym o próbie wysłania śmiertelnej zarazy na Ziemię i morderstwie Param. Obserwuję myszy od chwili, gdy się tu pojawiły. Rozpoznałem je natychmiast po zakończeniu transferu pamięci.

– Zatem dziękuję za podjęcie oczywistych działań.

Zbędnym skinął głową.

– Daj rękę – rzucił Noxon do Rama Odyna, biorąc pod pachę pudełko z myszami. – Nawiasem mówiąc – zwrócił się do zbędnego – skąd tu się wzięło puste pudełko?

– To statek kolonizatorski – odparł zbędny. – Mamy setki pojemników najróżniejszych rozmiarów.

– Myszy mogą przegryźć pudełko, prawda? – spytał Noxon.

– Połamałyby sobie ząbki.

– A zatem – rzucił Noxon do myszy – możecie próbować.

– Widywałem już ludzi, którzy mówią do swoich zwierząt – mruknął Ram Odyn – ale tobie pierwszemu odpowiadają.

– Nie tym razem. Chyba się nadąsały.

– Omal nie umarły. Chyba wiem, jak bardzo ograniczył im tlen nasz przyjaciel. Rozpaczliwie brakuje im powietrza.

– Tak jak wkrótce będzie go brakowało nam – odparł Noxon – jeśli nie sprowadzę tego statku do normalnego czasu.

– Głowa do góry – mruknął Ram Odyn. – Pewnie nie zdołasz go znaleźć, więc to kwestia akademicka. Ale zbliżmy się do Ziemi i przekonajmy się, co będzie.

Noxon spojrział na zbędnego.

– Będziemy się bardzo szybko poruszać. Na co mam patrzeć, żeby się zorientować, iż

zblizamy się do ziemskiej studni grawitacyjnej, ale jeszcze jesteśmy poza nią?

– Grawitacja działa zawsze – wyjaśnił zbędny. – Ziemia już wywiera słaby, ale zauważalny wpływ na ten statek. O jakie wartości ci chodzi?

– Nie wiem.

– Kiedy zblizamy się na odległość orbity Plutona – wtrącił Ram Odyn.

– Nie myślałem o zewnętrznych planetach – oznajmił Noxon. – A jeśli któraś z nich przechwyci nasz strumień czasu?

– Nie przybędziemy poprzez płaszczyznę ekliptyki. Zblizamy się do Ziemi od strony bieguna północnego. A raczej L5, punktu między studniami grawitacyjnymi Ziemi i Księżyca.

– Nie – powiedział Noxon. – Nie sądzę, żeby nam się udało, jeśli znajdziemy się w tym punkcie.

– Kiedy się zblizamy – powiedział Ram Odyn – Ziemia zacznie wywierać na nas o wiele silniejszy wpływ niż Księżyc aż do chwili, gdy przybędziemy w miejsce, w którym zbudowano ten statek.

Noxon wpadł na inny pomysł:

– Masz jakąś kontrolę nad tym statkiem?

Zbędny przechylił głowę.

– Pozostałe komputery i ja j e s t e ś m y statkiem.

– Nie, chodziło mi o to, czy... możesz sprawić, żeby statek udał się tam, gdzie sobie życzysz?

– Nie próbowałem zmieniać kursu.

– Jesteśmy zwrócenii w niewłaściwą stronę – wtrącił Ram Odyn. – Gdybyśmy mogli zamontować nasz kolektor Bussarda, znajdowałby się on za nami. Dlatego nie moglibyśmy gromadzić paliwa. Silniki chyba nadal pracują, ale nie rozumiem dlaczego.

– Z naszych obliczeń wynika, że gdy silniki statku zmierzającego do przodu zużywają pył tlenowy, napędza to ruch także statku lecącego wstecz.

– Zatem następuje przejście materii.

– Nie – oznajmił zbędny. – Materia pozostaje w normalnym strumieniu czasu.

– Zatem przechodzi energia.

– Nie. Energia i materia to to samo w silniku nuklearnym.

– Coś musi przechodzić – zniecierpliwiał się Ram Odyn.

– Jeśli możemy cokolwiek stwierdzić – a i tak nie możemy tego stwierdzić z całą pewnością, bo nie istnieje sposób zmierzenia tego – przechodzi jedynie pęd – oznajmił zbędny.

– Czy pęd to coś namacalnego?

– Nie, w każdym razie nie w tym sensie, w jakim używamy tego terminu. Nasza hipoteza stwierdza, że istnieje jakaś nieznaną siłą, która wiąże cząstki subatomowe

zarówno w strumieniu czasu zmierzającym w przód, jak i wstecz.

– Wiecie co? – rzucił Ram Odyn. – Właściwie nie obchodzi mnie, jak to działa. Wiem tylko, że kiedy – i jeśli – wyzwolimy się i skoczmy w normalny czas, będziemy mknąć w stronę Ziemi rufą do przodu. To kolejny argument, żeby się obrócić, zanim za bardzo zbliżymy się do Ziemi.

– Ale jeśli spróbujemy to zrobić za daleko, nie zdołamy sprowadzić z sobą statku – odparł Noxon.

– Dokładnie to robiliśmy – odezwała się jakaś mysz. – Chciałyśmy z wyprzedzeniem rozgryźć ten problem.

– Wierzę ci bezgranicznie – mruknął Noxon.

– Nieprawda – powiedziała mysz.

– Najwyraźniej to ty nie wierzysz mnie.

– Powiadomię was, stojąc dokładnie tutaj i unosząc w ten sposób rękę, gdy zbliżymy się do Ziemi – przerwał im zbędny. – Ale do tego jeszcze daleko. Może tydzień albo dwa. Czy tak będzie dobrze?

– Tak – powiedział Noxon. – Niech to będą trzy tygodnie. Chcę sprawdzić, kiedy zacznę wyczuwać ścieżki, które są związane z Ziemią, nie statkiem kosmicznym. A to znaczy, że muszę zacząć uważać na długo przed momentem, za którym nie będzie odwrotu.

– Czyli będziemy ciąć czas? – spytał Ram Odyn. – Nie mogę się doczekać mojej pierwszej podróży w czasie.

– Przed chwilą ją odbyłeś.

– Marną godzinę... Poza tym nic nie czułem.

– I nic nie poczujesz. Nic w statku się nie zmieni, chyba że zbędny się poruszy. Oczywiście będziemy w ruchu, ale jeśli mi się to uda, nie zrobimy ani kroku.

– Więc do dzieła – zdecydował Ram Odyn. – Nie mamy do stracenia nic oprócz siedmiu lat ogłupiającej nudy.

– Dobrze – powiedział Noxon, zrobił krok i zaczął ciąć czas.

Rozdział 15

BUDOWANIE DOMU

Świat Singha nie składał się wyłącznie z gór i dolin, miał też nadbrzeżną równinę i parę płaskowyżów. Ale ziemię pokrywał cień gór, a ci, którzy tu mieszkali, wyszarpywali plony ziemi, robiąc tamy na nielicznych strumieniach i mozolnie nawadniając pola. Za to w większości dolin deszcz padał często, a zasilone przez roztopy strumienie nigdy nie znikwały. Teren rzadko bywał płaski, więc pola musiały mieć postać tarasów. Zwinne kozy i owce żywiły się trawą, która rosła wszędzie tam, gdzie nie było śniegu, a jeśli trafiła się długa zima, zajmowano się produkcją przedmiotów na sprzedaż. Było to dobre życie dla ludzi, którzy nie bali się ciężkiej pracy. Każda społeczność nauczyła się samowystarczalności.

Murchia Singha była także rajem dla lingwistów, a raczej byłaby, gdyby przemierzał ją ktoś oprócz Singhexa, kto doceniłby bogactwo miejscowych języków oraz to, jak ich rodziny i grupy zdradzają głębokie tajemnice historii, jak splatają się między dolinami.

Różnorodności języków towarzyszyła różnorodność obyczajów, określających, w której wiosce należy szukać żony, a która jest zakazana. W jednych miejscach ściśle przestrzegano egzogamii, w innych małżonków z zewnątrz traktowano podejrzliwie, a ich potomstwo uważano za obcych.

– Uwielbiam ten świat – powiedział Ram Odyn. – Żałuję, że starając się przedłużyć swoje życie letargiem, nie miałem czasu odwiedzić go na dłużej niż kilka dni. Moim zdaniem takie właśnie życie mieli wieść ludzie: w społeczności, która każdego zna na wylot i wie wszystko o cudzych sprawach.

– Dla mnie to jest powód, żeby nie lubić tego świata – odparł Rigg.

– Ludzie nie rozumieją, że w wyniku ewolucji pragniemy towarzystwa innych – oznajmił Ram Odyn. – Nawet najbardziej nieśmiali introwertycy cierpią z powodu samotności.

– Masz na myśli siebie. Bo który człowiek z Arkadii był tak samotny jak ty?

– Ja czułem samotność częściej niż inni, to prawda. Ale to nie znaczy, że moje spostrzeżenie nie jest prawdziwe. Nieśmiali ludzie mogą uważać towarzystwo innych za niesmaczne lekarstwo, ale go potrzebują i cierpią na tysiące schorzeń, fizycznych i psychicznych, jeśli go nie mają.

- W takim razie to musi być najzdrowsze miejsce na tej planecie.
- Tak jest. Częściowo dlatego że nie ma tu anonimowości. Wszyscy znają wszystkich.
- Nie ma wędrownych kupców, aktorów, bardów? Nie ma wojen, po których jedna wioska musi się ugiąć przed drugą?
- Czasem pojawiają się tacy ludzie i następują takie zdarzenia. Konflikt leży przecież w naturze ludzkiej. Raz na kilka pokoleń któreś z miast z równiny, zmęczone walką o życie na terenie, gdzie jest tak mało wody, wpada na wspaniały pomysł podbicia górskich dolin.
- Ale to się nie udaje?
- O, udaje się bez trudu. W dolinach nie ma dość ludzi, by się bronić przeciwko nieustępliwemu atakowi. Ale położone dalej tereny przyjmują uchodźców, a ludzie z równiny nie potrafią uprawiać ziemi. Kiedy padnie „dość”? Która dolina będzie ostatnią w paśmie podbojów? Gdziekolwiek się zatrzymasz, mieszkańcy sąsiednich dolin nie będą z tobą handlować, a jeśli byłeś wyjątkowo okrutny, rozpoczną nieustępliwą walkę partyzancką. Gdy zdobywcy zostawią nieliczne wojska, zostaną one stopniowo wybite. Jeśli zaś zostawią wielkie, żołnierze zamarną lub umrą z głodu.
- Więc ich historia nieustannie się powtarza – zauważył Rigg.
- Każda historia powtarza się nieustannie. Technologia może się zmieniać, ale zachowanie ludzkie nie. Jesteśmy, kim jesteśmy. Jako indywidua uczymy się, dorastamy, stajemy się lepsi, mądrzejsi, silniejsi, zdrowsi, serdeczniejsi – lub wprost przeciwnie. Jako grupa jednak nieustannie powtarzamy te same zachowania. Niektóre się sprawdzają, inne nie. W dolinach murcii Singha większość wiosek i osad wytworzyła obyczaje, które zapewniają prawie całkowite szczęście prawie wszystkim osobom.
- Najpierw mówisz mi, że znajdę tu nieskończoną różnorodność, a teraz...
- Obyczaje krańcowo różnią się między sobą, ale to tylko pierwsze wrażenie. We wszystkich wioskach obowiązują te same zasady rządzące cywilizacją. I dlatego świat Singha zapewnia materiał do badań całego życia, ale jednocześnie można go niemal całkowicie zrozumieć po kilku dniach.
- Ale skoro nie ma tu wędrownych handlarzy ani bardów, to kim będziemy?
- Duchownymi. To jedna z ich rozrywek. Istnieje tu więcej religii niż języków. Zorganizowanych i nie, misjonarskich i osiadłych, do wyboru, do koloru.
- W każdej dolinie istnieje inna religia?
- Niektóre doliny są zdominowane przez jedną, inne zaś tak zróżnicowane, że nie ma w nich dość wyznawców jednej wiary, by opłacało się zbudować dla nich miejsce spotkań.
- A jaką konkretnie religię wyznajemy? – spytał Rigg. – Czy panuje tu monoteizm? Czy jacyś bogowie są faworyzowani?

– To właściwie nie ma znaczenia, bo wędrowni kapłani są zawsze traktowani z szacunkiem, choć nie wymaga się od nich, żeby cokolwiek robili. Niektórzy zachowują milczenie, zwrócenie wyłącznie ku sprawom ducha. Inni dołączają do wszystkich prac w wiosce, przy okazji opowiadając o swoich bogach. Możemy należeć do Kościoła Badaczy Ludzkich Poglądów i po prostu pytać.

– Będziemy najbardziej wkurzający ze wszystkich kapłanów.

– Twoja twarz sprawi, że uznają nas za wkurzających i niepokojących.

– Zdążyłem się już przekonać, że ludzie po jakimś czasie przyzwyczajają się do mnie. A ta cudna maska sprawi, że będę się wydawać jeszcze bardziej świątobliwy.

– Więc do dzieła – rzucił Ram Odyn. – W dolinach panuje spokój. Mieszkańcy nie mają zwyczaju zabijać obcych. Mogą nas najwyżej odprowadzić pod eskortą do przełęczy i zachęcić do odwiedzenia innej doliny.

– Zatem ludzka natura nie jest tutaj taka sama jak wszędzie.

– Zobaczysz. Nie muszą nas zabijać, ponieważ w ich oczach wygnanie jest gorsze od śmierci. Żyć, lecz nie mieć domu, wioski, swojego ludu... Wypędzenie uważają za los okrutniejszy od śmierci, choć i łagodniejszy.

– Muszą istnieć jakieś wyjątki – powiedział Rigg.

– Istnieją. Ale tych miejsc nie odwiedzimy.

– To dokładnie te miejsca, które chcę odwiedzić.

– Bo lubisz być przygnębiony i zły.

– Bo jeśli Mur runie, źródłem niebezpieczeństw z innych światów będą ludzie, którzy nie są szczęśliwi, mili i życzliwi wszystkiemu, co żyje.

– No cóż... W takim razie proszę bardzo, znajźmy jakąś wioskę pełną rozgoryczonych, podejrzliwych mieszkańców. Niech udowodnią, że wobec ludzi, którzy ich drażnią, mają inne metody niż wypędzenie.

W języku miejscowych wioska i dolina miały tę samą nazwę: „Dom dobrych ludzi”. Oczywiście wędrowcy wypowiedzieli ją, jakby znali ją od urodzenia: Woox-taka-exu. Samo wypowiedzenie tego słowa było pochwałą, wyrazem tęsknoty i uczucia nawet dla ludzi, którzy nigdy tu nie mieszkali.

Na wniosek Rigga dołączyli do trwających prac, które obecnie, gdy nastąpiły gwałtowne wichry, a śnieg prószył z siniego nieba często i w nieprzewidywalnych momentach, przeniosły się do domów. Prawdziwa zima jeszcze nie nastąpiła, bo w tych okolicach śniegi mogły zasypać cały dom aż po komin. Była to dopiero zapowiedź, ostrzeżenie. Spędźcie stada z gór, zgromadźcie w stodole siana pod sufit, zarzńcie zbędne gęsi, owce i kozy, mięso ususzczone, uwęźdźcie, zapeklujcie lub zróbcie z niego kiełbasy, zmielcie kości na nawóz.

Zbieranie drewna na opał potrafiło krócej, niż spodziewał się Rigg, ponieważ nigdy nie rozpalano tu zbyt wielkiego ognia. Gdy domy osłaniała pierzynka śniegu i nikt nie

wychodził na zewnątrz przez prawie całą zimę, ciepło ciała i mały, nieustannie płonący ogień zapewniały wystarczające ogrzewanie. Ale biada rodzinie, której zabrakło opału, ponieważ nikt nie miał go w nadmiarze. Na ogół, zamiast dzielić się drewnem, sąsiedzi przygarniali jedną czy dwie osoby z nieszczęsnej rodziny, a potem, gdy nadeszła wiosna, wypominali im to bez litości.

Rigg lubił pracować wśród ludzi. Odpowiadało mu to o wiele bardziej niż wydawanie wyroków – nie cieszyła go funkcja, która narzucała dystans. Uświadomił sobie, że Ram Odyn mógł mieć rację: nie musiał rozmawiać z ludźmi, ale chciał słuchać ich rozmów. Miejscowi widzieli, że usiłuje się uczyć i że nie oszczędza sił – z pewnością nie zaakceptowano go na tyle, żeby wydać za niego jedną z tutejszych dziewcząt, ale wystarczająco, by rozmawiać w jego obecności. Natomiast Ram Odyn przystał do starców, którzy gromadzili się w Grocie. Nie była to prawdziwa grotka, lecz duży budynek z nielicznymi ścianami działowymi. Służył jako ratusz, kościół, sąd i sala balowa, a także miejsce spotkań starców, którzy zbyt szybko marzli i zostawiali ostatnie przygotowania do zimy młodszym.

– Zamierzam umrzeć tej zimy – powiedział jeden z nich – więc co mnie obchodzi opał? I tak mi się nie przyda.

– Mówisz to co roku – burknął inny.

– Nie umarłem, bo nie uganiałem się za patykami.

Ram Odyn dorzucił parę ironicznych uwag i po chwili zaczął dyskutować z nimi na temat różnych koncepcji filozoficznych w sposób zrozumiały dla prostych ludzi.

Rigg i Ram wkrótce się przekonali, każdy na własną rękę, dlaczego ta wioska jest miejscem pełnym smutku i podejrzeń. Piętnaście lat temu zniknęła z niej dziewczyna – i to nie w zimie, lecz na wiosnę. Nikt nie widział jej odejścia. Po prostu pewnego dnia nie zjawiała się na kolację i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Wszyscy mieszkańcy wioski znali dzieci, które się w niej urodziły, i kochali je na tyle, na ile pozwalał ich charakter. Ale o tej dziewczynie – Onishtu – wszyscy mówili z uszanowaniem. Nie tylko była wyjątkowo piękna – „Jak słońce, które po raz pierwszy zaczyna topić zimowe śniegi” – ale też dobra i serdeczna. Wszyscy ją kochali, a jeśli któreś dzieci jej zazdrościły, zachowywały to dla siebie, bo nikt nie chciał słuchać złych rzeczy o Onishtu.

– Zabrali ją – powiedział ktoś. Teorii o tożsamości tych onych było tyle, ilu ludzi. Na ogół jednak twierdzono, że zrobili to mieszkańcy sąsiedniej wioski. – Zabrali ją, na pewno, zakneblowali, żeby nie mogła krzyczeć, i uwieźli.

Żeby zrobić z niej czyjąś żonę. Żeby zrobić z niej żonę wszystkich. Żeby ją okaleczyć. Żeby trzymać w piwnicy i głodzić, aż stanie się chuda i brzydka.

– Wtedy ją nam oddadzą, rozgoryczoną, podłą jędzę. Powiedzą: „Tacy byliście z niej dumni. Czy teraz wam się podoba?”

Wszyscy kiwali głowami, jakby się z tym zgadzali.

Rigg miał wrażenie, że mieszkańcy tej wioski nie opowiadali o Onishtu za często, ale ponieważ jej historia była dla nich tak istotna, iż nawet po piętnastu latach stanowiła otwartą ranę, przybycie obcego oznaczało, że należy ją zreferować jeszcze raz, ze wszystkimi szczegółami, ze wszystkich punktów widzenia.

Gdy Rigg i Ram Odyn znaleźli się sami w stodole, w której mieli spędzić noc, Ram Odyn zdusił w zarodku dyskusję, mówiąc:

- Tutaj nie jesteście znalazcą zagubionych rzeczy.
- Tylko ja mogę rozwiązać tę zagadkę.
- To nie zagadka, to tragedia.
- Tragedią jest to, że nie mogą rozwiązać tej zagadki.
- Tragedią jest to, że zaginęło ukochane dziecko. Ten fakt zaczął ich określać: są ludźmi budzącymi taką zazdrość, że inni ich skrzywdzili. To ich powód do dumy. Coś, co ich wyróżnia.
- Moim zdaniem woleliby odzyskać tę dziewczynę.
- Tak? Na pewno?
- Myślisz, że ktoś by zaprzeczył, gdybym o to spytał?
- Myślisz, że naprawdę chcą tego, o czym mówią?
- Dlaczego musisz się ze mną kłócić w tak oczywistej sprawie? Nie cieszysz się, że cofnąłem się w czasie i zapobiegłem twojej śmierci?
- Właśnie ze względu na to doświadczenie twoja miłosierna dusza triumfuje, niestety, nad rozumem, który doradza ci ostrożność.
- Będę ostrożny.
- Co to znaczy? Tak jak w murciii Rama, kiedy nieustannie manipulowałeś przeszłością, nie mając pojęcia o tym, jakie konsekwencje spowodujesz?
- Wszystko skończyło się dobrze.
- Na razie. Jeśli się nie mylimy.
- To oczywiste. Umbo, który ostrzegał nas przed przyszłym niebezpieczeństwem, zawsze znikał, kiedy szliśmy za jego radą i zmienialiśmy swoje postępowanie.
- Tak. Zapamiętam to sobie. Obiecuj mi jedno i chciałbym, żeby to była prawdziwa obietnica, nie taka na odczepnego.
- Co mam ci obiecać?
- Że nie cofniesz się w przeszłość i nie zmienisz sytuacji, zanim ze mną nie porozmawiasz. Nie. Zanim nie wysłuchasz, co mam do powiedzenia.
- Nigdy nie musiałem się z tobą konsultować w tych sprawach i całkiem dobrze sobie radziłem.
- Tak, to prawda. I podziwiam twoją powściągliwość. Ani razu nie użyłeś swojego talentu, by zapanować nad innymi lub by się zemścić. Przeważnie posługiwałeś się nim w szczytnych celach. Mimo to obiecuj.
- Dobrze. Obiecuję. To mi w niczym nie przeszkodzi. Zawsze mam czas przegadać

sprawę, zanim zacznę działać.

– Więc zrób to tak i przekonajmy się, czego się dowiesz. Sam jestem ciekawy – powiedział Ram Odyn.

Rigg zabrał się do rzeczy tuż po śniadaniu.

– Czy wypada mi poznać rodzinę Onishtu? – spytał.

– Już ją poznałeś – odpowiedziano mu.

– Ale... czy mieliby mi za złe, gdybym o nią spytał?

– Może tak, może nie.

– Jak mogę się dowiedzieć?

– Spytaj, a przekonasz się, co będzie.

Zatem kiedy wskazano mu ojca dziewczyny wśród mężczyzn przynoszących ule z pszczołami, Rigg zaczekał, aż upora się z tym zadaniem, i wziął go na bok.

– Nie chciałbym cię obrazić – powiedział – ale wierzę, że ludzie zostawiają za sobą coś w rodzaju aury, ślad ścieżki, którą szli przez świat. Twoja córka Onishtu wydaje się osobą, która zostawiła za sobą ścieżkę radości, i jeśli zobaczę, gdzie mieszkała, może spłynie na mnie nieco łaski jej obecności, choćby i po latach.

Religijne podejście załatwiło sprawę. Ojciec nie dałby się przekonać zwykłemu ciekawskiemu, ale chętnie pozwolił, by jego zaginiona od dawna córka obdarowała tego obcego młodzieńca, choć był paskudny. Dlatego po kolacji Rigg i Ram Odyn poszli na piętro domu rodziny Onishtu.

Wszystkie budynki w wiosce były piętrowe; gdy śnieg zasypywał parter, mieszkańcy nadal mogli wyjść na zewnątrz, by zająć się zwierzętami i innymi zadaniami.

– To był jej pokój – powiedział ojciec. – W tej chwili mieszkają w nim wnuki.

– Trzymaliśmy go dla niej przez kilka lat – dodała matka – ale nie mogliśmy sobie pozwolić na blokowanie pomieszczenia, skoro inni go potrzebowali – dodała surowo, jakby karciała siebie za to, że jest jej tego żal.

Rigg bez trudu znalazł ścieżkę dziewczyny – przez lata mieszkania w tym pokoju całkiem go wypełniła. Podążył za najczęstszymi trasami: do łóżka, do okna, do małej umywalki, do skrzyni z ubraniami. Maską pomogła mu zobaczyć, jak wyglądała dziewczyna. Wdzięczne dziecko o hebanowych, łagodnie falujących włosach i szerokim, ciepłym uśmiechu. Widział ją, gdy była sama i gdy miała towarzystwo. Widział, jak jej ścieżki splatają się z innymi i, nie opuszczając pokoju, prześledził ścieżki jej znajomych.

– Miała wielu przyjaciół – powiedział.

– Wszyscy ją kochali – przyznał ojciec.

– Nie udawaj, że czujesz to, o czym wszyscy ci już dawno powiedzieli – rzuciła matka ironicznie.

Rigg uśmiechnął się do niej.

– Nic od was nie chcę. Wasza córka była piękna. Widzę jej promienny uśmiech, który

rozświetla ten pokój. To wszystko. Po to przyszedłem. Już jej nie ma, ale nieco jej piękna zostało, a ja się nim raduję. Przykro mi, jeśli myślicie, że chciałem wykorzystać waszą miłość do niej. Nie miałem takiego zamiaru. – Odwrócił się do Rama Odyna. – Zrobiliśmy tym dobrym ludziom wystarczająco wiele kłopotu. Idźmy spać.

W drzwiach pokoju ojciec położył rękę na piersi Rigga.

– Uważam, że naprawdę masz ten dar i wiesz, gdzie jest moja córka.

– Naprawdę mam ten dar – przyznał Rigg – i nie wiem, gdzie jest twoja córka.

Ale w tej samej chwili, nawet się nie starając, czuł najświeższe ścieżki w pokoju. Wiedział, dokąd prowadzą.

– Zniknęła, kiedy kociły się owce, tak?

– Tak.

– Śnieg jeszcze nie znikł ze zbocza gór, więc stada znajdowały się blisko.

– Hałas i smród – wtrąciła matka. – To była jej ulubiona pora roku. Jak mogła odejść właśnie wtedy?

Rigg widział, jak dziewczyna idzie trasą, którą przebyła wiele razy wcześniej. Prowadziła ona między domami przez ruiny kilku zburzonych domów.

– Dlaczego tu jest tyle opuszczonych domów? – spytał.

– Nie opuszczonych – powiedział ojciec. – Niedokończonych. Nie zbudowano im piętra ani dachu.

– Podczas gdy ty pracowałeś, żeby zarobić na nasze utrzymanie – wtrącił Ram Odyn – ja rozmawiałem ze starcami. To miejscowy obyczaj. Mężczyzna buduje dom dla wybranej kobiety. Jeśli kobieta go przyjmie, razem stawiają drugie piętro i kładą dach, po czym biorą ślub. Ale jeśli odmówi, mężczyzna nie może zaproponować tego niedokończonego domu innej. To się nie godzi. Mury zostają jako pomnik fałszywych nadziei.

– Nie fałszywych – sprostował ojciec. – Nadzieje były prawdziwe, ale dziewczyna ma prawo odmówić.

– To hańba dla mężczyzny, prawda? – spytał Rigg.

– Twierdzą, że nie – powiedział Ram Odyn. – Twierdzą, że nikt nie wie, kto zbudował ten dom ani dla kogo.

Rigg lekko przechylił głowę.

– A może udają, że nie wiedzą.

Ojciec przytaknął markotnie.

– Zawsze wiemy, kto buduje. Ale nie zawsze dla kogo.

Rigg skinął głową.

– Czy ktoś zbudował dom dla Onishtu?

– Była za młoda – rzuciła szybko matka.

– Zburzyłbym ten dom własnymi rękami – dodał ojciec. – Dla dziewczyny w jej wieku nie powinno się tego robić.

– Mężczyzna zwykle nie zaczyna budować, dopóki nie zyska nadziei, że jest miły dziewczynie – wyjaśniła matka. – Ale co to wszystko ma wspólnego z naszą Onishtu?

– Myślę, że lubiła wędrować wśród tych niedokończonych budynków – odparł Rigg.
– Chyba marzyła o ślubie.

– Jak wszystkie dziewczęta. Czy znajdzie dobrego mężczyznę i będzie żyć w szczęściu, czy też w smutku lub gniewie?

– Mieliśmy kiedyś owcę, która zawsze kociła się we wnętrzu – powiedział ojciec. – W tym czasie trzeba pójść w miejsce wybrane przez owcę. Jeśli Onishtu zawędrowała między te domy, może jej szukała.

– Zapomniałam o tej starej zwariowanej owcy – rzuciła matka. – Onishtu lubiła ją najbardziej. I była najstarsza, potrafiła sama pomóc przy porodzie. Ale znaleźliśmy owcę, jeszcze brzemienną, a Onishtu znikła. – Po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

– Przepraszam, jeśli doprowadziłem cię do płaczu – powiedział Rigg. – Teraz żałuję, że was niepokoiłem.

– Nie zwracaj uwagi na łzy – odparł ojciec. – Przychodzą łatwo bez względu na upływ czasu. Gdy sam będziesz mieć dziecko – jeśli znajdzie się dziewczyna, której nie będzie przeszkadzać twoja twarz – zrozumiesz, o czym mówię. Kiedy stracisz dziecko, łzy zawsze będą czekać w kąciakach twoich oczu, gotowe się wylać. Ale wspomnianie jej sprawia radość i nie wstydzimy się płakać. Łzy nie potęgują naszego smutku.

– Płaczę na myśl o tym, jak lubiła tę owcę i jak opiekowała się jagniętami. Miała rękę do owiec, ale nie znosiła kóz!

I oboje wybuchnęli śmiechem pewnie na myśl o jakimś wydarzeniu z dzieciństwa Onishtu.

– Już późno – powiedział Ram Odyn. – Cieszymy się, że nie przysporzyliśmy wam bólu, ale czas dać wam zasnąć. Rigg ma jutro mnóstwo pracy, a ja – gadania.

– Twój chłopak pracuje równie ciężko, jak każdy mężczyzna – orzekł ojciec. – Nikt nie żałuje mu jedzenia. Wiele gałęzi, które zapewnią ciepło rodzinom, będzie miało na sobie ślady jego palców, jak powiadają.

Po tak uprzejmym pożegnaniu Rigg i Ram Odyn wrócili w milczeniu do stodoły. Kiedy upewnili się, że w środku oprócz nich nie ma nikogo i że nikt nie znajduje się na tyle blisko zabudowań, żeby ich podsłuchać, Ram Odyn spytał:

– No? Więc co się z nią stało?

– Szedł za nią jakiś mężczyzna. Utrzymywał dystans. Sprawdziłem wszystkie ich ścieżki – zawsze był blisko, ale nigdy obok niej. Nie sądzę, żeby zamienili z sobą choć słowo... zanim się stało.

– Niech zgadnę. Robił to z takim wycuciem, że nikt nie oskarżył go o tropienie jej jak ofiary.

– Wszyscy ją obserwowali, ale nie, nie mam wrażenia, by ktokolwiek zwrócił na

niego uwagę. Nikt nie wie, że to gwałciciel i morderca. Zrobił to tylko raz.

Ram Odyn zakrył twarz.

– Nie spodziewałem się, że tak to tobą wstrząśnie – powiedział Rigg.

– Zakrywam oczy, bo nie chcę widzieć przyszłości. Nie muszę być chronomantą, żeby się domyślić, co zamierzasz zrobić.

– Na razie nic nie zamierzam, więc nie możesz wiedzieć.

– Mimo to wiem, choć ty jeszcze nie.

– Ach, tak? W takim razie co planuję?

– Możesz postąpić według dwóch scenariuszy. Pierwszy: znajdujesz jej ciało, gdziekolwiek jest zakopane – bo zakładam, że jest, a ty wiesz gdzie.

– Tak i tak.

– Znajdziesz je, powiedzmy, jutro, a wtedy rodzina pozna rozwiązanie zagadki: dziewczyna nie żyje, umarła tutaj, w wiosce, nie w jakimś obcym mieście. Ale tobie ten plan się nie podoba, bo pozostawia więcej pytań niż odpowiedzi.

– Ponadto jeśli ja znajdę ciało, ludzie pomyślą, że je podłożyłem.

– Pewnie tak – zgodził się Ram Odyn. – Choć w tamtym czasie miałeś nie więcej niż pięć lat.

– Maską nie pozwala odgadnąć mojego wieku. Zbyt trudno byłoby mi wyjaśnić, jak znalazłem zmarłą.

– Wolałbym jednak, żebyś tak postąpił, bo znam drugi scenariusz.

– Myślisz, że cofnę się w czasie i zapobiegnę zbrodni. I masz przeciwko temu mocny argument, tak?

– Ocalenie życia dziewczynie, uchronienie jej przed gwałtem i morderstwem... zawsze jestem za. Nawet gdyby nie była taką wyjątkową piękną. Nawiasem mówiąc... naprawdę jest? Czy to tylko wspomnienia, które wszystko idealizują?

– Jest piękniejsza, niż sobie wyobrażałem. Wyjątkowa. Niezapomniana.

– Teraz ze mnie żartujesz.

– Nie. Ten człowiek zbudował dla niej dom. Odmówiła bardzo łagodnie i ciepło. Może wziął jej zachowanie za nieśmiałość, bo chciał ją pocałować, a ona była za młoda i słaba, żeby się obronić. Kiedy ją zgwałcił, płakała. Ludzie nie mogli się dowiedzieć, co zrobił. Ale nie cofnąłem się w czasie, żeby ich posłuchać. Opowiadam, co widziałem. Próbowałem ją pocieszyć. Może przepraszał. Odwróciła się jednak od niego i nawet usiłowała uciec z tego niedokończonego domu, który dla niej zbudował. Chciałbym powiedzieć, że zabił ją przypadkiem, w gorączce chwili, ale nie. Zawłócił ją z powrotem do domu i rzucił na podłogę. Usiadła na niej, znowu płacząc. Podjęcie decyzji zajęło mu jakiś czas, kilka minut, ale potem podniósł ją i udusił. Brutalnie. Trzymał ją, a ona miotała się, młóciła rękami i wierzgała, lecz miała za krótkie ręce, żeby dosięgnąć jego oczu, a kopanie nic nie dawało. Gdy przestała się szamotać, pocałował ją. Potem wyjął kamienie ze ściany pod oknem, schował jej ciało i włożył

kamienie na miejsce. Za kamieniami była już gotowa jama. Nie musiał kopać. Chyba postanowił wcześniej zabić dziewczynę, jeśli mu odmówi. Uznał, że jeśli on nie może jej mieć, to nikt nie będzie.

– Smutna historia.

– Ten człowiek zbudował kolejny dom wiele lat później i ma teraz pięcioro dzieci.

– Czy to ktoś, kogo znamy? Mam nadzieję, że nie nasz gospodarz.

– Rozmawiałeś z nim w Grocie. Nigdy nie odezwał się do mnie ani słowem, ale ma przyjaciół, normalne życie. Była jego jedyną obsesją i nigdy więcej nie zrobił nic podobnego.

– Tyle na temat braku anonimowości w tych wioskach.

– To budowanie domów... Skoro wszyscy udają, że nie wiedzą, kto zaczął budować, to znaczy, że nie spoglądają na wznoszące się mury. Parter jest zawsze do połowy pod ziemią, więc kiedy ktoś wykopie jamę, znika ludziom z oczu. Ale wiadomo, kto zbiera kamienie ze starych domów i na nowo ich używa. Gdybym powiedział: „To był człowiek, który zbudował dla niej dom”, na pewno wkrótce domyśliliby się, kto to.

– Tylko nie potrafiliby zgadnąć, skąd to wiesz – dodał Ram Odyn.

– Właśnie. Ale jeśli cofnę się w czasie, zdołam temu zapobiec.

– Czyżby? Jak?

Rigg wiedział, że Ram Odyn z niego kpi.

– Na wiele sposobów. Mogę odwrócić jej uwagę i nie pozwolić jej pójść za tamtą owcą.

– To zaczeka na inny dzień. Chcesz przez całe życie ją obserwować?

– Może z nim porozmawiam. Jest ode mnie większy, ale z maską mogę stawać przeciwko każdemu.

– Przeciwko każdemu? Jak skończyłaby się taka bójka?

– Nie mam żadnych oporów przed zabiciem mordercy.

– Wtedy jeszcze nie będzie mordercą.

– Nawet jeśli jeszcze tego nie zrobił, zbudował dom ze skrytką na trupa w ścianie.

– Dziwi mnie, że nikogo nie zwabił smród rozkładu.

Rigg pokręcił głową.

– Kiedy szukano Onishtu, zwłoki jeszcze nie zaczęły się rozkładać. A ludzie unikają niedokończonych domów. Myślę, że ten człowiek zabrał ją do niego, gdy ściany nie sięgały jeszcze pierwszego piętra, i powiedział: „Buduję go dla ciebie, powiedz, że za mnie wyjdiesz”. A kiedy znikła, mógł go budować jeszcze miesiącami, żeby ludzie pomyśleli, że ciągle nie poprosił dziewczyny o rękę i że ta dziewczyna jest pełnoletnia. Jeśli był cwany, poczekał, aż jakaś dziewczyna przyjęła dom innego, i wtedy przestał budować. Nikt by się nie domyślił, że wznosił ten dom dla Onishtu.

– Tak naprawdę mówisz mi, że chcesz zabić tego człowieka. Uważasz, że zasługuje na śmierć. Ja się z tobą zgadzam. Dziś, po tylu latach, zasługuje na taką karę, jaką

przewidują tu za gwałt i morderstwo z premedytacją. Ale kiedy się cofniesz, on jeszcze nie popełni zbrodni.

– Nie, wtedy dopiero będzie ją planował.

– Albo nawet będzie wierzył, że tego naprawdę nie zrobi. Nawet jeśli drążył jamę na jej ciało.

– Nieważne. Wiem, że to zrobi.

– Wiesz teraz, że to zrobił. Ale kiedy znajdziesz się tam, czy zobaczysz jego ścieżkę prowadzącą w przyszłość?

– Oczywiście, że nie.

– Nie możesz zabijać ludzi, bo wiesz, że w przyszłości zrobią coś strasznego.

– Wyjaśnij mi dlaczego.

– Bo dopóki nie popełnił tego morderstwa, nie zasługuje na śmierć.

Rigg pokręcił głową.

– Ale ja w i e m.

– A wymiar sprawiedliwości nie. Spójrz na to w inny sposób. W twoim przypadku, gdy zrobisz coś głupiego i złego, Umbo się pojawi i ostrzeże cię przed tym. Dlatego nieustannie odwracasz swoje czyny i próbujesz czegoś innego. Więc... zrobiłeś te złe rzeczy czy nie?

– Zrobiłem jako moja dawna wersja, ale nie jako ja.

– Czy powinieneś zostać ukarany za swoje złe uczynki? Ile razy Umbo i Bochen usiłowali się włamać do tego banku, żeby odzyskać brakujący klejnot? Czy są złodziejami?

Rigg pokręcił głową.

– Dlaczego nie? Powiedz to głośno, Riggu Sessamekeshu.

– Bo tego nie zrobili. Rzeczywistość, w której im się to udało, przestała istnieć.

– A rzeczywistość, w której ten człowiek zabił Onishtu, także nie istnieje – w czasie, w którym zamierzasz go zabić.

– To nie to samo.

Rigg rozumiał, do czego zmierza Ram Odyn, ale nie mógł zapomnieć o morderstwie. I o tym, że życie Onishtu było cenniejsze niż sprawiedliwe potraktowanie jej zabójcy.

– Świetnie – powiedział Ram Odyn. – Widzę, że nie jesteś przekonany, ale to nieważne, bo to nie jest mój ostateczny argument.

– Masz inny? – Rigg omal się nie roześmiał. – Silniejszy?

– Tak. Czy jeśli ją ocalisz, będzie nieśmiertelna?

– Nie, skąd. Umrze. Ale nie zostanie zgwałcona.

– Czy zamierzasz cofnąć wszystkie gwałty i morderstwa, do jakich doszło w historii świata Singha?

– Jeśli to jest ten twój argument...

– To podstawa. Posłuchaj, nie wiesz, czy ratując ją przed tą niewątpliwie straszną

śmiercią, przedłużysz jej życie o tydzień, czy o dziewięćdziesiąt lat. Nie wiesz, czy życie, które jej podarujesz, będzie szczęśliwe, czy nie.

– I nic mnie to nie obchodzi. Dziewczyna ma prawo ułożyć je po swojemu.

– Bo życie, które wybrała, określa jej tożsamość, tak? To ona zdecyduje, czy przyjmie wydarzenia swojego życia radośnie, czy ze smutkiem, tak?

– Takie jest życie.

– Takie jest życie, dopóki nie pojawi się ktoś, kto manipuluje czasem.

– A, daj spokój. Nie będę jej do niczego zmuszać.

– Zamierzasz zabić tego mordercę, zanim kogokolwiek zgwałci czy zamorduje. Więc co się stanie z jego żoną i dziećmi?

– Wyjdzie za kogoś innego.

– Czyli te dzieci się nie urodzą.

Rigg nie znalazł żadnej odpowiedzi, która wydałaby mu się słuszna. Ale i tak wybrał jedną:

– Nieistnienie to nie to samo, co zamordowanie kogoś.

– Ale odbierzesz im te wybory. Te dzieci nie zaistnieją, więc nigdy niczego nie przeżyją, nikim się nie staną. Onishtu przynajmniej miała te lata, przez które wszyscy ją kochali, zapisała się w ich pamięci, określiła sposób, w jaki cała dolina patrzy na świat zewnętrzny. Teraz jej mieszkańcy nie staną się tym, kim się stali.

– Podejrzliwymi, zapiękłymi w niechęci i smutnymi ludźmi.

– Czy wszczęli z tego powodu wojnę? Czy zemścili się na sąsiedniej wiosce? Zabili po jednej dziewczynie z innych dolin, żeby wyrównać rachunki?

– Cierpią.

– Tęsknie wspominają wyjątkowe dziecko, które wszyscy kochali i którego zniknięcie złamało im serca. Ale obrócili tę stratę w coś uszlachetniającego i pięknego, nawet jeśli tobie wydaje się to niczym. Wszyscy dzielą ten ból. To on ich jednoczy.

– W tym człowieka, który popełnił zbrodnię.

– Może przeżywa męki, a może go to nie obchodzi. Czy to ma jakieś znaczenie dla innych ludzi? Ta dziewczyna zmieniła ich wszystkich, podobnie jak jej śmierć. Ludzie widzą świat inaczej, ponieważ zniknęła. Nie wiem, jak to zmieniło ich zachowanie, decyzje. Ty też nie. Ale może zawarto małżeństwa, do których nigdy by nie doszło, wykonano pracę w inny sposób albo wcale jej nie wykonano ze względu na cień życia Onishtu i jej zniknięcie. Nie wiesz, jak inne mogły być egzystencja i decyzje tych ludzi, ale arogancko zakładasz, że ponieważ dziewczyna poniosła okropną śmierć, masz prawo odebrać im życie, jakie wiedli w tej dolinie od dnia, w którym Onishtu została zakopana pod tym oknem.

Rigg siedział nieruchomo, w milczeniu. Myślał. Myślał.

– Właśnie tak postąpili Odynerzy. Wysłali wiadomości, które wymazały miliardy ludzkich istnień.

– Ich istnień. Ich własnych istnień. I postanowili przesłać w przeszłość Księgę Przyszłości, by uratować świat. Świadoma ofiara. Kto otrzyma prawo wyboru, jeśli ocalisz tę dziewczynę przed mordercą?

– Ona.

– I nikt inny. Dasz jej kilka lat życia, a unicestwisz życie tych wszystkich ludzi, włącznie z dziećmi mordercy i jego żoną. Czy te dzieci zasługują na śmierć z powodu zbrodni, jaką ich ojciec popełnił, zanim się urodziły?

– Nie to chciałem...

– Dokładnie to chcesz zrobić. Możesz okłamywać siebie, ale nie mnie. Bo pamiętaj, uważasz mnie za mordercę, choć cię nie zabiłem. Za to ty zabiłeś mnie. Noxon nie, bo wróciłeś i przeszkodziłeś mu w tym. Dlatego powiedz mi, Rigg: czy ty i Noxon jesteście zabójcami? Nie powiem „mordercami”, bo twierdzisz, że działałeś w samoobronie... i wierzę ci. Wiem, że o tym myślałem. Postanowiłem to zrobić, ale ten człowiek, który z tobą w tej chwili rozmawia, ta moja wersja nie podjęła ostatecznej decyzji, by odebrać ci życie. Mimo to z rozmysłem cofnąłeś się w czasie i zabiłeś mnie, zanim zdążyłem zabić ciebie. A potem tego pożałowałeś.

– Zabiłem cię, bo wierzyłem, że to ty doprowadziłeś do zniszczenia Arkadii. Nie tylko dlatego że usiłowałeś mnie zamordować. Mógłbym bez przerwy cię unikać, żeby ocalić życie. Zabiłem cię, żeby ratować świat.

– Ale okazało się, że się pomyliłeś. Że to nie ja doprowadziłem do zagłady Arkadii i całego istniejącego na niej życia, które pielęgnowałem od jedenastu tysięcy lat! Co za wstrząs! Kto by pomyślał!

– Cofnąłem to zabójstwo – powiedział Rigg, uspokajając się. Jeszcze tego brakowało, żeby ich wrzaski rozeszły się w zimnym nocnym powietrzu i ściągnęły do stodoły ciekawskich. – Myliłem się i cofnąłem to, co zrobiłem, i najwyraźniej nie jesteś martwy, mój panie.

– A ten morderca... Zastanawiam się, czy po jakimś czasie nie zaczął żałować swojego czynu. Zastanawiam się, czy nie postanowiłby cofnąć się w czasie i powstrzymać samego siebie przed zabiciem dziewczyny, nawet ryzykując, że na świecie pojawi się jego kopia.

– Nie może tego zrobić. Nikt nie może. Tylko ja, Noxon i Umbo. I myszy na swój sposób. Wszyscy inni są skazani na konsekwencje swoich decyzji. Wiem.

– Sądziś więc, że ponieważ potrafisz odczytać straszny błąd – jak zabicie niewinnego człowieka, mnie, bo to nie ja zniszczyłem ten świat – ponieważ potrafisz to cofnąć, nie jesteś mordercą. Jesteś ekszabójcą, byłym zabójcą, ale cofnąłeś to zabójstwo, więc...

– Rozumiem, o co ci chodzi. O dwie rzeczy. Po pierwsze, że nie mam prawa unicestwiać tego wszystkiego, co zrobili mieszkańcy wioski w reakcji na śmierć Onishtu. Po drugie, że nie mam prawa go zabijać, zanim zabił. Myślisz, że ludzie mają

prawo być niegodziwi, zanim zostaną ukarani za swoją niegodziwość. Zgodnie z tym rozumowaniem, czy powinniśmy pozwolić Niszczycielom unicestwić życie na Arkadii, zanim podejmiemy kroki, by ich powstrzymać?

– Jeśli nie dostrzegasz różnicy...

– Dostrzegam tony różnic. Widzę różnice między wszystkimi twoimi przykładami.

– Zastanów się. Kiedy Umbo i Param przeszkodzili tym zarażonym myszom w wejściu na statek Gości, uznali, że uratowanie ludzkiego życia na Arkadii nie jest warte zagłady ludzkości na Ziemi. Istnieje granica, której nie zamierzali przekroczyć, ratując nasz świat.

– Noxon zamierza zabrać myszy z sobą.

– Ale nie zarażone. Mówię ci: tak, możesz zapobiec zniszczeniu Arkadii, i tak, w trakcie tego procesu możesz musieć kogoś zabić lub doprowadzić do nieistnienia, by nie dopuścić do śmierci świata. Ale postarasz się dokonywać jak najmniejszych zmian. Nie unicestwisz niewinnych dzieci, by ratować jedną dziewczynkę

Rigg nie odpowiedział. Siedział właściwie bezmyślnie, bo zrozumiał, że jednak nie zapobiegnie śmierci Onishtu, a jednocześnie miał do siebie pretensje, że uległ Ramowi Odynowi. Wstydział się tego tak, jakby stał w drzwiach i przyglądał się morderstwu, nic nie robiąc, by mu zapobiec. Bo właściwie tak przedstawiała się sytuacja. Mógł nie dopuścić do gwałtu i morderstwa i nie zrobił tego, a to bolało.

– Zrozum – powiedział Ram Odyn. – Chcę tylko, żebyś podążył drogą, którą od początku wybraliście razem z Umbem. Minimalne zmiany. Wszystko, co zrobiłeś, dotyczyło głównie ciebie i tylko twoje życie miało się zmienić w wyniku twojego postępowania. No i byłeś uwięziony w świecie Rama, więc twoje czyny nie mogły zmienić innych murciii. Noxon i Param oddalili się, by praktykować chronomancję, więc nie wrócą w czasy, kiedy mogłoby to zmienić życie mieszkańców świata Lara. A w świecie Yina nie przeszkodziłeś parze kochanków i nie wyjawiałeś ich sekretu. Wręcz zataiłeś ich zdradę, żeby nie wynikło z tego coś gorszego.

– Zdrada to nie gwałt i morderstwo dziecka.

– Wiem. Mówię o zasadzie minimalnych zmian.

– Skoro mogę dokonać zmiany i nie czynię tego, staję się współwinny zbrodni.

– Nie! – rzucił Ram Odyn ostro. – Masz prawie boską moc zmuszania innych, by nie czynili zła, lecz niekorzystanie z niej nie czyni cię złym człowiekiem. Oznacza, że szanujesz cudzą wolność na tyle, by pozwalać innym na wybór między dobrem a złem. Pozwalać im, by dowiedli, kim są, dokonując czynów z własnej woli. Gdybyś nie miał tej prawie boskiej mocy, gdybyś żył w tej wiosce i uświadomił sobie, co zamierza zrobić morderca, gdybyś poszedł za nim, zobaczył, co robi, i postanowił się nie wtrącać – wówczas byłbyś współwinny. Ale masz tę prawie boską moc nakłaniania ludzi do stawania się lepszymi – czy przynajmniej mniej okropnymi – niż chcą być. Ile osób możesz powstrzymać przed zostaniem potworem? Chcecie, dzieci, powstrzymać

zagładę świata, ale nawet tu istnieją granice tego, co możecie zrobić. Istnieją! Można wam powierzyć te umiejętności tylko dzięki istnieniu granic.

– Więc powstrzymujesz mnie przed działaniem. Dobrze, ale...

– Nie powstrzymuję cię, ty głupi chłopcze. Chcę ci to wyperswadować. Ale doskonale wiem, że w każdej chwili możesz się cofnąć w czasie, przeszkodzić mordercy i wrócić tu, by podjąć rozmowę w miejscu, w którym ją przerwałeś.

– Tego akurat nie mogę. Musiałbym ciąć czas wstecz.

– Cofnąłbyś się do przeszłości. Gdybyś tego chciał. Mógłbyś mnie też zostawić w dowolnej chwili. Ale tego nie robisz.

– Może powinienem.

– Ale nie zrobiłeś tego i chyba nie zrobisz. Siedziałeś i słuchałeś moich argumentów wyłącznie z jednego powodu.

– Wiem.

– Powiedz, jaki to powód.

– Nie jesteś moim ojcem. Nie masz prawa mnie przepytować.

– Słuchałeś mnie, bo wiesz, że mam rację. Nie, więcej... Wiedziałeś, że mam rację, i pozwoliłeś mi się odwieść od tego pomysłu, bo już zwątpiłeś w sens ratowania tej dziewczyny. A ja musiałem ci pomóc postąpić jak trzeba.

– Tak. Masz całkowitą rację. A teraz idę spać.

Rigg położył się na sianie, zwinąwszy płaszcz pod głowę, żeby żdźbła nie wchodziły mu do nosa podczas snu. Ale nie mógł zasnąć, dopóki nie zmęczył się płaczem nad tą piękną zamordowaną dziewczyną, której ścieżkę widział nawet z zamkniętymi oczami, której twarz miał zawsze przed sobą, bo nie potrafił się powstrzymać przed wyczuwaniem jej ścieżki.

Rankiem Rigg poszedł pracować z innymi mężczyznami – dziś robili kiełbasy, bo zaczął padać śnieg, który mógł przejść w prawdziwą śnieżną burzę, a nikt nie chciał dać się zaskoczyć w lesie, gdy świat staje się niewidzialny i biały.

– Wczoraj miałem sen – powiedział. – Wyobrażałem sobie ścieżkę, jaką ta biedna dziewczyna zostawiła po sobie. Śniło mi się, że widziałem ją martwą.

Któryś mężczyzna stęknął. Nikt się nie odezwał.

– Wiem, że jestem tu obcy i nie mam nic wspólnego z tą dziewczyną. Nie mam nawet prawa wymawiać jej imienia, jeśli mi na to nie pozwolicie.

– Onishtu – powiedział jeden z mężczyzn. – Możesz je wymawiać.

– Ale sny to sny. Nic nie znaczą oprócz tego, że takie myśli chodziły mi po głowie. Naprawdę wierzę, że ludzie zostawiają po sobie ścieżki, i wierzę, że te ścieżki czasem wchodzą do mojej głowy. I nawet teraz nie wspomniałbym o tym, gdyby nie to, że dziś zobaczyłem ten dom, który mi się przyśnił jako miejsce jej pochówku, a skoro on istnieje naprawdę...

Wszyscy porzucili pracę.

– Dom? – spytał jeden z mężczyzn.

– Jeden z tych pustych. W moim śnie został zbudowany dla niej.

– Była za młoda. Nikt by nie zbudował jej domu.

– Wiem, jej ojciec wczoraj tak powiedział. Na pewno dlatego o tym myślałem. Zapomnijcie, co mówiłem. Po prostu... ten sen był taki realny.

Mężczyźni wrócili do pracy, ale cisza wciąż trwała. Rigg mełł mięso i tłuszcz, z których mieli zrobić kiełbasy – najbrudniejsza, najcięższa praca, choć jemu to nie przeszkadzało. Tak jak się spodziewał, wkrótce padło pytanie:

– Który dom?

Nie porzucili pracy. Wypełniali swoje zadania, aż przyszła pora południowego posiłku. A ponieważ i tak jedli razem, nie musieli zmieniać zakrwawionych ubrań, tylko umyć ręce, którymi wkładali jedzenie do ust, dlatego poszli na podwórko jednego z nich. A kiedy się umyli, ich gospodarz powiedział:

– Jedzenie jeszcze niegotowe. Może pokażesz nam dom, który ci się przyśnił?

– Nie, nie – rzucił Rigg, ale oni nie dali się zbyć.

Po drodze minęli Groteę; starcy, którzy zachowali dość sił, dołączyli do nich, podobnie jak kilka zaciekawionych kobiet, więc grupka liczyła około dwudziestu osób. Rigg doprowadził ją w miejsce, z którego rozciągał się widok na dom będący grobowcem Onishtu. Dzieliło ich od niego jeszcze dobre sto metrów, ale mógł go wskazać bez żadnych wątpliwości, o który budynek chodzi.

– Zajrzyjmy tam – powiedziała kobieta, która po drodze dowiedziała się, co robią.

– Nie ja – rzucił Rigg.

– Powiedziałaś, że widziałaś we śnie, jak ją tam pochowano – odezwał się jeden z mężczyzn. – Gdzie?

– Za ścianą z oknem. Oknem wychodzącym na zachód.

– Za kamieniami? Nie w podłodze?

– Tak. Ale czy to w ogóle możliwe?

– Zobaczymy – oznajmił mężczyzna i ruszyli.

Wśród starców, którzy wyszli z Groty, znajdował się Ram Odyn. On także nie wszedł do domu.

– Zatem postanowiłeś opowiedzieć im swój... sen – odezwał się cicho.

– Nie wymieniłem żadnych nazwisk. Albo zgadną, czyj to dom, albo nie. Albo go oskarżą, albo nie. Albo się załamię i wyzna, co zrobił, albo nie. Ale jej rodzice odzyskają jej zwłoki i będą wiedzieć, że dziewczyna ich nie porzuciła. Nikt też jej nie porwał.

– Mała to pociecha, skoro dowiedzą się, że umarła.

– Po tylu latach da im to wcale niemałą pociechę. Ale nie powiem im, jak umarła ani co ją wcześniej spotkało. Dokonuję minimalnych zmian i zostawiam im miejsce na

decyzje.

Mieszkańcy wioski nie działali pochopnie. Mimo wielu lat życia podejrzeniami nigdy nie podjęli żadnych działań przeciwko sąsiadom, których podejrzewali o porwanie Onishtu. Dali rodzicom dziewczyny czas na rozpacz nad jej ciałem, a potem pochowali je w prawdziwym grobie wśród przodków. Dopiero potem zaczęto dochodzić, kto wznosił ten dom. Zaledwie parę minut zajęło im przejście przez etap „nikt nie wie, kto buduje dom” i już po chwili głośno wymieniono nazwisko mordercy. Ten powiedział tylko jedno:

– To straszne, że zabójca zakopał ją w domu, który budowałem.

A oni na jakiś czas przyjęli to bez sprzeciwu. Ale w końcu padło pytanie:

– Dla kogo budowałeś ten dom?

Mężczyzna odmówił odpowiedzi.

– Nie muszę tego mówić. Nie powinienem. Wybrała innego.

Wówczas zaczęto wymieniać kobiety, które w tamtym roku przyjęły domy. Wszyscy – bo do tego czasu zebrało się już całe miasto – zgodzili się, że ów mężczyzna nie okazywał specjalnego zainteresowania żadną z tych kobiet.

– Nie ofiarowałeś go? – spytał ktoś.

– Już przyjęła innego – powiedział morderca.

– Kogo? Bo jeśli to jedna z tych kobiet, to nic nie wiedziała.

– Jestem nieśmiały – odparł morderca. – Bałem się przemówić, a potem było za późno.

– Nigdy nie spojrzawsz na żadną kobietę w Woon-taka-exu – zauważył ktoś. – Była obca?

– Kiedy miałbym okazję spotkać obcą dziewczynę?

– Co to za kobieta?

Mężczyzna wymienił jedną z tych, które owego roku przyjęły oświadczyńny.

– Nigdy na mnie nie spojrzawsz, nigdy ze mną nie rozmawiałeś – powiedziała.

– Bałem się, że ci się nie spodoba.

– Więc po co zbudowałeś dla mnie dom? Kto buduje dom dla kobiety, której wzajemności nie jest pewien?

– Miałem nadzieję, że dom ci się spodoba.

Wszyscy spojrzeli na niedokończone mury.

– Jest ładny – przyznała kobieta – ale jaka pusta głowa wyszłaby za mężczyznę tylko dlatego, że zbudował solidny dom?

– Miałem nadzieję, że ty – odparł morderca. – Teraz wracam z rodziną do siebie.

Wyciągnął rękę do żony, która była obecna przy rozpoczęciu rozmowy. Teraz znikła. Dzieci również.

– Pewnie poszła nakryć do stołu – powiedział. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że stracił spokój. Wyglądał na zdenerwowanego, jakby ledwie nad sobą panował.

Dlatego wybuchnął, aby te emocje uzasadniły jego napięcie: – Dlaczego mnie o to pytacie? Oskarżacie mnie?

– Nie miała na sobie ubrania. Była nim owinięta – odezwała się jedna z kobiet. – Ktoś je z niej zerwał, a potem otulił nim jej martwe ciało.

– Nie ja – rzucił morderca.

Nikt na niego nie spojrzał.

– Nie ja!

– Dlaczego żona nie stoi u twojego boku? – spytała kobieta. – Ja stałabym przy moim mężu, gdyby ktoś powiedział albo chociaż pomyślał o nim takie rzeczy. Bo wiem, że on nie jest do tego zdolny.

– Moja żona też wie, że nie jestem do tego zdolny – odparł morderca. – Myślisz, że wyszłaby za mnie i została ze mną przez te wszystkie lata?

W tej chwili wrócili mężczyźni z jego żoną, która nie odeszła daleko.

– Znaleźliśmy ją za rogiem – wyjaśnił jeden z nich. – Płakała.

– Ty o czymś wiesz – rzuciła kobieta. – Powiedz nam.

– Ona wie, że jestem niewinny! – rzucił morderca.

Jego żona przemówiła niechętnie:

– Od dawna mi się podobał. Kiedy budował pierwszy dom, miałam nadzieję, że przeznaczył go dla mnie. Ale nie. Wiedziałam to, bo nigdy na mnie nie patrzył. Nigdy nie patrzył na żadną dziewczynę z wyjątkiem jednej. Zbyt młodej na dom.

– Jeśli mnie oskarżasz, jak mogę być nadal twoim mężem? – spytał morderca.

– Po jej zniknięciu nadal budował – ciągnęła żona – ale może tylko na pokaz.

– Jestem ojcem twoich dzieci – powiedział cicho morderca.

– Myślę, że zimę musisz spędzić w innym domu – odparła.

Te słowa zawisły w ciszy. Znowu zaczął prószyć śnieg, ale niezbyt gęsty, bez wiatru.

– Myślę, że musisz spędzić zimę w innej dolinie – odezwał się inny mężczyzna.

Rozległ się pomruk aprobaty. Morderca opadł z sił.

– Czy was nie obchodzi, że tego nie zrobiłem?

Rigg uświadomił sobie, że wiele osób zerka na niego, a nawet otwarcie się w niego wpatruje.

– Jesteś kimś w rodzaju świętego – powiedział kielbaśnik. – Myślisz, że źle postąpimy, jeśli pociągniemy tego człowieka do odpowiedzialności?

Rigg nie wiedział, co zrobić, więc tylko spojrzał na mordercę. Długo, nieruchomo.

– Wierzycie obcemu, a nie mnie?! – krzyknął ten. – Przychodzi do wioski i nagle wie, gdzie szukać Onishtu! Nie sądzicie, że to podejrzane?

– Trudno odgadnąć jego wiek – odezwała się jakaś kobieta – ale jest młody. Mógł mieć mniej niż dziesięć lat, gdy Onishtu umarła. Więc nie, nie sądzę, żeby to było podejrzane. Sądzę, że ma dar. Twierdzi, że widzi ścieżki, jakie ludzie zostawiają po sobie. Zobaczył, gdzie kończy się jej ścieżka.

– Czy on to zrobił? – zwrócił się inny mężczyzna do Rigga.

– Chłopiec nie jest sędzią – przemówił Ram Odyn. – Przyśnił mu się sen. Znaleźliście ciało, które w tym śnie zobaczył.

– Ale czy widział, kto ukrył jej zwłoki?

– Nigdy nie oskarżyłbym człowieka na podstawie snu – powiedział Rigg. – Nie wiem, które sny są prawdziwe, a które są zwykłe. Przykro mi, że ten okazał się prawdziwy.

– Nie odpowiedziałeś – rzuciła kobieta. – Czy widziałeś go we śnie?

– W moim śnie – oznajmił Rigg – jama w murze pod oknem była już wykopana. Czekala na ciało jeszcze przed śmiercią dziewczyny.

– Nie możesz tego wiedzieć! – krzyknął morderca. – On nie wie, o czym mówi! A nawet jeśli to prawda, to zrobił to ktoś inny!

– Wiedzielibyśmy, gdyby ktoś zaczął kopać w cudzym domu małżeńskim – oświadczyła kobieta.

Wszyscy poparli ją głośno.

– Czy dacie mu noc na spakowanie rzeczy? – spytała żona mężczyzny. – Człowiek, który popełnił to morderstwo, nie zasługuje na nic, ale moje dzieci martwiłyby się, gdyby ich ojciec odszedł z pustymi rękami przed zimą.

– Chyba w to nie wierzysz! – krzyknął do niej morderca.

– Wiem, że tylko ją kochałeś – odpowiedziała – a nie mnie. Nawet kiedy zbudowałeś dla mnie dom, twoje serce należało do niej. Widziałam, jak przez te lata wpatrywałeś się w tamten dom, i wiedziałam, dla kogo go zbudowałeś, choć była za młoda. Wiedziałam, o kim myślałeś. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że patrzyłeś na jej grób. Miała zerwane ubranie. Posiadłeś ją, zanim umarła? – Te słowa nie sprawiały jej przyjemności. Raniły ją bardziej niż jego. – Czy kiedy patrzyłeś na ten dom, opłakiwałeś ją? Czy wspominałeś, że byłeś jedynym mężczyzną, który miał to piękne dziecko?

Wśród mężczyzn rozległ się pomruk gniewu – nie na kobietę, lecz na to, co widziała i co znaczyły jej słowa. Ram Odyn podszedł do mordercy i położył mu rękę na ramieniu.

– Pozwól, że odprowadzę cię do domu, panie. Masz coś do załatwienia.

Zanim odszedł poza zasięg głosu, inne kobiety zaproponowały żonie z dziećmi nocleg. Morderca miał cały dom dla siebie.

Trzeba mu przyznać jedno: nie zabił się w domu ani w żadnym innym miejscu, w którym znalazłoby go któreś z jego dzieci. Poszedł w nocy do wędzarni i powiesił się na krótkim sznurze, przywiązany do haka. Rigg i Ram Odyn odeszli następnego dnia w stronę innej wioski.

– Myśleliśmy, że tu przezimujecie – powiedział ojciec Onishtu.

– Wiele wam zawdzięczamy – dodała jej matka. – Zostańcie z nami na zimę.

– Mamy niedaleko dom – oznajmił Ram Odyn – lecz dziękujemy za waszą

propozycję.

Rigg zgodził się w milczeniu. Nie mógł znieść myśli o pozostaniu w tej wiosce. Wierzył, że sprawiedliwości stało się zadość. Ale wiedział także, że bolesne konsekwencje tego będą o sobie dawać znać długo. Oszczędził dzieci mordercy, nie zmieniając przeszłości w taki sposób, by nigdy się nie urodziły, ale ich życie zmieniło się na zawsze z powodu wiedzy o czynie ojca oraz świadomości, że to zeznanie matki pograżyło go w oczach społeczności.

Idąc w stronę górskiej przełęczy, która prowadziła do następnej wioski, wyznał:

– Nie potrafię zrozumieć, czy w końcu poczuł skruchę, czy też czuł ją od początku.

– Nie sądzę, żeby w ogóle doznał czegoś choćby podobnego do skruchy – odparł Ram Odyn. – Raczej pielęgnował w czułej pamięci wspomnienie gwałtu i morderstwa, związane z sobą nierozdzielnie.

– Dlaczego więc się zabił?

– Bo nie potrafił sobie wyobrazić życia poza wioską.

Rozdział 16

W POBLIŻU ZIEMI

Noxon już wcześniej ciął czas w takim tempie – podczas ćwiczeń z Param. I parę razy przemierzył dłuższy okres. Nawet już używał znacznika – kamienia, który kładł na innym kamieniu. Gdy je dostrzegał, wiedział, że przybył do właściwego czasu. Podniesiona ręka zbędnego będzie równie dobrym sygnałem.

W tym tempie wydawało się, że minęło nie więcej niż pięć minut. Ale pięć minut całkowitego milczenia potrafi się bardzo dłużyć. Noxon mógł przyspieszyć jeszcze bardziej, ale nie chciał, żeby rozpęd poniósł go poza sygnał.

Zbędny podniósł rękę. Noxon przestał ciąć czas. I raptem, tak po prostu, wrócili w normalny strumień czasu.

– I-ha – powiedziała jedna z myszy grobowym tonem.

– Wnoszę, że jazda była przednia? – mruknął Noxon.

– Czy przeskoczyliśmy siedem lat podróży? W takim razie tak – odezwał się Ram.

– Przepraszam, mówiłem do myszy. Wyraziły się sarkastycznie o jakości podróży.

– Jesteśmy w pudełku – pisnęła mysz.

– To całkiem tak jak my – odparł Noxon, a potem powtórzył Ramowi słowa myszy.

– Moim zdaniem liczy się to, czy potrafisz wyczuć ścieżki na Ziemi. Z orbity Plutona Ziemia wydaje się niemal niewidoczną kropeczką.

– To co, powinniśmy wybrać Neptuna? Jowisza? – spytał Ram. – Zaproponowałbym Uran, ale nie wiem, co powie nasz specjalista od bytu w przestrzeni kosmicznej.

– Nie tylko w przestrzeni kosmicznej – oznajmił zbędny. – Posiadam odbył, ponieważ z powodu jego braku zbyt łatwo byłoby mnie zdemaskować jako nieczłowieka, a jest ważne, żebym w niektórych momentach za niego uchodził.

– I co? Działa?

Noxon doskonale wiedział, że działa – ojciec załatwiał się w lesie codziennie, punktualny jak zegarek. Gdyby zegarki robiły kupę. Bardzo autentyczną.

– Czy możemy skupić się na temacie? Wskażesz nam, gdzie jest Ziemia? – przerwał tę dyskusję Noxon.

– Pytasz jego, mnie czy myszy? – spytał Ram.

– Zbędnego. – Noxon omal nie powiedział „ojca”, ale udało mu się powstrzymać ten

stary nawyk.

– To całe szczęście, że nie nas – odezwała się mysz. – Bo my jesteśmy w pudełku.

– Nie możemy tu dokonywać obliczeń astronomicznych.

– Tylko pudełkonimiczne.

Noxon nie tracił czasu na przypominanie im, że znalazły się w zamknięciu w wyniku własnego karygodnego zachowania.

– Podczas cięcia czasu – powiedział – zastanawiałem się nad wszystkim, co może pójść nie tak. Na przykład wszystkie ścieżki na Ziemi poruszają się w kierunku, w którym muszę się zakotwiczyć, żeby wrócić do normalnego czasu. Ale ścieżka zmierzającego w przód Rama Odyna znajduje się w jego statku, poruszającym się w czasie we właściwym kierunku. Jeśli teraz jej nie widzę, skąd wniosek, że zdołam zobaczyć jakąkolwiek inną ścieżkę prowadzącą w tym kierunku?

– Doskonałe pytanie – powiedział Ram Odyn.

– Teraz się nad tym zastanawiacie? – dobiegło z pudełka.

– Na Arkadii nie miałem zbyt wielu okazji, żeby poćwiczyć – burknął Noxon. Nie potrafił stłumić irytacji w swoim głosie.

– Zignoruj te myszy – poradził zbędny. – Nie mają twoich zdolności. Docinają ci dla zabawy.

– Wiem – powiedział Noxon, ale słowa ojca sprawiły mu ulgę. To się nie zmieniło, choć wiedział, że ojciec jest maszyną.

– Szukałeś ścieżki biegnącej w przód? – spytał Ram Odyn.

– Nie muszę szukać – odparł Noxon. – One po prostu są.

– Ale tej nie ma. Zatem musisz jej poszukać. I może dlatego jej nie widziałeś, bo nie nawykłeś do szukania ścieżek.

– Muszę szukać osobnych ścieżek w sieci innych, krzyżujących się z sobą – sprzeciwił się Noxon. – Ale zawsze są widoczne. A w każdym razie obecne.

– Rozumiem, że nie widzisz ich oczami – powiedział Ram. – Ale ponieważ nie mamy określeń na zdolność wyczuwania cudzego przejścia przez czas i przestrzeń, pozostaniemy przy tym terminie.

– Dobrze, tak, oczywiście – zgodził się Noxon. On i Umbo zawsze tak robili.

– Zatem uważam, że nie zobaczysz ścieżki, ponieważ łańcuch przyczynowo-skutkowy prowadzi w przeciwnym kierunku.

– Też tak uważam – przyznał Noxon. – Ale to by znaczyło, że jesteśmy straceni.

– Wcale tak nie myślę, jeśli chcesz wysłuchać reszty.

– Ależ prosimy, prosimy! – odezwały się cierpkie, sarkastyczne głosiki myszy.

– Ludzie zmierzający przez czas w tym samym kierunku co ty zostawiają ścieżkę jak film – jedna chwila nie gaśnie, dopóki nie zacznie się następna.

– Bo chwile nie istnieją – oznajmił Noxon.

– Owszem, istnieją – sprzeciwił się zbędny. – Tylko ty ich nie rozróżniasz.

– Ciągłość, do tego zmierzam – przerwał im Ram. – Ale kiedy się cofają, nie widać ciągłości. Nie znaczy to jednak, że nie możesz zobaczyć każdej... wybaczyć, każdej chwili, ale tylko przez chwilę.

– Nic nie widzę – odparł Noxon.

– Bo nie patrzyłeś. Szukałeś ciągłych ścieżek. Ale co się zdarzyło, gdy Umbo spowolnił cię w czasie? Twoja percepcja się zmieniła. Ścieżki zaczęły nabierać cech charakterystycznych. Dostrzegłeś, że to ludzie. Widziałeś ich twarze. Im bardziej zwalniałeś, tym wyraźniej ich widziałeś.

– Ponieważ istniała ciągłość – wyjaśnił Noxon. – Niezależnie od tego, jak zwolnię, chwile nadal się łączą, ich ruch wciąż jest ciągły.

– Dokładnie o tym mówię. Może w ścieżkach wstecznych możesz wyczuć jedynie chwile pozbawione ciągłości.

– Jak mogę je zobaczyć? Nie istnieją na tyle długo, żeby je dostrzec.

– Tego nie wiesz, bo nie sprawdzałeś.

Noxon pokręcił głową.

– Jak mogę się zwolnić na tyle, żeby wyczuć coś, czego istnienie w naszym strumieniu czasu jest pozbawione czasu trwania?

Ram wzruszył ramionami.

– Masz lepszy pomysł?

– Statek dokonał obliczeń – odezwał się zbędny – i twoja teoria jest słuszna. Żadna chwila wstecznej ścieżki nie ma czasu trwania. Ale to samo dotyczy ścieżek biegnących w przód, a te widzisz.

– To dzięki ciągłości przyczynowo-skutkowej – powiedział Noxon.

– To twoja hipoteza. Dobra, chyba że okaże się fałszywa. Ale sądzę, że możesz mieć rację. To jednak niczego nie zmienia. Ten drugi strumień czasu także ma ciągłość przyczynowo-skutkową. Zatem dlaczego ta ścieżka nie pozostawia widocznego śladu? Nie powidoku, jak w przypadku zwykłego strumienia czasu, lecz przedwidoku, półfizycznego wspomnienia tego, co ma się wydarzyć, bo w tym strumieniu czasu już się to wydarzyło. Każda chwila jest przyczyną następnej i kolejnej. Może do chwil ludzkiego życia przywarło tyle przyczynowości, że stały się one widoczne.

– Gdyby to była prawda, już bym je widział.

– Nie – sprzeciwił się zbędny. – To one się odczyniają. W kierunku, w którym zmierzamy, przyczynowość się odczynia. Każda chwila przestaje istnieć, kiedy tylko ją wyczujesz. Więc zamiast ścieżki, ciągłości wydarzeń mamy serię nieciągłości. Nieścieżkę.

– Mądre nazwy. Ale sam nie wiesz, o czym mówisz.

– Przeciwnie – powiedział zbędny. – To ja nie wiem, o czym ty mówisz, ponieważ nigdy nie czułem tych ścieżek. Ale jeśli chodzi o logikę przyczynowości i czasu, moje teorie nie są gorsze od waszych. I nawet jeśli się mylę, to moja pomyłka będzie

bardziej precyzyjna od waszych.

Ram parsknął śmiechem.

– Widzisz, co musiałem znosić przez tyle lat w przestrzeni kosmicznej?

– Widzisz, co musiałem znosić dzień po dniu w lesie? – odparł Noxon.

– Nie spodziewam się, że zrozumiecie, co ja musiałem znosić – powiedział zbędny.

– A my ciągle jesteśmy w pudełku – odezwała się mysz. – I też to musimy znosić.

– Jeśli on ma rację – podjął Ram – a nie twierdzę, że coś wiem... Ale... jeśli on ma rację, to przynajmniej będziesz wiedzieć, gdzie szukać tych nie całkiem chwilowych chwil mojej wychodzącej ścieżki. Moje życie ograniczało się w zasadzie do siedzenia w tym fotelu. Albo leżenia na tej pryczy. Albo ćwiczenia tam dalej. Często obracałem się w fotelu. Nie tak jak dziecko, które wiruje wokół własnej osi, ale jeżdżąc od stanowiska do stanowiska. Wykonywałem różne prace. Nie wiem, czego potrzebujesz – ruchu czy bezruchu. W tamtym fotelu przeważnie siedziałem nieruchomo. A jeśli potrzebujesz mojego przemieszczania się, podążałem nielicznymi trasami, ale za to bez końca.

– Sądzisz, że nie szukałem czegoś odbiegającego od normy, odkąd znalazłem się na tym statku?

– Nie – powiedział zbędny. – Myślę, że nie szukałeś tego, bo nie wiedziałeś, czego szukać. Szukanie „czegoś odbiegającego od normy” jest tym samym, co szukanie na oślep w nadziei, że o coś się potkniesz.

To była ironia ojca.

– Zgadza się – przyznał Noxon.

– Mam plan – dodał ojciec. Zbędny.

– Plan, żeby zrobić coś, czego nie dokonał nikt w historii wszechświata.

– Tego nie wiesz – powiedział zbędny.

– Jeśli dokonał, to nie czytałem raportu – wyjaśnił Noxon.

– Co sprawiło, że ścieżki stały się dla ciebie ludźmi? – spytał Ram. – Zwolnienie, a potem zakotwiczenie się w nich.

– Zakotwiczenie się w nich sprowadzało mnie w ich strumień czasu – sprostował Noxon. – To ostatnie, co chcę zrobić, chyba że znajdziemy się w miejscu, w które będę mógł bezpiecznie zabrać z nami statek.

– No tak, bez kotwiczenia – poprawił się Ram. – Ale kiedy się tu zjawiałeś, gdy po raz pierwszy przywarłeś do tego strumienia czasu, jak to odczułeś?

– Nie znajdowałem się w żadnym strumieniu czasu. Tam w ogóle nie było czasu.

– Zostałeś całkowicie unieruchomiony – dopowiedział Ram.

– Ale to nie ja sprawiłem, że się zatrzymałem. Zagięcie było miejscem bezruchu. Wisiałem tam nieruchomo, dopóki się nie zakotwiczylem.

– Komputery statku jakoś nas tam doprowadziły – wyjaśnił zbędny. – Ale ponieważ nie wiedzieliśmy, że zagięcie okaże się miejscem pozbawionym ruchu, czasu czy

przyczynowości, nie mieliśmy planu na wydostanie się z niego. Mogliśmy nieświadomie utworzyć dwadzieścia możliwych ścieżek przyczynowych. Sądę, że Ram Odyn zrobił to, co ty – ale zamiast wybrać jedną, zakotwiczył się we wszystkich przyczynowych możliwościach, a cały statek przyjął je wszystkie jednocześnie.

– Nie zrobiłem nic podobnego – zaprotestował Ram.

– Nikt nie twierdzi, że byłeś tego świadomy – odparł zbędny. – Wiemy, że jedyne zakończone sukcesem podróże w czasie stały się udziałem ludzi obdarzonych talentem do manipulacji czasem. Ty byłeś jedynym świadomym tego człowiekiem, Ramie Odynie. Sądzymy, że wybrałeś ruch w przód, więc cały statek poruszył się do przodu we wszystkich możliwych kierunkach.

– Znalazłem się w miejscu, w którym ruch nie istnieje – odezwał się Noxon, zastanawiając się na głos. – Dziewiętnaście ścieżek biegło w normalnym strumieniu czasu. Jedna się cofała. Wybrałem tę dziwną.

– Dziwną w jakim sensie? – spytał Ram Odyn.

– Prowadziła w potencjalną przyszłość, ale cofała się w przeszłość.

– Więc wiesz, jak wygląda wsteczna ścieżka.

– Te pozostałe także nie były ścieżkami. Masz rację, wtedy widziałem to samo, czego szukam teraz. To jak... zapowiedź ścieżki. Światło, które migocze za zaroślami na długo, zanim pojawi się osoba z rozkołysaną latarnią.

– Ale ścieżka zmierzająca w niewłaściwą stronę różniła się od innych. Jak?

Noxon pokręcił głową. Nie pamiętał. Za to maska pamiętała. Nie potrafiła sama wyczuwać ścieżek, ale mogła odtworzyć stan umysłu Noxona w tamtej zamrożonej chwili. Zrobiła to, reagując na pragnienie przypomnienia ścieżki, i Noxon znowu znalazł się w tamtym momencie.

Problem polegał na tym, że odzyskawszy ten stan umysłu, mógł mieć tylko te myśli, co wtedy. Był też świadomy kompletnej niemożności podjęcia jakiegokolwiek działania z wyjątkiem wyboru ścieżki i zakotwiczenia w niej. Ale teraz nie widział ścieżek, lecz wspominał, że je widział. Nie było ucieczki. Nie mógł nawet sformułować zrozumiałej myśli w rodzaju: „Ratunku! Wyrwijcie mnie z tej pułapki!”.

Czas przestał istnieć. Noxon nie wiedział, jak długo tak stał, całkowicie nieruchomy, niezdolny do działania. Wiedział tylko, że w końcu się to skończyło i odzyskał możliwość myślenia i ruchu.

– To było nieprzyjemne – wyznał.

– Co? – spytał Ram.

– Ta niemożność ruchu. Jakiegokolwiek działania.

– Kiedy to się stało?

– Czyli dzięki masce nie trwało na tyle długo, żebyś to zauważył. To dobrze.

– Odzyskałeś to wspomnienie?

– Nie moje. Wspomnienie maski o tym, co w tamtej chwili robił mój umysł. Mogłem

myśleć tylko o tym, co wtedy.

– Ale potrafiłeś się martwić, że to zbyt długo potrwa.

– To nie była świadoma myśl, raczej coś niesprecyzowanego. Obserwator. Niemy ktoś, kto zawsze słucha moich świadomych, ubranych w słowa myśli i je ocenia.

Ram skinął głową z powagą.

– Przerazające, jak dobrze wiem, o czym mówisz.

– Odświeżające doznanie, ale dobrze, że się skończyło – powiedział Noxon. – Nie zostałem tam wiecznie, choć tak się czułem. A teraz mam znacznie wyraźniejsze wspomnienie moich doznań. Tego, jak wyglądały ścieżki, kiedy się nie poruszały. Tych dziewiętnaście, które miały szansę oddalić się w przyszłość, i jedna z potencjałem ruszenia w przeszłość.

– A ta, która zaprowadziła mnie w to miejsce? – spytał Ram.

– Pozostałe są z nią połączone. Wszystkie stanowią jej kontynuację.

– Więc widziałeś ścieżki idące wstecz i w przód...

– Nie to je różniło. Wszystkie zmierzały w przyszłość. Ale ta jedna prowadziła w... bezpłodną przyszłość. Miejsce bez potencjału przyczynowego.

– Szukaj więc właśnie jej.

– Ale w tamtym momencie nie widziałem żadnych ścieżek. Żadna się nie poruszała. Wyglądały identycznie. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego jedna różniła się od innych. Tak po prostu było. Wiem, jak wygląda taka nieścieżka, jej zawiązek, bo wszystkie tak wyglądały. Ale żeby to zobaczyć, musiałem się zupełnie zatrzymać w czasie.

– Śmiertelny bezruch – odezwała się mysz.

– Tak.

– I jak się z tego wyzwoliłeś? – spytała mysz.

Bardzo dobre pytanie. Wcale nie złośliwe. No, może trochę, jakby nie należało oczekiwać, że człowiek zdoła znaleźć rozwiązanie tak ważnej kwestii o własnych siłach.

– Wyrwałem się z tamtego bezruchu, kotwicząc się w jednej ze ścieżek. Tej zmierzającej w niewłaściwym kierunku.

– Odpowiadasz myszom? – domyślił się Ram.

Zbędny wyjaśnił mu to i zakończył:

– Zatem istnieje realna szansa, że jeśli Noxon zdoła zwolnić na tyle, żeby zobaczyć ścieżki, może wrócić bez zakotwiczenia w którejsz z nich.

– Ale nie wiem, czy w ogóle dotrę do tego momentu – dodał Noxon. – Pamiętaj, że znalazłem się tam, podążając za wsteczną ścieżką Rama Odynda. Ścieżką Rama z murcii Rama. Nie mógłbym się tak spowolnić.

– Jeśli masz się całkowicie zatrzymać – odezwał się zbędny – nie możemy przeprowadzać eksperymentów. Musisz to zrobić, trzymając myszy, Rama Odynda i statek z całą jego zawartością, i to w czasie najstosowniejszym do wykonania skoku.

Musisz się zakotwiczyć we właściwej ścieżce, żebyśmy mogli skoczyć w przeszłość na długo przed statkami kosmicznymi.

– Ale nie wiem, czy zdołam się na tyle spowolnić.

– Zatem drugą możliwością jest to, że zaczniesz wykrywać wsteczną ścieżkę Rama zmierzającego w przód – poszczególne zawiązki każdej chwili – zanim zupełnie zastygniesz w czasie. Jeśli zdołasz zwolnić do takiego stopnia, nie tracąc zdolności powrotu do t e g o strumienia czasu, będziemy wiedzieć, że takie przedsięwzięcie jest prawdopodobne.

– Może być prawdopodobne.

– Ale jeśli nie zdołasz zwolnić na tyle, żeby zobaczyć jego ścieżkę... – ciągnął zbędny.

– Będziemy musieli się zastanowić, jak doprowadzić mnie do kompletnego bezruchu.

– Śmierć – podsunęła pomocnie mysz. – Działa bez pudła.

– Z twojej miny wnoszę, że myszy powiedziały ci coś niesympatycznego – zauważył Ram.

– Coś bardzo śmiesznego. Dla każdego, kto nie jest bezpośrednio zainteresowany.

– Przeprowadzisz więc ten eksperyment?

– Spróbuję. Problem polega na tym, że przyspieszenie – odkąd nauczyła mnie go Param – jest łatwe. Zwolnienie... Zawsze robiłem to, obserwując ścieżki i sprawiając, że stawały się widoczne. Nauczenie się tego przyszło mi z wielkim trudem. Umbowi wychodzi to naturalnie.

– Zatem podążaj za moją ścieżką tutaj, na statku. Albo za własną.

Noxon skrzywił się niechętnie.

– Nie znoszę zwalniać, używając własnych ścieżek. Muszę się zobaczyć. I zawsze się martwię, że się w niej zakotwiczę i pojawię w dwóch egzemplarzach.

– Umbo zwalnia samego siebie i wysyła sobie wiadomości – odezwał się zbędny.

– Bo nie widzi ścieżek. Nie potrafi stwierdzić z wyprzedzeniem, czy osoba, do której mówi, znajdzie się w tym miejscu. Ustala odpowiedni czas w inny sposób, za pomocą jakiegoś wewnętrznego zmysłu, a potem mówi, zwracając się w miejsce, gdzie powinna się znajdować dana osoba. Przynajmniej na początku tak to wyglądało. To dlatego zawsze najłatwiej wysyłać mu wiadomości do samego siebie – wie, gdzie był.

– Czyli nie ryzykuje, że się zakotwiczę we własnej ścieżce – dopowiedział Ram.

– Jeśli ja użyję swojej ścieżki, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że się w niej zakotwiczę i stworzę swój drugi egzemplarz.

– Więc posłuż się moją ścieżką. Czy pomoże ci, jeśli usiądę w fotelu pilota? Lub obok niego?

– Nieważne, co zrobisz w tej chwili. Pracuję z tobą z przeszłości.

– To co, mogę tańczyć? Śpiewać?

– Myślałem, że wszyscy złośliwcy siedzą w pudełku.

– Będę cicho jak... – zaczął Ram.

– ...myszka – dokończył zbędny. – Twoje poczucie taktu jest godne pożałowania. Poza tym mógłbym dodać, że to stare powiedzenie nie ma sensu. Sądząc po obecnych tu myszach, które nie siedzą cicho.

– W tej chwili siedzimy – odezwała się mysz. – Nie chcemy, żeby Noxon się zdekongentrował i wszystko schrzanił.

Noxon uniósł rękę.

– Nie zamierzam się kotwiczyć w ścieżce. Ale mógłbym to zrobić odruchowo, więc muszę się skupić, żeby się przed tym powstrzymać. A to oznacza zachowanie zupełnego spokoju.

– Mało prawdopodobne – ocenił zbędny. – Twoje reakcje fizyczne świadczą o odczuwaniu najróżniejszych rodzajów stresu.

– Zatem największego spokoju, jaki jest mi dostępny – poprawił się Noxon. – I wielkie dzięki za dodanie mi otuchy.

– Powinieneś to wiedzieć – odparł zbędny.

– Ostrzeżenie byłoby konieczne, gdybym nie miał maski, która uspokaja moje fizyczne reakcje, gdy tego potrzebuję. I izoluje mnie od wszelkich bodźców z waszej strony, jeśli tak trzeba.

– Bardzo użyteczna rzecz – mruknął Ram.

I nagle Noxon przestał słyszeć i widzieć. Maski zareagowała nie na jego słowa, ale na życzenie. Czuł jedynie ścieżkę Rama Odyna.

Od dnia podziału minęło zaledwie kilka dni, więc ścieżki nie były aż tak długie. I dobrze. Mniej rzeczy go rozpraszało.

Obserwował, ale się nie zakotwiczył. Skupił się na zmianie ścieżki w człowieka, a potem w człowieka poruszającego się bardzo, bardzo powoli. Do tej pory nie zastanawiał się, czy jego zmysł widzenia ścieżek obejmuje coś w rodzaju widzenia peryferyjnego. Czy może się skupić na jednej ścieżce, ale nadal wyczuwać inne, czy też wszystkie znikną? A może to maska je zablokuje?

Nie musiał ubierać tej myśli w słowa. Pojawiła się w nim potrzeba wycucia wszystkich ścieżek bez tracenia z oczu tej jednej, która go spowalniała. Maski zareagowała. Ale nie od razu, bo oczywiście zwolniła razem z nim. Albo – ta kwestia dręczyła jego i Umba od samego początku – to on i maska przyspieszali w stosunku do strumienia czasu ścieżki. Przyspieszali nie poprzez cięcie czasu, jak Param, czyli przeskakując nad jego mikrocząstkami, ale naprawdę zwiększając tempo, pięć chwil na chwilę, poruszając się tak gwałtownie w porównaniu z normalnym jego strumieniem, że wydawał się on mu wolny?

Nieważne, co naprawdę się działo. Widział, jak ścieżka zmienia się w Rama Odyna, a potem ruchy Rama zaczęły zwalniać, aż prawie zupełnie zamarły. „Utrzymaj mnie w tej prędkości”, pomyślał Noxon, a maska odpowiedziała błyskawicznie jak odruch.

Noxon nie musiał się już skupiać na tej relatywnej prędkości. Mógł zacząć szukać czegoś innego.

Prawie to przegapił, bo te małe zawiązki wstecznego czasu nie miały ludzkich rozmiarów czy proporcji. I nie migotały. Nie przypominały ścieżki niczym z wyjątkiem koloru. Ale to nie był kolor. Była to cecha, którą Noxon nazywał kolorem, bo tak ją opisał ojcu, gdy po raz pierwszy ten zaczął go wypytywać o ścieżki. Jako dziecko uważał je za niebieskie, zielone, żółte i czerwone. Ale to nie była barwa, lecz coś innego, atrybut, który nieco odróżniał każdą ścieżkę od innej. I zdecydowanie różnił je od zwierzęcych ścieżek, przy czym ścieżki bardziej inteligentnych zwierząt ostro kontrastowały ze ścieżkami tych bardziej prymitywnych.

Zatem widział samą świadomość. Nie molekuly ciała wędrującego w czasie i przestrzeni, lecz sam umysł. Bez fizycznej substancji, ale nierozzerwalnie związany z ciałem i mózgiem. Nie miał wymiaru, ale miał położenie, jak teoretyczny punkt w geometrii. Tylko kolor pozwalał go w ogóle zauważyć. Jego ślad. Gdy Noxon skupiał na nim uwagę, zaczynał go widzieć przez najdrobniejszy ułamek chwili.

Tak trudno było mu się powstrzymać przed sięgnięciem do niego myślami i zakotwiczeniem w nim. Wydawało mu się, że to najczystsza ścieżka ze wszystkich, ścieżka we wnętrzu ścieżki. Musiał wiedzieć, czy to naprawdę człowiek, czy tylko coś, co sobie wymyślił, bo tak bardzo chciał coś zobaczyć.

Gdyby to coś istniało naprawdę, a on by w tym zakotwiczył, nastąpiłaby katastrofa. Molekuly jego ciała uległyby unicestwieniu. A gdyby po prostu pojawił się w statku zmierzającym w przód, w normalnym strumieniu czasu, i musiał się tłumaczyć tamtemu Ramowi Odynowi, pewnie zmieniłby historię Arkadii, która może w ogóle by nie zaistniała. A Ram, uwięziony z myszami we wstecznym strumieniu czasu, zobaczyłby tylko, jak Noxon znika. Cały wysiłek na nic.

Dlatego powstrzymywał się ze wszystkich sił. Nie zakotwiczył się. Powiadomił maskę, że czas wrócić do normalnego czasu. Otworzył oczy.

– Daj nam znak, kiedy zaczniesz – powiedział Ram Odyn.

– Już skończył – odparł zbędny. – Udało się?

– Tak – oznajmił Noxon. – Potrafię to zrobić. I zrobię, gdy zbliżymy się do Ziemi. A jeśli mi się uda, sprowadzę statek. Sądzę, że się uda.

– To na co czekamy? Przenieś nas w przyszłość.

Noxon nie wiedział, dlaczego ten pomysł mu się tak nie podoba.

– Po co się spieszyć?

– A po co zwlekać? – odpowiedział Ram Odyn.

– Bo to życie! – rzucił Noxon z bezsilnym gniewem. – Wszystko w swoim czasie. Tak to powinno wyglądać.

– Dla innych. Ale nie dla ciebie.

– Tak, mogę przyspieszać, przeskakiwać, wracać i robić najróżniejsze cuda z czasem

i wiesz co? Na ogół pośpiech nic mi nie daje.

– Po latach tej podróży mogę ci dać słowo honoru, że czekając, też niczego nie zyskasz.

– Nie czekając. Ty nie czekałeś. Czytałeś. Rozmawiałeś z nim.

– Niczego nie osiągnąłem oprócz tego, że chwili skoku nie przeszedłem w letargu.

– Niczego się nie nauczyłeś? Nie przyszła ci do głowy żadna myśl warta zapamiętania? Żadna z tych rozmów nie miała znaczenia?

– Były nudne.

– Wtedy cię interesowały – wtrącił zbędny. – Może są nudne tylko we wspomnieniach.

– Miałem dość przygód – włączył się Noxon – by stwierdzić, że nuda jest zjawiskiem bliskim szczęściu. Nuda oznacza, że nie dzieje się nic złego. Nie jesteś głodny, nie cierpisz, nikt niczego od ciebie nie chce... Masz wolną głowę i możesz rozmyślać, o czym ci się podoba. Nuda staje się nieprzyjemna tylko wtedy, gdy niecierpliwie czekasz na jakieś wydarzenie.

– Bo czekam – mruknął Ram Odyn.

– A ja nie. Bo kiedy już tam dotrzemy, znajdę zawiązek ścieżki, która będzie miała dwa, dwanaście lub dwieście lat, i zakotwiczę się w niej, a potem albo przeciągnę za sobą statek, albo nie.

– Przeciągniesz.

– Tego nie wiesz. Jeśli się nie uda, to znajdziemy się w przestrzeni kosmicznej i umrzemy w ciągu kilku sekund.

– Przecież o tym wiem. To jedyna rzecz, która ma sens. Podobno spowodowałem dwudziestokrotny skok w czasie – dziewiętnaście w przód, jeden wstecz.

– Przeprowadziłeś statek i kolonistów przez zagięcie – zauważył Noxon. – To komputery doprowadziły do powielenia.

– Czy statki nie podążyły za kolonistami podczas wszystkich tych skoków? A przecież nie siedziałem tutaj i nie rzucałem zaklęć: „Sprowadź statek... Sprowadź statek...”, bo nie wiedziałem, że nastąpi skok w czasie.

– Statek po prostu podążył sam z siebie.

– I nawet nie znajdowałem się w pobliżu planety. Moja ścieżka była związana ze statkiem, sam to udowodniłeś, więc statek okazał się na tyle duży, żeby zadziałał jak planeta. Ale skoczył razem ze mną. Teraz więc skoczy razem z tobą.

– Może tak, prawdopodobnie – przyznał Noxon. – Choć istnieje mnóstwo zmiennych, które mogą okazać się ważne.

– I co z tego? Wtedy umrzemy. Statek zniknie, a w chwili, gdy nasze ciała znajdą się w przestrzeni kosmicznej, staniemy się iskierkami ognia w mroku. Nie my jedni umrzemy tego dnia, bo co sekundę umierają dziesiątki ludzi. Nasza tożsamość nie przepadnie, bo ty masz na Arkadii swoją kopię, znaną jako Rigg, a ja swoją, choć

starszą o jakieś czterdzieści lat.

– Ale przestanę istnieć.

– I tak kiedyś byś przestał. Pogódź się z tym.

– Ty się nie boisz śmierci? – zapytał Noxon.

– Oczywiście, że się boję. Ale zgłosiłem się na ochotnika jako pilot pierwszego statku kosmicznego z ludzką załogą, założyciel pierwszej kolonii w innym układzie słonecznym. Nie pozwalam, żeby strach przed śmiercią powstrzymał mnie przed robieniem tego, co sprawia, że moje życie jest interesujące i może warte takiego poświęcenia.

– Aleś ty odważny – rzucił Noxon trochę ironicznie, choć właściwie myślał tak samo.

– Ja? Nie zrobiłem niczego, co mogłoby się równać z twoim dokonaniem tuż po tym, jak twój mechaniczny ojciec udał, że umiera. Skakałeś po kamieniach nad wodospadem, w którym mógłbyś utonąć, gdyby coś poszło źle. A to wszystko po to, żeby ocalić głupiego chłopaka, który i tak by zginął przez swoją głupotę. To była odwaga.

– Zachowywałem się wtedy jak maszyna, nie myślałem. Trzeba było to zrobić, więc zrobiłem bez zastanowienia. A teraz tylko się zastanawiam.

– I potrzebujesz na to więcej czasu? To ci ma jakoś pomóc?

– A w dodatku gra idzie o większą stawkę. Wtedy chciałem uratować jednego chłopca. Teraz – cały świat.

– Chciałeś uratować kogoś i ryzykowałeś wszystko, co miałeś – swoje życie. Teraz też ryzykujesz życie dla innych. To to samo, tylko że zacząłeś się bać.

– Chodzi mi o to, że przeżyłem chwile napięcia i może dobrze by mi zrobiło, gdybym odpoczął kilka dni, zanim zbliżymy się do Ziemi. Przeczytałbym książkę. Może obejrzałbym ten film o czarnoksiężniku z Oz.

– Nie wiem, czy w ogóle mamy go na pokładzie – mruknął Ram Odyn.

– Mamy – rzucił zbędny.

– Skoro chcesz czasu, weź go sobie.

– Dziękuję – powiedział Noxon z przesadną uprzejmością.

Potem siedzieli w milczeniu przez jakieś pięć sekund, podczas których Noxon uświadomił sobie, jak strasznie trudno będzie mu się skupić na czymkolwiek, wiedząc, co musi wkrótce zrobić.

– Na lewy łokieć Silboma! – rzucił i wziął pudełko. – Zapomniałem o myszach. Nie mogłem ich prosić, żeby przesiedziały tak kilka dni. Ale nie zamierzam ich także wypuścić. Czyli po prostu muszę przyspieszyć.

– Dla dobra myszy – odezwał się Ram Odyn.

– Właśnie.

– A nie dlatego że zrozumiałeś, iż żaden z nas nie da rady czytać książek, oglądać filmów czy choćby rozmawiać dopóty, dopóki nie uda nam się wrócić do właściwego

strumienia czasu.

– Zupełnie nie dlatego. To mi nawet nie przyszło do głowy. Nie dbam o to. Myślę wyłącznie o myszach. Ty też byś tak miał, gdybyś znał je tak długo, jak ja.

– Choć moja znajomość z myszami jest dość przelotna, już poznałem ich prawdziwy charakter, na który składa się bezlitosny instynkt przetrwania ukryty za mgiełką przebiegłości i hipokryzji.

– Wierny portret – pochwalił Noxon.

– Staramy się nauczyć cywilizowanego zachowania od was – odcięła się mysz. – Ale trudno stwierdzić, kiedy widzimy coś szczególnie cywilizowanego.

– Całe nasze zachowanie jest cywilizowane – oznajmił Noxon.

– Znowu rozmawiasz z myszami? – spytał Ram Odyn. – Wyjdę na zewnątrz, żebyście się poczuli swobodnie. A, prawda. Nie mogę.

– Dobrze, trzymajcie się mnie – rzucił Noxon. – A ojciec... Ramex... zbędny będzie tak uprzejmy i znowu podniesie rękę, gdy ten statek zostanie bezpiecznie zadokowany, tak jak wtedy, gdy Ram Odyn wszedł na pokład, a prowiant i koloniści byli gotowi do podróży.

– Nie będę wiedział, kiedy to się stanie. Koloniści są niewidoczni dla czujników statku.

– Będiesz wiedział, że statek znalazł się w doku, bo przestanie się ruszać. Wtedy podnieś rękę.

Ram objął Noxona za ramiona, Noxon mocno chwycił pudełko z myszami i zaczął ciąć czas w takim tempie, że po kilku minutach ujrzał, jak zbędny podnosi rękę.

– Jesteśmy – oznajmił. – A wy?

– Tak, jestem tu – rzucił Noxon. – Daj mi chwilę odsapnąć. To wymaga kompletnie innego podejścia i trochę się zmęczyłem. Psychiczenie. Bo fizycznie nie uroniłem nawet kropli potu.

– Odpoczywaj, ile chcesz – odezwał się Ram Odyn.

– Dziękuję za ten kompletnie nieszczerzy wyraz cierpliwości. Jeszcze nigdy nie byłem na Ziemi. Czy mogę ją jakoś zobaczyć ze statku?

Zapadła chwila ciszy.

– Ale rozumiesz – powiedział zbędny – że jesteśmy jedynymi obiektami w kosmosie poruszającymi się pod prąd strumienia czasu?

Noxon poczuł się jak idiota.

– Myślałem, że... planety będą widoczne.

– Nawet gwiazd nie widać. Nie potrafimy wykryć grawitacji. Nic.

– Skąd więc wiedziałeś, że znaleźliśmy się w orbicie...

– Mamy wierny zapis dokładnego momentu, w którym zmierzający w przód statek osiągnął tę odległość. Ponieważ znajdujemy się na tym statku, zakładamy, że nasz zegar pokaże, kiedy dotrzemy do pożądanego miejsca.

– Więc naszym jedynym instrumentem nawigacyjnym jest zegar... – powiedział Noxon.

– Tylko na podstawie zegara dawni żeglarze potrafili określić długość geograficzną, w jakiej się znaleźli. Są na to dowody.

– Ale jeśli zegary się zepsują...

– Niby dlaczego miałyby się zepsuć? – spytał zbędny. – Mamy ten sam zegar, co wtedy. Zmienił się tylko nasz kierunek, nie prędkość.

– Z tego, co wiesz.

– Z tego, co wiemy, możemy się znajdować wewnątrz gałki ocznej wróbelka – wtrącił Ram Odyn. – Ale załóżmy, że jednak nie. Statek, kierując się jedynym dostępnym instrumentem, twierdzi, że znaleźliśmy się w miejscu, w którym możesz zacząć wypatrywać ścieżek zmierzających w przód, żebyśmy ruszyli we właściwym kierunku... kilkaset lat temu. Jeśli nie znajdziesz ścieżek, będziemy wiedzieć, że coś jest nie tak.

– W porządku, oczywiście – zgodził się Noxon. – Tym razem nie musicie się mnie trzymać. Statek albo ze mną przejdzie, albo nie. Jeśli tak, przejdziecie razem z nim. Jeśli nie, przynajmniej nie znajdziecie się w przestrzeni bez statku.

– To głupota do potęgi sześćdziesiątej – oznajmił Ram Odyn. – Jeśli statek przejdzie z tobą, dlaczego miałbyśmy w nim zostać? Mój chłopcze, będę się ciebie trzymać ze wszystkich sił, choć jeśli chcesz przeprowadzić eksperyment na myszach, to nie przeszkadzam. Do tego są myszy.

Noxon wziął pudełko z myszami.

– Przepraszamy – odezwała się jedna z nich. – Wiem, że to zabrzmiało egoistycznie i że pomyślisz, iż chcemy się wydostać z pudełka – bo chcemy – ale poczułybyśmy się o wiele bezpieczniej z tą zmianą kierunku czasu, gdybyśmy miały bezpośredni kontakt z twoją skórą, tak jak Ram Odyn.

Noxon natychmiast uświadomił sobie, że mają rację, i pomimo rozdrażnienia i nieufności otworzył pudełko i pozwolił myszom wejść mu do rękawów, nogawek i za kołnierz koszuli.

– Dziękujemy – mruknęło kilka z nich.

Noxon docenił tę uprzejmość, choć wiedział także, że kiedy – jeśli – tylko znajdą się w czasie zmierzającym w przód, będzie żałować, że nie ma sposobu na ponowne zapakowanie ich do pudełka. A nie było z wyjątkiem tego, że rozebrałyby się do naga i kazał zbędnemu pozbierać je kolejno ze swojego ciała. Lecz kto wie, jakich szkód narobiłyby, zanim zdążyłby przeprowadzić ten plan. Odsiedziały swoje w więzieniu i teraz odzyskały wolność, a on będzie musiał z nimi postępować jak z istotami myślącymi, którymi były.

– No, dobrze – powiedział. – Nie wiem, jak długo potrwa odszukanie przeze mnie właściwej ścieżki. Ziemia jest daleko stąd, setki tysięcy kilometrów. A załadki ścieżek

są bardzo małe, nawet widziane z bliska. To może potrwać. I może się nie udać.

– Nie będziemy ci przeszkadzać – zapewnił Ram Odyn.

Pierwszym wyzwaniem było samo znalezienie ścieżek, a raczej załączków zdradzających ich obecność. Noxon zaczął od prawie współczesnych ścieżek w stacji konstrukcyjnej. Szybko znalazł kilka, a potem o wiele więcej. Zaczął dostrzegać takie, które musiały znajdować się w pobliskich statkach i promach, a później w dalszych. Im bardziej się odsuwały, tym trudniej było je obserwować. A żaden ze statków nie znajdował się aż tak daleko.

Noxon uświadomił sobie, że nie zdoła dostrzec żadnych ścieżek na Ziemi, zwłaszcza że wszystkie i tak byłyby tylko zawiązkami.

– Potrzebuję planu B – oznajmił. – Widzę pobliskie ścieżki w stacji i na statkach, ale Ziemia jest za daleko.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

– Ha – powiedział w końcu Ram. – To przydatna informacja.

– Czy możemy włączyć silniki i oddalić się stąd, a zbliżyć się do powierzchni Ziemi? – spytał Noxon.

– Teoretycznie – stwierdził zbędny. – Ale byliśmy zespoleni ze statkiem zmierzającym w przód, atom w atom. Żeby zerwać tę więź, możemy potrzebować zbyt wielkiej energii. Nie rozumiemy natury takich połączeń, ponieważ nigdy nie zostały zauważone i zmierzone w naturze. Nie możemy też być pewni, w jakim kierunku znajduje się Ziemia ani jak daleko zawędrowaliśmy od niej.

– Wyczerpująca odpowiedź – zauważył Noxon, który nie znał się na fizyce, ale potrafił się zorientować, kiedy ma nie robić sobie wielkich nadziei.

– Nowy plan jest oczywisty – odezwała się mysz.

– Myszy uważają, że to oczywiste – przekazał Noxon.

– Myszy mogą zamieszkać w moim tyłku – burknął Ram Odyn.

– I po co tak ordynarnie? – rzuciła mysz.

– Okazywał nam gościnność – zauważyła druga.

– Co to za oczywisty plan? – spytał Noxon.

– Tnij czas, poruszając się naprzód, do momentu, kiedy nie zaczęto jeszcze budować statku zmierzającego w przód.

Zbędny oczywiście także to usłyszał i natychmiast zaczął przetwarzać te informacje.

– W pamięci statku, która zawiera także wszystkie raporty z procesu konstrukcji, znajdziemy informację, że został skończony...

– Nie – przerwał Noxon. – Potrzebujemy czasu, w którym w przestrzeni, jaką zajmujemy, nie znajdowało się nic, ale byli tu ludzie, do których ścieżek mógłbym się zakotwiczyć.

– Czy mógłbyś, jeśli to w ogóle możliwe – poprosił Ram Odyn – odszukać okres, obejmujący jakieś dwadzieścia pięć lat, gdy nie było tu żadnych ścieżek, i wybrać

jakąś ścieżkę tuż przed tą luką?

– Dlaczego? – spytał Noxon. – Co to za luka?

– Kometą, która zbliżyła się tak bardzo, że wytrąciła Księżyc z jego orbity. Siły pływowe ukruszyły jego kawałki, te zaś utworzyły pierścień, który zniszczył wszystko, co znajdowało się na orbicie Ziemi. Bardzo bym nie chciał, żebyśmy się tam pojawili w tym okresie. I lepiej przed niż po.

– Dlaczego? Tak czy tak nas zobaczą.

– Nie chcę, żebyś się rozczarował widokiem tego ogryzka, który zostawiliśmy z Księżyca. Musisz zobaczyć wspaniały srebrny glob, w którego świetle ewoluował cały gatunek ludzki.

– Jeśli nam się uda, na pewno zobaczę obie wersje Księżyca – oznajmił Noxon. – Zatem oto, co zrobimy. Zabiorę nas do czasu przed zbudowaniem tego statku. Potem zakotwiczę się w znajdującej się w przestrzeni kosmicznej ścieżce zmierzającej naprzód i przerzucę cały statek do właściwego strumienia czasu. Jeśli się uda, natychmiast przeniosę nas w przeszłość, nie szukając żadnych ścieżek.

– Myślałem, że nie możesz tego zrobić bez ścieżki.

– Nie mogę cofnąć się w określony czas bez ścieżki. Ale w tym przypadku, gdy zwrócimy się we właściwym kierunku, po prostu zacznę ciąć czas wstecz, starając się zrobić to jak najszybciej, żeby wylądować w epoce przed podróżami kosmicznymi. Najlepiej przed wynalezieniem teleskopu. Gdy się tam znajdziemy, dojdziemy, w jaki okres trafiliśmy.

– Zamknij oczy i skacz – poradził Ram Odyn. – Jak Ikar, kiedy uczył się latać.

– Ikar spadł z nieba na złamanie karku, jeśli dobrze pamiętam z lektur w murchii Odyna – odparł Noxon. – O tej legendzie mówiłeś, tak?

– Chciałem sobie wyobrazić, co mieszkańcy Ziemi pomyślą o tej nowej, szybko śmigającej gwiazdzie.

– Jeśli odnajdziemy później właściwy kierunek, mało mnie obchodzi, co pomyślą o nas mieszkańcy Ziemi. Będziemy widoczni przez jakąś sekundę. Może akurat nikt nie będzie wtedy patrzeć na niebo, choć zapewne jakieś przyrządy odnotują naszą obecność.

– Powiedzą, że to zakłócenia komputera – odezwał się zbędny. – Jak zawsze. A ponieważ nie będą mogli namierzyć statku, podejrzewam, że nikt nie zasugeruje, iż właśnie widzieli statek lecący wstecz w czasie, który nagle się obrócił, a potem rzucił się do tyłu jak dziecko nurkujące w basenie.

– Bo to by brzmiało jak brednie wariata – zgodził się Noxon.

– Może to lepszy plan niż ten pierwszy – zauważył Ram Odyn. – Odległość z powierzchni Ziemi do L5 jest większa niż z powierzchni Ziemi do powierzchni Księżyca. Bezpieczniej będzie przesunąć obiekt wielkości tego statku wtedy, gdy nie będziemy aż tak blisko Ziemi i jej szkodliwej atmosfery.

– Nigdy naprawdę nie rozumiałem odległości między planetami – wyznał Noxon. – Wiedziałem, że potrafię wyczuwać ścieżki, które znajdują się poza zasięgiem mojego wzroku, ale odległości na powierzchni planety to pestka w porównaniu z odległościami w kosmosie.

– Słowa takie jak „blisko” i „daleko” nabierają tu zupełnie innego znaczenia – przyznał Ram Odyn.

– Byłem więc naiwny, sądząc, że wypatrzę z kosmosu dwustuletnią ścieżkę. Ale gdybym nie spędził tylu miesięcy na ćwiczeniach z Param, żeby nauczyć się cięcia czasu wstecz, byłbym teraz bezradny. Umbo by sobie poradził, bo on nie potrzebuje ścieżek, ale ja bez ćwiczeń z Param nie.

– Zatem dobrze, że poświęciłeś ten czas na naukę.

– No zrób to wreszcie – odezwała się mysz. – Przenieś nas w przeszłość, żebyśmy ruszyli we właściwym kierunku.

Nawet myszy straciły do niego cierpliwość. Noxon miał ochotę wrzasnąć do wszystkich, myszy, ludzi i zbędnego: „Nie rozumiecie, że nie mam pojęcia, co zrobić?! Wszystkich was pozabijam albo wpakuję w jakieś niemożliwe miejsce i czas, albo nawet jeśli trafię na właściwy strumień czasu, i tak nie uda mi się znaleźć sposobu ratowania Arkadii! Do czego więc tak się spieszycie?!”. Ale tylko zamknął oczy.

– Bądźcie wszyscy cicho, proszę.

Ciął czas przez chwilę, po czym uświadomił sobie, że zamknięcie oczu mu nie pomoże, skoro musi zobaczyć sygnał zbędnego, gdy dotrą do czasów, gdy zbudowano statek.

Zbędny już trzymał rękę w górze.

– Zacząłeś ciąć czas z zamkniętymi oczami – powiedział – i zacząłem się martwić, że tak zostaniesz.

– Tylko przez chwilę – odparł Noxon – ale i tak za długo. Przepraszam.

– Komputery pokładowe uznały, że nie mamy już więzi ze statkiem zmierzającym w przód – oznajmił zbędny. – Wydaje się, że nie istnieje. Pytanie tylko, czy sprowadziłeś nas do czasu, zanim zaczęto go budować w L5?

– Możemy na to odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Sprawdzając, czy znajdę załączek czyjejś ścieżki.

Z początku wydawało mu się, że zapędził się za daleko i w przestrzeni kosmicznej nie ma nikogo. Ale może dotarł do tej dwudziestopięcioletniej luki, w której gruz z Księżyca rozbijał wszystko w pobliżu. Może w ich stronę zmierzało coś wielkiego i twardego?

Potem znalazł parę załączków. Nie jakoś szczególnie blisko. Ale gdyby się zakotwiczył... Gdyby statek z nim przeszedł...

Chwycił nieco mocniej Rama Odyń. Drugą rękę przycisnął do tablicy z przyrządami, jakby to miało mu zagwarantować, że statek przejdzie wraz z nim.

– Trzymajcie się, myszy! – rzucił i zakotwiczył się w najbliższej ścieżce.

To było straszne, rozdzierające doznanie. Nie tak proste jak wtedy, gdy przerzucił się na wsteczny kierunek. Miał wrażenie, że brodzi w wodzie sięgającej mu do piersi. A właściwie dlaczego nie? Musiał ciągnąć za sobą cały statek, zmienić jego moment siły, ulokować go we właściwym miejscu, a wszystko bez punktu podparcia.

Kiedy otworzył oczy, nadal widział statek, podobnie jak Rama i zbędnego. Na skórze czuł dotyk mysich łapek. Nie zawiśli w przestrzeni kosmicznej. Mieli powietrze. Oczywiście mieli to wszystko również, zanim odważył się na skok.

– Coś się wydarzyło? – spytał.

Zbędny nie odpowiedział od razu – bez wątpienia czekał na pełen raport komputerów pokładowych.

– Znaleźliśmy się w normalnym wszechświecie. Zdaje się, że twój plan zakładał przebywanie tu przez niespełna sekundę?

– Tak! Tak, tylko... musiałem się dowiedzieć... – I Noxon, zawstydzony, choć właśnie udało mu się wykonać najważniejsze zadanie, zaczął się cofać, tnąc czas, i tym razem – wreszcie! – cofanie oznaczało zmierzanie w przeszłość, prawdziwą przeszłość, pełną ludzi i nadziei.

Rozdział 17

NA RATUNEK DZIECKU

Po powrocie do gospody w Przystani Bochen i Lejka zaproponowali, żeby Umbo został z nimi przynajmniej przez kilka dni, zanim wróci do Rigga, Param i Oliwienki w świecie Lara. Umbo chętnie się zgodził. Powiedział, że jest zmęczony podróżą i że jedzenie w gospodzie mu smakuje, choć wszyscy wiedzieli, że nie chodzi tylko o to. Umbo nie miał rodziny, ale jej potrzebował. Bochen był więc dla niego przyjacielem i ojcem. Lejkę Umbo znał krócej, lecz w końcu to dzięki niemu Bochen z Lejką znowu się spotkali.

W gospodzie zaczęli się pojawiać klienci. Umbo zaproponował, że będzie pomagał w ich obsłudze, Lejka jednak kategorycznie odmówiła:

– Nie masz nic wspólnego z kuchnią i stołem – oprócz tego, że jesz. Więc jedz albo nie jedz, ale nie wchodź mi w drogę.

Swoje słowa złagodziła klepinięciem go w ramię. Było to klepinięcie w jej stylu – komuś innemu mogłoby się wydać szturchańcem, ale ponieważ nie rzuciło Umba na ścianę ani na podłogę, można je było uznać za delikatne.

Umbo wziął piętękę chleba z kawałkiem sera i wyszedł na ulicę. Ruszył na południe bez żadnych konkretnych planów, choć wiedział, że tą drogą przyszedł kiedyś z Riggim do Przystani Lejki. Może zaprowadziła go tu tęsknota? Pomyślał o przyszłości. Przez chwilę zastanawiał się nad Riggim – oboma Riggami, ale zwłaszcza Noxonem, który skromnie przydzielił sobie miano kopii, choć był tak samo Riggim jak ten pierwszy. Noxonem, który przysłużył się Param o wiele lepiej od Umba. Noxonem, który opuścił Arkadię, może na zawsze, szukając jednej bladej szansy uratowania świata.

Uratowania po co? Dla kogo? Jaki cel ma ten świat? Czy warto go ratować? Zwłaszcza jeśli – tak jak w przypadku Noxona – nie ratuje się go dla siebie?

Więc dla mnie? Co zrobię z tym światem, jeśli zostanie ocalony? Co zrobią inni? To, co zawsze. Będą spółkować, rodzić dzieci, żeby te dzieci dorosły i miały własne dzieci. Replikacja genów. To wszystko?

Może to wystarczy. Ewolucja doprowadziła nas w miejsce, w którym naszą największą rozkoszą jest seks, a największą radością – udany rozród, więź z naszymi

dziećmi i ich dziećmi. Param wybrała go na współwładcę, który pomoże jej zdobyć wielkie królestwo, ale czy Bochen i Lejka nie znaleźli sobie lepszego celu? Chcieli dzieci i może teraz, mając maskę, Bochen zdoła zostać ojcem. Może? Po co się zastanawiać, skoro Umbo umie skoczyć w przyszłość i sprawdzić to osobiście? Dopiero odkrył, że potrafi przenosić się w dowolny moment w czasie, w którym żył. Więc dlaczego tego nie robi? Może się przekonać, czy Bochen i Lejka doczekali się dzieci, a jeśli się okaże, że tak, to zyska pewność, że będą szczęśliwi. A jeśli nie będą... to zatrzyma tę informację dla siebie.

Innymi słowy, nie mógł zrobić z tą informacją nic. Nie tak jak w czasach, gdy wysyłał wiadomości w przeszłość, żeby przestrzec siebie lub innych przed katastrofalną decyzją. To, co chciał zrobić, przypominało podsłuchiwanie albo czytanie cudzych listów. Jeśli nikomu nie powie, ta wiedza nie będzie go cieszyć, i w dodatku trudno mu będzie ją ukryć niezależnie od tego, czy informacje będą dobre, czy złe. Ale jego żądza poznania była nienasycona, zwłaszcza że wiedział, iż może się dowiedzieć czegoś niedostępnego dla innych.

Zjadł ostatni kęs chleba i jak zwykły podróżny, który chce sobie ulżyć, zszedł z drogi w zagajnik. Te drzewa posadzono przy uczęszczanych gościńcach właśnie w tym celu.

Stał przez chwilę, by wyczuć, że dobrze oznaczył ten moment na swojej wewnętrznej linii czasu, żeby wrócić tu zaraz po zniknięciu. Ktoś, kto by go zobaczył wyłaniającego się z zagajnika po kilku minutach, nie domyśliłby się, że Umbo skoczył o kilka lat w czasie, został tam tyle, ile chciał, i wrócił.

I tak Umbo skoczył w przyszłość. Tylko po to, żeby się przekonać.

Na porę swojego przybycia do Przystani Lejki wybrał wczesne popołudnie ciepłego wiosennego dnia. Nie mógł pójść do gospody; nie chciał się przyznawać, że jest Umbem z przeszłości, sprawdzającym, jak rozwinęła się sytuacja. A co by było, gdyby spotkał samego siebie i niechcący stworzył bezużyteczną kopię?

Idąc w kierunku miasta, zauważył, że kilka domów zniknęło. Sterczące w niebo kominy, poczerniałe ruiny, zapadnięte i osmalone dachy świadczyły o pożarze. Nieco dalej ujrzał domy handlarzy – zabite deskami lub opustoszałe, z wybitymi szybami. Zdarte okiennice leżały na ziemi. Ale inne budynki wyglądały dość dostatnio. Najwyraźniej przyszłość kryła w sobie jeszcze inne zagadki niż ta, która szczególnie interesowała Umba.

Warsztat starego gadatliwego stolarza był otwarty. Dobiegał z niego odgłos piłowania drewna. Umbo wszedł do środka. Przez chwilę jego wzrok przywykał do ciemności – ale tak, wewnątrz zobaczył staruszka metodycznie przeciągającego piłę przez kawałek szlachetnego drewna. Mężczyzna nie znał Umba, choć mógł go kiedyś widzieć. Umbo raczej nie zaglądał do warsztatów, ale teraz miał powód: chciał zdobyć informacje i był pewien, że stolarz mu je przekaże.

– Widzę, że trudne czasy nie odebrały panu pracy – odezwał się Umbo.

Mężczyzna powoli podniósł głowę.

– Słyszałem, jak wchodzisz. Nie jestem głuchy.

Umbo nie odezwał się szczególnie głośno, więc nie wiedział, skąd podejrzenie, że traktuje staruszkę jak głuchego.

– Trudne czasy – powtórzył stolarz z pogardą.

– Warsztaty nie pracują – odparł Umbo. – Co miałem pomyśleć?

– Czas nie są cięższe niż gdzie indziej.

– To skąd ta pustka?

Mężczyzna splunął na podłogę.

– Myślisz, że wyciągniesz ze mnie coś niewłaściwego?

– Nie miałem takiego zamiaru. Żyłem w lasach za Stromogórem i przypląnąłem tu rzeką.

– Nie przyszedłeś od strony rzeki, tylko gościńcem.

Najwyraźniej więc stolarz nie pracował bez przerwy, bo drogi nie można było zobaczyć z warsztatu.

– Ostatni odcinek przeszedłem pieszo. Jestem młody i chodzę szybko. Oszczędziłem pieniądze, które mam nadzieję wydać dziś na kolację.

– Nie prowadzę gospody – warknął stolarz i wrócił do pracy.

– A ja się tego nie spodziewałem. Zamierzam zjeść w gospodzie Lejki.

– Ach, tak? – mruknął starzec. – Powodzenia.

– Dlaczego? – spytał Umbo z niepokojem. – Oni też stracili pracę?

– Można tak powiedzieć. Ludzie nie chcą być obsługiwani przez zmarłych ani spędzić nocy w miejscu morderstwa.

– Zmarłych? – szepnął Umbo.

– Zatem naprawdę długo cię nie było. To się zdarzyło zeszłej jesieni. Prawie pół roku temu.

– Choroba?

– Ten mężczyzna, stary żołnierz, Bochen, umarł z powodu choroby... w pewnym sensie. Wrócił z wyprawy z brzydkim grzybem na twarzy. Wydawało się, że to coś nie robi mu krzywdy... Nawet dodawało mu sił. Ale ładny nie był i jakiś podróźny musiał się poskarżyć na potwora, który zawładnął gospodą, bo zjawili się żołnierze.

– Żołnierze?

– Króla Haddamandera. Nikt z naszych ich nie wezwał, możesz być pewien. Przyszli tu i chcieli mnie zmusić, żebym o coś oskarżył Bochna. O cokolwiek. Było im wszystko jedno, ale chcieli mieć pretekst, bo brzydota na razie jeszcze nie jest zabroniona prawem. Nie spodobało im się to, co im powiedziałem, więc mnie skopali.

– Bardzo mi przykro – powiedział Umbo.

– Nie twoja wina, chyba że jesteś ich wodzem, a nie wyglądasz, bo wszyscy oni są bogaci – rodzą się z pieniędzmi albo zdobywają je po drodze.

- Może mi być przykro, choć nie jestem winien – zauważył Umbo.
- I możesz być uznany za winnego, a nikomu nie będzie z tego powodu przykro ani niezręcznie. Możesz donieść, że to powiedziałem, zaczyna mi być wszystko jedno.
- Nie jestem szpiegiem.
- Szpieg właśnie to by powiedział.
- Podobnie jak uczciwy człowiek – odparł Umbo spokojnie. – Skoro nie znaleźli nic na starego Bochna...
- Znaleźli. Zdradę stanu. Oskarżyli go, że był kapitanem Ropuchą króla rebelianta, który łupi cały Kosmoland. Wszyscy wiedzieliśmy, że to bzdura. Nikt nie był bardziej czułym ojcem. Bochen nie oddalił się od gospody dalej niż po zakupy. Kiedy miałby czas na najazdy? Wiem, że Ropucha podobno jest brzydki, ale nie sądzę, żeby mieli na niego coś więcej.
- „A zatem Bochen został ojcem”. Ale ta sprawa mogła trochę poczekać.
- Aresztowali go?
- Aresztowali? Tak było w dawnych czasach. Teraz nie ma procesów, więzienia ani aresztowań. Stary Bochen początkowo walczył, ale wtedy wywlekli jego żonę, tak przerażoną, że odebrało jej mowę, jeśli jesteś w stanie w to uwierzyć. Gdy rzucili ją na ziemię, Bochen spuścił z tonu, choć nawet wówczas nie błagał o życie – ani własne, ani jej. Zabrali go nad rzekę, poderżnęli mu gardło i wrzucili do wody. Wszyscy to widzieliśmy – spędzili nas tam, żebyśmy zobaczyli, jak król Haddamander wymierza sprawiedliwość. I zobaczyliśmy. Zobaczyliśmy, jak Lejka wyła i walczyła, ale królewscy nie słuchali jej, tylko przebili ją mieczem i powiedzieli: „Ona także była rebeliantką. Widzieliście, jak sprzeciwia się królowi”. A my patrzyliśmy na to bez słowa, zapewniam cię, bo spalono już dość domów, po których zostało tylko wybite okno czy zdarta okiennica, dość ludzi znikło w nocy. Ale kiedy wyrzucili dziecko z okna na piętrze, odwróciliśmy się. Dość już widzieliśmy na jeden dzień. Kapitan chyba poczuł, że za daleko się zapędził. Nie chciał stawiać czoła zamieszkom. Pozwolił więc nam odejść, wrócić do domów. Ale krzyknął, że dziecko potworów nie ma prawa żyć. Nie wiem, czy chodziło mu o Bochna, bo był tak brzydki, czy o oboje, ponieważ oskarżono ich o walkę przeciwko królowi.
- Więc Bochen i Lejka mieli dziecko...
- Stary stolarz spojrzął na niego z dziwną przebiegłością.
- Jak mogłeś o tym nie wiedzieć?
- Nie było mnie dwa lata – wyjaśnił Umbo, trochę mijając się z prawdą, ale niewiele. Nie potrafił określić czasu, jaki przeskoczył.
- Tak, urodziło im się dziecko. I podrosło na tyle, że zaczęło raczkować. Ale latać nie potrafiło, maleństwo. Nie miało skrzydeł, oj, nie miało, więc spadło na ziemię, a oni wrzucili je do rzeki razem z rodzicami. W rzece płynie już chyba sama królewska sprawiedliwość. Musieli postawić tamę u jej ujścia w Aressa Sessamo.

– Na Silboma... – szepnął Umbo. – Nie miałem pojęcia.
– Jak mogłeś się tu dostać ze Stromogóru i nie wiedzieć, co się dzieje? Przefrunąłeś?
– Głównie spałem. A załoga nie miała ochoty ze mną gadać. Teraz chyba rozumiem dlaczego. Nie wiedzieli, czy nie jestem okiem lub uchem króla.

Stary stolarz burknął coś i wrócił do pracy.

– Możesz na mnie donieść, jeśli chcesz. Już jestem gotowy na rzekę bez pomocy króla czy królowej. Moje dzieci mieszkają daleko stąd, choć niewystarczająco daleko. Nawet Mur nie jest wystarczająco daleko.

„Ja potrafię przez niego przejść – pomyślał Umbo – ale nie mogę cię przeprowadzić. A zresztą twoje życie nie stałoby się lepsze, gdybyś opuścił ten świat”.

Owszem, stałoby się. Bo teraz Umbo rozumiał wszystko – a raczej sądził, że rozumie. Rana nie uśmierciłaby Bochna. Maski zaleczyłaby ją, zanim dopłynąłby na drugi brzeg. Ale nie pomogłaby Lejce ani ich synowi. Tych dwoje nie żyło. Wtedy Bochen prawdopodobnie zaczęłyby szukać jednego z nich, manipulujących czasem. I przyłączyłby się do króla rebelianta, by wrócić w samą porę, aby...

Kim jest ten król rebeliant, jeśli nie mężem Param? Czy to Umbo? A może Rigg postanowił zażądać praw do tronu jako pierworodny syn Knosso Sissamika i Hagii Sessamin? Dlaczego nie królowa rebeliantka? Czy coś się stało z Param? A może w tych okolicach przedkładano Króla w Namiocie nad Królową? Ale nie, to nie dlatego wszystko wydawało mu się niewłaściwe. To wszystko było niemożliwe, bo dopóki na tym świecie znajdował się choć jeden chronomanta, coś takiego nie mogłoby się wydarzyć. Wszyscy byli przyjaciółmi Bochna. Gdyby się dowiedzieli, co zrobił Obywatel Haddamander, jedno z nich udałoby się do Bochna i Lejki i ostrzegło, żeby zabrali syna i uciekali.

W pierwszej chwili Umbo pomyślał, że to Bochen – z tą swoją twarzą – służąc królowi rebeliantowi, dał początek opowieściom o kapitanie Ropusze. Ale Bochen mógł się cofnąć w czasie, by dowodzić walkami z Obywatelem Haddamanderem, jedynie z pomocą kogoś manipulującego czasem, a ten ktoś zapobiegłby śmierci Lejki i jej pierworodnego.

Zatem kapitanem Ropuchą mógł być tylko Rigg. Opis maski pasowałby do Bochna na tyle, by uzasadnić pewność żołnierzy, że znaleźli podejrzanego. Nie usprawiedliwiało to ich czynów, ale wyjaśniało, dlaczego zabili Bochna.

Teraz wszystko stało się jasne albo dość jasne. Nadeszła pora, by zapobiec tej katastrofie. Jeśli Umbo mógł uratować swojego szalonego młodszego brata, mógł też uratować swoich najbliższych przyjaciół.

Ktoś stanął w drzwiach warsztatu. Stolarz skinął głową. Umbo odwrócił się gwałtownie, spodziewając się zasadzki, ale ujrzał tylko kobietę, o wiele za młodą, by mogła być żoną stolarza. Trzymała pod pachą zawiniątko. Nie zawiniątko. Dziecko. Otulone tak ściśle, że wyglądało jak tobolek.

– Musisz je zabrać – powiedział stolarz.

Umbo milczał.

– Żołnierze nie wiedzieli o ich drugim dziecku – dodał cicho starzec. – Lejka nie mogła karmić, więc w godzinach pracy gospody chłopczyk znajdował się u Darii. Tylko ich starszy synek był w domu, bo został szybko odstawiony od piersi. Przechowaliśmy to maleństwo i nikt nie pisnął ani słówka, ale i tak może sprowadzić na nas śmierć.

– Dlaczego mi to mówisz? Jak możesz mi ufać?

– Myślisz, że cię nie znam? Tyle razy bywałeś u Bochna i Lejki...

– W dawnych czasach... ale, jak powiedziałem, od...

– Gdybym chciał cię zdradzić – rzucił zapalczywie stolarz – w drzwiach staliby ludzie Haddamandera, nie Daria. Wiemy, kim jest król rebeliant, mąż królowej Param, prawdziwy pan Kosmolandu, przekleństwo Sessaminki. No, powiedziałem to. Jeśli musisz mnie teraz zabić, zrób to. Ale zabierz to dziecko. Tylko ono zostało po Bochnie i Lejce. A potem dopadnij tego podłego króla i zrób z nim to, co on zrobił z Bochnem, Lejką i ich starszym synem.

„Więc to ja byłem królem rebeliantem” – pomyślał Umbo. Ale skąd oni o tym wiedzą? Co robiłem przez te lata? Jak to możliwe, że znają moją twarz? I jak mogli zgadnąć, że chłopiec, który czasem mieszkał u Bochna i Lejki, stał się królem buntownikiem? Jeśli oni to wiedzą, to pewnie i inni. Generał Obywatel musiał się dowiedzieć o moich związkach z Bochnem. To dlatego kazał ich zabić, nie z powodu pomyłonej tożsamości.

A teraz to dziecko... Jak mam wyjaśnić, że nie muszę go zabrać, że wystarczy, żebym cofnął się w czasie i po prostu zapobiegł morderstwu? No, ale skąd wiadomo, że gdybym wrócił i ich ostrzegł, to dziecko by się w ogóle urodziło? Mogliby spółdzić inne, ale kiedy opuszczą Przystań Lejki, do czego niewątpliwie dojdzie, ich drugie dziecko nie zostanie poczęte w tym samym czasie, ten sam plemnik nie wniknie w tę samą komórkę jajową. Uratuję Bochna i Lejkę oraz ich pierworodnego, jeśli zostanie poczęty, ale to dziecko nigdy się nie urodzi.

Umbo wyciągnął ręce i przyjął maleństwo. Nie było niemowlęciem, jak się spodziewał. No, oczywiście. Przecież Lejka zginęła prawie pół roku temu.

– Nie jest odstawione od piersi? – spytał.

– Będziesz musiał znaleźć mamkę – powiedziała Daria. – To dobre dziecko. Mocno śpi. Chętnie je.

– Jesteście gotowi się z nim rozstać?

– Żeby ocalić mu życie? Jak inaczej mogłabym powiedzieć, że je kocham?

Dziecko spojrzało na Umba nieruchomym wzrokiem. W tym spojrzeniu kryły się inteligencja, brak strachu i przymilności.

– Jak ma na imię?

– Ośmielisz się go używać? – mruknął stary stolarz.

– Mimo to powinienem je znać.

– To byli dziwni ludzie – powiedziała Daria. – Wystarczy przypomnieć sobie ich imiona. Nikogo więc nie zdziwiło, gdy pierwszemu synkowi nadali imię Kółek, a drugiemu Kwadrat. Ale ja nigdy tak nie mówiłam do tego maleństwa.

– A jak? Jakie imię słyszało?

Daria spuściła wzrok.

– Hm... Wiesz, że jego ojciec miał na imię Bochen, więc... zaczęłam go nazywać Biskopciem. To nie jest prawdziwe imię, tylko przydomek, śmieszne przezwisko.

– Ale takie imię zna. Ja nie będę go nim nazywać, lecz zapamiętam oba i pewnego dnia mu je zdradzę.

– Lepiej już idź – powiedział stolarz. – W tej wiosce, jak we wszystkich, są szpiedzy. Niewątpliwie widziano, jak się tu zjawiłeś, a wiem, że na pewno zobaczono Darię z małym. Pewnie wiedzą wszystko o dziecku i może wykorzystają je jako przynętę.

Umbo pomyślał o powrocie na drogę z dzieckiem w ramionach, o jakichś dwóch kilometrach marszu do zagajnika, w którym wykonał skok w przyszłość. Jeżeli naprawdę ktoś zastawił pułapkę, może strzelić do niego z łuku. I nawet jeśli ani on, ani dziecko nie zostaną ranni, będzie musiał skoczyć w czasie na oczach napastników. Jednak skoro chronomanci tak długo zachowali swoje zdolności do manipulacji czasem w sekrecie, byłoby szkoda ujawnić je wrogom.

– Znam sposób ucieczki, który nie będzie wymagał powrotu na gościniec – oznajmił.

Stolarz skinął głową. Oczy Darii rozszerzyły się lekko i błysnęły.

– Słyszeliśmy, że umiesz znikać, panie. Zniknij więc, rozwiej się jak dym na wietrze.

– Nie chcę, żebyście to widzieli. Powinniście mieć szczerę spójrznię, gdy przyjdzie wam powiedzieć: „Ten chłopak pytał tylko o Bochna i Lejkę, a potem zniknął, nie wiem jak ani gdzie”.

– Spytają o dziecko – odezwał się stolarz.

– Wszyscy wiedzą, że Daria była dla kogoś mamką. Nie możecie powiedzieć, że rodzina przysłała po dziecko i że je oddaliście?

– Coś wymyślimy – zdecydował stolarz. – Nie trap się tym, to nasza sprawa. Jeśli szczęście nam sprzyjało, nikt nie zobaczył ciebie ani Darii i nie będzie pytał.

– Mam nadzieję, że za to nie zapłacicie.

– Spraw, by królowa Param zasiadła w Namiocie Światła zamiast swojej matki, a twoje chude siedzenie na miejscu króla Haddamandera, a będzie warto ponieść za to cenę.

– Święty Silbom otoczy dziecko opieką, a Wędrujący Święty pobłogosławi cię w podróży – powiedziała Daria, pochyliła się i pocałowała dziecko.

– Zostańcie tu i przez chwilę porozmawiajcie – poradził Umbo. – Może podzielicie

się chlebem, żeby Daria miała powód tu zostać. Ja wyjdę przez izbę na zapleczu.

– Zamknąłem tamte drzwi dla ochrony przed złodziejami – ostrzegł go stolarz.

– Będziesz więc musiał je znowu zamknąć po moim wyjściu. Jeśli ktoś zapyta.

Sam Umbo miał ochotę spytać, czy w chwili niedługo po tym, jak opuścił gospodę Lejki, w warsztacie nie było nikogo, żeby móc skoczyć bezpiecznie w przeszłość. Gdyby miał dar Rigga i Noxona, mógłby poszukać ścieżek i znaleźć moment, w którym stolarz wyszedł na zewnątrz. A tak nie pozostało mu nic innego, jak liczyć na traf. Jeśli źle wymierzy, będzie musiał znowu skoczyć tak szybko, żeby ewentualny świadek nie był pewien, co widział, jeśli w ogóle cokolwiek zobaczy.

Umbo poszedł na zaplecze, w którym trzymano deski, narzędzia i artykuły żelazne, i zamknął za sobą drzwi. Rozejrzał się, szukając miejsca, w którym raczej nie stałyby meble, i zdecydował się na przestrzeń tuż za zamkniętymi na klucz drzwiami wyjściowymi. Następnie cofnął się w czasie do dnia, z którego przybył, ale o sześć godzin później. Gdy odszedł, zmierzchało, teraz panowała głęboka noc. Umbo stanął w milczeniu, tuląc dziecko i nasłuchując. Z pokoju na górze dolatywał go odgłos oddechu starego człowieka. Śpiącego starego człowieka.

Umbo założył, że będzie musiał wyjść przez drzwi frontowe, ale nie. Były to spokojniejsze czasy, zanim generał Obywatel ogłosił się królem Haddamanderem. W drzwiach na zapleczu nie było zamka, tylko zwykły haczyk, wyraźnie widoczny w świetle wpadającym przez wysokie okno bez zasłon i okiennic. Uniósł haczyk – piękny, solidny, w mistrzowsko wykonanych drzwiach. Wszystko działało gładko i bezgłośnie. Zamknął za sobą drzwi i zaniósł dziecko za rząd warsztatów, gdzie zaułek wychodził na plac. Nie spieszył się, nie starał się ukrywać. Szedł spokojnie do drzwi gospody.

Oczywiście były zaryglowane – nie ma sensu zapraszać złodziei i włamywaczy.

Normalnie po prostu przeskoczyłby przez płot warzywnika, ale z dzieckiem w objęciach ta sztuka by mu się nie udała. Dlatego obszedł ogrodzenie i znalazł miejsce niewidoczne dla przechodniów z placu ani z okien pobliskich sklepów i domów. Potem przeniósł się do popołudnia, na parę chwil po tym, jak oddalił się do tego zagajnika drogą biegnącą na południe. Teraz gospoda była czynna, klienci wchodzili do niej i wychodzili, a on mógł pociągnąć za sznurek, który wprawiał w ruch dzwonek w kuchni, oznaczający dostawy.

Dobiegły go przekleństwa Lejki, a potem ryk:

– Wróc jutro! Dziś nie chcę żadnych dostaw!

– W takim razie zostawię to pod furtką! – odkrzyknął.

Drzwi natychmiast się otworzyły i rozległy się ciężkie kroki.

– Nie do wiary, z czym ja się muszę użerać! – krzyknęła Lejka, ale ledwie otworzyła furtkę, wyraz jej twarzy się zmienił. Spojrzała na dziecko. – Nie miałeś dość czasu, żeby zrobić dziecko jakiejś dziewczynie – powiedziała cicho.

– To by była szybka ciąża – zgodził się Umbo.

– Wchodź, ty wariacie. Zakładam, że jak każdy porywacz wolisz pozostać niezauważony...

– Nie jestem porywaczem, ale tak, chciałbym się dostać na górę tak, żeby nikt nie zobaczył tego tobołka.

Lejka zaprowadziła go do kuchni, gdzie luźno owinęła dziecko upranym workiem po mące i na powrót oddała je Umbowi.

– Zabierz to na górę i zostaw w moim pokoju, ale uprzedzam, wiem, gdzie co leży! – rzuciła na tyle głośno, żeby wyjaśnić jego obecność klientom, którzy mogli go zobaczyć na schodach.

Umbo przewinął dziecko. Worek przydał się jak znalazł, bo Biskopczik śmierdział. Nie mając świeżej pieluszki, Umbo mógł go tylko rozebrać, rozedrzeć worek na pół, wytrzeć małego jedną połową, a drugą owinąć, mniej lub bardziej dokładnie. Przez cały ten czas Biskopczik patrzył mu w oczy, na chwilę tylko zerkając na pokój. Umbo nieustannie do niego szeptał.

Minęło kilka godzin i w sali na dole znacznie ucichło. Drzwi do pokoju otworzyły się i do środka wtargnęła Lejka, prawie wlokąc za sobą przestraszoną młodą kobietę.

Darię.

Umbo omal nie powitał jej imieniem. W porę się powstrzymał. Ta Daria jeszcze nie słyszała o Biskopcziku.

– To Daria – rzuciła Lejka. – Niedawno urodziła dziecko, no i spójrz na te cycki. Mogłaby wykarmić czworo takich robaczków.

– Ja nie...

Lejka nie pozwoliła jej skończyć:

– Idealnie nadajesz się na mamkę i potrzebujesz pieniędzy. Jeśli ci się nie spodoba, przestaniesz to robić, ale nie dziś i nie dopóki nie znajdę kogoś innego, jasne?

Daria skinęła głową i wyciągnęła ręce po dziecko.

– Śmierdzi kupą – stwierdziła Lejka. – Przewinąłeś go już?

Skąd znała płęć małego? A może o wszystkich dzieciach mówiła „on”, dopóki nie poznała ich bliżej?

– Na ile mogłem, ale znowu potrzebuje czystej pieluszki – powiedział Umbo. – Ten worek chyba nie jest zbyt chłonny.

– Jest, jeśli go odpowiednio złożyć – warknęła Lejka. – Myślałam, że miałeś młodsze rodzeństwo.

– I matkę, która zajmowała się przewijaniem, oraz ojca, który mówił, że opieka nad dzieckiem to babska robota, a jego syn nie będzie sobie brudził rąk niemowlęcym łajnem.

– Niewiele straciłeś – mruknęła Daria.

– Stracił niemal wszystko – odparła Lejka. – Niezbyt jest pojętny. Jak dziecko ma na imię?

Przez chwilę Umbo sądził, że Lejka pyta Darię, i spojrzał na nią wyczekująco.

– No, ja nie wiem – rzuciła ta, zniecierpliwiona.

Umbo pomyślał o imieniu, które Lejka wybrała dla małego, i jak nazywano dzieci w kraju, z którego pochodziło.

– Nazywałem go Góra Żarcia, bo tylko tego mu potrzeba do szczęścia.

– Nie pytałam, jak go nazywasz, tylko jak ma na imię – rzuciła Lejka.

– Zatem na imię ma Góra Żarcia. Ale możesz go nazywać Biskopcik.

– To zaledwie przekąska – burknęła Lejka.

– Bo to zaledwie dziecko – odparł Umbo, spoglądając jej w oczy.

– Chcesz go tu nakarmić? – spytała Lejka. – Nie ty, Umbo, widziałam cię bez koszuli i twoje sutki do niczego się nie nadadzą.

– Szybko go nakarmię i zabiorę do domu. – Daria spojrzała na Umba. – Czy najjaśniejszy pan czuje się dobrze?

Ponieważ Umbo pamiętał, że Daria znała go jako króla rebelianta, rzucił pospiesznie:

– Nie jestem...

Kobieta parsknęła śmiechem.

– Czy to nie urocze? Nie zna się na żartach.

– Muszę iść z tobą? – spytał Umbo.

– Nie, nie musisz – powiedziała Lejka. – Ona pójdzie do domu z braćmi, którzy czekają na dole. A ty musisz mi pomóc w warzywniku.

– Przecież jest ciemno.

– Te warzywa zbieramy przy świetle Pierścienia.

Bochen czekał na nich na dworze.

– Musisz nam sporo wytłumaczyć – rzucił.

– I wytłumaczę – zapewnił Umbo. – Bardzo chętnie. W odpowiedniej chwili.

– A kiedyż to mianowicie nadejdzie ta chwila? – spytała Lejka.

– Gdy wy odpowiecie na kilka moich pytań.

– Jeśli ci się wydaje... – zaczęła.

Bochen podniósł rękę.

– Znam tę jego minę. Cokolwiek uczynił, działał w dobrej wierze, a jeśli chce, żebyśmy odpowiedzieli na jego pytania, zrobimy to w miarę naszych możliwości.

– Pytania wydadzą się wam zbyt osobiste, obraźliwe i nieważne – ostrzegł Umbo.

– Jak większość tych, które zadajesz i które można by jeszcze opisać jako bezczelne i niezrozumiałe.

Umbo skinął głową, uznając tę uwagę za przyzwolenie.

– Muszę wiedzieć... czy Lejka jest już w ciąży – rzucił nie całkiem bez przyczyny. Z tego, co mówił stolarz, Kółek został poczęty przed ich wyprawą do murcii Vadesha.

– Nie twój... – zaczęła Lejka.

– Tak – rzucił Bochen. – Jest.

Umbo skinął głową.

– To chłopiec – powiedział. – Zamierzacie go nazwać Kółek. Okropne imię, nawiasem mówiąc.

– Bardzo ładne – odparł Bochen łagodnie. – O wiele szlachetniej jest dostać imię po figurze geometrycznej niż po wypieku.

– Na pewno – mruknął Umbo.

– Wiedziałaś, że jestem w ciąży... – powiedziała Lejka. – Skoczyłeś w przyszłość i tam się dowiedziałaś. Czy to nasze dziecko karmi Daria?

– To nie jest to dziecko, z którym w tej chwili jesteś w ciąży – powiedział Umbo – ale tak, twoje. To drugie nazwaliście Kwadrat.

– Dlaczego je porwałś? – spytał Bochen zadziwiająco spokojnie.

– Nie porwałem. Późniejsza wersja Darii ukryła go u siebie, kiedy was zabito.

W końcu zaczęli go uważnie słuchać i nie przerywali mu do końca opowieści.

– Generał Obywatel zabił dziecko? – spytała Lejka cicho.

– Tak. Przynajmniej tak mi opowiedzieli. Nie mam powodu im nie ufać.

– A Daria ukryła dziecko...

– Jej wersja. Późniejsza – wyjaśnił Umbo. – Ale w przyszłości, którą teraz tworzymy, nie zrobi tego, bo wyjedziecie na długo przed urodzeniem pierwszego syna.

– Nie tak szybko – zaproponował Bochen. – Kłopoty zaczną się za ponad rok.

– Ale nie wiemy, kiedy zaczęto was obserwować.

– Obudzimy podejrzenia, jeśli po prostu odejdziemy – stwierdził Bochen. – Muszę spróbować sprzedać gospodę. Pieniądze się przydadzą. Ale chodzi o to, żeby życie w wiosce toczyło się normalnie, tylko bez nas. Jeśli nie uda nam się jej sprzedać za kilka tygodni, wówczas odejdziemy, bo... otrzymamy wiadomość, że matka Lejki umiera.

– Nie mam pojęcia, czy w ogóle żyje – zaprotestowała Lejka.

– No, moja nie żyje z całą pewnością, jeśli ktokolwiek uwierzy, że w ogóle miałem matkę, więc to musi być twoja – wyjaśnił Bochen. Spojrzał przenikliwie na Umba. – To naprawdę nasze dziecko?

– Jest brzydkie i nudniejsze od trawnika – odparł Umbo. – Potrzebujesz jeszcze innych dowodów?

– Oto, co zrobimy – powiedział Bochen. – Ty udasz się do Muru i wezwiesz ładownik. Zostawisz go gdzieś blisko – w przeszłości, jeśli trzeba – a potem przyjdiesz po nas, gdy sprzedamy gospodę albo przestaniemy szukać kupca.

– Skąd będę wiedział, że to już?

– Będziesz sprawdzać, aż się dowiesz – warknęła Lejka. – Skoro nie potrafisz wpaść na takie rozwiązanie, to dziwne, że w ogóle umiesz się ubrać.

Znalezienie kupca na gospodę zajęło im dwa tygodnie. Nawet nie proponowali Darii, żeby z nimi pojechała, bo, jak to ujęła Lejka, „cycki pełne mleka są też w murchii Lara, a kiedy odejdziemy, Darii nie będzie nic grozić”. Gdy przybyli na plażę w świetle

Lara, Rigg i Ram Odyn nadeszli z drugiej strony.

– Dziwiłbym się zbiegowi okoliczności – powiedział Umbo – gdybym nie podejrzewał, że Ramex wyjawiał temu czy owemu zbędnemu, gdzie jesteśmy.

– Niewiele osób ma upoważnienie do wezwania lądownika – odparł Rigg. – Zawsze zamierzałem tu dotrzeć tuż przed waszym przybyciem.

– Wygląda na to, że musimy wypędzić generała Obywatela z Namiotu Światła – zauważyła Param. – Czy wy też tak uważacie?

Tak uważali.

– W takim razie musimy opracować plan – oznajmiła Param. – Rigg jako kapitan Ropucha i Umbo jako król rebeliant to już coś, ale to dopiero początek. Czy komuś przyszło do głowy wezwać Oliwienkę? Czas wykorzystać całą militarną wiedzę, jaką udało mu się zgromadzić.

Rozdział 18

UKRYWAJĄC SIĘ PRZED PRZYSZŁOŚCIĄ

Noxon nie poczuł tak wielkiej ulgi, jak się spodziewał.

Pierwszy etap jego misji zakończył się całkowitym sukcesem. Udało mu się przenieść statek wraz z Ramem Odynem, myszami i śpiącymi kolonistami do normalnego strumienia czasu, płynącego z przeszłości do przyszłości. Ale teraz, na orbicie Ziemi, uświadomił sobie, że to była prosta techniczna kwestia. Prawdziwy cel wyprawy nadal miał przed sobą. Noxon musiał znaleźć miejsce, z którego mógłby obserwować powrót Gości z Arkadii, by zrozumieć, dlaczego Ziemianie postanowili wysłać Niszczycieli. Co z tego, że przeniósł zaginiony statek do właściwego strumienia czasu, skoro nie ocali planety?

– Niełatwo się domyślić, gdzie konkretnie na Ziemi znajduje się statek Gości – powiedział Ram Odyn. – Znaleźliśmy się w czasach, w których nie ma elektronicznych sygnałów, nie możemy więc sięgnąć do strumienia danych i znaleźć daty i godziny.

– Przepraszam, że nie mogłem nas sprowadzić w zaplanowany moment. Skakałem na oślep.

– Nikt cię nie krytykuje.

– My krytykujemy – odezwała się mysz znajdująca się tuż przy uchu Noxona.

Może żartowała. Ale nie. Reszta uczepionych jego ciała towarzyszek wszczęła harmider, a maska rozdzieliła go na poszczególne głosy:

– Dlaczego marnujemy czas na domyślanie się, w jakich czasach się znaleźliśmy?

– Nie możemy tu zostać niezależnie od tego, co to za czasy.

– Jesteśmy nową gwiazdą i ktoś nas zauważy.

– Fakt, że nie mają statków kosmicznych, nie oznacza, że nas nie widzą.

– Gdzie ukryjecie statek? Oto jest pytanie!

Noxon musiał je uciszyć, żeby usłyszeć własne myśli.

– Czekaście! Przestańcie! – rzucił.

– Mówisz do myszy? – spytał Ram Odyn.

– Łatwo się ekscytują – wyjaśnił zbędny.

– Ale mają rację – powiedział Noxon. – Nieważne, w jakich czasach się znaleźliśmy. Musimy wymyślić, jak ukryć ten statek, a potem przenieść się w przyszłość i zrozumieć, dlaczego ludzie postanowili zniszczyć Arkadię.

– Ukryć statek? – zdziwił się Ram Odyn. – Jeśli nie mają teleskopów...

– Musimy to zrobić, zanim przeniesiemy się w przyszłość – oznajmił Noxon. – Nie możemy go zostawić na orbicie.

– Zgoda – powiedział zbędny. – Jeśli ustawimy się na geosynchronicznej orbicie nad Pacyfikiem, dla Polinezyjczyków staniemy się nieruchomą gwiazdą. Ale kiedy dotrą tam Europejczycy, będziemy najintensywniej badanym obiektem na niebie.

– Gdy ludzie zaczną podróżować w przestrzeni kosmicznej – dodał Ram Odyn – w pierwszej kolejności natrafią na ten statek, na długo zanim nauczą się takie konstruować. Zostawienie go w kosmosie zmieni wszystko.

– Może już coś zmieniło – zauważył zbędny – a im dłużej nad tym debatujemy, tym więcej powstaje opowieści o dziwnej gwiazdzie na niebie.

– Dobrze, że nie zawiśliśmy nad Betlejem – mruknął Ram Odyn.

– Palestyna znajduje się za daleko na północ od równika – oznajmił zbędny. – A statek zdobył pewne dane, bazując na rozmieszczeniu osad i istniejącej technologii. Nie ma szyn ani ważnych kanałów. Ale nowe budynki w Konstantynopolu zbudowali Turcy i w Amerykach widać osady przybyszy z Europy. Z tego, co wiemy, obserwuje nas Galileusz. Nie chcemy, żeby Kopernik włączył nas do swojego heliocentrycznego modelu.

– Cofnij nas bardziej – polecił Ram Odyn.

– Nadal nie mogę z tej odległości znaleźć niczyjej ścieżki – powiedział Noxon.

– Po prostu znowu skoczmy wstecz. Tylko dalej. O wiele dalej.

Noxon przytrzymał się ściany i wyciągnął rękę do Rama Odyne.

– Musimy to robić za każdym razem? – spytał ten.

– Nie wiem. Ale jeśli tego nie zrobimy, a okaże się, że powinniśmy?

Ram Odyn wziął go za rękę.

– Czy myszy nadal się ciebie trzymają?

– Ślady ich łapek odbiły mi się na całym ciele – mruknął Noxon i zaczął szybko ciąć czas, zmierzając w przeszłość.

I znowu nie było na co patrzeć – statek nie miał okien, przez które można by wyglądać na zewnątrz. Ale po jakimś czasie komputery wyświetliły widok wielkiej połaci Ziemi widocznej z ich orbity, znajdującej się jakieś trzysta kilometrów nad powierzchnią.

– Jak biało – odezwał się Noxon. – Czyżby dzień był wyjątkowo pochmurny?

– Znajdujemy się nad półkulą północną – wyjaśnił zbędny – i chyba dotarliśmy w czasy zlodowacenia.

– Epoka lodowa – powiedział Ram Odyn. – Wiecie, które to zlodowacenie?

– Wszędzie powinni być ludzie – oznajmił zbędny.

– Podczas ostatniego – *Homo sapiens* i neandertalczyki. Ale to zlodowacenie trwało niemal sto tysięcy lat, więc nie określimy tego tak od razu. A jeśli to jedno z wcześniejszych zlodowaceń, spotkamy jeszcze pitekantry, które jakieś pół miliona lat temu nauczyły się używać ognia.

– Ostatnie zlodowacenie zakończyło się ponad dziesięć tysięcy lat temu – wyjaśnił Ram Odyn Noxonowi. – Więc rzeczywiście nieźle się cofnąłeś.

– Celowałem w co najmniej jedenaście tysięcy lat – odparł Noxon. – Jak wtedy, gdy szedłem za ścieżką kolcopióra, gdy rozbiłeś dziewiętnaście statków o powierzchnię Arkadii.

– Nie ja – sprostował Ram Odyn. – Moja kopia.

– Najważniejsze, że astronomiczne obserwacje z tej ery nie zostaną zapamiętane i spisane – oznajmił zbędny. – Ale nadal musimy rozwiązać problem ukrycia.

Ponieważ Księżyc był tak wielki i wydawał się Noxonowi obcy, a także ponieważ zwracał się do Ziemi tylko jedną stroną, w pierwszej chwili chłopak chciał umieścić statek na jego niewidocznej powierzchni, ale Ram Odyn go wyśmiał.

– Ludzie wysyłali na ciemną stronę Księżyca satelity robiące zdjęcia na długo przed zbudowaniem tego statku. No i mamy jeszcze tę drobną kwestię, że połowa Księżyca została zdruzgotana.

– Zatem nie możemy zostawić statku w przestrzeni kosmicznej – zrozumiał Noxon. – Ale na Ziemi też nie możemy nim wylądować. Zanim ten statek powstanie, ludzie poznają każdy centymetr jej powierzchni, prawda?

– Fotografie satelitarne znajdują zaginione cywilizacje nawet po tysiącach lat na podstawie śladów kanałów irygacyjnych i fundamentów zabudowań – odezwał się zbędny.

– Zatem nie możemy ukryć go nawet pod ziemią – westchnął Noxon.

– A jego kadłub nie wytrzyma naporu wody – dodał Ram Odyn. – Czyli nie możemy go zatopić w oceanie.

– Nawet jeśli otoczmy go polami, które chroniły go przed zderzeniem z powierzchnią Arkadii? – spytał Noxon.

– Koszt utrzymania tak silnego pola można ponieść tylko raz, wykorzystując temperaturę, która powstanie podczas wejścia w atmosferę. W oceanie statek musiałby wytrzymać tysiące lat pod nieustannym ciśnieniem. A i tak mógłby zostać znaleziony.

– Mógłby zostać znaleziony właśnie z powodu tych pól – odezwał się zbędny. – Nie zapominajcie, że są wytworem ziemskiej technologii. Nie ma szans, żeby takie pole na powierzchni planety lub pod nią nie zostało wykryte, gdy zbliżymy się do czasu, w którym zbudowano ten statek.

I znowu myszy wystąpiły z tysiącem propozycji. Noxon zastanowił się nad nimi i wybrał najbardziej przekonującą.

– Myszy mówią, żebyśmy schowali go pod lodem – zaraportował.

– Możemy się cofnąć w czasie, zanim powstały górne setki metrów lodu na Antarktydzie – przyznał zbędny. – Ale lód albo zmiążdży statek, albo pole, które będzie go chronić, zdradzi nasze położenie na wiele lat przed jego zbudowaniem.

Noxon i Ram Odyn spojrzeli na siebie ponuro. Myszy zebrały się pod ubraniem Noxona i coś pomruczały do siebie. Potem zaczęły skandować:

– Głupi! Głupi! Głupi!

– Myszy mówią, że jesteśmy głupi – oznajmił Noxon, a myszom odpowiedział: – Siebie także zaliczacie do głupków czy macie jakieś oczywiste rozwiązanie, które przegapiliśmy?

Rozwiązanie, gdy Noxon je już zrozumiał, było czarująco proste.

– No oczywiście! – rzucił i przekazał je Ramowi Odynowi. – Myszy zauważyły, że statek nie musi przetrwać nietknięty. Zaparkujmy go sto tysięcy lat temu, w początkach ostatniego zlodowacenia, a potem niech lód go zmiążdży. Nie będziemy go używać w tym okresie, chcemy tylko, żeby go nie znaleziono i żeby nie zdradził się sygnałami, temperaturą czy jakimkolwiek polem.

Ram Odyn skinął głową.

– Cofniemy się w czasie i zabierzemy statek chwilę po tym, jak go tu zostawiliśmy. Gdy był jeszcze nowiutki. Więc to, co się z nim stanie tydzień po naszym odejściu, nie ma znaczenia.

– Nie całkiem – odparł Noxon. – Gdybyśmy na przykład zostawili myszy na statku, a one by nad nim zapanowały, mogłyby go podnieść z powierzchni Ziemi na długo, zanim lód by go skuł. Wtedy unicestwiłyby gatunek ludzki, zanim by się rozmnożył, i miałyby planetę dla siebie.

Myszy zaprotestowały tak głośno, że nawet Ram Odyn je usłyszał, choć nie mógł rozróżnić słów.

– Mówią, że nigdy by tego nie zrobiły, że nawet przez myśl im to nie przeszło. I mają do mnie pretensje za to, że uważam je za zdolne do takiej zdrady – przetłumaczył Noxon.

– Wierzysz im? – spytał Ram Odyn.

– Jestem pewien, że właśnie to zaplanowały – powiedział Noxon. – Ich jedynym celem od początku było dostanie się na Ziemię i powstrzymanie zniszczenia Arkadii. I osiągnęłyby go, nie dopuszczając do ewolucji ludzkości.

Znowu mysie protesty, ale gniewniejsze i krótsze. Noxon uznał to za potwierdzenie swoich podejrzeń.

– Mimo to ich pomysł ma sens – oznajmił. – Nie musimy łamać sobie głowy, w jaki sposób przechować statek tak, by w epoce postępu technicznego nadal był sprawny. Wrócimy do początku ery lodowej i go odbierzemy. Więc to, co się wydarzy pomiędzy zostawieniem go tutaj a momentem, gdy ustalimy w dalekiej przyszłości, dlaczego

Goście zaatakowali Arkadię, nie ma znaczenia.

– Mamy zabić wszystkich, którzy znajdują się na pokładzie? – spytał Ram Odyn.

– Pozbawione pola letargicznego ciała kolonistów rozłożą się po kilku dekadach, choćby pieczęcie na ich komorach sypialnych były nie wiadomo jak silne – powiedział zbędny.

– Zatem najbardziej humanitarnym rozwiązaniem – zwrócił się Ram Odyn do zbędnego – byłoby zostawienie statku tam, gdzie spodziewamy się pojawienia się pokrywy lodowej, zabicie wszystkich żywych pasażerów i zostawienie cię na tyle, żebyś upewnił się, że statek jest całkowicie pokryty lodem, po czym wyłączył wszystko na stałe.

Mówiąc o żywych pasażerach, miał na myśli także myszy, jeśli Noxon nie zamierzał ich zabrać w przyszłość. A nie zamierzał, ponieważ nie mógł im ufać.

Niektóre myszy słabo zaprotestowały, ale Noxon słyszał, jak inne przekonują je, że ten plan ma sens.

– Systemy podtrzymujące życie nie będą mogły istnieć przez sto tysięcy lat, choć mamy małe potrzeby – odezwał się mysi przedstawiciel. – Pod lodową skorupą oddychanie stanie się bardzo trudne. Ale zamiast nas zabijać, powinniście zabrać nas z sobą.

– Niezły podstęp – stwierdził Noxon. – Nawet jeśli nie przejmiecie statku, wystarczy, że zaczniecie się rozmnażać w czasach, gdy ludzie dopiero ewoluują. Mam dziwne wrażenie, że nawet jeśli pozwolibyście nam przeżyć, światem rządziłyby myszy.

– Dałyśmy słowo, że tego nie zrobimy! – krzyknęła jedna z nich w rozpacz.

– Chyba muszą wrócić do tego pudełka – powiedział Noxon. – Damy im tydzień, żebyśmy mieli czas wrócić z przyszłości, posłać po lądowik i znaleźć się tutaj, żeby znowu wystartować. A zatem, mój drogi zbędny, zechcesz się zająć wyłączeniem systemów podtrzymujących życie na statku tydzień po naszym odejściu?

– Naprawdę muszę? – spytał zbędny. – Nie wróćcie przed końcem tego tygodnia?

Noxon pokręcił głową.

– Musisz przeżyć tę wersję wydarzeń, w której nie wrócimy. Ale gdy wrócimy, ta twoja wersja, którą spotkamy, nie będzie pamiętała o wyłączeniu wszystkiego, więc będzie pewna, że nie musiałeś zabić myszy i kolonistów.

– To bez sensu – odezwał się Ram Odyn. – Wierzę ci na słowo, ale...

– Istnieję, ponieważ moja wersja, Rigg Sessamekesh, zabiła twoją wersję, Ramie Odynie, o wiele starszą od ciebie, żeby ta nie zabiła mnie. To się wydarzyło i ta moja wersja, która nosi imię Rigg, ma na sumieniu morderstwo. Tak jak wersja zbędnego, który wyłączy systemy podtrzymujące życie i będzie patrzeć na śmierć myszy i kolonistów.

– To znaczy, że będzie dwóch mnie? – spytał zbędny.

– Nie, bo kiedy statek wystygnie, zniknie z łańcucha przyczynowości. Gdy wrócimy, to, co się wydarzyło po naszym odejściu, nie wpłynie w żaden sposób na Rama i mnie. Dlatego martwa wersja statku nie będzie istnieć, gdy dokonamy zmiany.

– Mówisz, jakbyś rozumiał, o czym mówisz – mruknął Ram Odyn.

– Bo rozumiem. Powielają się tylko osoby, które stanowią część łańcucha przyczynowego. Gdy więc Rigg powstrzymał siebie przed zabiciem twojej starszej wersji, stworzył drugiego Rigga – mnie, który cię nie zabił – ale nie drugiego Rama Odyna.

– Ale tu jestem.

– Jesteś dwudziestym Ramem Odynem, który powstał w chwili, gdy statek stworzył dwadzieścia swoich wersji, i dobrze o tym wiesz. Droczyś się ze mną.

– Fakt – przyznał Ram Odyn. – Możliwe, że ten plan się powiedzie.

– Mówicie, że nie można nam zaufać! – krzyknęły myszy. – A jak my mamy zaufać wam?

– Myszy mają problem z zaufaniem – zaraportował Noxon.

– Podpisały na siebie wyrok śmierci w chwili, gdy po raz pierwszy usiłowały zawładnąć statkiem – odparł Ram Odyn. – Nawet jeśli nie wrócimy, nie zasługują na ani jeden dzień życia.

– Oto, dlaczego możecie nam zaufać – zwrócił się Noxon do myszy. – Po pierwsze, w przeciwieństwie do was nie łamaliśmy raz po raz naszych przysiąg. Po drugie, mogłem was zabić w dowolnym momencie i tego nie zrobiłem, więc dlaczego miałbym zawracać sobie głowę tymi skomplikowanymi przygotowaniem, żeby pozbawić was życia? Mogę przecież uśmiercić was w każdej chwili. Nie ukryjcie się na moim ciele, jeśli się rozbiore, i nie ukryjcie się nigdzie indziej, bo zbędny wyłączy systemy podtrzymywania życia. Nieustannie daję wam dowody, że zależy mi na waszym przetrwaniu – zakładając, że nie zagroziecie przetrwaniu ludzkości, czyli zostanieie na tym statku i umrzecie razem z nim.

– W ogóle nie rozumiem, po co je z sobą zabrałeś – odezwał się Ram Odyn.

– Bo dwie murchie Arkadii zamieszkują miliardy rozumnych myszy. Mogę ich potrzebować jako świadków tego, co tu osiągniemy. Albo, jeśli uznam, że powinniśmy unicestwić ludzkość na Ziemi, myszy zrobią to łatwiej i dokładniej niż my.

– I to ty jesteś tym Riggem bez morderczych skłonności?

– Przyleciałem tu, żeby ratować Arkadię. To ludzie z Ziemi ją zniszczą. Reszty sam się domyśl.

– Co to jednak za ironia... – zauważył Ram Odyn. – Zbudowaliśmy statki kolonizatorskie, bo ta kometa zbliżyła się tak bardzo, że mogła unicestwić życie na Ziemi, i musieliśmy stworzyć kolonię, żeby ludzie zamieszkiwali nie tylko swoją macierzystą planetę, a teraz wracamy, żeby unicestwić życie na Ziemi.

– Wróciłem, żeby się dowiedzieć, dlaczego Ziemia postanowiła zniszczyć Arkadię –

sprzeciwił się Noxon – i żeby skłonić ludzi do zmiany zdania, jeśli mi się to uda. Ale i tak ocalę dziewiętnaście światów Arkadii. Może ludzie wywodzą się stąd, ale to nie znaczy, że mają prawo niszczyć Arkadię z jej historią, liczącą jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat.

– Zgadzam się – powiedział Ram Odyn. – Po prostu dostrzegam ironię sytuacji.

– Przyjąłem do wiadomości.

– Boję się śmierci – odezwała się jedna z myszy.

– Nie zasługiwałąbyś na miano istoty rozumnej, gdybyś się nie bała – zauważył Noxon. – Ale jesteś istotą rozumną i dlatego nie zostawię cię tutaj martwej. Zamierzam zmienić przyszłość. Jeśli mi się nie uda, wrócę po was. Pamiętajcie, że najpierw musicie umrzeć. Ale kiedy po was wrócę, nie będziecie pamiętać tej śmierci. I znowu się przekonacie, że dotrzymuję słowa – choć wy tego nie robicie.

– Zatem załatwione – oznajmił Ram Odyn. – Posadzimy statek tam, gdzie pokryje go lód. Następnie polecimy lądownikiem w miejsce, które kiedyś będzie dość dobrze zaludnione. Z tego miejsca skoczymy w przyszłość, podczas gdy nasz zbędny przyjaciel wróci lądownikiem do statku, zabije wszystkich i wyłączy systemy podtrzymywania życia. Ale my wrócimy w porę, by się to nie wydarzyło.

– Tak zakłada plan – zgodził się Noxon.

– Jest tylko jeden problem – podjął Ram Odyn. – Paliwo.

– Słucham?

– Statek może osiąść na powierzchni planety, ale na Arkadii doszło do dość mocnego zderzenia, prawda?

– Wydarzenie o stopniu katastrofy – oświadczył zbędny. – Z założenia.

– Jeśli wylądujemy łagodniej, zdołamy znowu wystartować? – spytał Ram Odyn.

– Przeprowadzaliśmy te obliczenia podczas waszej dyskusji o etycznej stronie odwracalnego myszobójstwa – powiedział zbędny. – Ponieważ dotarliśmy na Ziemię, nie zużywając paliwa, a rozpoczęliśmy tę podróż częściowo dzięki ogromnemu wydatkowi energetycznemu, jakim było stworzenie zagięcia i skoczenie w nie, z całą pewnością mam dość paliwa na tak trywialne zadanie, jak uniesienie się z powierzchni skalistej planетки i powrót do prędkości zgarniającej.

Noxon nauczył się już, że oznacza to prędkość, przy której można rozpostrzeć silne pole zbierające międzygwiazdny tlen i inne cząsteczki, by zmienić je w plazmę napędzającą statek.

– No, to chyba wszystko ustalone – powiedział. – Pozostaje tylko wybrać odpowiedni czas. W tym celu Ram i ja musimy na chwilę opuścić statek. A to znaczy, że myszy wracają do pudełka.

– Nie, nie wracają – oznajmiła jedna z nich.

Noxon wziął Rama Odyńa za rękę.

– Zbędny, proszę pozbierać myszy z mojego ciała, żebym mógł zacząć ciąć czas,

podczas gdy ty ograniczysz ilość tlenu w statku do zera. Oznacza to, że nie będę mógł przywrócić im życia, ale to już ich decyzja.

Myszy zbiegły z jego ciała i wróciły do pudełka, które zbędny usłużnie otworzył.

– Jak widzisz, współdziałamy z tobą – powiedziała mysz.

– Dotrzymam słowa – oznajmił Noxon – ale ponieważ wiem, że wy tego nie zrobicie, nie mogę umożliwić wam przeprogramowania statku.

– Już dałyśmy słowo, ale rozumiemy, skąd ten brak zaufania – odparła mysz. – Będziemy czekać na wasz powrót.

– Chodź z nami do lądownika – rzucił Noxon do zbędnego.

Gdy znaleźli się wewnątrz pojazdu, rozkazał zerwać łączność ze statkiem.

– Teraz możesz nam powiedzieć, czy myszy przeprogramowały statek tak, żeby nie słuchał moich rozkazów, kiedy stąd odejdę?

– Nie – oznajmił zbędny.

Noxon zastanowił się przez chwilę. Pamiętał, ile razy Vadeshex i inni zbędni kłamali, choć bezwzględnie trzymali się prawdy.

– Zdaje się, że źle sformułowałem pytanie. Nie musiały przeprogramowywać statku, by nie słuchał moich rozkazów, bo nie ja jestem dowódcą.

Zbędny nie odpowiedział.

– Dowódcą jest Ram Odyn. Tak?

– Tak – powiedział zbędny.

– Więc moje polecenia nie mają mocy. A on nie wydał żadnych rozkazów. Zatem mogłeś uwolnić myszy, powierzyć im władzę nad statkiem i nie działałbyś w sprzeczności ze swoim programem.

– To z pewnością możliwe.

Ram Odyn westchnął.

– Rozkazuję ci słuchać wszystkich instrukcji Rigga Noxona tak, jakbym wydał je osobiście.

– Tak jest.

– A teraz wróćmy do pytania Noxona. Czy myszy przeprogramowały statek lub ciebie tak, żebyś mógł być mi nieposłuszny, gdy tylko z niego zejdziesz?

– Nie.

– Spróbuj znowu – wtrącił Noxon. – Może nie zmieniły programu. Musiały tylko zainicjować protokół, mianując się twoimi następcami w chwili, gdy fizycznie opuścisz statek.

– Czy tak zrobiły? – zwrócił się Ram Odyn do zbędnego.

– Jeśli tak, to komputery pokładowe nie poinformowały mnie o tym – oświadczył zbędny.

– Czy statek uważa, że tu, na lądowniku, przy zamkniętych drzwiach – spytał Noxon – Ram Odyn pozostaje poza statkiem?

– Tak.

– Połącz mnie ze statkiem – rozkazał Ram Odyn.

– Tak jest.

Połączenie zostało wznowione. Drzwi się otworzyły.

– Chyba nie możesz ze mną iść – powiedział Noxon.

– Chyba mogę – odparł Ram Odyn. – Tylko najpierw muszę coś załatwić.

Wrócił na statek i wszedł do pomieszczenia, w którym zostało pudełko z myszami. Pod ich nieobecność statek najwyraźniej polecił drugiej kopii zbędnego złożyć się z części. Nowy zbędny stał obok pudełka.

– Pozwoliłeś którejś myszy wyjść na zewnątrz? – spytał Ram Odyn.

– Jeszcze nie – odparł nowy zbędny. – Ale takie rozkazy otrzymałem.

– Czy teraz, gdy wróciłem, jestem jedynym dowódcą tego statku?

– Tak – odpowiedzieli obaj zbędni i głos komputera pokładowego.

– Wracaj i zdemontuj się – rzucił Ram Odyn do drugiego zbędnego.

Ten opuścił pomieszczenie.

– Zwracam się do statku – powiedział Ram Odyn. – Mianuję Rigga Noxona moim jedynym następcą w sytuacji, gdybym uległ wypadkowi i nie mógł dowodzić. Pod nieobecność moją i Rigga Noxona nie będzie żadnego zastępcy. Będziesz nadal wypełniał moje rozkazy. Myszy, razem i osobno, zostają na stałe odsunięte od jakiejkolwiek roli kierowniczej na tym statku.

– Tak jest – powiedział komputer pokładowy.

– A ponieważ wiem, że przeprogramowały cię, żebyś tak powiedział, choć zamierzasz nie wykonać moich rozkazów, polecam ci zresetować się do stanu, w jakim znajdowałeś się przed poprawkami wniesionymi przez myszy.

Potrwało to dwie sekundy.

– Gotowe – raportował komputer pokładowy.

– Naprawdę? – spytał Ram Odyn zbędnego.

– Czy życzysz sobie, żeby statek odzyskał dane z dziennika pokładowego, który wniósł na statek Noxon? – spytał zbędny.

– Czy któreś z tych danych powodują, że statek przyjmuje rozkazy lub dane od myszy?

– Dzienniki z murcii Odyna i Lara.

– Odzyskać jedynie dzienniki, które nie dadzą myszom żadnej kontroli ani wpływu na ten statek.

– Wtedy w danych powstaną luki.

– Luki zapełnią się, gdy powrócimy z naszej misji.

– Doskonale – pochwalił zbędny. – W końcu zadaliście właściwe pytanie. – Odwrócił się do Noxona. – Zwłaszcza ty.

– Doceniam to uznanie – odparł Noxon – ale nie wiem, czy ci wierzę. Skąd możemy wiedzieć, że myszy nie kazały ci udawać, że jesteś posłuszny rozkazom Rama, żebyśmy

spokojnie odeszli?

– Nie jesteśmy aż tak podstępne – dobiegło z pudełka.

– Rozumiecie, dlaczego nigdy więcej wam nie zaufam?

– To była bardzo mądra decyzja – przyznała mysz. – I, obawiam się, będzie nas drogo kosztować.

– Może tak, może nie – powiedział Noxon. – To nadal zależy od was.

– Nawet teraz nie zamierzasz ich zabić? – zdziwił się Ram Odyn.

– Nawet teraz – potwierdził Noxon. – Ale i nie dopuszczę, żeby znajdowały się na pokładzie.

Zaniósł myszy do lądownika, ale zostawił zbędnego na statku. Potem polecili lądownikowi przetransportować się na Ziemię, na stabilny tektonicznie płaskowyż, na którym miało się w przyszłości pojawić Peru. Pewnego dnia to miejsce stanie się znane z rysunków z Nazca. Ale na razie teren był nietknięty.

Ponieważ ludzie nie dotarli tu jeszcze, łatwo było wybrać miejsce, ustawić na nim kilka kamieni, a potem znaleźć zwierzęcą ścieżkę, do której się zakotwiczyli, żeby wrócić do czasów w początkach zlodowacenia. Teraz, sto tysięcy lat w przeszłości, Noxon, Ram Odyn i zbędny poświęcili parę dni na ułożenie kamieni w ten sposób, żeby mogły je zauważyć przyrzady statku znajdującego się kilkaset kilometrów wyżej. Zakopali pudełko z myszami na krańcu wzoru. Potem znowu skoczyli około osiemdziesięciu tysięcy lat w przyszłość, do czasu, gdy ułożyli tę pierwszą małą piramidkę. Sprawdzili, czy ich duży wzór przetrwał osiemdziesiąt tysięcy lat. Przetrwał. Będzie nieustannie widoczny z kosmosu. Wrócili lądownikiem do statku. Noxon zrobił kilka ogromnych skoków w przeszłość, aż przestali widzieć wielki znacznik, po czym wykonał kilka znacznie mniejszych skoków w przyszłość, aż znacznik znowu się pokazał.

Potem przenieśli statek na trawiasty płaskowyż na Antarktydzie. Trudno było uwierzyć, że za kilka tysięcy lat ten teren pokryje się co najmniej stu metrami lodu, ale zbędny zapewnił ich, że to miejsce zostało starannie namierzone i jest idealne na kryjówkę dla martwego statku.

Zostawili tam statek i polecili lądownikiem do miejsca, w którym zakopali pudełko z myszami. Następnie odesłali lądownik do statku.

Stanęli nad miejscem pochówku.

– Myślisz, że jeszcze żyją? – spytał Noxon.

– Ile minęło czasu, odkąd je zakopaliśmy?

– Nie wiem, na ile precyzyjnie obliczyliśmy czas powrotu, ale zakładam się, że jeszcze tam są.

– Jeśli otworzysz pudełko, wyskoczą z niego w ułamku chwili i nigdy ich nie wyłapiemy.

– O, nie mam najmniejszego zamiaru ich wypuszczać. Zastanawiam się tylko, czy

istnieje szansa, że gdy tylko przenieśliśmy się w przyszłość, lądownik wrócił, a zbędny je wykopał.

– Powiedziałbym, że to nieprawdopodobne w siedemdziesięciu pięciu procentach – powiedział Ram Odyn. – Nie w stu.

– Z mojego doświadczenia wynika, że bardziej podstępni od myszy są tylko zbędni.

– Przyznajmy jednak, że ich podstępny na Arkadii mogły wynikać z instrukcji starego Rama.

– Są bardzo dobre w prawdomównych odpowiedziach na niewłaściwe pytania.

– A ludzie są bardzo dobrzy w zadawaniu niewłaściwych pytań.

– Nigdy nie mamy kompletnej kontroli nad wszystkim.

– Nie – przyznał Ram Odyn. – Bo w pewnym momencie musimy zaufać maszynom i innym ludziom, że zrobią to, co obiecali.

– A ci od czasu do czasu okazują nieposłuszeństwo i zachowują się rozważniej, niż gdyby wykonywali rozkazy. Bo mają własny rozum, wcale nie gorszy od naszego.

– Zaufanie i posłuszeństwo – powiedział Ram Odyn. – Każdy dyktator w historii mógł czynić zło, bo zbyt wiele osób chętnie go słuchało i wykonywało jego rozkazy.

– A każdy mądry i dobry przywódca raz po raz napotyka przeszkody – dodał Noxon – bo choć wydaje sensowne rozkazy, jakiś biurokrata zawsze dojdzie do wniosku, że bardziej opłaca mu się ich nie wykonywać.

– Co więc z tym zrobisz? – spytał Ram Odyn.

– Hm... Mógłbym zostać tutaj i przez kilka miesięcy ciąć czas, czekając, czy lądownik wróci. Ale wtedy nie opuścilibyśmy tego miejsca, dopóki nie upewnilibyśmy się, że myszy nie żyją.

– I że nie wróciliśmy w tym czasie z przyszłości.

– Problem polega na tym, że wtedy moglibyśmy zobaczyć samych siebie wracających i to by zmieniło nasze zachowanie, a przez to stworzyłoby nasze dwie nowe kopie, ponieważ zachowywalibyśmy się inaczej.

– Przynajmniej wiedzielibyśmy, że myszy i zbędni nie sprzeciwili się naszym rozkazom.

– Istnieje w wystarczającej liczbie kopii – oznajmił Noxon. – A ty w aż nadto licznej.

– Nie zaprzeczę – przyznał Ram Odyn.

– Zatem najlepiej będzie założyć, że myszy nadal żyją, lądownik nie wróci, żeby je uwolnić i zabrać stąd, aby nasze przyszłe wersje miały czas przybyć tu i wykopać je żywe... pod warunkiem że zbędny nas nie uprzedził.

– A jeśli okaże się, że myszy umarły?

– Uronimy łezkę i będziemy jakoś z tym żyć. Ma to znaczenie tylko wtedy, gdyby stały się nam potrzebne. A jeśli tak będzie, zawsze możemy wrócić do chwili tuż po tym, jak je zakopaliśmy i odlecieliśmy.

– Kolejny powód, żeby ich w tej chwili nie wykopywać.

– Naprawdę nie chcę wiedzieć, czy nadal tam są. Jeśli ich nie ma, to znaczy, że ponieśliśmy klęskę i wróciliśmy po nie, żeby unicestwiły ludzkość.

– Nie czekamy więc na lądownik...

– Pora, żebyśmy wzięli się za naszą misję – zdecydował Noxon.

Wyciągnął rękę. Ram Odyn ją ujął.

Noxon zaczął szybko ciąć czas wielkimi skokami, aż znaleźli się w epoce, w której pojawiły się ludzkie ścieżki. Wówczas dotarł do chwili, gdy zobaczył pierwszy znacznik – i jeszcze dalej, i dalej. Aż ujrzał w górze ścieżki ludzi w samolotach. Mnóstwo ścieżek.

Oto ich droga ucieczki. W ciągu pół godziny znaleźli się między turystami.

– Oczywiście nie mamy paszportów – odezwał się Ram Odyn.

– Co to jest paszport?

– Wierz mi, do tej chwili mieliśmy do czynienia wyłącznie z podróżami w czasie, prawami przyczynowości, kłamliwymi komputerami i perfidnymi gadającymi myszami. Teraz musimy stawić czoło biurokratom. To dopiero będzie wyzwanie.

Rozdział 19

RADA WOJENNA

Przyjaciele zgromadzili się nad strumieniem, nad którym zbierali się Larowie, żeby opowiadać sobie historie, uczyć się chodzić i podejmować decyzje wymagające rozmowy. Zamierzali się tylko przywitać; Oliwienko wrócił ze świata Odyna, a Umbo, Bochen i Lejka ze świata Rama. Oczywiście opowiedzieli sobie wszystko, co ich spotkało. Bochen i Lejka musieli wytłumaczyć, dlaczego przynieśli dziecko – choć oczywiście główny ciężar wyjaśnień wziął na siebie Umbo, ponieważ to on uratował Kwadracika, zanim skasował przyszłość, w której narodził się chłopczyk. W tej opowieści nie można było pominąć króla rebelianta i kapitana Ropuchy, brzydkiego żołnierza, który dowodził najezdami w całym Kosmolandzie.

– Nie wiem, czy powinniśmy wypowiedzieć wojnę tylko dlatego, że najwyraźniej już to zrobiliśmy – odezwała się Param.

– Chyba zawsze mieliśmy taki zamiar – zauważył Rigg. – Bo po co Oliwienko studiował historię wojskowości i strategii? Po co uczyłaś się ciąć czas wstecz, nie tylko w przód?

– Ale teraz, kiedy musimy to naprawdę zrobić, nie wiem, czy starczy mi odwagi.

– Może dlatego ludzie, których spotkałem, mówili tylko o królu rebeliancie – rzucił Umbo.

– To także powinno nas zastanowić – zauważył Oliwienko. – Rigg jest synem króla Knozzo. Dlaczego nie nazywano go prawowitym królem?

– Dopiero gdy wygramy – odparł Umbo. – Gdyby żołnierze Haddamandera zjawili się w mieście, a ktoś by sobie przypomniał, że kiedykolwiek nazwałś Rigga Sessamekesha prawowitym królem...

– Nie rozumiesz – powiedział Bochen. – „Król rebeliant” to nie przydomek Rigga. Rigg to z całą pewnością kapitan Ropucha, który nie rości sobie praw do Namiotu Światła. Królem rebeliantem jest małżonek królowej Param.

– Tego się bałem – mruknął Umbo.

– Ty i Param powinniście to zalegalizować – oznajmił Rigg. – Im szybciej będziecie mieli następcę, tym lepiej.

– Aleś ty... praktyczny – wykrztusił Umbo.

– I wścibski – dodała Param.

– Wiecie, że musicie wypowiedzieć wojnę – podjął Oliwienko. – Rigg i Ram Odyn postanowili nie burzyć Murów. Wszyscy się na to zgodziliśmy, usłyszawszy to, o czym się dowiedzieli. Ale nadal musimy gdzieś mieszkać. Na razie znaleźliśmy schronienie w murchii Lara, głównie dlatego że Larowie rzadko bywają na lądzie. Ale w tym świecie roi się od myszy.

– Nie wspominając o wodnych maskach – dodała Param. – Gdybyśmy chcieli tu żyć, nasze dzieci lub wnuki pozazdrościłyby Larom funkcjonowania pod wodą, poprosiłyby o wodne maski i porzuciłyby stały ląd, stając się...

– ...innym gatunkiem ludzi – dokończył Rigg. – Nie byłaby to tragedia, ale my jako mieszkańcy lądu chcemy, żeby nasze dzieci żyły tak jak my.

– Świat Vadesha jest pusty – zauważył Bochen.

– Ale w jego wodach żyją dzikie twarzemaski – odparł Umbo.

– Jest na to prosta rada. Każdy, kto będzie mieć taką maskę jak ja, będzie chroniony przed dzikimi twarzemaskami.

– Ale nie każdy może je nosić – odezwała się Lejka, tłumiąc emocję bliską gniewu.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie powinniśmy uważać murchii Vadesha za pustą – wymamrotał Bochen. Dotknął swojej maski, nadal widocznej, choć tak bardzo stopiła się z jego ludzką twarzą. – Pewnego dnia ludzie mogą chcieć żyć z tymi maskami tak blisko jak Larowie ze swoimi pelerynami. Świat Vadesha będzie należeć do nich.

– To wszystko nie będzie mieć sensu, jeśli Noxon nie zapobiegnie zagładzie Arkadii – odezwała się Param.

– Owszem – przyznał Bochen. – Ale tylko dlatego, że żadne nasze osiągnięcie nie przetrwa dłużej niż kilka lat. To jednak nie znaczy, że nie powinniśmy walczyć, żeby dać ludowi świata Rama nadzieję na uwolnienie od generała Obywatela.

– Czyli od matki – rzuciła Param.

– Nie wiemy, czy twoja matka nadal ma takie wpływy – zauważył Oliwienko. – Może została uwięziona.

– Byłoby miło wiedzieć, że nie odpowiada za okrucieństwa króla Haddamandera – powiedział Rigg.

– Przecież wiemy, jak jest naprawdę – mruknęła Param. – Pewnie jeszcze zachęcała go do większego okrucieństwa.

– Twoje podejrzenie nie jest pozbawione podstaw, ale ludzie, z którymi rozmawiał Umbo, wspominali tylko o królu Haddamanderze, królu rebeliancie i kapitanie Ropusze.

– To znaczy, że matka i ja przestałyśmy się liczyć?

– To znaczy, że wojna to męska rzecz – odparł Oliwienko. – Jak zwykle, nawet gdy kobiety walczą u naszego boku.

– Martwię się, że możemy się kręcić w kółko – powiedział Bochen. – Umbo skoczył

w przyszłość i dowiedział się o istnieniu króla rebelianta i kapitana Ropuchy, który dowodzi wszystkimi najezdami na Kosmoland. Ale my jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy osadzenie Umba na tronie jest dobrym pomysłem ani że będziemy prowadzić wojnę podjazdową. Sessamidzi nie zdobyli całego Kosmolandu, a potem całej murchii Rama najezdami. To dobre dla nomadów z północnego zachodu.

– Byłoby łatwo przyjąć decyzję, którą najwyraźniej podjęliśmy, i oszczędzić sobie kłopotu dalszej dyskusji – stwierdził Ram Odyn.

– Nie wiem, czy masz prawo podejmować decyzje – odparła Param.

– Zapomniałem, że rozmawiam z królową.

– Zapomniałeś, że nie należysz do naszej grupy. Chciałeś zabić Rigga. On mógł ci wybaczyć, ale ja nie ufam tobie ani twoim radom.

– Rigg mi nie wybaczył. Także mnie zabił i choć nie pamiętam, żebym nastawał na jego życie, on bardzo dobrze przypomina sobie, jak... co właściwie mi zrobiłeś? Dźgnąłeś mnie nożem? Skręciłeś mi kark?

Rigg westchnął.

– Ram Odyn z nas żartuje – wyjaśnił. – A my bylibyśmy głupi, gdybyśmy nie słuchali jego rad, bo wie o wiele więcej od nas o świecie Rama i wszystkich pozostałych.

– Ale także kłamie i rozkazuje zbędnym nas okłamywać.

– To prawda – zgodził się Rigg. – Dlatego spytajmy kogo innego. Oliwienko, co byś nam doradził jako znawca historii wojskowości?

– Obmyśliłem dwa plany – powiedział Oliwienko. – Jednym z nich była wojna podjazdowa kapitana Ropuchy, choć ja nie wybrałbym takiego przydomku.

– Jak miał zadziałać ten plan, skoro wybraliśmy go w co najmniej jednej wersji przyszłości?

– Wojna podjazdowa sama w sobie nie zapewnia zwycięstwa – zaczął Oliwienko – ale jeśli prowadzi się ją należycie, można zdobyć serca ludu, upokarzając i zastraszając rząd. Nierozważnie jest zmuszać wioski, by karmiły partyzantów, i zabijać wszystkich, którzy się temu sprzeciwią, bo wtedy wieśniacy będą posłuszni ze strachu i zdradzą was przy pierwszej okazji.

– Dlatego zdziwiłem się, słysząc, że wybraliśmy taką metodę – wyznał Rigg.

– Wątpię, żebyś tak postąpił, bo, jak powiedziałem, to głupi wybór. Głupcy uciekają się do takich taktyk, ponieważ spodziewają się, że ludzie dobrowolnie będą ich wspierać, a kiedy tak się nie dzieje, reagują gniewem i chęcią zemsty. Ale wy nie jesteście głupi. Wiecie, że wieśniacy nie mogą płacić podatków królowi Haddamanderowi i królowi rebeliantowi. Nie ukrywają swoich skromnych zasobów przed poborcami podatkowymi Haddamandera po to, by podarować je wam i waszym wojskom.

– Więc jak postępuje kapitan Ropucha? – spytał Rigg. – Bo jeśli to ja nim jestem, to nie nadaję się na żołnierza.

– Możesz się nadawać – wtrącił Bochen. – To wymaga treningu, ale jednego mamy pod dostatkiem: czasu.

– Trening by się przydał – przyznał Oliwienko – ale ja myślę o kryjówce i źródle prowiantu. I tutaj zaczyna się rola Rama Odyna. W zwyczajnych wojnach podjazdowych partyzanci muszą się ukrywać. Muszą też nieustannie zmieniać kryjówki, ponieważ nieustannie zdradzają ich ludzie liczący na nagrodę. Muszą się rozstać z żonami i dziećmi. Nie mogą uprawiać ziemi ani nawet magazynować pożywienia na zimę.

– Chcesz mieć bezpieczne schronienie po drugiej stronie Muru? – odgadł Ram Odyn.

– Tam, gdzie murchie Rama, Vadesha i Lara się stykają, ziemia jest żyzna, klimat przyjazny, a strumienie liczne.

– A w tych strumieniach pływają zarodniki twarżomasek – dodał Ram Odyn.

– Przypuszczam, że bez trudu zdołasz oczyścić dowolny strumień – odparł Oliwienko.

– Proszę cię tylko, żebyś utworzył enklawę, która nie będzie leżeć na terytorium żadnego z tych światów. Wówczas osadzimy tam rodziny tych, którzy zgłoszą się do naszej armii. Będą uprawiać ziemię, polować, wytwarzać broń, trenować, gromadzić zapasy.

– To może potrwać całe lata – zaprotestował Bochen.

– Przecież zawsze możemy zyskać dodatkowy czas – wyjaśnił Oliwienko. – Nie twórzmy tej enklawy teraz, lecz dziesięć lat temu. Żołnierzy znajdziemy wśród ludzi, którzy się buntują – ich zastęp będzie się zwiększać, ale zaczniemy skromnie. Pierwsi rekruci oczyszczą teren, spłodzą dzieci. Jedna wioska zmieni się w dwie, trzy lub cztery.

– Dziesięć lat temu u władzy była Ludowa Rada Rewolucyjna – przypomniał Bochen – a nienawidzili ich tylko byli możnowładcy, jak generał Obywatel i matka Param.

– Ale my nie będziemy rekrutować ludzi dziesięć lat temu – odparł Oliwienko. – To tylko miejsce, w którym będziemy zbierać zapasy. Cofniesz pierwszych rekrutów o dziesięć lat, następnych o dziewięć, potem o osiem... Każda nowa transza będzie przygotowywać pod uprawę większą połąć ziemi, wydobywać więcej rud żelaza, produkować więcej żywności i broni. Podczas najazdów będziecie zdobywać jedzenie i broń i sprowadzicie je w czasy, w których będą nam potrzebne. A zatem najwcześniej zwerbowani spędzą w enklawie dziesięć lat, najnowsi rekruci przybędą w chwili, gdy jedzenia będzie w bród i będzie można poświęcić czas na szkolenie.

– Zatem robimy najazd dziś, a potem sprowadzamy zapasy do enklawy w czasy, w których ich potrzebujemy – powiedział Umbo niepewnie.

– Umiejętność manipulowania czasem odróżnia was od innych partyzantów. Rozumiesz? Nie ma powodu, dla którego mielibyście nie korzystać z tego talentu. Generał Obywatel, czy jak tam jeszcze każe się nazywać, może na was polować do woli, ale pomiędzy najazdami nie tylko będziecie się znajdować poza Murem, ale w

dotadku o trzy czy pięć lat cofnicie się w przeszłość.

– Będziemy musieli bardzo uważać, żeby nie sprowadzić ludzi do czasów sprzed ich przybycia do enklawy – zauważył Umbo. – Nie chcemy, żeby spotkali samych siebie. Albo żeby któreś z nas stworzyło nową kopię siebie.

– Będziemy prowadzić rejestr – zdecydował Rigg. – Każdą kohortę zorganizujemy zgodnie z czasem jej rekrutacji i będziemy pilnować, żeby zawsze wracać z nią do domu po najeździe w czasy po ich wyruszeniu na ten najazd.

– Należy konsekwentnie przestrzegać porządku – powiedział Oliwienko. – Wyznamy także daty najazdów na arsenały i magazyny żywności w porach, gdy nie są strzeżone.

– A co by się stało – spytał Umbo – gdyby nasz pierwszy najazd wydarzył się najpóźniej, powiedzmy, w ten czwartek, następny tydzień wcześniej, a jeszcze kolejny – dwa tygodnie wcześniej? Wtedy każdy najazd będzie pierwszym i zawsze zaskoczony wroga.

– Nie wiem... – mruknął Rigg. – Czy to by nie znaczyło, że po tym najwcześniejszym najeździe wróg będzie gotowy na nasz atak?

– Nie, jeśli w każdej kohorcie będzie ktoś manipulujący czasem – wyjaśnił Umbo. – Udany najazd wydarzy się w jego strumieniu czasu i kolejny atak nie będzie mógł tego zmienić. Prawda?

Rigg chwycił się za głowę.

– Akurat kiedy zaczyna mi się wydawać, że coś rozumiem, pojawia się jakiś nowy wariacki pomysł i wszystko się zmienia.

– To akurat proste – powiedziała Param. – Zrób jeden najazd, a potem następny wcześniej i sprawdź, czy w czymś zmieni ten pierwszy, ale późniejszy atak.

– Nadal nie jestem zachwycony tymi całymi najazdami, nawet jeśli się udadzą. Nie jestem zabójcą. Zrobiłem to tylko raz i nie spodobało mi się.

– Ale właśnie o to chodzi – zaprotestował Oliwienko. – Jeśli najazd zawsze będzie zaskoczeniem, mógłbyś go tak zorganizować, żeby nikogo nie zabić. Możesz znaleźć moment, w którym przeciwnik zapomni o czujności, nikt nie będzie stał na straży. Wszyscy się upiją albo połowa garnizonu wyjedzie z miasta. Albo nadejdzie pora prowadzenia bydła na rzeź, by wykarmić armię Haddamandera.

Umbo parsknął śmiechem.

– Już widzę, jak nam się spodoba przepędzanie stad bydła przez czas.

– Nadal będziemy musieli przeprowadzić je przez cały kraj – zauważył Bochen. – Przez cały czas korzystaliśmy z lądowików, więc możesz nie rozumieć, jak wielka jest każda murchia. Jeśli zrobisz najazd po przeciwnej stronie, przepędzenie stada potrwa wiele tygodni. A cała okolica jest zamieszкана.

– Teraz – odparł Rigg. – Ale możemy przeprowadzić bydło, żołnierzy, ich rodziny bądź transport broni w dalekiej przeszłości. W latach, gdy ta kolonia była nowa. Nikt

by nas nie zauważył, bo cielibyśmy czas na tyle, żeby zniknąć.

– W kraju pojawią się wielkie tereny ogołocone z trawy i usiane krowimi plackami – powiedział Bochen. – Nigdy nie widziałeś, co zostawia po sobie takie wielkie stado.

– Zanim zobaczą to jacyś koloniści, ziemia zmieni się w łąkę z kilkoma bardzo żyznymi obszarami.

– Dokładnie – zgodził się Oliwienko. – Manipulując czasem, możecie uniknąć wszystkiego, co gniewa i doprowadza do rozpaczki rebeliantów. Ograniczycie ofiary do minimum. Ale bez nich się nie obejdzicie. Ktoś zapragnie się wykazać i będziesz musiał go zabić. To wojna i bez względu na to, jak wielką zachowasz ostrożność, ludzie stracą życie. Nie zawsze żołnierze przeciwnika. Poza tym wielu spośród nich będzie chciało się do nas przyłączyć, ale obowiązek każe im z nami walczyć.

– Usiłuję to sobie wyobrazić – wyznał Umbo. – Powiedzmy, że dokonaliśmy pięćdziesięciu najazdów i ostatni – dla Haddamandera i królowej – jest tak naprawdę naszym pierwszym. Gdy zaatakowaliśmy, wzięliśmy garnizon z zaskoczenia, bo nikt nie wiedział o istnieniu rebelii. Ale oto pięćdziesiąty atak, więc muszą być tego świadomi – a jednak wydarzeń nie da się zmienić, ponieważ był tam ktoś manipulujący czasem i to, co się stało, już się nie odstanie.

Rigg także spróbował to zobaczyć oczami wyobraźni.

– Zastanawiam się, czy podczas najazdu będą się zachowywać dokładnie tak jak za pierwszym razem, gdy o niczym nie wiedzieli. Ale potem już zawsze będą pamiętać, że muszą zachować czujność na wypadek ataku, ponieważ wydarzyło się ich już czterdzieści dziewięć. Nie będą potrafili tego wyjaśnić królowi Haddamanderowi. „Nie wiem, dlaczego żołnierze nie byli czujni, najjaśniejszy panie. Ostrzegłem ich, rozstawiłem strażników, ale kiedy pojawili się partyzanci, nikt nie stał na swoim posterunku i wszyscy zachowywali się, jakby nigdy wcześniej nie przeżyli żadnego ataku”.

– Ściąć go – mruknęła Param.

– Przy pięćdziesiątym ataku generał Obywatel może już pogodzić się z faktem, że zawsze udaje nam się zaskoczyć jego żołnierzy, i przestanie skazywać na śmierć dowódców za niewytłumaczalne nieprzygotowanie.

– Zatem gdy w wyniku naszego piątego ataku pierwszy atak stanie się tym, który Haddamander uważa za piąty, dowódcy, którzy zawiedli, zostaną straceni. Ale gdy w wyniku naszego dwudziestego ataku pierwszy atak stanie się dwudziestym, wszyscy będą już znali schemat i ten pierwszy dowódca ocali życie.

– Im więcej najazdów zrobimy, tym więcej ludzi ocalimy – dodała Param.

– Ważne jest to, że to generał Obywatel wyda rozkaz stracenia własnych oficerów i żołnierzy. Wyjdzie na głupca, a jego żołnierze będą szaleć z desperacji, bo choć będą się przygotowywać, zawsze zostaną zaskoczeni.

– Jeśli wyjdzie nam to tak, jak się spodziewamy – zauważył Rigg.

- Dla mnie to oszukiwanie – odezwała się Lejka.
- To wojna – uciął Bochen. – Jeśli znajdzie sposób, żeby w wyniku oszustwa wygrać, nie tracąc ludzi, zawsze go zastosuję.
- Oliwienko uśmiechnął się do Lejki.
- Czytałem wiele historii bitew, pani.
- Jaka tam ze mnie pani – burknęła Lejka.
- Dowódcy, których okrzyknięto geniuszami, wygrywali raczej podstępem niż brutalną siłą. Obmyślali sposoby zaskoczenia przeciwnika i skłonienia go do kapitulacji lub uciezki. I kończyli walkę z nietkniętą armią, podczas gdy żołnierze przeciwnika trafiali do niewoli lub szli w rozsypkę, beznadziejnie zdeorganizowani.
- Ocalimy życie żołnierzy obu stron – powiedziała Param.
- Możliwe – przyznał Oliwienko. – A fakt, że w przyszłości, którą odwiedził Umbo, ludzie mówią o najazdach w całym Kosmolandzie, dowodzi, że efekt nam się spodobał i ciągle je powtarzaliśmy.
- Wszystko to bardzo pięknie – rzucił Bochen – ale dzięki tym najazdom zdobędziemy zapasy i zasiejemy zwątpienie w szeregach przeciwnika, lecz nie wygramy wojny. Nasi najbardziej doświadczeni wojownicy wezmą udział w pierwszych atakach, z jakimi spotkają się wojska Haddamandera.
- To tylko sposób na gromadzenie sił podczas treningu, na zbieranie zapasów, niszczenie psychiki wroga i sianie chaosu – oznajmił Oliwienko. – Pamiętajcie, że doświadczeni partyzanci, uczestnicy ataku, który Haddamander uzna za pierwszy, nie wrócą do enklawy w tym samym czasie, w jakim odbył się najazd. Zawsze wrócą tuż po swoim wyruszeniu. Dlatego będą doświadczać wszystkiego we właściwym porządku. Zatem pod koniec dziesięcioletniej wojny podjazdowej, połączonej z treningiem, gromadzeniem zapasów pożywienia i broni, w Kosmolandzie przeminie tylko kilka lat. Wtedy, zaledwie kilka tygodni po pierwszym najeździe, który dla wroga będzie ostatnim, niespodziewanie pojawimy się z wielką, doskonale wyćwiczoną armią.
- Więc jednak będzie bitwa – westchnęła Param.
- Pewnie niejedna – przyznał Oliwienko – choć zrobimy wszystko, by tym razem odnieść druzgoczące zwycięstwo. Ale kiedy rozpoczyna się bitwę, nie sposób przewidzieć jej wyniku. Możemy przegrywać raz po raz.
- Ale czy jeśli przegramy, nie możemy cofnąć się w czasie i jeszcze raz stoczyć tej bitwy, wykorzystując zdobytą wiedzę? – spytał Umbo.
- Ty mi to powiedz. Ja nie znam się na manipulowaniu czasem.
- I tu rozpoczyna się rola króla Umba – rzucił Bochen. – Zamiast cofać w czasie całą armię, co by się raczej nie udało, jako że transport trupów w przeszłość to średni pomysł... Zatem zamiast tego po prostu pojawisz się samemu sobie przed bitwą i powiesz, tak jak zawsze, co poszło źle, żebyśmy mogli podjąć środki zaradcze. W ten

sposób bitwa, którą przegraliśmy, przestanie istnieć.

Param skinęła głową.

– Zatem wszystkie najazdy się wydarzą i zostaną zapamiętane. Ale bitwy będziemy powtarzać raz po raz, aż uda nam się je wygrać.

– Chyba że Umbo zginie – powiedział Rigg.

– To wykluczone! – zawołał Oliwienko. – Musi przebywać w bezpiecznym miejscu.

– Jeśli będę w nim przebywać, to jak poznam wynik bitwy? – spytał Umbo.

– Nie w bezpiecznym miejscu – oznajmiła Param. – Razem będziemy w środku wydarzeń, ale tnąc czas, żeby być niewidzialnymi. Jeśli przegramy, zacznę ciąć czas jeszcze szybciej, aż będzie po wszystkim, a potem udamy się w miejsce, w którym ostrzeżemy was, co poszło nie tak.

– A potem będziecie dalej żyć w przyszłości, w której przegraliśmy – dodał Ram Odyn.

– Nie – sprzeciwił się Bochen. – Może jakaś jej wersja, ale ona z całą pewnością będzie z nami, gdy dostaniemy ostrzeżenie od Umba. Prawdziwa królowa Param Sessamin zawsze będzie w doskonałej formie. Na przykład ja, jak mnie ostrzegął Umbo, zostałem pobity, aresztowany i zabity pewnie z dziesięć razy. Ale jestem z wami. Jeśli jakaś moja wersja wiodła okropne życie aż do strasznego końca, to ja o tym nie wiem, bo te wersje rzeczywistości już nie istnieją.

Param roześmiała się cynicznie.

– Czy ta sama zasada dotyczy końca życia na Arkadii? Jeśli Noxonowi uda się odgadnąć, dlaczego Niszczyciele przybyli z Ziemi, i jeśli ich powstrzyma, czy to znaczy, że tylko jedna z wersji przyszłości będzie miała happy end, a w dziesiątkach innych wszyscy zginą?

– Nie wiem – wyznał Bochen – i nie obchodzi mnie to, bo ja będę żyć w tej rzeczywistości, w której Noxon ocalił świat. Tak jak będę żyć w tej wersji historii, w której król rebeliant Umbo i prawowita królowa Param Sessamin zwyciężyli uzurpatora króla Haddamandera i szaloną zabójczynię, królową Hagię Sessaminiak.

– Sessaminiak – powtórzyła Param.

Był to tytuł sessamidzkiego władcy, którego słusznie zdetronizowano ze względu na popełnione zbrodnie czy szaleństwo. Do takiej sytuacji doszło zaledwie kilka razy i w każdym przypadku były Król lub Królowa w Namiocie ginęli w przykry, powolny sposób.

– Nie musimy traktować twojej matki tak jak innych Sessaminiaków – rzucił Oliwienko szybko.

– Owszem, musimy – sprzeciwił się Bochen. – W przeciwnym razie lud będzie się domagać wyjaśnień, dlaczego została zdetronizowana, skoro zasłużyła na łagodność. Albo zaczną krążyć plotki, że królowa żyje, i do końca życia będziesz walczyć z uzurpatorami, a po tobie twoje dzieci. Taka bezwzględność w sferach władzy ma

swoje przyczyny. Ale nie martw się, Param. Nie będziesz musiała robić tego osobiście.

- Będę stać i przyglądać się temu, co ją spotka – oznajmiła Param – albo nie zasługuję na miano Królowej w Namiocie.
- To całe królowanie to najpaskudniejsza robota świata – mruknął Umbo.
- A życie schwytanego króla rebelianta jest o wiele gorsze – zauważył Bochen. – Natomiast robota męża Param – całkiem przyjemna.

Ku zaskoczeniu Rigga Param wzięła Umba za rękę. Najwyraźniej pod jego nieobecność narodziło się między nimi coś w rodzaju prawdziwego uczucia. To było dobre. Ale też smutne, bo tak wiele mogło się nie udać. Jedno z nich mogło umrzeć. Im bardziej się kochają, tym trudniej będzie im to znieść.

A może nie. Może świadomość, że istniała między nimi mocna więź miłości, złagodzi ból utraty? Rigg nigdy nikogo tak nie kochał. No, może ojca. I utrata ojca prawie go złamała. Choć okazało się, że to wszystko było kłamstwem, jego cierpienie trwało prawie rok. Potem za Murem spotkali Vadeshexa, który powiedział im, że jego ojciec jest tylko maszyną noszącą imię Ramex. „Lepiej stracić kogoś, kogo się kochało, niż nie mieć kogo stracić”, pomyślał Rigg.

- No, to pora posłuchać o drugim planie – oznajmił Bochen.
- Co? – zdziwił się Umbo.
- Oliwienko powiedział, że ma dwa plany. Pierwszy zreferował, bo przeszłość, którą widziałeś, sugeruje, że ten właśnie wybraliśmy. Ale ma i drugi.
- Dość prosty. Tu także zbudujemy enklawę – zaczął Oliwienko – i zbierzemy żołnierzy z czasów, gdy represje Haddamandera pchną ludzi do zgłaszania się do nas. No i sprowadzimy rodziny naszych partyzantów. Cofniemy się o dziesięć lat w przeszłość, zbierzemy zapasy jedzenia i broni, wytrenujemy ludzi na doskonałych wojowników. Ale nie zdradzimy, gdzie jesteśmy, kim jesteśmy i co robimy. Ludzie będą znikać, ale nikt się nie domysli, gdzie się podzieli. Haddamander będzie kompletnie nieprzygotowany i poniesie klęskę w jednej miażdżącej bitwie.
- Tak! – krzyknęła Param. – Wybieram ten plan!
- Nie – powiedział Bochen. – I Oliwienko wie dlaczego.

Wszyscy spojrzeli na Oliwienkę, który wzruszył ramionami.

- Powiedziałem, że wyszkolimy ludzi na doskonałych wojowników, ale oczywiście to niemożliwe. Można zadbać o ich formę fizyczną i energię, lecz jeśli staną do walki dopiero podczas tej ostatecznej bitwy z żołnierzami Haddamandera, istnieje spore ryzyko, że się załamają i rzucą do ucieczki na widok pierwszej krwi.
- Ale ćwiczenia...
- Ćwiczenia nie przygotowują cię na widok człowieka, który staje przed tobą z zamiarem odebrania ci życia. Nie przygotowują cię na grad lecących na ciebie strzał, gdy nie ma się gdzie ukryć i gdy nie wolno ci się cofnąć, bo inaczej walka skończy się, zanim się zacznie.

– Wtedy wrócimy w czasie i spróbujemy jeszcze raz.

– To zadziała tylko wtedy, gdy masz już zaprawioną w bojach armię. Jeśli jedynym problemem był błąd taktyczny lub strategiczny, zmieniwszy go, możesz zmienić wynik bitwy. Ale jeśli problem stanowią sami żołnierze, wtedy ostrzeżenia nie pomogą. Ci ludzie nie będą pamiętać przegranej walki. Spotkanie z wrogiem nadal będzie dla nich ich pierwszym.

– Ale czy najazdy naprawdę ich przygotowują? – spytał Rigg.

– Tak – powiedział Bochen. – Prowadziłem już ludzi do boju. Nie muszą stawać przeciwko wielkiej armii. Wystarczy, że będą walczyć z kimkolwiek. Muszą wiedzieć, jak się bronić, jak lojalnie trwać u boku towarzyszy. Jak na nich polegać. I wygrywać.

– To znaczy, że jednak będą zabijać podczas najazdów – zauważył Rigg.

– Będą walczyć. Tylko tego potrzebujemy. Tak, kilku zginie. Jeśli szczęście nam dopisze – tylko po stronie wroga. Ale nauczymy naszych ludzi innych taktyk niż szarżowanie i rzeź. Będziemy ich uczyć, żeby rozbajali i obezwładniali jeńców. Nauczmy ich zwyciężania przy jak najmniejszym rozlewie krwi. Wśród tych pokonanych, pognębionych żołnierzy możemy znaleźć wielu rekrutów. Ale tak, jeśli trafią na żołnierzy, którzy nie będą się cofać, wówczas będą musieli ich zabijać dopóty, dopóki reszta się nie podda. Albo dopóki zabiją wszystkich. – Bochen spojrzał na przyjaciół, jakby ogień w jego spojrzeniu mógł ich przekonać.

Oliwienko kiwał głową.

– Bochen walczył na wojnie, ja nie. Ale czytałem o bitwach tyle, że o mało nie oślepiłem. Oto prosta prawda: trening wiele znaczy, lecz nie wszystko. Trzeba, żeby żołnierze ubrudzili sobie ręce krwią. Może nie wszyscy, ale tyłu, żeby nie wpadli w histerię na polu bitwy. Sytuacja nie zawsze rozwine się po naszej myśli, nawet jeśli zaatakujemy z zaskoczenia. Musimy mieć kadre, które będzie się twardo trzymać, grupę, wokół której skupią się inni. Takich szeregów nie da się stworzyć z żółtodziobów. Zawsze tworzą je weterani.

– W takim razie nie mamy wyboru – powiedział Umbo.

– Mamy – sprzeciwił się Oliwienko. – Jeśli wybierzemy drugą drogę – armia żółtodziobów, która pojawia się znikąd – chyba mamy realną szansę na zwycięstwo. Większą niż pięćdziesiąt procent. Ale żołnierze Haddamandera posiadają doświadczenie, choćby zdobyte tylko w wyniku terroryzowania wieśniaków czy tłumienia żalonych buntów na prowincji. Widzieli jednak już krew i wiedzą, że robili straszne rzeczy, więc są przekonani, że wróg nie będzie miał dla nich litości, jeśli przegrają. Możliwe, że wśród nich także jest kadra weteranów, na której opiera się cała armia. Powiedziałbym, że mają jedną na trzy szanse zwycięstwa.

– To nie wystarczy – powiedział Rigg.

– Jeśli zgromadzimy tysiąc doświadczonych w walce żołnierzy, jak to poprawi nasze szanse w bitwie? – spytał Bochen.

– Zaskoczenie będzie mniejsze – ocenił Oliwienko – bo Haddamander będzie wiedział o tych pięćdziesięciu najazdach. Ale nadal to do nas będzie należał wybór miejsca i czasu bitwy. I uderzymy w sile dziesięciu tysięcy żołnierzy zamiast pięćdziesięciu czy stu. I będziemy mieć kadrę tysiąca weteranów. Wtedy mamy szansę jak cztery do pięciu.

– Cztery do pięciu to niewiele lepiej niż dwa do trzech – rzuciła Param trochę wzburzona.

– To wojna. Nic nie jest pewne.

– Poza tym Oliwienko i tak zmyśla te wyniki – dodał Bochen.

Oliwienko zachichotał.

– Tak. Kieruję się przecuciem. I choć tak wiele zależy od poszczególnych żołnierzy, liczy się także to, jak są dowodzeni. Jak bardzo będą kochali króla rebelianta i młodą królową. Jak bardzo będą ufali kapitanowi Ropusze, który prowadził ich we wszystkich tych niebywałych najazdach. Jak bardzo kapitan Bochen krzyczał na nich i zastraszał ich podczas treningów. I jak zaplanujemy walkę.

– I tutaj zaczyna się twoja rola – powiedział Rigg.

– Stałem się specjalistą od spraw wojny, nie dowódcą.

– Ale jesteś głównym doradcą w naszej radzie wojennej.

– Nikt z nas nie ma takiej wiedzy o dawnych wojnach jak ty – dodał Umbo – tak jak nikt z nas nie ma takiego doświadczenia bitewnego jak Bochen.

– Po kilku dziesiątkach najazdów bez trudu mnie prześcigniesz – odparł Bochen. – Przecież nie brałem udziału w jakiejś wielkiej wojnie. Uczestniczyłem w paru krwawych potyczkach, ale obie strony nigdy nie liczyły więcej niż kilka setek żołnierzy. I dowodziłem zaledwie kilkoma dziesiątkami ludzi, a i to tylko raz, gdy prawdziwy dowódca zginął, a ja go zastąpiłem w walce. Więc logistyka wielkiej armii...

– Kolejny argument za uczeniem się w trakcie najazdów – powiedział Oliwienko.

– Musimy się nauczyć jeszcze czegoś – oznajmił Rigg. – Zdaje się, że mianowano mnie dowódcą, a nie wiem, czy potrafię prowadzić żołnierzy. Nie jestem wojownikiem. Ojciec wychował mnie na dyplomatę. A może po prostu biurokratę.

Bochen parsknął śmiechem.

– A myślisz, że kim są dowódcy armii? W dziewięćdziesięciu procentach to biurokraci. Muszą niańczyć nabzdyczonych podwładnych, rozstrzygać spory, planować rozmieszczenie wojsk i sposób ich przerzucenia w określone miejsca, zapewniać dostawę broni i prowiantu. Znajdziemy ludzi i przeszkolimy ich na twoich pomocników, ale potem musisz zarządzać nimi, ich ambicjami i lękiem.

– Czy tobie się wydaje, że podnosisz mnie na duchu? – spytał Rigg przez zaciśnięte zęby.

– Mówię ci, że właśnie do tego przygotował cię Ramex – wyjaśnił Bochen.

„Może mają rację – pomyślał Rigg. – Może okaże się, że to zadanie dla mnie. A może nie”. Odwrócił się do Rama Odyna.

– Jesteś wyjątkowo milczący.

Ram Odyn przytaknął poważnie.

– Nie chciałem, żebyście sądzili, że popycham was do tego czy innego rozwiązania.

– Ale teraz musimy wiedzieć, co sądzisz.

– Przez jakieś dziesięć tysięcy lat, lekko licząc, budziłem się i zasypiałem, wpadałem z wizytą tu i tam, do wszystkich murciii. Widziałem złe rządy i dobre. Wojny odrażające i dość sprawiedliwe. Wasz plan jest równie dobry jak każdy inny i uważam, że nie powinniście zamieniać jednej grupy bandytów na drugą. Poradzę wam tylko to: nie wybierajcie oficerów, którzy będą wam służyć wyłącznie wiedzą militarną. Oczywiście nie mogą być głupi. Powinieneś wiedzieć, że możesz na nich polegać. Ale gdy wojna się skończy, znajdziesz się w otoczeniu dowódców, którzy znają się na obalaniu rządów i zagarnianiu władzy dla siebie.

– Jak sprawdzić, czy nie mają takich ambicji? – spytał Rigg.

– Nie proponuję, żebyś wybrał ludzi, którzy nigdy nie spróbują tego zrobić – wyjaśnił Ram Odyn. – Wybierz takich, którzy – jeśli się zbuntują i zabiją Param, Umba i ciebie, by założyć nową dynastię – będą rządzić dobrze i sprawiedliwie.

– Więc nawet jeśli dla nas będzie to katastrofa, to nie dla Kosmolandu – zrozumiał Rigg.

– Jesteś to winien ludowi, nie sądzisz? – powiedział Ram Odyn.

Rozdział 20

SPRZYMIERZEŃCY

Noxon i Ram Odyn zjechali z wysokich Andów w rozklekotanej ciężarówce z rodziną Indian. Noxon musiał wziąć na siebie ciężar rozmowy, bo to on przekroczył Mur, a zatem władał płynnie ich dialektem keczuańskim.

Znawali się w czasach, z których pochodził Ram Odyn, dlatego też udało mu się zdobyć duplikat karty kredytowej należącej do jego młodszego ja. Zapłacili nią za bilety na samolot. Noxon musiał tylko udawać keczuańskiego chłopca. Ram wyjaśnił celnikom, że zabiera piętnastoletniego Indianina do Atlanty na konsultacje z lekarzem plastycznym, by sprawdzić, czy da się cokolwiek dla niego zrobić. Ta historyjka uzasadniała, dlaczego Noxon kompletnie nie orientuje się w procedurach na lotnisku, ale jego maska stała się raczej pomocą niż przeszkodą. Wzbudziła tak wielkie współczucie u personelu linii lotniczych, że pozwolono Noxonowi przejść kontrolę bez dokumentów.

– Pod tą maską równie dobrze może się kryć czternastolatek, jak czterdziestolatek, ale nikt nie wymaga, żeby czternastoletni Indianin z wysokich Andów posiadał dokumenty – szepnął mu Ram Odyn, gdy zmierzali przez terminal do bramki.

Noxon pochłaniał wzrokiem wszystko i wszystkich, których mijali. Po raz pierwszy ujrzał Ziemię, która wkrótce wyśle na Arkadię Niszczycieli. Musiał się dowiedzieć, kim są jej mieszkańcy. Wiedział, że statki zakopane pod powierzchnią ziemi w każdej murchii Arkadii dysponują zaawansowaną technologią. Rozmawiał z komputerami, został wychowany przez mechanicznego człowieka, przenosił się z miejsca na miejsce w lądownikach. Widział bibliotekę w świecie Odyna i puste ruiny wielkich miast. Ale nie był przygotowany na to, do jakiego stopnia technologia przeniknęła życie zwyczajnych mieszkańców Ziemi.

– Wszyscy są bogaci – zauważył, gdy usiedli w samolocie z Limy do Atlanty.

– Ćśśś – syknął Ram Odyn. – Uważają się za biednych, bo wiedzą, że ktoś gdzieś ma więcej od nich.

– Każdy może tu kupić podróż lądownikiem – odparł Noxon cicho.

– Szczerze mówiąc, to tylko samolot. Nie potrafi wzbić się w przestrzeń kosmiczną.

– Mogą się porozumieć z każdym w dowolnym miejscu świata, nie tracąc ani chwili.

Tam, skąd pochodzę, władcy i generałowie muszą wysyłać posłańców, a na odpowiedź czekają wiele dni.

– Pamiętaj, że w świecie, z którego pochodzisz, umyślnie tłumiono rozwój techniczny – szepnął Ram Odyn. – Przez jedenaście tysięcy lat z pewnością przekroczylibyście ten poziom postępu, gdyby was tak pilnie nie obserwowano. Odynerom się udało.

– Lepiej być prostytutką tutaj niż królem w Aressa Sessamo.

– Królowie w Aressa Sessamo mają zwyczaj ginąć w zamachach, więc trudno się z tobą nie zgodzić. Ale pamiętaj, jak niewiele brakowało, by zaledwie kilkadziesiąt lat temu Ziemię zniszczyła kometa.

– A ty pamiętaj, za ile lat Arkadia zostanie...

– Czy mogę panu podać coś do picia? – przerwała im stewardesa, a do Noxona dodała: – Niestety, nie mogę ci zaproponować alkoholu, chłopcze, ale mamy spory wybór soków i napojów gazowanych.

Noxon tylko się do niej uśmiechnął. Nie miał pojęcia, o co prosić.

– Poprosimy dwa soki jabłkowe – powiedział Ram Odyn.

– Wiem, musi pan o siebie dbać – oznajmiła stewardesa.

Ram Odyn uśmiechnął się do niej.

– Dlaczego to powiedziała? – syknął Noxon. – To było dość aroganckie.

– Chyba wybrałem kiepski moment na podróż – mruknął Ram Odyn. – Już ogłoszono, że znajduję się wśród kandydatów na pilotów statku, więc ludzie, którzy śledzą te wiadomości, wiedzą, kim jestem.

– Pilot jest tu sławny?

– W bardzo niewielkim stopniu. Nie będzie szaleństwa, dopóki nie zostaną wybrani.

– Mogliśmy odbyć tę podróż, tnąc czas. Nikt by się nie zorientował, że jesteśmy na pokładzie samolotu, a lot potrwałby kilka minut.

– Następnym razem. Muszę przyznać, że cieszy mnie pobyt na Ziemi. Lubię mieć pieniądze i je wydawać.

– Jesteś tu bogaty?

– Żyję na przyzwoitym poziomie. Ale nie, nie jestem.

Noxon miał złe przeczucia, już kiedy wsiadali do samolotu, ale nie mógł nic powiedzieć, ponieważ oficjalnie znał tylko język keczua.

– Czy twoja wcześniejsza wersja nie dowie się, że leciałeś samolotem?

Ram Odyn uśmiechnął się szeroko.

– Dowie się, że ktoś zdobył duplikat jego karty kredytowej. Podejrzewam, że gdy wylądujemy w Atlancie, będą już na mnie czekać policjanci, by aresztować mnie za kradzież tożsamości.

– W jaki sposób to nam pomoże w osiągnięciu celu?

– Nie pomoże. Więc znikniemy, tnąc czas.

W Atlancie policja weszła na pokład, zanim pozwolono pasażerom opuścić samolot,

ale siedzenia Noxona i Rama Odyna okazały się puste. Ponieważ cięcie czasu tak bardzo zwalniało ich ruchy, zesli ze statku ostatni, a zanim dotarli do terminalu, policja zaprzestała już poszukiwań. W terminalu Noxon przeniósł ich w czasie o kilka dni. Ram Odyn szybko pozbył się karty kredytowej.

– Przepraszam – powiedział. – Już tego nie zrobię.

– I tak zostaniesz rozpoznany.

– Jestem o dwanaście lat starszy od siebie z tych czasów. Rysy mi zgrubiały i, jak widzisz, zapuszczam brodę. Ponadto spodziewam się, że za twoją sprawą mnóstwo czasu spędzę niewidzialny.

– Mam lepszy pomysł.

Noxon wziął Rama za rękę, zakotwiczył się w ścieżce i skoczył o rok wstecz.

– A teraz jesteś sławny?

– Nie. Ale to nadal nie rozwiązuje problemu z pieniędzmi. Nie możemy dostać się tam, dokąd zmierzamy, piechotą, a bez pieniędzy nie zdobędziemy środka transportu.

– Dlaczego nie możemy iść? Jeśli to potrwa za długo, mogę nas cofnąć w czasie, gdy dotrzemy na miejsce.

– Nie chodzi o czas, który potrzebujemy na przejście. Chodzi o to, że nikt już nie chodzi. Chodniki dla pieszych nie istnieją.

– Nie możemy gdzieś popracować przez kilka dni i zarobić na bilet? Bochen i Umbo zrobili tak na łodzi.

– Musisz mieć dokumenty, żeby dostać gdzieś pracę, a tych nie mamy.

– Jak je zdobyć?

– Trzeba się urodzić na Ziemi i nie mieć swojej drugiej wersji, która się obrazi, kiedy będę się za nią podawać.

– Jak zdobędziemy nową tożsamość?

– Nie zdobędziemy. Wkradniemy się do publicznego środka transportu i przejedziemy – niewygodnie, ale za darmo.

Na szczęście Noxon potrafił już ciąć czas tak skutecznie, że zdołali wejść do autobusu, powoli przejść korytarzem i wrócić do drzwi podczas pięciogodzinnej podróży do Huntsville. Dla nich jednak upłynęły tylko trzy minuty, a zrobili parę kroków.

– Ostrzegam – odezwał się Noxon, idąc przez miasto. – Nie możemy kraść jedzenia podczas cięcia czasu, bo nasze ręce będą przechodzić na wylot przez wszystkie przedmioty.

– Dlaczego wtedy nie zapadamy się w ziemi?

– Bo nie możemy. Z tego samego powodu, dla którego ścieżki pozostają w tej samej pozycji w stosunku do obracającej się planety. Nie rozumiem tych zasad, ale pozostaniemy na powierzchni.

Noxon przywykł do długich marszów przez cały dzień z przerwami tylko na sen i

posiłek, Ram Odyn – nie. Dlatego gdy dotarli do drzwi domu, którego szukali, o wiele kilometrów od stacji autobusowej, Ram był spocony i wyczerpany, a Noxon nie czuł nawet lekkiego zmęczenia.

– Dlaczego sądzisz, że ci ludzie nam pomogą? – spytał Noxon.

– Bo mamy coś na wymianę.

– Co?

– Podróże w czasie – wyjaśnił Ram Odyn.

– Już mi się to nie podoba.

– To genialny pomysł i spodoba ci się jak nie wiem co. No, może nie od razu, ale potem już tak.

– A dlaczego nie od razu?

– Bo musimy udowodnić, że nie jesteśmy obłąkani.

Drzwi otworzyła młoda kobieta w dużych okularach z nieprzezroczystymi szklami.

– Chyba was nie znam – powiedziała. – Byliście umówieni?

– Od dawna i znasz mnie, Deboro Wheaton. Pewnie zostawiłaś okulary w trybie do czytania.

– Tak. Ale to nie możesz być ty, kuzynie, bo jesteś w Houston, gdzie przechodzisz trening i bierzesz udział w konkursie na pilota pierwszego statku gwiazdowego.

– A, z całą pewnością tam jestem. Dobrze to pamiętam. Ale dla mnie minęło dziewięć lat. A twój ojciec na pewno zechce ze mną porozmawiać niezależnie od tego, czy byłem umówiony, czy nie.

– Jak zawsze. I czy jesteś przy zdrowych zmysłach, czy nie.

– Nigdy nie był przy zdrowych zmysłach – odezwał się stojący obok niej mężczyzna, chuda, widmowa postać ze zwykłymi okularami i rozczochranymi włosami, po których często przejeżdżała dłonią, lecz nigdy grzebieniem.

– Wujek Georgia! – zawołał Ram.

– Kim jest twój przyjaciel? – spytał wujek Georgia.

– To Rigg Noxon. Udawał Indianina Keczue z Peru, który przybył tu na konsultację z chirurgiem plastycznym.

Georgia pochylił się, żeby przyjrzeć się twarzy Noxona.

– Dziwne rozmieszczenie oczu... i zdają się wychodzić poza oczodoły. Nie widzę wcale łuków brwiowych. Czy te oczy widzą?

– Tak – powiedział Noxon. – Ponieważ nie jest pan moim wujem, jak mam pana nazywać?

– Jego wujem też nie jestem. Studenci nazywają mnie profesor Wheaton, koledzy – Wheat. „Georgia” to przydomek, który nadała mi rodzina, gdy pierwszy raz okazałem zainteresowanie antropologią. Był jakiś film, w którym występował archeolog, jakiś Ohio Jackson czy podobnie. Tak jakby archeolog miał coś wspólnego z antropologią.

– Więc jesteś z Georgii?

– Pochodzę z Iowa. Kuzyni po prostu lubili wołać na mnie „Georgia”. Uwłączali w ten sposób mojej męskości. Naturalnie żeby to sobie zrekompensować, zająłem się erekctologią.

Ram roześmiał się i wyjaśnił Noxonowi:

– Nie ma to nic wspólnego z urologią. Wujek Georgia uczył się o *Homo erectus*.

– O pierwszym człowieku – wyjaśnił Wheaton. – W każdym razie tego usiłowałem dowieść. *Homo erectus* nauczył się posługiwać ogniem. Miał sprawne dłonie i stopy, nauczył się tkąć i nosić ubrania, choć nie w takich celach jak my dziś. No i rolnictwa – nie tylko uprawy ziemi – co najmniej dwieście tysięcy, a może i milion lat przed obecnie uznawanymi datami. To, że w zachodniej cywilizacji używa się ziaren zbóż, nie oznacza jeszcze, że tak zaczęło się rolnictwo. Słodkie ziemniaki, młodzięncze! Słodkie ziemniaki, bulwy taro, warzywa i jagody. Nie przetrwały w skamielinach, ale pozostawiły ślady w postaci zmiany wyglądu ludzkich zębów! Małych zębów. Nie można wykształcić małych zębów, jeśli się nie je miękkiego pożywienia.

– Nadal stoimy w progu – zauważył Ram Odyn.

– A to moja wina? Drzwi są zamknięte? Stopy odmawiają ci posłuszeństwa? Wchodźcie, nieproszeni goście. Kiedy zadzwoniliście, właśnie zastanawiałem się nad pójściem do toalety, a w tym wieku nie opłaca się ignorować sygnałów ciała.

Wheaton zniknął w głębi mieszkania. Debora zaprowadziła Noxona i Rama do pomieszczenia, które mogło być biblioteką. Było pełne książek, czasopism, na każdej zaś stercie znajdowały się skamieliny w akrylowych pudełkach.

– Czuję się jak w domu – powiedział Ram Odyn.

– A wygląda to jak piwnica źle zarządzanego muzeum – mruknęła Debora – ale pewnie właśnie to ci się podoba.

Noxon wziął akrylowe pudełko z kością.

– Zostaw wszystko tam, gdzie jest, bez nowych odcisków palców – rzuciła Debora. – Co ci się stało w twarz?

Pytanie było dość bezpośrednie, ale Noxon wiedział, jak odpowiedzieć.

– A tobie?

– Ja spytałam pierwsza. Ale moją łatwo wyjaśnić. Wypadek samochodowy i pożar. Straciłam oboje oczu, a moja twarz jest jedną wielką blizną. Chirurdzy plastyczni zrekonstruowali mi nos i widać, że wyhodowali dla mnie nowe wargi i mięśnie, żebym mogła nimi poruszać. Ale nie potrafią stworzyć oczu. Zdecydowałam się na cyfrowe okulary. Twoja kolej.

– To pasożyt. Odmiana stworzenia zwanego twarzemaską, zaprojektowanego tak, by wchodziło w symbiozę z człowiekiem.

– Więc to nie przypadek.

– Prosiłem o nią. Zwiększa wydolność ludzkiego mózgu i ciała, przyspiesza reakcje, utrzymuje w dobrym zdrowiu, wyostrza percepcję.

- Oczy masz jakieś dziwne. Za daleko od siebie.
 - Maską w pierwszej kolejności wyłupuje oczy. Potem wytwarza nowe, lepsze. Ale jest dość nieprecyzyjna. Trzeba kilku lat, żeby znalazły się na normalnym miejscu.
 - Skóra wydaje się odrażająco nienaturalna. A może to moje okulary ją zniekształcają?
 - Nie, dobrze widzisz. Przynajmniej maska dobrze naśladuje mój kolor skóry.
 - Jakiej jesteś rasy? Za jasny na Afrykanina czy Drawida, za ciemny na Malajczyka. I za mały na Fidżyjczyka.
 - Taki sam kolor skóry mają wszyscy w mojej ojczyźnie. Możliwe, że jesteśmy osobną rasą. To znaczy, że reprezentujemy mieszankę specjalnie dobranych przedstawicieli różnych narodowości spomiędzy kolonistów na statku, którego pilotem zostanie Ram Odyn.
 - To takie dziwne, że zaczynam się zastanawiać, czy nie jest prawdziwe. A jeśli tak, to jakim cudem.
 - Ram pewnie wszystko wyjaśni twojemu... ojcu?
 - Tak, to mój ojciec. W tej chwili. Tak naprawdę to wuj, który mnie przygarnął. Moi rodzice zginęli w katastrofie, w której straciłam wzrok. Nie pamiętam ich, nie miałam nawet dwóch lat.
 - Pamiętasz, jak to jest patrzeć prawdziwymi oczami?
 - Mam wspomnienia, ale nie wiem, czy ich sobie nie zmyśliłam. Skąd pochodzisz?
 - Na pewno nie z Peru.
 - Ram tylko nam powiedział, a także, że udajesz, iż mówisz w keczuańskim.
 - Tego nie udaję. Mówię płynnie.
 - Ale nie jesteś z Peru.
 - Jestem ze świata Rama, jednej z dziewiętnastu murchii na planecie Arkadia.
 - Planecie... – powtórzyła Debora.
 - Świecie, który skolonizował Ram Odyn. Ten młodszy, który za kilka lat zostanie pilotem statku.
 - Więc istnieje dwóch Ramów...
 - Więcej. Istnieją też dwie wersje mnie. Ta druga zachowała pierwotne imię, Rigg. Ja nazwałem się Noxonem, żeby nasi przyjaciele nas rozróżniali.
 - Nie chcę być złośliwa, ale skoro Ram jeszcze nie założył kolonii, jak możesz z niej pochodzić? I kiedy rasy zdołały się wymieszać tak dokładnie, że sądzisz, iż masz kolor skóry pierwotnych ludzi?
 - *Homo sapiens*. Nie mam pojęcia o *Homo erectus*.
 - Nikt nie ma. Więc jak to uzasadniasz? Jak to możliwe? Wehikuł czasu?
 - Nie. Raczej wrodzona zdolność.
 - Tak sobie po prostu skaczesz wte i wewte przez czas?
- Zatem Noxon opowiedział o swojej wrodzonej umiejętności widzenia ścieżek i o

tym, jak talent Umba do zwalniania czasu pomógł mu zrozumieć, że te ścieżki to dawni ludzie. A teraz maska pozwalała mu się zakotwiczyć w ścieżkach bez pomocy Umba.

Debora słuchała bez słowa. Nie odezwała się też, kiedy skończył.

– Nie wierzysz mi – zauważył Noxon.

– Usiłuję zdecydować, czy sam sobie wierzysz. Nie potrafię stwierdzić, czy kłamiesz. Moje sztuczne oczy nie potrafią tego odczytać z twojej nieruchomej twarzy.

– Mam na to proste rozwiązanie – odparł Noxon.

Podniósł się z krzesła i w trakcie tego ruchu zaczął ciąć czas. Niedużo, tylko tyle, żeby zniknąć. A potem, zanim przestał, zrobił parę kroków. Gdy był niewidzialny i poruszał się wolniej niż reszta świata, widział, jak Debora sięga w miejsce, w którym się niedawno znajdował – w którym nadal był – a potem wstaje i przechodzi przez niego. Poczul żar jej przejścia. Lekko przyspieszył cięcie, gdy przechodziła przez jego przestrzeń, żeby nie zrobić krzywdy sobie ani jej. Debora podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz, odwróciła się i omiotła wzrokiem cały pokój. Może zastanawiała się, gdzie znajdzie się Noxon, kiedy się znowu pojawi. Jeśli się pojawi.

Wtedy się pojawił.

– Sprytna sztuczka – powiedziała bez zaskoczenia.

– To nie sztuczka.

– Widziałam już znikających ludzi.

– Ja też widziałem ludzi, którzy przechodzą przez miejsce, w którym się znajduję, ale nigdy mi się to nie nudzi.

– Naprawdę byłeś tu przez cały czas?

– Tak. To jedna z przyczyn, dla których cięcie czasu nie może służyć jako technika ucieczki. Jeśli twój wróg wie, co robisz, musi tylko umieścić kawał metalu w przestrzeni, w której się znajdujesz. Żar zderzeń miliarda atomów sprawia, że się gotujesz.

– Widziałeś to?

– Moja siostra umarła kiedyś w ten sposób.

Debora spojrzała na niego z przerażeniem.

– Nie, w porządku. Gdy zrozumieliśmy, co się stało, wróciliśmy w czasie i uratowaliśmy ją, zanim to się stało.

– Czyli nie umarła.

– Była martwa, gdy ją znaleźliśmy. To sympatyczna cecha chronomancji. Czasem udaje się odczynić coś bardzo złego. – Jego słowa zawisły w powietrzu. – Myślisz o rodzicach – powiedział.

– Nie znałam ich tak naprawdę. I staram się zrozumieć, co by się stało, gdybyś wrócił i ich uratował.

– Gdybym wrócił sam, wtedy zmieniłbym całe twoje życie. Nie wydarzyłoby się to wszystko, co zrobiłaś od czasu wypadku. Nie pamiętałabyś nic z tego, ponieważ

dziecko, które uratowano z tamtego płonącego wraku, miałoby normalną twarz i oczy, miałoby rodziców i nie zbliżyłoby się tak z wujkiem Georgią.

– Skąd mam wiedzieć, czy to drugie życie nie byłoby lepsze od mojego? Tak, moi rodzice stracili szansę, by mnie wychować. A może oszczędzono im przykrego rozvodu? A może nienawidziłabym mojego młodszego brata, który stałby się seryjnym mordercą?

– Co za mroczna wyobraźnia.

– Ale gdybym cofnęła się z tobą... Chyba sugerowałeś, że istnieją dwa wyjścia.

– Gdybym zabrał cię w przeszłość i miałabyś związek ze zmianą, która ocaliłaby twoich rodziców i twoją dwuletnią wersję, wtedy nadal byś istniała, ze wszystkimi wspomnieniami. Ta dwulatka także byłaby tobą. Powstałyby dwie kopie. Tak jak istnieją dwie kopie mnie, jedna na Ziemi, druga na Arkadii.

– Ale ojciec...?

– Profesor Wheaton nie miałby pojęcia, kim jesteś. Nie musiałby wychowywać poparzonej, ślepej dziewczynki, która przeżyła wypadek. Byłby innym człowiekiem. A ty byłabyś mu obca.

– Przeżyłabym, ale odebrano by mi moje życie...

– Nie... Raczej zostałabyś wymazana z ich życia.

Debora pokręciła głową.

– Nie chcę. Może to straszne, ale nie chcę uratować moich rodziców. Lecz to manipulowanie czasem... nie zdoła wszystkich ocalić. Śmierć przyjdzie i tak.

– Za jakiś czas. Ale masz rację. Mój przyjaciel Umbo zawsze żałował, że nie może wrócić i uratować swojego młodszego brata Kyokaya, ale to z powodu tej śmierci odkryliśmy, co potrafimy.

– Czy nadal byście istnieli?

– Teraz wiem, że tak. Istniałby Umbo w Wodobrodzie, bity przez ojca dopóty, dopóki by nie uciekł albo nie zabił starego. I byłaby wersja mnie – tego, który nie znał Umba, więc nie miał pojęcia, co oznacza widzenie ścieżek. – Noxon zadrżał. – I cofnąłbym się w czasie, by ocalić mojego zmarłego ojca, a wtedy przekonałbym się, że to nie męczyzna.

– Tylko kobieta?

– Że to nie człowiek, tylko zbędny.

– Ale to nielegalne. Zbędny nie może udawać człowieka.

– Może to nielegalne, ale po to ich stworzono. Wraz z odbytem, z którego wychodzą ludzaco autentyczne odchody. Żyłem z nim w lesie całymi miesiącami. Gdyby nie wydawał się idealnie normalny pod każdym względem, coś bym zauważył.

– Zaprojektowani, żeby udawać ludzi... Nie wiedziałam. Noszą specjalne uniformy i mówią takimi drewnianymi głosami, więc zawsze można ich rozpoznać.

– Mój ojciec, jak wszyscy zbędni, mówi normalnie. On i inni wyglądają jak ludzie.

Nie ma powodu powątpiewać w to, że są ludźmi, dopóki się nie zauważy, że żyją wiecznie i nigdy się nie starzeją.

– To zbrodnia.

– Są gorsze. Na przykład wysłanie floty, żeby unicestwić planetę z miliardami ludzi.

– Kto by zrobił coś takiego?

– Dlatego tu jestem. Bo to właśnie ludzie z Ziemi zrobią mieszkańcom Arkadii.

– Przecież twoja kolonia jest nadzieją ludzkości! Po tym, jak kometa zdruzgotała Księżyc i niemal unicestwiła życie na Ziemi, zrozumieliśmy, że musimy osiedlić się na innej planecie, żeby taki kosmiczny wypadek nie doprowadził do zagłady ludzkości. Fakt, że istniejesz, dowodzi, że się udało.

– Wiem. Nikt nie przewidział, że Ram Odyn nie tylko przeskoczy zagięcie, ale cofnie się o jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat w przeszłość. Nikt nie przewidział, że na planecie powstanie dziewiętnaście kolonii zamiast jednej. Nikt nie przewidział, że w ciągu tych jedenastu tysiącleci pojawią się u nas wodni ludzie, twarżomaski i gadające myszy.

– I ludzie manipulujący czasem.

– Goście, którzy przybędą, żeby ocenić sytuację na Arkadii, nie wiedzą o nas – oznajmił Noxon i nagle roześmiał się z własnej głupoty. – Nie, oczywiście, że o nas wiedzą. Jesteśmy we wszystkich dziennikach pokładowych statku. Na pewno o nas wiedzą. I pewnie właśnie dlatego zniszczą planetę. Żeby wyeliminować ludzi, którzy potrafią cofać się w przeszłość i dokonywać zmian.

– Potrafię sobie wyobrazić, że to ich przeraziło.

– Ale przecież mają świadomość, że już wiemy o zniszczeniu Arkadii – można to znaleźć w dzienniku pokładowym statku świata Odyna. Zatem pewnie spodziewają się tego, co właśnie robię.

– Musisz przyznać, że twój powrót na Ziemię jest nieco nieprawdopodobny – zauważyła Debora.

– Tak. Mogą sądzić, że dzięki ich szybkiemu działaniu nie zdążymy wysłać tutaj nikogo.

– Ale to i tak... drastyczne. Wysłaliśmy statek. Siedem lat później przeskoczył zagięcie. Potem wynaleźliśmy statki szybsze od światła i dotarliśmy na Arkadię tak szybko, że sądziliśmy, iż nie zdążycie się tu dostać – podróż od zagięcia miała potrwać kolejnych siedem lat. Ale wy zjawiliście się na Ziemi w zaraniu dziejów, podczas ostatniego zlodowacenia.

– Same niespodzianki.

– Ale dla nas to tylko piętnaście lat. Jak zdołali przekonać całą ludzkość do tak bezmyślnej rzezi? Do morderstwa popełnionego na naszych kolonistach?

– Całą ludzkość? – zdziwił się Noxon. – Dlaczego mieliby to ogłaszać wszystkim?

Debora spojrzała na niego zaskoczona.

– Bo na świecie panuje demokracja. Istnieje wiele krajów, ale każdy ma prawo głosu. A w tak gigantycznej sprawie na pewno...

– ...nikomu by nie powiedzieli – dokończył Noxon. – Zniszczą Arkadię dla dobra ludzkości, ogłaszają, że nie udało się założyć kolonii, a potem wyślą szybsze od światła statki, by założyć nowe kolonie. Mnóstwo. Ludzie nie dowiedzą się o nas przez długi czas, może nigdy. Nasze dzienniki pokładowe zostaną skasowane.

– Trudno utrzymać taką tajemnicę.

– Gdy Arkadia zostanie zniszczona, nie będzie można tego cofnąć.

– Wy to potraficie.

– Mam nadzieję. Chciałbym. Ledwie wierzę, że udało nam się dotrzeć tak daleko.

– Dlaczego przyszliście do nas?

– Ram zapewne prosi teraz twojego ojca, żeby dał nam schronienie i wyżywienie do czasu, gdy przekonamy się, co się stanie, gdy Goście wrócą z Arkadii.

– Ale jeśli masz rację, to nie powiedzą nikomu, czego się dowiedzieli. A ojciec nie zostanie dopuszczony do ich tajemnic. Jest wielkim naukowcem, ale nie zna żadnego polityka.

– To już będzie nasze zmartwienie – oznajmił Noxon. – A konkretnie moje. Poznać polityków. Do tego mnie wychowano.

– Ale... jesteś dzieckiem.

– Nie mam pojęcia, ile mam lat. Rzeczywiście, jestem młody, choć z każdym dniem mniej.

– No i... ta twoja twarz.

– Widziałem maskę mojego przyjaciela Bochna. Stopniowo staje się coraz bardziej normalna. Moja jest nadal nowa. Ale nawet jeśli ciągle będzie dziwna, to co? Będę wracać, aż znajdę odpowiednią drogę. Bo najpierw skoczymy w przód w czasie do chwili powrotu Gości, by zobaczyć, co się wydarzy. Dzięki temu będziemy wiedzieć, do jakich organizacji szukać dośścia.

– Dlaczego ty? Dlaczego dziecko?

– Bo twarz Rama Odyna jest znana na całym świecie. Jeszcze nie teraz, ale będzie wkrótce. Ram nie może się pokazywać na Ziemi w czasie, gdy podobno zakłada kolonię na obcej planecie.

– Pewnie za późno, żeby wymyślić jego brata bliźniaka – powiedziała Debora i parsknęła śmiechem. – Choć w telewizji robią to bez przerwy.

– Ja stworzyłem swojego brata bliźniaka, więc to możliwe.

Przez chwilę milczeli.

– Wiesz, czego chcę? – spytała Debora.

– Naprawdę mam zgadywać?

– Chcę, żeby wasza misja się powiodła. A wtedy chcę wsiąść z wami na statek, jeden z tych szybszych od światła, polecieć na Arkadię i dostać taką maskę.

- Przecież widzisz, jaki jestem brzydki i odczłowieczony.
 - Widziałeś moją twarz? Chcę mieć oczy. Nawet jeśli będą zbyt szeroko rozstawione, a jedno będzie trochę opadać na policzek. Chcę prawdziwe oczy zamiast tego czegoś w mózgu, co wyświetla mi cyfrowy obraz rastrowy.
 - Nie wyglądasz tak bardzo źle. Lekarze się postarali. Widziałem już blizny po oparzeniach. Ty ich nie masz.
 - Noxon. To bzdury, jakich świat nie słyszał.
 - Mówię prawdę.
 - Widziałam twoją minę, kiedy po raz pierwszy mnie zobaczyłeś. Jakbyś patrzył na katastrofę kolejową.
 - Usiłowałem zgadnąć, co ci się przydarzyło.
 - Na pewno wszyscy to sobie tak tłumaczą. Ale dla mnie wyglądało to jak gapienie się ze zgrozą.
 - Wiem, bo na mnie też tak patrzą. I z litością, gdy Ram opowiada o tropikalnym pasożycie.
 - Zatem nie wybieram między urodą i jej brakiem. Wybieram między posiadaniem i nieposiadaniem oczu. A ja chcę mieć oczy.
 - Nie wiem, czy wrócę.
 - Dlaczego nie? Ziemia tak ci się podoba, że nie zechcesz się z nią rozstać?
 - Mój statek tkwi pod lodem na Antarktydzie. Od stu tysięcy lat. W Peru zostawiłem w pudełku rozumne myszy. Jestem za nie odpowiedzialny.
 - Czyli statek już masz.
 - Taki, który rozdzielił się na dwadzieścia, gdy przeskoczył przez zagięcie.
 - A to ciekawe.
 - Nie możesz o nas nikomu powiedzieć.
- Debora roześmiała się głośno.
- Teraz o tym myślisz? Wyjawiasz mi wszystko, robisz tę demonstrację ze znikaniem i chcesz, żebym to zachowała w tajemnicy? Riggu Noxonie, ja już jestem dziwna. Nie zależy mi na tym, żeby w dodatku uznano mnie za wariatkę. Nie mogę o tym nikomu powiedzieć.
 - Wiem – przyznał Noxon z zakłopotaniem. – Tylko... ja jeszcze się nie przyzwyczaiłem. Do tego, co potrafię. A ojciec... zbędny Ramex nauczył mnie, że nie wolno o tym mówić, i ciągle nie umiem o tym zapomnieć.
 - Ciekawi mnie, dlaczego ojciec tak długo nie odpowiada Ramowi Odynowi. To oczywiste, że się zgodzi.
 - Nie ma tu nic oczywistego. Ram może zostać rozpoznany. Ja też nieco rzucam się w oczy. Ludzie mogą zacząć się zastanawiać, rozpytywać...
 - Nie rozumiesz, co zamierza Ram Odyn. On nie prosi o przysługę. On proponuje ojcu wymianę.

– Co możemy mieć na wymianę?

Noxon pomyślał o klejnotach, ale na Ziemi natychmiast zostałyby rozpoznane jako kryształy pamięci. Niewiarygodnie cenne, lecz także wyjątkowo niebezpieczne.

– Ciebie. Zaproponuję cię. Zabierzesz ojca w przeszłość, żeby na własne oczy przekonał się, czy jego hipotezy na temat *Homo erectus* są prawdziwe.

– Ach, tak... Rzeczywiście. Mógłbym to zrobić.

– W takim razie chodźmy im powiedzieć, że zawarliśmy umowę.

Debora wyciągnęła rękę i zaprowadziła go korytarzem do gabinetu profesora Wheatona, gdzie Ram Odyn drzemał na sofie, a Wheaton pisał na komputerze.

– A, już skończyliście? – spytał. – Załatwione?

– Zgodził się zabrać cię w przeszłość, żebyś zobaczył to na własne oczy – oznajmiła Debora. – Oczywiście nie będziesz mógł tego zamieścić w publikacji.

– Ale przynajmniej od tej pory moje domysły będą słuszne.

– Zawsze były, ojczu.

Wheaton wyciągnął rękę do Noxona. Uścisnęli sobie dłonie.

– To znaczy, że czekaliście na nas? – spytał chłopak.

– Ram wyjaśnił mi sytuację bardzo szybko. Zgodziliśmy się, że jeśli przekonasz moją córkę i dobiejecie targu, będzie załatwione.

– Ale Ram nie mówił mi, co mam zrobić.

– A ja nie mówiłem jej. Ale... dwoje inteligentnych młodych ludzi, których przyciąga wspólne doświadczenie i ciekawość... – oto negocjacje, jakie zdarzyły się zaledwie kilka miliardów razy w historii ludzkości.

– Nie uzgodniliśmy, że spłodzimy dzieci – rzuciła Debora wrogo.

– Nie ma pośpiechu – odparł Wheaton. – Na razie wystarczą mi podróże w czasie.

Rozdział 21

NEANDERTALCZYCY

– Interesuje mnie tylko *Homo erectus* – oznajmił Wheaton. – Ale tak, oczywiście chciałbym przy okazji rzucić okiem na neandertalczyków. Są przodkami wszystkich ludzi po afrykańskim exodusie.

– Jesteś ciekawy wszystkiego. Jak zawsze – powiedział Ram.

– Ale nie marnowałam czasu na spotkania z... kimkolwiek. Galileuszem, Jezusem...

– Może byś zechciał, gdybyś przeszedł przez Mur i nauczył się ich języków, by normalnie z nimi rozmawiać – odparł Noxon.

Wheaton parsknął śmiechem.

– Rzeczywiście. Ludzie zawsze zapominają o barierze językowej, gdy wyobrażają sobie kolację z jakąś starożytną sławą. Sokrates! Cóż by to było za żalosne spotkanie. W piętnaście minut udowodniłby mi, że jestem idiotą, a nie wiem, czy dojrzałem do tak bolesnego odkrycia.

– Właśnie dlatego powinieneś go wybrać – powiedział Ram. – I dlatego jazdą próbną będzie spotkanie z neandertalczykami. Bo na ich temat napisałeś swoją pierwszą pracę naukową.

– Tak naprawdę chcę się dowiedzieć, czy korrida i skoki przez byka to nasze odwzorowanie neandertalskich technik myśliwskich.

– A jeśli się okaże, że nie, czy to nie będzie zbyt rozczarowujące?

– Uznam, że moja hipoteza była niesłuszna. Na tym polega nauka. Ten, kto nie chce przyjąć, że jego hipoteza może nie być słuszna, nie jest naukowcem.

– Zatem rozczarowania są głównym doświadczeniem naukowca? – spytała Debora.

– Dobrze ją wychowałem, prawda? – pochwalił się Wheaton.

– Doszłam do tego całkowicie samodzielnie – odparła Debora.

Noxon roześmiał się cicho.

– Wątpisz w istnienie samouków? – spytała Debora tak słodko, że widać było, iż ma nadzieję na kłótnię.

– Wszystkiego uczymy się sami – oznajmił – budując na fundamentach, które dali nam nauczyciele.

– To trzeba gdzieś wyryć w kamieniu – mruknęła Debora. – Na przykład na twoim

nagrobku.

– Nie ucieknę przed naukami mojego ojca – powiedział Noxon. – Pod wszystkim, czego się sam nauczyłem, znajduję jego niczym rusztowanie. Znajduję go przede mną, gdy idę tam, gdzie mogę zobaczyć i zrozumieć nowe rzeczy.

– Twoim ojcem był zbędny. Moim – roztargniony profesor. Musiałam mu znajdować skarpetki od pary, kłaść na łóżku jego bieliznę, kiedy brał prysznic. W przeciwnym razie zapomniałby ją włożyć.

– To jakieś pomówienia – prychnął Wheaton. – Zabierz nas w przeszłość, z łaski swojej. Nie chce mi się słuchać tej rozmowy.

– Mogę przenieść nas w czasie. Mogę przenosić przedmioty w przestrzeni – w niewielkim stopniu. Ale nic nam nie da cofnięcie się w czasie, dopóki nie znajdziemy się w miejscu, w którym będziemy mogli zobaczyć to, co chcesz zobaczyć.

– Masz rację. Wszyscy neandertalczyki wyginęli w czasach, gdy *Homo sapiens* dotarł do Ameryki.

– Wycieczka do Europy! – ucieszyła się Debora. – Namawiam cię od lat!

Ram westchnął.

– Noxon i ja będziemy musieli odbyć podróż niewidzialni. Nie mamy dokumentów.

– Ale to nie problem, kiedy się tnie czas – dodał Noxon. – To nudne, bo nie możemy z sobą rozmawiać ani niczego słyszeć. Ale zrobię to tak szybko, że nie będziemy bardzo długo pozostawać w tym stanie.

– Mogłabym ciąc czas z tobą? – spytała Debora.

– Nie byłoby dobrze, gdybyś zniknęła w zamkniętej przestrzeni, takiej jak samolot – odparł Noxon. – Ludzie zauważą, że cię nie ma.

– Pójdę do łazienki, a ty podejdziesz do drzwi i mnie przez nie wyciągniesz.

– W czasie cięcia poruszamy się bardzo powoli. Czy to fair tak długo blokować toaletę?

– Więc pójdę w stronę łazienki i zaczniemy ciąć czas, nie zostawiając za sobą zamkniętych drzwi.

Debora najwyraźniej paliła się do tego eksperymentu, ale Noxon wątpił, żeby wytrzymała w tym zapale w nudnym cięciu czasu. Przypomniała mu się Param, która cięła czas przez tak wiele godzin, dni, miesiące swojego dzieciństwa – i cena, jaką za to zapłaciła. Ale Debora także zapłaciła cenę – zyskała mechaniczne oczy, lecz brakowało jej wielu normalnych doświadczeń. Może ta podróż w czasie była bardzo pożądaną ulgą w nudnym życiu. Z tą myślą Noxon spojrział na wuja dziewczyny, by sprawdzić jego nastawienie.

Wheaton wziął jego spojrzenie za sygnał, by przemówić.

– Cieszę się, że tak poważnie traktujesz tę naukową ekspedycję – powiedział. Oczywiście sarkastycznie, ale i czule, w każdym razie tak wydawało się Noxonowi.

– To dzieci – rzucił Ram. – Niech się bawią.

I tak Debora spędziła większą część podróży nad Atlantykiem niewidzialna, a Noxon sprawił, że czas przepływał wokół nich bardzo szybko, więc cały lot potrwał tylko kilkanaście kroków. Ale gdy zbliżyli się do lotniska, odstawił dziewczynę do normalnego strumienia czasu, żeby stewardesa nie zauważyła jej braku podczas lądowania.

Gdy opuścili lotnisko i zameldowali się w hotelu, przede wszystkim musieli zdecydować, czy powinni zrobić skok w przeszłość. Dzięki talentowi do znajdowania ścieżek Noxon mógł wybrać dokładnie to miejsce, którego potrzebowali, ale musieli przeszukać sporą część Europy. Nie było sensu zadawać sobie takiego trudu tylko po to, żeby popatrzeć, jak neandertalczyki wybierają się w długą wędrówkę.

– Nie wiem, co widzi tropiciel – powiedział Wheaton. – Ale ja potrzebuję czasu i miejsca, w którym neandertalczyki polowali na byki. A raczej tury. Wielkie stworzenia z epoki lodowej.

– Nie całkiem prehistoryczne – odezwała się Debora. – Ostatni umarł w Polsce w tysiąc sześćset dwudziestym siódmym roku. To przodkowie współczesnego bydła. Azjatyckiego zebu i zachodniego byka.

– Krynica wiedzy – mruknął Wheaton.

– Mówię mu, że nie powinien szukać krów. Chodzi nam o to. – Pokazała tablet ze zdjęciem szkieletu tura. – Zwróć uwagę na te zagięte w przód rogi. To doprowadziło ojca do wniosku...

– Do hipotezy – przerwał Wheaton.

– Raczej strzału w ciemno – poprawiła go Debora – że starożytne kreteńskie wizerunki, przedstawiające skaczących przez byki, miałyby o wiele więcej sensu, gdyby dotyczyły turów. Te skierowane do przodu rogi są o wiele bardziej poręczne, gdyby ktoś zamierzał je złapać i skoczyć na grzbiet stworzenia.

– Ta hipoteza tak naprawdę wzięła się stąd, że neandertalczyki najwyraźniej nie wynaleźli broni przeznaczonej do miotania. Ich dzidy nadawały się tylko do dźgania, nie rzucania. A teren, na którym mieszkali, nie pozwalał na bieganie – tak jak polował *Homo erectus*. Choćbyś umiał się skradać nie wiadomo jak cicho, nie zdołasz się zbliżyć tak bardzo do tura, żeby dźgnąć go między żebra. Ostatni odcinek drogi trzeba przebyć biegiem, a wtedy neandertalczyk musiał wskoczyć na zwierzę i dźgnąć je u podstawy czaszki, przerywając kręgosłup.

– A tur stał grzecznie i czekał – dodał Ram.

– Wierzał jak sukinsyn – odparł Wheaton. – Ale neandertalczyki byli silni. Ściskali go udami tak długo, aż udało im się go dźgnąć i powalić.

– Choć te zgadywanki taty nie wyjaśniają, w jaki sposób człowiek wskakiwał nad rogami na grzbiet byka i lądował, obrócony twarzą w stronę jego łba – powiedziała Debora.

– Byli bardzo zwinni – oznajmił Wheaton.

– Przekonajmy się – zaproponował Noxon. – Może znajdziemy miejsce, w którym na pewno polowano na tury. Wtedy istnieje duża szansa na to, że znajdę ścieżkę.

Miejsce to znaleźli w Słowenii, małym państwie, w którym znajdowała się jedna z większych osad neandertalskich czynnych przez tysiące lat. Noxon szybko uświadomił sobie, że zamieszkiwano ją aż sześć razy w jednym sezonie. Ale antropologowie nie mogli tego zauważyć. Noxon natrafił też na ścieżki, które wyglądały na łowców wracających z dużego polowania – po ich przybyciu nastąpiła uczta i wędzenie dużych ilości mięsa – a potem wyczuł, gdzie padła ich ofiara. Ta pierwsza próba jednak stanowiła ślepy zaułek – myśliwi znaleźli martwe tury, powalone przez wymarły gatunek wilka *Canis dirus* i chorobę.

Druga próba naprowadziła go na trop żywych turów, a Noxon wyczuł, że jeden z neandertalczyków rzeczywiście wskoczył na grzbiet żywego zwierzęcia. Potem chłopak spojrział na mapę, dopasowując do niej ścieżki.

– Drogą nie dotrzemy już bliżej – powiedział. – Musimy przejść jakieś dziesięć kilometrów.

– Kiedy to zdarzenie nastąpiło? – spytał Wheaton.

– To najstarsza grupa, która spędziła tu sezon – wyjaśnił Noxon. – Czy naukowcy już tego nie określili? Przynajmniej datowaniem węglem?

– Najstarsze znalezione tu ogniska pochodzą sprzed dziewięćdziesięciu tysięcy lat – oznajmił Wheaton.

– To by się zgadzało. Mój dar widzenia ścieżek nie ma związku z kalendarzem, ale dziewięćdziesiąt tysięcy lat to dla mnie wskaźnik.

– Dziesięć kilometrów – jęknął Ram.

– Tyle samo przechodzisz z samolotu do samolotu na lotnisku – zauważył Noxon.

– Akurat.

– To zostań tutaj. Możesz popilnować naszych rzeczy, żebyśmy nie musieli tego wszystkiego dźwigać.

– Zostawimy je w bagażniku – oznajmił Ram. – Nie będzie mi ich brakować.

– Nieprawda, będziesz narzekać przez całą drogę. Ci neandertalczyki byli jacyś głupi – polowali na tury tam, gdzie akurat były, zamiast usiąść i czekać, aż do nich przyjdą.

Droga była trudna – mnóstwo pagórków i wądołów, do których schodzili, by zaraz potem wdrapać się po drugim zboczu na górę, mnóstwo kolczastych chaszczki, przez które musieli się przedzierać. Ale wszyscy mieli strój odpowiedni do marszu i dotarli na miejsce zmęczenia, ale nie wyczerpani.

– Jeśli neandertalczyki byli czujni – powiedział Noxon – nie zdołamy się pojawić tak, żeby nas nie dostrzegli. Dlatego myślę, że sprowadzę was do właściwego czasu za tym pagórkiem, a potem wejdziemy na jego szczyt, tnąc czas. Nie będę tego robić bardzo szybko, więc zobaczycie neandertalczyków w przyspieszonym tempie, ale nadal wyraźnych.

– Czy zdołam ich sfilmować? – spytał Wheaton.

– Skoro nasze oczy ich widzą, to kamera również – powiedział Noxon. – W trakcie cięcia czasu obrazy będą się przesuwać szybko, ale pozostaną wyraziste. W przeciwieństwie do dźwięku, który będzie do nas dochodzić jako niezrozumiały, urywany bełkot.

– W takim razie plan jest wyborny – zdecydował Wheaton.

Z pewnością, którą zapewniła mu maska, Noxon sprowadził przyjaciół w wybraną chwilę, a potem, gdy ruszyli po zboczach wzgórza na szczyt, zaczął precyzyjnie ciąć czas. Znaleźli się na tyle blisko, żeby wszystko widzieć, ale nie aż tak, by się bać mijających ich neandertalczyków.

Polowanie okazało się powolnym, długotrwałym procesem. Noxon kilka razy przyspieszył cięcie czasu, żeby czekanie nie stało się zbyt niewygodne. Nie chodziło tylko o zmęczenie – gdyby potrwało to za długo, ktoś musiałby iść na stronę.

Czterej neandertalczyki zbliżali się z nieskończoną cierpliwością do pasącego się stada. Niewiarygodne, jak powoli się poruszali, jak całkowitą ciszę zachowywali nawet w niewygodnych pozycjach. Każdy z nich – dwaj mieli jakieś dwadzieścia lat, dwaj byli młodsi – niósł przypasaną na plecach krótką włócznię, której kamienne ostrze wystawało mu nad głowę. Ręce miał puste. W przeciwieństwie do wilków i drapieżnych kotów nie szukali starej i chorej lub wyjątkowo młodej sztuki. Wybrali najsilniejszego samca. Najwyraźniej lubili niebezpieczeństwo, a może doszli do wniosku, że skoro poświęcają tyle czasu na polowanie, powinni zdobyć zadowalającą ilość mięsa.

W końcu zbliżyli się na tyle, że tury zaczęły się denerwować. Jeśli łowcy rzucili jakiś sygnał, to chyba głosem, bo obserwatorzy nie zauważyli żadnego znaku zapowiadającego ten nagły jednoczesny skok. Trzej neandertalczyki, którzy nie znajdowali się bezpośrednio przed turem, chwycili dzidy, zamierzając dźgnąć zwierzę w bok. Ale ten, który stał oko w oko ze swoją ofiarą, miał puste ręce. Rzucił się wprost na wielki rogaty łeb, machając rękami i, sądząc po otwartych ustach, krzycząc. Pozostałe tury spłoszyły się, niektóre zaczęły uciekać, ale wielki byk odwrócił się do pędzącego na niego krzyczącego człowieka, opuścił łeb i ruszył naprzód, najwyraźniej zamierzając nadziać go na rogi i wypruć mu wnętrzności lub zepchnąć go z drogi.

Główny myśliwy nie odwracał wzroku od tych rogów. W ostatniej chwili tur opuścił je i lekko przechylił głowę, żeby wycelować jeden ze szpiców w przeciwnika. Wówczas ten chwycił róg jedną ręką, skoczył i w locie złapał drugi róg. Tur szarpnął głową i myśliwy obrócił się w powietrzu. Gdy więc wylądował na karku zwierzęcia, był zwrócony twarzą w stronę jego głowy. Nie było to lądowanie miażdżące krocze – najpierw zetknął się z ciałem tura stopami, które ześlizgnęły się po obu bokach, wyhamowując pęd, więc gdy krocze mężczyzny zderzyło się z kościstym kłębem zwierzęcia, ten zwyczajnie usiadł.

Noxon pierwszy raz widział tak doskonale skoordynowany ruch. W chwili, gdy myśliwy znalazł się na grzbiecie tura, pozostali wojownicy dźgnęli byka w łopatkę i tylne uda na tyle głęboko, że nawet nie starali się wyrwać włóczni. Same rany nie były śmiertelne, ale ponieważ dzidy zostały w ciele zwierzęcia, ślady krwi znaczyłyby drogę ucieczki, a krwotok osłabiłby jego siły, więc myśliwi mogli liczyć, że dopadną swojej ofiary, choć nie od razu.

Główny myśliwy nie był nowicjuszem. Ledwie usadowił się na grzbiecie tura, sięgnął po włócznię i zadał cios z ogromną siłą. Dzida zatopiła się na jakieś dwadzieścia centymetrów w kręgosłupie zwierzęcia, które wzdrygnęło się i upadło na bok, straciwszy panowanie nad mięśniami po przerwaniu rdzenia kręgowego. Przywódca zeskoczył z niego, żeby nie zostać przygniecionym.

Noxon zastanowił się nad jego działaniem. Mężczyzna jednym płynnym ruchem chwycił tura za rogi, zrobił obrót w powietrzu, wylądował na stopach, ześlizgnął się w dół, mocno ściskając zwierzę nogami, wyjął dzidę i dźgnął w precyzyjnie wybrane miejsce ze wszystkich sił, opierając się na drzewcu całym ciężarem ciała, a następnie zeskoczył, unikając przewracającego się cielska. W realnym czasie nie trwało to tak krótko, jak wydawało się Noxonowi, ale przecież nie ciął go aż tak szybko. Wszystko wydarzyło się w niewiarygodnym tempie.

Pozostali myśliwi natychmiast dopadli ofiary i małymi kamiennymi nożami rozcięli jej gardło i brzuch. Wypatroszyli zwierzę i oskórowali wprawnymi ruchami. Każdy wykonywał to, co do niego należało. Noxon przyspieszył cięcie czasu na tyle, żeby obejrzeć cały proces, zanim będą musieli odejść. Gdy myśliwi owinęli w skóry największe kawały mięsa i znowu przytroczyli do pleców dzidy, Wheaton uniósł pięść i Noxon oraz pozostali wstali i zeszli w dół wzgórza, z którego prowadzili obserwacje.

Noxon przestał ciąć czas, żeby mogli porozmawiać.

– Chcesz zobaczyć coś więcej?

W odpowiedzi profesor odtworzył nagranie na kamerze.

– Mam nadzieję, że zdołam je zwolnić albo przynajmniej obejrzeć klatka po klatce, bo tyle się działo... ale mam to. Coś pięknego.

Mówili przyciszonym głosem, lecz neandertalczyki nie przetrwaliby tak długo, nie zachowując ostrożności. Noxon podniósł głowę i zauważył, że myśliwi na nich patrzą. Dzięki masce usłyszał ich głosy. Nie był to bardzo rozwinięty język – składał się z nazw i prostych słów: „kto”, „co”, „wróg”, „zabić”. Jak to możliwe, że Mur dał mu zdolność rozumienia tak prymitywnej mowy – neandertalskiej, nie pochodzącej od *Homo sapiens*? Nad tym będzie miał czas się zastanowić później.

– Znikamy, ale zostajemy w tych czasach – spytał – czy wracamy w przyszłość?

– Mam już wszystko, czego mi potrzeba.

Neandertalczyki porzucili swój bagaż i biegli z włóczniami w dłoniach w ich stronę.

– A zatem przyszłość – powiedział Noxon. – Być może potrafię to zrobić, nie

trzymając was za ręce, ale nie ryzykujemy.

Wszyscy ujęli swoje dłonie. Neandertalczyki poruszali się bardzo szybko; skacząc na oślep w przyszłość, Noxon czuł już ich zapach – nie tylko ciał, ale i oddechu.

Wrócili na kilka dni przed swoim przyjazdem. Noxon znowu skoczył w przyszłość, nie chcąc się skazywać na nudę cięcia czasu, ale skok był tak nieprecyzyjny, że poniosł ich za daleko – przy ich samochodzie stał już holownik i policjanci. Pewnie mogliby się jakoś wybronić, ale musieliby wyjaśnić, skąd Noxon zna płynnie słoweński i gdzie się podziewali przez te wszystkie dni, gdy samochód stał opuszczony. No i powracał problem braku dokumentów.

Dlatego Noxon cofnął ich do momentu, gdy ich ścieżki znikły za wzgórzem. Wrócili do samochodu, zanim ich wersje dotarły na miejsce polowania neandertalczyków.

– Nie możemy dowieść, że współcześni neandertalczykom ludzie widzieli ich polowania – odezwała się Debora. – Ale nie można też twierdzić, że to niemożliwe. *Homo sapiens* i neandertalczyki zbyt długo koegzystowali.

– Zgadza się – powiedział Wheaton. – Moja hipoteza nie została udowodniona, ale to, co widzieliśmy, z pewnością jej nie podważyło. To była korrida, z pikadorami włącznie. I narodziny sportowej dyscypliny skakania przez byka. Nikt nie usiłował ich ujeżdżać.

– Aż do czasów rodeo – dodała Debora. – Co za siła! Co za panowanie nad sobą! Co za cierpliwość! Jak to możliwe, że *Homo sapiens* ich pokonał?

– Nie musiał ich pokonywać – stwierdził Wheaton. – Fakt, że *Homo sapiens* nie posiada mitochondrialnego DNA neandertalczyków, sugeruje, że jeśli dochodziło do walk wręcz, neandertalczyki zawsze zwyciężali, a ich samce parzyły się z samicami *Homo sapiens*, nigdy odwrotnie.

– A może kobiety neandertalczyków były tak silne, że łamały kark każdemu wydelikacjonemu człowiekowi, który usiłował z nimi spółkować – odparła Debora.

Satysfakcja pobrzmiwająca w jej głosie niespecjalnie spodobała się Noxonowi.

– Jakoś zgłodniałam na widok tego ociekającego krwią mięska – dodała Debora.

– Dlaczego? – spytał Wheaton. – Zawsze wolałaś wołowinę rozgotowaną na szarą paćkę.

– Ale wiem, że pochodzi z tych wielkich zakrwawionych udźców i boków i nie miałabym nic przeciwko ziemniaczanej zapiekance z wołowiną. Albo hamburgerowi.

– Szczerze mówiąc – oznajmił Wheaton, zwracając się do Noxona – twoje dzisiejsze dokonanie całkowicie pokryło koszt łatwiejszej do wykonania części umowy: zapewnienia wam schronienia do czasu, gdy się przekonacie, dlaczego Ziemianie postanowili unicestwić wasz świat. Jeśli nawet nie będziesz chciał mnie więcej zabrać w przeszłość, i tak uznam, że jesteśmy bardziej niż kwita.

– Nikt z nas nie byłby szczęśliwy, gdybyśmy nie odwiedzili *Homo erectus* – powiedział Noxon. – Dzisiejsza wyprawa była nagrodą sama w sobie.

Wheaton parsknął śmiechem.

– Ja się tu zachwycam sprawnością neandertalskich myśliwych, a tymczasem mogłem ją podziwiać dzięki nieprzewidzianemu talentowi, który wykształcił w sobie człowiek.

– Kamerze? – spytał Noxon niewinnie.

Wheaton tylko się roześmiał, ale Debora wzięła Noxona za rękę i lekko ją uściśnęła. A więc nie zależało jej wyłącznie na łamaniu karków.

Postanowili nie wracać samolotem do Stanów Zjednoczonych, lecz skierować się prosto do Afryki i poszukać ścieżek wczesnych plemion *Homo erectus*. Nie sprzed dziewięćdziesięciu, lecz sprzed co najmniej dziewięćuset tysięcy lat. Może nawet dwa razy starszych. I tym razem zamierzali obserwować je przez wiele dni, nie godzinę.

To całe przyglądanie się neandertalczykom wyczerpało Noxona. Z *Homo erectus* będzie jeszcze trudniej. Ale... od tego zależały losy świata. A on był ciekaw, co zobaczą, niemal tak bardzo, jak Wheaton i Debora.

W samolocie do Nairobi, gdy zrobili przerwę na toaletę w cięciu czasu, Ram Odyn spytał:

– Chcesz to zrobić? Wyglądałeś, jakby ta ekspedycja mocno cię zmęczyła.

– Może w Afryce nie będziemy musieli tak daleko iść – odpowiedział Noxon. – I będziemy po prostu obserwować przez kilka godzin dziennie, po czym wrócimy do obozu w teraźniejszości. Nie będę się tak wysilać. A ona – dotknął maski – pomaga mi wytrwać.

– Ale nie zastąpi ci jedzenia, wody i wypoczynku.

– Rozumiem, że chcesz pogadać, ale muszę skorzystać z toalety.

Ram wskazał mu otwarte drzwi. Noxon wszedł do małego pomieszczenia i raz jeszcze zachwyił się udogodnieniami codziennego życia, które ludzie z tych czasów uważali za ledwie akceptowalne warunki. Podróż samolotem trwała tylko kilka godzin, a oni i tak musieli poświęcić przestrzeń, na której zmieściłoby się jeszcze parę rzędów foteli, na zbiornik na odchody oraz pomieszczenie do przygotowywania jedzenia i napojów. Nieliczni spośród tych ludzi zdołaliby wytrzymać trzy dni w lasach, w których Noxon żył w dzieciństwie. Ale mieli moc – z której wkrótce skorzystają – by unicestwić życie na Arkadii! Te wydelikaczone, korzystające z toalety, objadające się przekąskami dzieci! Ale podobnie jak *Homo sapiens* – słabszy i pewnie głupszy, który dzięki lepszej broni prześcignął neandertalczyka w polowaniach i może też w walce – ci ludzie przenieśli ewolucję ze swoich ciał na narzędzia. Nie musieli osiągać indywidualnej inteligencji czy siły, cierpliwości, mądrości czy biegłości w walce. Nie musieli unicestwiać neandertalczyków własnymi rękami: gdy w ich arsenale znalazły się łuki i miotacze oszczepów, zaczęli ich używać, by zabijać z bezpiecznej odległości.

Rozdział 22

DOM DLA KWADRATA

– To, o co cię poproszę, może ci się wydać nieprzyjemne – powiedziała cioteczka Wiatr.

Umbo zareagował bardziej na jej ton niż słowa, a ten wskazywał, że nie dzieje się nic złego, a Umbo będzie zachwycony.

– Poproś, to zobaczymy – stwierdził.

– Martwię się o dziecko, które sprowadziłeś z przyszłości. O chłopczyka, którego nazwali Kwadratem.

Umbo drgnął.

– Skąd o nim wiesz?

– Twój przyjaciel Bochen zostawił go kilka tygodni temu pod naszą opieką. Myślałam, że wiesz.

– Bochen mówi mi tylko to, co według niego powinienem wiedzieć.

– No cóż, nieważne, co mu się wydaje. Moim zdaniem musisz to wiedzieć, bo to ty uratowałaś życie temu chłopcu.

– Obchodzi mnie, co się z nim stanie – zapewnił Umbo.

– Bochen powiedział, że matka chłopca nie uważa go za swoje dziecko. Potrafię to zrozumieć – nie pamięta, żeby go nosiła w łonie. Ale nie pojmuję, dlaczego nie potrafi go pokochać, tak jak uczyniłaby każda kobieta na widok sieroty potrzebującej opieki.

– Lejka nie może się zmusić do uczuć, które nie przychodzą jej naturalnie. – „Albo powstrzymać tych, które już czuje” – pomyślał Umbo, gdy odezwały się w nim bolesne wspomnienia związane z próbami opanowania jej emocji na tyle, żeby go wysłuchała.

– To dość niefortunne w przypadku dorosłej osoby – zauważyła cioteczka Wiatr. – Problem polega na tym, że żyjemy w morzu, a opieka nad Kwadratem oznacza, że któraś z karmiących matek musi przebywać na lądzie przez długi czas. Ponieważ matka Kwadrata go nie chce, poproszę o zgodę na znalezienie dla niego peleryny i zabranie go z nami pod wodę. To dobre życie.

– Nie sądzę, żeby Bochen tego chciał – odparł Umbo. – Ale wiem, że nie możemy prosić Larów o pozostawanie na lądzie. Pozwól, że z nim porozmawiam.

– Miałam nadzieję, że otrzymam szybką odpowiedź. Niestety, stoję w obliczu małego

buntu – już i tak powstało sporo kwasów z powodu myszy, którym oddaliście te ziemie. Niektórzy mówią: „Niech myszy wykarmią to dziecko, a nas w to nie mieszajcie”.

Umbo nie zdawał sobie sprawy, że Larowie mają im za złe sprowadzenie intruzów do ich świata. Sądził, że ledwie zauważyli ich obecność.

– Pod wodą łatwiej byłoby zaopiekować się dzieckiem – powiedziała cioteczka Wiatr. – Nawet na łodzi, mając pelerynę, nie potrzebowałyby pieluszek.

– Peleryna sprawia, że człowiek nie musi... – Umbo nie potrafił mówić o tych sprawach.

– Nie, ale myje dziecko, a potem siebie. To bardzo higieniczne. Peleryny przez tysiące lat dostosowywały się do naszych potrzeb.

Umbo westchnął.

– Rozumiem, że ci się spieszy. Pamiętaj o moich zdolnościach. Spytałem Bochna, ale wrócę do ciebie za godzinę.

– Czy na pewno? – spytała cioteczka łagodnie.

Jej powątpiewanie go uraziło.

– Jeśli nie wrócę, to tylko dlatego, że nie żyję.

– Nie wątpiłam w twoje słowo – powiedziała cioteczka Wiatr rozbawiona, lecz życzliwa. – Nie sądziłam, że potrafisz tak precyzyjnie obliczać swoje podróże w czasie.

– Nauczyłem się tego całkiem niedawno – przyznał Umbo – i teraz umiem wyznaczać czas dość dokładnie, zwłaszcza gdy chodzi o chwile bliskie momentowi, w którym byłem. Jak ten.

– Więc zaczekam tutaj, choć jest sucho i gorąco, a ty masz przed sobą wiele dni podróży.

Niech sobie myśli, co chce, zdecydował Umbo. Nie zamierzał szukać Bochna całymi dniami. Miał nóż, który służył też jako telefon – komunikator, którym można było wezwać lądowca ze świata Lara. A ten przyleciał po niego, zanim Umbo zdążył odejść więcej niż dwa kilometry od brzegu. Nie musiał szukać miejsca do lądowania; spuścił drabinę, a Umbo stanął na jej szczeblu i zaczekał, aż lądowca wciągnie ją wraz z nim do wnętrza. Dlatego dotarł jeszcze przed zmrokiem tego samego dnia do osady między murchami, w której Bochen trenował żołnierzy z armii Umba. Niestety, za każdym razem, gdy Umbo się tam zjawiał, był traktowany jak król, co go krępowało. Na szczęście wymigał się przed większością nonsensów, zauważając, że to Param jest Królową w Namiocie, a on tylko jej małżonkiem. Dlatego szukając Bochna, musiał jedynie przyjmować powitania. Etykieta nie zmuszała go do składania czasochłonnych wizyt.

Dobiegały go już wrzaski Bochna, musztrującego oddział rekrutów, którzy niezdarnie wymachiwali włóczniami. Najwyraźniej pochodzili z miasta, bo nie mieli pojęcia nawet o podstawach walki pałką i kijem bojowym, które każde dziecko w

Wodobrodzie poznało podczas zabaw. Nawet wiejskie dziewczynki umiały się bronić pałką, gdy kij bojowy był dla nich na tyle za długi, by przydać się do czegokolwiek innego niż przeskakiwanie przez strumienie.

Bochen nie ucieszyłby się, gdyby mu przeszkadzono, więc Umbo zamierzał poczekać. Nie było powodu do pośpiechu, Umbo posłużył się lądownikiem z lenistwa i niechęci do marnowania życia na bezsensowne marsze, nie dlatego że gonił go czas. Bez względu na to, ile zajmie mu to zadanie, on wróci do świata Lara o umówionej porze albo nawet wcześniej.

Bochen natychmiast go zauważył, ale Umbo umyślnie odwrócił wzrok w innym kierunku, a potem usiadł na ziemi, wysyłając jasny sygnał, że nie zamierza przeszkadzać. Bochen skinął głową i wrócił do pracy. Słońce prawie zachodziło, gdy pozwolił zmęczonym, posiniaczonym, utykającym mężczyznom odejść i zjeść fantastyczny gulasz, przyrządzony przez Lejkę i jej załogę. Niektórzy narzekali, że ciągle tylko gulasz, ale Bochen i Lejka doszli do wniosku, że to najlepszy sposób, by jedzenie było zawsze gotowe, bez względu na to, kiedy skończy się trening, ponieważ inne oddziały ćwiczyły gdzie indziej i zjawiały się na posiłki w innym czasie.

Ale nie był to ciągle ten sam gulasz. Lejka dbała, żeby na wszystkich paleniskach stały kotły i gdy jeden się opróżniał, kazała go dokładnie szorować. Niektórzy kucharze nigdy nie myją kotła, tylko dodają nową wodę i składniki, twierdząc, że dzięki temu smak potrawy się wzbogaca, ale Lejka oznajmiła:

– Nie podałambym moim klientom gulaszu ze składników starszych niż ich babcie i dlatego warto było zbudować miasto wokół naszej gospody!

Bochen podszedł do Umba znacznie energiczniej niż jego ludzie.

– Rigg ich potrzebuje? – spytał. – Bo jeszcze nie są gotowi.

– Nie, nie widziałem się z Riggiem – odparł Umbo – ani ich nie potrzebuję. Chyba że któryś z nich ma piersi pełne mleka.

– Jeśli nawet, to już je z nich wycisnąłem – powiedział Bochen z uśmiechem. Dopiero potem zrozumiał. – Byłeś w świecie Lara. Czy coś się stało z Kwadratem?

– Jak mogliście go odesłać Larom? – spytał Umbo. – Trud pozostawiania na lądzie z jego powodu zaczyna ich zabijać.

– Myślałem, że będą się nim opiekować na zmianę... Cioteczka Wiatr mogła odmówić.

– Zgodziła się, ale inni odmawiają, a ja muszę jej przynieść dzisiaj twoją odpowiedź.

– Jaką odpowiedź?

– Chce włożyć chłopcu pelerynę.

Bochen pokręcił głową.

– Wtedy musiałyby zostać w świecie Lara na zawsze. Nie miałyby kontaktu z bratem.

– Czy Lejka już o tym nie zdecydowała?

Bochen skinął głową.

– Kocham ją, a ona i tak jest warta więcej niż moja miłość. Ale przyznaję, że nie spodziewałem się, iż odtrąci Kwadracika. Nawet jeśli nie uważa go za swojego syna, myślałem, że chociaż ulituje się nad sierotą.

Umbo wzruszył ramionami.

– Ale on nie jest sierotą i to komplikuje wszystko.

– Kobieta, która go urodziła, nie będzie istnieć w tym strumieniu czasu, nawet jeśli miała na imię Lejka. Nie mam pojęcia, co zrobić. Nie mogę znowu zabrać Kwadracika do świata Rama, bo gdy Haddamander i Hagia zorientują się, kim jest, wezmą go na zakładnika. I raczej nie chcę, żeby przebywał wśród Odynerów.

– Cioteczka Wiatr powiedziała, że niektórzy Larowie radzą oddać go myszom, którym pozwoliliśmy zamieszkać w murchii Lara.

Bochen powoli pokiwał głową.

– Ach, tak. Zatem zauważyli i nie są zachwyceni.

– Nawet jeśli nie zamieszkują lądu, uważali te ziemie za swoje.

– Teraz je stracili – mruknął Bochen. – Nie sądzę, żebyśmy mieli więcej szczęścia z myszami.

– Możemy je poprosić, żeby nie zbliżały się do brzegu. Na to chyba się zgodziły.

– Albo mogłyby powiedzieć: „Niech Larowie nas wypędzą, skoro nas nie chcą”.

– Dzięki pelerynom Larowie to jedyni ludzie na Arkadii, którzy zawsze potrafią dostrzec myszy bez względu na to, gdziekolwiek by się ukryły i jak małe by się stały.

– Są też jedynymi, którzy mogą – zauważył Bochen – z powodzeniem uciec przed myszami do oceanu. Jakoś się dogadają, a my nie powinniśmy się mieszać. Ale rozumiem problem. Peleryny są hodowane tak, żeby były delikatne dla dzieci, by mogły z nimi dorastać, że tak powiem. Dziecko pozostaje panem swojego ciała.

– Zatem uważasz, że Kwadrat powinien dostać pelerynę?

– Nie chcę wychowywać syna, który może się schować przede mną w morzu – stwierdził Bochen.

– Ach, więc zamierzasz go wychowywać?

– Będzie wiedział, że ma ojca, choćby z brzydką twarzą maską.

– Dlaczego nie weźmiecie go tutaj?

Bochen pokręcił głową.

– Wiesz, że próbowaliśmy. Ale opiekowanie się synem... nie wiem, jak mnie nazwać... funkcjonariusza wojskowego... było niedobre dla kobiet, dla ich mężów i dla samego chłopca. Chciałem go zostawić u Larów tylko na kilka dni, lecz mam tu tyle roboty...

– Cioteczka Wiatr się nie gniewa, a jedyną osobą, którą krytykuje, jest Lejka – z przyczyn, które rozumiesz, choć się z nimi nie zgadzasz.

– Zgadzam się! Na lewy łokieć Silboma, można by pomyśleć, że Lejka zgodzi się przygarnąć chłopca ze względu na mnie, jeśli nie na siebie.

– Ale się nie zgodziła, a ty nie chcesz z nią walczyć.

– Nie mam wyboru. Muszę go tu sprowadzić, nawet jeśli skomplikuje życie w obozie i przyprawi Lejkę o nieustannego focha.

Umbo podejrzewał, że wszystkie powody odesłania Kwadracika były tylko przykrywką dla tego jednego: dopóki dziecko znajdowałoby się w obozie, Lejka by się dąsała, a to by denerwowało Bochna, odbijając się na jakości jego pracy. Jakby Kwadracik był dzieckiem Bochna z inną kobietą. I właściwie w pewnym sensie był – ale w innym z całą pewnością nie.

– Powiniennem wziąć odpowiedzialność za chłopca tak jak ty – powiedział Umbo. – To ja go sprowadziłem do was. Nie musiałem. Mogłem go oddać jakiemukolwiek bezdzietnemu małżeństwu

– Musiałeś go nam oddać, bo jest nasz. To nasz syn, choć Lejka oszalała i nie chce tego zrozumieć. Oczywiście, jeśli jej to powtórzysz, to cię zabiję. I nie zdążysz uciec w przeszłość ani w przyszłość.

– Zdamę – nie przejął się Umbo – ale nigdy bym jej tego nie powiedział, bo wtedy zabiłaby cię i kto ćwiczyłby tych żalosnych rewolucjonistów?

– To raczej uchodźcy niż armia, choć kilku stara się ze wszystkich sił, żeby zacząć przypominać żołnierzy. Na szczęście nasze ataki są kompletnym zaskoczeniem dla wroga, więc zawsze wygrywamy przy minimalnej potyczce samą przewagą liczebną i tym, że nasi ludzie wyglądają, jakby umieli używać broni. Gdybyśmy jednak mieli naprawdę walczyć, jeden choćby częściowo kompetentny pułk wyróżniłby ich jak gęsi.

– Ale Haddamander ma zwyczaj usuwać choćby częściowo kompetentnych oficerów, bo mogliby stanowić dla niego zagrożenie.

– Chciałbym, żeby usunął wszystkich dobrych, lecz wciąż ma ich wielu, przeważnie co najmniej dostatecznych, a to wystarczy, żeby powstrzymać te niedołęgi. No, tak to wygląda w tym tygodniu, z tą grupą. Kto wie, jacy się staną za dwa lata?

– Znudzeni tobą.

– O, już dzisiaj mają mnie powyżej uszu, zapewniam cię.

– Są rozdrażnieni, może źli na cię, ale też dumni z tego, czego się uczą. A to znaczy, że czują również wdzięczność. Nie znienawidzą cię na serio, jeśli im nie zaświta, że choćby nie wiadomo ile z siebie dali i choćby nie wiadomo jak wiele się nauczyli, nigdy nie będziesz zadowolony.

– Będę zadowolony, kiedy uznam, że jakaś ich część zdoła stawić czoło zawodowej armii.

– Właśnie to mówię.

– Co mam zrobić z Kwadracikiem? – spytał Bochen. – Przy całym tym gadaniu o królu rebeliancie i rewolucji w świecie Rama sierota będzie traktowana podejrzliwie. Ludzie pytają, czyje to dziecko. Czy przygarnięcie go jest niebezpieczne? Ja bym sobie zadał takie pytania i nie chciałbym go powierzyć idiotcie, któremu nie przyjdą

one do głowy. – Bochen wydał usta i milczał przez chwilę. – W ogóle nie chcę go nikomu oddawać. Ani Larom, ani Ramom, ani myszom, ani tej armii buntowników. Chcę, żeby wychowywał się w tej samej rodzinie, co jego młodszy brat.

– Starszy – poprawił Umbo.

– W strumieniu czasu, który przestał istnieć. W tej rzeczywistości Kwadrat jest najwyraźniej starszy, większy... Może tego boi się Lejka. Że jako starszy przyćmi Kółka, odbierze mu prawo pierworodnego.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę... – zaczął Umbo.

– Sądząc po twoim tonie, raczej nie powinienem.

– Peleryny Larów nie przejmują kontroli nad dzieckiem. Łączą się z nim, chronią je, a gdy dziecko dojrze, poddają się jego woli.

– Chyba nie opowiadasz się za daniem mu peleryny.

– Opowiadam się za daniem mu maski.

– Skoro Lejka nie mogła jej znieść...

– Lejka ledwie panuje nad swoimi impulsami. Czy to dziwne, że maska odebrała jej tę kontrolę? Ale Vadesh wykorzystał podczas projektowania tej partii twarzonek sporo informacji zgromadzonych dzięki pelerynom ze świata Lara. I może maski zachowują się inaczej, gdy wchodzi w symbiozę z dzieckiem.

– A może nie. Nie pozwolę, żeby moje dziecko zginęło w jakimś obłąkanym eksperymencie.

– Przecież jeśli się nie uda, zawsze możemy się ostrzec, żebyśmy tego nie robili. Tak jak z Lejką.

– Nawet jeśli będzie miało maskę, to nie rozwiąże to naszego problemu. Przecież to dziecko, potrzebuje opieki.

– Peleryny zajmują się dziećmi Larów – powiedział Umbo. – Zakładam, że gdyby zabrakło mleka, maska wykarmiłaby Kwadracika. A jeśli nie, pomogłaby mu ssać kozę, owcę albo krowę.

– Lub mysz?

– Muszę zanieść odpowiedź cioteczce Wiatr. Podsunąłem ci pomysł, który możemy wypróbować. I jeszcze jedno: jeśli się uda, będziesz mieć jednego syna z maską, jak twoja, a jednego bez.

– A Lejka nie robi z tego powodu awantury? Zawsze będzie mi wypominać, że mam swojego ulubieńca.

– No, to pierwszy jej zarzuć, że faworyzuje Kółka. I będzie to prawdą już teraz, na długo zanim pojawiła się twarzonek.

– Nie wiesz, że kiedy mam rację, Lejka jeszcze bardziej upiera się przy swoim?

– Przez jakiś czas. Ale mądra z niej i sprawiedliwa kobieta, a gdy ochłonie, przyjmie ten argument do wiadomości. Ona pierwsza wybrała sobie ulubione dziecko.

– Można spróbować. Chodźmy po małego i przekonajmy się, co powie Vadesh.

- Sam go przyniosę – zaproponował Umbo.
- Larowie nie znają pieluszek. Mały fajda na wszystko.
- Jahusowie rzucali we mnie odchodami. Dam radę.
- Nie, ja go przyniosę. Jestem jego ojcem.
- Już poświęciłeś na to cały dzień.
- Prześpię się w ładowniku. Na pewno nie pójdę do świata Lara pieszo.
- Możemy najpierw coś zjeść? – spytał Umbo.
- Świetny pomysł. Tylko przypadkiem nie wygadaj się przed Lejką, co zamierzamy. Wolę, żeby wrzeszczała na mnie za winy popełnione.

Umbo uśmiechnął się ze zrozumieniem. Ale nie rozumiał. Jego żoną była Królowa w Namiocie, która dostarczała mu o wiele mniej powodów do troski niż Lejka Bochnowi. „Może dlatego – pomyślał – że nie obchodzi jej, co robię. Poślubiła mnie tylko po to, żeby zdolności chronomancyjne pozostały w rodzinie królewskiej”. Natomiast Lejce naprawdę zależy na Bochnie i dlatego jego postępowanie doprowadza ją do szału. „Nie myśl tak – upomniął się natychmiast. – Może Param kocha cię na tyle, na ile jest zdolna do miłości. Na pewno okazała ci więcej serdeczności, niż zaznała jej ze strony swojej matki, potwornej królowej Hagii. Wśród królewskich małżeństw nasze jest naprawdę nieprzeciętne – nie zostałem zamordowany, nie musiałem przed nią uciekać i jeśli nawet nie zrobiliśmy do tej pory niczego, z czego mogłyby być dzieci, to tylko dlatego że ciąża Param byłaby teraz bardzo kłopotliwa, a może i niebezpieczna, bo nie wiemy, jak cięcie czasu wpływa na płód”.

Jedli posiłek. Lejka i Bochen odnosili się do siebie, jakby nic nie zaszło. Umbo przyjął to z ulgą, a jednocześnie z pewnym rozczarowaniem, że Bochen tak łatwo umie ukryć przed Lejką swoje zamiary. Jednak nie wspomniął o tym Bochnowi. Wiedział, że tego tematu pewnie nigdy nie będzie mógł poruszyć. Dobrze, że małżonkowie mogą mieć przed sobą tajemnice, gdy ukrywanie czegoś jest słuszne i niczego się nie zyska, kłócąc się na ten temat. Żołnierz zawsze musi coś ukrywać przed rodziną. Ma szczęście, jeśli to nie szkodzi miłości między nim a żoną.

Na brzeg dotarli zaledwie kilka minut po odejściu Umba, ale cioteczka Wiatr już przyniosła dziecko. Wiedziała, że i tak zostanie zabrane – nie dlatego że znała się na manipulowaniu czasem, ale ponieważ żadne rozwiązanie tego problemu nie mogło polegać na zostawieniu Kwadracika w świecie Lara choćby na jeden dzień.

- Bardziej niż niezawodny – powiedziała na widok Umba.
- Jak ty – odparł Bochen. – Nie zamierzałem zostawić u ciebie chłopca na tak długo.
- Przygotowujesz się do wojny i jesteś mężczyzną. Teraz postanowiłeś wziąć odpowiedzialność za dziecko, więc nie mamy urazy. Będziemy ciepło wspominać tego chłopca. Jest zabawny, mądry, pojętny i dobry, oczywiście na tyle, na ile można powiedzieć tak o małym dziecku.
- Chcemy dopasować mu maskę – powiedział Umbo.

– To rozsądne.

– A jeśli maska mu zaszkodzi, Umbo cofnie się i nie dopuści, żebyśmy to zrobili.

– Wszystko się uda – zapewniła go cioteczka Wiatr. – Nawet w dzikiej postaci peleryny i twarzemaski łagodniej traktują dzieci. Niemowlęta nie mają wielkiej kontroli nad swoim ciałem, ale posiadają przerażająco silną wolę. Zyskują panowanie nad pasożytem, w miarę jak uczą się władać kończynami. Sami się przekonacie.

„Obyś miała rację”, pomyślał Umbo.

W lądowniku Bochen powiedział, jakby słyszał jego myśli:

– Oby miała rację.

– Jeśli nie ma, to spróbujemy czego innego – pocieszył go Umbo. I ponieważ pomyślał o tym, a towarzyszył mu Bochen, dodał: – Kwadracik żyje, gdyż obcy ludzie zaopiekowali się nim, choć było im to nie na rękę. Mogli sobie przecież napytać przez to biedy. Moim zdaniem Arkadia chce, żeby ten chłopiec przeżył. A z maską i ciałem, które dostał od ciebie i Lejki, stanie się kimś, z kim należy się liczyć.

Bochen milczał przez chwilę.

– Jeśli to się uda, spróbuję namówić kilku dorosłych do włożenia masek. Możesz się cofnąć i powstrzymać tych, którym się nie uda. Potem możesz cofnąć kolonię ludzi z maskami o kilkaset lat w przeszłość. Niech zamieszkają w świecie Vadesha. Niech się rozmnażają. To nie to samo, co miasto, do którego pierwotnie przybyliśmy, ale... koloniści z maskami są prawdziwymi dziedzicami tego świata, prawda?

– Myszy nie będą tak uważać.

– Nieważne. Mając maski, Vadesherowie będą widzieć wszystkie myszy i jeśli zechcą – wyłapią je. Nauczą je śpiewania kołysanek dzieciom. I rozgniotą im te małe mysie łebki, jeśli zaczną brykać.

– Gdy myszy rozmnożą się w milionach, trudno je będzie wyłapać. Zwłaszcza jeśli przywloką chorobę, która będzie osłabiać maskerów albo ich spowalniać. Bądź też zabijać maski.

– No dobrze. Zatem myszy pomijamy.

– A chronomanci?

– Rigg już ma maskę.

– Ale może powinien być jedyny? Maski zapewniają jeden rodzaj władzy, umiejętności manipulowania czasem – inny. Zaczynam myśleć, że geny chronomancji nie powinny się znaleźć w puli genowej świata Vadesha.

– Niewykonalne – orzekł Bochen. – Już znajdują się w puli genowej świata Rama i nie mamy szansy ich wyeliminować. W końcu pojawią się wśród maskerów.

– A umiejętności manipulowania czasem i bez tego są niebezpieczne...

– Samowolnie odczyniamy wielkie połączenia historii. Z maskami jesteśmy nie do powstrzymania. Nie mamy gwarancji, że inni maskerzy chronomanci będą tak mili jak Rigg.

– Trzeba to przemyśleć – zdecydował Bochen. – Ale nie możemy podejmować decyzji sami. Jeśli założymy w świecie Vadesha kolonię maskerów, oni także będą musieli mieć prawo głosu.

Umbo pokręcił głową.

– Możemy ich stworzyć, ale...

– Kiedy już będą istnieć, zyskają prawo decydowania o tym, jakie cechy genetyczne dopuścić w ich populacji.

– Więc czasem my będziemy decydować w imieniu wszystkich, a czasem będziemy musieli zapytać o zgodę.

– Mniej więcej – potwierdził Bochen.

– A kto będzie decydować, jak mamy postąpić? – spytał Umbo.

– Ja, ponieważ ty jesteś idiotą.

Rozdział 23

PITEKANTROPY

Doświadczenie z neandertalczykami stanowiło dobrą naukę. Tym razem Noxon rozpoznał ścieżki należące do pitekanthropów i znalazł ich obozowisko u stóp wzgórza, na którym stał bardzo przytulny hotel. Dzieliło ich od niego sto metrów i półtora miliona lat.

Był kwiecień, pora deszczowa, w hotelu było więc wiele wolnych pokoi i najwyżej kilku obserwatorów. Wychodzili z hotelu, przemierzali mało uczęszczaną drogę, zdążali ścieżką przez wzgórze aż do rzeczki, a potem, gdy z hotelu nikt nie mógł ich już zobaczyć, brali się za ręce i skakali do wybranych czasów. Postanowili odwiedzić pitekanthropy podczas suchej pory, więc nawet jeśli przybywali przemoczeni, wkrótce wysychali na słońcu.

Pitekanthropy nie budowały stałych domostw, a ponieważ nadal były mocno owłosione, nie szukały cienia. Wiedziały, że nie należy mieszkać nad strumieniem, bo zbyt wiele zwierząt przychodziło do niego, by się napić, dniem i nocą, ale zwłaszcza o świcie i zmroku. Lepiej było znaleźć sobie schronienie na uboczu.

Pitekanthropy zorganizowały się tak, żeby się wzajemnie chronić – a ochrony potrzebowały nieustannie. Hieny, dzikie i nieustępliwe, atakowały o różnych porach z różnych kierunków, za to codziennie. Ich ulubionym przysmakiem były pozostawione bez opieki noworodki dowolnych ssaków – dość mięsa, żeby opłacało się na nie zapolować, a jednocześnie w małych i poręcznych porcjach, w sam raz, żeby je chwycić i unieść na miejsce posiłku. To znaczyło, że Wheaton miał wiele okazji, by obejrzeć pitekanthropy podczas akcji obronnych. Gdy w obozie znajdowali się mężczyźni, odpierali atak hien kamieniami i zastrzonymi kijami – nie dzidami z kamiennymi ostrzami, jeszcze nie. A gdy młodzi silni myśliwi odchodzili, niemowląt z nieustraszoną odwagą bronili dorosłe kobiety, starcy i starsze dzieci.

Noxon uwielbiał obserwować małe dzieci. Chodzenie było sztuką, którą maleństwa opanowywały już w bardzo młodym wieku. Wheaton wyjaśnił, że to była konieczność, ponieważ pitekanthropy miały już za krótkie ręce, żeby się nimi podpierać tak jak szympansy i goryle. Dzieci raczkowały, a potem zaczynały chodzić, coraz bardziej odchodząc od swoich matek – jedyne źródła pożywienia, dlatego nigdy nie traciły

ich z oczu. Nic dziwnego, że obserwujące je z daleka hieny nabierały nadziei. Maluchy nie były nieustraszone, ale lęki, które je trapiły, były lękami małpek – pająki niepokoiły je bardziej od zwierząt mogących je zjeść.

Dorośli i starsze dzieci nigdy nie tracili czujności. Pitekantropy jakoś określiły, jak daleko wolno odchodzić dzieciom. Gdy któreś przekroczyło tę granicę, było odnoszone w bezpieczne miejsce. Te, które potrafiły chodzić, same już przestrzegały zasad. Nie znaczy to jednak, że nigdy nie przekraczały tej niewidzialnej linii. Ale gdy się do niej zbliżały, zerkały, czy dorośli to widzą. Najpewniejszą metodą zwrócenia na siebie uwagi było naruszenie tej granicy.

Dzieci tarposiły się też między sobą. Chłopcy nieustannie ćwiczyli umiejętności, które miały się im przydać w przyszłości, podczas wojen z innymi plemionami, polowania na zwierzęta i, co najważniejsze, walk o przywództwo w grupie, bowiem plemię pitekantropów nadal było podzielone na osobników dominujących i podległych.

Znajdowali się na skraju lasu, gdzie suche pnie świadczyły o tym, że niegdyś drzewa sięgały dalej na teren sawanny. Suche drewno służyło tutaj za opał i materiał do wyrobu broni. Tymczasem niewiele dalej, w bardziej zielonej gęstwinie mieszkało żywiące się liśćmi plemię z przywódcą posiadającym harem strzeżonych samic. Ale to plemię z sawanny, żyjące wśród drapieżników, nieustannie poruszające się w pozycji wyprostowanej, żywiące się mięsem upolowanych zwierząt, skręcające sznury z trawy i plotące z nich kosze stało się obiektem zainteresowania profesora Wheatona.

– Bo to ci osobnicy zmierzają drogą do człowieczeństwa.

– Nie, żeby tak bardzo chcieli – odezwała się Debora. – To się samo dzieje, kiedy nie uważają.

– Niespełna dwa miliony lat do wynalezienia podkoszulka – powiedział Ram Odyn – i lotów kosmicznych.

– Ale w tej chwili ani jedno, ani drugie ich nie interesuje – zauważyła Debora. – Oni chcą tylko jeść, sikać, spółkować i obronić swe dzieci.

– Moja córeczka – rozczulił się profesor Wheaton, ale nie spojrzął na dziewczynę. Chłonał wzrokiem sfilmowane sceny z życia plemienia.

Odwiedzali obozowisko, jedynie tnąc czas, bo najważniejsze było to, żeby nie dać się zauważyć. Ale włączali kamery wideo i kilka razy dziennie wymieniali karty pamięci.

– Nie wiem, po co – powiedział Ram. – Nie możesz tego nikomu pokazać. Te nagrania nie mogą być dowodem.

Wheaton nawet nie starał się odpowiadać.

– Ojciec i tak osiągnął wszystko w swojej profesji – wyjaśniła później Debora Noxonowi. – Nie musi tego publikować. Wiedza daje mu szczęście. Później będziemy wiele razy oglądać te nagrania. Już mi zapowiedział, żebym je skasowała po jego śmierci.

Na podstawie ścieżek pitekanthropów Noxon zorientował się, że to obozowisko istniało trzy lata. Potem zwierzyna przestała być tak liczna i plemię się przeniosło. Zatem przyjaciele codziennie odwiedzali inny moment w czasie. Zauważali, jak urosły dzieci, jak zmieniały się obyczaje godowe.

– Na razie nie znają monogamii – zauważył Wheaton – ale już coś się zaczyna dziać. Ci sami osobnicy dobierają się wielokrotnie. A ponieważ samice muszą być większe i silniejsze, żeby bronić się przed hienami, są także na tyle silne, żeby bronić się przed porwaniem i zaanektowaniem.

– Gwałtem – poprawiła go Debora.

– „Gwałt” sugeruje przestępstwo. Ze względu na postęp, jaki robią pitekanthropy, moglibyśmy sobie pozwolić na negatywną ocenę tego czynu, nawet powinniśmy. Ale oni odziedziczyli szympansi kodeks postępowania, w którym gwałt był jednym ze sposobów na ominięcie dominacji samca alfa. Tylko w ten sposób samce podległe mogły przekazać swoje geny następnemu pokoleniu.

– A my nie potrafimy wyrugować tego starego schematu – zwróciła się Debora do Noxona. – Choć w większości kultur świata od tysięcy lat to „porwanie i zaanektowanie” jest zakazane.

– Cywilizacja stała się możliwa, dopiero gdy pojawiła się monogamia – dodał Wheaton – która właśnie kształtuje się w tym plemieniu. Samice zyskują przewagę dzięki większym rozmiarom i niedługo będą mogły zacząć zgłaszać skuteczny sprzeciw. Poza tym samiec alfa może tolerować niewielkie genetyczne wtręty sprytnych samców beta, ale samiec pantoflarz ma tylko jedną partnerkę i nie może sobie pozwolić na genetyczne natręctwo innych samców. Nasze pitekanthropy po prostu robią pierwsze kroki na drodze do rozumnego życia i cywilizacji.

– A samce alfa, prześladowcy i gwałciciele i tak będą się pojawiać.

– Ponieważ te zachowania nadal odnoszą reprodukcyjny sukces na tyle często, żeby odpowiedzialne za nie geny zachowały aktywność. – Wheaton wyciągnął rękę, jakby o coś prosił. – Wyluzujcie, ta młodzież ma jakieś sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt tysięcy pokoleń do równouprawnienia płci.

– Młodzież... – mruknął Ram.

– Szczyłe w nowym samochodzie. Dopiero się uczą, jak obsługiwać to pionowe ciało.

Wheaton odwrócił się, kończąc dyskusję na temat, o którym opinię wyrobił sobie pewnie przed dziesiątkami lat.

– Widzieliśmy i nagraliśmy niemal cały pobyt pitekanthropów w tym obozowisku. Możemy towarzyszyć im na polowaniu?

– To mistrzowie biegu. Nie dotrzymamy im kroku, zwłaszcza tnąc czas, co ich przyspiesza, a nas zwalnia. Nikt z nas nie ma takiej kondycji, żeby nie stracić ich z oczu podczas polowania.

– Wybierzmy jakiś krótki pościg – podsunęła Debora. – Podpełzniemy do miejsca, w którym zabiją zwierzę, a potem cofniesz nas w czasie do chwili, gdy pojawi się ofiara i ścigający ją nasi przyjaciele.

– Chcecie widzieć tylko moment zadania śmierci?

– Samice zawsze zostają w tyle. Chcę być pierwszą kobietą, która ujrzy ich triumf. Chcę sprawdzić, czy historie, które później o tym opowiadają, są prawdziwe.

– Oni nic nie opowiadają – zaprotestował Wheaton.

– Poruszają wargami. Są hominidami. Muszą kłamać.

Podczas cięcia czasu nie słyszeli dźwięków, zatem dopóki pozostawali niewidzialni, dopóty nie mogli stwierdzić, czy dźwięki wydawane przez pitekantropy mają coś wspólnego z mową.

– Możemy wybrać się w jedno miejsce, w którym zabili zwierzę – powiedział Noxon. – Znajduje się w pobliżu publicznego parkingu.

– Jeszcze lepiej – ucieszył się Ram. – My, astronauty, nie mamy kondycji po siedzeniu przez kilka lat w statku kosmicznym.

– Dobrze, że nie widzisz, w jakiej kondycji jest twój bliźniak, od jedenastu tysięcy lat zapadający w letarg i wychodzący z niego.

– Nadal żyje – zauważył Ram. – Brawo dla niego.

Następnego dnia pojechali z samego ranka na parking. Znajdował się obok siedziby dyrekcji parku, w miejscu, gdzie stawiali się chętni do udziału w fotograficznym safari. Dlatego wokół kręciło się mnóstwo osób, ale wszystkie zebrały się wokół poduszkowców, które miały je zawieźć na sawannę. Tylko jeden ze strażników zauważył, że grupa Wheatona porusza się pieszo.

– To niebezpieczne – ostrzegł. – Lwy się tu nie zbliżają, ale nie są bardzo daleko. A to niejedynie niebezpieczne zwierzęta.

– Nie wybieramy się daleko. Chcieliśmy tylko rzucić okiem, ale nie z samochodu.

– Nie bez powodu wysyłamy ludzi w pojazdach.

– To doskonały powód – zgodziła się Debora. – Zapewniam pana, że jestem tchórzem i zmuszę wszystkich do powrotu za dziesięć minut.

– Nie będę mógł was kontrolować – ostrzegł strażnik. – Nawet jeśli nie wrócicie, nie wyślemy po was ekipy poszukiwawczej. Jeżeli będziemy mieli szczęście, natkniemy się na wasze ciała, zanim wasze paszporty staną się nieczytelne.

– Ależ mnie ścisnęła za rękę – odezwał się Noxon z uśmiechem. – Bardzo panu dziękuję.

Strażnik tylko pokręcił głową i odszedł.

– Tak naprawdę upewniał się, czy nie mamy broni – odezwał się Wheaton. – Dla niektórych ludzi safari nadal oznacza przywiezienie do domu własnoręcznie zabitego zwierzęcia.

– Podczas gdy my chcemy tylko popatrzeć, jak nasi przodkowie zabijają... coś tam –

dodał Ram i spytał Noxona: – Wiesz, co to za zwierzę?

– Nie bardzo – przyznał Noxon. – No, widzę jego mgnienie. Może to jakaś przedpotopowa odmiana gnu. Duże stworzenie roślinożerne z niezbyt wielkiego stada.

– I słabe? Stare? – spytał Wheaton.

– Nie sądzę. Oni nie wybierają starych i chorych ani zbyt młodych sztuk. Ponieważ potrafią wędzić mięso, by je przechować, wolą mocniej się zmęczyć i przynieść do domu wielkie zdrowe zwierzę. Mają wystarczająco wielu myśliwych, żeby dotaszczyć do obozowiska większość mięsa.

– Doprawdy niezwykle – powiedział Wheaton. – Współpraca przy polowaniu. Szkoda, że nie możemy posłuchać, czy rozmawiają.

– Cofnę nas bez cięcia czasu – zaproponował Noxon – na jakieś pięć minut przed ich przybyciem. Jeśli się ukryjemy, usłyszymy, czy się nawołują.

– Zorientujesz się, czy to język? – spytał Wheaton. – Czy ta umiejętność tłumaczenia, którą zyskałeś dzięki Murowi, zadziała?

– Nie wiem – wyznał Noxon. – Jeśli to ludzki język, to powinienem go zrozumieć. Ale kto wie, gdzie przebiega granica?

– Dobry plan – pochwalił Ram. – Pod warunkiem że nie będziemy się ruszać i nie puścimy swoich rąk, żeby w razie potrzeby Noxon uczynił nas niewidzialnymi.

– Nie tylko o to chodzi – sprostował Noxon. – Kiedy zacznę ciąć czas, musimy się poruszać. Będziemy niewidzialni tylko w ruchu.

– Robiliśmy to już z dziesięć razy, wiemy – rzuciła Debora.

Noxon pokręcił głową.

– Wiesz, ale nie jest to dla ciebie odruchem jak dla mnie. Kilka razy musiałem cię ciągnąć, żebyś zaczęła się ruszać.

– Raz – warknęła Debora.

– Wydaje jej się, że skoro nie ma oczu, to w ogóle jest niewidzialna – powiedział Wheaton.

– Może myślałam tak w dzieciństwie, ale teraz widzę.

– Pitekantropy zabijają zwierzę dokładnie tam. W tamtych czasach musiał tu istnieć niewielki wąwóz, bo ofiara zsunęła się w dół, a dogoniły ją na zboczu po drugiej stronie. Niezbyt stromym, ale wystarczającym, żeby spowolnić jej ruchy.

– Gdzie powinniśmy się znaleźć, żeby to obserwować? – spytał Wheaton.

– Zwierzę przybiegnie stąd – pokazał Noxon. – Myśliwi z flanak są tutaj. Reszta idzie za nimi, ustawiona w łuk. Zwierzę przeważnie biegło szybciej od nich, musieli robić przerwy na złapanie oddechu i odpoczynek. Ale ci z flanak to prawdziwi biegacze, szybcy i wytrzymali. Nie pozwalają ofierze oddalić się od głównej grupy myśliwych.

– No to gdzie się ukryjemy? – spytał Ram. – W tej chwili znajduje się tu otwarta równina.

– Najpierw przykucniemy w trawie, żeby turyści z safari nie sfilmowali nas

przypadkiem w trakcie znikania. I nie będę wiedział, gdzie możemy się ukryć przed pitekantropami, zanim nie znajdziemy się w ich czasach. Drzewa i krzewy nie zostawiają tak wyraźnych ścieżek, żebym zobaczył je nawet po pięciuset latach, co dopiero po półtora miliona.

Jakąś minutę później, trzymając się za ręce i zwrócieni w stronę ścieżki zbliżającego się zwierzęcia, przykucnęli w trawie, a Noxon cofnął ich w czasie.

Niemal im ulżyło, że nie tną czasu i mogą słyszeć normalne dźwięki, wyzwoleni z tego stanu upiornej głuchoty, w którym Param tkwiła tak długo. Noxon przywykł do tego podczas nieustannych ćwiczeń z Param, ale teraz znowu wydawało mu się to dziwne i niekomfortowe. Tu, przed milionem lat, słyszeli owady i szelest, który sami wywoływali.

– Na razie nie musimy się zachowywać jakoś szczególnie cicho – wyjaśnił Noxon. – Wokół nas nie ma drapieżników ani pitekantropów.

– I długo to potrwa? – spytał Wheaton.

– Niecierpliwisz się? – mruknął Ram.

– Ojciec urodził się zniecierpliwiony – oznajmiła Debora. – Wszystkim i wszystkimi z wyjątkiem mnie.

– Z wyjątkiem ciebie – rzucił jednocześnie Wheaton. – Tylko tak mówi, ale oczywiście nieustannie byłem nią zniecierpliwiony. Mały łobuziak.

– Byłam tak niegrzeczna jak małe pitekantropy? – zaciekała się Debora.

– O wiele gorsza, bo w dodatku buzia ci się nie zamykała, a jeśli przegrywałaś w dyskusji, to udawałaś jeszcze bardziej niewidomą. Oszustka.

– Jak się udaje jeszcze bardziej niewidomą? – prychnęła Debora.

– Wyciągałaś do mnie rękę, ale tam, gdzie nie stałem, o czym doskonale wiedziałaś. Umyślnie się potykałaś, wpadałaś na meble, ale tylko tapicerowane albo lekkie.

– Prawdziwe pytanie brzmi, czy udawanie bardziej niewidomej działało na ciebie.

– Za każdym razem – mruknął Wheaton. – Za każdutkiem razem.

– To nieprawda – zaprotestowała Debora. – Nigdy nie stawiałam na swoim.

– Ale zawsze miałem z tego powodu okropne wyrzuty sumienia.

– Nie chciałam twoich wyrzutów sumienia, tylko kapitulacji.

– To nie wchodziło w grę. Gdybym kiedykolwiek pozwolił ci wygrać, stałabyś się potworem.

– Tymczasem uważałam, że wychowuje mnie potwór.

Noxon widział, że oboje mówią poważnie, ale przekomarzanie to stanowiło wyraźny sygnał, że się kochają i zawsze się kochali.

Rozmowa urwała się gwałtownie, gdy z oddali dobiegły ich krzyki.

– Nie powinniśmy się ukryć? – szepnęła Debora.

– Ćśśś – syknął Noxon. – Daj mi posłuchać ich głosów.

Zauważył, że Wheaton podniósł kamerę – nagranie z dźwiękiem. Później będzie

można rozszyfrować te okrzyki.

To nie był język, a przynajmniej nie taki, który Noxon mógł zrozumieć. Krzyki były za krótkie. Ale potem dostrzegł, że pitekantropy reagują na te komendy – skrzydłowi zaczęli się zbliżać z obu stron, grupa pościgowa zerwała się do sprintu. I raptem niektóre wołania nabrały sensu. Przywódca, z włosami lekko przyprószonymi siwizną, rzucał słowa, które oznaczały „wąwóz”, „bieg” i „chwytać”. Bez zdań, bez składni. Same rozkazy. Nawet „wąwóz” był komendą.

– Znają teren – odezwał się Noxon cicho. – Wszyscy wiedzą, że przed nimi jest wąwóz i że złapią w nim!a!

– Że co w nim złapią? – spytał Ram.

– To młaśnięcia – powiedział Wheaton. – Ten język je wykorzystuje.

– To słowa – poprawił Noxon. – Bez składni. Same rozkazy. Czas się ukryć, szybko się zbliżają.

Za długo myślał o tym, co usłyszał i zobaczył. Było już za późno, by zniknąć niezauważonymi. Najbliżej znajdujący się skrzydłowy dostrzegł ich i odwrócił się w ich stronę. Będzie widział, jak znikają. Noxon zaciekawiał się, jak zinterpretuje ten widok – czy uzna ich za ludzi, ale prawie całkiem bezwłosych i osłoniętych materiałami? I te sztuczne oczy Debory... No, czas zniknąć.

Ale skrzydłowy nadal biegł prosto na nich, wpatrzony w nich, a nie w zwierzę, czy tylko zapamiętał, gdzie się znajdowali? Nie. Debora manipulowała przy rejestratorze dźwięku. Puściła rękę Rama. Nie cięła z nimi czasu. Skrzydłowy doskonale ją widział. A kiedy Noxon patrzył na Deborę, pitekantrop podniósł rękę. Noxon zorientował się, co się dzieje, tylko dlatego, że maska to dostrzegła i zmusiła go do przeniesienia wzroku na skrzydłowego. Łowca trzymał w ręce kamień wielkości pięści i już brał zamach. Zanim Noxon zdołał wyjść z cięcia czasu, żeby ostrzec dziewczynę, kamień śmignął już w powietrzu, szybszy od ptaka – choć nie tak szybki, by maska nie zdołała zarejestrować każdej sekundy jego lotu.

Trajektoria była do przewidzenia. Kamień uderzył Deborę w skroń, natychmiast ją powalając. Noxon przestał ciąć czas – nie mógł pozostać niewidoczny i zabrać dziewczyny z sobą. Musiała się ruszać, żeby zniknąć. Dlatego teraz cała trójka ukazała się skrzydłowemu. Ten nie okazał zdziwienia. Już sięgał po następny kamień do torby, mocno przywiązanej w pasie. Instynkt przetrwania, a tu dziwne zwierzęta, które wyglądają jak ludzie, ale nie pochodzą z jego plemienia. Między plemionami pitekantropów trwały nieustanne waśnie; jeśli przedzielały je jakieś zawieszania broni, to Noxon nie dostrzegał tego w ich ścieżkach.

– Trzymajcie mnie i Deborę! – rzucił.

Skrzydłowy robił już kolejny zamach. Noxon przeniósł wszystkich w przyszłość. Wheaton ukląkł przy córce, sprawdzając jej stan. Zaczął uciskać jej klatkę piersiową. Potem spróbował oddychania usta-usta.

– To na nic – powiedział Noxon. – Ona nie żyje.

– Ludzie powracają ze stanu śmierci klinicznej – wymamrotał Wheaton, teraz uciskając klatkę piersiową Debory.

– Ona nie żyje – powtórzył Noxon. – Nie ma ścieżki.

Po długiej chwili Wheaton wreszcie zrozumiał. Przestał reanimować córkę. Pozostał na klęczkach, gwałtownie łapiąc powietrze.

– Uspokój się – odezwał się Ram. – Pamiętaj, co potrafi Noxon. Jaki ma talent. Ona nie umarła na stałe. Możemy się cofnąć w czasie i temu zapobiec.

Rzeczywiście tak było, a Noxon już się zastanawiał nad tym, kiedy powinien zainterweniować, żeby nie dopuścić do tragedii.

– Wymyśl coś – rzucił Wheaton – bo nie wytrzymam tu dłużej, patrząc na jej ciało.

Noxon skupił się na zwłokach dziewczyny i przesunął je o jakieś dwieście lat. Wheaton podniósł na niego przerażony wzrok.

– Coś ty zrobił?

– To, o co mnie prosiłeś.

– Wiem, ale teraz wiem też, że istnieje coś gorszego niż patrzenie na jej ciało!

– Spokojnie, spokojnie – wtrącił Ram. – Tam są ludzie. Owszem, w poduszkowcach, ale mają włączone mikrofony, przez które słyszą odgłosy sawanny.

– Jak mam być spokojny, kiedy... – zaczął Wheaton i urwał. Skinął głową. – Wiem. Dla was nie jest martwa, bo długo taka nie pozostanie. Więc zróbmy to. Cofnijmy się i...

– Nie możemy się po prostu cofnąć – odparł Noxon. – To znaczy możemy. Ale jeśli nasza trójka pojawi się naszej czwórce przed hotelem, zanim wyjdziemy, zmienimy ścieżki naszych przeszłych wersji, lecz jako czynnik zmiany nadal będziemy istnieć.

– Wszyscy zyskamy dodatkową kopię – dodał Ram.

– Oprócz Debory – powiedział Wheaton. – Warto.

– Będziemy w siódmkę żyć z twojej i tak skromnej pensji – oznajmił Noxon.

– Tu chodzi o życie mojej córki!

– Nie proponuję, żebyśmy zostawili ją martwą. Usiłuję tylko wymyślić sposób zmiany przeszłości bez cofania się do niej, żeby nie tworzyć kopii.

– Zaczynaj ciąć czas i napisz list – podsunął Ram. – Mówiłeś, że tak się komunikowałaś z siostrą.

– Jeśli będę na miejscu, gdy dojdzie do wypadku, i tak stanę się czynnikiem zmiany, obecnym w momencie tej zmiany. Ręczę, że właśnie w ten sposób powstają kopie.

– Zatem zakradnij się w nocy i zostaw sobie list, który znajdziesz rano – powiedział Wheaton.

– Dobrze, w porządku. To dobre. Ale co mam napisać? „Nie idźcie na polowanie”? „Przypilnujcie, żeby Debora trzymała kogoś za rękę, bo zginie”?

Ram spojrział dość surowo na Wheatona.

– Czy ostrzeżenie jej, że zginie, jeśli puści czyjąś rękę, odniesie skutek? Na pewno obiecałaby, że tego nie zrobi, ale czy w tamtej chwili, gdy pitekantrop biegł na nas z kamieniem w ręce, w ogóle myślała o niebezpieczeństwie?

– Nie wiem – przyznał Wheaton. – Myśli o tym, o czym myśli, a nie o tym, o czym nie myśli. Jest człowiekiem.

– To może zabronimy jej iść na wyprawę? – podsunął Ram.

– Nie wiem, czy posłucha – odparł Noxon. – A jeśli nie ona zginie, to może ktoś z nas.

– My trzymaliśmy się za rękę.

– Ale nie uważaliśmy. Myśleliśmy i rozmawialiśmy o języku. W ogóle nie powinniśmy dać się zobaczyć. Ja powinienem dopilnować, żebyśmy wcześniej zniknęli. Gdybym to zrobił, nie wydarzyłoby się nic złego.

– Gdyby, gdyby, gdyby... – rzucił Wheaton.

– Jestem chronomantą. Całe moje życie kręci się wokół „gdyby”. Kiedy dokonujemy zmian, to zawsze wierząc, że rozumiemy, co spowodowało problem i jakie będą konsekwencje zmiany. Ale nic nie ma tylko jednej przyczyny i nie da się przewidzieć rezultatów.

– Więc nieustannie ponosisz klęskę? – spytał Wheaton.

– Przeważnie nie. Ale nic nie jest jasne i proste. To, co robimy, jest niejednoznaczne. Dlatego poświęćmy trochę czasu na przemyślenie wszystkich ewentualności i wybór tej, którą uznamy za najlepszą.

Ram i Wheaton przez chwilę milczeli.

– Gdybym był Umbem, mógłbym się sobie pojawić w wizji – podjął Noxon.

– Ciągłe mówisz o legendarnych zdolnościach tego jakiegoś Umba – burknął Ram. – Ale jego tu nie ma.

– Dlatego muszę zrobić coś podobnego. Coś, co będzie jak wizja. Tak, zostawienie listu to najlepszy plan. Ale długiego listu. Zamierzam dokładnie opisać, co się wydarzyło, i zasugerować kilka zmian. Powiem nam, że okrzyki pitekantropów przypominają język, i załączę chip z nagraniem. Ale potem napiszę, żeby cięli czas od chwili przybycia, i się nie rozłączali.

– I to wystarczy? – spytał Ram.

– Nie wiem. Bo nie wiem, co widzą pitekantropy. Wydawało mi się, że myśliwy najlepiej widział Deborę, ponieważ wyszła z cięcia czasu, ale widział też nas i nigdy nie stracił nas z oczu. Chyba muszę napisać do siebie, że mam ciąć czas głębiej i zaufać, że kamery wszystko zarejestrują. Co oznacza, że musimy przybyć o wiele wcześniej i je rozstawić. Poinstruuje nas, żebyśmy to zrobili.

– Sami mogliśmy na to wpaść – powiedział Wheaton z goryczą. – Co się z nami stanie, gdy zostawisz ten list? Czy... znikniemy?

– Nie wiem.

– Powiedziałaś, że Umbo robi to bez przerwy.

– Tak, ale to ja dostawałem zawsze ostrzeżenia. Czy gdy zmieniamy nasze zachowanie, unicestwiamy strumień czasu tych naszych wersji, które wysłały ostrzeżenie, czy tylko omijamy go, a one żyją z przykrymi konsekwencjami błędów, przed jakimi nas ostrzegły?

– To znaczy, że będę dalej żyć, wiedząc, że moja córka umarła? – rzucił Wheaton.

– Naprawdę nie wiem.

– A jeśli okaże się, że tak? Czy możemy wrócić i wysłać sobie inne ostrzeżenie? Albo pojawić się samym sobie, jeszcze zanim dostaniemy list, i tym razem pogodzić się z faktem, że stworzymy własne kopie?

– Nie chciałbyś tego robić – mruknął Noxon. – Uwierz.

– Mówisz to z taką pewnością, a przecież sam jesteś kopią. Istniejesz tylko dzięki temu.

– Nie. Ja jestem oryginałem. Tym, który nie zabił Rama Odyna – jego przyszłej wersji. To ja zostałem ostrzeżony. Rigg jest tym, który musi żyć z konsekwencjami popełnienia morderstwa. To on jest tym, którego nikt nie uratował.

– Nikt z nas nie zabił Debory – powiedział Wheaton. – Chyba że zamierzasz przeprowadzić jakieś pokrętne rozumowanie zaczynające się od: „Gdybym nie upierał się, że chcę zobaczyć pitekantropy...”. Ale powiem ci jedno: nie chcę oszczędzić mojemu ja z przeszłości widoku śmierci Debory, skoro mam żyć w świecie, w którym jej nie ma.

– Czyli chcesz stworzyć własną kopię? – spytał Noxon.

– Nie wiem, czego chcę oprócz tego, że pragnę, żeby wszystkie moje wersje żyły w świecie, w którym istnieje żywa Debora!

– Mamy jeszcze jedno wyjście – odezwał się Ram. – Możemy opuścić Afrykę, wrócić do Stanów, a potem cofnąć się w czasie i nie dopuścić do wypadku, w którym zginęli rodzice Debory, a ona straciła wzrok.

Wheaton zastanawiał się nad tym długo.

– W tym świecie nigdy bym jej nie wychował. Prawie bym jej nie znał. Nie byłem aż tak blisko z moim bratem, a matka Debory za mną nie przepadała. Debora wydawałaby mi się tylko irytującym bachorem, którego bym unikał, bo nie byłbym za nią odpowiedzialny. – Profesor chwycił się za głowę i ścisnął tak mocno, jakby chciał ją rozgnieść. – Co ze mnie za człowiek? Nie chcę ratować Debory, tylko siebie przed jej utratą. Utracić ją, ponieważ jej rodzice będą żyli, a ona zachowa wzrok? Nie znoszę tej myśli niemal tak samo jak tego, że utraciłem ją, bo trafił ją kamień pitekantropa. Jestem potworem.

– Jeśli cię to pocieszy, znalezienie w sobie tego czy innego potwora nie jest niczym złym. Pod warunkiem że nie pozwolisz mu dojść do głosu.

– No, jedno jest pewne – powiedział Wheaton. – Jeśli uratujemy rodziców i wzrok

Debory, z pewnością nie zabierzemy jej na tę ekspedycję. Będzie mieszkać z rodzicami. Albo w internacie. I pewnie nawet nie zainteresuje się antropologią, bo to będzie dla niej zaledwie zajęcie jej ekscentrycznego wujka.

– Nie możemy tego zrobić – oznajmił Ram. – Bo to zbyt wiele zmieni. Nie wiemy, jaki wpływ wychowywanie dziecka miało na wujka Georgię. Kto wie, czy osiągnąłby taki sukces naukowy, gdyby Debora nie dała sensu i celu jego życiu. Kto wie, czy w ogóle by żył? Samotni mężczyźni nie zawsze o siebie dbają.

Wheaton wzruszył ramionami.

– Więc mam pozwolić, żeby rodzina Debory zginęła, a ona sama ucierpiała, by tylko ocalić moją karierę?

– Nie dbam za bardzo o twoją karierę – oznajmił Ram – ale dzięki niej mamy pieniądze i schronienie aż do powrotu Gości z Arkadii, by potem jakoś przekonać Ziemiaków, by nie unicestwiali życia na całej planecie.

– Dziękuję za przypomnienie o moich obowiązkach – mruknął Noxon. – Nie mogę sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. Ale Umbo i ja bardzo wcześnie się dowiedzieliśmy czegoś, z czego długo nie zdawaliśmy sobie sprawy: bez względu na to, jak wielkie cele sobie wybieramy i w jak ważnych sprawach działamy, musimy zachowywać się przyzwoicie w stosunku do ludzi, których spotykamy po drodze. Ludzi takich jak profesor Wheaton. I Debora.

– W takim razie co będzie dla niej najlepsze, a wujkowi Georgii umożliwi pomoc naszej sprawie? – spytał Ram.

Znowu zapadło długie milczenie.

– Oto, co zrobię – przemówił nagle Noxon.

– Tak po prostu zdecydowałeś? – obruszył się Wheaton. – Bez dyskusji? Bez głosowania?

– Decyzja zawsze należała do mnie – oświadczył Noxon. – Bo to ja to zrobię. To ja podejmuję odpowiedzialność.

– Ale bez porady?

– Wysłuchajcie mnie, a potem możecie mi radzić, ile chcecie.

Noxon obudził się rano i dołączył do reszty towarzystwa jedzącego śniadanie. Ram rzucił mu dwustronicowy list.

– Przeczytaj. To od ciebie z przyszłości. Wygląda na to, że nasza dzisiejsza ekspedycja nie skończyła się zbyt dobrze.

– Ponieważ okazałam się idiotką – dodała Debora. – Moje martwe ciało wylądowało gdzieś w trawie dwieście lat temu i hieny już się ze mną rozprawiły.

– Daj człowiekowi przeczytać – rzucił niecierpliwie Ram.

Noxon przeczytał list.

– Zatem musimy zdecydować, czy w ogóle się tam wyprawimy w nadziei, że pójdzie

nam lepiej, czy po prostu wrócimy do obserwowania obozu.

– Ja jestem za tym, żeby się jednak wybrać – oznajmiła Debora. – A ja po prostu nie zachowam się jak idiotka.

– On to wyjaśnił całkiem klarownie... to znaczy ty, Noxonie – powiedział Ram. – Mamy cięć czas od samego początku, ustawić kamery, które zarejestrują wszystko, a potem czekać, niewidzialni, na rozwój wypadków.

– Dla mnie brzmi sensownie – przyznał Noxon. – A co z jego drugą sugestią?

– Jego?

– Mojej wersji, która napisała ten list. Ja tego nie zrobiłem, więc to jego sugestia, nie moja.

– Nie pamiętam rodziców – powiedziała Debora do profesora Wheatona. – Nie na tyle, żebym chciała ich zamienić na ciebie.

– To nie zamiana – odparł Noxon. – To, co nam zaproponował, doprowadzi do powstania naszych kopii. Ty – ty z teraźniejszości, bez oczu, inteligentna i trochę wkurzająca...

– Dzięki za to „trochę” – wtrąciła Debora.

– ...nadal będziesz istnieć. Ale ta druga ty, dziecko ze zdrowymi oczami mające rodziców, będzie żyła i prowadziła kompletnie inne życie. Nigdy się nie dowie o twoim istnieniu.

– Pewnie wpadnie pod autobus w wieku dwunastu lat – rzucił Ram. – Nie ma gwarancji.

– A może jej rodzice się rozwiodą. A może przydarzy jej się jeszcze coś gorszego. Ale będzie żyć i cokolwiek się wydarzy, zobaczy to na własne oczy – oznajmił Noxon.

– A tymczasem nasza czwórka będzie istnieć, ponieważ stanowimy czynnik zmiany. Skoczmy w przyszłość i ostrzeżemy tę drugą wersję profesora Wheatona, a on nas przyjmie, bo taki z niego hojny jegomość.

– Pewnie będę mieszkać na jakimś strychu – mruknął Wheaton. – Albo w schronisku dla bezdomnych. Albo będę już trupem.

– Jeśli tak, to nasza czwórka znajdzie inny sposób, żeby przeżyć – odparł Noxon. – Nie sprawi mi większego trudu dobre zagranie na giełdzie. Nie potrzebujemy pieniędzy profesora Wheatona. Po prostu łatwiej jest z nich korzystać.

– Dlaczego w ogóle rozważamy powrót i uratowanie moich rodziców? – spytała Debora. – Nigdy nie braliśmy takiego planu pod uwagę.

– Tak napisał Noxon z przyszłości – odrzekł Wheaton. – Widzieliśmy twoją śmierć i pomyśleliśmy, że może by nie tylko uratować ci życie, ale też oddać ci takie życie, jakie powinnaś mieć.

– Nie musimy tego robić – powiedziała Debora. – Nie dopuścimy, żebym dziś umarła na sawannie półtora miliona lat temu, a potem wracajmy do domu i zaczekajmy, aż ludzki gatunek się spotworzy.

- To jedna z możliwości – stwierdził Ram Odyn.
- I tę wybiorę – oznajmił Noxon. – Bo mój przyjaciel Umbo...
- Legendarny Umbo – mruknął Ram.
- ...nie zapomniał o swoim bracie, który zginął, gdy po raz pierwszy zaczęliśmy majstrować przy czasie. A jeśli znam Umba, to już znalazł jakiś głupi, skomplikowany sposób, żeby ocalić Kyokayowi życie. Bo nie mógłby zaznać spokoju, dopóki by tego nie zrobił.
- Ale to nie ma z tobą nic wspólnego – zauważył Wheaton.
- Ani ze mną – dodała Debora – bo uważam, że wyszłam na ludzi.
- O, jak najbardziej – zapewnił Ram. – Jesteś wspaniała. Gdyby Noxon zaproponował coś, co spowodowałoby twoje zniknięcie, pierwszy bym go udusił.
- Już udowodniliśmy, że nie jesteś dość szybki, żeby mnie zabić – odparł Noxon. – A ja, bez względu na to, jakich zmian dokonam, zadbam, żebyś nadal istniała, pozbawiona oczu i wredna jak zawsze.
- Nie jestem wredna – zaprotestowała Debora z pewną urazą.
- Miałem na myśli taką miłą wredotę.
- Nie ma czegoś takiego.
- On chciał powiedzieć, że prawie się w tobie zakochał – wyjaśnił Ram. – A ja się zgadzam, że to niezbyt miła perspektywa z tą jego niewiarygodnie brzydką twarzą.
- Dość tego – uciął Noxon. – Chodźmy popatrzeć, jak pitekantropy zarzynają gnu. A potem wracajmy i uratujmy dziewczynkę przed losem ślepej sieroty. Następnie możemy się zastanowić, jak uratować przed zagładą pewną odległą planetę. Nie przeprowadzę głosowania. Kto chce, może się wycofać w dowolnym momencie i wybrać własne konsekwencje. Ale oznajmiam, że dokonam tych zmian.
- Zdajecie sobie sprawę, że najprościej byłoby nic nie robić w sprawie mojej śmierci? – spytała Debora. – Dlaczego w ogóle zostawili nam ten list? Przecież i tak wykonalibyście swoją misję niezależnie od tego, czy istnieję.
- Bo profesor Wheaton nie mógł znieść życia w świecie bez ciebie – odparł Noxon.
- Moja wersja z przyszłości wyjaśniła mi to bardzo wyraźnie.
- Więc to nie ja, tylko ojciec doprowadził do tego zamieszania?
- To moja wina – przyznał Wheaton. – Biorę za to całkowitą odpowiedzialność.
- Idziecie ze mną czy nie? – rzucił Noxon.

Wyszli w ślad za nim z pokoju hotelowego. Na parking dotarli znacznie później niż poprzednio. I tym razem dwaj strażnicy usiłowali ich przekonać, żeby nie wyprawiali się pieszo, mimo to poszli i zobaczyli, jak zwierzę pada, ogłuszone dwoma precyzyjnie rzuconymi kamieniami, a potem umiera od ciosu drewnianej włóczni w kręgosłup. Patrzyli, jak pitekantropy wyjmują małe noże i obdzierają je ze skóry, a następnie dzielą jeszcze ciepły łup, by potem związać połcie sznurkiem i ruszyć biegiem do obozowiska, gdzie płonęły już ogniska, a kobiety, dzieci i starcy czekali na mięso, od

którego zależało ich przetrwanie przez kilka kolejnych dni.

Rozdział 24

CHŁOPIEC BEZ MATKI

– Coś mi się tu nie podoba – oświadczył Kwadrat, zwracając się do Umba.

Umbo spojrział na niego, ale nie odpowiedział. Nie miał obowiązku go poganiać. Kwadrat powie to, co ma do powiedzenia, kiedy będzie na to gotowy. Gdyby Umbo się teraz odezwał, to on prowadziłby rozmowę, a ponieważ nie miał pojęcia, czego miała dotyczyć, raczej nie doszliby do produktywnych wniosków.

– Usiłuję sobie przemyśleć wszystko, czego mnie uczono o tym, co dobre, a co złe – wyjaśnił Kwadrat. – Wiem, że nie chodzi o rzeczy legalne i nielegalne – zazwyczaj dobrze jest przestrzegać prawa, ponieważ na nim opiera się cywilizacja, ale nie zawsze. Na przykład w świecie Rama albo jesteś Królem w Namiocie, ponieważ jesteś mężem Param Sessamin, a jej matka to Sessaminiak, słusznie zdetronizowana królowa, albo jesteś zdrajcą i buntownikiem, bo ty i Param domagacie się tronu, ale Hagia nadal ma tytuł Sessamin, a Haddamander jest Królem w Namiocie, zatem to ich czyny są zgodne z prawem.

– Czy to nad tym się zastanawiałeś?

– Nie, skąd. Wyjaśniam tylko, że myślę o dobru i złu w opozycji do tego, co legalne i nielegalne.

– Nie jestem Riggim, a on wymaga tego od ciebie tylko dlatego, że tak go wychowano – nieustannym ustnym przepytywaniem.

– Ale to dobra edukacja. Wiem już tak dużo, że w końcu pojąłem, jak mało wiem.

– Bardzo mądre. Ale ja urodziłem się z tą wiedzą.

– Słyszałeś od swojego rzekomego ojca codziennie, że jesteś głupi, a to nie to samo.

– On twierdził, że udziela mi lekcji. Oszukał mnie.

– Nie podoba mi się to, że Rigg dowodzi twoją armią zdrazieckich rebeliantów.

– Właściwie nie dowodzi. Głównodowodzącym jest Oliwienko.

– Ale to, że Rigg dowodzi każdym najazdem, jest jeszcze gorsze. On nie znosi walk.

– Nie. Nie znosi zabijania.

– Nie możecie tego dłużej ciągnąć. Tego, że każdy z jego najazdów odbywa się przed pozostałymi, więc staje się pierwszym. Zawsze zaskakujecie wroga. W końcu cofniecie się tak daleko w przeszłość, że nikt nie zechce dołączyć do rebelii, bo dotrzecie do

czasów, w których Haddamander i Hagia nie zrobili jeszcze nic złego, rządziła Ludowa Rada Rewolucyjna i nikt jej aż tak nie nienawidził, z wyjątkiem rojalistów.

– Dobrze rozeznanie w historii – pochwalił Umbo.

– Tylko że to nie jest historia, prawda? Bo w tej chwili tu, w świecie Vadesha, te wydarzenia nastąpią dopiero za kilka stuleci. Nawet się jeszcze nie urodziłeś.

– Ani ty. A w strumieniu czasu, który istnieje w świecie Rama, nigdy się nie urodzisz.

– Miło z twojej strony, że ocaliłeś mnie przed czasową nieświadomością – mruknął Kwadrat.

– Czasem za bardzo przypominasz Rigga.

– To twój najlepszy przyjaciel.

– Może teraz ty nim jesteś.

– Może jestem także jego najlepszym przyjacielem. Bo on widzi już koniec tych najazdów. A wtedy nadejdzie pora na prawdziwą wojnę przeciwko przygotowanemu wrogowi i zginie wielu ludzi.

– Wszyscy zgłosili się na ochotnika.

– To nie znaczy, że umrą w mniejszym stopniu. A kiedy zabiją żołnierzy Haddamandera, czy fakt, że sami zgłosili się do tego zadania, nie pogorszy jeszcze sytuacji?

– Nie. Żołnierze Haddamandera nie umrą w większym stopniu dlatego, że zabili ich ochotnicy.

– Moralnie pogorszy. Będzie to bardziej niewłaściwe. Chyba tak właśnie teraz czuje się Rigg.

Umbo wiedział, że Kwadrat ma rację, dlatego nie odpowiedział.

– Dlaczego nie potrafisz się przyznać do błędu? – spytał Kwadrat.

– Masz rację. Ale ja nie popełniłem błędu, ponieważ ci się nie sprzeciwiałem.

– Ale nie potrafisz tego powiedzieć.

Nadeszła pora, by nakierować Kwadrata na temat.

– Co ci się nie podoba?

– Że Rigg musi nadal dowodzić najazdami jako kapitan Ropucha.

Umbo w końcu zrozumiał, do czego zmierza Kwadrat.

– Nie sprowadzimy więcej maskerów do świata Rama – oświadczył.

– Nie musicie. Nie mówię tu o sprowadzaniu mojego ludu.

– Twojego ludu? – zdziwił się Umbo. – Tylko sześcioro z was dostało maski w niemowlęctwie, a ty jesteś najstarszy.

– Nie ja zdecydowałem, kiedy powinni tu przybyć. Ale wiesz, że mówię o moim przyszłym ludzie. O tych, którzy dostali maski jako dorośli, bo chcieli być jak Bochen. Po co trenują, jeśli nie po to, by walczyć w świecie Rama?

– Jeśli będziemy ich potrzebować. Jeśli nie da się wygrać inaczej.

– Bo w chwili wielkiej potrzeby zło zmienia się w dobro.

– Bo kiedy nie ma wyjścia, to, co śmiertelnie niebezpieczne, staje się warte ryzyka – odparł Umbo. – Nie każdą decyzję da się ująć w ramy dobra i zła.

– Właśnie że każdą, włącznie z decyzją, kiedy ujmować decyzje w ramy dobra i zła.

– Proszę, błagam, zaklinam, przestań zachowywać się jak Rigg. Przez jakiś czas mieliśmy go tu w dwóch egzemplarzach i nie mogliśmy tego znieść, więc jednego wykopaliśmy z planety.

– To nawet z grubsza nie przypomina prawdy. Rigg mi powiedział, co się wydarzyło.

– Nie możesz zająć jego miejsca. Rigg nie lubi wojny, ale po szkoleniu Bochna jest bardzo dobry.

– Dzięki masce. A ja...

– Ty nie przeszedłeś szkolenia.

– Bochen wiele mnie nauczył.

– Bochen nauczył cię zasad walki dla dzieci.

– Jestem od ciebie starszy.

– Wiesz, że nie zdołasz tego udowodnić.

– Tak skaczesz w czasie, że już sam nie wiesz, ile masz lat. Ale jestem od ciebie wyższy.

– To już geny. Nie jestem zbyt wysoki i rośłem powoli. Ty musiałeś mieć wysokich rodziców.

– Chyba ich znasz.

– Wiem, że musieli być irytujący i uparci, i pewnie dlatego zginęli.

– Ludzi nazywa się upartymi, gdy nie chcą się podporządkować innym, a irytującymi – gdy budzą frustrację swoją niezależnością.

– Celujący ze słownictwa, niedostateczny ze zrozumienia problemu.

– Zanim spróbujesz zmienić temat...

– Za późno.

– Spójrz na to.

– Na co?

Kwadrat niczego mu nie pokazał. Umbo spojrzął na swoje dłonie i rozejrzał się po dolinie, w której siedzieli. Gdy znowu wrócił wzrokiem do młodzieńca, ten wskazywał swoją twarz.

Ale to nie była jego twarz, lecz twarz Rigga. Nie ta prawdziwa, pierwsza. Wyglądała dokładnie jak twarz Rigga z maską. Przez ostatni rok znormalniała, ale i tak zasługiwał na przydomek „Ropucha”. Twarzomaska Kwadrata przypominała ją jak dwie krople wody.

Było to tym dziwniejsze, że maska Kwadrata nie wyglądała tak szokująco. Twarzomaski nakładane niemowlętom nie przypominały zdeformowanych żabich pysków. Po trzech latach dzieci wyglądały zupełnie normalnie. Nie sposób określić, czy wyglądałyby tak samo bez masek, ale nie straszyły wyglądem i nie były identyczne.

– Możesz zmienić wygląd maski?

– Pracowałem nad tym od kilku tygodni. Moja przyjaciółka zapamiętała twarz Rigga z jego ostatniej wizyty, a potem ukształtowała się na jej podobieństwo. Sprawdzałem to w każdej lustrzanej powierzchni i w razie potrzeby poprawiałem, a teraz potrafię się zmienić w Rigga na zawołanie i utrzymać ten wygląd, nawet o tym nie myśląc.

– To, że wyglądasz jak Rigg, nie oznacza, że jesteś gotowy do...

– Potrafię też mówić jak on – odezwał się Kwadrat głosem Rigga. – Słyszę jego głos w głowie i wiem, jak się wyraża.

– Rigg już dowodził żołnierzami w walce.

– Ale kiedyś zrobił to po raz pierwszy, prawda?

– Ludzie zorientują się, że to ty, bo nawet ich nie znasz.

– Nie okłamuj ich. Powiedz im, kim naprawdę jestem.

– Chłopcem z innej murchii z taką maską jak Rigg?

– Kim naprawdę jestem. Wszyscy znają Bochna i Lejkę. Wiedzą, że Bochen jest wielkim wojownikiem. Powiedz im, że jestem ich synem.

Żądanie chłopaka tak zaskoczyło Umba, że na chwilę odebrało mu mowę. Dokładnie takiego potwierdzenia potrzebował młodzieniec w masce.

– Myślałeś, że się nie domyślę? Jestem wyższy od ciebie i Rigga, a poza tym nie patrzysz na mnie tak jak Bochen. Dorównuję mu już wzrostem. Po udanym dniu ćwiczeń jest ze mnie dumny. I nie oszukuj się, że Bochen nie poddaje mnie treningowi jak dorosłego. On nie potrafi zrobić niczego na pół gwizdka.

– Niczego nie potwierdzam ani nie zaprzeczam.

– Daj spokój. Ty i Rigg możecie mnie odwiedzać tutaj dwieście lat przed wojną, bo obaj potraficie manipulować czasem. Ale Bochen tego nie potrafi. Po co tu przychodzi? Jeden z was zawsze musi go przysyłać, a potem zabierać. W dzieciństwie mnie to zastanawiało, ale kiedy stałem się tak wysoki jak on, tylko ta wersja zdarzeń nabrała sensu.

– Powiedziałem ci prawdę.

– Nie wątpię. Pewnie trafiłeś na przyszłość, w której Bochen i Lejka zostali zabici i zostawili dziecko, którym byłem ja. Cofnąłeś się i zapobiegłeś ich śmierci, a mnie zabrałeś z sobą, żebym nie zniknął wraz z tamtą rzeczywistością. Ale Lejka mnie nie chciała.

– To nie jest coś, co można...

– Bochen mnie nie odtrącił, więc zdecydował, że wychowają mnie Vadesh i mamki, które sprowadził. Często mnie odwiedza – gdy tylko któryś z was zgodzi się go przysłać. Jest tak dobrym ojcem, jak tylko może. A ty i Rigg mu pomagacie, więc nigdy nie czułem się samotny. Ale gdyby Lejka chciała mnie odwiedzić, mogłaby to zrobić. Nigdy jednak się tu nie zjawiała, więc nie chce.

Umbo toczył sam z sobą dyskusję na temat tego, jak należy postąpić: dotrzymać słowa

czy je złamać, bo Kwadrat powinien poznać prawdę. Prawda zwyciężyła.

– Lejka miała syna, którego urodziła. Pamiętała to. Na imię ma Kółek. Ty jesteś dzieckiem, które pojawiło się znikąd. Lejka nie wątpiła w moje słowa, ale nie byłes jej dzieckiem, lecz kobiety z innego strumienia czasu. Tak to czuła.

– Przebaczyłem jej dawno temu. Gdybym miał matkę, która by mnie kochała, czy mógłbyś mi włożyć maskę?

– Rigg i ja cię kochamy. Gdyby maska ci zaszkodziła, cofnęlibyśmy się i zapobieglibyśmy nieszczęściu.

– Skąd wiecie, że maska mi nie zaszkodziła? Skąd wiecie, że jestem dojrzałym człowiekiem, a nie maską, która zdołała opanować organizm, jaki jej oddano?

– Tak mam myśleć? – spytał Umbo.

– Zastanawiałem się, kiedy zyskałeś pewność, że dokonałeś dobrego wyboru.

Umbo nie miał na to odpowiedzi. Kwadrat parsknął śmiechem.

– Na prawy pośladek Silboma, do tej pory tego nie wiesz!

– Uważamy, że jesteś w przeważającej części człowiekiem.

– W przeważającej? A co jest we mnie nieludzkiego?

– Nic. Tylko... Bochen miał wątpliwości, bo twierdzi, że jesteś o wiele bardziej inteligentny od niego i Lejki. Rigg zapewnia go, że wcale nie jesteś inteligentny, a ja im mówię, że każdy jest bardziej inteligentny od nich.

– A to dlatego, że moja kumpelka pomaga mi zapamiętywać. Znam różnicę między sobą a nim. On nie panuje nad sobą.

– Wiem. Wiem, że naprawdę jesteś sobą. Przecież nie wybieramy sobie jakiegoś dnia i nie mówimy: „Dziś zdecydujemy, czy Kwadrat jest człowiekiem”. Jesteś równie ludzki jak Rigg czy Bochen lub ktokolwiek inny, kto przetrwał spotkanie z maską jako dorosły. Ale ty i inne dzieci nie walczyliście z nią. Ten proces przebiegł spokojnie. I dlatego w końcu uwierzyliśmy, że Vadeshex nie popełnił błędu. Owszem, kilka pierwszych pokoleń w tej murchii unicestwiło się nawzajem, ale to nie były te same twarzemaski i ludzie nie otrzymali ich jako niemowlęta, jak to dzieje się wśród Larów.

– Czyli jesteśmy prawdziwymi Vadesherami, tak? – spytał Kwadrat. – Ja i inne dzieci, tu i teraz. Nie ci dorośli z czasów za kilkaset lat, którzy przyjęli maski, by stać się doskonalszymi żołnierzami, jak Bochen i Rigg.

– Tak. Wyznam ci, że zastanawiamy się nad zaproponowaniem tobie i innym dzieciom cofnięcia się w czasie do momentu tuż po tym, jak ludzkość świata Vadesha wyginęła, żebyście mieli przed sobą całe jedenaście tysięcy lat. Musicie tylko obiecać, że ten teren zostawicie pusty, żeby nikt nam nie przeszkadzał sprowadzić was tutaj.

– Kiedy zamierzacie nam to zaproponować?

– Gdy pozostałe dzieci dorosną na tyle, żeby móc podjąć decyzję. I kiedy znajdziesz sobie partnerkę, a my znajdziemy najlepszy sposób nałożenia masek waszym dzieciom.

Kwadrat spoważniał.

– To moje siostry.

– Tego się obawialiśmy.

– Muszę znaleźć kogoś obcego. Kogoś, kto przyjmie maskę jako osoba dorosła.

– Wtedy nie będzie ładna.

– Myślisz, że nie widziałem Rigga i Bochna? Nie obchodzi mnie uroda. Nie chcę spólkować z kimś, z kim się wychowywałem.

– Rozumiem. Jak reszta cywilizowanego gatunku.

– Mój plan jest najlepszy.

– Jestem wstrząśnięty. Przeprowadziłeś dowód, choć nie miałem pojęcia, że to robisz.

– To znaczy, że nie jesteś wstrząśnięty, tylko bawi cię, że wyciągam wnioski, a nie wyjaśniam ci moich argumentów. Jesteś tak samo wredny jak Rigg, tylko na swój sposób.

– Miło mi to słyszeć.

– Oto moje rozumowanie: nie możesz zdecydować, czy rzucić nas o dziesięć tysięcy lat wstecz, dopóki najmłodszy nie dorosną na tyle, by podjąć racjonalną decyzję. Do tego jeszcze sporo czasu. Tymczasem musisz rozpocząć próby kojarzenia nas w pary, a ponieważ jestem najstarszy, padnie na mnie. Ale ja nie zamierzam tego robić dopóty, dopóki nie spotkam kogoś spoza świata Vadesha, co oznacza, że musisz mnie stąd wysłać, a potem sprawdzić, czy osoba, która się we mnie zakocha, zdoła przyjąć maskę.

– To kilka kolejnych miesięcy – zgodził się Umbo.

– W tym czasie nie ma lepszego sposobu na zajęcie mnie niż wysłanie mnie na parę najazdów z Riggim, żebym dopracował upodobanie się do niego i zobaczył, jak się dowodzi. Wtedy będę mógł zająć jego miejsce.

– Skąd wniosek, że polubisz zabijanie ludzi bardziej od Rigga?

– Może to znienawidzę. Ale jestem synem Bochna, a on jest żołnierzem, tak? I dobrym człowiekiem, tak? I choć zabijał innych, nie zmieniło to go w potwora.

– Nie – przyznał Umbo. – Nie znam lepszego człowieka od niego, a poznałem ich sporo.

– Czy ja jestem dobrym człowiekiem?

Tym razem Umbo nie wahał się z odpowiedzią.

– Tak. Choć jeszcze nie stanąłeś wobec tych wszystkich prób, w których się sprawdzisz.

– Oto próba, która sprawdzi cię. Chcę się przygotować do zastąpienia Rigga w roli kapitana Ropuchy. Dla jego dobra, żeby nie musiał zabijać. I dla siebie, żeby poznać świat, zanim postanowię wrócić i założyć kolonię. Ty, Rigg i Bochen wiele mnie nauczyliście, ale chcę zobaczyć rolnictwo, handel, miasta i wsie. I może w ten

sposób znajdę żonę, którą szczerze pokocham i która też będzie znała życie w wielkim świecie. I wybierze mnie spośród wielu innych.

– Nie wiem, czy wojna to najlepszy sposób na zaznajamianie się ze światem.

– Daj spokój. Uczyłem się historii i wiem, że wojna zawsze była głównym sposobem poznawania świata. W każdej murchii Arkadii, a także na Ziemi.

– I nie możemy zapomnieć, że strasznie byś chciał przejść przez Mur – dodał Umbo.

– Prosiłem o to od dzieciństwa. Ja też chcę znać wszystkie języki.

– Żeby we wszystkich przeklinać?

– Już wyszedłem z fazy brzydkich słów.

– Nie, ty tylko wyszedłeś z fazy szokowania mnie, Rigga i Bochna brzydkimi słowami.

– Możliwe – przyznał Kwadrat.

Umbo przyjrzał mu się od stóp do głów. Chłopak był silny. Bochen mu nie odpuszczał, wyrobił mu mocne mięśnie. Był też inteligentny i mądry. I... dobry. Tę dobroć mógł stracić na wojnie. Ale to właśnie dobroć kazała mu na nią iść, żeby oszczędzić Riggowi bólu. Może to ochroni go przed rozsmakowaniem się w zabijaniu. Umbo widywał już mężczyzn, którzy otworzyli się na miłość do agresji i nie mogli już o niej zapomnieć. Kimś takim był ten, którego nazywał ojcem. Nigdy nie walczył jako żołnierz, ale uwielbiał ranić ludzi, patrzeć, jak poddają się jego woli, zapłakani, przerażeni. Miał także dobre strony, chwile serdeczności. Ale jakoś miłość do panowania nad słabymi stała się wiodącą siłą jego życia. To nie spotka Kwadrata. Nie mógłby się stać takim człowiekiem.

– Porozmawiam z nimi – obiecał Umbo.

– Opowiesz się za mną czy przeciwko mnie? – spytał Kwadrat.

– Nie znasz mnie?

– I za mną, i przeciwko mnie. Niech będzie.

– Uszanujesz naszą decyzję?

– Czy mam wybór, dopóki nie nauczę się manipulować czasem?

– Zapamiętaj: jeśli postanowimy, że musisz poczekać jeszcze kilka lat, to nie znaczy, że my poczekamy. Możemy natychmiast po spotkaniu skoczyć o dwa lata w przyszłość, żeby sprawdzić, czy nie zmieniłeś poglądów.

– Na co? Że chcę zastąpić Rigga jako kapitan Ropucha czy na egzogamię?

– Na to i na to. Czy za kilka lat będziesz się dobrze czuć sam?

– Nie jestem sam. Opiekuję się dziećmi.

– Wiesz, o co mi chodzi. Sam bez Bochna, Rigga i mnie.

– A wy poradzicie sobie beze mnie? Wiecie, że tylko ja nadaję cel waszemu życiu.

– Jestem Królem w Namiocie.

– Kompletnie pozbawionym władzy. W dodatku nie wiesz, czy królowa Param cię kocha.

- Jak można mnie nie kochać?
 - Ty znasz pewnie więcej powodów niż ja.
 - Bo jestem przesadnie skromny.
 - Raczej wątpisz w siebie.
 - Tobie to raczej nie grozi.
 - Bez przerwy w siebie wątpię. Po prostu nie zastanawiam się pod wpływem tych wątpliwości, czy jestem dobrym człowiekiem.
 - Bo masz pewność, że jesteś?
 - Bo jestem, kim jestem, cokolwiek powiem i cokolwiek zrobię, więc dowiaduję się prawdy o sobie tak samo jak inni.
- Umbo roześmiał się cicho.
- Zazdroszczę ci.
 - Mojej niebywałej mądrości?
 - Twojej maski. Bo wiesz, że możesz wygadywać najbardziej oburzające głupoty, a nikt cię nie zdzieli, ponieważ dzięki masce zawsze zdążysz uskoczyć.

Rozdział 25

UPRZEDZENIE

Nietrudno było przekonać młodszą wersję profesora Wheatona, że podróże w czasie istnieją naprawdę, a ten podstarzały jegomość to on sam pod koniec swojej kariery. Wheaton zawsze miał otwartą głowę i zniknięcie na kilka minut w cięciu czasu przekonało go bez reszty. Wątpił tylko w swoją przyszłą sławę paleontologa.

– Jestem filologiem – oznajmił.

– Musieliśmy trafić akurat na tę fazę – westchnął stary Wheaton. – Przejdzie ci.

– Niby dlaczego? – obruszył się młody Wheaton.

– Ze strachu przed bezrobociem. I dlatego że w filologii odkryto już wszystko. Poza tym kogo obchodzi, czy nauczysz się pół tuzina języków? Ten chłopiec mówi wszystkimi językami świata.

Młody Wheaton – Georgia – przetestował wiedzę Noxona na kilku starożytnych językach i wzruszył ramionami.

– Jakaś sztuczka.

– Tylko ty możesz wiedzieć, czy mi się udało – powiedział Noxon w języku gockim.

– No, nie będę kłamać. Naprawdę mówisz językami. Kiepsko.

– Mam taki sam akcent jak ty.

– Nieprawda!

– Nie ma innego wyjścia. Jestem doskonałym imitátorem, a języka nauczyłem się od ciebie.

– Kiedy? Nigdy nie wykładałem gockiego.

– W tej chwili. – Noxon odwrócił się do Rama Odyna. – Georgia nie rozumie, jak mogłem nauczyć się gockiego od niego, słysząc go przez dziesięć sekund.

– To niemożliwe – oznajmił Georgia. – Nawet dla sawanta.

– Niemożliwe – powtórzył Noxon – ale sam słyszałeś.

– Skoro jesteś podróżnikiem w czasie, mogłeś spędzić rok z plemieniem, które mówi językiem gockim z wyjątkowo paskudnym akcentem.

– Georgia Wheaton słynie z tego, że słoń mu nadepnął na ucho – powiedziała Debora.

– Nie ma ucha do akcentów.

– To nieprawda – obraził się młody Wheaton. – Mówię jak tubylcy.

– Martwymi językami, więc nie można tego sprawdzić – odparł stary Wheaton. – Może także dlatego porzuciłem filologię. Musiałem utrzymywać dziecko.

Młody Wheaton zakrył twarz teatralnym gestem.

– Zna wszystkie moje tajemnice! Po co się tu zjawiliście?

– Żeby ratować życie twojego brata Arnolda i jego żony – oznajmił Odyn – oraz wzrok Debory.

Młody Wheaton spojrzał na dziewczynę.

– Ty jesteś tym dzieckiem?

– Dorosłym – powiedziała. – Ty mnie wychowałeś... to znaczy on.

– Kurczę, ależ jestem miły – mruknął młody Wheaton. Spojrzał na starego siebie z pewnym podziwem, już bez wcześniejszego rozdrażnienia.

– Jutro po południu wybiorą się na wycieczkę samochodową – powiedział Wheaton z przyszłości. – Na autostradzie zginą w wypadku. Jakiś przechodzień wyciągnie Deborę z wraku, ale ogień wypali jej oczy.

– On jest jedynym ojcem, jakiego znałam – wtrąciła Debora. – My będziemy nadal istnieć – ja bez oczu, on bez filologii – ale ty nie będziesz musiał się poświęcać opiece nad dzieckiem, a moi rodzice będą wychowywali znacznie ładniejszą i lepiej funkcjonującą wersję mnie.

– To znaczy, że zadajesz sobie ten trud dla kogoś innego? – spytał młody Wheaton.

– To zawsze będzie ktoś inny. Dziecko, które nie zostanie okaleczone. Jedyny problem polegał na tym, czy zakończyć moje istnienie.

– I nie mamy gwarancji, że wszyscy za tydzień nie zginą pod kołami autobusu – dodał Noxon. – Nie będziemy ciągle wracać, żeby ich ratować. Ludzie umierają, tragedie się zdarzają. A my mamy robotę.

– Za to serca nie macie – rzucił młody Wheaton.

– Nie oceniaj nas – zaprotestował Ram Odyn. – Każda zmiana, której dokonuje Noxon, odczynia wszystko, co się wydarzy w cudzej przyszłości. Dlatego Noxon stara się robić jak najmniej bałaganu. Ale ktoś nie dostanie pracy, bo ojciec Debory nie zwolni stanowiska. Ktoś nie będzie mieszkać w pewnym domu, bo zajmie go rodzina Debory... Nastąpi wiele zmian, których nie potrafimy przewidzieć i nie rozumiemy. Może teraz zginie ktoś inny, przejechany przez tego samego słabego kierowcę.

– Dobrze, wszystko rozumiem – burknął młody Wheaton. – Musicie być bez serca... w pewnym sensie. Pojmuję.

– Teraz chcemy, żebyś przekonał brata i bratową, żeby nas wysłuchali.

– Nie potrafię ich przekonać nawet, żeby wysłuchali mnie.

– Tylko nas przedstaw. Chcemy się spotkać z rodzicami i dzieckiem. Resztę załatwimy sami.

– Lanae potrafi nie uwierzyć świadectwu własnych oczu – mruknął młody Wheaton.

– Ale Arnold ją przekona – odparła jego starsza wersja. – Jeśli dobrze pamiętam,

jest przesądna. Powiedz jej, że ta podróż przyniesie jej pecha.

– To nie moje zadanie – odparł młody Wheaton. – Ja odstawię was do domu. Resztę załatwicie sami. – Spojrzał na Deborę. – Zakładam, że masz te same odciski palców, co na metryce urodzenia.

– Trochę większe – powiedziała.

– Poradzicie sobie.

– A potem, gdy uratujemy już ich wszystkich – odezwał się stary Wheaton – odejdziemy i wrócimy za jakieś dwadzieścia lat, żeby zamieszkać z tobą, zanim nie obmyślimy, jak zapobiec unicestwieniu ludzkości całej planety.

To wymagało dalszych wyjaśnień, ale w końcu wszystko poszło zgodnie z planem. Co prawda Lanae Wheaton dopiero po godzinie przestała wrzeszczeć i żądać, żeby opuścili jej dom, a potem płakać nad utraconymi oczami Debory i jednocześnie szeptać: „Moje dziecko, moje śliczne dziecko”. Potem Noxon kazał staremu Wheatonowi, Ramowi Odynowi i dorosłej Deborze wziąć się za ręce i przeniósł ich w przyszłość. W całkiem inną przyszłość. Przyszłość, w której młody Wheaton mieszkał w innym mieście, ponieważ był profesorem języków starożytnych na innym uniwersytecie.

– Moje nagrania pitekantropów! – krzyknął stary Wheaton. – Zostawiłem je w domu! Przepadły na zawsze!

Debora otworzyła torebkę i pokazała mu karty pamięci.

– Pomyślałam o tym i zabrałam je z nami.

– Rozumiecie, dlaczego nie mogę się z nią rozstać? – spytał Wheaton. – Jest moim mózgiem.

– Pamięcią zewnętrzną – dodał Ram Odyn.

– Miło być potrzebną – powiedziała Debora.

Mieli trochę pieniędzy, ale nie dość, by wystarczyło na podróż samolotem. Karty kredytowe Wheatona wystawiono na konta, których nigdy nie otworzono albo też otworzono je dla nieznanym mu osób. I znowu ratunek znaleźli w torebce Debory, ale znajdowało się w niej tylko tysiąc dolarów.

– Wzięłam to z twojego zapasu – wyjaśniła Wheatonowi.

– Jakiego zapasu?

– Pamiętasz, jak kazałam ci schować tysiąc dolarów na wszelki wypadek?

– Nie.

– No więc kazałam, zrobiłeś to i to są te pieniądze. Może pojedziemy autobusem?

– Albo kupimy bilet samolotowy dla jednego z nas, a reszta będzie ciąc czas? – spytał Noxon.

– Lepsze to niż dwa dni w autobusie – zdecydował Ram Odyn.

– Już zdarzało mi się pokonywać większe odległości na piechotę – powiedział Noxon. – To nie takie trudne, jak się wam wydaje.

– Aresztowano by nas – odparł Wheaton. – Ludzie w cywilnych ubraniach idący pieszo przez kraj budzą podejrzenia.

– I nie możemy żywić się tym, co znajdziemy na polach – dodał Ram Odyn. – Wszystkie mają właścicieli, a nadal wielu z nich strzela do intruzów.

– Jaki nieprzyjazny kraj... – mruknął Noxon.

– Inne czasy, inne miejsce – rzucił Wheaton. – Uważamy się za bardzo gościnny naród. Hojny i życzliwy. No, chyba że nie spodobają nam się czyjś język albo wygląd.

Noxon wiedział, że mówi poprawnie, czyli musiało chodzić o maskę.

Do mieszkania młodego Wheatona w Ithaca w stanie Nowy Jork dotarli dość późno w nocy. Nie starczyło im pieniędzy na taksówkę, szli ponad godzinę z lotniska. Dobrze, że nie mieli bagażu. I nie pozwolili Noxonowi złowić zwierzyny i przyrządzić jej mięsa.

– Tutaj to nielegalne – wyjaśnił Ram Odyn – jeśli nie masz pozwolenia.

– No, małe zwierzęta można zabijać bez pozwolenia – zauważyła Debora.

– Oposy, szopy pracze, wiewiórki... – rzucił Wheaton.

– Ale tego byśmy nie zjedli – dodała Debora.

Przez jakiś czas rozmawiali o tym, dlaczego traktują z taką pogardą bardzo dobre mięso. W końcu marsz zmęczył ich do tego stopnia, że bezcelowe dyskusje przestały im sprawiać przyjemność.

Filolog Wheaton był obecnie równolatkiem antropologa Wheatona, ale wyglądał inaczej. Był trochę pulchniejszy, bardziej miękki i blady. Rzadko bywał na dworze. Nikt się nim nie opiekował. Noxon uświadomił sobie, że Debora naprawdę zmieniła życie swojego przybranego ojca.

– Wiedziałaś, że się zjawimy – rzucił antropolog Wheaton z niezadowoleniem – i tylko tyle miejsca dla nas wygospodarowałaś?

– Mam łóżko dla każdego – odparł spokojnie filolog. – A ja będę spać na kanapie.

– Nie – wtrącił Noxon. – Ja będę spać na podłodze. Tak wolę.

– Na kanapie będzie ci bardziej miękko – zauważył Ram Odyn.

– Od miękkiego łóżka bolą mnie plecy.

– Stary dom był zupełnie spłacony – westchnął z żalem antropolog Wheaton. – Dorastałem tam.

– Znajdował się też w innym stanie – przypomniał filolog Wheaton. – Dojeżdżanie by mnie wykończyło.

– Masz dość pieniędzy, żeby nas wszystkich wykarmić? Nie wiemy, jak długo tu zostaniemy – powiedział Ram Odyn.

– Mam mnóstwo pieniędzy. Oszczędziłem to, co wydałbym na niewidomą córkę – odparł filolog Wheaton sucho. – A jeśli zacznę widzieć dno kasy, skoczycie w przyszłość, żeby ominąć kilka posiłków, tak?

– Bez większej precyzji – wyjaśnił Noxon. – I musimy mieć czas, żeby ocenić

tutejszą sytuację i zrozumieć, jak możemy zapobiec zniszczeniu mojego świata.

– Zastanawiam się, czy wiem, po czyjej jestem stronie – wyznał filolog. – Może Ziemia nie miała ważnego powodu, żeby zaatakować wasz świat.

– Nie „zaatakować” – poprawił go Noxon. – Arkadia nie ma żadnych środków obrony. To globalna zagłada wroga, który nie stawia oporu.

– No... tylko że wy stawiacie opór.

– Mamy prawo do samoobrony – zauważył Ram Odyn.

– Ty nie bronisz siebie – zwrócił się do niego filolog Wheaton. – Jesteś stąd.

– Ale na Arkadii zamieszkuje moja rodzina, potomkowie moich bliźniaczych braci.

– Obrona rodziny – powiedział antropolog Wheaton. – Podstawowa zasada przetrwania od samego zarania ludzkości.

– Jestem z zasady przeciwny zagładzie – oznajmił filolog. – Tylko zauważam, że druga strona też może mieć swoje racje.

– Dlatego nie posłaliśmy na Ziemię stuprocentowo skutecznej zarazy – powiadomił go pogodnie Noxon. – Dlatego przybyłem tu osobiście, żeby poznać te racje.

– Macie toksyny, które unicestwią życie na Ziemi? – spytał filolog Wheaton.

– Nie przy sobie. Ale wiem, gdzie znaleźć gromadkę rozumnych myszy, które z pewnością doskonale potrafią odtworzyć wirusa.

– Zatem jesteś najbardziej niebezpieczną osobą na świecie.

– Przynoszę pokój, nie wojnę. Wierzę, że skolonizowano Arkadię, by ludzie mieszkali na dwóch planetach. Wtedy uderzenie asteroidy nie unicestwi całego gatunku. A tymczasem Ziemia od razu przystępuje do unicestwienia tego zapasowego świata. Nie chcę się odwzajemniać. Chcę zrozumieć, co w nas, ludziach, jest takiego, że nie potrafimy współistnieć. Zwłaszcza gdy dzieli nas tak wiele lat świetlnych.

– To wbudowane w ludzki genom – oznajmił antropolog Wheaton.

– Potrafisz powiedzieć coś, co nie ma związku z antropologią? – spytał filolog Wheaton.

– Ale ona jakoś pasuje do wszystkiego. Wnosi oświecenie do każdej dyskusji o moralności.

– Szkoda, że uratowanie małej Debory i jej rodziców skasowało twoje wszystkie osiągnięcia antropologiczne. Wątpię, żeby moje liczne publikacje na temat lingwistyki i mitologii były ci pociechą.

– Tak jak jego publikacje antropologiczne nie wynagrodziłyby ci utraty twoich – rzuciła Debora, zanim jej przybrany ojciec zdążył odpowiedzieć, zapewne bez większej sympatii.

Antropolog Wheaton uśmiechnął się dobrotliwie.

– Mam pewne nagrania, które zapewne cię zaintrygują. Całkowicie uzasadniają moje co bardziej spekulatywne artykuły.

– Najpierw chciałbym przeczytać artykuły – oznajmił filolog Wheaton. – Lepiej bym

zrozumiał, co widzę.

– A ja w młodości uwielbiałem filologię. Obawiam się, że to wpływ Tolkiena – nie chciałem się dowiedzieć więcej o orkach ani elfach, chciałem więcej staromercjańskiego niż to, co słyszeliśmy o Jeźdźcach Rohanu.

– Niektórzy uważają, że *Władca pierścieni* to największe dzieło literatury stworzone w języku angielskim – wyjaśniła Noxonowi Debora. – Myślę, że istnieje kilka bardziej wartościowych pozycji, ale *Władca...* jest z pewnością największym dziełem literackim stworzonym przez filologa.

Na co jej ojciec i jego bliźniak roześmiali się gromko.

– Jak na niewidomą widzisz całkiem wyraźnie – powiedział antropolog Wheaton.

– Jak na antropologa jesteś kompletnie niewrażliwy na cudze uczucia – odpowiedziała Debora równie wesoło.

– O, jestem wyczulony na każdy niuans – zapewnił ją ojciec.

– Po prostu cię one nie obchodzą? – rzucił Noxon.

– Chcę otrzymać reakcję, z której mogę się czegoś nauczyć.

– Myślę, że nasz profesor Wheaton – Noxon wskazał ich gospodarza – miał rację. Skoczmy w przyszłość do chwili, gdy statek, który nazywamy Gośćmi, wystartuje z Ziemi, a potem zczekajmy do jego powrotu. Jeśli do tego momentu nie dojdziemy, co powinniśmy zrobić, zawsze możemy wrócić. Tymczasem mogę kilka razy skoczyć w przeszłość i zbić ładną fortunę, kupując udziały w Xeroxie, Microsoftzie, Apple i kilku innych spółkach. Albo jeszcze dalej, w czasy rozkwitu nieopodatkowanego kapitalizmu. Nie potrzebujemy wielkiego bogactwa. Wystarczy przyzwoita sumka na szwajcarskim koncie, z którego w dowolnym momencie będziemy mogli pobierać fundusze.

– Debora cię przeskoliła – domyślił się antropolog Wheaton.

– Nic nie wiedział – powiedziała Debora. – Przynajmniej tyle mogłam zrobić.

Filolog Wheaton poszedł do sklepu z listą zakupów od Debory, a tymczasem pozostali zajęli się przeglądaniem książek na półkach i przerzucaniem publikacji swojego gospodarza.

– Bardzo dobrze pisze – zauważył antropolog Wheaton. – Klarownie, subiektywnie, ale opierając się na tekstach źródłowych.

– Dlaczego brzmi to jak pean na własną cześć? – mruknął Ram.

– Nie jest nim – zapewnił antropolog. – A gdybym postanowił zająć się filologią, mam nadzieję, że powstrzymałbym się przed jego co dziwniejszymi spekulacjami.

– Bo sam nigdy nie spekulowałeś jako antropolog? – mruknęła Debora.

– Tak, ale teraz potrafię udowodnić, że miałem rację. Chociażby samemu sobie. Pitekantry plotły kosze! Sznury i liny! Sadziły i uprawiały słodkie ziemniaki! Między skupioną wokół samca alfa grupą leśną a monogamiczną grupą z sawanny przebiegała nieustanna komunikacja.

– Nie monogamiczną – poprawiła Debora. – Nie przebywaliśmy tam tak długo, żeby to stwierdzić.

– Zatem gotową do monogamii – zgodził się jej ojciec.

– Nie masz swoich publikacji na karcie pamięci? – spytał Ram.

– Mam.

– Ja też – dodała Debora. – Pomyślałam, że nie będzie chciał się z nimi rozstawać.

– Moja kochana córeczka – rozczulił się antropolog.

– Naprawdę jesteś kochana – potwierdził Noxon bez odrobiny ironii. – Potrzebuję niewidomej asystentki z dobrą pamięcią.

– A ja potrzebuję twarżomaski – odparła Debora. – Może się dogadamy.

– Zobaczmy, co przyniesie przyszłość – podsumował Ram Odyn.

Po kilku dniach Noxon i Ram postąpili zgodnie z sugestią gospodarza, przeskakując po parę miesięcy z rzędu. Debora i jej ojciec zostali, rzekomo po to, żeby badać opinię publiczną na całym świecie oraz decyzje rządu, ale tak naprawdę – jak podejrzewał Noxon – dlatego, że profesorowie Wheatonowie chcieli czytać swoje prace i krytykować je w najbardziej przyjazny naukowy i sarkastyczny sposób.

Noxon i Ram zostali nieco dłużej po starcie statku Rama, a potem znowu, gdy wystartował statek Gości. Ram z fascynacją badał, czego naukowcy dowiedzieli się po jego pierwszym przejściu przez zagięcie. Nie mieli pojęcia o rozszczepieniu na dziewiętnaście zmierzających w przód statków i jeden cofający się – choć pewien matematyk zgłosił hipotezę, że mikroróżnice wśród komputerów pokładowych mogłyby doprowadzić do różnych wyników. By tego uniknąć, statek Gości zaprojektowano tak, że używał tylko jednego komputera do nawigacji i zdobywania informacji. Pozostałe miały być wyłączone podczas skoku przez zagięcie.

Przez kilka miesięcy po starcie statku Gości Noxon i Ram przeskakiwali tylko po parę dni z rzędu. Potem Noxon w ogóle przestał skakać w przyszłości. Poruszał się wyłącznie dzięki bardzo szybkiemu cięciu czasu, by widzieć mijające dni. I tak właśnie cięli czas w gościnnej sypialni Wheatona, gdy nagle ujrzeni oślepiający błysk i palący żar. Podłoga zniknęła, zniknął cały dom. Runęli w dół, ale Noxon zapamiętał ciął czas, więc kiedy wylądowali, ogień dawno już zgasł.

Budynek zniknął.

Tnąc czas, nie mogli rozmawiać o tym, co się wydarzyło, ale wkrótce okazało się, że wybuch zburzył wszystkie budynki w okolicy. Lasy na pobliskich wzgórzach spłonęły, a tu i tam wciąż tlił się ogień, od którego nocą biła czerwona luna. Noxon zwiększył odstęp w cięciu czasu, więc pędzili naprzód, na coraz krócej zatrzymując się w poszczególnych minutach czy godzinach. Pożary w końcu zupełnie wygasły. Wydawało się, że wszędzie panuje spokój. Noxon miał już zakończyć proces, gdy nagle ujrzał parę jednostek latających o dziwnych bezskrzydłych sylwetkach. Leciąły niedaleko, niezbyt

wysoko. Dopiero gdy znikły, Noxon sprowadził Rama do normalnego strumienia czasu.

– Musimy stąd uciekać – rzucił Ram natychmiast. – Zdaje się, że to był wybuch nuklearny. Za chwilę promieniowanie pożre nas żywcem.

– Chodźmy gdzieś, gdzie nie było wielu budynków ani samochodów, żeby bezpiecznie skoczyć wstecz.

Noxon zaczął się rozglądać w poszukiwaniu ścieżek, by wybrać odpowiedni moment na dyskretny powrót. Usiłował nie zauważać, gdzie wszystkie ścieżki kończyły się gwałtownie w wyniku wybuchu.

– Nie wiedziałem, że jakieś państwo jest na krawędzi wojny – stwierdził Noxon po drodze.

– Żadne nie było. Żadne na Ziemi.

– Jak to?

– Te jednostki latające, które właśnie nas minęły... Nie słyszałem o takiej technologii. A słyszałem o wszystkich.

– Nie stworzyli ich ludzie? Czy jakiś kraj miał tajny program?

– Nie stworzyli ich *Homo sapiens*. I zakładam, że pitekantry także nie.

Noxon dopiero po chwili zrozumiał, o czym mówi Ram. To nie byli ludzie. Nie Ziemianie.

– Co robimy?

– Wracamy natychmiast w przeszłość.

– To promieniowanie... Wiesz, że byliśmy na nie wystawieni także podczas cięcia czasu. Przyjęliśmy tylko małą dawkę, ale wygląda na to, że nie byliśmy zbyt daleko od centrum wybuchu.

– Czyli prawdopodobnie już zaczęliśmy umierać – dokończył Ram.

– Jakieś lekarstwa? Skuteczne terapie?

– Może twoja maska zdoła to uleczyć, ale moje ciało nie da rady.

– To znaczy, że musimy wrócić i ostrzec samych siebie.

Ram natychmiast zrozumiał.

– Czyli się powielimy.

– Skoro mamy umrzeć, to zostawimy nasze kopie. W tej chwili jesteśmy jeszcze bardziej niezbędni dla przetrwania ludzkiego gatunku.

– A jeśli nie umrzemy? – spytał Ram.

– Im nas więcej, tym weselej.

Niczego się nie dowiedzieli. Gdy następnym razem dotarli do tego momentu w czasie, przynajmniej znaleźli się poza miastem, daleko na południu. Mieli sprzęt komunikacyjny, ale nie zdołali złapać żadnych sygnałów.

Za trzecim razem Ram i Noxon odwiedzili jednego ze znajomych Rama z programu kosmicznego. Po wielu wyjaśnieniach i demonstracjach otrzymali połączenie, dzięki

któremu mogli słuchać rozmów międzynarodowej agencji badań kosmicznych. Tym razem wyłapali niewielkie ostrzeżenie. Tuż za orbitą Jowisza dostrzeżono jakiś statek. Potem nastąpiła kompletna utrata kontroli nad wszystkimi komputerami i urządzeniami komunikacyjnymi, a po niej – niemal natychmiastowy grad pocisków ze wszystkich krajów. Uzbrojeni w te dane Ram i Noxon odwiedzili tego samego przyjaciela, odtworzyli mu nagrania i pokazali dane z bliskiej przyszłości, które – po mnóstwie uwag typu: „Nieważne, skąd to mam” – tym razem obudziły poważne zaniepokojenie. Statek kosmiczny został wyśledzony. Zjawił się z kierunku bliskiego trasy jednego z dronów eksploracyjnych, wysłanych przed misją kolonizacyjną Rama Odyna, gdy agencja badań kosmicznych szukała planet nadających się do zamieszkania. I tym razem, dzięki ostrzeżeniu, odłączono od ogólnoswiatowej sieci kilka systemów komunikacyjnych, więc pozostały pod kontrolą ludzi.

Za tym ostatnim razem Noxon i Ram zyskali znacznie wyraźniejszy obraz sytuacji. Najbardziej przekonującą teorią była ta, że dron wysłano przed ponad dwiema dekadami nie z planety nadającej się do zamieszkania, ale z zamieszkaną, na której znano podróże kosmiczne i na której panowało dojmujące poczucie zagrożenia związane z ewentualną wizytą ludzi.

– Zważywszy, co ekspedycja Rama Odyna zrobiła z Arkadią, żeby przystosować ją do życia dla ludzi – powiedział Noxon – nie mogę powiedzieć, że niesłusznie zdecydowali się na atak z wyprzedzeniem.

– Nigdy nie zaatakowalibyśmy planety, na której występuje rozumne życie – zaprotestował Ram Odyn. – Zajęlibyśmy się następnym światem.

– Ty nigdy byś nie zaatakował – odparł Noxon – ale kto wie, co zrobiliby zbędni, gdybyś był uśpiony?

Jeśli chodzi o powody i motywy, byli skazani tylko na domysły. Rezultaty stanowiły inną sprawę. Obcy mieli tak zaawansowaną technologię, że mogli niezauważeni włamać się na odległość do ziemskich komputerów i rozmów i odczytać dość danych, by poznać możliwości ziemskiej broni i zorientować się, jakie cele zaatakować – a potem aktywować arsenały nuklearne dwóch tuzinów byłych narodów-państw. Niemal cała ludzkość została unicestwiona. Potem statek obcych z niewiarygodną prędkością dotarł na orbitę Ziemi, a małe jednostki latające wyszukiwały wszelkie ślady sygnałów radiowych i nawet ciepła ciała.

– Nie zamierzali zostawić żadnych niedobitków – stwierdził Ram Odyn.

– Zatem gdy Goście wrócą na Ziemię ze swojej podróży na Arkadię, przekonają się, że są ostatnimi istotami ludzkimi w Układzie Słonecznym.

– Dlaczego więc wrócili i unicestwili ludzi, którzy ocaleli na Arkadii? – spytała Debora i natychmiast odpowiedziała sobie, kręcąc głową: – Jasne. To n i e b y l i ludzie.

– Włamali się do naszych systemów komputerowych – powiedział Ram Odyn. –

Wiedzieli wszystko o mojej wyprawie, a potem o podróży Gości, znali wszystkie dane, jakie zebraliśmy. Zatem to obcy dotarli na Arkadię i aktywowali samoniszczący system na orbicie. To nie byli Ziemianie. Nieważne, co widzieli Goście. Ich dziennik pokładowy zdradził obcym, że pojawiła się kolejna kolonia ludzi. Zaskoczyli nas, kompletnie bezbronnych, i wykończyli.

– Tak się cieszę, że nie pozwoliliśmy myszom wrócić i zarazić Ziemian – westchnął Noxon. – Ale... nie, myszy zamierzały się zakraść na statek z Gośćmi. Więc i tak dotarłyby do niezamieszkannej Ziemi.

– Co teraz? – spytał antropolog Wheaton. – To wy umiecie manipulować czasem.

– Nasza misja zwiększyła zasięg – powiedział Noxon. – Teraz musimy ocalić całą ludzkość. Obu planet.

– Choć ten atak obcych na nas nie był kompletnie nieracjonalny? – spytał filolog Wheaton. – Mamy na koncie unicestwienie cudzej flory i fauny, żeby zrobić miejsce dla własnej bioty.

– Tu nie chodzi o sprawiedliwość – oznajmił Ram Odyn. – Nie o to, co dobre i złe. Chodzi o nas i nich. Wybieram nas.

– Wszyscy się zgadzają? – spytała Debora.

Zebrani podnieśli ręce.

– Możemy sobie filozofować do upadłego, kiedy już ocalimy ludzkość – rzucił Ram.

– Teraz potrzebujemy planu – dodał Noxon.

– Zdaje się, że czeka mnie kolejna podróż – zauważył Ram Odyn. – Ale w innym kierunku. Jak sądzicie, kiedy ci obcy zaczęli latać w kosmos?

Tymczasem pierwotny Noxon i Ram Odyn zaczęli zdradzać objawy choroby popromiennej. Twarzomaska Noxona pomogła jego ciału dojść do siebie. Teraz istniał w dwóch kopiach, choć jedna nadal leżała w łóżku, niemal nieustannie śpiąc, podczas gdy komórki jego ciała się odbudowywały, a rakowe narośle znikwały. Ale został tylko jeden Ram Odyn. Tylko jedna osoba, która potrafiła pilotować gwiazdny statek, ukryty pod lodem na Antarktydzie w dalekiej przeszłości. Tym razem myszy otrzymają pełną swobodę. Tym razem zostaną wypuszczone na świat obcych.

Rozdział 26

SCHLUDNOŚĆ

Pochylona nad stołem Param stała w Namiocie Światła, studiując mapy z Oliwienką, Bochnem, Riggiem, Ramexem i Kwadratem. Ram Odyn siedział w wejściu do namiotu, spoglądając na łąkę, i albo czuwał, albo drzemał – trudno było zgadnąć.

Param rzadko odzywała się na tych radach. Jej naturalna powściągliwość okazała się najlepszą strategią, ponieważ gdy tylko sugerowała swoje preferencje, Oliwienko zaczynał modyfikować do nich swoje pomysły i argumenty. Musiała uważać nawet na pytania, aż w końcu powiedziała z pewnym rozdrażnieniem, że nie może podejmować racjonalnych decyzji, jeśli nie ma pewności, że rozumie sytuację, a to oznacza, że musi pytać. Ale jak może pytać, skoro ludzie natychmiast zaczynają się zastanawiać, dlaczego zadała to pytanie?

– Pytam zawsze dlatego, że chcę poznać odpowiedź. Nic więcej. Nie robię żadnych aluzji. Kiedy wyrabiam sobie jakieś zdanie, wypowiadam je, czekając na komentarze. Nie ma w tym subtelności, prawda? Wszyscy to rozumiecie?

Rozumieli, ale i tak miała wrażenie, że nadal starają się zgadnąć, co oznaczają jej pytania, do czego się skłania, tylko bardziej uważali na swoje reakcje.

Irytowało ją, że jako Królowa w Namiocie – w każdym razie królowa tego zakątka kraju – musi tak bardzo uważać na najmniejsze słowo. Więc posiadanie władzy jest tak ograniczające? Ale przecież pamiętała bezradność matki w tej złotej klatce, w której dorastała. Matka również musiała uważać na każde słowo – nie dlatego że inni starali się nadgorliwie uprzedzać jej życzenia, lecz ze strachu, że Ludowa Rada Rewolucyjna oskarży ją o próbę zagarnięcia władzy. Więc ona także musiała się nauczyć powściągliwości w mowie. A to zmieniło ją w podstępного potwora. „Jak to zmieni mnie?” – zastanawiała się Param. Mogła spytać Umba, ale wiedziała, co odpowie: „Doskonale sobie radzisz. Mówisz jak najmniej, ale kiedy się odezwiesz, to zawsze sensownie. Wszyscy dostrzegają, że twoje decyzje są sprawiedliwe, a słowa – mądre”. Ale ona zastanawiała się, czy powiedział to, bo to prawda, czy dlatego, że w to wierzył. A może po prostu dlatego, żeby dodać jej otuchy i poprawić humor?

Czy jeśli kiedykolwiek podejmie decyzję sprzeczną z wolą rady, to jej rozkaz zostanie wykonany? Chciała rządzić perswazją, dochodząc do porozumienia, ale to się

sprawdzało tylko wtedy, gdy czas ich nie poganiał. A przygotowując się do prawdziwej otwartej wojny, starcia wielkich armii, decyzje należało podejmować szybko. Tylko że ona nie miała pojęcia, co robić. Oliwienko był odczytany i inteligentny, ale nie wiedział, jak ich żołnierze zachowają się podczas prawdziwego krwawego starcia, mógł więc mylić się we wszystkim. Tak jak Bochen. Jak każdy z nich.

– Zawsze możemy się cofnąć i spróbować jeszcze raz – mawiał Umbo w takich razach. – Czy pojawiłem ci się jako wizja i ostrzegłem, żebyś nie podejmowała tej czy innej decyzji?

– Jeszcze nie – odpowiadała Param.

– W takim razie najwyraźniej były trafne.

– Albo bez znaczenia.

– To powinno cię uspokoić jeszcze bardziej – stwierdzał Umbo.

– A jeśli w wyniku tych wydarzeń wszyscy zginęliśmy, więc nikt nie wróci i nie powstrzyma nas przed popełnieniem błędu?

– Jeśli to się stanie, zjawią się Niszczyciele i usuną wszystkie nasze błędy – zapewniał Umbo.

– Chyba że Noxon nas ocali.

– Na razie tego nie zrobił.

– Tak nam się wydaje.

Wówczas Umbo pochmurniał i wycofywał się w milczenie. Było oczywiste, że choć Noxon był daleko, na Ziemi oddalonej o miliony kilometrów albo zagubiony gdzieś w jakiejś szczelinie czasoprzestrzeni, Umbo nadal zazdrościł mu tych tygodni spędzonych w towarzystwie Param, gdy razem uczyli się używać swoich talentów na większą skalę i z większą wprawą. Ta jego skłonność do chowania urazy była jego najgorszą wadą. Ale w tym przypadku Param musiała przyznać, że miał rację. Dziwne, że choć do chwili rozdzielenia Noxon był tą samą osobą co Rigg, Param nie obarczała go odpowiedzialnością za wszystkie nieprzyjemności, które spowodował Rigg. Nie myślała też o Noxonie z tą samą siostrzaną czułością jak o Rigg. Czasem bardzo żałowała, że Noxona tu nie ma. Choć należało przyznać, że Umbo był bardzo dobrym, kochającym mężem i że nigdy nie próbował podważyć jej autorytetu. Jeśli podczas spotkań rady wojennej ktoś odzywał się rzadziej od niej, to był to właśnie on. Nie wyrażał opinii, nawet nie zadawał pytań, dopóki mu tego nie rozkazała – a przynajmniej tak się jej wydawało. Oczywiście ta jego nieśmiałość była irytująca, zwłaszcza że rozciągała się też na sypialnię. Na cały czas, który spędzali sami. Umbo nigdy nie prosił o zbliżenie. Nawet nigdy na nie nie czekał. Jeśli powiedziała – lub zasugerowała – że chce dzielić z nim łóżę, zawsze się zgadzał, całkiem entuzjastycznie, ale jednocześnie powściągliwie. Zważał na każde jej drgnienie, każdy dźwięk, każdą reakcję, czy miały jakieś znaczenie, czy nie. Z tego względu był idealnym – choć równie kompletnie irytującym – mężem i kochankiem. Czy w końcu zacnie się

zachowywać jak równoprawny partner? Czy upomni się o swoje prawa?

Ale jak? Przecież przez tyle miesięcy przed ślubem otwarcie okazywała mu pogardę, a on na pewno pamiętał każdy przytyk, każdą obelgę z jej strony. Uraza stanowiła jego normalny stan ducha, a ona tak pracowicie udowadniała mu, że nie ma dla niego żadnego szacunku, iż teraz nie mogła się po nim spodziewać innego zachowania. Bochen, Lejka, Oliwienko i Ramex wyjaśnili jej, bardzo delikatnie, że wszelkie urazy między Umbem a nią stanowią wyłącznie konsekwencję ich wychowania.

– Właściwie całkiem do siebie pasujecie – powiedział Oliwienko. – Teraz, gdy przestałaś się go czepiać, Umbo wydaje się prawie idealny dla ciebie.

– To, że chodzi wokół mnie na paluszkach jak wokół śpiącej lwicy, nie oznacza, że jest idealny – odparła Param.

– Bo jesteś lwicą i na pewno nie śpisz. Moim zdaniem idzie mu bardzo dobrze, a twoja niecierpliwość jest nie tylko nierozsądna, ale i niszcząca. On wie, że cię drażni, ale ponieważ drażni cię tym, że stara się ciebie nie drażnić, trudno sobie wyobrazić, jak powinien się zachować, żeby nie drażnić cię jeszcze bardziej.

A zatem stali przy stole, pochyleni nad mapą, zastanawiając się nad potencjalnymi miejscami bitwy. Na południe od obozu głównej części armii generała Haddamandera znajdował się teren, którego ukształtowanie sprzyjałoby wojskom Param, ale, jak zauważyli Bochen i Oliwienko, zwycięstwo tutaj niewiele by im dało, ponieważ Haddamander nadal stałby między ich armią a stolicą. Ale gdyby po prostu zajęli stolicę, Haddamander bez trudu rozpocząłby oblężenie, a wówczas Param musiałyby dbać nie tylko o wyżywienie swoich żołnierzy, ale i setek tysięcy mieszkańców.

– Dalibyśmy radę – powiedział Rigg. – Tak jak zdobywamy obecnie pożywienie dla armii – wyprawiając się w przeszłość.

– Już skupujemy nadwyżki sprzed pięciuset lat – odezwał się Ramex. – Nie ma tak wiele urodzajnych lat, które moglibyśmy wykorzystać. Ale każdy zakup ziarna wspomaga gospodarkę z przeszłości, co zmienia historię.

Tego nie chcieli robić. Nie mogli sobie pozwolić na to, że staną przeciwko znacznie bardziej popularnemu lub potężniejszemu wrogowi niż obecny Haddamander, generał armii Hagii. A jeśli zmienią historię tak, że imperium będzie o wiele lepiej zarządzane i nigdy nie dojdzie do rewolucji ludowej? A Haddamander nie będzie potomkiem prześladowanej rodziny arystokratycznej, lecz wypieszczonym, wychwalanym paniczem z wielkiego domu? Może nawet on, nie ojciec Rigga i Param, poślubi Hagię? Na ile mogli manipulować przeszłością, nie doprowadzając do rozległych, zaskakujących zmian?

Ale przecież musieli karmić swoich żołnierzy, a jeśli ich wojska nagle pojawią się na ulicach Aressa Sessamo, to i wszystkich mieszkańców miasta.

Potrzebowali szybkiego, decydującego, miażdżącego zwycięstwa. Param spodziewała się, że Rigg zaprotestuje przeciwko tak brutalnemu rozwiązaniu, ale ją

zaskoczył.

– Wiem, że uważasz mnie za pacyfistę, ale to nie tak – powiedział. – Najwięcej istnień ocali szybkie, brutalne, decydujące zwycięstwo, by wojna skończyła się po jednej bitwie.

– To prawda – przyznał Bochen. – Bez względu na to, która strona wygra, rozstrzygająca bitwa zdecydowanie skróci wojnę.

– Ja bym chciał, żebyśmy to my wygrali – powiedział Oliwienko.

– Wiesz, że z czasem wygramy – odparł Kwadrat. – Bo jeśli przegramy, Umbo wróci na to spotkanie i przekaże nam informacje, dzięki którym podejmiemy lepsze decyzje.

– Pod warunkiem że starczy mu rozumu, by podczas walki zostać tutaj – burknął Bochen – żeby nie musiał cofać się w czasie, jednocześnie uciekając przed wrogiem po miażdżącej klęsce.

Umbo tylko pokręcił głową.

– Umbo ma rację – poparła go Param. – Nie może zostać w namiocie, z dala od bitwy. Skąd będzie wiedział, jak się skończyła albo co poszło źle? Jeśli ktokolwiek potrafi bez trudu umknąć pogoni i wrócić tutaj z ostrzeżeniem, to tylko on.

Umbo nie odpowiedział. Patrzył na mapę.

– Co ważniejsze – dodała Param – Umbo jest Królem w Namiocie. Żołnierze muszą wiedzieć, że im towarzyszy. Kochają go i szanują jako mężczyznę tak, jak nie mogą szanować mnie, kobiety.

Umbo zerknął na nią przelotnie i znowu spuścił wzrok na mapę. Param nie potrafiła odczytać, co maluje się w jego oczach.

Wokół stołu zapadło milczenie.

– Moim zdaniem – powiedziała w końcu Param – każde ewentualne miejsce ma swoje plusy i minusy. Każde ewentualne miejsce może stać się polem zwycięstwa lub klęski. Prawda?

Oliwienko zgodził się pierwszy. Za szybko? Ale po chwili Bochen, Ramex, Ram, Rigg i Kwadrat także przyznali jej rację. Omal nie powiedziała: „W takim razie powinniśmy rzucić kostką i wybrać pole bitwy na chybił trafił”, ale powstrzymała się, bo przyszło jej do głowy coś nowego.

– Wydaje mi się, że wszystkie nasze plany to plany defensywne. Pojawić się i ufortyfikować, czekając na atak. Albo pojawić się tam czy tam, w Aressa Sessamo albo... Czy nasi żołnierze są tak kiepscy, że nie możemy zaatakować tam, gdzie się znajdują?

– Nasi żołnierze są dobrze wytrenowani – powiedział Bochen – ale trening to nie bitwa.

– Nie wiemy, co zrobią, gdy zaczną krwawić – dodał Rigg. – Nasza armia nie składa się z ludzi kochających bitwę, lecz z ludzi nienawidzących rządów Hagii i Haddamandera lub pragnących uratować swoje rodziny przed niebezpieczeństwem.

Nie są żołnierzami z natury.

– Ale mamy oddział wybitnych wojowników – zauważył Kwadrat.

– Jest ich tak wielu, żeby wprowadzić znaczącą różnicę? – spytał Ramex.

– To ty posiadasz wspaniały elektroniczny umysł – odparł Kwadrat. – Zastanów się i udziel nam rady.

– Nie można określić z całą pewnością, jak potoczy się bitwa – oznajmił zbędny.

– Zatem przystąpmy do tej pierwszej i sprawdźmy, co się wydarzy – zaproponował Kwadrat. – A potem niech Rigg lub Umbo zabiorą moich Vadesherów, żeby spotkali samych siebie i by ich szeregi stały się dwa razy liczniejsze. A potem cztery razy.

– Koniec z powielaniem ludzi – uciął Rigg. – To straszna rzecz i nie wolno nikogo na nią narażać.

– Po zwycięstwie już tego nie zrobimy. Na wojnie trzeba się chwycić każdego sposobu.

– A jeśli wszyscy twoi maskerzy przeżyją? Którzy z nich będą mieć żony? Którzy staną się ludźmi samotnymi, mimo iż pamiętają, że mieli rodziny?

– Zobaczymy, jak się uda pierwsza bitwa, zanim zabierzemy się do kopiowania – zasugerował Bochen.

– Królowa Param proponowała...

– Nie proponowałam – powiedziała szybko Param. – To było tylko pytanie o wojnę defensywną i ofensywną.

– Sądzę, że wszyscy uważaliśmy odpowiedź na pytanie królowej Param za oczywistą – zaczął Oliwienko. – Powinniśmy rzucić naszych niesprawdzonych żołnierzy do walki defensywnej. Ale możliwe, że to straszliwy błąd. Podczas takiej walki ważne jest, by żołnierze nieustępliwie bronili terenu, cofali się powoli, w szyku, jeśli to konieczne. Bochen i jego sierżanci doskonale ich wytrenowali, ale gdy widzisz, że twoi towarzysze broni padają, wszystko się zmienia, jak czytałem w różnych relacjach. Łatwiej jest pchnąć zielonych, nieświadomych żołnierzy do ataku, niż kazać im się bronić przed szarżą.

– Nie ma wątpliwości, że zaskoczylibyśmy przeciwnika – powiedział Kwadrat.

– Ale nie możemy sprowadzić całej armii jednocześnie – zauważył Rigg. – Najpierw musimy ustawić żołnierzy w jednej zwartej formacji, by mogli się wziąć za ręce.

– No to sprowadź ich małymi grupami – odparł Kwadrat. – Tylko w tę samą chwilę.

– To znaczy, że wszystko to spada na Umba – stwierdził Rigg. – Ja potrafię tego dokonać, cofając się w przeszłość, ale tylko on umie precyzyjnie operować przyszłością.

Wszyscy spojrzeli na Umba.

– Zakładam, że chciałeś powiedzieć „króla Umbo” – zauważyła Param łagodnie.

– Nie musi mnie tak tytułować – szepnął Umbo.

– Przede wszystkim on powinien cię tak tytułować – sprzeciwiła się Param – bo ma

takie same prawa do Namiotu Światła jak ja, a pewnie niektórzy jego woleliby widzieć na tronie. Musi zwracać się do króla Umba z szacunkiem, by nikt nie miał wątpliwości, że popiera jego i mnie.

Umbo pokręcił głową.

– Nie odchodźmy od tematu.

– Oliwienko – rzucił Bochen – popierasz ten nowy plan, by pojawić się w środku ich obozu i wyróżnić ich we śnie?

– Nie we śnie! – krzyknęła Param.

– Królowo, naszym celem jest zwycięstwo tak miażdżące, by wróg nie mógł się po nim podnieść – powiedział Oliwienko. – Jeśli zabijemy jednego człowieka na pięciu, zanim zdoła chwycić broń, to bitwa będzie niemal wygrana.

– Ale co się stanie z organizacją wojsk, jeśli pojawimy się w środku obozu? – spytał Bochen.

– Przestanie istnieć – przyznał Kwadrat. – Nikt nie będzie wiedzieć, co z sobą zrobić. Zapanuje chaos, dopóki wróg nie utworzy gdzieś szeregu.

– Haddamander kopie fosy i wznosi mury wokół każdego obozowiska – zauważył Oliwienko. – Atak z zewnątrz będzie krwawy.

– A atak od środka natychmiast doprowadzi do dezorganizacji – dodał Bochen.

– Znowu okazuje się, że każdy plan ma plusy i minusy.

– Nie możemy jakoś uniknąć chaosu? – spytała Param.

– Każdy żołnierz musiałby znać cały plan – odparł Bochen. – To nigdy nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? – spytał Umbo cicho.

Bochen pokręcił głową.

– Im mniej zwykły żołnierz wie o zamiarach dowództwa, tym lepiej.

– Żeby nie zdradził naszych planów wrogowi? – odezwał się Rigg. – Ale jeśli pojawimy się wszyscy w środku ich obozowiska i każdy żołnierz będzie dokładnie wiedzieć, co ma zrobić i gdzie się zgrupować, gdy tylko wykona zadanie, nie ma szans, żeby kogokolwiek pojmano i wyduszono z niego zeznania.

Bochen skinął głową.

– Rozumiem. Wbito mi do głowy, że żołnierz nie może nic wiedzieć o swoim zadaniu, ale...

– I tak powiemy im tylko tyle, że przez pięć minut mają siać terror i zniszczenie, a potem znowu uformować jednostkę i ruszyć w pogoń za uciekającym wrogiem – oświadczył Kwadrat.

– Naprawdę słuchałeś tego, co ci mówiłem – pochwalił Bochen.

– Od czasu do czasu, gdy udawało ci się powiedzieć coś sensownego.

„Nadeszła pora”, zrozumiała Param.

– Teraz nie zadaję pytania. Podejmuję decyzję. Poświęćmy kilka dni... tydzień... tyle,

ile uznacie za konieczne, na wytrenowanie żołnierzy do ataku z zaskoczenia, a potem powrotu do szyku, by ścigać wroga.

– I na wydzielenie małych oddziałów do pilnowania jeńców. Tych, którzy się poddadzą. – Rigg powiódł wokół wzrokiem, jakby rzucał wyzwanie każdemu, kto mu się sprzeciwi. – Wielu z nich to robi, a naszym celem jest nie rzeź, lecz unicestwienie armii. Uwięzienie jest lepsze od mordu.

– Chyba że trzeba będzie zbyt wielu strażników.

– Tu zaczyna się moja rola. I króla Umba także. Będę przenosił ich w przeszłość, bez broni. Zepchniemy ich w tak odległe czasy, że nie będą się mieli gdzie ukryć i nie znajdą pomocy u żadnych wieśniaków.

– Zresztą nikt nie ukryje się przed tropicielem – dodał Kwadrat.

– To przyzwoity plan – uznał Oliwienko. – Warto sprawdzić, co w nim pójdzie nie tak.

– No i się zaczyna – rzucił Bochen. – Rigg i Umbo zamierzają się rozdzielić i znaleźć się wśród wrogów. Wystarczy jedna strzała, jeden oszczep, żeby nasi żołnierze nigdy więcej nie zobaczyli się z żonami i dziećmi i żeby naprawienie błędów stało się niemożliwe.

– Król Umbo może ich przenieść na odległość – powiedział Rigg. – Nie musi ich dotykać.

– W takim razie przeniosę wszystkich – zdecydował Umbo.

– Zatem postanowione – oświadczyła Param. – Ćwiczmy ten wariant planu. Ile dni?

– Aż nabiorą wprawy – oznajmił Bochen. – Czas nas nie goni. To uderzenie musi być precyzyjne.

– Chciałbym, żeby Noxon zdołał jakoś przesłać nam wiadomość, gdy wykona swoją misję – powiedział Rigg cicho.

– Istnieje. Świat nie zostanie unicestwiony. Wiadomość otrzymana – odparł Kwadrat.

– Może skoczę w przyszłość, podczas gdy będziecie się przygotowywali... – zaproponował Rigg.

– Nic się nie zmieniło – odezwał się Umbo.

Znowu zamilkli.

– Sprawdzam co rano – dodał Umbo. – Na razie nic się nie zmieniło.

Param zastanowiła się nad tym, co powiedział. Codziennie skakał w przyszłość, by sprawdzić, czy świat nadal zostanie unicestwiony, i wracał, bo koniec był nieunikniony. Po co się z tym wszystkim męczyć, skoro uwolnienie ludu od ucisku Hagii i Haddamandera wprowadzi zmianę na lepsze tylko na kilka lat, bo świat i tak się skończy?

– Musimy walczyć i planować tak, jakbyśmy mieli przed sobą wiele lat życia – odezwał się Rigg niemal w odpowiedzi na jej myśli. – Bo może będziemy mieli.

– Postanowione – powiedziała Param. – Oto rozkaz z Namiotu Świata: niech się

stanie.

Nie uczyła się tradycyjnych rozkazów od matki. Znalazła je w książkach. Początkowo uznała, że to idiotyczny bełkot. Teraz rozumiała, że ktoś musi zakończyć posiedzenie, oświadczając wyraźnie, co zostało postanowione i co musi się wydarzyć. Bez tej absolutnej jasności ludzie odeszliby w rozterce, zwłaszcza gdyby decyzja budziła ich wątpliwości.

Param zdawała sobie sprawę, co zrobiła. Przewróciła ich plany do góry nogami, sprawiła, że od wojny defensywnej przeszli do ofensywnej. To za jej sprawą żołnierze wroga zginą we śnie od ciosu włóczni, oszczepu czy szabli bądź też zostaną zasieczeni, gdy zerwą się z posłań, szukając broni. Chyba że Haddamander przewidział taki atak.

Ale nie mógł znać ich możliwości, ponieważ jego wojska spotkały się z żołnierzami Param tylko kilka razy w drobnych potyczkach, a także podczas ostatniego najazdu kapitana Ropuchy, który Haddamanderowi wydawał się pierwszy.

Kiedy Param ogłosiła swoją decyzję, wszyscy opuścili Namiot Światła. Wszyscy z wyjątkiem Umba.

– Zawsze istnieje inny wybór – powiedział.

– Nie zabijemy ich – odparła Param.

– Nie zasługują na nic lepszego. A to by ocaliło życie ich ludzi.

– Nie. Zabójstwo zachęciłoby tylko nowych możnowładców do zajęcia ich miejsca. Ich armia musi zostać zdruzgotana – i musi o tym wiedzieć.

– Bo tak mówi Oliwienko...

– Bo tak mówi historia.

Umbo skinął głową, ale wyglądał na przybitego.

– Umbo, ty nie masz skłonności do morderstwa.

– Ale Rigg ma.

– Miał. Kiedyś. I to go zdruzgotało. Morderstwo niszczy ludzi.

– A może to zdruzgotani ludzie mordują.

– Albo to i to. Ale tego się nie dowiemy. Nie zdobędziemy Namiotu Światła tylko dlatego, że ambicja pchnęła mnie do zamordowania własnej matki.

– Wiesz, że oni, gdyby mogli, zrobiliby to bez wahania.

– Wiem, że już próbowali, zanim po raz pierwszy przeszliśmy przez Mur. Wiem, że chwyciliśmy się za ręce i uratowaliśmy sobie nawzajem życie. Ale jeśli spróbujemy wygrać dzięki morderstwu, to przestanie się liczyć, kto zwyciężył w tej wojnie – w Namiocie Światła i tak zamieszka morderca i przeniwierca.

– Tego nie można porównywać – zauważył Umbo.

– Rigg zabił Rama Odyna w samoobronie i nie potrafił z tym żyć.

– Bo Rigg to Rigg.

– A ty jesteś bardziej bezlitosnym mordercą?

– Możliwe.

- Zobaczmy, jak potoczy się ta bitwa.
- Masz rację. Może twoja matka i Haddamander pierwsi zginą w namiotach. Param pokręciła głową.
- Za łatwo przychodzi ci mówienie o takich rzeczach.
- Chcę uniknąć śmierci posłusznych żołnierzy po obu stronach.
- Ja także. Ale nie wystarczy, żebyśmy wygrali. Armia wroga musi doznać prawdziwych, przerażających strat.
- Pamiętam, kiedy Oliwienko po raz pierwszy powiedział te słowa.
- Jest doradcą. Mądra królowa słucha mądrych rad. Umbo zamilkł.
- Tak jak słuchałam ciebie – dodała Param. – Kiedy powiedziałeś, że świat jednak się skończy. Choć nie wyjawiałeś mi, że sprawdzasz to codziennie. Umbo nadal milczał. Ze wstydu?
- Słucham cię uważniej niż kogokolwiek – powiedziała Param. – I nie dlatego, że jesteś moim mężem, a ja cię kocham. Choć jesteś i cię kocham. Umbo nie zareagował.
- Słucham cię, bo rzadko się odzywasz, ale kiedy już coś mówisz, to zawsze coś mądrego.
- A jeśli nie – powiedział Umbo – zawsze mogę się cofnąć i posprzątać po sobie.
- Schludność to wielka zaleta – rzuciła Param. Umbo ją pocałował. Przelotnie. Nie całkiem po bratersku, ale z całą pewnością nie namiętnie. Ona odpowiedziała pocałunkiem z całą namiętnością, jaką chciała w nim obudzić.
- Myślisz, że to właściwa pora? – spytał cicho, gdy drugi pocałunek się skończył.
- Powiedz, kiedy zaczniesz wierzyć, że naprawdę jestem twoją żoną.
- Gdy to się stanie, nie będę musiał ci mówić. Sama zrozumiesz.

Rozdział 27

POWRÓT PO MYSZY

Ponieważ Noxon widział ścieżkę swoją i Rama – a także ścieżki myszy w pudełku – mógł wrócić zaledwie kilka sekund po tym, jak je zostawili zakopane w ziemi.

Zrelacjonowali sytuację z myszami Deborze i antropologowi Wheatonowi, nie pomijając wszystkich aktów nieposłuszeństwa i prób zdrady.

– Dlaczego ich tam nie zostawicie? – spytał Wheaton.

– Bo obiecałem, że wrócę i je wypuszczę – powiedział Noxon.

– To jedna z jego lepszych cech – wyjaśnił Ram. – Ale także poważna słabość. A myszy są naprawdę niebezpieczne i podstępne.

– Czy mogą się stać niebezpieczne dla nas? – spytał Wheaton. Wyraźnie martwił się o Deborę.

– Tak – potwierdził Noxon. – Ale tylko w takim sensie, w jakim są niebezpieczne dla całego gatunku ludzkiego. Albo dlatego, że gdyby mnie zabiły, utknęlibyście w starożytnym Peru, na tysiące lat przed przybyciem ludzi do Ameryki.

– Czyli nie będzie internetu? – spytała Debora.

Noxon nie od razu przypomniał sobie, o czym mowa.

– A, tak, zapomniałem, że w waszych czasach wszyscy są z sobą połączeni.

– Nie nosiliśmy nawet komórek – powiedział Ram. – Nie wyrobiliśmy sobie tego nawyku.

– Czas otworzyć pudełko, a potem je zamknąć i zakopać, zanim Ram i ja wrócimy.

– Wróćcie? W innym czasie?

– Mieliśmy trochę obowiązków – wyjaśnił Ram – i zostawiliśmy statek tam, gdzie miał go przykryć lód. Potem wróciliśmy i rozmawialiśmy o wypuszczeniu myszy.

– Ale tego nie zrobiliście.

– I nie zajrzeliśmy do pudełka, żeby sprawdzić, czy nadal tam są – dodał Noxon. – Na wypadek, gdyby ich tam nie było. Bo to by znaczyło, że wróciliśmy tu i uwolniliśmy myszy. Tak jak to zrobimy w tej chwili.

– I nie chcieliście wiedzieć? – zdziwił się Wheaton. – Nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie być czegoś ciekawy.

– Gdybyśmy wiedzieli, zaczęlibyśmy snuć domysły na temat przyczyn naszego

powrotu, a to mogłoby zmienić nasze zachowanie. Co skasowałyby przyszłość albo doprowadziło do powstania naszych kopii.

– Musicie bardzo uważać – oceniła Debora.

– Wszystko ma nieprzewidziane konsekwencje – powiedział Noxon. – A wszelkie próby naprawy pewnych rzeczy nieuchronnie prowadzą do pogorszenia innych.

– Jak uratowanie mnie? – spytała Debora.

– Na razie wszystko doskonale się układa. Ale gdyby powielić tu profesora? Nie wiem, czy ucieszyłby się na widok swojej filologicznej wersji.

Wheaton wzruszył ramionami.

– Zobaczyłem, jaki bym był, gdybym nie dorósł.

– Lubiłam go – powiedziała Debora.

– Co za ironia. To ty sprawiłaś, że jestem inny od niego.

– Mam wiele na sumieniu.

– Otworzyć pudełko? – spytał Ram.

– Już nas słyszą – odparł Noxon. – Oto zasady. Myszy wyjdą z pudełka i zbiorą się w grupie, nie zbliżając się do nikogo. Ram zamknie pudełko i ponownie je zakopie.

– Muszę wykonywać całą brudną robotę?

– Jesteś dyplomowanym pilotem. Ja nie mam żadnych umiejętności – wyjaśnił Noxon.

Ram wyszczerzył zęby.

– Jeśli myszy nie zastosują się do tych instrukcji – oznajmił Noxon – zabiję wszystkie.

Debora spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Próbowales kiedyś złapać mysz?

– Tak, w poprzednim życiu jako kot.

– Maską bardzo, ale to bardzo przyspiesza jego ruchy – wyjaśnił Ram.

– Mogę też cofnąć się w przeszłość i je zabić. One to rozumieją.

Ram otworzył pudełko. Myszy wypadły na zewnątrz, tworząc kłębiącą się stertę na ziemi.

– Wyglądają całkiem zwyczajnie.

– Przyjrzyj się uważniej. Mają dość duże głowy jak na myszy, a ich kości i mięśnie są masywniejsze, by zrównoważyć dodatkową wagę mózgu. Poza tym posiadają maleńkie elektryczne złącza na czubku każdego palca czy pazurka. Mogą włożyć łapkę w gniazdo komputerowe i łączyć go bezpośrednio z mózgiem.

– Więc to przystawki komputerowe?

– Nie. Przystawki mysio-komputerowe.

– Wróciłeś – odezwała się mysz.

– Teraz do mnie mówią – wyjaśnił Noxon. – Usłyszycie tylko moją część rozmowy. Ale będę zmieniać języki.

– Myszy mówią... – powtórzyła Debora.

- Bardzo cienkimi głosikami. Przeważnie kłamią.
- A, to niesprawiedliwe – powiedziała mysz.
- Uprzedzenie – dodała druga.
- Dobrze, że wróciliście – oznajmiła trzecia.
- Po kolei – rzucił Noxon. – Która mówi w imieniu wszystkich?
- Na razie ja – odezwała się jedna z nich. Była samicą i ruszyła ku niemu, odrywając się od grupy.
- Nie – uciał Noxon. – Wiem, kim jesteś. Chcę alfę.
- Zabijesz go – odparła przedstawicielka myszy.
- To całkiem możliwe. Ale na razie nie mam tego w planach, bo was potrzebuję i chcę ocenić wasze intencje i możliwości.
- Jeśli wydaję ci się, że możesz nas zrozumieć...
- Rozumiem was co najmniej tak dobrze, jak wy rozumiecie nas. Alfa, natychmiast. Z grupy wystąpiła inna mysz.
- Dobrze ukrywasz swoją męskość.
- Wielkie jądra nie służyły naszym celom – odparł alfa. – Doprowadziliśmy do ich zmniejszenia na drodze ewolucji. Czego chcesz od nas?
- Noxon powiedział alfie o najeźdźcach z innej planety.
- Chcecie, żebyśmy nie dopuścili do infiltracji waszych komputerów.
- To by było interesujące, ale nie rozwiązałoby naszego problemu – odparł Noxon.
- Chcecie się wybrać do ich świata, zanim ewoluują, i unicestwić ich gatunek.
- Już bliżej.
- Czy istnieje sposób poznania ich biologii przed wyprawą?
- Nie. Nigdy nie widzieliśmy, jak opuszczają statki powietrzne, i nie chcemy cofać się w przeszłość, żeby ich wywabić. Wystartujemy z tego momentu.
- Rozumiem wasz strach, że mogą być od was silniejsi – powiedział alfa. – To powinno dać wam pojęcie o tym, co czujemy wobec was.
- Wiem, że zdradzałyście mnie regularnie dużo wcześniej, zanim dałem wam do tego powody. Teraz rozumiecie mój dylemat.
- Ja nie rozumiem – odezwała się Debora.
- Chcecie, żebyśmy były waszymi sprzymierzeńcami, ale nie możecie wykluczyć, że podczas tej wyprawy przejmie statek – zauważył alfa.
- Chcę z wami podróżować jak z równymi sobie partnerami – odparł Noxon. – Chcę dać wam pełny dostęp do baz statku. Nie wiem, czy mi się na coś przydadacie, nie mając pełnego rozeznania w informacjach.
- Musicie tylko wyjaśnić, do czego my potrzebujemy was – oznajmił alfa.
- Nadal mogę zdecydować, czy zmienić ten obcy świat w dom ludzi i myszy, czy tylko w kolejną kolonię dla ludzi.
- Czyli nasze przymierze opiera się na tym, że możecie nas zabić.

– Wasze siły fizyczne są ograniczone, a możliwości umysłowe zależą od osiągnięcia masy krytycznej większej od tej, którą obecnie posiadacie.

Alfa nie odpowiedział.

– Wiem, że każda mysz oprócz ciebie to ciężarna samica. Ale ich embriony się nie rozwijają.

– To coś nie daje ci rentgenowskiego widzenia.

– Wiem, że ich hormony pachną ciążowo, ale nie słyszę bicia serca płodów i zauważyłem, że nie powiększyły się one od początku podróży. Podejrzewam, że znaleźliście sposób na otoczenie zapłodnionych komórek jajowych błoną, by nie mogły się przytwierdzić do ściany macicy. Cięża zaczną się rozwijać, dopiero kiedy tak postanowicie.

– Blisko.

Noxon zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, trafiłem w dziesiątkę. Ale zamiast jednego worka z komórką jajową jest kilka. A każdy worek wyprodukuje miot wyspecjalizowany w różnych dziedzinach. W ten sposób spłodzicie... nie wiem, speców od elektroniki? Od przenoszenia przedmiotów w czasoprzestrzeni? Szybko dojrzewających samców i samice rozplodowe?

– Wszyscy jesteśmy szybko dojrzewającymi samcami i samicami rozplodowymi – oznajmił alfa. – Ale owszem, zgadłeś.

– Co zrobiłyście podczas podróży statkiem? Zanim zbędny was wyłapał?

– Badałyśmy możliwość przeniesienia statku w trakcie lotu.

– Gdybyście zerwały więź cofającego się statku ze statkiem zmierzającym przed siebie, unicestwiłybyście nas.

– Chyba że przeniosłybyśmy statek tak, by nie pokrywał się ze statkiem pierwotnym.

– To by zabiło wszystkie żywe istoty na jego pokładzie.

– Dlatego usiłowałyśmy przenieść statek zmierzający w przód.

Noxon pokręcił głową.

– Nie jesteście głupie. To doprowadziłoby do odczynienia wszystkiego. Jak na myślące myszy jesteście dość bezmyślne.

– Bądź sprawiedliwy. Jesteśmy tylko dwadzieścia cztery. Nie zrobimy się wybitnie mądre, dopóki nie będzie nas kilkaset.

– I to kolejny powód, dla którego chcecie mieć czas na urodzenie mnóstwa młodych.

– Byłoby miło, gdybyś nie ciął czasu przez całą drogę do świata obcych.

– Nie pozwolę wam na rozród, dopóki nie dotrzemy do ich świata i nie zobaczymy, z czym mamy do czynienia.

– Moim zdaniem, zanim to się stanie, musimy osiągnąć maksymalną wydolność intelektualną.

– Nie, dopóki nie stwierdzę, czego od was chcę.

– Potrafisz podjąć taką decyzję bez porady?

Noxon zrozumiał, że alfa nim manipuluje, bo ledwie to usłyszał, ogarnął go lęk. Czuł, że ten lęk nie ustąpi, dopóki się nie zgodzi, żeby myszy dotarły do świata obcych w setkach, nie dwóch tuzinach. Ten lęk był nieracjonalny. To alfa chciał mu go narzucić.

– Interesujące – powiedział. – Nie zachowujecie się jak potencjalni sprzymierzeńcy.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – rzucił alfa, a inne myszy powtórzyły za nim jak echo:

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

– Dlaczego piszczą wszystkie naraz? – spytała Debora. – Co mówią?

– Przepraszają za ewidentną próbę wymuszenia na mnie posłuszeństwa poprzez manipulowanie moimi emocjami. Mam pewność, że zdołamy wyeliminować obcych bez pomocy myszy. Chcę je zabrać z sobą głównie dlatego, że pragnąłem, by istniały także na drugiej planecie. I żeby tą planetą nie była Ziemia. Ziemia ma być sanktuarium dla czystego, niezmodyfikowanego gatunku ludzkiego. Myszy dostały dwie murchie na Arkadii i wygląda, że na tym koniec.

– Nie udawaj, że nasze dobro leży ci na sercu – odezwał się alfa.

– Wiesz, że nie udaję – odparł Noxon. – Ale na mojej liście wasze dobro znajduje się daleko za dobrem całego gatunku ludzkiego – włączywszy w to waszą małą podgrupę. Co mi przyjdzie z uratowania ludzkości przed obcymi, skoro wy i tak ją unicestwicie?

– Nie jesteśmy niszczycielami – oznajmił alfa – tylko budowniczymi i twórcami.

– Jesteście ludźmi. Wypowiadacie wojnę i eliminujecie wszystkich, których uznacie za zagrożenie.

– Ty jesteś zagrożeniem.

– I już obmyśliłyście sześć sposobów, żeby mnie zabić.

– Tylko dwa z realną szansą powodzenia.

– A może zrezygnujemy z zabijania się nawzajem. Udajmy się do świata obcych i znajdziemy sposób, by zmienić go w schronienie dla ludzi i myszy.

Debora wydała zdławiony odgłos. Noxon odwrócił się do niej.

– Chcesz unicestwić cały gatunek obcych? – spytała.

– To zależy, jak definiujesz unicestwienie. Gdyby na przykład podróżnicy w czasie przenieśli się do epoki, kiedy istniały tylko pitekantropy, i zapobiegliby ich ewolucji w *Homo sapiens*, czy nazwałabyś to unicestwieniem całego gatunku ludzkiego?

– Fascynująca perspektywa – odezwał się Wheaton. – Gdyby jeszcze ten eksperyment tak nie przerażał...

– Ojczy – rzuciła Debora – to nie jest fascynująca perspektywa. To rzeź!

– Rzeź to to, co oni zrobili nam – odparł Noxon. – My zamierzamy zastosować prewencyjne środki dyplomatyczne. Chyba że nie poskutkują. W takim wypadku owszem, dojdzie do ksenocydu, unicestwienia całego gatunku, i to bez żalu i wyrzutów sumienia. Bo gdy gra toczy się o przetrwanie nas lub ich, wybieram nas.

– Z punktu widzenia genetyki to jedyny racjonalny wybór – przyznał Wheaton.

– A jeśli nam się nie uda – stwierdził Noxon – i ocaleją tylko oni, wtedy będzie można mówić o przetrwaniu najsilniejszych, tak?

Debora odwróciła głowę.

– To oni postanowili nie dać nam szansy przeżycia – dodał Noxon. – Ja chcę się zachować lepiej. Ale nie sądzę, żebym stał się lepszy, pozostawiając im szansę zabicia mnie. Wtedy stanę się tylko martwy.

– Masz absolutną rację – oznajmił Wheaton. – A czy nie moglibyśmy porwać plemienia pitekantropów i przywieźć ich z sobą?

– Kuszące... ale jeśli porwiemy to samo plemię, z którego wyewoluujemy my? Albo neandertalczyki?

– No, skoro widzisz ścieżki... Na pewno możesz to sprawdzić.

– Nie starczy mi życia, żeby prześledzić ścieżkę każdego potomka pitekantropa w ciągu miliona lat.

– Ach... Ach, tak. Rozumiem. No tak, to budzące szacunek liczby.

– Poza tym już wiemy, jak wyewoluują pitekantropy. Rozprzestrzenia się na całą planetę, tworząc co najmniej trzy gatunki, które będą się do pewnego stopnia krzyżować, aż pojawi się *Homo sapiens* taki, jakim go znamy dzisiaj. Oni przeszli ewolucję. Tak jak i obcy.

– Skąd pewność, że jesteśmy od nich lepsi? – spytała Debora.

– Może tworzą piękną muzykę – odparł Noxon. – Może ich obrazy nie mają sobie równych. Ale nie dali nam szansy, żeby ich podziwiać. Nawet jeżeli nie jesteśmy tak dobrzy, zdolni, inteligentni i wybitni, jak ci Niszczyciele, jeśli mogą im skopać tyłki, to je skopię.

– Dokładnie tak widzisz nas – odezwał się alfa.

– Wy już udowodniłyście, że nie interesuje was dotrzymanie słowa i współpraca ze mną.

– Co? – zdziwiła się Debora.

– Znowu rozmawia z myszami – wyjaśnił Ram Odyn. – To słyhać w tonie jego głosu. Kiedy zaczyna mówić jak do głupiego dziecka, to zwraca się do nas.

Noxon nie dał się sprowokować.

– Nie mogę podjąć ostatecznej decyzji, dopóki nie dotrzemy do świata obcych. Teraz zbliżymy się do niego na jakieś sto tysięcy lat przed tym, jak nas „odkryją”. Może ich technologia będzie już wtedy o wiele bardziej zaawansowana niż nasza. Jeśli tak, mam nadzieję, że zdążę cofnąć nasz statek w czasie, zanim zaczną nam zagrażać. Możecie mi pomóc, sprawdzając, czy obcy włamują się do komputerów pokładowych. Zbędny nie może tego zrobić, bo stanowi część tego systemu.

– Mogłybyśmy to zrobić – powiedział alfa.

– Ale jeśli pozwolę wam na swobodny dostęp do komputerów, mogłybyście zabić naszych kolonistów. Mogłybyście odciąć podtrzymywanie życia.

- Skończy nam się tlen i umrzemy, zanim wam zakręci się w głowie – odparł alfa.
 - To znaczy, że już znalazłyście sposób rozwiązania tego problemu.
 - No cóż. Ale nie wiemy, czy któryś z tych planów zadziała.
 - To znaczy, że macie stuprocentową pewność, iż zadziała. Oto, co wam proponuję. Gdy dotrzemy tak daleko w przeszłość, że nasza technologia będzie bardziej zaawansowana, wtedy podejmę decyzję – ja, nie komitet – czy założyć na planecie obcych ludzką kolonię. To będzie zależeć częściowo od tego, na ile proteiny miejscowej roślinności będą przyswajalne dla naszych organizmów, a częściowo od tego, czy dostrzeżemy cień możliwości, że obcy mogą wyewoluować w społeczeństwo zdolne do uszanowania naszego gatunku.
 - My was szanujemy – odezwał się alfa.
 - Dla was jesteśmy zabawkami, które można rozłożyć na części i znowu złożyć – odparł Noxon. – Ja jestem żywym tego dowodem.
 - Twoja twarżomaska nie była naszym pomysłem – zaprotestował alfa.
 - Skoro tak mówisz, to nabieram pewności, że była.
 - Nie, naprawdę. To wszystko Vadesh. No i Ram Odyn. Wszystko jest w dzienniku pokładowym.
 - Który możecie napisać na nowo, jeśli wam się spodoba.
 - Tylko czasami. I nie robimy tego, bo liczymy na to, że z dziennika pokładowego dowiemy się, co się wydarzyło w anulowanych strumieniach czasu. Pewne rzeczy muszą pozostać święte.
 - Oto moja propozycja – powiedział Noxon. – Chodzi o przetrwanie obu naszych gatunków. Jeśli nie zatrzymamy obcych, unicestwią nas i was. Gdy dotrzemy do ich świata, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby powstrzymać ich przed inwazją i uśmierceniem nas. Nie będę ryzykować, że pozbawią mnie zdolności zabicia ich. To znaczy, że nie zamierzam negocjować z cywilizacją, która wysłała najeźdźców z rozkazem starcia nas z powierzchni planety. Ta cywilizacja jest już martwa, koniec, kropka. Nie zostawię nawet najdrobniejszej szansy na to, że zaistnieje.
 - Bardzo mądry wybór – pochwalił alfa.
 - Rozumiesz, że tak samo mogę postąpić z wami. Mogę wrócić na Arkadię, cofnąć się w czasie i zapobiec waszemu powstaniu.
 - Zbędni nigdy ci na to nie pozwolą.
 - Wystarczy, że pokażę im dzienniki pokładowe, które dowiodą, jak bardzo nie można wam wierzyć i z jaką łatwością nimi manipulujecie, a zbędni udzielą mi pełnego poparcia. Wiesz, że tak jest.
- Dał myszom kilka sekund na przemyślenie sprawy.
- Istnieje parę rzeczy, których nie wiemy i nie możemy się dowiedzieć, dopóki nie dotrzemy na miejsce. Nie wiemy, czy nasz statek przeskoczy zagięcie w dwudziestu kopiach. Jeśli tak, zyskamy dwadzieścia możliwości na założenie kolonii mającej

szanse przetrwania w ich świecie, podzielonym na murchie tak jak na Arkadii.

– Dziewiętnaście – odezwał się Ram Odyn. – Myślałem, że było ich dziewiętnaście.

– W każdym statku będą się znajdowali Ram Odyn i Noxon – przypomniał mu Noxon – oraz dwa tuziny myszy. Jeśli zatem pojawi się też statek zmierzający wstecz, to będę umiał go zawrócić, a myszy sprawdzą, czy mogą odłączyć go od pierwotnego, zmierzającego w przód statku tak, żeby nie musiał on wrócić aż na Ziemię.

– To ma sens – powiedział Ram Odyn.

– Chyba dla wariata – mruknął Wheaton.

– Może zdołamy zachować miejscową biotę w większym stopniu niż na Arkadii – podjął Noxon. – Może zdołamy też ochronić przodków tych potworów i pomóc im w przyjęciu takiego kierunku ewolucji, by nie stali się tak niebezpieczni. Wiemy, że komputery pokładowe można przeprogramować tak, by zapobiegały rozwojowi zaawansowanej technologii, ponieważ tak zrobiono na Arkadii.

– Albo można też unicestwić wszystkie miejscowe formy życia i stworzyć nową Ziemię – dodał alfa.

– Niezależnie od tego, czy będziemy mieć dziewiętnaście, czy dwadzieścia statków, możemy stworzyć dowolną liczbę generatorów pola muru, a także zbędnych, którzy będą o nie dbać, prawda?

– Tak – powiedziała mysz.

– Tak – potwierdził Ram Odyn. – Bardzo interesujące. Murchie bez względu na wszystko.

– Proponuję więc, co następuje: wszystkie murchie będą miały to samo ograniczenie rozwoju technologii co na Arkadii. W każdej znajdzie się jeden lub dwóch zbędnych. Ale stworzymy tak wiele światów, że pomieści się w nich nie tylko kilka – lub dwadzieścia – ludzkich kolonii, lecz również ze dwie, których jedynymi mieszkańcami będą rozumne myszy.

– Co za hojność – odezwał się alfa.

– Ironia to nadal kłamstwo – zauważył Noxon. – Wysłuchajcie mnie. Będziemy mieli także kilka ludzkich kolonii, w których ludzie będą mieszkać z myszami. Żeby sprawdzić, co się wydarzy. Czy możemy razem rosnąć i się rozwijać, współpracując, a przynajmniej nie zabijając się nawzajem.

– Mało prawdopodobne – oznajmił alfa.

– Dlaczego? – spytał Ram Odyn.

– Moim zdaniem bardzo prawdopodobne – odparł Noxon. – Zwłaszcza że komputery pokładowe zostaną zaprogramowane w taki sposób, by unicestwić każdą murchię, w której ludzie lub myszy spróbują zgładzić drugi gatunek.

– Może zdołamy się skrzyżować – powiedział alfa.

– Oby nie – mruknął Noxon. – Będziemy mieć także dwie lub trzy murchie, w których pozwolimy obcym na rozwój ewolucyjny, ale również z ograniczeniem postępu

technicznego. Przynajmniej w jednej z nich będą myszy.

– We wszystkich murchiach obcych powinny przebywać myszy – rzucił alfa.

– Będą w nich zbędni. Jeśli to możliwe, przeprojektowani tak, żeby ich przypominali.

Jeśli nie, ci sami, których mamy. Wszyscy będą pod nadzorem.

– I na tym polega twój plan? – spytał alfa. – Sam go wymyśliłeś?

– To oczywisty sposób postępowania. Każdy dostanie dom.

– Rezerwat.

– Niezależne miejsce rozwoju.

– Ograniczonego rozwoju.

– Właściwie nie. Bo nadal będziecie miały te zdolności, co teraz: przesuwanie przedmiotów i manipulowanie rzeczami tak małymi jak geny w czasie i przestrzeni.

– Potrafią to zrobić? – spytała Debora.

– Są bardzo utalentowane – zapewnił ją Ram Odyn.

– To znaczy, że wszyscy są zdani na ich łaskę i niełaskę – zrozumiał Wheaton.

– Dlatego zawieramy ten układ teraz, gdy nadal jest ich tylko dwadzieścia – wyjaśnił Noxon.

– Przecież nas okłamią – powiedział Ram Odyn.

– Nie sądzę – odparł Noxon. – Bo widzą, że to najlepsza długoterminowa ochrona ich i naszych potomków.

– Dlaczego? – spytał Ram. – Jak? Nasz postęp będzie blokowany, a one mają niewidzialną technologię, już teraz prześcigającą wszystko, co możemy osiągnąć.

– Bo każdą ludzką kolonię założy jeden Ram Odyn i jeden Noxon – powiedział Noxon. – A to znaczy, że będziemy mieć możliwość cofnięcia się w czasie i odczynienia wszystkich kłopotów, jakich narobią myszy. A może nawet cofniemy umieszczenie myszy w koloniach. Bo oto kolejny warunek umowy: w czasie zakładania kolonii myszy pogrążą się w letargu, z którego nie wyjdą przez co najmniej trzysta lat. A wypuszczenie myszy do każdej murcii, w której mają prawo przebywać, nastąpi publicznie i w okolicznościach, które ułatwią przyszłym chronomantom powrót w te czasy, żeby temu zapobiec.

– To nie jest idealne zabezpieczenie – zaczął Wheaton. – Przychodzi mi do głowy...

– Mysiom też – przerwał mu Noxon. – Ale cokolwiek przyjdzie im do głowy, pewnie uda nam się znaleźć sposób, żeby to cofnąć. Jeśli oczywiście postanowimy poświęcić przyszłość na głupie rywalizowanie z sobą. Ale może tak nie zrobimy. Może myszy przekonają się, że dotrzymanie słowa opłaca się lepiej niż wojna z ludźmi potrafiącymi manipulować czasem.

– Ja już to rozumiem – powiedział alfa. – I rozumieją to wszyscy moi potomkowie.

– Dobra, dobra – rzucił Noxon. – Twoich jąder nie widać, bo zostałeś wykastrowany. Nie będziesz mieć żadnych potomków.

– Nie ja osobiście. Myślę o wszystkich nienarodzonych maleństwach jak o własnych

dzieciach.

– A zatem, ojciec narodu, odpowiedz: czy przyjmiesz ten plan i zastosujesz się do wszystkich decyzji, jakie podejmę, gdy dotrzemy do świata obcych?

– Przyjmuję plan i obiecuję, że zastosuję się do twoich decyzji – przyrzekł alfa.

– Po czym można poznać, że już nie postanowiłeś złamać danego słowa i przejąć panowania nad światem, statkiem i wszystkim? – spytał Noxon.

– Nie można. Ale nie kłamię. A wy się o tym przekonacie, bo nie będę się już buntować przy każdej sposobności.

– Czyli zawieramy przymierze?

– Mamy tylko jeden warunek.

– Jaki?

– Zabierzecie przynajmniej jedną z nas w przyszłość i pozwolicie jej się połączyć z waszym systemem komputerowym, gdy przejmą go obcy. Chcemy się zorientować, do czego są zdolni.

– Nie – powiedział Noxon.

– Serio? Dlaczego? Wiedza jest ważna.

– Wiedza to władza. Od tysięcy pokoleń usiłowałeś się włamać do komputerów statków kontrolujących Arkadię, by je przeprogramować tak, abyście mogli przechodzić przez Mur i rozwijać się technologicznie. I ponosiłyście klęskę. Ale ci obcy wtargnęli do naszych komputerów, przejęli je i wykorzystali, by nas unicestwić. A wy chcecie się przekonać, jak to się robi.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Naprawdę tego nie zamierzałem – powiedział alfa. – Gdybym zamierzał, toby znaczyło, że już teraz działam w złej wierze i pogwałciłem nasze przymierze. Ale ja nie miałem złych zamiarów. Naprawdę muszę zrozumieć, jak wielkie są ich możliwości. Będziemy o wiele bezpieczniejsze, jeśli zbliżając się do ich planety, będę wiedział, jak stawiać im opór i nie pozwolić, by przejęli nasz statek na odległość.

Noxon zastanawiał się przez chwilę. W końcu zwrócił się do Rama Odyna:

– Chyba prześlę jedną z nich w przyszłość, żeby obserwowała inwazję obcych, podłączona do sieci komunikacyjnej.

– Sądziłem, że twój argument przeciwko temu był doskonały – zdziwił się Ram Odyn.

– Wręcz bez zarzutu.

– Bo był.

– Więc dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Bo dały słowo – co zrobiłyby, gdyby mówiły prawdę... albo kłamały.

– Czyli nadal nie wiesz.

– Czasem trzeba zaryzykować. Zaufać.

– A jeśli zaufanie im to błąd?

– W ich interesie leży utrzymanie tego przymierza przynajmniej dopóty, dopóki nie

dotrzemy do świata obcych. I dopóki nie usuniemy zagrożenia. A potem... no, zobaczymy.

– I już? Zobaczymy?

– Wszystkie przymierza mają taką postać. Współpracujemy dopóty, dopóki ma to sens, a potem sprawdzamy, jak zachowa się druga strona, gdy straci pewną motywację do wspólnego działania.

– Bardzo mądrze – powiedział Wheaton.

– Pora zabrać stąd te myszy – zdecydował Noxon. – Chodźcie, wskakujcie na mnie. Myszy – dodał szybko. – Mówiłem do myszy.

Myszy wbiegły na niego i ukryły się w jego ubraniu. Maską nie przegapiła żadnej.

– Nie będziesz tego żałować – odezwał się alfa.

– To dobrze – mruknął Noxon, już żałując, choć wiedział, że nie ma lepszego sposobu. – A teraz pozostałych proszę o wzięcie mnie za rękę. Po raz ostatni skaczemy w przyszłość. Zdaje się, że nieopodal mamy samochód, którym wrócimy do cywilizacji.

Decyzja w sprawie myszy należała wyłącznie do Noxona, a ponieważ Debora i antropolog Wheaton nie mieli już znaczenia dla dalszego rozwoju wypadków, oddano im prawo decydowania o własnej przyszłości.

– Nie ma dla was miejsca na Ziemi – powiedział Noxon. – Już istnieje na niej widząca dziewczyna z twoimi liniami papilarnymi, Debora, i uroczy filolog, który całkiem nieźle dba o utrzymanie przy życiu ginącej dyscypliny i nie musi współzawodniczyć z doktorem Wheatonem.

– Zwłaszcza że nie zachowały się dowody moich stopni naukowych i publikacji – dodał Wheaton. – To raczej uniemożliwia mi wywieranie wpływu na to, co uchodzi za myślenie wśród tego żalosnego stadka antropologów.

– Mogę zaproponować wam obojgu wybór nieprawdopodobnej przyszłości. Możecie udać się w podróż do świata obcych i wziąć udział w dyskusjach, choć nie w decyzjach na temat tego, jak zapobiegniemy zagładzie Ziemi. Możecie też udać się na Arkadię, do mojej ojczyzny, gdzie zapewnię wam dostęp do pełnego zakresu badań o...

– Dla mnie nie ma żadnego wyboru – przerwała mu Debora – oprócz świata, w którym dostanę nowe oczy.

– Rozumiesz, że możesz nie opanować maski? Nie zależy to od tak zwanej siły woli. Zdarzało się, że klęskę ponosili tu nawet najsilniejsi znani mi ludzie. Kiepsko na tym wyjdiesz, jeśli dostaniesz oczy, ale przestaniesz być sobą.

– Wtedy cofniesz się w czasie i nie dopuścisz do tego – powiedziała Debora.

– Ale znajdziesz się w świecie bez wymiennych baterii i gniazdek z prądem.

– To baterie słoneczne. Nie jesteśmy neandertalczykami – odparła, mrugając do Wheatona, żeby nie oburzył się na ten żart.

– Są słoneczne, ale nie niezniszczalne. Arkadia to nie jest planeta dla niewidomych ludzi.

– Zabiorę zapasowe.

– Przecież będziemy mieć dostęp do technologii naszych czasów – dodał Wheaton. – Każdy statek może stworzyć replikę jej okularów.

– O tym nie pomyślałem – przyznał Noxon.

Debora uniosła rękę.

– Ale muszę powiedzieć coś innego. Ja wybieram Arkadię, ale to nie znaczy, że musisz mi towarzyszyć, ojcze. Szansa na poznanie ewolucji dwóch obcych gatunków? Myślę, że nie tylko zachwyci cię ta podróż, ale będziesz mógł służyć Noxonowi swoją wiedzą.

– Jaką wiedzą? – spytał Wheaton. – Znam pitekantropy i inne hominidy, ale nic więcej.

– Umiesz rozpoznawać schematy ewolucyjne. Wiesz, jak działa selekcja naturalna, jak różne społeczności dbają o przetrwanie tych, a nie innych cech. A na tej ścieżce nie było innych naukowców oprócz ciebie.

– Czyżbym wyczuwał chęć pozbycia się starca? – spytał Wheaton ze śmiechem.

– Czyżbym wyczuwała ledwie zamaskowaną prośbę o zgodę? – zrewanżowała się Debora. – Wiesz, że cię kocham, i chciałabym myśleć, że twoja praca nie byłaby możliwa, gdybym ci nie pomagała. Ale to nieprawda. Poza tym statek może wyprodukować nowego zbędnego, który będzie robił notatki i doglądał twoich spraw dokładniej i skuteczniej ode mnie.

– No tak, pewnie potrafię pracować bez ciebie – powiedział Wheaton, ale spochmurniał, jakby ukrywał przykrość.

– Jeden świat daje mi oczy – podjęła Debora – drugi daje ci szansę pionierskiej pracy. Jeśli Noxonowi i Ramowi uda się zmienić przyszłość tego świata, jako jedyny naukowiec będziesz mógł obserwować społeczeństwo obcych takie, jakie było przed interwencją człowieka.

– Za wiele się nie naobserwujemy – powiedział Noxon. – Zwłaszcza jeśli dotrzemy tam w czasach, gdy już nas wyprzedzili technologicznie. Wtedy natychmiast pryśniemy.

– Przekonałem się, że odważni martwi badacze nie wnoszą aż tyle do nauki co ci rozważni i żywi – dodał Wheaton. – Będę obserwować to, na co starczy nam czasu.

– Możesz tam polecieć.

– Wszystko mi jedno. Ale... dziewiętnaście światów... Gatunek wodnych ludzi! Każda z tych planet ma dla mnie swój urok.

Debora nie odpowiedziała, choć Noxon i Wheaton patrzyli na nią wyczekująco.

– Wiecie, że ja też mam wybór – odezwał się Noxon. – Teraz istnieją w dwóch kopiach: tej, która przetrwała wybuch nuklearny, ale zdołała się uleczyć, i tej, która nie była jego świadkiem.

– Którą jesteś? – spytała Debora.

– Tą, która została ostrzeżona i uratowana przed wybuchem. Ale dogadałem się z moim bliźniakiem. To właściwie dość proste. Istnieje pewne ryzyko, że jego komórki rozrodcze – niektóre lub wszystkie – ucierpiały. Twarzomaska leczy uszkodzenia, które potrafi wykryć, ale plemniki mogą być ruchliwe, mimo to bezpłodne, albo płodne, ale zmutowane.

– Auć.

– Natomiast moje są nieuszkodzone. Choć ryzyko mutacji czy deformacji nadal istnieje – każda komórka płciowa może mieć defekt. Ale...

– Czyli pan, panie Zdrowy Plemnik, uda się tam, gdzie najbardziej potrzebują twojego nasienia – parsknęła Debora.

– Nie całkiem. Istnieje szansa, że obaj będziemy mieli potomstwo. Ale chcemy zainwestować moje większe szanse w pewien szczególny sposób.

– Nie wiem, dlaczego o tym rozmawiamy – odezwał się Wheaton.

– Przepraszam, ale poruszam temat ewentualnego małżeństwa z pańską córką – wyjaśnił Noxon. – I tłumaczę, dlaczego ja i mój bliźniak postanowiliśmy, że udam się tam, gdzie ona. Nie dlatego, że czegoś się spodziewamy albo żądamy. Obaj jesteśmy zauroczeni pańską córką. Wręcz bardzo w niej zakochani. Gdyby więc kiedyś miała odwzajemnić...

– Przejście przez Mur najwyraźniej utrudniło ci komunikację we wszystkich językach – mruknął Wheaton.

– Chcemy jej zapewnić najlepszą szansę stworzenia rodziny ze zdrowymi, niezmutowanymi dziećmi.

– Pomijając ten drobiazg, że jesteś chronomantą – zauważył Wheaton.

– Nie wiemy, czy to plus – odparł Noxon. – Wiemy tylko, że podczas gdy tropicielstwo pojawiło się we wczesnym wieku, chronomancja przysła o wiele później. Nie sądzę, żeby dziecko znikło podczas karmienia i pojawiło się w innym czasie.

– Patrzysz na moje piersi i myślisz o przyssanym do nich dziecku? – spytała Debora.

Noxon spojrział na nią spokojnie, starając się ukryć konsternację.

– Zapewniam, że pod wieloma względami jestem normalnym samcem gatunku ludzkiego, ale samcem ustępliwym, pantoflarzem, jak powiedziałby profesor, więc obce mi jest założenie samca alfa, że każda kobieta odda wszystko za zbliżenie ze mną.

– Tylko po to, żeby urodzić twoje dziecko.

– Albo w nadziei, że dziecko, które urodzi, będzie zdrowe i nieszczególnie dziwne.

– A jeśli twój bliźniak spodoba mi się bardziej? – spytała Debora. – Odebranie mi prawa decyzji jest dość bezczelne.

– Jesteśmy całkowicie pewni, że na tym etapie nie dostrzeżesz między nami różnicy. I że nasze uczucia do ciebie są identyczne, ponieważ byliśmy zakochani, zanim się

powieliliśmy.

– Właściwie kiedy ta obezwładniająca namiętność cię... obezwładniła? – zainteresowała się Debora.

– Zdałem sobie z niej sprawę, gdy tak niefortunnie dałaś się zabić pitekantropowi.

– Niezdara ze mnie.

– Nie zastosowałaś się do instrukcji. Rozsądek podpowiadał mi, że powinienem rozważyć, czy nie lepiej nie reagować na ten niefortunny wypadek. Ale nie rozważyłem. Mało mnie obchodziło, co jeszcze się wydarzy. Nawet gdyby miało to utrudnić uratowanie Arkadii, zamierzałem cofnąć twoją śmierć.

– Bardzo to uprzejme z twojej strony – powiedziała Debora.

– Wyobraziłem sobie życie bez ciebie i doszedłem do wniosku, że bym go nie zniósł.

– A ponieważ jeden z was udaje się na Arkadię, a drugi na planetę Piekło, czy jak ją tam nazywamy, któryś będzie musiał żyć beze mnie.

– Tak. Dlatego postanowiliśmy, kierując się rozsądkiem, że zaproponujemy ci nas w najlepszej formie. W mojej formie. A ten drugi będzie wiódł tragiczne, pozbawione sensu życie bez ciebie.

– To ironia.

– Szczerze. Mój bliźniak jest zdruzgotany. Ale to on upierał się, żebyśmy podjęli tę decyzję – racjonalną decyzję – a nie ciągnęli losy albo też zmuszali cię do wyboru, co byłoby okrutne i arbitralne.

– Który z was częściej pierdzi przez sen? – spytała.

– Pamiętaj, że to ty wprowadziłaś do rozmowy temat nocnych gazów.

– Miałem kiedyś ten problem – odezwał się Wheaton. – Próbowałem zastosować dietę pitekantropów, gdy żywiłem niefortunne i nietrafne przekonania na temat tego, co jedli. Debora mogła nabrać niesłusznego przekonania, że unikanie gazów stanowi ważny krok na drodze do szczęścia. Trwało to tylko kilka tygodni, ale...

– Trwało to prawie rok, pomimo moich błagań – ucięła Debora. – Noxonie, jestem wzruszona, pewnie to wiesz, ale...

– Deboro Wheaton – odparł Noxon. – Nie proszę cię o rękę. Na razie. Wiem, że teraz nie możesz zdecydować. Mówię tylko, że nasza decyzja zależy od twojej decyzji. Chyba że masz pewność, iż człowiek w takiej masce...

– Jak mówiłam, zanim mi przerwałeś – i proszę, nie cofaj się w czasie i nie powstrzymuj się przed tym, bo mógłbyś stworzyć jeszcze trzeciego Noxona i musiałabym wybierać między niegrzecznym przerywaczem i jeszcze bardziej niegrzecznym poprawiaczem przerywacza...

– Do rzeczy – ponaglił Wheaton.

– Nadal zastanawiam się, czy Kocham Ciebie, czy te zadziwiające rzeczy, które potrafisz robić. Siła pociąga samice gatunku ludzkiego. To prosty fakt. Dlatego moje uczucia do Ciebie są podejrzane, ponieważ rozkwitły natychmiast po tym, jak

dowiedziałam się o twojej zdolności do znikania i pojawiania się oraz cofania się w czasie.

– A to, że uratowałem ci życie, pomogło czy zaszkodziło?

– Skomplikowało sytuację, oczywiście. Teraz muszę się zorientować, na ile zakochanie w tobie wynika z wdzięczności i ile w nim dziewczęcego zauroczenia samcem alfa, a ile zachwytu twoją dziwną osobowością i perspektywą urodzenia twoich dzieci.

– Zmagaj się z tym problemem, ile chcesz. Mnie odpowiada każdy powód twojej miłości.

– Zgódź się w końcu i niech już będzie z tym koniec – zniecierpliwił się Wheaton. – Od samego początku widzę, że jesteście dla siebie stworzeni.

– Jestem przyzwyczajona do towarzystwa geniusza – powiedziała Debora. – Co prawda takiego, który nie cierpi sprzeciwu...

– Ja też nie cierpię, kiedy mi się sprzeciwiają – zapewnił Noxon. – Nie czuję najmniejszego cierpienia.

– W tym przypadku „nie cierpieć” nie oznacza... – zaczął Wheaton.

Debora powstrzymała go pocałunkiem w policzek.

– On z całą pewnością żartuje, ojcze.

– I po co mnie całujesz? – warknął Wheaton. – Jego całuj. On tego potrzebuje.

– Teraz pomyśli, że go całuję, bo mi kazałeś, a nie dlatego że nie potrafię się powstrzymać.

Słyszając to, Noxon poderwał się z krzesła, chwycił ją w ramiona i pocałował, nie zważając na jej motywy. Odpowiedziała z takim entuzjazmem, jaki wypadało im okazać w obecności ojca. To znaczyło, że po kilku powtórkach na osobności manewr ten miał szansę udać się o wiele lepiej.

Rozdział 28

TWARZĄ W TWARZ

Param uparła się zobaczyć pole bitwy natychmiast, gdy zwycięstwo stało się faktem.

– Muszą mnie tam zobaczyć – argumentowała, zwracając się do Oliwienki. – Nie grozi mi niebezpieczeństwo, ale żołnierze muszą mnie zobaczyć wśród rannych i zabitych.

Odetchnęła, gdy Rigg i Bochen poparli ją, zanim Oliwienko zdążył odpowiedzieć.

– To za nią walczyli – powiedział Rigg.

– Pokochają ją za to – dodał Bochen.

Oliwienko mógł się tylko uśmiechnąć.

– Oddaję cześć Królowej w Namiocie za jej odwagę i wielkoduszność. Nigdy nie doradziłbym, by postępowała wbrew swoim szlachebnym instynktom.

– Oliwienko, ależ ty ściemniasz – westchnęła Param.

– Każde moje słowo płynie z serca – oznajmił Oliwienko, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Teraz, otoczona tymi widokami i woniami, żałowała swojej szlachetności i tego, że ktoś jej tego nie wyperswadował. Widok zwłok przypominał jej, iż był to czyjś syn, który miał nadzieje i pragnienia. Nawet jeśli jego jedyną radością było picie i swawolenie, już tego nie zazna.

– Widzę, że trudno ci znieść ten odór – powiedział Bochen cicho. – Ale zapewniam cię, dziś trupy są jeszcze świeże i nie zaczęły się rozkładać. Jutro usilnie odradzałbym ci wizytę na polu bitwy. Zwymiotowałabyś, a tego ludzie nie chcą widzieć.

Param starała się nie myśleć o wymiotowaniu, ponieważ – tak jak to jest z ziewaniem – sama myśl o nim mogła je wywołać. Ale zrozumiała, co chciał osiągnąć Bochen, i przestała wyobrażać sobie zmarłych jako żywych ludzi. Spoglądała na nich, ale nie pozwalała, by obrazy dotarły do mózgu. Nie przyszła tutaj, by poznać wszystkie pozy, w jakich może zastygnąć ciało osiągnięte przez nagłą śmierć. Przyszła, by zobaczyć, jak troszczy się o poległych. Dlatego przybrała stosowny wyraz współczucia i ledwie hamowanego smutku i pozwoliła zaprowadzić się tam, gdzie zebrało się najwięcej gapiów, pragnących ujrzeć, jak Królowa w Namiocie kocha swoich żołnierzy.

A gdy w szczególnie cuchnącym miejscu żołądek jej się skręcił, z premedytacją

wybuchnęła płaczem, by odprowadzono ją na świeższe powietrze. W ten sposób uniknęła wymiotowania i okrycia się hańbą. Wymioty nie budziły współczucia – mdłości i szlachetność nie idą w parze. Ale łzy doskonale pasowały do współczucia i uduchowienia, zwłaszcza że była kobietą. Zauważyła, że Umbo idzie za nią krok w krok, lecz nie płacze. Nie wiedziała, czy to dlatego, że znał już gorsze widoki i odory, czy też był bardziej obojętny, a może po prostu silniejszy od niej. Pewnie wszystko to naraz.

Dlatego emisariusz wojsk matki zastał ją na polu bitwy. Param go nie znała, ale to jej nie dziwiło. W domu Flacommo widziała tylko pochlebców, i to przeważnie tych, którzy opowiedzieli się za Ludową Radą Rewolucyjną. Żaden z nich nie trafiłby do armii generała Haddamandera.

– Hagia Sessaminiak nie widzi powodu, by kontynuować tę wojnę – oznajmił poseł.
– Jest gotowa uznać swoją córkę, Param Sessamin, za Królową w Namiocie Światła, a jej męża Umba za Sissamika.

Tytuły się zgadzały: Sissamik oznaczał małżonka panującej królowej, Sessaminiak – była królową, słusznie zdetronizowaną. Zdetronizowaną, nie dobrowolnie abdykującą, bo wtedy przysługiwałoby jej miano Sessaminissy, a abdykację można by unieważnić. Matka dawała do zrozumienia, że jest gotowa pogodzić się z tym, że została obalona i nigdy więcej nie powróci na tron.

– Z pewnością matka ma swoje warunki – powiedziała Param do posła.

Zauważyła, że jej ludzie nie okazują najmniejszej obawy, iż powie coś niewłaściwego albo zgodzi się na zbyt wielkie ustępstwo czy, jeszcze gorzej, niepotrzebnie przedłuży wojnę, kierując się dumą.

– Hagia Sessaminiak pragnie się spotkać ze swoimi dziećmi twarzą w twarz, by formalnie się poddać – oznajmił poseł. – Chętnie przyjmie też twoją decyzję co do tego, czy jej małżonek, Haddamander Obywatel, powinien jej towarzyszyć.

– Takie spotkanie nie będzie miłe dla nikogo, ale rozsądek nakazuje, by rytuał kapitulacji odbył się publicznie i by matka dokonała go osobiście – powiedziała Param. – Pochwalam jej odwagę i wspaniałomyślność wobec nas. Niech czas i miejsce wybierze generał Oliwienko lub ktoś, kogo on wyznaczy. Zjawię się w nim, podobnie jak mój brat. Teraz musicie mi wybaczyć. Odwiedzam rannych i nie mogę dłużej zwlekać.

Po tych słowach odeszła, zostawiając Oliwienke organizację spotkania.

Podczas wieczornego zebrania rady wojennej to ona poruszyła oczywisty problem.

– To pułapka – powiedziała. – Domyślam się próby zabójstwa, choć muszą wiedzieć, że to niewykonalne.

– Wcale nie jest to niewykonalne – odparł Oliwienko – i możesz być pewna, że od dawna łamali sobie nad tym głowy i w końcu obmyślili niezawodny plan.

– Nie są głupi – przyznała Param – więc może im się udać. Dlatego zanim Rigg i ja

udamy się na spotkanie, mianujemy publicznie Umba Sissaminkeszem, dziedzicem Namiotu Światła, na wypadek śmierci mojej i Rigga.

Umbo parsknął niewesołym śmiechem.

– Jeśli umrzecie, mogę się tytułować nawet Niebiańskim Pierścieniem, i tak nikt mnie nie uzna za króla.

– Oni nie zginą – oznajmił Kwadrat. – Moje Maski i ja nigdy na to nie pozwolimy.

– Ciebie ani Masek tam nie będzie – odparła Param. – Będziemy tylko Rigg i ja oraz kilku świadków. Nie będzie walk.

– Ale jeśli to próba zabójstwa!... – krzyknął Kwadrat.

– Tak, to próba zabójstwa – powiedziała Param.

– Albo porwania – dodał Rigg.

– Ale ja i Rigg możemy się wykaraskać z każdych kłopotów. Każdy oprócz nich to tylko przeszkoda, potencjalny zakładnik, którego mogliby wziąć, żeby zmusić nas do posłuszeństwa.

– Nikt nie oprze się żołnierzom z maskami – zaprotestował Kwadrat.

– Na razie masz rację – powiedział Bochen. – Ale wyobraźmy sobie, że walczyliście i zwyciężyliście. Wtedy wszyscy powiedzą, że kapitan Ropuch i jego Maski zerwali rozejm i zasiekli ludzi Hagii.

– Będą świadkowie!

– Ich świadkowie powiedzą wszystko, co będą musieli – odparł Bochen. – A ich zwolennicy uwierzą w każde kłamstwo.

– Dość już zabijania – oznajmiła Param. – Będą usiłowali nas zamordować i poniosą klęskę.

– Albo nie – odezwał się Rigg. – Tak czy siak, to oni złamią słowo, nie my.

– Lekko mówisz o śmierci – zauważył Bochen – bo nigdy jej nie zaznałeś.

– Ani ty – odciął się Rigg.

– Ale ja częściej ją widywałem i nigdy nie zauważyłem, żeby któryś z moich kompanów cieszył się z jej nadejścia. Albo któryś z wrogów. Od początku mieli przed nią opory i musieliśmy się bardzo wysilić, żeby zmienili zdanie.

– Nie umrzemy – powtórzyła Param.

– Każdy kiedyś umrze – burknął Bochen. – Ale to prawda, że żaden ochroniarz nie zapewni wam bezpieczeństwa. Możemy ulokować Umba w miejscu, o którym wy będziecie wiedzieć, a oni nie. Dobrze, Umbo? Znajdziesz się tam w przeszłości, a potem skoczysz w przyszłość?

– Czy będę mógł zobaczyć, co się dzieje? – spytał Umbo.

– Jeśli zbliżysz się na tyle, żeby widzieć, pewnie i ciebie będzie widać – zauważył Bochen. – Liczy się to, że będziecie wiedzieli, gdzie jest, więc gdyby coś poszło źle, ale jedno z was by ocalało, moglibyście przekazać Umbowi wiadomość, żebyś ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem. Wtedy albo tam nie pójda, albo pójda przygotowani.

– Dobry plan. Ale chcę widzieć.

– Poszukamy dla ciebie kryjówki – obiecał Rigg. – Gdy już się zorientujemy, gdzie odbędzie się spotkanie.

Okazało się, że będzie to miejsce oddalone od obozowisk Haddamandera i dużych miast. Gdy zmierzali ku niemu drogą biegnącą przez gęsty las, Rigg spojrzął na płataninę ścieżek nad nimi.

– Zdaje się, że przygotowali to miejsce specjalnie dla nas, żeby odciąć nam drogę ucieczki.

Param przyjęła to bez zdziwienia.

– Jak można zablokować ucieczkę w przeszłość?

– Wykopali głęboki, szeroki dół – wyjaśnił Rigg. – Widzę ścieżki ludzi, którzy nad tym pracowali. Jeśli przeniosę nas w przeszłość, albo znajdziemy się pod ziemią i natychmiast zginiemy, albo wśród kopiających – którzy oczywiście zostali uprzedzeni, że mają się nas spodziewać.

– Interesujące – powiedziała Param. – I możemy być pewni, że przygotowali dla mnie zapory z kamienia lub metalu.

– Obiecali – wtrącił się Oliwienko – że wokół miejsca spotkania nikt nie będzie miał żadnego metalowego ani kamiennego przedmiotu większego od monety.

– Chętnie zobaczyłabym, co wymyślili. Oparli plany na tym, co wiedzieli o naszych zdolnościach, ale te się zmieniły. Noxon i ja pracowaliśmy nad cięciem czasu. Potrafię się w nim cofać. I mogę osiągać taką prędkość, że mogliby przesywać mnie metalowymi prętami całymi godzinami, a ja nie poczuję wzrostu temperatury większego niż o kilka stopni.

– A jeśli znajdą sposób i na to – dodał Rigg – pamiętaj, że mam maskę i przeszedłem trening wojskowy. Nie jestem tym chłopcem, którego znali w Aressa Sessamo.

– Uzbrojonym jedynie w nóż – uzupełnił Bochen.

– Nóż w rękach maskera jest jak sto strzał – oznajmił Rigg.

– To jakiś cytat? – spytał Oliwienko.

– Tak, ze mnie. Powiedziałem to, zbliżając się do pułapki zastawionej przez moją matkę i generała Obywatela.

– Zapiszę to – zapewnił Oliwienko – żeby inni też mogli cię cytować.

– Zakładając, że ktoś przeczyta to, co napiszesz – rzuciła Param. – Przepraszam cię, Oliwienko, ale dzieła naukowców rzadko czyta ktoś prócz innych naukowców.

– Ale ja jestem generałem zwycięskiej armii – zaprotestował Oliwienko – a Rigg wielkim chronomantą. Nawet jeśli nie będą czytać moich prac, będą chcieć pamiętać o nim i jego dziele.

– Czas, żebyście wszyscy skoczyli w przeszłość – wtrąciła Param.

– Jeszcze nie – zdecydował Bochen. – Dopóki nie zobaczymy terenu, żeby Umbo mógł się cofnąć, ukryć się i patrzeć na nas.

Dotarli na szczyt wzgórza i spojrzeli w dół w wąską dolinę z głębokim wykopem na środku. Niemal cały wykop zajmował duży parterowy dom z solidnym dachem.

– Niech no tylko spadnie deszcz, a ta dziura wypełni się wodą – zauważył Rigg.

– Może na to liczą. Sądzą, że utoniemy, tnąc czas – mruknęła Param.

– Umbo, powiedz im, gdzie będziesz, ale nie pokazuj palcem.

– W drzewach na północnym skraju wykopu – oznajmił Umbo. – Pojawię się tam za jakieś dwie minuty.

– Zauważymy cię, schodząc do domu – powiedziała Param. – Dziękuję ci, Umbo. Dziękuję wam wszystkim. Albo wyjdziemy z tego domu z aktem kapitulacji – ich kapitulacji – albo Umbo pojawi się przed nami z ostrzeżeniem.

Ale Umba już nie było. Podobnie jak pozostałych. Param i Rigg samotnie zeszli zboczem wzgórza. Kilku świadków zostało wysłanych przodem. Już siedzieli wraz z kilkoma nieuzbrojonymi ludźmi Haddamandera na podeście nad wykopem.

– W tym domu nikogo nie ma – szepnął Rigg. – Nikt się w nim nie ukrywa, nawet na dachu.

– Można by zaryzykować stwierdzenie, że matka i Haddamander przegapili kilka okazji.

– Albo doniesiono im, że kapitan Ropucha potrafi dostrzec ukrywających się ludzi.

– Dla nich nie byłś kapitanem Ropuchą. Podczas jedyne go najazdu, który pamiętają, twoją rolę grał Kwadrat.

– No tak, ale miał maskę, a nikt się przed nią nie ukryje. Nikt, kto oddycha, a jego serce bije.

Z podestu dla obserwatorów dobiegł głos:

– Hagia Sessamiak zbliża się z drugiej strony! Zaczekajcie z wejściem do domu, dopóki nie dotrze na miejsce!

Param i Rigg stanęli przed otwartymi drzwiami. Widzieli wnętrze dużego pomieszczenia z drzwiami po przeciwnej stronie. Te drzwi otworzyły się i do środka wpadł strumień światła. W progu stała matka, taka sama jak zawsze, a dwa kroki za nią – generał Haddamander Obywatel, wyglądający trochę bardziej dostatnio niż kiedyś w starym mundurze Ludowej Armii Rewolucyjnej.

Matka i Haddamander weszli do pokoju.

– Zapraszamy – powiedziała królowa.

Param zrobiła krok naprzód, mocno ściskając dłoń Rigga. Jeśli miała ciąć czas, nie chciała szukać jego ręki.

Matka i Haddamander stanęli na środku pomieszczenia. Matka uniosła kartkę.

– Oto akt kapitulacji, który powinniśmy wszyscy podpisać.

– Może gdybyśmy mieli stół... – odezwała się Param.

Haddamander odwrócił się i krzyknął w stronę drzwi:

– Wnieść stół!

– Chcieliśmy, by pokój był pusty, żebyście nie podejrzewali pułapki.

– Co znaczy, że jest tu pułapka – wymamrotała Param tak cicho, że sama tego nie usłyszała. Ale wiedziała, że maska Rigga to wychwyciła.

Rigg uściskał jej rękę.

Do pomieszczenia wszedł służący z bardzo małym stolikiem na jednej nodze. Wsunął ją w przygotowany otwór w podłodze.

Param nie była geniuszem techniki, ale nawet ona widziała, że teraz stół może stanowić coś w rodzaju dźwigni, jeśli w podłodze znajduje się jakieś urządzenie. Ale czy naprawdę myśleli, że nabiorą ich na coś tak oczywistego? Tak, naprawdę myśleli, bo Rigg i Param nabrali się na to – w pełni świadomie.

– Co za sprytny stoliczek – odezwała się Param. – Matko, zaplanowałam wszystko.

– Chodźcie i podpiszcie się, moi drodzy. Kiedy ta wojna się skończy, mam nadzieję, że usiądziemy i miło sobie porozmawiamy.

– Byłoby uroczo – powiedział Rigg.

Stanęli tuż przy stole. Haddamander wyciągnął rękę, chwycił blat od strony Rigga i Param i pociągnął ku sobie. W ścianach, suficie i podłodze zgrzytnął metal.

– Do widzenia, matko – rzucił Rigg.

Param potraktowała to jako znak i zaczęła ciąć czas – nie tak jak kiedyś, lecz tak szybko, że matka i Haddamander stali się zamazanymi plamami, które opuściły pomieszczenie.

Nikt inny nie wszedł. Nikt nie musiał. Poruszony metal bowiem miał wiele przeciwwag i dźwigni. Grube sztaby wyrosły z podłogi i opuściły się z sufitu. Żadna z nich nie znajdowała się bezpośrednio przy stole – nie przeszyłyby natychmiast ich ciał. Ale gdyby Param nadal cięła czas tak jak kiedyś, cofnęłaby się, bo ból przeszywającego ją metalu byłby nie do zniesienia.

Mogli ominąć sztaby tak jak matka i Haddamander, ale Param była pewna, że jeśli wyjdą, narażą się na atak czekających już na nich łuczników. Jednak aby dotrzeć do drugich drzwi, musieliby przejść przez metal.

Nawet przy tym tempie cięcia czuli żar przeszywających ich sztab, lecz ten ból był nieistotny – jak podczas przechodzenia przez gipsowe ściany w domu Flacomm. Jedyne problemy polegały na tym, że poruszali się irytująco powoli. Tym bardziej irytująco, że chwilę po wyjściu matki i Haddamandera dom stanął w ogniu. Drewno, z którego go zbudowano, musiało być nasączone jakimś bardzo łatwopalnym środkiem. Płomienie pojawiły się wszędzie jednocześnie.

Param jeszcze bardziej przyspieszyła.

Pożar trwał tylko chwilę, choć odczuli jego żar jak buchnięcie gorąca z otwartego pieca. Sufit się zawalił – ze wszystkimi prętami i ciężkim rusztowaniem podtrzymującym go od góry. Ale przy tak zawrotnym tempie cięcia czasu nawet przenikająca ich konstrukcja dachowa nie sprawiła im wielkiego bólu.

Dni i noce przemijały jak rozbłyśki światła i plamy mroku. Deszcz padał i ustał, ale oni prawie nie zmokli. Param pomyślała, że powinna poczuć pragnienie, ale nie. Dla niej upłynęło tylko kilka minut, w świecie zewnętrznym – już pół roku. Ale...

Śnieg spadł i został na kilka minut. Potem znowu i tym razem przetrwał dłużej. Zima się skończyła, a oni byli dopiero w połowie gęstwiny metalowych prętów i spalonego drewna.

Co o tym myślał Umbo? Weszli do domu, który po chwili stanął w ogniu... a oni z niego nie wyszli. Umbo oczywiście znał ich możliwości i wiedział, że tnąc czas, zdołają opanować sytuację. Ale przecież nie mógł czekać w nieskończoność.

Czy wrócił do pozostałych, żeby podjąć decyzję? A może już postanowił ostrzec ich, żeby nie wchodzili do domu? Ogień i skomplikowana żelazna pułapka, nie warto się wysilać. Ale ta ich wersja nie została ostrzeżona, więc musieli kontynuować tę daremną ucieczkę przed niebezpieczeństwem, którego ich inne wcielenia nigdy nie spotkają.

„Kiedyś zginęłam w bibliotece w świecie Odyna, zamordowana przez myszy” – przypomniała sobie Param. Wiedziała o tym, ponieważ jej powiedziano, bo Rigg pojawił się i uratował ją, zanim myszy zdołały przynieść metalowy pręt, którym chciały ją zabić. Ale inna jej wersja umarła. Rigg widział ciało. Jej zwłoki. Nikt w tym strumieniu czasu nie musiał się zająć ich grzebaniem, bo był to strumień czasu, w którym nie umarła. Za to umrze tutaj, w tej wypalanej metalowej pułapce. Bo wokół niej stali łucznicy, a co noc zapalano pochodnie, żeby nikt nie mógł uciec pod osłoną ciemności. Matka nie dawała za wygraną. Wiele się nauczyła po tamtym razie przy Murze, gdy czekali wiele dni, a Param i Umbo nie wylądowali na ziemi po skoku ze skały. Teraz matka kazała zabójcom czekać do końca świata, jeśli będzie trzeba.

Koniec świata...

Znowu zima. Dotarli na skraj wypalonego budynku i przeszli pomiędzy metalową konstrukcją. Ale łucznicy nadal czekali, wypatrywali. A za nimi stali żołnierze z masywnymi metalowymi szablami.

Rozpoczęło się trzecie lato, gdy dotarli do miejsca, w którym niegdyś znajdowały się drewniane schody prowadzące na dno wykopu. Teraz znikły, podobnie jak podest obserwacyjny. Ściany wykopu były strome, nagie – nie zdołaliby się po nich wspiąć, zwłaszcza trzymając się za ręce. Gdyby się rozłączyli, staliby się widoczni dla łuczników. Gdyby Rigg cofnął ich w czasie, albo znaleźliby się pod ziemią, albo otoczeni przez robotników, kopiących jamę lub budujących dom.

Rigg odwrócił się do Param. Znowu nastąpiła zima, gdy zmienili ręce i odwrócili się w drugą stronę, na południe, twarzami do słońca, które wschodziło, zachodziło, wspinało się i staczało, ślizgało po niebie jak kawałek masła po rozpalonej patelni. Rigg pokręcił głową i mocniej ścisnął rękę Param. Nie rozumiała dlaczego, dopóki nagle nie pojawił się rozbłyśk i nie przeszła ich fala żaru. O wiele silniejsza i trwająca dłużej

niż z płonącego domu.

Nastał koniec świata. Dotarli do przybycia Niszczycieli.

Rigg nie stracił poczucia czasu. Spodziewał się ich nadejścia. Pokręcił głową, żeby Param nie przestała ciąć czasu.

Otoczające ich lasy zmiotł daleki wybuch, ale ściany wykopu ich osłoniły. Żar był tak przeraźliwy, że powalone drzewa płonęły jak papier i nawet metalowe słupy w wykopie stopiły się, osunęły na ziemię i rozpląnęły jak landrynki na deszczu. Ale oni doświadczyli tylko kilku mikrosekund żaru, więc nie spłonęli jak papier i nie rozpuścili się jak cukier. Oto koniec świata. A oni, nieostrzeżeni, musieli dalej istnieć, przetrwawszy to, co zabiło większość istot.

Ale nie wszystkie. Bo autorzy Księgi Przyszłości ukryli się gdzieś, by spisać ją i przesłać Odynerom w przeszłość jako ostrzeżenie. Więc... jak umarli ci, którzy zdołali przetrwać pierwszy wybuch? Co odbierze im życie?

Rigg delikatnie pociągnął ją za rękę i oddalili się od krawędzi wykopu, który ich osłonił. Nie wrócili przez ruiny domu. Param nie wiedziała, dlaczego nie wracają do normalnego strumienia czasu. Po co ciągle go tną? Na skraju wykopu nie było już łuczników. Zmiotła ich ta pierwsza fala uderzeniowa i pewnie spłonęli w żarze, który nadszedł po niej.

Nad ścianą wykopu widzieli niebo. Param poszła za przykładem Rigga i także zaczęła je omiatać wzrokiem w poszukiwaniu... czego? Czy Rigg zdołał jakoś wezwać lądownik z zakopanego statku? Nie, niemożliwe. Niszczyciele na pewno je znaleźli i zlikwidowali. Goście mogli się zdziwić widokiem dziewiętnastu światów z dziewiętnastoma kopiami statku, który opuścił Ziemię, ale Niszczyciele się ich spodziewali. Statki przepadły, podobnie jak zbędni, lądownicy i orbitery. Ale mogli przetrwać ludzie, ukryci w jaskiniach i wykopach. Czy Niszczyciele okażą się tak dokładni, że będą szukać ocalonych, by i ich zabić? Czy płoną takim gniewem lub tak się boją mieszkańców Arkadii, że nie dopuszczą, by choć jeden z nich pozostał przy życiu? Nawet rodzeństwo, które wyszło cało z zamachu?

Coś przelatywało przez niebo. O wiele za szybko jak na ptaka. Ale nie wyglądało jak lądownik ze statku. Było mniejsze, co stało się jasne, kiedy się zbliżyło.

Rigg szedł dalej. To miało sens – nawet tnąc czas w tym tempie, byliby widoczni, gdyby się nie ruszali. Mimo to ten pojazd powietrzny zmierzał dokładnie w ich stronę. Coś go tu przyciągało. Nie widok, ponieważ byli niewidzialni. Ale czy na pewno? Czy ta maszyna „widziała” to, co istniało tylko przez jedną nanosekundę na sekundę? A może wyczuwała ciepło ich ciał? Przy tak krótkim istnieniu musiało być niewielkie, chociaż wykrywalne.

Statek powietrzny zawisł nad wykopem. Był o wiele mniejszy niż lądownik. Z wolna zaczął opadać na dno jamy. Rigg pociągnął Param za rękę, dając jej znak, żeby szła dalej. No, to oczywiste!

I nagle puścił jej rękę.

W tej chwili stał się widoczny dla załogi statku.

Param nie przystanąła. Nadal cięła czas, nadal szła. Rigg nie chciał, żeby się stała widzialna. To on miał maskę, to on potrafił skakać w przyszłość i przeszłość. A jego obecność tłumaczyła wyczuwalne ciepło ciała czy też coś innego, co przyciągnęło statek powietrzny.

Teraz, gdy przestał trzymać Param za rękę, stał się zamazanym kształtem.

Statek opadł na dno wykopu ciężko jak kamień. Ale nie, na pewno wylądował lekko i łagodnie. Ruch wydawał się gwałtowny, bo Param cięła czas. Bok kadłuba uniósł się i...

Param spodziewała się zobaczyć człowieka. Tymczasem ujrzała coś niskiego, smukłego, o wielu kończynach. Jak karaluch, stonoga, szybko poruszający się masywny pająk o krótkich odnóżach. Śmignął wprost do Rigga.

Ale Rigga tam nie było. Odepchnął go ktoś, kto stanął obok niego. A tym kimś był... Rigg. Cofnął się w czasie i usunął starszą wersję siebie z drogi szybciej, niż sama mogłaby uskoczyć, nawet wspomagana przez odruchy maski.

Teraz było dwóch Riggów, uzbrojonych tylko w wysadzane klejnotami noże. I nagle zrobiło się ich czterech. Ośmiu. Wyglądało to tak, jakby pojawiali się błyskawicznie, ale oczywiście między każdym z tych incydentów musiały upływać co najmniej minuty, jeśli nie godziny. Param nie dostrzegała szczegółów walki. Chciała zwolnić tempo cięcia czasu, by lepiej widzieć, i zrobiła to, ale nie na tyle, żeby ją dostrzeżono.

Ze stworzeniem walczyły co najmniej dwa tuziny Riggów. Przybysz strzelał z jakiejś broni – Param widziała promienie świetlne – ale kiedy kierował ją w stronę Rigga, ten zniknął. Po chwili dwóch Riggów wspólnie odcięło odnoże trzymające broń, dwóch innych skierowało ją przeciwko stworzeniu i zabiło je.

Przez jakiś czas stali nieruchomo – całe dwa tuziny Riggów. Potem rozcięli nożami ciało stworzenia. Nie była to maszyna, jak podejrzewała Param. Nie było to też stworzenie z jakiegokolwiek murciii Arkadii. Ani z Ziemi. Goście byli ludźmi, Niszczyciele – nie.

Kilku Riggów odwróciło się do niej – bo oczywiście wszyscy widzieli jej ścieżkę – i uniosło rękę, dając jej znak, żeby przestała ciąć czas.

Zrobiła to. W powietrzu unosił się smród gorszy niż nad polem bitwy przed kilkoma dniami. Kilkoma laty.

– To nie człowiek – odezwał się jeden z Riggów.

– Strasznie was dużo – powiedziała.

– Może. A może żaden z nas nie istnieje. Zależnie od tego, co zrobił Umbo. Lub czego nie zrobił.

– Co to jest?

– Nie wiem. Ale jeśli cofniemy się w czasie, żeby zanieść ostrzeżenie, zostawię te

klejnoty. Albo jeden z tych noży. Więc wejdźmy do pojazdu i niech dzienniki pokładowe zarejestrują, ile się da.

– Nie ma ich więcej? Nie zjawią się inni, żeby nas zabić?

– Pewnie tak. Nie zostaniemy tu długo. Ale najpierw maszyna. – Odwrócił się do swoich kopii. – Tylko jeden nóż, ten, który weźmiemy z sobą i zostawimy Umbowi.

– On już ma jeden – odparł inny Rigg i wybuchnął śmiechem.

– Jaki ja jestem dowcipny – mruknął ten Rigg, który rozmawiał z Param. – Naprawdę świetnie się bawię w swoim towarzystwie.

Ale zabrzmiało to jakoś ironicznie.

– Nie całkiem orientuję się w możliwościach tego noża – wyznał Rigg, gdy znaleźli się w pojeździe. Wcisnął jego czubek w różne urządzenia, które mogły mieć związek z komputerami pokładowymi, ale nie musiały. – Jeśli używają łączności radiowej, może nóż ją przechwyci. Może wejdzie w kontakt z komputerem. A może marnujemy czas.

– Nadlatują! – zawołał Rigg z zewnątrz.

Rigg trzymający nóż, który kopiował bazy danych pojazdu powietrznego, podszedł i wziął za rękę Param. Spojrzała w niebo i zobaczyła lecące na nich pojazdy tego samego typu. Było ich co najmniej dziesięć. Nie poruszały się tak szybko, jak to widziała, tnąc czas, ale musiały rozwijać o wiele większą prędkość niż ten pierwszy.

– Mam zacząć ciąć czas? – spytała.

– To nie sprawiało, że staliśmy się dla nich niewidzialni – odparł Rigg trzymający ją za rękę – więc po prostu skoczmy.

– Ale łucznicy i...

– Nie aż tak daleko. Trochę zaufania.

I po tych słowach cofnął ich, a statek obcych zniknął. Rigg wskazał miejsce, w którym przeczekali ognistą burzę.

– Cofnąłem nas o jakiś tydzień. Nadal tu jesteście.

– Co zamierzamy?

– Wyjść stąd.

Rigg pochylił się i splótł palce, by mogła stanąć na jego dłoniach. Podsadził ją w górę; chwyciła się krawędzi jamy. Potem pchnął jej stopę, podparł jej łydkę, by wydzwignęła się jak najwyżej.

– Chwyć się trawy, wbij palce w ziemię, rób, co chcesz, ale się stąd wygrzeb. Śmiało!

Usłuchała, czując jeszcze większe napięcie niż to, które brzmiało w jego głosie. W końcu stanęła nad wykopem i spojrzała na Rigga.

– Co teraz?

– Teraz połóż się i wyciągnij jedną rękę. Dobrze się zaprzyj palcami stóp i drugą rękę. Nie staraj się mnie wyciągnąć. Wytrzymaj w jednym miejscu, a ja spróbuję wspiąć się po twojej ręce, dopóki nie znajdę innego punktu oparcia.

Rigg próbował kilka razy. W końcu wziął rozbieg, wskoczył na ścianę wykopu i chwycił się gorączkowo wszystkiego, dopóki nie trafił na dłoń Param. Był ciężki i omal nie wyrwał jej ręki ze stawu, ale już po chwili wygramolił się na krawędź dołu. Wydawało się, że przyszło mu to z łatwością. Ale przecież przeszedł szkolenie wojskowe. I był chłopcem. Mężczyzną. Wspiął się w swoim życiu częściej niż ona.

– Schowajmy się w lasach i wróćmy w przeszłość. Najlepiej zanim wykopano ten dół.

– Znajdziemy Umba?

– Tak, ale nie będziemy z nim rozmawiać. Nie pojawimy się mu. Zobaczymy, gdzie się schował, a potem cofniemy się jeszcze bardziej i zostawimy mu wiadomość.

Zrobienie kilku skoków nie zabrało im wiele czasu. Rigg wiedział, gdzie Umbo się ukrył, ponieważ widział jego ścieżkę. Potem cofnął się do momentu na godzinę przed przybyciem Umba i zostawił mu nóż owinięty kartką z wiadomością: „Nie pozwól nam tam wejść. Zanieś ten nóż na statek. Widziałem Niszczycieli. To nie ludzie. Nie z Ziemi. Może Ziemia także została zniszczona. Bardzo trudno ich zabić. Zobaczysz. Mam nadzieję, że Noxon ich powstrzyma, zanim tu dotrą”.

– Nie podpisałeś się – zauważyła Param.

Rigg spojrzał na nią z konsternacją.

– Umbo zna mój charakter pisma.

– To był żart. Co teraz?

– Odejdziemy, zanim się tu pojawi.

– Dokąd?

– Nasze miejsce jest w przyszłości.

– Dlaczego?

– Bo tam nie zmienimy niechcący przeszłości bardziej, niż już to zrobiliśmy, zostawiając list i nóż.

– Pozbawiłeś się go.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, przestaniemy istnieć, gdy tylko Umbo go znajdzie.

Ale na razie przeniósł ich w nieznaną przeszłość do pustego lasu, w którym nie widział żadnych świeżych ścieżek. Mogły to być czasy sprzed setek lat.

– Dlaczego nie możemy tu zostać? – spytała Param. – Skoro nikt tu nie przychodzi...

– Bo to nie nasze czasy.

– Ale jeśli to niczego nie zmieni...

– Nawet takie wyrefinowane, wszystkowiedzące jednostki jak my potrzebują obecności innych ludzi, żeby przeżyć. Jako kopie zapasowe musimy udać się w czasy, w których nasza egzystencja nie zmieni historii.

– Rigg, ja nie chcę umierać.

– Odwieczny ludzki problem. Nikt nie chce, wszyscy muszą.

– A inna murchia?

- Wszystkie zajęte.
- Świat Vadesha?
- Kwadrat osiedlił tam kolonię. Ten świat należy do nich.
- Masz maskę. Ja też chcę.
- Nie. Wiesz dlaczego.

Param nie mogła powstrzymać łez.

– Zawsze wiedzieliśmy, że liczy się przetrwanie ludzkości na Arkadii, nie życie jednostek.

– No więc albo uratowaliśmy gatunek ludzki, albo znowu ponieśliśmy klęskę. Ale co z nami? Nasza misja się skończyła, a my nadal istniejemy.

– Gdy przetrwamy unicestwienie, Niszczyciele nas wytropią i nasze kłopoty się skończą.

– A ci inni Riggowie?

– Pewnie dzielnie się bronili, ale przeciwko dziesięciu obcym nie mieli szans.

– Czy nie mogli się powielać dopóty, dopóki nie staliby się silniejsi od przeciwnika?

– Mogli. Ale po co?

– Żeby ocalić życie!

– Żyłem wystarczająco długo, żeby się dowiedzieć, czym było to stworzenie, jak jest zbudowane, jak można je zabić, jak działa jego broń i co znajdowało się w tym statku. Oraz żeby ocalić cię przed nim. Żyłem wystarczająco długo, by to wszystko przekazać Umbowi, który powstrzyma nas – tych prawdziwych, wcześniejszych – przed wejściem w pułapkę.

– Co zrobią, ci wcześniejsi my, kiedy zostaną ostrzeżeni?

– Ty jesteś Królową w Namiocie. Co byś rozkazała?

– Poprosiłabym o radę.

– Nikt ci jej nie udzieli.

Param zastanawiała się przez chwilę.

– Odeszłabym?

– Niezły plan. Ale wtedy matka i Haddamander ogłoszą, że nie przyjęłaś ich kapitulacji.

– Sprowadziłabym armię i zamknęła ich we własnej pułapce.

– To bardziej satysfakcjonujące, ale wtedy to my będziemy zdrajcami i zabójcami.

– No więc co?! – krzyknęła Param.

– Jak powiedziałem, nie mam pomysłu. Nie udzielę ci rady. Więc... nie cieszysz się, że nie musimy podejmować tej decyzji?

– Nie musimy, bo odejdziemy w przyszłość, żeby umrzeć!

– Najprościej będzie pozwolić Niszczycielom uderzyć, gdy będziemy na otwartym terenie. Niech nas unicestwią tak jak łuczników.

– Czy ta śmierć była bezbolesna?

– Wątpię, ale na pewno szybka.
– Dlaczego po prostu nie zniknęliśmy?
– Mam wrócić i zostawić kolejną wiadomość, że nie zniknęliśmy, gdy strumień czasu się zmienił, i nadal się zastanawiamy, jak nie wchodzić im w drogę?

Param westchnęła.

– Co byśmy osiągnęli?
– Nawet nie wiemy, czy strumień czasu się zmienił. Może Umbo jeszcze nie znalazł wiadomości i noża. Albo nie ostrzegł naszych wcześniejszych wersji.

– Jak to „jeszcze”? W jakich czasach jesteśmy? W przyszłości czy przeszłości w stosunku do tej chwili?

Rigg parsknął śmiechem.

– Szkoda, że nie zabrałem z sobą czegoś do poczytania.

– Tak spotkasz koniec świata? Z książką w ręku?

– A ty wolisz się kłócić do ostatniej chwili?

– Tak. To moje życzenie.

– Więc proszę bardzo.

Rigg wziął ją za rękę i skoczyli w przyszłość. Las wokół nich się zmienił. Ścieżka, która biegła obok nich, zarosła.

– Kiedy zaczniesz się atak? – spytała Param.

– Nie jestem Umbem. Nie potrafię precyzyjnie wskazać czasu, w który skaczę.

– Czyli wybrałam sobie kiepskie towarzystwo na ostatnie chwile.

– Bardzo mi przykro. Jeśli to jakaś pociecha, ta twoja wersja, która przeżyje, będzie miała Umba, który ją pocieszy.

– Nienawidzę jej. Egoistycznej, uprzywilejowanej, niewdzięcznej idiotki.

– A ja ją kocham. I podziwiam. Uważam, że doskonale poradziła sobie ze wszystkim, co przyniosło jej życie. I jestem całkiem pewien, że będzie dalej podejmować dobre decyzje, nawet jeśli nie doprowadzą do spodziewanych wyników.

– Jeśli nie doprowadzą, to nie są dobre.

– Są. Zawsze. Bo ty jesteś dobra. – Rigg dotknął palcem czoła Param. – Tutaj. – Potem pocałował ją w czoło i uścisnął. – No, to zaczynaj ciąć czas, na lewy łokieć Silboma! Doprowadź nas do chwili rozbłysku, byśmy mogli stawić mu czoło jak...

– ...mężczyźni?

– Jak zapasowe kopie dobrych mężczyzn i kobiet. Jak zbędni.

Rozdział 29

ODWIEDZINY

Z idealną matematyczną przewidywalnością statek Rama Odyna przekroczył zagięcie dziewiętnaście razy, przybywając jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat wcześniej. Jego wersje tylko na tyle oddaliły się od siebie, żeby mieć miejsce do manewrowania. Systemy zabezpieczające przed kolizją sprawiły, że statki rozproszyły się w różnych kierunkach.

Znajdujący się w kokpicie każdego statku Noxon powiedział:

- Proszę, żeby nikt nikogo nie zabijał. To dotyczy także zbędnych.
- Nas nie można zabić – odezwał się zbędny.
- Znasz historię, której staram się nie powtarzać – wyjaśnił Noxon.
- Nie zamierzałem wydać takiego rozkazu – zastrzegł się Ram Odyn.
- Ponieważ historia powtarza się pod tak wieloma względami, chciałem dopilnować, żeby nam się to nie przytrafiło – dodał Noxon.
- Zgoda – odezwał się Wheaton.
- Nie wykrywam prób porozumienia się obcych z nami ani wtargnięcia do naszych systemów komputerowych – zaraportował zbędny.
- Czy przybyliśmy w czasach przed rozwojem zaawansowanej technologii? – spytał Wheaton.
- Fale radiowe, transmisja na całą planetę, energia elektryczna, oświetlenie nocne... – recytował zbędny.
- Czyli w samą porę.
- Tak, jeśli powtórzą drogę, którą przebyliśmy na Ziemi – zauważył Ram. – Zaledwie kilka dekad od bezprzewodowego przesyłania prądu do rozwoju lotów kosmicznych.
- Mogą skrócić ten czas, bo mają mocną motywację do lotu w kosmos.
- Jaką motywację? – spytał Ram.
- To planeta podwójna. Ta druga także jest zamieszкана – wyjaśnił zbędny. Zamilkł na chwilę, jakby coś mu przeszkodziło. – Pojawił się dwudziesty statek.
- Udało mu się – mruknął Noxon.
- Komu co? – chciał wiedzieć Wheaton.
- No... mnie. Uważnie obserwowałem skok przez zagięcie. Gdybyśmy się podzielili,

chciałem ściągnąć zmierzający wstecz statek i sprowadzić go do normalnego strumienia czasu.

– Statek donosi, że ci się nie udało. Cofający się statek w rzeczywistości cały czas się cofał, nie skoczył przez zagięcie. Ale obecne na nim myszy zdołały przeprogramować komputery tak, by uniknąć dwudziestokrotnego powielenia, a potem skoczyły przez zagięcie, poruszając się wstecz, by oddzielić wsteczny statek od tego zmierzającego do przodu, czyli nas przed skokiem.

– Głowa mnie boli – jęknął Wheaton.

– Nieprawda – odparł zbędny. – Ale najwyraźniej skłamałeś, by w humorystyczny sposób przedstawić dezorientację, której w rzeczywistości nie odczuwasz.

– Właśnie. Miło, że ktoś czasem rozumie moje żarty, choć musi je wyjaśnić na głos.

– Chciałem potwierdzić, że zrozumiałem – oznajmił zbędny.

– Skoro skoczyli przez zagięcie wstecz – przerwał im Ram – to jak to możliwe, że tu są?

– Noxon zdołał odwrócić strumień czasu i dołączyć do naszej czasoprzestrzeni – powiadomił go zbędny. – Doskonała robota.

– Dziękuję – mruknął Noxon. – Ale nie moja.

– Tak jakby twoja. Jesteś do niej zdolny.

– A potem co? – spytał Noxon. – Skoczył do naszego czasu?

– Poruszający się wstecz statek nie zrobił skoku w przeszłość o jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat. Dlatego przybył w to miejsce, które dla nas znajduje się w przyszłości.

– I co tam zobaczyli? – zaciekał się Ram.

– Niewiele. Obcy natychmiast dokonali próby przejęcia na odległość kontroli nad nim. Myszy zdołały zapobiec przeprogramowaniu, jeszcze prymitywnemu w stosunku do tego, jakie obcy podejmą za kilkaset tysięcy lat w okolicach Ziemi. Potem Noxon z tamtego statku zakotwiczył się w naszych ścieżkach i skoczył do naszego czasu, gdzie obcy nie potrafią operować komputerami na odległość z taką sprawnością.

– Mało brakowało – mruknął Wheaton.

– Dobrze, że były z nami myszy – oznajmił Noxon.

– Dziękujemy – odezwał się samiec alfa. – Cieszymy się, że możemy ci się odwdziżyć za powstrzymanie cię przed zmiążdżeniem mi głowy.

– Nigdy nie chciałem tego zrobić – powiedział Noxon.

– Gadasz z myszami? – odgadł Wheaton.

– Zastanawiam się – odezwał się Ram – czy nasza obecność tu i teraz nie przyczyniła się do wzrostu umiejętności obcych do dokonywania na odległość ataków na systemy komputerowe ludzi. Widząc, jak wtargnęliśmy na ich teren...

– Może się okazać, że to nasza obecność doprowadziła ich do ataku na Ziemię! – zawołał Wheaton.

– Nie – powiedział Noxon. – Zaatakowali na długo, zanim się tu pokazaliśmy.
– Pokazaliśmy się teraz, setki tysięcy przed atakiem.
– Przygotuj się na nowy ból głowy – poradził mu zbędny.
– Niech zgadnę. „Przedtem” nie zawsze znaczy „przedtem”? – spytał Wheaton.
– Kalendarz i zegar mierzą pojedynczą linię czasu – wyjaśnił Noxon. – Ale wraz z nami łańcuch przyczynowo-skutkowy przenosi się z miejsca na miejsce w całej przestrzeni kosmicznej. Według kalendarza jesteśmy tutaj przed inwazją, ale według łańcucha przyczynowo-skutkowego – po niej. To przez ich inwazję przybyliśmy tutaj, więc inwazja była pierwsza.
– Nawet nie mogę żartować, bo zbędny mnie uprzedza – jęknął Wheaton.
– Przewidziałem twój żart? – spytał zbędny.
– Spaliłeś mi go. Sprytne, ale nieuprzejme.
– Przecież już raz go powiedziałeś, więc za drugim razem nie mógł być śmieszny – zauważył Ram. – Natomiast był śmieszny, gdy zbędny ci go spalił.
– W każdym razie zabawny – odezwał się alfa.
– Myszy się nie uśmieły – zaraportował Noxon.
– O, kobiety pokładają się ze śmiechu – odparł alfa. – A mnie on jakoś nie cieszy.
Noxon widział, że samice myszy zajmują się różnymi zadaniami w różnych zakątkach statku i żadna zdaje się nie zwracać szczególnej uwagi na ich rozmowę.
– Co robicie ze statkiem? – spytał.
Ram skamieniał. Musiał wiedzieć, że Noxon zwraca się do myszy, i przeraził się, że robią coś niebezpiecznego i nieodwracalnego.
– Wprowadzamy te same zmiany co nasze odpowiedniki w statku zmierzającym wstecz – wyjaśnił alfa. – W ten sposób skoczmy przez zagięcie, nie tworząc dziewiętnastu kopii zmierzających do przodu i jednej wstecznej.
– Zamierzamy znowu skoczyć? – spytał Noxon.
– Sądzę, że kiedy zbędny skończy opowiadać o cywilizacji na podwójnej planecie, uznacie, że dziesięć z tych dwudziestu statków powinno skoczyć w miejsce znacznie bliższe tej planety.
– Skoczą jedenaście tysięcy lat wstecz? – spytał Noxon.
– Nie. Uleczenie problemu replikacji leczy też skok w czasie.
– Czy jesteś gotowy opowiedzieć mi o planecie podwójnej? – spytał zbędny.
– Tak – powiedział Ram. – Chyba że teraz tym statkiem dowodzą myszy.
– Naprawiły go tak, żeby nie rozdzielał się na dziewiętnaście kopii przy każdym skoku – wyjaśnił Noxon.
– Spytałeś je, czy chcemy znowu skoczyć. Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – chciał wiedzieć Ram.
– Posłuchajmy zbędnego i się przekonajmy – rzucił Noxon. – Myszy najwyraźniej już wiedzą, co od niego usłyszymy.

Zbędny nabrał tchu. „Dość teatralne zachowanie jak na kogoś, kto nie musi oddychać”, pomyślał Noxon.

– Ziemski Księżyc był ważny w ewolucji życia, ponieważ powodował przyprływy i odpływy, a także kontrolował inne cykle – zaczął zbędny. – Ale ten świat to tak naprawdę dwie planety niemal równe sobie, leżące tak blisko siebie, jak to możliwe, żeby nie rozdarły się nawzajem siłami pływowymi.

– Czyli obie mają atmosferę – powiedział Ram.

– Na obu istnieje życie? – spytał Noxon.

– Na obu są rozpowszechnione elektryczność i komunikacja radiowa – oznajmił zbędny. – Obie planety monitorują swoje transmisje radiowe, a ja sędzę, że umiejętność ingerowania w pracę systemów komputerowych, a potem zdalnego kontrolowania ich rozwinęła się na bliższej planecie po to, by jej mieszkańcy mogli jej używać przeciwko tym z dalszej.

– Dzieli ich milion kilometrów i atakują się nawzajem?

– To by sugerowało wzajemność. Bliższa planeta atakowała dalszą. Ta dalsza zdaje się jedynie bronić.

– Niech zgadnę. Zaatakowała nas ta agresywna? – rzucił Ram.

– Nie wiem – odparł zbędny. – Bez względu na to, który świat zwyciężył, przyjął pogląd, że jedynym sposobem radzenia sobie z obcymi cywilizacjami jest ich unicestwienie.

– Zatem nawet jeśli na dalszej planecie mieszkają miłe istoty, i tak mogą być tym wrogiem, który zaatakuje Ziemię – powiedział Noxon.

– Nie wiemy, kto jest naszym wrogiem – odezwał się samiec alfa, zwracając się do Noxona – więc wszystkich należy wziąć pod kontrolę.

– To niesprawiedliwe ukarać jeden świat za winy drugiego.

– Nikogo nie karzemy – zaprotestował Ram. – Ratujemy gatunek ludzki przed zagrożeniem, a nie wiemy, która z tych planet stanowi zagrożenie.

– Wiemy, że obie – oznajmił alfa.

– Możliwe, że obie – poprawił go Noxon. – Ale podjęcie działania zapobiegawczego przeciwko obu wydaje się niesprawiedliwe. Ograniczenie cywilizacji gatunku, który może być kompletnie niewinny...

– Zaraz – przerwał Wheaton. – Arkadia wypróbowała dziesiątki sposobów na powstrzymanie unicestwienia ludzkości, więc istnieje mnóstwo strumieni czasu, w których jeden z tych gatunków eliminuje wszystkich rywali i rządzi tym zakątkiem galaktyki. Drugi prawdopodobnie zginął, zanim zwycięzca zbliżył się do nas, więc nie my go zgładziliśmy. Teraz tylko tworzymy jeden mały strumień czasu, w którym ludzki gatunek przetrwa. To chyba niezbyt wielka zachłanność w porównaniu z tym, co już zabrali.

– Opowiadasz się za ksenocydem? – spytał Ram.

– Skąd! – rzucił Wheaton ze zgrozą. – Nic podobnego! Arkadia przetrwała jedenaście tysięcy przy surowym ograniczeniu rozwoju technologii, prawda?

– Tak – przyznał Noxon.

– To ograniczenie narzucili planecie inni ludzie, tak?

– Komputery – wyjaśnił zbędny – ale na rozkaz ludzi.

– Więc jeśli cofniemy się w przeszłość i nałożymy takie ograniczenie na te gatunki, potraktujemy je tak jak siebie – kontynuował Wheaton.

– Do pewnego stopnia – poprawił go Noxon. – Ziemia nie miała takich ograniczeń.

– Nie musimy niszczyć całej ich bioty, by ustanowić tu kolonie, prawda? – upewnił się Wheaton.

– Zależy od tego, jakie proteiny wytwarza i czy są one dla nas wystarczająco strawne.

– Chyba to nie najlepsze czasy na przeprowadzenie dochodzenia – zauważył Wheaton.

– Chcesz cofnąć się w przeszłość i zobaczyć ich w początkach ewolucji – zgadł Noxon.

– Taki już jestem. Ale mam rację.

– Cofnij nas o kilkaset tysięcy lat – poprosił samiec alfa – a nałożymy ograniczenie.

– Myszy już zasugerowały, żeby dziesięć naszych statków udało się do innego świata, a dziesięć zostało tutaj – wyjaśnił Noxon.

– Zastanawiam się, czy w tej chwili inne twoje wersje na pokładzie dziewiętnastu statków mówią to samo – mruknął Ram.

– Same słowa są inne, ale tak, na każdym statku rozmowa dotarła mniej więcej do tego samego punktu – powiadomił ich zbędny.

– Co zdecydowali inni? – spytał Ram.

– Wszyscy pytają swoich zbędnych, co zdecydowali inni.

– Nie podjęliśmy żadnej decyzji – powiedział Wheaton. – Ale jedyną rozsądną rzeczą jest cofnięcie się w czasie, rozdzielenie floty i zbadanie obu światów, by sprawdzić, jak bardzo musielibyśmy je zniszczyć, żeby nadawały się do życia.

– Przecież nawet nie wiemy, jak wyglądają myślące gatunki tych światów – zaprotestował Noxon. – Skąd mamy wiedzieć, które formy życia w nie wyewoluują?

– Mamy wizerunki obu gatunków – odparł zbędny. – Oba światy regularnie transmitują obrazy za pomocą prymitywnych skanerów rastrowych.

Na środku pomieszczenia pojawiły się hologramy. Jeden z gatunków był nieodrosły od ziemi, z licznymi chwytymi kończynami, z których wiele było wyposażonych w ostre szpony czy ostrza na końcach palców. Drugi gatunek był trójnożny, wysoki i pełen gracji, z głową zwieńczoną groźnymi rogami. Wszystkie trzy stopy miał chwytne, a jedną wyposażoną w dwa podobne do kciuków wyrostki.

– Niech zgadnę – powiedział Ram. – Ten niski, podobny do robaka, to gatunek

agresywny, który chce przejąć komputery drugiej strony.

– Błąd – oznajmił zbędny.

– Chciałeś, żeby ten karaluchopodobny okazał się czarnym charakterem – rzucił Wheaton z satysfakcją. – Łatwiej byłoby go nienawidzić!

– O, z łatwością znienawidzę obu – odparł Ram. – Z tego, co wiemy, połączyły siły, żeby nas zaatakować. Nie wiemy, kto pilotował te jednostki latające.

– Udanie się w przyszłość i ustalenie, co się wydarzy, jest zbyt niebezpieczne – oznajmił alfa. – Nasze odpowiedniki na dwudziestym statku nadal przeszukują komputery, sprawdzając, czy pozbyły się intruzów.

– Myszy nie chcą już udawać się w przyszłość, by dowiedzieć się więcej – przekazał Noxon. – Jeśli one boją się obcych, bylibyśmy szaleni, gdybyśmy zdecydowali się na tę próbę.

– Więc tylko cofniemy się na oślep – rzucił Ram.

– Żeby się przekonać, czy zdołamy oszczędzić florę i faunę obu światów – wyjaśnił Wheaton.

– Zdołamy – powiedział Noxon. – Zawsze możemy wycofać się z pomysłu ustanowienia kolonii w tych światach.

– To nie wchodzi w grę – zaprotestował Ram. – Przybyliśmy tutaj, żeby zneutralizować niebezpieczeństwo. Nie potrafimy sprawdzać na bieżąco, czy nam się udało, nie zapewniwszy sobie tutaj swojej stałej, technologicznie zaawansowanej obecności.

– To niekoniecznie prawda – zauważył Noxon. – Możemy na przykład rzucić myszy o milion lat wstecz, a potem wrócić do tych czasów, by sprawdzić, na czym stoimy.

Ram parsknął śmiechem.

– Wtedy przekonamy się, że myszy były doskonale przygotowane do unicestwienia nas, przejścia naszego statku, powrotu na Ziemię i jej podbicia.

– Nigdy w życiu – odezwał się alfa.

– Wykazywałem tylko, że jeśli ustanowimy ludzkie kolonie, to dlatego że chcemy, nie dlatego że nie istnieje inny sposób – wyjaśnił Noxon.

– Cokolwiek zrobimy, nie radzę zostawiać wszystkiego myszom – stwierdził Ram.

– Na innych statkach postanowiono wrócić i przetestować proteiny z obu planet – zaraportował zbędny.

– Jak podzielimy flotę?

– Komputery już podzieliły statki na dwie grupy po dziesięć. My znajdujemy się w tej, która pozostanie przy bliskiej planecie. Pozostali skoczą przez zagięcie do tej dalszej.

– Tej z trójnogimi – westchnął ciężko Wheaton. – Co za szkoda... Prawie mnie zainteresowało ich zbadanie.

– Tak powiedzieli wszyscy Wheatonowie – potwierdził zbędny. – Ale potem uznali,

że należy zbadać oba gatunki, więc połowa Wheatonów musi zająć się drugą planetą.

Wheaton westchnął jeszcze ciężiej.

– Pewnie na każdego przegranego profesora Wheatona przypada jeden wygrany.

– Zależy od definicji przegranej i wygranej – pospieszył z odpowiedzią zbędny.

– Można powiedzieć, że wszyscy wygrali, bo mają całkiem nowy rozumny gatunek jako obiekt badań.

– Już mi o wiele lepiej – burknął Wheaton.

– To ironia czy szczerość? – spytał zbędny.

– Wkurzona rezygnacja.

Noxon przeniósł ich, tnąc czas, do chwili, gdy statek wszedł na orbitę wokół bliższej planety. Na jego żądanie myszy zostały na pokładzie z nim i Ramem. Wheaton wraz ze zbędnym polecieł na powierzchnię planety.

– Naukowiec i robot doskonale wykonają zadanie – wyjaśnił.

– Chronomanta i pilot powinni tu zostać na wypadek, gdybyśmy musieli cofnąć jakąś potworność, którą wykombinują myszy.

– Taki brak zaufania... – odezwał się alfa.

Noxon uznał tę uwagę za niegodną odpowiedzi.

Wheaton i zbędny często składali raporty. Przodkowie karaluchopodobnych obcych łatwo dali się zauważyć – byli tak zaawansowani jak na przykład *Homo habilis*. Używali narzędzi, ale jeszcze nie umieli rozpalać ognia.

– Profesor Wheaton nie potrafi skupić się na obecnym projekcie – odezwał się statek.

– Ciągłe chce skakać w przeszłość i przyszłość, a zbędny musi mu przypominać, że tylko Noxon to potrafi.

Podczas chwil nudy pomiędzy raportami, gdy Ram ćwiczył, Noxon odezwał się bardziej do siebie niż do Rama:

– Tęsknię za Deborą.

Niespodziewanie odpowiedział mu samiec alfa:

– Dlaczego po prostu jej nie skopiowałeś i nie zabierałeś z sobą? Teraz występowałyby w dwudziestu egzemplarzach. Byłoby w czym wybierać.

– Chciała mieć oczy. Ta dwudziestka, która poleciałaby z nami, byłaby rozczarowana do końca życia.

– Co? – ocknął się Ram.

– Nic. Rozmawiam z myszami – burknął Noxon.

– Cokolwiek im powiesz, użyją tego przeciwko tobie.

– Chyba że użyjemy tego przeciwko tobie – odpalił alfa.

– On cię nie słyszy – mruknął Noxon.

– Nie mówiłem do niego.

– W końcu znajdę jakąś dziewczynę wśród kolonistów. Nie martwię się.

– Dziwnie wyglądasz – odparł alfa. – Większość kobiet będzie się tobą brzydzić.

– Czy to dlatego wszystkie samice zaszły pięciokrotnie w ciążę przed rozpoczęciem tej podróży? Żeby nie musiały robić czegoś tak odrażającego, jak zbliżenie z samcem o tak małych jądrach? A może mam rację i rzeczywiście jesteś wykastrowany?

– Nie wstydzę się ciała tak jak wy, ludzie.

– Nie, ty w ogóle nie masz wstydu.

– Przyjdzie czas, że nas zrozumiesz.

Po trzech dniach na pokładzie statku znalazły się tysiące próbek, które zgromadzono w banku genów. Wniosek był jasny: flora i fauna obu planet dostarczały większości potrzebnych ludziom protein. Niedobory mogły zostać pokryte dzięki niewielkiemu dodatkowi szybko rozrastających się, w pełni jadalnych roślin.

– Możemy umieścić tu dowolne ziemskie zwierzęta – powiedział Wheaton – dzięki czemu będziemy mieli mięso oraz rośliny, które zapewnią zróżnicowaną i smaczną dietę.

– Na drugiej planecie zastano podobną sytuację – wtrącił zbędny – ale trzeba tam dostarczyć innych ziemskich roślin.

– Nie będziemy niszczyć? – spytał Noxon.

– Rozczarowany? – zagadnął Ram.

– Nadal uważam, że należy wprowadzić Mury.

– Bo wychowałeś się w murchii.

– Możemy jedną oddać myszom. I zarezerwować po jednej na każdej planecie dla obcych.

– A także jedną wspólną dla nas i dla nich – dodał alfa.

– Jeśli stworzymy wspólną murchię dla myszy i obcych, będziemy musieli mocno ograniczyć ich postęp techniczny – zdecydował Noxon. – Boje się tego, do czego mogłyby doprowadzić ich połączone zdolności.

– Do szczęścia i pokoju dla wszystkich rozumnych gatunków – oznajmił alfa.

– Bez wątplenia – mruknął Noxon.

– Taka sama dyskusja toczy się na większości pozostałych statków – powiadomił ich zbędny.

– Na większości? – podchwycił Ram. – Więc się różnimy?

– Dwa statki na dalszej planecie i jeden na tej muszą rozwiązać problem złamanego biodra Wheatona – wyjaśnił zbędny. – To odwlekło podejmowanie decyzji.

– Myślałem, że będziesz mnie ochraniać – rzucił Wheaton oskarżycielsko.

– Nie potrafię przewidzieć wszystkich głupich decyzji ludzi.

– Przestańcie się żreć – zniecierpliwiał się Ram. – Podzielenie planety to oczywisty wybór. Musimy zdecydować, co zrobimy z ludźmi, których nie będziemy potrzebować w trzech murchiach.

– Możemy ustanowić więcej kolonii, niż mamy statków – podsunął Noxon. – Założmy trzynaście na każdej planecie, dziesięć dla ludzi, po jednej dla obcych i myszy i jednej

wspólnej dla obu tych gatunków.

- Czy musimy założyć też wspólną kolonię dla myszy i ludzi?
 - Oby nie – wymamrotał Wheaton.
 - Oczywiście – powiedział Noxon.
 - Tylko nie naszą! – zawołał Wheaton.
 - Przywykniesz – zapewnił go Noxon.
 - To znaczy, że już postanowiliśmy, że to w naszej będą myszy?
 - Chyba że chce pan znaleźć sobie partnerkę i założyć rodzinę, profesorze – oznajmił Ram. – Wszystkie pańskie kopie powinny regularnie odwiedzać wszystkie kolonie, by sprawdzać rozwój obcych gatunków pod wpływem ludzi i myszy. A między inspekcjami pogrążyć się w letargu.
 - Przy asyście – poprawił alfa. – W każdym razie z naszej strony.
 - Bardzo dobry plan – pochwalił Wheaton. – Szkoda tylko, że nie uda mi się opublikować moich odkryć.
 - Powinien pan zapisywać wszystkie obserwacje i koncepcje, a my to kiedyś opublikujemy w każdym świecie – obiecał Ram.
 - Potrzeba jeszcze jednego – przemówił zbędny. – Nazwy dla obu planet.
 - „Arkadia” jest już zajęta – zastrzegł Noxon.
 - Nie sądzę, że to my powinniśmy ją wybrać – odparł Wheaton.
 - Do głowy mi to nie przyszło – zapewnił Ram.
 - Powiedział człowiek, na którego cześć nazwano dwie murchie – dokończył Noxon.
 - Nie ja je nazwałem – zaprotestował Ram. – W ogóle mnie tam nie było.
 - Może Karaluch i Trójnóg? – zaproponował Noxon.
 - Nazwa „Karaluch” raczej nie świadczy o naszym pragnieniu życia w pokoju z nimi – zauważył Wheaton.
 - Za kilka pokoleń to słowo będzie oznaczać tylko nazwę planety.
 - Ludzie będą je znali – odparł Ram. – Nigdy nie pozbędą się związanych z nim skojarzeń. Chcemy, żeby zwracali się do tubylców z szacunkiem, przynajmniej w obrębie wspólnej murchii.
 - Melodia i Harmonia – zaproponował alfa.
 - W tej samej chwili pomyślałem „Hałas” i „Harmider” – powiedział Noxon.
 - Pod warunkiem że ta planeta będzie się nazywała Melodia – zastrzegł Ram. – My pierwsi na nią przybyliśmy.
 - Bo przecież mamy tak melodyjne głosy... – dodał Wheaton.
- Na pozostałych statkach wysunięto inne propozycje. W końcu nazwa „Melodia”, choć atrakcyjna dla większości, przegrała z innymi kandydaturami. Jedna planeta została nazwana Sopranem, ponieważ zamieszkujące ją trójnogi miały wysokie, piskliwe głosy, a druga Basem, ponieważ gmeraki wydawały dźwięki tak niskie, że wielu z nich ludzkie ucho nie potrafiło zarejestrować. Żaden z gatunków nie wykształcił na razie

artykułowanej mowy.

Trzyście murcii na każdej planecie z miejscowymi gatunkami ulokowanymi na terytorium, w którym w oryginalnym strumieniu czasu wyewoluowały w istoty myślące. Myszy były zadowolone, a tubylców nikt nie pytał o zdanie, więc wszystko przebiegło spokojnie.

Każdy Noxon wraz ze zbędnym wykonali w swojej murcii skok w przyszłość, nie tylko po to, by sprawdzić jej los, ale by skontrolować te światy, w których znajdowały się myszy lub tubylcy bądź też oba te gatunki. Orbitery dysponowały niezawodnymi danymi kalendarzowymi, bazującymi na pozycji gwiazd, więc Noxon mógł odnotować rok przybycia statku i rok, w którym w starym strumieniu czasu nastąpił atak na Ziemię. W żadnej z przyszłości nie pojawiły się statki kosmiczne, a technika nie rozwinęła się na tyle, by między murciami powstała komunikacja inna niż ta zapewniana przez zbędnych. We wszystkich czterech murciach tubylcy wykształcili inteligencję, choć nie sposób było stwierdzić, czy wyglądałoby tak samo bez ingerencji ludzi. W każdej murcii dzielonej z myszami tubylcy żyli z nimi w pokoju, a gmeraki i ich myszy stworzyły system wspólnych miast – w niektórych dominowały gmeraki, w innych myszy. Trójnogi były mniej skłonne do współpracy z myszami i sobą nawzajem. Ich murcie pustoszyła wojna, ale podobnie wyglądało to w murciach ludzi, więc nie był to powód do wprowadzania zmian.

Noxonowie doszli do wniosku, że osiągnęli cel pierwotnej misji: powstrzymanie obcych przed unicestwieniem gatunku ludzkiego. W dodatku udało im się przy tym nie pozbawić przodków tubylców szansy na osiągnięcie ewolucyjnego potencjału. Potem na każdej planecie Noxonowie ze wszystkich światów spotkali się na pokładzie jednego ze statków i naradzili w sprawie ostatniej ważnej decyzji, jaka im została.

– Ograniczyliśmy postęp techniczny – powiedział pierwszy mówca na obu konferencjach – ale reprezentujemy coś o wiele bardziej niebezpiecznego od broni czy technologii: zdolność cofania się w przeszłość i unicestwiania całych strumieni czasu. Musieliśmy z niej korzystać, gdy coś zagrażało przyszłości całej ludzkości. Ale teraz musimy się zastanowić, czy Sopranowi i Basowi lepiej przysłuży się populacja z naszymi genami. A może powinniśmy je jej pozbawić, nie rozmnażając się?

Na obu konferencjach inny Noxon zauważył coś oczywistego:

– Na Arkadii będą istnieć chronomanci bez względu na to, co tu postanowimy. A Ram Odyn już się ożenił i w każdej ludzkiej murcii ma dzieci. Przecież to on był dawcą tych genów.

Inny dorzucił:

– Myszy, które przybyły tutaj, umiały przenosić obiekty w czasie i przestrzeni. Wiedziały, jak manipulować ludzkimi genami tak, żeby doprowadzić do stworzenia pierwszego Rigga, Param i Umba. Tylko idioci łudziliby się, że zapomniały o tej umiejętności. Z tego, co wiemy, wszystkie potrafią manipulować czasem. Czy

powinniśmy im pozwolić na posiadanie takiej władzy, sami pozbawiając się jedynej broni przeciwko niej?

– Więc zachowamy ten talent w bazie genów? Żeby nie być na łasce myszy? Czy ludzi z Arkadii, gdy się tu zjawią?

– Ta zdolność istnieje we wszechświecie. Bylibyśmy głupi, pozbawiając się jej, skoro sądzimy, że pewnego dnia możemy jej potrzebować. Już raz nas ocaliła.

– Ale tylko dlatego że posiadali ją niezwykle prawi i mądrzy ludzie.

I choć wszyscy Noxonowie roześmieli się ironicznie, to wiedzieli, że to prawda.

– Ewolucja zawsze przynosi zdolność zniszczenia. Musimy pracować nad tym, by tę prawość i mądrość odziedziczyły wszystkie murchie, a potem mieć nadzieję, że nasi następcy będą używać tej mocy odpowiedzialnie... Jeśli w ogóle będą ją posiadać.

Tym wnioskiem zakończyły się obie konferencje. Za pomocą komputerów pokładowych przetransmitowano go między Basem a Sopranem. Następnie Noxonowie wrócili lądownikami do swoich murchii, gdzie poślubili kobiety, które pokochali. Nie zamierzali pogrążyć się w letargu, by przeżyć wiele wieków i śledzić rozwój wypadków w przyszłości. Ramowie Odynowie także nie mieli zamiaru tego robić. Pozostawili to Wheatonom, którzy kontynuowali swoje badania nad ewolucją. A ponieważ ci byli już starzy podczas zakładania kolonii, po kilku stuleciach lub tysiącletniach albo pozwolili sobie przejść na emeryturę i umrzeć, albo budzili się tak rzadko, że właściwie nie mogli powiedzieć, iż żyją w którejkolwiek murchii.

Ale dzieci Ramów i Noxonów dorastały i stały się tym, kim się miały stać. Na przestrzeni pokoleń ich geny wymieszały się z genami reszty populacji, a ich historie i idee wrosły w tradycję wszystkich tworzących się kultur. Także myszy przekazywały sobie podania o Ojcu Pilocie i Ojcu Chronomancie. I trudno było zgadnąć, co ma większy wpływ na kształtowanie przyszłości – legendy czy geny.

Rozdział 30

DYSPOZYCJE

Rigg, siedzący z Ramem Odynem oraz kilkoma setkami myszy w dyspozytorni statku kosmicznego w świecie Vadesha, wyznał:

– Obserwowałem nagranie, na którym dziesiątki moich wersji walczyły z tymi Niszczycielami. Chciałbym, żeby Niszczyciele znowu przybyli i tym razem nie mogli się wdrzeć do komputerów Arkadii. Niech wylądują i przekonają się, że wszystkie murchie są uzbrojone i gotowe do walki. Można ich pokonać.

– Pod warunkiem że jest się chronomantą w twarzomasce, potrafiącym się powielać dopóty, dopóki nie zdoła pokonać jednego Niszczyciela – odparł Ram Odyn. – Która murchia zdoła coś takiego osiągnąć?

– W każdym razie jeśli nie obróćą broni w orbiterach przeciwko nam, mamy jakąś szansę.

– Tak – przyznał Ram Odyn. – To, co odkryły zaginione wersje ciebie i Param, przechyliło szalę na naszą korzyść. Może wystarczająco. A może rozwiązanie problemu od zawsze znajdowało się w naszych rękach. A ja się cieszę, że naszym wrogiem nie okazali się Ziemianie.

– Dobrze, ale Niszczyciele zgładzili mieszkańców naszej pradawnej ojczyzny, zanim tu przybyli – stwierdził Rigg. – Dlatego mam nadzieję, że Noxonowi uda się ich w porę powstrzymać. Ale potem już tu nie wróci, a my nigdy się nie dowiemy, czy przeprogramowanie komputerów załatwiło sprawę. Czy będziemy zdolni bronić się przed Niszczycielami.

– Mogę żyć w tej niewiedzy – oznajmił Ram Odyn. – Pod warunkiem że Niszczyciele tu nie przybędą. To by uratowało wiele istnień. Gdybym miał wybór, poświęciłbym informację, czy nasi genialni mysi przyjaciele wykonali swoje zadanie wystarczająco dobrze na rzecz zwycięstwa Noxona.

– Oczywiście, że wykonaliśmy zadanie dobrze – powiedziały myszy.

– Chwałą się – przekazał Rigg Ramowi Odynowi, który ich nie usłyszał. – Ale obawiam się, że zrobiły o wiele więcej niż tylko zbudowanie muru, którego Niszczyciele nie zdołają przebić.

– Co mogłyśmy zrobić? – spytała mysz. – Dlaczego jesteście tak podejrzliwi?

– Na przykład co by było, gdyby to one przejęły dowodzenie nad wszystkimi statkami?

Ram Odyn wzruszył ramionami.

– Może świat będzie należeć do nowego zdobywcy, pół człowieka, pół myszy.

– Nie mamy takich ambicji – oznajmiła mysz.

Inne ją poparły.

– Żadna nie miała udziału w intrygach – powiedział Rigg.

– Niewinni i winni twierdzą to samo z takim samym ferworem – odparł Ram Odyn. –

Czy maska pozwala ci dostrzec różnicę?

– Raczej nie. Myszy zawsze kłamią, zawsze coś ukrywają. Ale ponieważ wszystko, co mówią, stanowi podstęp, nie można stwierdzić, co jest oczywistym kłamstwem, a co prawdą, która maskuje głębsze kłamstwo.

– Bardzo to subtelne.

– Nie mogę się czuć lepszy od nich. Gdyby nie słyszały wszystkich naszych rozmów, także byśmy je okłamywali, a przynajmniej zatajali nasze plany. Może mają ludzkie geny, a w grupie – inteligencję równą naszej...

– Raczej wyższą – wtrąciła mysz.

– Jakież dziesięć tysięcy razy – dodała druga.

– Są bardzo próżne – wyjaśnił Rigg – i grubo przeceniają swoje możliwości umysłowe, ale to tylko dowodzi ich silnych związków z gatunkiem ludzkim. Natomiast nigdy – nawet jeśli jakoś przejmą komputery – nie wykorzystają tej zdolności, by unicestwić życie na Arkadii. Gdybyśmy mieli wybierać między tyranią gryzoni i całkowitą zagładą naszego gatunku, zatkałbym nos i wybrałbym gryzonia.

– Śmierdźcie gorzej od nas – pisnęła mysz.

– Na pewno teraz odpyskowały, że cuchniemy gorzej – powiedział Ram Odyn.

– Widzisz? Nie są tak niedoścignione, jak sądzą.

– Jak poznamy, że Noxonowi się udało?

– Nigdy nie zaszliśmy tak daleko w naszych planach. Samo dotarcie na Ziemię było trudne. Potem musiał obmyślić, jak powstrzymać tamtejszych ludzi przed unicestwieniem nas. Nie mieliśmy pojęcia, że będzie musiał powstrzymać inwazję obcych. Jeśli mu się uda, może nie będzie mógł tu wrócić. Może utknąć w świecie obcych.

– A jeśli Noxon przybędzie dokładnie tak, jak zawsze przybywali Niszczyciele? – spytał Ram Odyn. – Jeśli nasze nowe systemy obronne zabiją go, zanim zdoła nam opowiedzieć o swoim sukcesie?

– Nasze systemy obronne nikogo nie zabijają – zaprotestowała mysz.

– Blokujemy rozkazy ich komputerów, nie rozbijamy ich statków – dodała druga.

– Choć mogłybyśmy nad tym popracować.

– Nie – uciał Rigg. – Proszę. Zaczekajmy i przekonajmy się, czy to, co osiągnęłyście,

wystarczy.

– Jeśli Noxon zdoła wrócić – powiedział Ram Odyn – to przecież jest tak samo mądry jak ty. Przewidzi grożące mu niebezpieczeństwo. Nie wróci w czasie, w którym zawsze pojawiają się Niszczyciele.

– Może się zjawić na statku. Tej cofającej się kopii zmierzającego w przód oryginału. Jeśli zdoła go odwrócić, odbędzie kolejną podróż, wykona kolejny skok przez zagięcie.

Ram westchnął.

– To znaczy, że wróci jedenaście tysięcy lat temu z dziewiętnastoma kopiami. Może powinniśmy sprawdzać przeszłość, zamiast spoglądać w przyszłość.

– Jeśli wróci w przeszłości, może przybyć do nas, tnąc czas. Albo skoczyć. Kto wie, czy nie nauczył się większej precyzji? On i Param wiele osiągnęli przed jego odejściem.

Ram Odyn potarł oczy.

– Jestem zmęczony. Ponieważ Noxon mógł wrócić w dowolnym momencie istnienia Arkadii, chyba nic się nie stanie, jeśli teraz się zdrzemnę.

– Właściwie nawet powinniśmy zostawić tu trochę wolnego czasu – zgodził się Rigg – żebyśmy mieli wolną przestrzeń, gdybyśmy musieli wrócić i powiedzieć myszom, że muszą zrobić coś jeszcze.

– Tak, ty też możesz się zdrzemnąć, jeśli chcesz – powiedział Ram Odyn. – Nie musisz wymyślać takich pretekstów.

– Dobrze, wychodzą – odezwała się mysz. – Wreszcie możemy przejąć panowanie nad światem.

– Myszy usiłują sprawdzić, jak bardzo jesteśmy naiwni.

– Jesteśmy tak naiwni, jak trzeba. Gdy przejmą statki, będą kontrolować wszystkie informacje. Jak możemy je sprawdzić? Lepiej idźmy spać, a potem zastanowimy się, czy skoczyć w przyszłość, by sprawdzić, czy się nam udało.

Drzwi otworzyły się w chwili, gdy Ram Odyn się do nich zbliżył. Po drugiej stronie progu stał Vadeshex.

– A, już wiecie? – spytał.

– Co?

Myszy całą chmarą ruszyły do wyjścia.

– Przestańcie! – zawołał Rigg. – W końcu którąś rozdepczemy.

– Nie szkodzi – rzuciła jedna z nich.

– Za bardzo – dodała druga.

– Ale nam szkodzi. To chrupnięcie małego ciała pod butem jest obrzydliwe. Zwłaszcza że przed chwilą z wami rozmawialiśmy.

Myszy rozbiegły się pod ściany, a wiele wspięło się na Rigga i Rama Odyna, żeby na nich opuścić pokój.

- Co się dzieje? – zwrócił się Ram Odyn do Vadeshexa.
- Noxon wrócił.
- Udało mu się? – spytał Ram Odyn.
- Kiedy przybył? – włączył się Rigg.
- Przyleciał z Gośćmi. Przywiózł z sobą niewidomą dziewczynę i natychmiast cofnęli się do czasu, gdy byliście obaj w moim statku. Przylecieli w lądowniku.
- Powstrzymali Niszczycieli?
- Oczywiście. Noxon nie wróciłby, gdyby nie wykonał zadania.
- Goście wiedzieli, że jest na pokładzie ich statku?
- Nie sędzę. Ale nie było mnie w chwili ich przybycia. A raczej na pewno tam będę, ale w tej chwili nie mam pojęcia o niczym z wyjątkiem tego, że wezwali lądownik i że powstrzymali Niszczycieli.
- Powiadomiłeś kogoś jeszcze? – spytał Rigg.
- Inni zbędni szerzą tę wieść wśród wszystkich, kogo ona obchodzi. Odynerzy świętują. Wszystkie myszy ze świata Lara weselą się na plaży z Larami, którzy wyszli z wody.
- A Bochen i Lejka? Param i Umbo?
- Ramex poleciał do nich lądownikiem. Zaufajcie mi, wiem, co do mnie należy.
- Wszyscy zbędni i komputery wszystkich statków otrzymali tę wiadomość od razu – powiedział Rigg. – Nie miałeś z tym nic wspólnego, prawda?
- Prawda – przyznał Vadeshex. – Ale chyba ważne jest, że Noxon i dziewczyna przybywają wprost do mnie.
- Do nas – poprawił go Ram Odyn.
- Do mnie. Dziewczyna jest niewidoma. Miała wypalone oczy i chce przymierzyć maskę w nadziei, że odzyska wzrok.
- Pochodzi z Ziemi? – spytał Rigg.
- A skąd Noxon miałby wziąć dziewczynę? – prychnął Ram Odyn.
- Czy twarzemaski nadają się dla organizmów niezrodzonych z tutejszej puli genów?
- spytał Rigg.
- To kuzynka Rama Odyne – oznajmił Vadeshex. Spojrzał na Rama. – Wygląda na to, że masz kuzynów nazwiskiem Wheaton. Córka Arnolda i Lanae, Debora.
- Oczywiście – rzucił Ram Odyn. – Zginęli w wypadku. Czy nie zaopiekował się nią jej wujek? Miał dziwny przydomek.
- Georgia – przypomniał mu Vadeshex.
- Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwił się Rigg. – Kiedy zamierzałeś nam to powiedzieć?
- W chwili, gdy zadajecie mi pytania, lądownik przekazuje je swoim pasażerom, a potem podaje mi ich odpowiedzi. Dlaczego we wszystkim, co robię, dopatrujesz się jakiegoś spisku czy zdrady?

– Bo uważa, że jesteś jeszcze bardziej zdradliwy i podły niż my – wyjaśniła mu mysz siedząca na ramieniu Rigga. – A to już osiągnięcie.

– Przewróciłbym oczami, ale Rigg się irytuje, kiedy pozwalam sobie na takie ludzkie ruchy – powiedział Vadeshex.

– Mimo wszystko zamierzam się zdrzemnąć do chwili, gdy się tu zjawia – zdecydował Ram Odyn. – I może będę spać trochę lepiej, wiedząc, że świat został uratowany.

– Uratowany – zgodził się Rigg – ale komputery nadal są przeprogramowane przez myszy.

– Jeśli będziemy musieli, ktoś cofnie się w czasie i poradzi nam, żebyśmy tego nie robili – pocieszył go Ram Odyn.

– A, to prawda.

– Widzisz? – odezwała się mysz na ramieniu Rigga. – Jesteśmy bezradne wobec waszych nieporównanych mocy.

– Biedactwa – uzalił się Rigg. – Same dałyście nam te moce, więc nie miejcie nam za złe, że ich używamy.

– Jak to? Uwierzyłeś, że zostałeś zmodyfikowany genetycznie przez nas? – spytała mysz na jego ramieniu.

Rigg znieruchomiał.

– Co ci powiedziała? – spytał Ram Odyn.

– Coś, w co nawet chciałbym uwierzyć – powiedział Rigg. – Ale jeśli to prawda, to nie wiem, czy chcę o tym wiedzieć. Umbo na pewno nie chce.

– Kłamałam – rzuciła mysz. – Ale cię nastraszyłam!

– Kłamałaś wtedy czy teraz, bo zauważyłaś moją reakcję?

– Co powiedziała? – spytał Ram Odyn.

– Że myszy nie dokonały żadnych modyfikacji genetycznych, które doprowadziły do powstania zdolności jego i Param – wyjaśnił Vadeshex.

– A to prawda?

– Nie mogę tego wiedzieć. Nie możemy monitorować zmian na poziomie genetycznym. Nie na odległość.

– A Umbo? Ten brutal szewc był jego ojcem czy nie?

– Dajcie mi próbkę genetyczną Tegaya i Enene oraz Umba, a przeprowadzę test na ojcostwo. Na razie mogę powiedzieć tylko, że Umbo nie wygląda jak Tegay.

– Mógłbym naprawdę zniechęcić te myszy – mruknął Rigg. – Skoro nie zmodyfikowałyście nas genetycznie, to po co tak mówiłyście?

– Zmodyfikowałyśmy was – odparła mysz. – To był żart. I robi się zabawniejszy z każdą sekundą.

– Ja też się zdrzemnę – zdecydował Rigg.

– Ale teraz nie będziesz już spać tak spokojnie – zachichotała mysz.

- Złaż ze mnie, bo ci urwę łebek – warknął Rigg.
- Przemoc to bardzo ludzka cecha – odpaliła mysz.
- Podobnie jak nieustanne kpiny i ciągłe kłamstwa.
- Zejdę z ciebie, jeśli obiecasz, że mnie nie zabijesz.
- A myślałem, że wam nie przeszkadza, jeśli nadepnę na kilka z was.
- No, w moim wypadku przeszkadza mnie.
- Nie zabiję cię, jeśli nie wpakujesz mi się pod nogi.

Mysz skoczyła i wylądowała na Vadesheksie, który złapał ją w locie, zmiażdżył jej głowę i włożył jej zwłoki do ust.

Rigg omal nie zwymiotował.

– Potrafię przetwarzać wszelkie tkanki zwierzęce i roślinne – wyjaśnił Vadeshex – a nie chciałem, żeby zwłoki poniewierały się na korytarzu.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Bo skomplikowała sytuację swoimi kłamstwami.

– Albo skomplikowała sytuację, bo powiedziała mi prawdę, której nie powinienem był poznać.

– Albo.

– Obudź mnie, kiedy tu dotrą – odezwał się Ram Odyn. – I nie zjadaj więcej myszy w obecności Rigga. Jest wrażliwszy, niż się wydaje.

– Wychowała mnie jedna z tych maszyn – wykrztusił Rigg. – Nadal uważam je za ludzi, choć nie powinienem.

– Biedny Rigg – powiedział Vadeshex. – Spróbuj zasnąć.

Rigg powstrzymał to, co cisnęło mu się na usta, głównie dlatego, że nie mógł się zdecydować na tylko jedną uwagę. Poszedł do swojej kabiny i zdjął ubranie, wytrząsając z niego myszy.

– Wyjdźcie wszystkie i nie wracajcie bez zaproszenia.

Myszy uciekły. Twarzomaska zapewniła go, że wszystkie odeszły. Rigg położył się na pryczy.

– Chcę spać – powiedział głośno do maski.

Ona zawsze rozumiała, niezależnie od tego, czy ubierał swoje życzenia w słowa, czy nie. Ledwie się położył, pogrążyła go w nieświadomości.

Obudził go głos statku, nie Vadeshexa, i to go ucieszyło. Dzięki masce w ułamku chwili odzyskał przytomność bez śladu oszołomienia po śnie. Ubrał się i zszedł pustymi już korytarzami do pomieszczenia, w którym zgromadzili się już Param, Ram Odyn, Umbo, Bochen, Lejka, Kwadrat, Oliwienko, Vadeshex, Ramex i kilka setek myszy.

– Czekamy na kogoś jeszcze? – zagadnął Ram Odyn.

– Tylko na Noxona i Deborę Wheaton – powiedział Vadeshex. – A oto i oni.

Noxon wszedł do pomieszczenia w towarzystwie dziewczyny z grubą opaską na oczach. Jej ruchy świadczyły o tym, że nie była niewidoma.

– Cześć – odezwał się Noxon. – Udało się nam. A raczej udało się innej mojej kopii, Ramowi Odynowi i jej ojcu, profesorowi Wheatonowi.

– Jak? – spytała Param. – Co zrobili?

– Debora i ja widzieliśmy, jak odlatują statkiem kosmicznym. Było to kilkaset tysięcy lat przed przybyciem obcych, a kiedy skoczyliśmy do chwili inwazji, statki się nie zjawily, więc zakładam, że im się udało. Ale nie mam pojęcia, w jaki sposób.

– Ona nie jest naprawdę ślepa – zauważył Bochen.

– Nie ma oczu – oznajmił Noxon.

Debora dotknęła opaski na oczach.

– To urządzenie – powiedziała. – Nie tak doskonałe technicznie, jak ich sprzęt optyczny. – Wskazała Vadeshexa i Ramexa.

– Zaczekaliście, aż Goście wylecą z Arkadii – powiedział Rigg. – W oryginalnej wersji tej historii Niszczyciele unicestwili życie na Ziemi jeszcze przed ich powrotem do domu. Dla pewności cięliśmy czas przez kilkadziesiąt lat, ale nic się nie wydarzyło.

– Ekspedycja, którą nazywacie Gośćmi, przywiozła na Ziemię bardzo pochlebny raport – włączyła się Debora. – Wynikało z niego, że nie należy ingerować w życie planety.

– I rząd wprowadził to postanowienie w życie – zakończył Noxon. – To nie znaczy, że tak już zostanie, ale to dobry znak. Stosowali tę politykę przez jakieś dziesięć lat. Potem skoczyliśmy w przeszłość, dostaliśmy się na zmierzający na Arkadię statek Gości i przeczekaliśmy podróż, tnąc czas.

– Nie zauważyli waszej obecności? – spytał Umbo.

Noxon rzucił mu druzgoczące spojrzenie.

– Trochę zaufania.

Umbo nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Nazywamy cię Noxonem, ale pozostałeś Riggem.

– Nie wiem, jak mam to zrozumieć – odezwał się Rigg.

– To dla nas obu komplement – wyjaśnił mu Noxon. – Powinniście wiedzieć, że nie zamierzałem tu wracać. Gdybym przypadkowo się nie powielił, wylądowałbym z Ramem Odynem w świecie obcych. Pewnie teraz już go kolonizują. Ale skoro powstała moja kopia, uznałem, że mogę jednak polecieć do domu.

– Z przyjaciółką – dodała Param.

– Przyjaciół nigdy za wiele.

Ale gest, którym Debora objęła go w pasie, świadczył o tym, że nie jest to zwykła przyjaźń.

– Moje zadanie dobiegło końca – powiedział Noxon – ale rozumiem, że wy nadal toczycie wojnę z Haddamanderem i Hagią. Nie chcę wam przeszkadzać.

– Nie musimy już zdążyć przed końcem świata – odezwał się Oliwienko.

– Statek powiedział mi, że już wiecie, iż Niszczycielami byli obcy – podjął Noxon. – Rigg i Param przetrwali zniszczenie i stoczyli jakąś walkę, tak? Nigdy tego nie widziałem. Macie to nagrane?

– Rigg zmusza nas do oglądania tego dwa razy dziennie – westchnął Ram Odyn.

Rigg lekko pokręcił głową.

– Chcę zobaczyć, jak dajesz im łupnia – powiedział Noxon z uśmiechem.

– Walczyłem tylko z jednym i trzeba było dwudziestu moich kopii, żeby go pokonać – wyjaśnił Rigg. – No i to nie byłem ja. Ci, którzy walczyli, zostawili Umbowi nóż i dzienniki pokładowe, a on powstrzymał nas przed bitwą. Ja wiem tylko tyle, ile zarejestrował statek.

– Ale miło wiedzieć, że cię na to stać, nie?

– To ty uratowałeś świat.

– Jak powiedziałem, to nie byłem ja. Obaj jesteście tylko kopiami bohaterów.

– Mnie to wystarczy – oznajmił Umbo.

– Ale teraz wróciliśmy tu obaj – powiedział Noxon. – Dlatego nadal musimy schodzić sobie z drogi.

Rigg pokręcił głową.

– Kwadrat nauczył mnie, jak skłonić maskę, by dała mi nową twarz. Okazuje się, że mamy o wiele większy wpływ na nasz wygląd, niż sądziliśmy.

– To prawda – zgodził się Noxon. – Wyglądasz jak ja. To znaczy jak ja kiedyś. W naturalnym stanie. Do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo tak właśnie powinienem wyglądać. Czy moja maska też tak potrafi?

– Po co? – burknął Rigg. – Teraz, gdy tylko ty masz taki brzydki pysk, ludzie bez trudu będą nas odróżniać.

– A kim jest Kwadrat? – chciał wiedzieć Noxon.

Lejka lekko westchnęła.

– Na wyjaśnienia przyjdzie czas – wtrącił Ram Odyn. – Teraz, gdy już uratowałeś świat, musimy wygrać wojnę, a twoja... przyjaciółka? żona?... chce dostać maskę.

– Teraz jeszcze bardziej niż wcześniej – potwierdziła Debora. – Ale nie będę musiała być taka brzydka jak Noxon?

– Możesz wyglądać, jak zechcesz – zapewnił ją Kwadrat.

– Pod warunkiem że zdołasz opanować maskę – dodała Param. – Nie każdy to potrafi.

Ram Odyn znowu spróbował zapanować nad rozmową.

– Moi drodzy, wszyscy już się na siebie napatrzyliśmy, wiemy, co się wydarzyło, a na poznanie szczegółów mamy wiele tygodni. Niech Noxon i Debora zrobią to, po co tu przybyli, a reszta niech wraca do obowiązków.

– Jak poszło z myszami i komputerami? – chciał wiedzieć Umbo.

– Zdaje się, że myszy rządzą obecnie światem – powiedział Rigg.

– Co za ulga. Ty i Ram Odyn byliście do kitu.

– A teraz ty będziesz królem.

– Figurantem.

Param wzięła Umba za rękę.

– Ciągłe tak mówi, ale kiedy chcę mu powierzyć jakieś obowiązki, odmawia.

– Nie chcę niczym rządzić – powiedział Umbo. – Chcę tylko moc na to narzekać.

– Ciężko pracuje – zwróciła się do nich Param. – I ma wyniki.

– Ale to Kwadrat i jego maskerzy biorą na siebie wszystkie poważne walki – powiedział Umbo.

– Nadal nie wiemy, jak zakończyć tę wojnę. Ich armie nam nie dorównują, a lud chce się ich pozbyć.

– Coś wymyślicie – zapewnił Noxon.

– Więc to tak wygląda władza? – odezwała się Debora. – Ludzie, którzy decydują o wojnie? Ty jesteś Królową w Namiocie?

– Trudno w to uwierzyć, co? – uśmiechnęła się Param.

– Nie, prezentujesz się jak królowa. Ale wyglądasz na młodszą ode mnie.

– To dzieci – burknął Bochen. – Smarkacze, którym dano zbyt wielką władzę. Teraz, gdy świat się nie skończy, będziemy musieli znosić mnóstwo wygłupów, zanim dorosną.

– Chodź – zwrócił się do niej Noxon. – Jeśli nie pójdziemy zaraz po twoją maskę, będą ci tu głądzić godzinami.

Debora uśmiechnęła się do nich, wychodząc z Noxonem. Vadeshex natychmiast poszedł za nimi. Reszta została w pomieszczeniu, gapiąc się na siebie.

– Wyrwano mnie z przyjemnej drzemki – powiedział Rigg.

– Moja nie była aż tak miła – wymamrotał Ram Odyn z urazą. – Nie sądziłem, że tak będzie, ale ciągle widziałem Vadeshexa wkładającego sobie do ust zakrwawione mysie ciało.

– Dzięki, teraz ja będę miała ten obraz przed oczami – warknęła Param.

– Dla Królowej w Namiocie wszystko – odparł Ram Odyn uprzejmie i wyszedł.

– Chcecie, żebym was odwiózł do świata Rama – spytał Ramex – czy gdzie indziej?

– Do enklawy – zdecydował Bochen. – Lejka musi podać kolację, a ja dokończyć trening z rekrutami.

– Myślałem, że wszyscy są już wyszkoleni – zdziwił się Umbo.

– On mówi o moich ludziach – włączył się Kwadrat. – Mamy nowych rekrutów, którzy dopiero co dostali maski.

– Co zrobimy? – spytał Umbo. – Skoczmy w przyszłość i pozbedziemy się Hagii i Haddamandera?

– Nie zabijemy... – zaczęła Param.

– Nie zrozumieliśmy się. Chodziło mi o to, żeby ich po prostu porwać i przechować w czasach kilkaset lat temu, w innej murchii, gdzie nie będą członkami rodziny królewskiej i nikt nie będzie im posłuszny.

Rigg parsknął śmiechem.

– Przychodzi mi do głowy kilka murchii, w których by się im spodobało.

– Nie chcę ich torturować czy nawet karać – zaprotestowała Param. – Ale tak, to dobry pomysł. Tylko niech to będzie miejsce, w którym nie narobią wiele szkód i jakoś ułożą sobie życie.

– A potem przekonamy się, czy potrafimy rządzić lepiej od nich – dodał Umbo.

– Jeśli nie potraficie, zawsze możemy przywrócić Ludową Radę Rewolucyjną – rzucił Rigg.

Wówczas zebranie się skończyło i wszyscy ruszyli do lądownika ze świata Rama. Rigg zamykał pochód. Gdy dotarł do mostku, prowadzącego ze statku do tuneli, natknął się na czekającego na niego Umba.

– Cześć – powiedział ten.

– Wszystko ładnie się ułożyło – zauważył Rigg.

– Prosiłem Ramexa, żeby przez Vadeshexa przekazał Noxonowi, że uratowałem życie Kyokayowi. Będzie chciał to wiedzieć, prawda?

– Szkoda, że sam mu tego nie powiesz. To niesamowita historia. Jesteś teraz jedynym prawdziwym bohaterem wśród nas.

– Z wyjątkiem Kwadrata. A kiedy patrzę, jak walczysz z Niszczycielem...

– To nie byłem ja.

– Właśnie że ty. Ale nie o tym chciałem rozmawiać. Tylko... widziałem Noxona z tą dziewczyną. Z Deborą.

– Wiedziałem, że w tym brzydkim pysku zakocha się tylko niewidoma.

– Ja mam Param, a wiesz, że od zawsze się w niej kochałem. A Noxon wygląda na szczęśliwego... Jej chyba naprawdę na nim zależy...

– Też tak myślę. Ale słuchaj, jeśli martwisz się o mnie, to przestań. Widziałem mnóstwo murchii. Zastanawiam się nad powrotem do jednej z nich. Poznałem pewnych ludzi. Znam miejsca, w których mógłbym zamieszkać.

– Naprawdę? Bo miałem nadzieję, że znajdziesz jakąś miłą dziewczynę i zostaniesz przy mnie i Param. Jak się zastanowić, fajny był z nas zespół.

– Mieliśmy wzloty i upadki.

– Nie chcę nudzić, ale liczyłem na to, że zostaniesz. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, choć przez jakiś czas dałem ci popalić.

– Ale nawet jeśli odejdę, pozostanę z wami. Przecież Noxon to ja, prawda?

Umbo pokręcił głową.

– Tak. Wiem. Ty widziałeś prawie całą Arkadię, on był na Ziemi, a ja jestem tylko...

– Jesteś tylko Królem w Namocie, mężem mojej siostry. Wiesz, że gdziekolwiek

zamieszkać, będę wracać i was odwiedzać. Ożenię się, będę miał dzieci, ale od czasu do czasu wstanę od stołu, powiem: „Teraz pójdę na spacer”, wsiądę do łądownika i spędzę u was tydzień, a potem wrócę do domu pięć minut po wyjściu.

– Bardzo przyzwoity plan. Mam nadzieję, że po wojnie tylko taki użytek będziemy robić z naszych talentów. Koniec ratowania świata. Koniec wprowadzania zmian.

– Najlepsza opcja z możliwych – uznał Rigg. – Niepokoi mnie, że te moce istnieją, niekontrolowane. Byliśmy niezdarni i głupi, ale wyszło nam to na dobre. A gdyby niektórzy z naszych potomków okazali się... no, nie wiem... dość podli? Gdyby trafił się ktoś w rodzaju Haddamandera? Albo Hagii? Albo... Tegaya. Rozumiesz?

– Rozmawiałem o tym z Param. Dyskutowaliśmy, czy powinniśmy mieć dzieci. Oto, do czego doszliśmy: myszy zetknęły nas z sobą, gdy jesteśmy u szczytu swoich możliwości, żebyśmy uratowali Arkadię, a potem także Ziemię i wszystkich ludzi. Ale nasze dzieci połączą się z osobami, które nie potrafią manipulować czasem, a ich dzieci jeszcze bardziej osłabiają te geny. Może gdy gatunek ludzki nie będzie potrzebować ratunku, ta zdolność się zatrze albo osłabnie. Ty widzisz ścieżki. Ja zwalням ludzi albo ich przyspieszam i tak dalej. Drobiazgi. Interesujące, ale niegroźne. Nie zmieniają świata. Tak sądzimy.

Rigg zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Bardzo mi się to podoba – powiedział. – Mam nadzieję, że to prawda.

– Chcemy spróbować wychować dzieci na porządnym ludzi.

– To też dobry pomysł, choć dzieci staną się tym, kim chcą.

– Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale Param i ja uważamy, że to może być prawda. Ja uważam, że to prawda. Że gatunek ludzki naprawdę postanowił nie dać się zniszczyć. Dlatego najpierw skłonił Odynerów, żeby wymyślili maszynę, która prześle w przeszłość Księgi Przyszłości. Za każdym razem ludzkość zbierała siły i w końcu, biorąc pod uwagę Odynerów, myszy i te geny, które krążyły w świecie Rama, a także to, że Ramex wychowywał ciebie i trenował mnie i Param... Gatunek ludzki nas potrzebował, więc nas stworzył. I wtedy wszystko się ułożyło. Więc... teraz nasze talenty nie są już potrzebne.

– Muszę się nad tym chwilę zastanowić – oznajmił Rigg. – Brzmi zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. Ale czasem to, co piękne, jest możliwe.

– Dlatego Param i ja nie zamierzamy się martwić o przyszłość. No, wiadomo, że zrobimy wszystko, żeby dobrze rządzić, by w świecie Rama panowały pokój, wolność, dobrobyt i tak dalej. Ale kiedy umrzemy, nie będziemy już za to odpowiedzialni. Nie musimy dbać o całą historię. Pozwolimy sobie na błędy bez cofania się w czasie, by je naprawić. Tak jak wszyscy inni będziemy je naprawiać po fakcie. Koniec cudów. Samo życie. Damy z siebie wszystko i nie uciekniemy przed konsekwencjami.

Rigg słuchał tego z ulgą. Nie zdawał sobie sprawy, że dokładnie to leżało mu ciężarem na sercu.

– Wiesz co? Od dawna nie słyszałem tak dobrego pomysłu.
– Wiem, trochę to zaskakujące. To, że słyszysz go ode mnie.
– Wcale nie. Twój plan to jedyna ścieżka prowadząca do czegoś w rodzaju normalnego życia. Do... no wiesz... szczęścia.

– Albo nieszczęścia – odparł Umbo. – I to będzie najtrudniejsze. A jeśli któreś z twoich dzieci będzie miało wypadek?

– Wtedy cofnę się w czasie i je uratuję. Nie bądź głupi. Nie będziemy ingerować w życie innych ludzi, ale kiedy masz taki talent, nie pozwalasz, żeby twoich najukochańszych spotykały złe rzeczy. Tak jak uratowałeś Kwadrata. To było dobre.

Umbo pokręcił głową niewesoło.

– Zdania są podzielone.

– Kwadrat żyje i ma cel, a kiedy wojna się skończy, założy rodzinę i kolonię i wiesz co? Nikt nie może ci zarzucić błędu. Nawet Lejka.

Idąca przed nimi Lejka zwolniła, jakby usłyszała swoje imię i zastanawiała się, czy nie zawrócić. Ale potem ruszyła dalej, a Rigg i Umbo podjęli rozmowę ściszonymi głosami.

– Cieszę się, że postanowiłem pójść za tobą, kiedy opuściłeś Wodobród – powiedział Umbo.

– Ja też się z tego cieszę – przyznał Rigg. – Nie musiałeś.

– A ty nie musiałeś mi przebaczać fałszywego oskarżenia – odparł Umbo z uśmiechem. – Obaj jesteśmy tak wspaniałomyślni, że coś niebywałego.

– Na dłuższą metę. Pomijając kilka naprawdę sporych wpadek po drodze. Twoich i moich.

– Ale jakoś nam się ułożyło.

– Na razie nie do końca, ale owszem, dla świata się ułożyło. Brawo dla nas!

Umbo parsknął śmiechem, pokleпали się nawzajem po plecach i dotarli do pojazdu, który miał ich zawieźć do lądownika. Stłoczyli się na nim z innymi, a on ruszył tunelem prowadzącym z wnętrza góry do pustego miasta, gdyż Vadeshex pozwolił, by jego mieszkańcy nawzajem się unicestwili. Dopiero teraz jego błąd został naprawiony, bo Kwadrat zamierzał osiedlić tu swoich podwładnych. Wkrótce na tych ulicach znów zaroi się od ludzi. Ludzi w maskach, a więc częściowo pochodzących z Ziemi, a częściowo z Arkadii. Nadal żywych, połączonych z sobą. „To największe zwycięstwo – pomyślał Rigg. – Cofnięcie tego, co złe, to wielka rzecz. Najważniejsza. Ale dobrze było dać życiu powstałemu na Arkadii szansę ponownego wyrażenia siebie, utworzenia cywilizacji. Zaistnienia w nas”.

Może Rigg w końcu przyjdzie do Vadeshexa. Może wybierze czasy na kilkaset lat od teraźniejszości, gdy Noxon i Debora już przeżyją swoje życie, podobnie jak ich dzieci i wnuki. Wtedy Rigg pojawi się – trzy, cztery, dziesięć pokoleń później – i przekona się, czy znalazł kogoś dla siebie. Razem spłodzą kilkoro dzieci w maskach. Będą

obserwować ich dorastanie. Dowiedzą się, kim się stały. O to w tym chodzi, prawda? Te ścieżki podobały mu się najbardziej.

I tylko na to liczył, choć jego ścieżka biegła krętą drogą przez przeszłość i przyszłość. Może kiedyś stanie się taka, jak pragnął. Czas pokaże.

Spis treści

[Rozdział 1. KOPIE](#)

[Rozdział 2. OBRADY W MURCHII LARA](#)

[Rozdział 3. POD NAMIOTEM](#)

[Rozdział 4. POWRÓT DO DOMU](#)

[Rozdział 5. PŁONĄCY DOM](#)

[Rozdział 6. COFANIE](#)

[Rozdział 7. ŚCIEŻKI I CIĘCIE](#)

[Rozdział 8. NEGOCJACJE Z MYSZAMI](#)

[Rozdział 9. NAPRAWIANIE](#)

[Rozdział 10. PAN MURÓW](#)

[Rozdział 11. WSTECZ](#)

[Rozdział 12. WYBIERANIE TWARZOMASKI](#)

[Rozdział 13. DOKĄD NIE JECHAĆ](#)

[Rozdział 14. OPORTUNIŚCI](#)

[Rozdział 15. BUDOWANIE DOMU](#)

[Rozdział 16. W POBLIŻU ZIEMI](#)

[Rozdział 17. NA RATUNEK DZIECKU](#)

[Rozdział 18. UKRYWAJĄC SIĘ PRZED PRZYSZŁOŚCIĄ](#)

[Rozdział 19. RADA WOJENNA](#)

[Rozdział 20. SPRZYMIERZEŃCY](#)

[Rozdział 21. NEANDERTALCZYCY](#)

[Rozdział 22. DOM DLA KWADRATA](#)

[Rozdział 23. PITEKANTROPY](#)

[Rozdział 24. CHŁOPIEC BEZ MATKI](#)

[Rozdział 25. UPRZEDZENIE](#)

[Rozdział 26. SCHLUDNOŚĆ](#)

[Rozdział 27. POWRÓT PO MYSZY](#)

[Rozdział 28. TWARZĄ W TWARZ](#)

[Rozdział 29. ODWIEDZINY](#)

[Rozdział 30. DYSPOZYCJE](#)